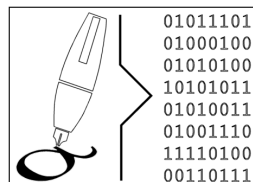


MERCEDES LACKEY

OBIETNICA MAGII

Drugi tom z cyklu
„Trylogia Ostatniego Maga Heroldów”

Tłumaczyła: Magdalena Polaszewska-Nicke



Tytuł oryginału:

MAGIC'S PROMISE

Data wydania polskiego: 1995 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1990 r.

*Dedykowane
Elizabeth (Betsy) Wollheim,
która powiedziała: „Zrób to”*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niebieskie skórzane juki i parciany tłumok, wypchane brudnymi ubraniami i najróżniejszymi rzeczami osobistymi, z głuchym odgłosem wylądowały w kącie pokoju. Lutnia, nie rozpakowana jeszcze z połatanego skózanego pokrowca, ześlizgnęła się po oparciu jednego z wyściełanych krzeseł i z łagodniejszym nieco dźwiękiem spoczęła w zagłębieniu wytartej czerwonej poduszki siedzenia. Znalazszy tam oparcie, przechyliła się na bok i wyglądała teraz niczym grube, pijane dziecko. Na matowej powierzchni ciemnego skózanego futerału połyskiwało blado przedpołudniowe słońce wciąż jeszcze widoczne za jedynym wychodzącym na wschód oknem. Wprawdzie pokrowiec poprzecierał się już tu i tam, ale dwa lata ponieważ nie przyćmiły zanadto jego blasku, a rozdarcie wzdłuż części chroniącej pudło instrumentu zszyte było drobnutkiem, misternym ściegiem.

Vanyel skrzywił się na widok aż nazbyt widocznego szwu. Przedarcie? Nie, przedarcie nie byłoby tak równe. Nazwałbym to raczej przecięciem, albo raczej rozplątaniem i dopiero wtedy byłbym bliższy prawdy. Oby tylko nikt tego nie zauważył.

Lepiej, że to pokrowiec lutni, a nie ja sam. . . ostrze było tak blisko, że wolałbym nawet o tym nie myśleć. Mam tylko nadzieję, że Savil nie będzie się temu przyglądać zbyt dokładnie. Już ona dobrze by wiedziała, skąd się to wzięło, i byłaby wściekła.

Mag heroldów Vanyel osunął się niezgrabnie na krzesło, całym ciężarem ciała rzucając się prosto w objęcia miękkich, obciążonych tkaniną oparc.

Nareszcie w domu. O nieba, życia we mnie nie więcej niż w tamtych jukach, które wylądowały w kącie.

— O-o-och. — Vanyel oparł się wygodnie i poczuł nagle, jak gdyby wszystkie mięśnie jego ciała podniosły naraz jeden wielki krzyk, dopominając się zadośćuczynienia za wszelkie długo ignorowane bóle i przeciążenia. Myśli z trudem torowały sobie drogę do jego świadomości, przebijając się przez mgłę całkowitego wyczerpania. Największym pragnieniem Vanyela w tej chwili było zamknąć zmęczone oczy. Ale na jego spełnienie Vanyel nie miał odwagi, bo z chwilą gdyby zamknął powieki, natychmiast zmorzyłby go sen.

Kiedyś wreszcie będę musiał sobie przypomnieć, że nie mam już szesnastu

lat, i wbić sobie do głowy, że nie mogę kłaść się nad ranem, wstawać o brzasku i nie płacić za to żadnej ceny.

Kilka chwil temu, gdy Vanyel czyścił w stajni swego Towarzysza, Yfandes, ta zasnęła na stojąco. Tego ranka na długo przed świtem wyruszyli na ostatni etap swej podróży, a potem przez cały czas gnali co tchu, wyczerpując do cna rezerwy sił, aby tylko jak najprędzej osiągnąć spokojny azyl domu.

Bogowie. Obym nigdy więcej nie musiał oglądać granicy karsyckiej.

Niestety, o tym mogę sobie tylko pomarzyć. O Panie i Pani, jeśli mnie miłujecie, dajcie mi tylko troszkę czasu, abym mógł odetchnąć. Tylko o to proszę. O odrobinę czasu, abym znów poczuł się jak człowiek, a nie maszyna do zabijania.

W pokoju unosił się intensywny zapach mydła i wosku pszczelego używanego do polerowania mebli i boazerii. Vanyel przeciągnął się, wsłuchując się w trzeszczenie swych stawów i ze zdziwieniem powiódł wzrokiem dookoła.

Dziwne. Dlaczego nie czuję się tutaj jak w domu? Zamyślił się na moment, bo zdało mu się nagle, że jego skromna kwatery o ścianach wyłożonych boazerią ze złotego dębu wyglądała na jakiś anonimowy, nazbyt nieskazitelnie czysty pokój nie zamieszkały przez nikogo. Przypuszczam, że to dość logiczne — pomyślał od niechcienia. — Nikt tutaj nie pomieszkiwał zbyt długo. Przez ostatni rok cały czas byłem w drodze, a przedtem przyjeżdżałem tu zwykle zaledwie na kilka tygodni. Och, bogowie.

Był to wygodny, przytulny — i dość przeciętny — pokój. Podobny do całego tuzina izb, które Vanyel zajmował ostatnimi czasy, jeśli już spotkał go luksus otrzymania pokoju gościnnego w tym czy innym zamku. Umeblowanie było tutaj dość skromne: dwa krzesła, stół, biurko, a przy nim taboret, szafa na ubrania oraz łóżko z baldachimem w rogu pokoju. Łóżko było ogromne — jedyny wyraz słabości Vanyela, który miał w zwyczaju rzucać się niespokojnie podczas snu.

Vanyel uśmiechnął się kwaśno, przypomniawszy sobie, jak wiele osób kwitowało to przypuszczeniem, że na tak wielkim łóżku musiało mu zależeć ze zgoła innych powodów. Nigdy by mi nie uwierzyli, że Savil ćwiczy się w sztuce miłosnej znacznie częściej niż ja. No tak. Może to i dobrze, że nie mam kochanki. Po nocy ze mną budziłby się cały w sińcach. I zawsze pierwszą jego myślą byłoby uświadomienie sobie, że znów udało mu się uniknąć uduszenia podczas któregoś z moich koszmarów.

Pomijając jednak łóżko, pokój był raczej pospolity. Miał tylko jedno okno, a i przez nie niewiele było widać. Z pewnością nie był to apartament, jakiego mógłby sobie zażyczyć, gdyby tylko chciał...

Ale po co mi apartament, skoro tak rzadko bywam w Przystani, a w swym pokoju jeszcze rzadziej?

Na przekór wszelkim zasadom etykiety położył nogi na niskim, porysowanym stoliku pomiędzy krzesłami. Mógł wprawdzie zażądać, aby dostarczono mu

podnózek. . .

Ale jakoś nigdy mi to nie przychodzi do głowy, dopóki nie znajdę się kilka mil od domu wyruszając w kolejną podróż. Nigdy nie ma czasu na. . . na cokolwiek. W każdym razie odkąd zmarła Elspeth. Bogowie, sprawcie tylko, abym się mylił co do Randala.

Oczy zaszyły mu mgłą. Potrząsnął głową dla odzyskania klarowności widzenia. Dopiero wówczas ujrzał stosik listów leżący u jego stóp i aż jęknął na widok nader znajomej pieczęci widniejącej na samym wierzchołku kupki, pieczęci lorda Withena, pana na Forst Reach i ojca Vanyela.

Mam dwadzieścia osiem lat, a myśl o nim wciąż sprawia, że zaczynam się czuć jak piętnastolatek, i to piętnastolatek w niełasce. Dlaczego właśnie ja? — zapytał bogów, którzy jednakże nie zdecydowali się udzielić mu odpowiedzi. Westchnął ponownie i z goryczą popatrzył na odstrasząco gruby list.

Na ognie piekielne. Ten list — zresztą tak samo jak każda inna sprawa — może sobie poczekać, aż wezmę kąpiel. Aż wezmę kąpiel i przegryzę coś, co nie będzie zapleśniałe, i napiję się czegoś, co nie będzie gotowanym błotem. A teraz zastanówmy się, czy podczas mojego ostatniego pobytu tutaj miałem jakieś ubrania, które nadawałyby się do noszenia?

Dźwignął się z fotela i przetrząsnął szafę stojącą przy łóżku, znajdując tam w końcu koszulę i stare, wyblakłe niebieskie bryczesy, które w czasach swej świetności miały barwę głębokiego szafiru. O, dzięki wam, bogowie, że to nie Biel. Gdy zajadę do domu, też nie będę nosił Bieli. Jakże miło będzie założyć coś, co nie brudzi się w oczach. (To niesprawiedliwe, odezwał się raptem pełen wyrzutu głos jego sumienia. W rzeczywistości właściwie traktowany Biały uniform heroldów był tak odporny na brud i plamy, że nie-Heroldowie dopatrywali się w tym jakiejś magii. Ale Vanyel zignorował ten cichy głos.) Ale z drugiej strony zupełnie nie wiem, co będę teraz nosił jako uniform. Drogi ojciec z ledwością poznałby swego syna, widząc go umazanego w błocie, nie ogolonego, z popiołem we włosach.

Wytrząsnął na podłogę zawartość parcianego tłumoka i zadzwonił po pazia, aby zabrał sponiewierane uniformy i oddał komuś, kto zajmie się nimi jak należy. Były w nadzwyczajnie złym stanie: poplamione od trawy, błota i krwi — miejscami nawet jego własnej — niektóre pocięte i podarte, a większość zniszczona niemal do szczętu.

Zmierzyły mnie wzrokiem i doszedł do wniosku, że muszę być opętany. No, Karsyci i tego nie omieszkali spróbować. Ale przynajmniej to, że ktoś przez moment stanie na skraju opętania, nie odbija się plamami na jego ubraniu. . . w każdym razie nie na uniformach. A co teraz będzie moim uniformem? Och, o to będę się martwił po kąpieli.

Łazienka znajdowała się na drugim końcu długiego, wyłożonego drewnianą boazerią i kamienną posadzką korytarza. Tego przedpołudnia nie było tam nikogo, żadnych chętnych do rywalizacji o balie i gorącą wodę. Człapiąc ociężale korytarzem, na wpół zamroczony Vanyel myślał sobie, jak dobrze mu będzie w gorącej wodzie. Ostatnio — wyjąwszy pospieszne ochłapanie się w zajeździe — kąpał się w zimnym strumieniu. Bardzo zimnym strumieniu. I mył się piaskiem, nie mydłem.

Dotarłszy wreszcie do łazienki, zrzucił ubranie i zostawił je na kupce na podłodze, wodą z miedzianego kotła napełnił największą z trzech drewnianych balii i z westchnieniem zanurzył się w gorącej kąpieli. . .

. . . i obudził się z niemal zupełnie zdrętwiałymi ramionami zwisającymi bezwładnie po bokach balii, z głową opadającą na piersi, w wodzie ledwie letniej i coraz bardziej stygnącej.

Wtem jego ramienia łagodnie dotknęła jakaś dłoń.

Nie oglądając się nawet, zorientował się, że musi to być jeden z kolegów, heroldów. Gdyby było inaczej, gdyby nawet był to ktoś tak niewinny jak jakiś nieznamy paź, napięte nerwy Vanyela i wyostrzony na polach bitew refleks wykonałyby rzecz niewybaczalną. Vanyel wyrzuciłby takiego intruza za ścianę, zanim sam zdążyłby się wyrwać z głębokiego snu. Zrobiłby to, najprawdopodobniej nie używając nawet magii. Zresztą nieważne, czy z magią, czy bez, nagle zdał sobie sprawę, że jeśli nie będzie ostrożny, może wyrządzić komuś krzywdę.

Przeszył go delikatny dreszcz. Byłe co potrafi mnie wyprowadzić z równowagi. A to niedobrze.

— Jeśli nie chcesz się zamienić w człowieka-rybę — dobiegł go szczerze z troskany głos herolda Tantrasa wykukującego zza parawanu oddzielającego miejsce, gdzie stała balia, od reszty pomieszczenia — lepiej już wyjdź z tej balii. Dziwię się, że jeszcze się nie utopiłeś.

— Ja też. — Vanyel przetarł oczy, popróbował oczyścić głowę z pajęczyn i obejrzał się przez ramię. — Skąd się tu wzięłeś?

— Słyszałem, że wróciłeś kilka miarek świecy temu i domyśliłem się, że pewnie tutaj skierujesz swoje pierwsze kroki. — Tantras zachichotał. — Już ja dobrze znam i ciebie, i to twoje zamiłowanie do kąpieli. Ale muszę przyznać, że nie spodziewałem się, że dane mi będzie oglądać, jak zamieniasz się w rodzynka.

Ciemnowłosy, smagły herold wyłonił się zza drewnianego przepierzenia z naręczem ręczników. Vanyel przyglądał mu się z półśmiechem wyrażającym coś znacznie więcej aniżeli podziw znawcy dla dzieła sztuki. Tantras był mężczyzną pełnym wdzięku, okazałym niczym ogier król stada u szczytu swych możliwości. Tantras nie był *shay'a'chern*, ale był dobrym przyjacielem, a przecież niełatwo o kogoś takiego.

I coraz trudniej — pomyślał Vanyel trzeźwo. — Chociaż, o niebiosy, sam dawno nie miałem okazji doświadczyć, czym jest romantyczne sam na sam z kochan-

kiem... no cóż, celibat przecież mnie nie zabije. Nawet gdybym bardzo wytężył wyobraźnię. Bogowie, powinienem chyba zostać księdzem.

Przepaściste, łagodne oczy starszego herolda były pełne troski.

— Nie wyglądasz najlepiej, Vanyelu. Przypuszczałem, że będziesz zmęczony... ale sądząc po tym, jak tu przysnąłeś... musiało ci tam być gorzej niż myślałem.

— Było źle — odparł krótko Vanyel, niechętny rozmowie o tym, co działo się podczas ostatniego roku. Nawet dla niego, najpotężniejszego w całym Kręgu maga heroldów, który potrafił zastąpić na ich pozycjach pięciu pozostałych magów heroldów w czasie ich rekonwalescencji po magicznym ataku, skrajnym wyczerpaniu i szoku, była to misja, o której nie chciał myśleć jeszcze przez długi czas, a tym bardziej przeżywać jej po raz wtóry. Namydlił sobie włosy, a potem zanurzył głowę pod wodę, aby splukać pianę.

— Tak właśnie słyszałem. Gdy zobaczyłem cię w tej balii odgrywającego truposza, wysłałem do twego pokoju pazia zjedzeniem i winem, a drugiego po kilka moich uniformów. Jesteśmy przecież niemal takiej samej budowy,

— Powiedz tylko, ile za nie chcesz, a zapłacę każdą cenę — odparł z wdzięcznością Vanyel, unosząc się z jękiem z balii i odbierając ręcznik, który już trzymał dla niego Tantras. — Nie mam nic, co by się nadawało do noszenia zamiast uniformu.

— O Panie i Pani... — wycedził Tantras, wstrząśnięty widokiem ciała Vanyela. — Coś ty ze sobą zrobił?

Vanyel przerwał na chwilę energiczne ruchy wykonywane w trakcie owijania się ręcznikiem i popatrzył na swe ciało. Oznaki poniesionych szkód nawet jego wprawiły w zdziwienie. Zawsze był szczupły, ale teraz została zeń ledwie skóra i kości, nic więcej. Całe jego ciało pokrywały blizny po smagnięciach noży i mieczy, a piersi — w miejscu, gdzie pewien demon chciał wyrwać mu serce — przecinało kilka równoległe biegnących śladów po zadrapaniach pazurów. Nie zabrakło też blizn po oparzeniach — od szyi aż do kolana biegły trzy cienkie, białe linie, znaczące miejsce, gdzie, przedarłszy się przez osłony, dosięgła go magiczna błyskawica. Było też parę innych znamion, pamiątek po pojedynku z mistrzem magicznych ogni.

— To moja praca. Życie na krawędzi. Usiłowałem przekonać Karsytów, że jestem pięcioma magami heroldów naraz. Odgrywałem rolę celu. — Wzruszył ramionami, jakby chciał odsunąć od siebie myśli o tamtym czasie. — To wszystko. Nic ponad to, co zrobiłby każdy z was, jeśli tylko by mógł.

— Bogowie, Van — odparł Tantras z cieniem poczucia winy w głosie. — Przy tobie czuję się jak tchórz. Do diabła, mam nadzieję, że warto było przez to wszystko przechodzić.

Usta Vanyela ściągnęły się w cieniutką linię.

— Dostałem tego drania, który zabił Mardika i Donni. Możesz to rozgłosić

jako wiadomość oficjalną.

Tantras na moment przymknął oczy i pochylił głowę.

— Warto było — powiedział cicho.

Vanyel skinął głową.

— Warto było wycierpieć każdą z tych ran. Może nawet osiągnąłem coś więcej. Ten czarnoksiężnik miał całe stado demonów. Gdy go zabiłem, posłałem je wszystkie do Karsytów. Uśmiechnął się, a raczej lekko wykrzywił usta. — Mam nadzieję, że tym sposobem Karsyci dostali niezłą nauczkę. Liczę na to, że w ogóle zabronią posługiwania się magią po ich stronie granicy. Jeśli wierzyć pogłoskom przenikającym tu z Karsu, to już to robią.

Tantras uniósł głowę.

— Ciężko będzie tym, którzy posiadają dar... — rzekł. Vanyel nie odpowiedział. W tej chwili trudno mu było współczuć komukolwiek po karsyckiej stronie granicy. Nie była to postawa nazbyt miłosierna, nie przystawała heroldowi, ale Vanyel wiedział, że dopóty, dopóki nie zagoją się pewne rany — i to bynajmniej nie te na ciele — nie będzie skłonny odczuwać litości.

— Przybyło ci też więcej siwych włosów — zauważył Tantras, przechyliwszy głowę na bok.

Vanyel skrzywił się, ale był rad ze zmiany tematu.

— To przez energię magiczną z ogniska. Za każdym razem, kiedy czerpię z niego siły, pojawia się na mojej głowie więcej białych włosów. Tańczący Księżyc k'Treva był zupełnie siwy, zanim jeszcze osiągnął mój wiek. Zdaje się, że jestem bardziej, odporny. — Uśmiechnął się. Był to blady, lecz tym razem prawdziwy uśmiech. — Niesie to z sobą coś bardzo miłego. Dzięki tym siwym włosom ludzie darzą mnie szacunkiem, którego inaczej może wcale bym nie doświadczył!

Wytarł się i owinał sobie ręcznik wokół bioder. Tantras znów się skrzywił — spostrzegł pewnie szramę po cięciu nożem na plecach Vanyela — i podał mu następny ręcznik do wytarcia włosów.

— A tak nawiasem mówiąc, ten dług już spłaciłeś — powiedział, próbując skierować rozmowę na nieco lżejszy temat.

Vanyel przerwał wycieranie włosów, unosząc brwi.

— Wypełniłeś za mnie moje obowiązki podczas ostatniej nocy Sovan.

Vanyel zdusił nagły skurcz w sercu i wzruszył ramionami. Wiesz, że wpadasz w depresję, gdy jesteś zmęczony, głupcze. Nie pozwól, żeby cię to gnębiło.

— Och, o to chodzi. Zawsze do twoich usług. Wiesz, że nie lubię uroczystości związanych z nocą Sovan. Nie mogę poradzić sobie z tymi nabożeństwami za zmarłych i nie lubię być sam. Pełnienie za ciebie warty honorowej było równie dobrym zajęciem jak każde inne, które pozwoliłoby mi nie myśleć o przykrych rzeczach.

Był wdzięczny, że Tantras nie chciał ciągnąć dalej tej rozmowy.

— Jak sądzisz, uda ci się jakoś dojść do pokoju? — zapytał starszy herold.
— Powiedziałem, że nie wyglądasz najlepiej, i naprawdę tak myślę. Zasnąć tak w balii... zaczynam się zastanawiać, czy aby nie zemdlejesz gdzieś w korytarzu.

Vanyel wydał z siebie dźwięk przypominający bardziej suchy kaszel aniżeli śmiech.

— Nie dolega mi nic, czego nie mógłby uleczyć tygodniowy sen — odparł. — Przykro mi, że nie będę mógł stać na warcie honorowej i w tym roku, ale muszę złożyć obowiązkową wizytę rodzinną. Nie byłem w domu od... bogowie, czterech lat, a i wtedy nie zabawiłem tam dłużej niż dzień czy dwa. Rodzina z pewnością nakłoni mnie do dłuższego pobytu, który zresztą im obiecałem. W pokoju czeka na mnie list od ojca, który chyba miał mi o tym przypomnieć.

— Rodzice dobrze wiedzą, jak rozbudzić w człowieku poczucie winy, co? No cóż, jeśli będziesz nieosiągalny, Randal nie wynajdzie ci nic do roboty... ale czy to naprawdę będzie odpoczynek? — Tantras zdał się po trosze rozbawiony i zmartwiony zarazem. — To znaczy, ta twoja rodzina...

— Nie będą mnie dręczyć podczas snu, a ja mam zamiar spać bardzo dużo. — Założył swe stare, czyste ubranie, rozkoszując się dotykiem czystej, miękkiej tkaniny na skórze, i zaczął zbierać z podłogi brudne rzeczy. — Jestem teraz w takim nastroju, że najchętniej przedzierzgałbym się w pustelnika, gdy już tam dotrę...

— Zostaw te rzeczy — przerwał mu Tantras. — Zajmę się nimi. A ty idź zjeść jakiś przyzwoity posiłek. Wyglądasz, jakbyś już od miesiący nie miał w ustach nic porządnego.

— Bo nie miałem. Oni tam nie wierzą w ziemskie przyjemności. Wielcy propagatorzy umartwiania ciała dla dobra ducha. Vanyel uniósł oczy akurat na czas, by zobaczyć uniesione brwi Tantrasa. Zrobił dramatyczną minę. — Wiem, co masz na myśli. To też. Szczególnie to. Na bogów. Czy ty masz pojęcie, jak to jest być otoczonym tymi bardzo przystojnymi mężczyznami i odważyć się zaledwie na flirt z jednym z nich?

— A czy młode panie były równie oszałamiająco atrakcyjne? — spytał Tantras, uśmiechając się szeroko.

— Raczej tak... choć ta materia pozostaje dla mnie w sferze abstrakcji.

— A więc mogę je sobie wyobrazić. Przypominaj mi zawsze, abym za wszelką cenę trzymał się z dala od granicy karsyckiej.

Vanyel uzmysłowił sobie nagle, że sam się uśmiechnął. Był to już drugi szczerzy uśmiech, i to płynący prosto z serca.

— Tantras, na bogów... tak się cieszę, że cię znów widzę. Wiesz, ile czasu mięło od momentu, kiedy ostatnio miałem okazję z kimś swobodnie porozmawiać albo pożartować? O Pani! Dlatego że przebywałem wśród ludzi, którzy odwracali wzrok, kiedy tylko widzieli mnie w niekompletnym ubraniu?

— A ty znów o tym? — zdziwił się Tantras. — Naprawdę sądzisz, że ludzie, zbliżając się do ciebie, robią się nerwowi, bo jesteś *shayn*?

— Jestem co? — spytał Vanyel, zaskoczony brzmieniem nieznanego określenia.

— *Shayn*. To skrócona wersja tego słowa Sokolich Braci, którego używacie ty i Savił. Nie wiem, jak to się stało, ale po prostu pewnego dnia nagle wszyscy zaczęli się nim posługiwać. — Tantras oparł się o wyłożoną białymi płytkami ścianę łazienki i splótłszy ręce na piersi, przybrał na pozór zupełnie niedbałą pozycję. — Może to dlatego, że jesteś taki sławny. Nie wypada, żeby ktoś nazywał najpotężniejszego w Kręgu maga heroldów „zbocheńcem”. — Uśmiechnął się. — Mógłbyś takiego delikwenta zamienić w żabę.

Vanyel potrząsnął głową.

— Bogowie, tak długo byłem z dala od wszystkiego, co się tu dzieje, że przepięknie pojawił się tego nowego powiedzonka. Tak, oczywiście dlatego, że jestem *shay'a'chern*. Z jakiegoż to innego powodu mieliby na mnie krzywo patrzeć?

— Ponieważ się ciebie piekielnie boją — odparł Tantras z gasnącym uśmiechem. — Ponieważ władasz mocą taką, jaką władasz. Ponieważ jesteś cichy i lubisz samotność, a oni nigdy nie wiedzą, co sobie myślisz. O nieba, teraz już co najmniej połowa heroldów nie ma zielonego pojęcia, że jesteś *shayn*. To przez ten dar magii patrzą na ciebie z ukosa. Nikogo tutaj nic a nic nie obchodzi, z kim dzielisz łóżko. O wiele bardziej boją się, że... och... że pewnego dnia załatwi się na ciebie ptaszek, a ty w ataku wściekłości zrównasz z ziemią cały pałac.

— Ja? — Vanyel spojrział na Tantrasa z niedowierzaniem.

— Ty. Ostatnie cztery czy pięć lat spędziłeś na polu walki. Doskonale zdajemy sobie sprawę, że masz aż nadto wyostrzony refleks. Na ognie piekielne, to dlatego właśnie, zamiast przysyłać pazia, sam przyszedłem cię obudzić. Wszyscy dobrze wiemy, do czego jesteś zdolny. Van, nigdy nie słyszałem o nikim, kto byłby w stanie sam zastąpić pięciu magów heroldów! Sama świadomość, że jeden tylko człowiek może na zawołanie zebrać w sobie taką moc, odbiera ludziom rozum!

Takie słowa zaskoczyły Vanyela. Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Wlepił wzrok w Tantrasa i zamarł z ręcznikiem zwisającym mu z rąk.

— To szczerą prawdą, Van. Wołałbym, abyś przestał bez powodu stronić od ludzi. To nie twoje preferencje seksualne ich przerażają, to ty sam. Zrównać z ziemią pałac, do diabła... oni doskonale wiedzą, że gdybyś tylko chciał, mógłbyś zrównać z ziemią całą Przysań... .

Vanyel otrząsnął się z oszołomienia.

— Za kogo oni mnie mają? — rzucił szyderczym tonem, podnosząc z podłogi swą brudną koszulę.

— Oni nie wiedzą, kim jesteś. Nie mają daru magii i większość z nich nie przechodziła szkolenia w otoczeniu magów heroldów. Słuchają tylko różnych opowieści i kojarzą to z Wojnami Magów, i pamiętają, że kiedyś, zanim powstał Valdemar, niedaleko na południe od nas rozciągała się kwitnąca kraina. Teraz leżą

tam Równiny Dorisza — olbrzymi okrągły krater. Nie ma tam miast ani żadnego śladu, że kiedykolwiek coś w ogóle tam było; nie pozostał nawet kamień na kamieniu. Nic, tylko trawa i nomadowie. Van, zostaw to, posprzątam po tobie.

— Ale... — Vanyel chciał zaprotestować.

— Posłuchaj, jeśli przez większą część roku ty możesz zastępować pięciu z nas, to jeden z nas może raz na jakiś czas posprzątać po tobie. — Tantras zabrał od Vanyela wilgotne ręczniki, kładąc w ten sposób kres wszelkim ewentualnym protestom z jego strony. — Mówię szczerze, Van.

Skoro nalegasz. — Chciał dosięgnąć umysłu Tantrasa, by sprawdzić, czy ten rzeczywiście mówi to, co myśli. Pomysł ten wydał mu się wprost fantastyczny.

Ale Tantras nie zaproponował mu tego, a herold nie wdzierają się do cudzych umysłów bez zaproszenia, chyba że zmusi go do tego jakaś nagła potrzeba.

— Naprawdę... tak myślisz? — zapytał szeptem.

— Ja się ciebie nie boję, ale pozwól, że ci powiem, iż za żadne skarby nie chciałbym dysponować twoją mocą. Cieszę się, że jestem tylko heroldem, a nie magiem heroldów, i nie mam najmniejszego pojęcia, jak ty to wszystko wytrzymujesz. Więc pozwól mi troszkę cię rozpieścić, dobrze?

Vanyel zdobył się na błądy uśmiech. Martwiło go kilka spraw, a między innymi słowa Tantrasa o byciu „tylko heroldem”. Wynikało z nich, że istnieje jakiś podział na heroldów i magów heroldów, a to sprawiało, że czuł się nieswój.

— Dobrze, stary przyjacielu. Rozpieszczaj mnie. Jestem już wystarczająco zmęczony, aby ci na to pozwolić.

Mgła znużenia przysłoniła mu oczy, gdy szedł korytarzem prowadzącym do swego pokoju. Przy każdym kroku musiał zebrać w sobie wszystkie siły, aby postawić stopę za stopą. O Pani, bądź błogosławiona za zesłanie mi Tantrasa. Nawet pośród heroldów, których sam szkoliłem, niewielu odznaczało się tak szczerą chęcią zaakceptowania mnie takim, jaki jestem. A z jakąż łatwością robi to Tantras. Czy to dlatego, że jestem magiem, czy dlatego, że mają mnie za opętanego... choć nie mogę pojąć, z jakiej przyczyny moc magiczna miałaby budzić w kimkolwiek przestraszonych. Wszakże magowie heroldów istnieją od zarania Valdemaru.

Chciałbym, żeby Tantras, będąc tak przekonany o swojej słuszności, rzeczywiście miał rację. Ja i tak nadal jestem zdania, że chodzi o tę drugą sprawę.

Jakże kojący dla jego stóp okazał się chłód kamiennej posadzki. Zetknięcie z nią załagodziło w nich ból, rezultat zbyt wielu godzin, dni i tygodni, kiedy to zmuszony był spać w pełnym odzieniu, nieprzerwanie gotów do obrony granicy podczas najczarniejszych nawet godzin nocy.

To wspomnienie przywołało jeszcze bardziej ponure myśli. Za każdym razem, gdy powracał do Przystani, miał świadomość, że powita go tam znów mniej znajomych twarzy. Odeszło tak wielu przyjaciół... co wcale nie znaczy, że kiedykolwiek miałem ich wielu. Lansir, Mardik i Donni, Regen, Dorilyn, Wulgra, Kat, Pretor. Wszyscy odeszli. Poza Tantrasem pozostało niewielu. Jest... Jays. Savil.

I Andy, ale on jest uzdrowicielem. Erdan, Breda, kilkoro innych Bardów. I jak tu nie być odludkiem? Z każdym rokiem staję się coraz bardziej osamotniony.

Zgodnie z obietnicą Tantrasa obok stosiku listów czekał na Vanyela talerz pełen jedzenia. Były tam dwa paszteciki z mięsem, twarożek i jabłka, a obok szczerze zaopatrzonego talerza stał równie szczerze napełniony dzban wina.

Lepiej, żebym obszedł się z tym ostrożnie. Odwykłem od wina i założę się, że zaraz uderzy mi do głowy.

Opadając na puste krzesło, zdławił w gardle jęk bólu, nalał sobie kielich wina i wziął do ręki list z wierzchu kupki. Złamał pieczęć, zacisnął zęby i zaczął czytać.

*Do maga heroldów Vanyela
od lorda Withena Ashkevron, pana na Forst Reach
Mój drogi synu. . .*

Vanyel ze zdumienia nieomal nie upuścił listu i jeszcze raz przeczytał nagłówek, by upewnić się, czy aby oczy nie płątają mu figla.

Wielkie nieba. „Mój drogi synu”? Nie byłem dla niego „drogim”, a tym bardziej „synem” od. . . lat! Ciekawe, co się stało. . .

Wziął głęboki oddech i czytał dalej.

Choć może trudno będzie Ci w to uwierzyć, jestem szczęśliwy i wdzięczny, że zdołasz znaleźć trochę czasu, aby przyjechać do domu na dłużej. Pomimo to, co nas różni, pomimo ostrych słów, które wielokroć padały z naszych ust, jestem bardzo dumny z mojego syna, maga heroldów. Może nie są mi bliskie pewne aspekty Twojego życia, ale mam wiele szacunku dla Twojej inteligencji i roztropności. Przyznaję, Vanyelu, że Twój stary ojciec potrzebuje trochę tej roztropności. Potrzebuję Twej pomocy, by poradzić sobie z Twym bratem, Mekealem.

Vanyel pokiwał głową uśmiechając się cynicznie. A więc to tak.

Odkąd oddałem mu pod zarządek część ziem, Mekeal zdążył podjąć kilka błędnych decyzji, tej wiosny jednakże przeszedł sam siebie. Zabrał bydło z Długich Łąk — dobre, silne, przynoszące zyski stado — i na jego miejsce wpuścił tam owce!

Vanyel zachichotał. Kimkolwiek był ów skryba, którego wybrał Withen do napisania tego listu, świetnie potrafił oddać sposób wysławiania się lorda Ashkevrona. Vanyel czuł wręcz bijące z kartki oburzenie.

A co do tego tak zwanego „rumaka bojowego Shin'a'in”, którego kupił Mekeal — najbardziej narowistego i paskudnego zwierza, jakiego widziałem w życiu — lepiej nic nie mówić. Całe lata spędziłem na rozwijaniu hodowli w Forst Reach, a on niweczy wszystko sprowadzając jednego konia, nad którym nie można zapanować! Jestem przekonany, że Mekeal Cię posłucha. Jesteś magiem heroldów, sam król polega na twych osądach. Ten chłopak doprowadza mnie do takiej wściekłości, że gotów jestem utopić go w studni!

Vanyel uniósł się nieco, by sięgnąć po kawałek sera. Ten list wyjaśniał o wiele więcej niż Vanyel miałby powody oczekiwać.

Nie pora teraz, żeby Mekeal się wałkonił; nie teraz gdy po drugiej stronie granicy lada chwila wybuchnąć mogą zamieszki. Może przypominasz sobie to małżeństwo pomiędzy Deveranem Remoerdisem z Lineasu a Yliną Mavelan z Bares, zawarte w ramach rozejmu? To małżeństwo, które położyło kres wojnie pomiędzy Lineasem i Bares i przywiodło tutaj tego minstrela, który Cię tak zauroczył jako chłopca? Otóż wygląda na to, że pożycie w tym związku nieszczególnie się układa. Od lat krążyły pogłoski, że najstarsze dziecko to bękart, a teraz Daveran zdaje się je potwierdzać. Wydziedziczył Tashira na korzyść drugiego syna. Z pewnych względów trudno mi go za to winić. Nawet gdyby chłopak nie był aż tak podobny do swego wuja — a widziałem i chłopca, i tego mężczyznę, i podobieństwo jest ewidentne — same plotki wystarczyłyby do podważenia jego prawa do sukcesji. Szczerze mówiąc, nie mam zaufania do tej całej rodziny Mavelanów. To stado podstępnych źmij. Przestają na siebie naskakiwać tylko wtedy, gdy napadają na kogoś obcego. Dziękuję bogom, że do tej pory przez cały czas wisieli u swoich własnych gardeł. Ale ostatnio rozszła się wieść o wydziedziczeniu Tashira i jeśli okaże się, że to tylko plotka, możemy mieć do czynienia z zamieszkami po drugiej stronie granicy. Przy okazji, twój brat aż się pali do tej wojny. Bogowie, to ostatnia rzecz, jakiej nam potrzeba. Składam tylko dzięki naszej Pani za to, że Randal wykazał dość przytomności, aby na posta do Lineasu wyznaczyć zwykłego herolda, a nie maga heroldów. Porządny, solidny herold może mieć jakieś szansę na powstrzymanie tego konfliktu od przeobrażenia się w kolejną wendetę, podobną do tej, której miało położyć kres to małżeństwo. Obywatele Lineasu z pewnością będą bardziej skłonni wysłuchać zwykłego herolda. Nie lubią niczego, co im pachnie sztuczkami czarodziejskimi, a zważywszy na krzywdę, jaką wyrządzili im Mavelanowie, któż może ich za to winić?

Vanyel zagryzł wargi, w palcach trzymał zapomniany już kawałek sera. Withen zdradzał o wiele więcej przenikliwości w sprawach polityki niżli Vanyel by się po nim spodziewał. Lecz ta sprawa Lineasu. . .

Wystarczająco niepokojący jest już sam fakt, że Randal wysłał Twoją siostrę, Lissę, wraz z jej kompanią gwardii, aby zza granicy mieli oko na Mavelanów. Sądzę, że Ty sam, lepiej niż twój stary ojciec, orientujesz się, co to znaczy. Przy odrobinie szczęścia, jeśli wszystko się uspokoi, może nawet Liss zdoła się wymknąć na parę dni do domu. Wiem, że oboje bylibyście z tego radzi. Przy okazji, mam nadzieję, że nie planujesz przywiezienia z sobą do domu żadnego ze swych. . . przyjaciół. Wiesz, że zasmuciłoby to Twoją matkę. Nie chciałbyś przecie jej niepokoić.

*Spisane ręką Radevela Ashkevron
i opatrzone moją pieczęcią
Lord Withen Ashkevron*

Vanyel skrzywił się, rzucił kartkę z powrotem na stolik i sięgnął po wino, by wypłukać z ust gorzki smak ostatnich słów listu. Przez chwilę przyciskał do czoła chłodny metal kielicha w naturalnej reakcji na ból bardziej emocjonalny niżli fizyczny.

On nie chciał cię zranić mój Wybrany. — Myśl Yfandes odnalazła w nim gorycz, ale nie potrafiła jej ukoić.

Już nie śpisz, kochana? Powinnaś spać. . .

Za dużo hałasu dookoła — pożaliła się Yfandes. — Trwają lekcje jazdy konnej, a ja jestem zbyt zmęczona, aby poszukać sobie jakiegoś cichego zakątka na Łące. Poczekam tutaj na odejście dzieci, smażąc na słońcu swe obolate mięśnie. Twój ojciec naprawdę nie chce ci sprawić przykrości.

Vanyel westchnął i wzięwszy do ręki pasztecik z mięsem, jaj obojętnie obgryzać jego chrupiącą skórkę.

Wiem o tym. Ale to nie znaczy, że mnie nie rani. Pewnie gdybym nie był tak zmęczony, i ból byłby mniejszy. Gdybym nie był tak zmęczony, może nawet by mnie to rozbawiło. — Przełknął kolejny haust wina ze świadomością, że nawet tak prosta czynność jak przeżuwanie zaczyna go kosztować sporo wysiłku. Odłożył pasztecik.

Jesteś zupełnie wyczerpany — stwierdziła Yfandes. — Nie masz już żadnych rezerw energii.

To absurdalne, moja kochana. Tylko ten ostatni odcinek tak mnie wykończył. Ale skoro ja jestem zupełnie wyczerpany, to ty też. . .

Nieprawda. Może i opuściły mnie siły fizyczne, ale ty jesteś wycieńczony emocjonalnie, magicznie i umysłowo. Mój Wybrany, ukochany, nie doprowadziłeś się do takiego stanu, odkąd zmarł rozjemca Elspeth.

To dlatego, że nikt nie miał wyboru — przypomniał jej i sięgnął po kawałek sera, ale nawet go nie ugryzł, oczami wyobraźni patrząc już w inny czas i inne miejsca. — Wszystkim było ciężko. Z chwilą gdy biedny Randal zasiadł na tronie, ten kruchy pokój, który wypracowała dla nas Elspeth, legł w gruzach. Nic nie wskazywało na to, że dojdzie aż do czegoś tego. Mardik i Donni. . .

Poczuł chwytające go za gardło lodowate kleszcze żalu. Tych dwoje, połączonych więzią życia, niezawodnych przyjaciół zawsze służących mu wsparciem, było jednymi z pierwszych ofiar najazdu Karsytów. Vanyel wyczuł echo swego żalu w myślach płynących ku niemu od Yfandes.

Biedne dzieci. O bogini, miej ich w swej opiece. . .

Yfandes. . . oni przynajmniej umarli razem. Sam. . . mógłbym. . . sobie tego życzyć. . . — Urwał tę myśl, by nie trapić Yfandes. Zupełnie jak gdyby nigdy przedtem nie widział nic podobnego, kontemplował przez chwilę biały kawałek sera, który trzymał w dłoni, a potem przymrużywszy oczy, zaczął go ogryzać usiłując przepchnąć jedzenie przez gardło ściśnięte żalem. Przecież musiał jeść. Zbyt długo za pożywienie wystarczały mu garstka prażonej kukurydzy, suszone owoce i wołowina. Musiał odzyskać siły. Już wkrótce Randal znów będzie go potrzebował. Wystarczy, że przez kilka tygodni będzie odżywiał się regularnie i spał do woli. . .

Nazbyt wiele od siebie wymagasz.

Kto, ja? Masz dziwne myśli jak na Towarzysza. A kto bez przerwy zrzędził o obowiązkach? — Próbował nadać swej myśli ton jak najbardziej żartobliwy, lecz mimo to wypadła ona dość kategorycznie.

Ale nie sposób być w dwudziestu miejscach naraz, mój Wybrany. Nie jesteś już nawet w stanie jasno myśleć.

Ser powędrował wreszcie w dół przełyku i skurcz w gardle zdawał się ustępować. Vanyel westchnął i ponownie sięgnął po pasztecik z mięsem. Może przy pomocy wystarczającej ilości wina i jego uda mu się wtłoczyć do żołądka.

Cały szkopał w tym, że Yfandes miała rację. Od kilku miesięcy życie sprowadziło Vanyela do poziomu, na którym tak naprawdę nie myślał zbyt wiele; skupiał się po prostu na każdym kolejnym posunięciu, które akurat dyktował los, i starał się przetrwać. Było to jak wspinaczka na wielką skałę poprzedzona wyczerpującym biegiem. Za każdym razem koncentrował się na tym jednym jedynym uchwycie, nie myśląc nawet o możliwości upadku. Nie był nawet zdolny do zastanawiania się nad tym, co robi, gdy dotrze na szczyt. Jeśli w ogóle był jakiś szczyt.

Oj, głupio, heroldzie. To jak stać z nosem przy pniu i wcale nie zauważyć, że lada moment zwali się na ciebie całe drzewo

Promienie słońca wpadające do jego pokoju zsunęły się już z fotela na podłogę, tworząc jasny kwadrat na plecionym dywaniku. Utkwiwszy nieruchomy wzrok w plamie światła, Vanyel metodycznie przeżuwał i połykał, me czując na-

wet smaku tego, co jadł. W głowie miał coraz większą pustkę, jego umysł pograżał się w zupełnym odrętwieniu

To ze względu na ogniska energii Randal wykorzystuje cię ponad twe siły — z wyrzutem powiedziała Yfandes, wdzierając się w jego umysł ogarnięty już niemalże transem. — Powinieneś mu coś powiedzieć. Skoro tylko zorientowałby się, jaką wyrządza ci krzywdę, zaraz by tego zaprzestał. Gdybyś tak Jak inni heroldowie nie potrafił czerpać z nich mocy. . .

Gdybym był taki jak inni heroldowie, Karsyci byłiby już w połowie drogi do Przystani, a nie tylko zajmowali tereny sporne — odparł Vanyel ze spokojem. — Najdroższa, nie mam żadnego wyboru. Już dawno temu straciłem możliwość dokonywania jakichkolwiek wyborów. Poza tym nie jest ze mną aż tak źle, jak myślisz. Potrzebuję tylko odrobiny odpoczynku, a potem szybko odzyskam formę. Mamy piekielne szczęście, że potrafię wykorzystywać te ogniska. . . i że nie muszę odpoczywać, aby zregenerować siły.

Tylko że przy koncentracji i kontroli przepływu mocy z ognisk musisz korzystać z własnej energii. . .

Vanyel potrząsnął głową.

Kochana, doceniam twoje słowa, ale takie rozumowanie do niczego nie prowadzi. Muszę robić to, co robię. Jestem heroldem. Wykonuję tylko to, co i inni zrobiliby na moim miejscu. Czynię to, co Lendel. . .

Ogarnął go żal. Usiłując przezwyciężyć emocje, Vanyel zacisnął dłoń na oparciu fotela. Panuj nad sobą, heroldzie. Wszystko przez to, że jesteś zmęczony. Rozklejasz się, ale ani tobie, ani nikomu innemu nie przyniesie to nic dobrego.

Gdybyś tylko nie był taki samotny.

Nie zachęcaj mnie do rozczulania się nad sobą, kochana. Wszystko to jest nawet dość zabawne, nie sądzisz? — odparł. Usta wykrzywiły mu się mimowolnie, jednak nie było to oznaką wesołości. — Drogi ojciec zdaje się być przekonany, że zdążyłem już uwieść wszystkich skłonnych do uległości młodzieńców pomiędzy Przystanią a pograniczem. Ja tymczasem żyłem w niemalże całkowitym celibacie. Ostatnim razem to było. . . kiedy? — Tygodnie i miesiące zlewały się teraz w jedną przeciągającą się próbę wytrzymałości. Krótki moment w miłym towarzystwie, a potem rozstanie — nieuniknione, zważywszy na jego i Jona obowiązki.

Trzy lata temu — natychmiast uzupełniła Yfandes. — Ten milutki gwardzista.

Vanyel przypominał sobie osobę, ale nie tamte czasy.

— Witaj, jesteś magiem heroldów, prawda?

Vanyel uniósł wzrok znad mapy, którą właśnie studiował, i uśmiechnął się. Nie mógł się od tego powstrzymać — bojaźliwy, nieśmiały uśmiech na twarzy gwardzisty błagał wręcz o odpowiedź.

— Tak. . . a ty jesteś. . .

— Gwardzista Jon. Twój przewodnik. Urodziłem się niespełna pół mili stąd,
— Szczerść bijąca z jego opalonej twarzy, bujna czupryna i siateczka drobniutkich zmarszczek wokół oczu — wszystko złożyło się na to, że Vanyel od razu polubił stojącego przed nim mężczyznę.

— W takim razie, mój przyjacielu, Jonie, jesteś odpowiedzią na me modlitwy
— rzekł.

A później, gdy zostali sami, Vanyel miał okazję przekonać się, spełnienie jakich to innych próśb przyniósł mu z sobą ów gwardzista. . .

Och, Jon. To wprost niesamowite, by taki twardy wojownik był jednocześnie aż tak bojaźliwy, delikatny wręcz. To mogła być zwykła nieśmiałość, choć z drugiej strony, jaki on mógłby mieć powód do nieśmiałości; był przecież pięć lat ode mnie starszy i dwakroć przewyższał mnie. . . doświadczeniem. . .

Tak działa twoja reputacja, ukochany. To żywa legenda zesłała ze swego piedestału i wybrała go sobie na swego kompana. — Yfandes przesłała mu obraz marmurowej figury świętego, która wyskoczywszy ze swej niszy w murze, stanęła ze zmarszczonym czołem, jakby chciała powiedzieć: zbliż się no tutaj, mój chłopcze. Jej myśl przesączona figlarnym chichotem i u Vanyela zdołała wywołać podobny śmiech. Lecz jego wesołość trwała ledwie chwilkę, spoważniał niemal natychmiast.

I jak długo to trwało? Dwa miesiące? Trzy? Z pewnością nie więcej.

Byłeś zajęty. . . miałeś obowiązki. . . obaj je mieliście. To wasza służba was rozdzieliła.

Byłem — odparł Vanyel — głupcem. Z czasem rozdzieliłoby nas coś więcej niżli tylko obowiązki. Ja sobie doskonale zdaję sprawę z tego, co wciąż próbuję robić; wystarczy, że zdobędę się na przyznanie tego przed samym sobą. Usiłuję zastąpić sobie Lendela. Ale nie mogę i nigdy nie będę mógł tego zrobić, więc po co w ogóle zawracam sobie głowę jakimikolwiek wysiłkami? Taka miłość zdarza się tylko raz w życiu, a próbując ją powielić, nie wyświadczam przysługi ani sobie, ani moim przyszłym partnerom. I ja o tym wiem, i oni się dowiadują, ledwie przeminie pierwsze zauroczenie. To nie jest wobec nich uczciwe.

Od strony Yfandes cisza. Tak naprawdę nie umiała nic odpowiedzieć. Vanyelowi pozostało więc zatopić się bez reszty w swych najgłębszych myślach. Przez okno wkradały się do pokoju odległe głosy ludzi i okruchy ptasiego śpiewu.

Do diaska, znowu się rozczulam nad sobą. Wszyscy heroldowie są samotni, nie tylko ja. Różnimy się przecież od innych. Inaczej niż zwykłych ludzi kształtują nas nasze dary, jeszcze bardziej nasi Towarzysze, ale tym, co przede wszystkim oddała nas od zwykłych ludzi, jest fanatyczne wręcz poświęcenie, z jakim wypełniamy swe obowiązki. To dotyczy wszystkich heroldów, ale spośród nich magowie heroldów skazani są na osamotnienie najdotkliwsze. Vanyel nie umiał

powstrzymać tych czarnych myśli. Następna wyłoniła się automatycznie, pomimo wszelkich jego postanowień, że pozwoli sobie ugrząść w umartwianiu się nad swym losem. A na samym dole tego wyobcowania tkwią ja. Zakleszczony pomiędzy potęgą mego daru i moimi preferencjami seksualnymi. . .

Zakrył sobie twarz dłonią. O bogowie, jaki ze mnie głupiec. Mam Yfandes. Ona kocha mnie tak, jak nikt inny nigdy mnie nie kochał i nie pokocha, z wyjątkiem Lendela. Przecież to powinno mi wystarczyć. Naprawdę powinno. . . gdybym tylko nie był tak piekielnie samolubny.

Jego rozmyślania przerwała Yfandes.

Van, bardziej niż kochanka potrzeba ci chyba przyjaciela. Przyjaciela innego rodzaju niż ja, takiego, który będzie mógł cię dotykać. Ty potrzebujesz dotyku; wy ludzie. . . — Głos jej myśli oddalił się i rozpułnął, co oznaczać mogło jedynie, że przegrała swe zmagania ze zmęczeniem i na powrót zapadła w sen.

Wy, ludzie. W słowach tych zawierało się wszystko. Naraz Vanyel uzmysłowił sobie, że na tym właśnie polegała najistotniejsza różnica. Najbardziej znaczący niedostatek ich związku. Yfandes nie była człowiekiem i nigdy nie odczuwała niczego tak samo jak człowiek. Był w niej zawsze obecny cień czegoś „innego” i czasem Vanyel miał dziwne wrażenie, że ona skrywa coś przednim, coś, czym podzielić się może tylko z innym Towarzyszem. Uczucie to nie należało do przyjemnych. Vanyel był rad, że Yfandes już śpi i nie może go teraz pochwycić.

Wydźwignął się z przepastnych objęć swego fotela, by wyszperać w biurku papier, pióro i kałamarz. Potem znów zapadł się w miękkich poduszkach i obgryzając koniec pióra, jął obmyślać treść listu, dobierając słowa tak, aby nie narazić się na złość Withena.

*Do lorda Withena Ashkevron, pana na Forst Reach,
od Maga Heroldów Vanyela Ashkevron.*

Jak dotąd, dobrze mi idzie.

*Drogi ojcze,
Przykro mi, że byłem zmuszony odkładać moją wizytę w domu,
lecz obowiązek musi zawsze mieć pierwszeństwo przed wszelkimi innymi sprawami, a moim obowiązkiem, jako herolda, jest wypełnianie rozkazów króla.*

Zwilżył wargi, zastanawiając się, czy jego słowa nie brzmią zbyt ceremonialnie. Sądzę, że nie. Chyba raczej nie będę wspominał, jak to zbyt krótkie w moim mniemaniu matki wizyty powstrzymują ją od wylewania nade mną łez. Sięgnął po kielich i nim zabrał się do dalszego pisania, wziął jeszcze jeden łyk wina.

Jeśli zaś idzie o Mekeala, postaram się uczynić wszystko, co tylko będę mógł. Trzeba jednakże, abyś miał na względzie, że choć jestem heroldem, pozostaję także jego bratem. Może się zdarzyć, że Mekeal wcale nie będzie bardziej skłonny wysłuchać mnie niż Ciebie. Natomiast co do Twych wiadomości o Bares i Lineasie — niechaj bogowie mają nas w swej opiece — miałem już okazję aż nadto dokładnie zapoznać się z ich waśnią. Modliłem się o pokój, a tymczasem Ty donosisz mi, że może dojść do zamieszek, i to niemalże na progu naszego domu. Dopóki Randal nie poprosi mnie, abym interweniował, niewiele będę mógł zrobić. Miejmy nadzieję, że nie dojdzie do tego. Przrzekam, że i w tej sprawie spróbuję przemówić Mekealowi do rozsądku. Może gdy usłyszysz o tym, co ja sam widziałem, wojna straci nieco na atrakcyjności w jego oczach. Może gdy zobaczy, co wojna uczyniła mnie... nie, ojczu, nie byłem ciężko ranny, ale odniosłem dwa lub trzy obrażenia, które pozostawiły blizny. Może to wyrwie na nim wrazenie.

Zamknął oczy i do ostatniego zdania zaczął starannie dobierać słowa o najbardziej neutralnej wymowie. Gdy już wydało mu się, że je znalazł, skoncentrował się na skrzętnym przelaniu ich na papier, tak aby nie zakradł się między nie żaden błąd.

Natomiast jeśli idzie o moich... przyjaciół; dziesięć lat temu przyrzekłem Ci, że pod twoim dachem nie pozwolę sobie na nic, czego Ty byś nie zaaprobował lub co byłoby dla ciebie nieprzyjemne. Czy nadal trudno Ci dać mi wiarę, że dotrzymam słowa?

Wspaniałomyślnie powstrzymał się od dodania: „To niebywałe, zdaje się, że nikt inny nie ma takich wątpliwości”. Ale takie słowa niczemu by nie służyły, rozbudziłyby tylko w sercu ojca poczucie winy, a potem złość.

Mam do Ciebie pewną prośbę, która jest jednocześnie przypomnieniem złożonej mi przez Ciebie obietnicy. Przyrzekłeś mi powstrzymać matkę od nasyłania na mnie młodych niewiast. W innych warunkach nie czułbym potrzeby przypominania Ci o tym, jednakże tym razem, ojczu, naprawdę nie jestem w stanie poradzić sobie z tego rodzaju, dość uciążliwą przecież, sytuacją. Jestem wyczerpany, nie wyobrażasz sobie nawet jak bardzo. Wszystko, czego pragnę, to odrobina spokoju, trochę czasu, by odpocząć i odrobić moje zaległości w sprawach rodzinnych. Proszę, wyświadczyć mi tę Jedną, drobną przysługę. Nie wydaje mi się, bym wymagał zbyt wiele.

Vanyel

Złożył list i prędko go zakleił. Bał się, że jeśli tego nie zrobi, może ulec pokusie dopisania postscriptum na zachęcająco wolnej przestrzeni u dołu arkusiku: „Pragnę tylko, abyście Ty i matka zostawili mnie w spokoju. Bardzo potrzebuje tego odpoczynku, inaczej padnę na twarz”.

Zaraz wziął do ręki drugi list i odetchnął z ulgą. Od Lissy. Och, niechaj bogowie mają cię w swej opiece, siostró. Jesteś moim antidotum przeciw ojcu.

*Do Maga Heroldów, Vanyela Ashkevron,
od kapitana gwardii, Lissy Ashkevron
Najdroższy Vanyelu!*

*Jeśli choć połowa tego, co od dawna o tobie słyszę, jest prawdą,
to aż mnie kusi, aby porzucić służbę, porwać Cię i ukryć gdzieś przed
wszystkimi, abyś mógł sobie choć trochę odpocząć! Dziękuję bogom,
że ktoś miał dość rozumu, aby dać Ci urlop! Zanim zaczniesz pleść
o „obowiązkach”, uświadom sobie, że jeśli zabijesz się z przepracowania,
nie będziesz już mógł wypełniać tego twojego „obowiązku”!*

Vanyel uśmiechnął się, przygryzając wargi, aby nie roześmiać się na głos. Dobra, stara Lissa!

Ponieważ zaraz pewnie popędzisz do następnego ogniska zapalnego, powinnam cię poinformować o tym, co się tutaj dzieje. Deveran z Lineas wydziedziczył swego najstarszego syna. Chłopiec najprawdopodobniej jest obdarzony mocą magiczną, co — ze względu na to, że jego matka takiej mocy nie posiada — interpretuje się, uznając go za nieślubne dziecko. Mało prawdopodobne, aby lud Lineasu pozwolił rządzić komuś z darem magii, ale na szczęście dla nich ten cały Tashir zdradza nazbyt wielkie podobieństwo do swego wuja, Verdika. Verdik, rzecz jasna, protestuje przeciwko tej niemej obeldze plamiącej jego „dobre imię” — jak gdyby je w ogóle miał — a popiera go cały klan Mavelanów. Wydaje mi się, że dawanie szwagrowi do zrozumienia, że sypiał ze swą własną siostrą, zanim została twoją żoną, to przesada. O niebiosy... czy to przetarg o jakiś towar z usterką?

W każdym razie podejrzewam, że za tym wszystkim kryje się coś więcej. Nie wiem, co to, ale Mavelanowie rzadko się łączą w jakiegokolwiek sprawie, a teraz wyraźnie łączą swe siły. Wątpię, aby robili to w trosce o reputację Verdika, czy też z powodu ciepłych uczuć wobec Tashira. Moim zdaniem chodzi o kolejną próbę przejęcia kontroli nad Lineasem, ale skoro obydwie rody pozostają pod patronatem Valdemaru, Mavelanowie nie mogą ot tak sobie zesać na Lineas magiczne ognie. Randal z pewnością by się temu sprzeciwił.

Stoimy teraz obozem na granicy, wsłuchując się w każdy dochodzący zza niej dźwięk i czekając na pierwszy fałszywy ton. Najbardziej martwi mnie to, że właśnie Verdik przewodzi całej tej hecy. Oni wszyscy są podstępными węzami, ale Verdik to żmija. Jedynym powodem, dla którego sam nie został władcą Mavelanów, jest to, że jego brat miał duże szczęście, albo raczej był dość bystry, aby kupić sobie kilku dobrych szpiegów i strażników. Verdik z pewnością jest najbardziej ambitny z całej tej zgrai. Wydaje mi się, że za przeprowadzenie wszystkiego po cichu obiecano mu Lineas. Może przez Tashira.

Vanyel czuł, jak z każdym zdaniem jego brwi unoszą się coraz wyżej. Lissa przebyła długą drogę od czasu, gdy była tamtą naiwną panną z mieczem w dłoni, która przyjęła posadę w gwardii. Wykazywała teraz znacznie więcej przenikliwości w myśleniu o sprawach politycznych aniżeli Vanyel by się po niej spodziewał. To była już druga niespodzianka tego dnia. Najpierw ojciec, potem Liss, całkiem nieźle. Nikt, komu przyszło żyć w czasach króla Randala, nie mógł sobie pozwolić na naiwność w polityce.

Mam nadzieję, że uda mi się stąd wymknąć, aby spędzić z Tobą choć troszkę czasu, kochanie. Ale nie licz na to zbyt. Nie dzieje się tu wprawdzie nic zauważalnego, ale atmosfera wokół całej tej sprawy zdaje się bardzo zagęszczać; zupełnie jak na kilka chwil przed rozpoczęciem się burzy. Gdy tylko poczuję, że sytuacja się nieco uspokaja, przyjadę. Bądź zdrów. Uściski.

Liss

Vanyel już od dawna nie otrzymał listu, na który tak łatwo było odpowiedzieć. Skreślił naprędce pełną uczucia notkę, dołączając wyznanie, że tęskni za Lissą bardzo; potem zapieczętował list i odłożył obok listu do ojca.

Były tam jeszcze dwa czy trzy inne listy, nic ważnego, jakieś zaproszenia na najróżniejsze zabawy, takie jak polowania w szanowanych posiadłościach czy przyjęcia mające ciągnąć się cały tydzień, a może nawet dłużej. Pomimo że nigdy nie brał udziału w podobnych imprezach — i nie brałby udziału, nawet gdyby miał na to czas — zaproszenia nie przestawały nadchodzić. Skreślił więc krótkie, uprzejme notki, a potem na powrót zapadł w fotel i wbił wzrok w tłumoki leżące w kącie. Wiedział, że musi przygotować swój ekwipunek podróży na drogę do domu, a wciąż nie mógł znaleźć na to sił. Wszak dużo łatwiej było zwyczajnie siedzieć i pozwalać swym mięśniom nacieszyć się miękkością stabilnego fotela.

Z letargu wyrwało go pukanie do drzwi. Był to paż przysłany przez Tantrasa. Przyniósł obiecany uniform i coś jeszcze — list. Vanyel rozpoznał na nim charakter pisma Randala.

O, bogowie... nie, nie! Vanyel zdrewniał na moment. Wystraszył się, że oto w przeddzień obiecanego urlopu wzywają go do jakichś nowych obowiązków. Potem zauważył, że list nie jest opatrzony nawet osobistą pieczęcią Randal.

Uspokoił się. Brak pieczęci oznaczał, że przesyłka nie jest oficjalna. Odebrał ją od pazia, który stał przed nim z szeroko otwartymi oczami, dając mu znak ręką, by poczekał na odpowiedź.

Vanyelu,

Zajdź do mnie po zgromadzeniu dworu, aby się pożegnać. Nie przychodź przed zgromadzeniem. Mam nadzieję, że nie brzmi to zbyt oficjalnie, ale zapewniam cię, nie muszę wynajdywać Ci nic do roboty; albo raczej, nie jestem zmuszony wyznaczyć ci zadania uporządkowania żadnego z tej setki problemów, którymi trzeba się zająć. Przykro mi, że nie zostajesz, lecz rozumiem, a gdybyś nie planował wyjazdu, prawdopodobnie natychmiast przywiązałbym Cię do Yfandes i popędził daleko stąd w obawie, że inaczej zamęczę Cię na śmierć. Przyjdź jednak, Jisa chce zobaczyć swego „Wujka Vana”, zanim ten znów zniknie.

Randal

Jeśli nie znajdziesz czasu, aby się z nią spotkać, to zobaczysz, że cię ugryzę, gdy tylko będziesz próbował mnie osiodłać.

Vanyel musiał pohamować śmiech.

Znowu się obudziłaś, tak? Dlaczego wszystko, co dotyczy Jisy, tak bardzo przyciąga twoją uwagę?

Ponieważ jest urocza, w przeciwieństwie do większości sześćoletnich człowieczków. A poza tym jest twoją córką.

A ja jestem wdzięczny, że ani trochę mnie nie przypomina — odparł Vanyel, poważniejąc. — Gdyby na przykład miała te moje srebrzyste oczy... albo czarne włosy... podczas gdy Randal i Shavri oboje mają włosy jasnobrązowe. Nie waż się pisać o tym ani słówka, nikomu!

Nawet innemu Towarzyszowi — zapewniła go. — Mimo to nie bardzo rozumiem, w czym problem. Shavri nie zgodzi się, aby Randal ją poślubił, a zatem jakie ma znaczenie, kto jest ojcem Jisy?

Zaniepokoiłoby to niektóre osoby, ponieważ Randal i Shavri łączy więź życia. Poza tym nie chcemy, aby ktokolwiek się dowiedział, że Randal jest bezpłodny. Jeśli kiedyś będzie zmuszony ożenić się ze względów politycznych, taka informacja może wszystko przekreślić. Niewielu jest ludzi, nawet pośród heroldów, którzy zrozumieliby kogoś, kto tak bardzo pragnie dziecka, że decyduje się pójść do łóżka z kimś innym poza osobą związaną z nią więzią życia...

Myśl Yfandes zdradzała wahanie.

To prawda, mój Wybrany... zdaje się, że ta sprawa nie daje ci spokoju.

Vanyel wcisnął się jeszcze bardziej w głąb swego fotela, bez zbytecznego zaangażowania kreśląc odpowiedzi na zaproszenia. Ta sprawa rzeczywiście niepokoiła go i w jakiś sposób zniechęcała nawet do myślenia o Shavri.

To nie tak — rzekł jednak. — Po prostu martwię się o nich.

Ale nieprzyjemne uczucie nie opuszczało go. Był to jakiś smutek, którego nie dawało się zdefiniować. Ciągnął więc pośpiesznie dalej:

Biedna Shavri, nie wyobrażasz sobie, jak bardzo pragnęła tego dziecka. To był jedyny powód, dla którego to zrobiliśmy.

Lubisz ją.

Oczywiście, że ją lubię! — odparł, znów jakby odrobinę za szybko. — Ona i Randal... są moimi przyjaciółmi, jakże mógłbym im odmówić? — Nie miał odwagi zbyt dogłębnie analizować swych uczuć. — Zresztą dla obojga z nas nie było to nic ponad zwyczajne ćwiczenie fizyczne. Dla mnie z pewnością nie wymagające większego zaangażowania aniżeli taniec. Shavri, jako uzdrowicielka, mogła mieć pewność, że „załapie” za pierwszym razem. Żadne z nas nie angażowało się w to emocjonalnie, nawet nie było takiego prawdopodobieństwa.

Przypuszczam, że wówczas mogłoby to stanowić pewien problem — rzekła Yfandes.

W rzeczy samej. Przede wszystkim dlatego Shavri i Randal poprosili mnie o pomoc. Byłem idealną osobą: herold, przyjaciel, sprawny fizycznie i w dodatku wiadomo, że nie uwikła się w romans.

A czy ty... nie myślisz sobie czasem, że chciałbyś mieć dziecko? — Słowa Yfandes przepętniała tęsknota. Vanyel był tym trochę zaskoczony.

Szczerze mówiąc, nie. Nie mam w sobie zbyt wielu uczuć ojcowskich. Do tego, aby pozostać ojcem, potrzeba czegoś więcej niż nasionko, moja kochana. Na bogów, wyobrażasz sobie mnie w roli ojca? Byłbym okropny. Randal ma wszystko, czego mi pod tym względem brakuje. — Jego myśli nagle pogłężyły się w mroku. Przypomniał sobie, jaka to sprawa niepokoi go od momentu, gdy tylko po raz pierwszy ogarnął wzrokiem pałac, przekroczywszy jego bramę. — Yfandes, martwię się o nich. Gdy zmarł Lansir... prawdę mówiąc, oczekiwałem niemal, że to mnie Traver wybierze na Osobistego Króla. A jednak zamiast mnie... zamiast mnie wybrał Shavri, a ja okrutnie się boję, że postąpił tak nie tylko dlatego, iż tych dwojga łączy więź życia. Obawiam się, że wybrał Shavri, ponieważ ona jest uzdrowicielką.

Yfandes milczała długo. A potem odezwała się:

Dlaczego wcześniej nic nie powiedziałaś?

Bo... nie miałem pewności. Tak wiele razy się myliłem... i nie chciałem nawet o tym myśleć. Shavri wyjawiała mi kiedyś swe obawy, że bezpłodność Randal może być objawem jakiejś choroby. Nie miałem pojęcia, co na to powiedzieć, więc

uspokoilem ją, mówiąc, że ma się tym nie martwić. Ale teraz... wiesz, jaki jestem wrażliwy na najróżniejsze bodźce tego rodzaju. Idź za moją myślą do Randala...

Vanyel „wyczuwał” każdego herolda i maga heroldów w Przystani. Łączyła go z nimi subtelna siateczka z nitek energii życiowej. Vanyel rozpoznawał, która z nich należy do kogo, jak gdyby widział twarze tych ludzi. Większość magów heroldów potrafiło podążyć wzdłuż takiej nitki do każdego, kto obdarzony był podobną mocą magiczną. Teraz Vanyel, nie myśląc nawet o tym, pochwycił nic wiodącą do Randala i „poczuł”, że Yfandes spieszy jego śladem, widząc to samo, co zobaczył on.

Coś... tu jest nie tak — powiedziała po krótkim badaniu. — To jakby zachwianie równowagi; ale fizycznej, a nie umysłowej czy emocjonalnej. Nie potrafię jednak stwierdzić, co to jest.

Ano właśnie — zgodził się Vanyel. — Poczulem to, ledwie tylko wjechaliśmy do pałacu. Randal nie był w takim stanie, kiedy wyjeżdżaliśmy. Żałuję, że nie jestem biegłym uzdrowicielem jak Tańczący Księżyc k'Treva albo mała Świetlista Gwiazda. Oni znajdują się na takich zaburzeniach dużo lepiej ode mnie. — Potarł dłonią czoło. Znowu powracał ból głowy.

Chyba nigdy nie zapomnę miny Shavri, kiedy powiedziałaś jej, że nie pierwszy raz służysz komuś za... ogiera rozplodnika. — Myśl Yfandes zabarwił śmiech, a Vanyel był rad ze zmiany tematu.

Tańczący Księżyc i Gwiezdny Wicher pragnęli wspólnie wychować dziecko, a żaden z nich nie jest w stanie współżyć z kobietą — przypomniał jej. — Tymczasem Śnieżynka była chętna do urodzenia bliźniąt, jednego dla siebie, jednego dla nich.

Bez wątpienia płodzisz urocze dzieci.

Świetlista Gwiazda do dobrego chłopaka — przyznał z nieśmiałością. — Przysparza im wielu powodów do dumy, ale to już ich zasługa, a nie moja. Ja zaś zaczynam myśleć o tym, że może powinienem się wynajmować. Jak sądzisz, mógłbym zażądać takich samych opłat, jakie dają za ogiery z hodowli Shin'a'in?

O, przynajmniej takich samych — zachichotała Yfandes, gdy Vanyel sięgał po pióro i papier. — A podwójnych, jeśli potomek odziedziczy twój dar i srebrzyste oczy!

Vanyel zdusił w sobie śmiech i całą uwagę skoncentrował na odpowiedzi, na którą wciąż czekał paż.

Najdrożsi przyjaciele,

Rzecz jasna, że was odwiedzę. Czyżbyście nie zdawali sobie sprawy, że spotkanie z wami to ostatni kontakt z ludźmi przy zdrowych zmysłach przed jesienią, którą przyjdzie mi spędzić z moją obłąkaną rodziną?

Zapieczerował list i wraz ze wszystkimi innymi podał go paziowi. Potem wstał i oddalwszy pokusę rzucenia się z powrotem na posłanie, dźwignął na łóżko tłumoki i zabrał się do sortowania przyborów, które przydadzą mu się podczas wizyty w domu.

W swych jukach znalazł okrutną wręcz ilość pieniędzy, lecz nie mógł sobie przypomnieć, kiedy i od kogo je dostał. Wyglądało na to, że wszystkie monety popakowane są w woreczki, w których wypłaca się wynagrodzenie. Większość owych woreczków — a było ich przynajmniej z tuzin — wciąż jeszcze pozostała zamknięta. Wszak pędząc na złamanie karku od posterunku do posterunku, nigdy nie odżywiają się regularnie i rzadko śpiąc w prawdziwym łóżku, Vanyel nie miał nawet na co ich wydać. Zsypał więc wszystkie pieniądze do jednego woreczka, a pozostałe rzucił na stolik nocny, aby zabrali je służący. Po chwili namysłu jednak do pustych woreczków dorzucił jeszcze kilka monet. Nie zaszkodzi zostawić coś dla tych, którzy po nim sprzątają; wszak spisują się bardzo dobrze. Mogli przecież zamknąć pokój na cztery spusty aż do mojego powrotu, ale nie zrobili tego i nawet wietrzyli go regularnie, mimo że oznaczało to dla niech dodatkową robotę. Trzeba przyznać, że odkąd został heroldem, Vanyel zdecydowanie nabrał szacunku dla dobrych służących.

Powróciwszy znów do swych tłumoków, tym razem znalazł tam całe mnóstwo kosztownych błyskotek. Nie pamiętał nawet, że ktoś ofiarował mu coś takiego.

Dlaczego ludzie upierają się przy obdarowywaniu mnie takimi rzeczami? — zapytał Yfandes lekko zirytowany. — Czy to aby nie przekupstwo? Gdybym wy czuł, że kryje się za tym coś takiego, z miejsca bym je oddał.

Powiedziałam ci już — odparła. — Oni wszyscy chcą, żeby osiadł na nich choćby pył twego podniecającego życia, więc ofiarowują ci różne rzeczy. Oto, co znaczy być heroldem Vanyelem, któremu ustępuje tylko Osobisty Królowej.

Vanyel parsknął pogardliwie, przeglądając świecidełka, wśród których przeważała biżuteria

Idę o zakład, że wydaje im się, że mam wszystko, czego tylko zapragnę. Muszę przyznać, że pod wieloma względami tak właśnie jest. Chyba jestem niewdzięcznikiem. Nie wiem, dlaczego nie czuję się szczęśliwszy.

Vanyelu Ashkevron, jesteś głupcem — rzekła ostro Yfandes. — Przestań obarczać się winą za to, że czujesz się przepracowany i nieszczęśliwy! Jesteś tylko człowiekiem!

Kochana moja, zdaje mi się, że ty znasz mnie lepiej niż ja sam znam siebie. — Zaśmiał się, wesołością pokrywając zmieszanie; słowa Yfandes aż nadto bliskie były prawdy. Jego ręka odnalazła w tłumoku kolejną porcję kosztowności, więc szybko zmienił temat. — *Ach, te pamiętam. Kupiłem je uczciwie. —* Wybrał te trzy ozdoby, ponieważ wydawało mu się, że gdy wreszcie spotka się z Randalem, Shavri i Jisą, będzie mógł sprawić im radość takimi upominkami. Dla Randala kupił wtedy zapinkę do płaszcza w kształcie gałązki wszystkoleczącej winorośli

oplatającej cudny beryl o barwie Zieleni uzdrowicieli; dla Shavri wybrał wisiołek z tym samym motywem, a dla Jisy przepiękną rzeźbę Towarzysza z ruchomymi nogami, wyposażonego w pełną zbroję paradną. Reszta powędrowała z powrotem do tłumoka. Potrzebne mu będą prezenty dla całej czeredy z Forst Reach, a to, co miał w torbie, na początek z pewnością wystarczy. Zatrzymał się tylko przy ostatnim klejnocie — leżącym teraz na jego dłoni kryształowym kamieniu ogniskującym moc magiczną. Był to różowy kwarc, z którym niestety nigdy nie zdecydował się pracować.

Myślisz, że podobałoby się to Savil?

Wiesz, że tak. Różowy kwarc to jej Oko Mocy, a nieczęsto można napotkać kryształ tak duży i o takiej przejrzystości.

Świetnie. — Vanyel odłożył kamień wraz z pozostałymi upominkami na stolik nocny.

Łóżko wyglądało bardziej zachęcająco niż kiedykolwiek.

Grzeczność wzywa — przypomniała mu Yfandes. — *Potem możesz się zdrzemnąć, leniuchu.*

Vanyel stęknął.

Aż za dużo w tym prawdy. No cóż. — Wziął do ręki kryształ i wsunął go do kieszeni. — *Najpierw do Savil. Ona wprawi mnie w dobry nastrój przed spotkaniem z innymi.*

Gdy dobiegła go uśmiechnięta myśl Yfandes, wyszedł już z pokoju i ruszył korytarzem — nadal na bosy.

Przed spotkaniem z Jisą nikt nie musi cię wprawiać w dobry nastrój, prawda?

Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Choć Yfandes nie mogła go w tej chwili zobaczyć, wyczuła przepełniającą jego serce radość.

Nie... ale jeśli skończy się na tym, że Randi mimo wszystko powierzy mi kolejne zadanie, nie będę z tego powodu nieszczęśliwy!

ROZDZIAŁ DRUGI

Pokój Vanyela znajdował się w „starym Pałacu”, pierwotnym budynku pałacu datującym się jeszcze z czasów króla Valdemara. Jego najstarszą część nadal wykorzystywano jako kwatery dla heroldów. Apartament Savil natomiast znajdował się w nowym skrzydle, dobudowanym jakieś czternaście lat temu. Ciotka nie zajmowała już tych samych pokoi, w których mieszkali razem za czasów, gdy Withen oddał Vanyela pod jej opiekę. Teraz nie miała nigdy więcej niż jednego ucznia, a zatem, nie potrzebując całego apartamentu z czterema sypialniami, przeniosła się do innego mieszkania, również na parterze, choć pozbawionego drzwi wychodzących do ogrodu. Przeprowadzka przyniosła ulgę im obojgu. Z poprzednią kwaterą zbyt wiele łączyło się wspomnień — wspomnień przepięknych cierpieniem owych tygodni po samobójczej śmierci Tylendela.

Vanyel uczestniczył w tej przeprowadzce, ponieważ zbiegła się ona akurat z powrotem jego i Savil — jego w pełnej Bieli — ze Wzgórz Pelagris i Wąwozu Tayledras k'Trevów. Najtrudniejszym etapem tej przeprowadzki było przeniesienie sali ćwiczeń, co wiązało się raczej z przemieszczeniem energii, a nie umeblowania, Savil powierzyła to jemu. Ponieważ często zdarzało im się używać sobie nawzajem swej energii magicznej, Vanyel dobrze znał jej „wibracje”, a co ważniejsze, jej osłony „rozpoznawały” go.

Przemieszczenie energii stało się dla niego czymś w rodzaju egzaminu końcowego pomyślanego nie po to, aby mógł udowodnić Savil, że potrafi to zrobić, lecz po to, aby dowieść swych umiejętności i wprawy w ich wykorzystywaniu przed całą resztą magów heroldów. Wciąż jeszcze miał przed oczami twarz Jaysena Kondre w chwili, gdy stojąc pośrodku nowej sali ćwiczeń, „przyzwał” osłony i bariery... a one zbiły się w chmurę i podażyły za jego rozkazem niczym rój pszczoł wędrujący z królową na czele, by wreszcie usadowić się na swym nowym miejscu tak trwale, jak gdyby właśnie tam je wzniesiono. Jays wyglądał wtedy, jakby dopiero co połknął żywą rybę.

Obecny apartament Savil składał się teraz tylko z czterech komnat: pokoju jej protegowanego, jej sypialni, saloniku i sali ćwiczeń.

Van... — odezwał się w jego głowie senny głos Yfandes. — Poproś Jaysa, żeby tym razem przydzielił ci własną salę ćwiczeń. Przecież potrzebujesz jej.

Wydawało mi się, że śpisz. Ile razy mam ci powtarzać, że nie potrzebuję, zanim wreszcie w to uwierzysz? — rzucił.

Ale... — Nawet teraz, po latach, Yfandes wciąż nie przywykła do tego, że metody pracy Vanyela różniły się w znacznym stopniu od metod stosowanych przez innych magów heroldów.

Gdy pracuję z magią konwencjonalną, mogę przecież korzystać z salki Savil. Gdy jestem w plenerze, nie mam czasu zawracać sobie głowy jakimiś tam zasadami.

Ależ...

Potrząsnął głową, rad, że tutaj wszyscy ludzie w pobliżu przyzwyczajeni byli do heroldów i ich zwyczajów szemrania na siebie nawzajem. Na służbie z dala od Przystani często napotykał znaczące spojrzenia i odwracające się od niego oczy.

Idź spać, Yfandes.

Poddała się. Powinnaś już wiedzieć, że nie można mnie złamać uporem, słodkiutka.

Gdy szło o zabiegi magiczne wymagające długich, zmudnych przygotowań, Savil wciąż była jego mistrzem. Umiejętności Vanyela kryły się gdzie indziej. Gdy kryzysowa sytuacja domagała się błyskawicznej decyzji i natychmiastowego działania, nie było przy nim nauczyciela, czy choćby kolegi. Właśnie ta zdolność wykorzystywania mocy już w ułamek sekundy po otrzymaniu impulsu czyniła go drugim heroldem królestwa, w Kręgu Heroldów ustępującym jedynie Shavri. Decydowała o tym również niedostępna dla pozostałych magów heroldów, z wyjątkiem Savil, zdolność Vanyela do wykorzystywania strumieni energii oraz ognisk mocy, w których się one skupiały — umiejętność starożytnych oraz ludzi z Tayledras.

Vanyel przymrużył oczy porażone jasnym światłem zalewającym nowe skrzydło pałacu. Boazeria w tej części gmachu nie zdążyła jeszcze pociemnieć ze starości. Tutejsze korytarze zdawały się bardzo jasne, choć przestały już pachnieć „nowością”.

Ta część pałacu jeszcze bardziej niż stare kwatery sprawia wrażenie opustoszałej. Nie wydaje mi się, aby więcej niż połowa pokoi na parterze miała swych mieszkańców; pewnie jeszcze mniej zajętych pokoi znajduje się na pierwszym piętrze, a na drugim nie mieszka nikt. Nie wyobrażam sobie, jak kiedykolwiek zdołamy zapełnić ten budynek.

W korytarzu panowała taka cisza, że bez żadnego wysiłku mógł wyłowić z niej szmery głosów dobiegające z jednego z bardziej oddalonych apartamentów. Szybkie wejrzenie powiedziało, kim są ludzie, których rozmowę słyszy. To Savil i Jays. Zatrzymał się na moment i posłał w ich stronę próbną wiązkę myśli, która miała być myślocuciowym odpowiednikiem pukania do drzwi, i nim zdążył przejść następne dwa kroki, tą samą drogą otrzymał wyrazy serdecznego powitania płynące z obydwu umysłów.

Teraz, spokojny już, że spotka się z miłym przyjęciem — i pewny, że w niczym nie będzie przeszkadzał — szybko przemierzył odległość dzielącą go od drzwi Savil i otworzył je.

Savil zasiadała na tronie — swoim ulubionym fotelu, ogromnym błękitnym monstrum, którego miękkość i dawana przezeń wygoda dorównywały jego brzydocie. Srebrne włosy Savil oplatały warkoczem czubek jej głowy niczym korona. Rosły Jaysen zaś — zawsze blade jak płótno — leżał wyciągnięty na kanapie. Z chwilą wejścia Vanyela wstał jednak i na znak powitania zrobił krok do tyłu, w teatralnym geście przyciskając rękę do piersi.

— Ojej! — Zachichotał. — Savil, spójrz tylko na swego bratanka! Bosy, portargany i obdarty! Na bogów, gdzie się podział nasz piękniś?

— Przepadł gdzieś na południe od Rogu — odparł Vanyel. — Po raz ostatni widziałem go w karczmie, śpiewał na trzy głosy z moim rozumem i zdrowym rozsądkiem. Od tamtej pory nie spotkałem już żadnego z nich.

— No, ale z raportów, jakie otrzymywaliśmy, trudno byłoby się tego domyślić — rzekł Jaysen, postępując naprzód i załamując ręce w geście nie mającym już nic wspólnego z owym zażenowaniem, z jakim kiedyś odnosił się do młodszego herolda. — Gdybyś jeszcze o tym nie wiedział, spieszę cię poinformować, że powstały już trzy nowe pieśni o tobie i wyczynach, których dokonałeś podczas całego roku spędzonego na południu. Zdumiewające, to nawet wcale zgrabne piosenki.

Vanyel westchnął.

— Na niebiossa. Ach, ci bardowie.

Jaysen przechylił na bok swą szpakowatą głowę.

— Powinieneś już się do tego przyzwyczaić. Wciąż dokonujesz wielkich czynów, które są wspaniałą kanwą pieśni, a więc dlaczego bardowie mieliby opierać się chęci tworzenia ich? — Uśmiechnął się szeroko. — Może powinieneś zakończyć służbę i zostać murarzem, na przykład.

Vanyel potrząsnął głową i jęknął.

— To nie moja wina!

Jaysen wybuchnął śmiechem.

— Lepiej już sobie stąd pójść, zanim to moje trio zdąży zrujnować całą salę ćwiczeń. Czy Savil mówiła ci już? Powierzono mi protegowanych, którzy mieliby przypaść tobie, gdybyś nie przebywał akurat w strefie walk. A teraz uważnie zsumuj wszystkie błogosławieństwa, jakimi obdarowało cię niebo. Jedna to chłopka, która powinna raczej zostać wojownikiem, a nie magiem heroldów. Wielkie dzięki. Drugi to wiecznie zakłopotany młody człowiek, który nie potrafi pojąć, dlaczego został wybrany, w wyniku czego zupełnie brak mu pewności siebie. Natomiast trzeci to aż nadto pewny siebie krętacz, który z kolei z przekonania jest gwałcicielem prawa.

— Z przekonania do czego? — zapytał Vanyel, rozbawiony zbolalym wyrazem twarzy Jaysena.

— Do szykanowania i oszustwa. Stale gra w muszelkę i groszek podczas Letniego Festynu. Dasz wiarę, że został wybrany w drodze do więzienia?

— Daję wiarę. W każdym razie dzięki temu masz zajęcie.

— No tak. Dobrze cię widzieć, Van. — Jaysen zawahał się przez moment, a potem położył rękę na jego ramieniu. — Vanyelu. . . — Jego blade, niemal bezbarwne błękitne oczy spotkały się z oczami Vanyela, który ujrzał w nich wprawiający go w zakłopotanie niepokój. — Uważaj na siebie, dobrze? Potrzebujemy cię. Chyba nie zdajesz sobie nawet sprawy z tego, jak bardzo.

I wymknął się z pokoju, zanim Vanyel zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

— O co, na bogów, mu chodziło? — zapytał zmieszany, zwracając się do ciotki, która wciąż spoczywała w przytulnych objęciach swego fotela. Savil popatrzyła na niego badawczym wzrokiem.

— Czy ty masz jakiegokolwiek pojęcie o tym, ilu magów heroldów straciliśmy przez ostatnie cztery lata? — zapytała. Z jej twarzy o wystających kościach policzkowych nie sposób było wyczytać jakiegokolwiek uczucia.

— Dwa tuziny? — zaryzykował.

Teraz ona poczuła się nieswojo. Nie bardzo, ale wystarczająco, aby Vanyel mógł to po niej poznać.

— Trochę ponad połowę liczebności w chwili gdy powróciliśmy od k'Trevów. Nie nadążamy z zastępowaniem ich przez nowych heroldów. Dar magii zawsze był zjawiskiem rzadkim, a przy takim tempie wykruszania się ludzi nim władających. . . — Skrzywiła się. — Nie mówiłam ci o tym wcześniej, ponieważ nic nie mogłeś na to poradzić, ale po ostatnim roku, w którym odeszło tak wielu, powinieś znać fakty. Z każdym utraconym życiem stajesz się coraz bardziej cenniejszy, Van. Tylko ciebie można było wtedy wysłać na miejsce tamtych pięciorga ofiar na granicę karsycką. Tylko ty jeden byłeś w stanie zastąpić ich w pojedynkę. Dlatego właśnie nie mogliśmy cię odciążyć ani wysłać żadnego maga heroldów, którego obecność pozwoliłaby ci przynajmniej na chwilę wytchnienia. Po prostu nie mieliśmy ludzi. A skoro już o tym mowa. . . — Savil uniosła brwi i przeszła Vanyela spojrzeniem, jakby jej wzrok przeniknąć miał jego ubranie, aby przyjrzeć się jego wystającym żebrom i zlustrować każdą bliznę — wyglądasz okropnie.

— Czy nikt nie może powitać mnie, nie mówiąc tego? — pożalił się. — Ty, Tantras, Jays. . . Czy nie możecie mi powiedzieć, że wyglądam na dobrze zahartowanego? Albo że wyglądam poetycznie? Albo jakoś jeszcze inaczej?

— Bzdura. Nie wyglądasz na „zahartowanego”, wyglądasz okropnie. Jesteś za bardzo wychudzony, masz zapadnięte oczy, a jeśli moje zmysły mnie nie mylą, nie masz już żadnego zapasu energii; utrzymujesz się na nogach resztką sił.

Vanyel westchnął i ułożył się u jej stóp, opierając plecy o przód fotela, a głowę o jej kolano. Oto, co było dla niego „domem” i co zawsze nim pozostanie — bo

Savil bardziej mu była matką niż jego rodzona matka kiedykolwiek być mogła.

— To nic — odparł. — Przynajmniej nic takiego, czemu nie mogłaby zaradzić odrobina snu. No, wiesz przecież sama, jak się czujesz u kresu misji. Nic się nie zmieniasz, zawsze ten sam takt.

— Takt nigdy nie był moją dobrą stroną, chłopcze — rzekła, a Vanyel poczuł jej dłoń, która najpierw dotknęła jego włosów, a potem zaczęła je głaskać. Zamknął oczy i odprężył się. Mięśnie, które chyba przez cały ostatni rok nie zaznały spokoju, teraz powoli rozluźniały się. Po raz pierwszy od wielu miesięcy nikt nie był od niego zależny, nikt nie szukał w nim bezpiecznego oparcia. Przyjemnie było czuć się otoczonym opieką. Czasem przychodzi chwila, kiedy oddałbym wszystko, żeby tylko znów być dzieckiem. I teraz właśnie jestem aż nadto bliski poddania się temu uczuciu.

— Jestem skonany, Savil — przyznał w końcu. — Naprawdę potrzebuję tego urlopu. Odzyskanie sił nie zabierze mi wprawdzie dużo czasu, ale trzeba mi odpoczynku. Wiesz, że nie prosiłem się o to. Nie chciałem być magiem heroldów, pragnąłem zostać Bardem. Nie prosiłem się o to, żeby zostać Broną Demonów czy jak tam mnie zwa.

— Zmorą Demonów.

Coraz bardziej piskliwy ton jego własnego głosu przedarł się wreszcie przez ogarniające go zamroczenie.

— Savil, czyja kwilę jak dziecko?

Savil wybuchnęła gardłowym śmiechem.

— Kwilisz, synku.

— Do diabła — zaklął. — Przysięgam, że za każdym razem gdy choć trochę nie dośpię, zamieniam się w piętnastolatka. Piętnastolatka-bekse w dodatku. Nie mogę się nadziwić, jak ty ze mną wytrzymujesz.

— Kochany chłopcze — powiedziała i zdawało się, że dotyk jej dłoni na włosach Vanyela koi jego ból głowy. — Zasłużyłeś na to, żeby sobie trochę pokwilić. Nie tylko twoje ciało jest wygłodzone. — Westchnęła. — To jedna z rzeczy, której żał mi najbardziej przez ostatnie lata. Nigdy już nie mówisz ani nie robisz nic bez zastanowienia. To dobre dla Vanyela maga heroldów, ale nie jestem pewna, czy również dla Vanyela Ashkevron. — Za jego plecami przez długą chwilę panowała cisza. A potem. . . — Nie ma już w tobie radości, *ke'chara*. Nie ma w tobie nic a nic radości. A to martwi mnie daleko bardziej niż podkrążone oczy i zapadnięte policzki.

— Nadto wiele wycierpieliśmy w ciągu ostatnich pięciu lat, aby pozwalać sobie na robienie czegokolwiek bez zastanowienia. A co do radości. . . czy istnieje ona jeszcze gdziekolwiek? Zbyt dużo wszyscy utraciliśmy. . . odeszło tak wielu przyjaciół. . .

I znów zapadła długa cisza.

— Nie wiem.

Vanyel odchrząknął więc i zmienił temat.

— Nie wyczuwani tu obecności nikogo więcej. Nie uczysz już?

— Nie mogę. Nie mam już sił. Nawet na wypełnianie obowiązków Strażnika. Częściowo się tego spodziewał. Miał już nawet swe przypuszczenia, który obszar jej przydzielono.

— A więc mianowali cię Strażnikiem? Na czyje miejsce?

— Lansira. Shavri nie może nim być. Próbowwała, ale okazało się, że nie może. Wszyscy czterej Strażnicy muszą być magami heroldów. Mieliśmy nadzieję, że dar uzdrawiania wystarczy, ale Shavri nie przeszła ostatniej próby. Chyba nawet przyjęła to z ulgą. Szkoda. Strażnikiem Wschodu zawsze był Osobisty Króla, ale...

— W takim razie prezent, który ci przyniosłem, bardzo ci się przyda. — Uniósł się, aby sięgnąć ręką do kieszeni, i wyciągnął z niej kryształ. Zamknął go w dłoni, czując, jak wszystkie jego płaskie powierzchnie i ostre krawędzie odciskują się na jego skórze. — Czyż nie potrzeba ci własnego Oka Mocy do osadzenia go w Sieci? Pomyślałem, że brakuje ci takiego, który nadałby się do czegokolwiek poza osobistymi sprawami.

— To tobie by się przydał taki minerał. Ja osadziłam tam już swój kamień, ale jest to ametyst, który może mi służyć jedynie jako Pomocnicze Oko Mocy, a to nie to samo...

Vanyel uniósł w górę dłoń kryjącą kryształ i rozsunął palce tak, aby Savil mogła go zobaczyć; nie otwierał oczu i nie poruszał głową.

— Splendor Słonecznego Pieśniarza! — wyszeptwała Savil. — Gdzie go znalazłeś?

— Podarowano mi go — powiedział, gdy ciężar zsunął się z jego dłoni. — Ludzie dają mi najróżniejsze rzeczy, Savil. Sam mógłbym używać opalu albo ambru... ale skoro dla ciebie ten jest najwłaściwszy, niech ci służy.

— Na pewno będzie mi służył. — Jej ręka znów zaczęła gładzić jego włosy i Vanyel usłyszał ciche stuknięcie, gdy Savil odkładała kamień na stolik obok. — Dzięki niemu będzie mi lżej. — Zaśmiała się ciepło. — Byłam taka szczęśliwa, gdy okazało się, że moje wibracje najlepiej współgrają z różowym kwarcem; nie tak jak u Dedre, który skazany jest na topaz, albo u Jaysena, zmuszonego do używania rubinu. Przyjemny, tani kamień, myślałam sobie. Nie zbankrutuję, poszukując dobrego okazu. Niewiele wówczas wiedziałam o tym, jak trudno jest znaleźć porządny, nie zanieczyszczony, duży kryształ!

— Niewiele wiedziałas o tym, że zostaniesz Strażnikiem — odparł sennym głosem Vanyel.

Hm, to prawda. — Jej myśl musnęła delikatnie jego umysł. — *Vanyelu, ke'chara, niedobrze z tobą. W twoich pięknych czarnych włosach przybyło srebra.*

Nie mógł skłamać, będąc z kimś w tak bliskim kontakcie, szczególnie jeśli to była Savil.

Srebro w moich włosach to rezultat pracy z ogniskami energii, sama powinnaś o tym wiedzieć, A co do reszty... jestem po prostu zmęczony, moja kochana nauczycielko. Zwyczajnie zmęczony. Zbyt wiele godzin spędziłem, tocząc zbyt wiele bitew, pogrążony w nazbyt wielkiej samotności.

Czyżbyś miał ranę w sercu? — Myśl Savil przepełniała troska.

Nie, moje serce jest całe. Czuję się po prostu samotny. Nic więcej. Rozumiesz chyba. Nie mam teraz czasu na zaloty i poszukiwanie przyjaciela. Nie na linii frontu. Nawet gdybym kogoś takiego znalazł, nie potrafiłbym go prosić o więcej niżli tylko przyjaźń... bogowie, jakże mógłbym wymagać od kogokolwiek zaangażowania emocjonalnego w związku z kimś, kto co dzień wchodzi w drogę śmierci? Lepiej już, żebym był sam.

Ręka na jego włosach zadrżała i zatrzymała się.

Wiem — odpowiedziała w końcu Savil. — Czasem przychodzą chwile, kiedy z całego serca żałuję, że nie mogę ulżyć ci choć trochę.

Nie, nie zachęcaj mnie do rozczulania się nad sobą. Naprawdę, ty i Yfandes... — Gdyby życie układało się podług naszych życzeń, byłibyśmy bogami, moja kochana nauczycielko — rzekł na głos. — Ja na przykład życzyłbym sobie, byś mogła sprawić, ażeby matka i ojciec trzymali się ode mnie z dala podczas mojego pobytu w domu.

— A więc masz wreszcie zamiar złożyć im tę wizytę, którą cię tak zadreczają? — rzekła na głos, porzuciwszy bardziej poufaly ton myślowy, dostosowując się tym samym do nie wypowiedzianej słowami sugestii Vanyela.

— Randal przysłał mi rozkaz, właśnie gdy opuszczałem pogranicze. Wreszcie kilka tygodni z dala od tego wszystkiego. Muszę jednak przyznać, że choć nie mogę już doczekać się odpoczynku, do mojego pobytu na łonie kochającej rodziny wcale nie jestem nastawiony zbyt optymistycznie.

— Moje doświadczenie zmusza mnie, abym cię ostrzegła, że nawet jeśli będą się zachowywać przyzwoicie, to najprawdopodobniej uczynią cię sędzią ostatecznej instancji we wszystkich sporach rodzinnych, jakie wrzały tam przez ostatnie dziesięć lat — powiedziała Savil i zaśmiała się. — Oczywiście nikomu nie będą odpowiadały twoje osady i każdy będzie cię oskarżał o faworyzowanie drugiej strony.

Vanyel otworzył oczy i przekręcił głowę, opierając podbródek o poduchę siedzenia.

— A matka ściągnie do zamku wszystkie nadające się na żony panny z okolicy. Ojciec tymczasem będzie wytrzeszczał oczy, usiłując wypatrzeć, czy aby nie próbują uwieść któregoś z młodych mężczyzn w posiadłości. Nasz drogi ojciec Leren natomiast w każde możliwe święto będzie wygłaszał kazania na temat cudzołóstwa i perwersji, a mnie samego będzie bez przerwy bombardował piorunami swych spojrzeń. Jervis nie przepuści żadnej okazji, aby mnie zaatakować, a poza tym na wszelkie sposoby będzie usiłował wprawić mnie we wściekłość

i też nie poskapi nienawistnych spojrzeń. W dodatku pokojowa matka, Melenna, będzie ganiała za mną po całym zamku. I tak w kółko. — Vanyel spojrzął na Savil z żalnością. — Gdybym nie przyrzekł im tej wizyty, kusiłoby mnie, aby zostać tutaj, ryzykując nawet sprzeciwienie się Randalowi, jeśli usiłowałby wynaleźć następną niecierpiącą zwłoki sprawę.

— Zdawało mi się, że Lissa stacjonuje w pobliżu Forst Reach. Ona zawsze umiała cię chronić. — Savil uśmiechnęła się. — Była bardzo dobrą opiekunką, gdy byłeś dzieckiem.

— Nie sądzę, aby uznała, że może opuścić wyznaczoną jej pozycję — powiedział Vanyel. — Wygląda na to, że atmosfera na granicy zaczyna się rozgrzewać.

— Akurat teraz nam tego trzeba. Następne zamieszki.

— Dokładnie.

— Przypuszczam, że mogłeś zająć się tym już wcześniej.

Vanyel parsknął.

— Nie było takiej możliwości. Przez tę potworną gmatwaninę emocji i nieporozumień nigdy nie zatrzymałem się w domu na dłużej niż jeden dzień. Jeśli matka nie nasyłała na mnie kobiet, to ojciec obserwuje mnie kątem oka. — Zdławił zakradającą się do gardła falę gorzycy, lecz mimo najlepszych intencji nie udało mu się powstrzymać jej w całości. — Na bogów, Savil, jakże ja jestem zmęczony tym wszystkim. Naprawdę muszę odpocząć przez kilka tygodni, a dokąd miałbym pójść jak nie tam? Wiesz, że nie miałbym odwagi zostać tutaj. Jeśli to zrobię, Randal znów mnie powoła do odbycia jakiejś misji. Nie będzie chciał tego zrobić, ale wydarzy się coś, co go do tego zmusi, a wtedy ja nie będę mógł powiedzieć: nie. Gdybym pojechał do Liss — zakładając, że w ogóle miałyby gdzie mnie umieścić! — ona zachowywałaby się dokładnie tak samo. Jestem narzędziem, a zarówno Liss, jak i Randal należą do ludzi, którzy nie lubią, aby narzędzie nie było w użytku; nawet jeśli mogłoby się zepsuć.

— Spokojnie, chłopcze — ostrzegła go Savil. Jej twarz zachmurzyła się, nabierając zatroskanego wyrazu.

Vanyel skrzywił się.

— Znowu to zrobiłem. Przepraszam. Nie rozkleję się. Nie jestem nawet pewny, czy potrafiłbym. Prawdę mówiąc, wyglądam jeszcze nie najgorzej i nie chciałbym, aby Randi rozpoznał, jak bardzo jestem wyczerpany. Gdyby o tym wiedział, czułby się winny, a przecież nic na to nie może poradzić. I tak musi robić to, co robi. Więc... — Vanyel wzruszył ramionami. — Przemęczenia jeszcze po mnie nie widać. Odzyskanie sił nie zajmie mi dużo czasu. Jestem tak samo odpowiedzialny za to przepracowanie jak Randi. Mogłem powiedzieć „nie”, ale nigdy nie miałem serca tego zrobić.

— A może poza Forst Reach powinieneś pojechać jeszcze gdzieś. Albo zatrzymać się tam tylko na dzień lub dwa, a potem odwiedzić kilku przyjaciół.

— Nie chcę podróżować nigdzie samotnie, wciąż tylko bym rozmyślał. Nie

mam nawet do kogo jechać. K'Treva mieszkają zbyt daleko. Ty przynajmniej masz Andrela i znasz go nawet dłużej niż ja ciebie. — Westchnął. — Przykro mi, znowu rozczulam się nad sobą. Chyba nie potrafię się od tego powstrzymać, co może świadczyć jedynie o tym, jak blisko przepaści się znalazłem. To jedyna rzecz, która mnie naprawdę martwi. Jestem podminowany i niebezpieczny, potrzebuję odrobiny spokoju, aby odzyskać równowagę. Pozostaje mi jedynie liczyć na to, że matka i ojciec zauważą, podobnie jak ty i Jaysen, że wyglądam fatalnie, i na jakiś czas dadzą mi spokój. Przynajmniej na okres, który będę potrzebował dla nadrobienia strat w rezerwach mojej energii.

Na tyle tylko zbliżył się do wyznania, że nie wie, jaki ma w sobie zapas energii. Ugryzł się w język, zanim dokończył, co miał jeszcze powiedzieć.

— Nie wyglądasz najlepiej, nawet oni powinni to zauważyć, *ke'chara*. — Savil bawiła się kosmykiem włosów Vanyela, przygryzając dolną wargę. — Wiesz, nie byłam tam od... och, bogowie, odkąd przyjechałam, aby sprawdzić, czy ktoś z was posiada dar magii! Moje odwiedziny w domu rodzinnym znacznie się już odwołają.

— Ale... jesteś przecież Strażnikiem... — W sercu Vanyela zabłysła nadzieja. Gdyby była tam Savil, miałby w tej jaskini lwa choć jedną przyjazną duszę! Nie ulegało wątpliwości, że jest wystarczająco silna, aby odbyć tę podróż. Czuł jej moc nawet teraz, gdy opierał się o jej nogi.

— Umieszczenie kamienia ogniskującego energię zajmie mi najwyżej jeden dzień, a potem już będę mogła pełnić straż w Forst Reach, i to z taką samą łatwością, z jaką robię to tutaj. Wszystko polega na wyczuciu nitki i wysyłaniu sygnału alarmowego. Tak naprawdę nie muszę z niczym walczyć. To właśnie dlatego, że ten jeden zakątek mojego umysłu musi przez cały czas utrzymywać kontakt z Siecią, na jawie czy we śnie, nie mogę już mieć żadnego ucznia. Dziesięć lat temu mogłabym robić to samo co Jays: jednocześnie pełnić straż i kształcić trzech protegowanych. — Pokiwała głową. — A ta wizyta to zupełnie niezły pomysł. Pod warunkiem że nie masz nic przeciwko mojej obecności tam...

— Miałbym mieć coś przeciwko temu? — Pochwycił jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

— A zatem spodziewaj się mnie za... no, za jakieś dwa tygodnie po swoim przyjeździe. Ta podróż zabierze Kellan nieco dłużej niż wam, młodzieniaszkom.

— Savil, gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo jestem ci wdzięczny...

— Och, po prostu jestem samolubna i tyle. — W kącikach jej ust czaił się już uśmiech. — W ten sposób możemy uważać na siebie nawzajem. Jak ty na moją pomoc, tak i ja liczę na to, że będziesz chromi mnie przed Withenem.

Vanyel wstał i pocałował ją w czoło.

— Możesz sobie mówić, co chcesz, a to i tak najmniej samolubna rzecz, jaką ktokolwiek zrobił dla mnie w ostatnim roku. Możesz też zapobiec temu, aby ta wizyta nie obrosła w legendę o heroldzie Vanyelu, który wpadł w szal i opuścił

swą rodzinę, przywiązawszy każdego z jej członków do drzewa ze szmatą wepchniętą do ust. Która to godzina? Przez ten pobyt na dalekim południu jestem zupełnie wytracony z rytmu.

Savil sprawdziła kąt padania promieni słonecznych wpadających przez jej okno.

— Chyba właśnie minęła pora zgromadzenia Rady.

— To dobrze. Muszę się spotkać z Randalem i Shavri, aby się z nimi pożegnać. Randal przyrzekł mi, że jeśli przyjdę w porze, kiedy nie zajmuje się sprawami urzędowymi, nie wynajdzie mi nic do roboty.

— No, to zabieraj się stąd, *ke'chara*. Do zobaczenia w Forst Reach. . . i dzięki za pamięć — dodała, dotykając kamienia na stoliku obok.

— To dlatego, że ty myślisz o mnie, kochana. — Pocałował ją w policzek, a potem jeszcze raz w czoło i wyszedł.

Najpierw wstąpił do swego pokoju, aby przebrać się w pożyczoną od Tantrasa Biel i włożyć miękkie, krótkie buty, które heroldowie nosili w pałacu. Nie zapewniały one takiej wygody jak chodzenie na boso, ale o głowę były obuwiem do jazdy konnej. Gdyby nie zmienił ubrania, mogliby go nie wpuścić do komnat królewskich. Z każdym jego powrotem do Przystani coraz mniej ludzi zdawało się rozpoznawać jego twarz.

Przywdziawszy więc strój herolda i odzyskawszy swą zwyczajną, nader wykwintną prezencję, Vanyel skierował swe kroki do najstarszej części pałacu, obszernego zespołu komnat zajmowanych przez króla Randala, połączoną z nim więzią życia Shavri, będącą też Osobistym Króla, oraz ich córkę.

Ledwie przekroczył próg przestronnej sali audiencyjnej — jego nieznamoma twarz przyprawiła obydwóch strażników stojących przy drzwiach o dreszcz obawy — a sześciolatnia, kędzierzawa istotka wpadła niczym wicherek przez drzwi w przeciwnym końcu komnaty i rzuciła się ku niemu przez całą długość komnaty najwyraźniej pewna, że Vanyel pochwyci ją, nim zdąży upaść.

I Vanyel porwał ją na ręce piszczącą z radości i podniecenia, okręcił dookoła i podrzucił w górę.

— Wujek Van! — szczebiotała Jisa resztką tchu. — WujekVanwujekVanwujekVan!

Już chciał ją postawić na ziemi, ale upomniała się jeszcze o uścisk i buziaka, a zrobiła to z takim samym nieodpartym wdziękiem, jakim potrafił czarować jej „ojciec”, Randal. Vanyel uniósł ją, by usadowiła się wygodniej w jego objęciach i bez sprzeciwów spełnił jej żądanie, z radością myśląc o tym, że wciąż jeszcze jest taka malutka.

— A skąd wiedziałas, że przyjdę? — zapytał, gdy jej ciemnobrązowe oczy zatopiły się z powagą w jego oczach.

— Czuję to — powiedziała, jeszcze raz ściskając go mocno. — Czuję cię w mojej głowie. Miałam tam takie wirujące niebieskie światełko.

Vanyel był tak wstrząśnięty, że prawie ją upuścił. Było to z pewnością najbardziej obrazowe — i najbardziej precyzyjne — określenie jego aury, jakie kiedykolwiek słyszał od kogoś, kto nie był naprawdę wybitnym magiem heroldów.

— Albo uzdrowicielem — dopowiedziała Shavri, zbliżając się do niego z boku, gdy on stał jak wmurowany i z otwartymi ustami wpatrywał się w chichoczącą Jisę, którą bardzo rozbawił wyraz jego twarzy. — Także uzdrowiciele odbierają twą aurę w ten sposób, Vanyelu. Nie, nie podsłuchiwałam twych myśli. Przez chwilę były wręcz wyrzeźbione na twojej twarzy. — Spod beztróskiego tonu słów Shavri przebijało napięcie i strach, jak gdyby kroczyła wąziutkim mostem nad bezdenną przepaścią. — Poza tym nie jesteś jedyną osobą, którą Jisa „czuła w swej głowie” w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Ale zacznijmy to powitanie od nowa. Witaj, Van, masz jeszcze jakiś uścisk dla mnie?

— Zawsze. — Vanyel już zaczął zbierać siły do stawienia czoła kłopotom. Sądząc z wyrazu twarzy Shavri, działo się coś bardzo niedobrego. Będzie więc musiał odegrać rolę tego silniejszego.

Wziął Shavri w ramiona, a Jisa zarzuciła rączki na szyje ich obojga i przytuliła się.

— Jiso, cukiereczku, czy mogę postawić cię na ziemi choć na chwilę i dać wam prezenty?

— Prezenty? — Gdy padło to słowo, Jisa nie różniła się od żadnego innego sześciolatniego brzdąca. Poruszyła się lekko, a Vanyel postawił ją na ziemi. Potem wyciągnął z torby figurkę Towarzysza i wręczył ją dziewczynce. Jisa pisnęła z zachwytu i wybiegła z sali, aby pokazać podarek strażnikom. Shavri odprowadzała ją wzrokiem, a jej cygańskie oczy pociemniały, napełniając się miłością... i czymś jeszcze, jakimś tajemniczym i głęboko nieszczęśliwym uczuciem. Z początku Vanyel chciał ją przytulić, zaopiekować się nią, rozpędzić jej smutki.

Ona jest połączona więzią życia z Randalem...

— Sugerujesz mi tu ważną rzecz, Shavri — powiedział jednakże. — To wprost zdumiewające, że ta mała w ogóle nie jest rozpieszczona, a idę o zakład, że jest pupilkiem całego Kręgu.

— Mówisz to za każdym razem, kiedy ją widzisz, bestyjo — odparła Shavri, rozpromieniając się niepewnym uśmiechem, zaskakująco pogodnym na jej poważnej, posępnej twarzy.

— No cóż, to prawda. — Vanyel rozejrzał się pospiesznie dookoła, upewnił się, że przez parę chwil będą sami, i zapytał szybko:

— Jak on się czuje?

Uśmiech zniknął z twarzy Shavri, a odsłaniające się pod nim cienie bólu i smutku były wystarczająco wyraźne, by każdy mógł je dostrzec.

— Och, na bogów. . . Van, on jest chory, a ja nie potrafię odpędzić tej choroby. On chyba umiera. I nie wiem dlaczego.

— Co? — Vanyel zebrał resztki sił by ją wesprzeć. . . i aby ukryć fakt, że jej strach sprawia, iż nawet jego zaczyna ogarniać wewnętrzne drżenie.

— Randal czuje się dość dobrze — powiedziała spokojnie, ale myślą przemówiła zupełnie innym tonem: *Coś się z nim dzieje. W tej chwili nie odczuwa żadnych dolegliwości poza ciągłym osłabieniem i pojawiającymi się raz po raz zawrotami głowy. . . ale. . . z każdym takim atakiem jego stan coraz bardziej się pogarsza. I. . . och, Van. . . tak się boję. . .*

Vanyel zacisnął swe ramię oplatające Shavri.

— Spokojnie, kwiatuszku. . . A więc nie ma przeszkód, abym skorzystał z tego urlopu. Od jak dawna to trwa?

Jej nie uronione łzy ścisnęły gardła ich obojga.

— Od ośmiu miesięcy. To coś, czego nie potrafię wyleczyć, a bogowie wiedzą, że próbowałam!

Vanyel poczuł dreszcz przebiegający mu po plecach.

— Wybacz, Shavri, ale muszę o to zapytać. Zakładając najgorsze. . . jeśli to rzeczywiście coś, co zagraża jego życiu, i jego stan cały czas się pogarsza, ile czasu mu jeszcze zostało?

— Jeśli osłabienie będzie się pogłębiało bez przerwy w takim samym tempie? Piętnaście lat. . . może mniej, ale na pewno nie więcej. Bogowie, Van, on nie dożyje nawet pięćdziesiątki. . . nawet nie zobaczy swych wnuków! Elspeth miała siedemdziesiąt sześć lat, gdy została wezwana!

Kryła się za tym jeszcze jedna myśl. Nie została wypowiedziana, ale Vanyel wyczuł jej obecność, ponieważ dotykała ona jego własnego poczucia osamotnienia.

Będę musiała dalej żyć sama. . .

Vanyel przycisnął ją mocno do siebie, a Shavri tak bardzo wtuliła swą twarz w jego ramiona, jakby usiłowała w ten sposób zdławić płacz. On zaś otoczył ją grubą osłoną, by nie przebiła się przez nią żadna najdrobniejsza myśl, która mogłaby ją przestraszyć. Savil wspierała ciebie, więc teraz ty wesprzyj Shavri — powtarzał sobie, zachowując ostrożność, aby Shavri nie mogła odczytać jego myśli. — Niech wie, że nie będzie sama. Bogowie, bogowie, oni obydwójce są tacy młodzi, nie skończyli nawet dwudziestu pięciu lat. . . i przez całe życie oszczędzano im wszelkich przykrości. Żyli jak pod kloszem. Och, Shavri. . . twoje cierpienie sprawia mi ból. . .

— Spokojnie, kochanie — szepnął jej do ucha. — Czy on o tym wie?

— Nie, jeszcze nie. Ale wie o tym Kolegium Uzdrawicieli. Pracują nad tym. Nie chcemy, aby się dowiedział, zanim będziemy mieli pewność. Teraz już wiesz, dlaczego za niego nie wyjdę. Van, nie mogłabym, nie jestem dość silna, nie potrafię rządzić! Nie sama! A kiedy on umrze. . . nie chciałabym siłą umieszczać

Jisy na tronie w zbyt młodym wieku. — Jej myśl stężała od uporu. — Dopóki nie jesteście małżonkami i dopóki nie zostaną wyczerpane inne możliwości znalezienia następcy pośród członków wszystkich równoległych linii rodu, dopóty nikt nie może zmusić do rządzenia ani mnie, ani Jisy. Ja. . .

Vanyel poczuł narastającą w niej falę przerażenia i żalości. Spróbował przelać w nią swe siły, nie dopuszczając jednak, by spostrzegła, jak wątle w tej chwili są jego własne zasoby. Był w pełni świadom tej ponurej prawdy, że Shavri nie poradziłaby sobie, gdyby miało nadejść najgorsze; chyba że znalazłby się ktoś cieszący się jej zaufaniem, kto zechciałby jej pomóc. I jedynym człowiekiem, któremu ona ufała aż do tego stopnia — jedynym, któremu ufał Randal — był Vanyel. Bogowie. Im się naprawdę zdaje, że potrafię wszystko, a tymczasem ja nie jestem przygotowany na to ani odrobinę lepiej niż ona.

Odpędził od siebie tę myśl, koncentrując się na próbach ulżenia Shavri w jej obawach.

— Spokojnie, kochanie. Nie szukaj dziury w całym. Nic sobie nie zakładaj z góry. Może go jeszcze wyleczysz. Jeszcze może się okazać, że to coś śmiesznie błędnego. Przecież nawet jutro oboje możecie zginąć pod kołami wozu z beczkami piwa!

Jego słowa wzbudziły w niej zduszony śmiech. Uniosła głowę i popatrzyła na niego przez łzy, które z takim wysiłkiem starała się powstrzymać od wypłynięcia na policzki.

— O jutro będziesz się martwić, gdy nadejdzie jutro. Ciesz się chwilą obecną. A teraz powiedz mi, co to znaczy, że Jisa „czuje w swojej głowie różnych ludzi”.

Na odgłos zbliżających się kroków obydwójce unieśli wzrok.

— Czyżbyś uwodził moją panią, heroldzie Vanyelu? — zapytał Randal, król Valdemaru, wyciągając ramiona, by przyciągnąć do siebie ich oboje.

— Wolałbym uwięzić ciebie, ty czarodzieju — odparł z nieśmiałością Vanyel, łopocząc rzęsami. Jego żart jednak skażony był goryczą, która zakradła się do jego głosu mimo najlepszych intencji. Zaraz też spostrzegł cienie zaskoczenia, a potem niepokoju, przemykające po ich twarzach.

Powoli, do diabła — zganił się ze złością. — Oni mają swoje własne problemy, nie potrzebują jeszcze twoich.

Uśmiechnął się szeroko, mrugnął porozumiewawczo, a Shavri i Randal uspokoiili się.

Randal zaśmiał się szczerze i uściskał Vanyela jeszcze mocniej, ale delikatnie odsunął odeń Shavri. Vanyel poczuł dziwne ukłucie w sercu i kolejny przypływ zażenowania.

Bogowie, co się ze mną dzieje?

Nie mógł przestać o tym myśleć. Uścisk ramienia króla nie był już tak silny jak rok temu, a widok niemal przezroczystej bledości Randal przeszył go bólem. Randal zapuścił sobie starannie strzyżoną brodę — czyżby dla ukrycia faktu, że

jego policzki zapadały się coraz bardziej? A czy blask tego brązowego zarostu nie jest odrobinę przygasły? Pod oczami czały się cienie — to z niedostatku snu, czy też sprowadził je tam jakiś bardziej złowróbnny powód? W ciągu paru chwil Vanyel zauważył jeszcze z tuzin podobnych oznak „czegoś niedobrego”. Wszystko to były drobiazgi, szczegóły, których ktoś, kto widywał go co dzień, mógłby nawet nie zauważyć, Vanyel jednakże był nieobecny aż przez rok, a to, co zobaczył, wstrząsnęło nim do głębi. Bogowie, bogowie... mój królu, mój przyjacielu... Shavri ma rację. Jesteś chory, widać to na pierwszy...

Randal nie był magiem heroldów. Posiadał jedynie dar dalekowzroczności, a jego dar myślowy z kolei nie był tak silny jak u Vanyela czy Shavri. Teraz Vanyel był za to wdzięczny losowi. Zmienił szybko temat, byle tylko Randal nie spostrzegł jego zażenowania.

— Wygląda na to, że twój mały skarb zaczyna zdradzać pewne oznaki wcześniej dojrzewających darów — powiedział. — Mówiła, że „czuła w głowie, że nadchodzi”. — Jisa wbiegła znów do komnaty i przykleiła się do nogi Vanyela. — Prawda, diabełku? — Popatrzył na nią zaskoczony wzbierającą w jego sercu miłością dla tego dziecka.

Jisa skinęła główką, bardzo z siebie zadowolona.

— Zastanawialiśmy się, czy nie zabrać jej do Savil, ale ona była ostatnio tak zajęta — odparł Randal, wzruszając ramionami. — A ty pewnie zechciałbyś ją przebadac, co? Wszyscy, z wyjątkiem ciebie i Savil, uważają takie badanie za istny dopust boży.

— Teraz wiem, z jakiego powodu tak wam dziś zależało na moich odwiedzinach! — zażartował Vanyel. — Chcieliście mnie widzieć, ale nie dlatego, że tęskniliście za mną!

— Van... — oburzyła się Shavri. — Ja nigdy...

Randal parsknął śmiechem, za co zarobił od Shavri kuksańca w ramię.

— Mógłbyś już przestać, ty potworze.

Jisa zachichotała i oczy Vanyela znów skierowały się na nią,

— Nie ruszaj się przez chwilę, skrzacie — powiedział. — Zaraz zrobię coś takiego, że zakręci ci się w główce; tak samo, jak zrobiła mama, gdy miałaś odrę.

— Zgoda — powiedziała spokojnie Jisa, a Vanyela opanowało naraz niespokojne uczucie, że mała pozwoliłaby swemu „wujkowi Vanyelowi” odrębać jej głowę, gdyby tylko wyraził takie życzenie.

Położył dłoń na jej brązowych kędziorkach i pogrążył się w całkowitej koncentracji...

... a potem otrząsnął się, mrugając powiekami.

— No tak.

— I co? — Shavri i Randal równocześnie upomnieli się o odpowiedź.

— Jisa nie będzie magiem heroldów, chyba że jej dary zostaną uaktywnione pod wpływem gwałtownego wstrząsu, tak jak u mnie, a tego bym jej nie życzył

— dodał spokojnie, z trudem łapiąc oddech Nawet ten drobny zabieg magiczny okazał się dla niego wysiłkiem większym, niż się spodziewał. — Ale mała ma w sobie podwójny potencjał. Z pewnością przekaze go swym dzieciom. Będzie uzdrowicielką umysłów, ma aktywny dar empatii, a ognisko daru myślowy także zaczyna się już otwierać. Z takimi możliwościami z pewnością obejmie po Shavri stanowisko Osobistego Króla.

Bogowie, ona jest tak bardzo podobna do mnie. Nawet w swym potencjale magicznym. Jiso, kochanie, przysięgam, że zrobię wszystko, abyś zawsze była bezpieczna...

Shavri zadrżała, a ramię Randała zacisnęło się ciasniej wokół jej ramion.

— Czy to prawdopodobne, że zostanie wkrótce wybrana?

Vanyel nie odpowiedział od razu.

Yfandes? — zawołał łagodnie. — *Nie śpisz?*

Słucham waszej rozmowy. Tak, zostanie wkrótce wybrana, pod warunkiem że zaistnieje potrzeba, aby zaczęła się uczyć; ale pozostanie równie słodka jak teraz. Wydaje mi się, że to się powinno stać, zanim skończy dziesięć lat. Może wcześniej, za jakieś dwa lata.

— Yfandes uważa, że jeśli Jisa będzie potrzebowała szkolenia, zostanie wybrana pomiędzy ósmym a dziesiątym rokiem życia. Pamiętajcie, że przyszły Osobisty Króla nie jest wybierany razem z osobą, z którą połączą go więzi życia. Jisa nie połączy się z nikim takimi więzami aż do czasu, gdy obejmie swe stanowisko. Wtedy to połączy się z Traverem. — Vanyel zignorował przestraszoną minę Shavri i podniecenie Randała. — Tak więc, gdy wiemy już to wszystko... jest coś, co ja i ona powinniśmy zrobić.

Jeszcze raz skoncentrował się na małej Jisie i dziękując bogom za taką możliwość, zaczerpnął siły z Yfandes. Umysł Jisy nie powinien pozostać otwarty jak w tej chwili. Tym razem Vanyel nie zaniknął oczu, ale zatopił je w oczach dziecka i bez słów — gdyż jej dar myślowy nie rozwinął się jeszcze na tyle, by umiać odbierać słowa — przekazał jej, jak osłaniać się od nieproszonych myśli i uczuć zakradających się do jej umysłu i jak odsłaniać się wówczas, gdy sobie tego zażyły. Był — czego się zresztą obawiał — jedyną osobą, która potrafiła nauczyć ją czegokolwiek na tym etapie. Empatia nie należała do zwykłych darów heroldów, a większość uzdrowicieli nie używała jej w taki sposób, w jaki mogli to robić magowie heroldów.

Vanyel wskazał jej, jak odnaleźć w sobie ognisko energii, a wtedy ona — natychmiast, obserwując tylko jego czynności — sama doszła do tego, jak uziemiać energię. Wchłonięcie podstaw panowania nad nowymi zmysłami, których nauka jemu zajęła tak wiele czasu i przysporzyła tyle cierpień, Jisę nie kosztowało więcej wysiłku niż oddychanie. Może działo się tak dlatego, że nauka w jej wieku przychodziła rzeczywiście tak łatwo jak oddychanie; a może jemu było trudniej, bo jego wiedza okupiona została tak wielką stratą i bólem, które nie miały prze-

cież z darem nic wspólnego.

— ... proszę. To powinno wystarczyć do czasu, kiedy rozpocznie naukę. Sama ją ucz, Shavri. Wśród heroldów nie znajdziesz nikogo z darem empatii o takiej sile jak jej. Gdy dar ten dojrzeje i osiągnie pełną moc, Jisa będzie potrafiła zapanować nawet nad rozjuszonym tłumem.

Shavri udało się wreszcie ująć w karby targające nią emocje, a uśmiech, który posłała Vanyelowi, był naprawdę szczery.

— Dziękuję ci, mój drogi.

Vanyel wzruszył ramionami.

— Nie trzeba dziękować. O, zanim zapomnę... wam też przywozłem pewne drobiażdżki.

Shavri przyjęła wisiołek z okrzykiem szczerego zachwytu, szczególnie widząc, że Vanyel wręcza podobną broszkę do płaszcza Randalowi.

— Van, nie powinieneś być... — zaczęła.

— Oczywiście, że powinienem być — odparł Vanyel. — A komuż innemu mam przywozić prezenty? — Jego słowa przyćmił większy smutek niż było to zamierzone.

— Och, Van..., — Oczy Shavri złagodniały, a Randal odchrząknął. W tej samej chwili wyciągnęli do niego ręce i każde chwyciło jedną dłoń Vanyela. On zaś zamknął oczy i przez moment pozwolił sobie na radowanie się uczuciem ich bliskości.

Ale to była ich bliskość, nie jego.

Nie mam do tego żadnego prawa.

— Mamo, mam lekcje — odezwał się cieniutki głosik Jisy, wciąż uczeplonej kolana Vanyela.

— Wielkie nieba, a więc idź! — zawołała Shavri. — Van...

— Idź — powiedział, marszcząc do niej nos. — Wróć już za kilka tygodni i może wtedy ten tyran, król, pozwoli mi zostać tu troszkę dłużej.

Shavri pogoniła Jisę i podążyła za nią lekkim krokiem młodej dziewczyny. Randal odprowadził je wzrokiem.

— Płodzisz wspaniałe dzieci, Van — powiedział łagodnie.

— Ty wychowujesz lepsze — odparł Vanyel, zakłopotany. — To ty jesteś ojcem Jisy, nie zapominaj o tym. Skorzystaliśmy tylko z dogodnego sposobu dla uzyskania nader pięknego efektu.

Król wyraźnie się uspokoił.

— Wciąż myślę o tym, że zażadasz jej z powrotem... szczególnie teraz, gdy zaczynają się budzić jej dary. Jest do ciebie podobna dużo bardziej niż ci się wydaje.

Vanyel zaśmiał się.

— A co ja bym z nią zrobił? Wielcy bogowie, jaki by ze mnie był ojciec? Nie potrafię nawet nauczyć pałacowych kotów, aby trzymały się z dala od mojej

poduszki! Nie, Randi, ona jest twoja wszystko, co w niej najcenniejsze, jest twoje. Wolę raczej pozostać rozpieszczającym ją wujkiem Vanyelem. Randal wyciągnął rękę po krzesło, przyciągnął je do siebie, obrócił i postawił przed Vanyelem.

— Byłaby z niej dobra królowa.

— Byłaby z niej bardzo zła królowa — odparł Vanyel, usadawiając się na krześle, podczas gdy Randal zajął inne. — Cechy, które wyróżniają dobrego Osobistego Króla, stają się słabościami, jeśli posiada je sam monarcha.

— Na przykład?

— Empatia. Jisa ulegałaby każdemu, kto składałby jej petycję popartą jakąkolwiek żarliwością. Kusiłoby ją, aby wykorzystywać empatię do nakłaniania członków Rady, aby głosowali zgodnie z jej wolą. Uzdrowiciele umysłów czują pociąg do ludzi niewzównawczonych, a monarcha nie może tracić czasu na zajmowanie się każdym napotkanym heroldem w stanie szoku. — Vanyel potrząsnął głową. — Nie. Absolutnie nie. Jisa będzie dobrą dziewczyną i dobrym Osobistym Króla. Niech to ci wystarczy.

Randal spojrział na niego z ukosa.

— Zdaje się, że jesteś tego zupełnie pewny.

— A nie powinienem? — Vanyel położył ręce na oparciu krzesła i oparł o nie podbródek. — Wybacz, jeśli zabrzmiało to niegrzecznie, ale podobnie jak Savil jestem ekspertem w tych sprawach. Kiedy nie będzie mnie w pobliżu, poproś o diagnozę moją ciotkę; idę o zakład, że powie ci to samo.

Randal wzruszył ramionami i podrapał się po głowie.

— Chyba masz rację. Chociaż... miałem nadzieję, że mnie poprzesz...

— Dlaczego? — przerwał mu Vanyel. — Istnieje zatem jeszcze inny powód, dla którego chcesz nakłonić Shavri, aby za ciebie wyszła?

Słyszając ten bezceremonialny ton, Randal odwrócił twarz i zaprotestował cicho:

— Ale to... to znaczy... do licha, potrzebuję jej!

Bogowie, jakież on jeszcze młody... jak niepewny siebie, i jej. Jakże przestraszony, że bez szczególnych więzów nie zdoła utrzymać jej przy sobie.

— A myślisz, że ona cię nie potrzebuje? Randi, łączy was więź życia, czy naprawdę potrzeba ci jeszcze innych sposobów, aby ją przy sobie zatrzymać? Przecież ona wolałaby umrzeć niżli cię utracić!

Randal przyglądał się swej dłoni.

— Chodzi o to, że... chcę czegoś bardziej...

— Zwyczajnego? — dokończył Vanyel z ironią. — Randi, heroldowie nigdy nie są zwyczajni. Jeśli pragnąłeś zwyczajności, powinieneś być zostać kowalem.

Randal potrząsnął głową.

Vanyel zacisnął zęby i przygotował się do pouczenia Randala — nikt inny nie mógłby, albo nie chciałby, sobie na to pozwolić.

— Postuchaj. Unieszczęśliwiasz Shavri, wywierając na nią taką presję. Ona robi dokładnie to, co powinna: ponad swe własne życzenia przedkłada dobro Valdemaru i króla Valdemaru.

Przede wszystkim.

— Shavri orientuje się w obecnej sytuacji równie dobrze jak ty, wykazuje jednak wolę stawienia czoła przeciwnością. Wszystko legło w gruzach, gdy zmarła twoja babka, Elspeth, i od tamtej pory stopniowo sprawy przybierają coraz gorszy obrót.

— Nie jestem ślepy, Van — przerwał mu Randal. — Ja. . .

— Cicho, Randi. Wygłaszam właśnie mowę, a zważ, że nie robię tego zbyt często. Chcę tylko, abyś trochę pomyślał. Istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że będziesz musiał kupić nam pokój z jednym z naszych sąsiadów, zawierając małżeństwo; dokładnie tak samo, jak zrobiła twoja babka, aby zapewnić nam pokój z Iftel. Jak ci się wydaje, dlaczego Elspeth nigdy nie wyszła za Barda Kyrana po śmierci twojego dziadka? Pamiętała o swoich obowiązkach i ty też nie powinienes o nich zapominać. Dlatego musisz być wolny.

Randal poczerwieniał. W tej chwili Vanyel nie potrzebował daru empatii, aby dostrzec, że króla ogarnia złość.

— A jaki ty masz w tym interes? — wybuchnął Randal. — Miałem cię za przyjaciela. . .

— Bo nim jestem. Ale przede wszystkim jestem heroldem. I w pierwszej kolejności powinienem myśleć o Valdemarze, a nie o tobie. — Vanyel wyprostował się i pozwolił, aby jego twarz spowił obojętny chłód. Zdawał sobie sprawę z tego, co robi, i nienawidził siebie za to. Randalowi bardzo zależało na przyjacielu, na Vanyelu, i w pewnym sensie nawet go potrzebował. Teraz jednakże siedział przed nim i mówił do niego mag heroldów, Vanyel Ashkevron. — Ty, królu i heroldzie Randalu, nie możesz pozwolić, aby twe osobiste uczucia stawały na przeszkodzie pomyślności tego królestwa. Jesteś heroldem tak samo jak ja. Jeśli nie potrafisz się z tym pogodzić. . . złoś koronę.

Randal, pokonany, osunął się na oparcie krzesła. Nikt nie wiedział lepiej od niego, że nie ma jeszcze następcy, ani nawet kandydata do objęcia tronu. Korona należała do niego, czy mu się to podobało, czy nie.

— Chciałbym. . . nie ma nikogo innego, Van, nikogo w odpowiednim wieku.

— W takim razie nie możesz abdykować, prawda. — Zabrzmiało o raczej jak zdanie twierdzące niż pytanie.

— Nie. Do diabła. Van. . . wiesz, że nigdy tego nie chciałem. . .

Naraz obudziło się niedawne wspomnienie.

Kojący wiosenny wietrzyk płąsa nad łąkami. Randi śmieje się z czegoś, z jakiegoś żartu, który przed chwilą zrobił. . . Shavri bawi się z dzieckiem w słońcu. Sielankowa, idylliczna wręcz scena. . .

zostaje niespodziewanie przerwana przybyciem królewskiego posłańca na spienionym koniu. Posłaniec ubrany jest na czarno.

Randy zrywa się na równe nogi. Krew odpływa mu z twarzy. Mężczyzna wręcza mu pakunek owinięty jedwabiem, lecz Randi nie otwiera go jeszcze.

— Heroldzie Randalu. . . twa babka, królowa, przysyła mnie, abym cię zawiadomił, że twój ojciec. . .

Paczuszka wypada Randalowi z ręki. Błękitna jedwabna szmatka rozwija się, ukazując skryty w niej przedmiot.

To srebrny diadem następcy tronu.

Zdarzył się wypadek. Głupi wypadek — jedno potknięcie na śliskich stopniach, na oczach wszystkich — w wyniku którego następcą tronu, mag heroldów, Darvi, skończył życie, skręciwszy sobie kark.

Vanyel poczuł skurcz w sercu, ale nie śmiał tego okazać. Litość nie byłaby na miejscu w tej chwili. Swemu głosowi nadał jednakże nieco łagodniejszy niż przedtem ton.

— Powiedziałem ci, że Jisa będzie złą królową, bo takie jest moje zdanie. Shavri też tak sądzi, możesz nie mieć co do tego żadnych wątpliwości. Mówię ci, niszczysz ją, stawiając przed wyborem między miłością do ciebie a własnym obowiązkiem wobec królestwa. — Randal popatrzył na niego, jak gdyby chciał mu przerwać. — Nie, wysłuchaj mnie. Tak często okazywałeś mi zrozumienie w sporach z wiecznie swatającą mnie moją matką. Na bogów, jak według ciebie czuje się Shavri, gdy ty wywierasz na nią podobny nacisk?

— źle — przyznał Randal po dłuższej chwili.

— A zatem przestań naciskać, zanim twoja presja stanie się obciążeniem przewyższającym jej wytrzymałość. . . Zostaw ją w spokoju. Niech sprawa się uleży przez jakieś dziesięć lat. Jeżeli w tym czasie nie dojdzie do żadnego rozstrzygnięcia, wówczas znów zaczniesz o niej mówić. Zgoda?

— Nie — powiedział Randal powoli. — Niezgoda. Ale masz absolutną rację, mówiąc, że nie mam wyboru. Żadne z nas go nie ma.

Vanyel wstał z krzesła i odsunął je sobie z drogi. Randal zrobił to samo.

— Nie niszczy tego, co już masz, dążąc do czegoś, czego — tylko tak ci się wydaje — pragniesz — powiedział Vanyel spokojnie, biorąc pod rękę swego przyjaciela i króla. — To autentyczne doświadczenie przeze mnie przemawia. Gdy myślę o owym króciutkim okresie, który dane mi było spędzić z moim ukochanym, jedyną rzeczą, jakiej nigdy nie żałuję, jest fakt, iż nigdy nie uczyniłem świadomie nic, co mogłoby go zasmucić. Gdybyśmy byli ze sobą dłużej, może zrobiłbym coś takiego. Nie sposób to wiedzieć. Ale przynajmniej nie było między nami kłótni i nie padały żadne przykre słowa, które teraz mogłyby przyćmiewać te najpiękniejsze wspomnienia.

Randal wziął go za rękę.

— Masz rację. Byłem w błędzie. Przerzucę ją zadręczać.

— To dobrze. Randi... och, Randi... To za blisko. Randal był zbyt blisko. To zaczynało sprawiać mu ból...

W tej samej chwili za plecami Randal'a stanął jego służący z przewieszonym przez ramię oficjalnym strojem króla, królewskim diademem w ręce i ponaglającym wyrazem na twarzy.

Vanyel zdobył się na uśmiech i skorzystał z okazji, aby czmychnąć.

— Jeśli zaraz sobie stąd nie pójdę, to twój człowiek będzie bardzo zły.

— Co takiego? — Randal odwrócił się zaskoczony. — Och, a niech to piekło pochłonie. Przed kolacją mam tę oficjalną audiencję, prawda?

— Tak, panie — powiedział służący z kamienną już twarzą.

— A zatem powinienem się przebrać. Vanyelu...

Vanyel objął ramieniem młodszego mężczyznę i uścisnął go czule.

— Po prostu wypełniaj swe obowiązki i uszczęśliwiaj ją. Tylko to się liczy. Już mnie nie ma. Zobaczmy się na pewno przed Świętem Zimy.

— Dobrze. Van, bądź zdrow. — Randal spojrzał na niego, na prawdę spojrzał na niego, po raz pierwszy. A potem z troską wyciągnął dłoń, by położyć ją na ramieniu Vanyela. Ten spuścił głowę, ukrywając oznaki zmęczenia.

— Ja nigdy nie choruję. Idź już, idź, bo twój służący zabije mnie wzrokiem!

Randal z trudem przywołał uśmiech i podążył za służącym do prywatnych pokoi apartamentu. Vanyel stał jeszcze przez chwilę z zamkniętymi oczami, modląc się za przyjaciela, a potem powrócił do swego pokoju i wytęsknionego łóżka.

ROZDZIAŁ TRZECI

Był już poranek. Vanyel przebudził się z wolna, otoczony nieznajomym ciepłem i przytulnością i zaraz jął składać w całość kołaczące się w głowie strzępy wspomnień.

Był tak osłabiony zmęczeniem przysłaniającym mu mgłą oczy, że ledwie pamiętał, jak się dostał do pokoju. Przypominał sobie wprawdzie krótką notkę od Tantrasa i to, że rozebrał się częściowo; lecz momentu położenia się do łóżka, a nawet tego, że na nim usiadł, nie pamiętał w ogóle.

Z natężenia światła sączącego się przez zasłony wokół łóżka sądzić można było, że jest już przedpołudnie. Tym zaś, co obudziło Vanyela, był głód.

Czysta pościel, prawdziwa pierzyna i te wspaniałe ciemne zasłony nie przepuszczające światła — jakże przyjemne było miękkie łóżko. Wystarczająco przyjemne, aby zignorować nawet żądania żołądka i dać pierwszeństwo wymaganiom udręczonych członków. Vanyel miał już dość bogate doświadczenie w uniezależnianiu się od takich drobnych niedogodności jak głód czy pragnienie. Ostatnimi czasy nader często zdarzało się, że nie miał innego wyboru, jak znieść wszystko cierpliwie.

Był już bliski uczynienia tego i tym razem — zapadł niemal z powrotem w sen — lecz świadomość podpowiedziała mu, że jeżeli nie wstanie, najprawdopodobniej prześni następną dzień. A na to nie mógł sobie wszak pozwolić.

Ubranie, ubranie, dobrzy bogowie, w co ja mam się ubrać? Niemożliwe, aby jego uniformy były już wyczyszczone i naprawione, a musiał przecież zabrać ze sobą kilka z nich, mimo że i tak wcale nie zamierzał ich nosić. Potrzebował też stroju na podróż. Teoretycznie podróżujący herold był heroldem na służbie

Chwileczkę, czy w tej notce od Tantrasa nie było aby czegoś o uniformach?

Z żalem odrzucił pościel, rozsunał kotary wokół łoża, odwrócił głowę oślepiony światłem dnia zalewającym pokój i usiadł na brzegu łóżka, czekając, aż resztki na wpół zapamiętanych snów ulotnią się z głowy. Bolały go ramiona.

Muszę coś zaradzić na napięcie mięśni, nim zacznę naprawdę oszczędzać to ramię... żeby tylko nie zapomniał o natarciu go maścią i krótkiej gimnastyce. Za oknem ptaki wyćwierkiwały najświeższe wiadomości. Vanyel od dawna już nie zwracał uwagi na ptasie nawoływania, chyba że odnalazł w nich odgłosy

sygnalizujące obecność, czy też brak zagrożenia.

Teraz jednak ich trele wydały mu się wręcz cudowne, szczególnie dlatego, że były czymś tak zwyczajnym. Zwyczajne. Spokojne. Bogowie, tak mnie kusi, aby z powrotem paść na łóżko i podarować sobie dzisiejszy wyjazd do Forst Reach.

Ale obietnica jest obietnicą. Jeśli odłoży podróż o jeden dzień, łatwo będzie znaleźć usprawiedliwienie dla następnego dnia opóźnienia, a potem jeszcze jednego, co w końcu zakończy się tym, że Randal znów wyznaczy mu jakąś misję. A temu przecież miała zapobiec cała ta podróż.

Dźwignął się więc z łóżka, podpierając się o słupek baldachimu i sięgnął po jeden z uniformów Tantrasa. Czysty, o Panie i Pani, czysty i pachnący niczym innym tylko mydłem i świeżym powietrzem. Najtrudniej było zacząć ubieranie, lecz gdy to się już udało, dalej wystarczyło poddać się odruchom.

Jedną ręką sięgnął do misy na stole po jabłko — pozostałość z poprzedniego dnia — a drugą po list od Tantrasa.

Zabierz ze sobą moje rzeczy. Nie potrzebują ich i w ogóle nie używam. Uszyto mi je, zanim nabrałem tych mięśni na ramionach. Teraz są dla mnie za ciasne, a Tobie powinny być akurat trochę luźne. Powiedz mi tylko, co dla Ciebie zrobić, i wyjeżdżaj. Nie miałbym nic przeciwko załatwieniu za Ciebie jakiejś papierkowej roboty. Dopilnuję, aby do czasu Twego powrotu nowe uniformy były już gotowe. Intendent powiedział, że nie ma szans na odratowanie tych starych.

Tantras

Więcej niż trochę luźne — pomyślał Vanyel z ironią, przyglądając się sobie w kosztownym szklanym lustrze (prezencie od Savil) wiszącym na drzwiach. Aby brylenty trzymały się dobrze na swoim miejscu, Vanyel przewiązał je zaimprovizowanym paskiem, tunika zwisała luźno. Wyglądał — pomijając srebro we włosach — jak nastolatek, który musi dopiero dorosnąć do swych ubrań. Rok temu byłyby w sam raz, ale... och, no cóż. Nikt poza rodziną nie będzie mnie oglądał. A już na pewno nie mam tam na kim robić wielkiego wrażenia!

Ale pomoc okazana przez Tantrasa przypomniła mu o innych potrzebach. Odszukał papier i pióro, których używał poprzedniego dnia. O tej porze jego listy z pewnością były już w drodze do granicy i Forst Reach.

To jeszcze jeden powód, aby stąd uciekać. Jeżeli nie przyjadę wkrótce po przybyciu listu, będą się niepokoić. Listy powinny go wyprzedzić o najmniej kilka dni.

Pisał szybko, lecz starannie. „Starannie jak urzędnik” — zwykł żartować Tantras.

Zamów mi nowe płaszcze, dobrze? I nowe buty. Są mi bardzo potrzebne. Wstydziłbym się wypełniać obowiązki w takich zdezelowanych jak te, które mam teraz.

Skoro już jesteś tak miły i chcesz się tym zająć, poproś Intendenta o przygotowanie dla mnie kilku dodatkowych uniformów, które będę mógł zostawić i tutaj w jednym komplecie. Następnym razem może zabraknąć kogoś, kto nosi rozmiar zbliżony do mojego i będzie skłonny pożyczyć mi swoje ubrania! Dziękuję.

Van

Spakował się szybko i nabrawszy wreszcie rozpędu, nie musiał już więcej myśleć o tym, co robi. Po ostatnich czterech latach służby umiał pakować się, nawet gdy był pijany ze zmęczenia, zamroczony bólem, oszołomiony lekami albo podczas snu i czasem rzeczywiście zdarzało mu się to robić.

Przerzucił sobie przez ramię płaszcz — bardziej szary niż biały i lekko sfatygowany, ale nic już nie można było na to poradzić — wziął do ręki juki, z krzesła zabrał lutnię i skierował się do wyjścia. Po drodze na Łąkę Towarzyszy, do stajni, idąc ciemnym, rozbrzmiewającym echem korytarzem, zatrzymał pazia, oddał mu list do Tantrasa i poprosił, aby przyniesiono mu śniadanie, gdy będzie siedział Yfandes.

Yfandes czekała na niego przy wejściu do składziku na uprzężę.

Wyczyścili całą moją uprzęż — powiedziała — ale siodło nadaje się do naprawy, a cała reszta też nie jest w najlepszym stanie. Jeśli mam być szczerą, to nie wierzę, że popręg wytrzyma jeszcze jakiegokolwiek obciążenie.

Nacięć od miecza czy wypalonych dziur nie można usunąć mydłem do czyszczenia siodła — przypomniał jej. — Będziemy musieli... chwilę poczekać... a co z twoją paradną uprzężą? Jest prawie nowa. Używaliśmy jej dopiero ile... raz czy dwa?

Yfandes zastrzygła uszami, jej szafirowe oczy zatrzymały się na nim...

I Vanyel doznał osobliwego, nierzeczywistego wręcz wrażenia, którego doświadczył już kiedyś w przeszłości. Wydało mu się, że patrząc na pełną gracji sylwetkę białego konia, widzi ciemnowłosą kobietę o mądrych oczach, zmęczoną, lecz uśmiechającą się, ze świeżo rozpalonym oczekiwaniem na twarzy.

Bogowie, gdybym potrzebował dowodu mego zmęczenia, oto on. Znowu te halucynacje. Sny na jawie. To pewnie dlatego, że nigdy nie myślę o niej jak o koniu, nawet wtedy gdy jej dosiadam.

Zamrugnął powiekami dla przywrócenia ostrości swemu spojrzeniu, a Yfandes, podniecona niczym mała dziewczynka, której powiedziano, że może ubrać odświętną sukienkę, zapytała:

Wybrany mój, czy moglibyśmy jej użyć? Proszę cię.

Vanyel zaśmiał się.

Lubisz obwieszać się świecidełkami jak cyganka, co?

Yfandes podrzuciła głowę i wygięła szyję.

A ty nie? Słyszałam o tym, jak co rano prężysz się przed lustrem, szczególnie wtedy, gdy jest na kim zrobić wrażenie!

Jesteś niesprawiedliwa — powiedział Vanyel na głos i śmiejąc się, poszedł poszukać paradnej upręży Yfandes.

Mniej więcej w chwili gdy Vanyelowi udało się ustalić, gdzie jest przechowywana odświętna uprząż Yfandes, jedna z dziewczek kuchennych, bystrooka, ledwie kilkunastoletnia brunetka, przyniosła mu gorący chleb z masłem, jabłecznik i trochę jabłek. Siodło paradnej upręży było znacznie lżejsze i ładniejsze od siodła polnego. Było wytłaczane, wykończone srebrem i pomalowane na głęboki niebieski kolor. Na popręgach, podobnie zresztą jak i na cuglach, stanowiących część umiejętnie wyrobionej uzdy, wisały srebrne dzwoneczki. Cugle znajdowały się tam zresztą bardziej dla wygody jeźdźca niżli Towarzysza i służyły raczej do ozdoby aniżeli do czego innego. Do upręży dopasowana była też zbroja dla konia, jednak po chwili zastanowienia Yfandes zgodziła się, że w podróży byłoby z nią za dużo kłopotów i Vanyel odłożył ją na bok.

Potem zrobił sobie chwilę przerwy i zabrał się do zjedzenia chleba. Ciepła pajda ociekała roztopionym masłem i Vanyel zamknął oczy, rozkoszując się nadspodziewanie przyjemnym smakiem.

Och, bogowie, świeży chleb!

Smak, który czuł w ustach, zdał mu się teraz doskonalszy niżli smak manny, którą według kapłanów jedzą bogowie. Przez ostatni rok „chlebem” był w najlepszym razie twardy jak kamień chleb podróźny, a w najgorszym zapleśniałe okruchy, to wszystko. Tamten chleb nigdy nie był świeży, a tym bardziej gorący. Owszem, zdarzało się masło — czasami — zjełczałe w lecie, a twarde jak kamień w zimie.

Za takimi drobiazgami tęsknimy najbardziej... Przysięgam, że to prawda! Najbardziej tęsknimy za zwykłymi rzeczami, takimi jak „spokój”, „dobrobyt”. Wspomniał przez chwilę towarzyszy broni, których pozostawił na pograniczu, i ułożył krótką modlitwę: „Najjaśniejsi bogowie, przynieście nam obydwie te rzeczy, ale przede wszystkim spokój. Jak najszybciej, zanim przeleje się jeszcze więcej krwi”.

Potem zajął się na przemian jedzeniem i dopasowywaniem upręży Yfandes. Dziewka kuchenna zaś najwyraźniej ociągała się z odejściem. Oparła się o drzwi stajni i niby to wystawiając twarz do słońca, przyglądała się Vanyelowi, gdy ten krzątał się wokół Yfandes. W jej spojrzeniu kryło się coś pomiędzy uwielbieniem dla bohatera i błyskiem romantycznej miłości. W końcu Vanyel, nie mogąc już tego znieść, delikatnie ją odprawił, radząc, by wracała do własnych obowiązków.

Kątem oka zauważył jednak — i był tym więcej niż zaniepokojony — że dziewczyna przyciska do swej kwitnącej piersi kubek, z którego pił przed chwilą,

zupełnie jak gdyby nagle przeistoczył się on w jakiś święty kielich.

Wygląda na to, że przybyła ci jeszcze jedna, mój Wybrany. — Usłyszał ironiczny komentarz Yfandes, gdy przymocowywał juki do siodła.

Dziękują ci za tą niebywale zaskakującą informacją. Tego właśnie mi potrzeba.

Nie moja wina, że masz buzię, która łamie serca.

Ale dlaczego... och, nieważne. — Po raz kolejny sprawdził popręg i wskoczył na siodło. — *Znikajmy stąd, zanim jeszcze któraś dojdzie do wniosku, że się we mnie zakochała.*

Przedarli się przez miasto najszybciej jak było to możliwe i skierowali się na drogę, gdzie wreszcie można było swobodnie oddychać, nie krztusząc się co chwila kurzem i najróżniejszymi woniami zatłoczonego skupiska ludzkiego. Dziwnie było jechać przy wtórze łagodnego pobrzękiwania dzwoneczków odzywających się przy każdym kroku Yfandes. Przez pierwszych kilka mil, dopóki Vanyel nie zdołał przekonać sam siebie, że znajdują się na bezpiecznym terytorium, gdzie nie grozi im ewentualne rozbudzenie czujności zwiadowców wroga, owo granie działało mu na nerwy. Później już dźwięk dzwoneczków zaczął nawet działać na niego kojąco. Przypominał on przytłumione, rytmiczne szemranie zabawki, którą Vanyel nazywał „grajkiem”. Zabawka taka zwykle zrobiona była z małych szkiełek uwieszonych na nitkach na tyle gęsto, aby przy najłagodniejszym nawet ruchu powietrza szkiełka mogły o siebie uderzać, wydając delikatne dźwięki.

Zawsze uwielbiałem szemranie „grajka”. Ale nie zdarza mi się już kontemplować przy jego muzyce.

Powoli zaczął się odprężyć. Yfandes nie spieszyła się, choć jej „podróźne” tempo zwykłego konia po kilku godzinach zwaliłoby z nóg. Lato tego roku było łagodne, a teraz przechodziło w ciepłą i jeszcze łagodniejszą jesień z lekkim chłodem przypominającym, by sprawdzić, czy zboże już dojrzało, lecz za słabym jeszcze, aby stracił liście z drzew. Poza miastem Droga Wygnańców wiła się leniwie przez rdzawe, złociste pola zbóż i cudnie dojrzewających traw. Poranne powietrze było nieco chłodne, ale słońce grzało już na tyle mocno, że Vanyel zaraz zdjął płaszcz i zwinawszy go, przytroczył z tyłu siodła.

A jednak trudno było walczyć ze snem. Jego mięśnie rozluźniły się, przystosowując się do doskonale znanej pozycji i rytmu podczas podróży na koniu.

Nawiedziło go wspomnienie — przed oczami stanął mu Wąwóz k'Trevów i Savil udzielająca mu lekcji jazdy na Yfandes.

— Wyobrażasz sobie, że jesteś już jeźdźcem, chłopcze, ale gdy zakończymy naukę, będziesz potrafił robić na koniu wszystko, co umiesz robić na ziemi.

— Wszystko? — zapytał figlarnie.

Savil w odpowiedzi rzuciła weń torbą podróźną.

Odtąd aż do granicy teren był niemal zupełnie płaski. Długie, faliste pagórki pokryte polami uprawnymi przeplatały się czasem z pachnącymi dębami rozra-

stającymi się gdziekolwiek nawet do małych lasów.

Powinieneś sobie trochę pospać — strofowała Vanyela Yfandes. — Nie pozwolę ci spaść. Już nie pierwszy raz uciąłbyś sobie drzemkę na moim grzbiecie.

Ale wtedy nie będzie ze mnie żaden towarzysz podróży.

Yfandes potrząsnęła głową, a dzwoneczki na jej uździenicy zabrzęczały wesoło, jakby zaśmiały się zamiast niej.

Już sama twoja obecność jest dla mnie wystarczającym towarzystwem, mój Wybrany. Zanim połączyłeś się ze mną, przez dziesięć lat biegałam sama. Sam fakt, że mam cię przy sobie, całego i zdrowego, jest przyjemnością. Niepotrzebnie myślisz, że gdy nie pracujemy, musisz mnie zabawiać.

Z ukłuciem bólu i radości w sercu przypomniał sobie, jak on sam nie pragnął niczego poza obecnością Tylendela.

Tak — zgodziła się Yfandes, podążając za jego myślą. — Właśnie to miałam na myśli.

Przerzucił więc nogę przez łęk siodła, skrzyżował ramiona, rękami uchwycił się swego paska i ze zwieszoną na piersi głową pogрузzył się w smacznym śnie. Nie zabrało mu to nawet zbyt dużo czasu.

Nagle zbudził się i odruchowo sięgnął po miecz, którego wszak nie miał nawet przy sobie. Na moment, zanim przypomniał sobie, dokąd i po co jedzie, ogarnęła go panika.

Dlaczego się zatrzymałaś! — spytał Yfandes, która stanęła bez ruchu pośrodku opustoszałej drogi. Po obu stronach rozciągały się otwarte przestrzenie łąk pokropkowane sylwetkami owiec. Nie było śladu pasterza. W górze krakały wrony, na pastwisku beczały owce; poza tym panowała cisza. Słońce znajdowało się przed nimi na tyle nisko, aby oślepić Vanyela, który odwrócił od niego twarz. Musi być późne popołudnie lub wczesny wieczór.

Zaraz za następnym łukiem jest zajazd, bardzo spokojny zajazd — powiedziała Yfandes z nutą rozbawienia w tonie swej myśli. — Jest już za późno na obiad, a za wcześnie na kolację, ale czuję się zmęczona i prawdę mówiąc, naprawdę wolalabym się zatrzymać przed dalszą podróżą.

O nieba, kochana, powinnaś była. . .

Nie, nie powinnam była. Odprężyłeś się po raz pierwszy od nie wiadomo jak dawna. Nie pomyślałeś o tym, jak przejmujemy nawzajem nasze wibracje, nasze odczucia?

Od razu zrozumiał, co miała na myśli.

Więc odpoczywałaś razem ze mną.

W rzeczy samej, i znajdowałam w tym prawdziwą rozkosz. To pierwsza podróż, która przyniosła mi choć odrobinę przyjemności. Ale teraz chciałabym się zatrzymać.

W takim razie i ja chciałbym. — Zdjął nogę z łąku i rozprostował ją. Yfandes poczekała, aż jego stopa powróci do strzemięcia a potem ruszyła przed siebie swym swobodnym krokiem, który nie był ani stępem, ani cwałem.

Czy to krótki postój, czy zatrzymujemy się na noc?

Na noc? — zapytała z tęsknotą. Jej myśl kryła w sobie więcej, niż mówiły słowa.

Nie powiedziałaś mi wszystkiego — poskarżył się Vanyel. — *Dlaczego wybrałaś właśnie ten zajazd?*

No cóż... nie będziesz tam jedynym heroldem. Jest tam herold kurier Sofia...

Wybrana przez...? — Vanyel miał przeczucie, co się święci.

Yfandes kokieteryjnie wygięła szyję i spojrzała na niego z boku jednym ze swych ogromnych błękitnych oczu.

Gavisa.

Vanyel potrząsnął głową.

Ach tak... to ten, który ostatnio zapełnia wszystkie rubryczki w rejestrach przesylek. Skąd u ciebie ta skłonność do żylastych długodystansowców o długich nogach i krótkim rozumie?

On wcale nie jest żylasty — oburzyła się Yfandes, przechodząc w szybki kłus, aby go ukarać.

Ale głupi, czy tak? — natrząsał się Vanyel, doskonale zdając sobie sprawę ze swej złośliwości.

Po prostu odzywa się tylko wtedy, gdy ma coś do powiedzenia. W przeciwieństwie do niektórych znanych mi magów heroldów. — I wierzgnęła tak, że Vanyel poczuł każdą kostkę swego kręgosłupa; potem zaryła kopytami w piasek, najwyraźniej nie kierując się w żadną stronę.

Na to Vanyel pochylił się do przodu i wytargał ją za ucho, uprzedzając wszelkie próby Yfandes przeszkodzenia mu w tym.

No, skoro już zamierzasz udać się na małą schadzkę, to czy nie wydaje ci się, że dobrze byłoby postarać się o pomoc twego Wybranego?

A dlaczego niby? — rzuciła.

Moglibyśmy usunąć się z drogi, a wtedy ja oporządziłbym cię, tak abyś wchodząc na podwórko oberży znów podobna była do siebie, a nie do pokrytej pyłem z drogi szkapy. Mógłbym nawet zapleść ci ogon w warkocz i zawiązać na nim ten srebrno-niebieski sznurek, który jest w wyposażeniu twej zbroi. Rzecz jasna, gdybym tylko miał ochotę.

Ja... Vanyelu... ja... - wyjąkała Yfandes.

A ja mam na to ochotę, ty próżna istoto — powiedział pochylając się i, objawszy ramionami jej szyję, położył policzek na jej grzywie. — *pomyśleć tylko, że to mnie nazywają strojnisiem. Czyżbym nie przekomarzał się z tobą już od tak dawna, że zdążyłaś zapomnieć, jak to jest?*

Och, Vanyelu, to było tak dawno.

A więc musimy to naprawić. — Wciąż trochę zeszywniały po długiej drzemce, zsiadł z konia i otworzył torbę, w której trzymał zgrzebło. Gdy zanurzył rękę w juku, coś innego jednakże przyciągnęło jego uwagę. — Tylko... wyświadczyć mi bardzo wielką przysługę, koteczku...

Hm? — Yfandes odwróciła głowę i popatrzyła na niego podejrzliwie.

Vanyel wyłowił z juki zgrzebło i sznurki.

Proszę, proszę cię, ostoń mnie podczas twojej schadzki, dobrze? Ostatnim razem zapomniałaś to zrobić. Usuńmy się z drogi. — Wstrzymał oddech, gdy szli w cieniu drzew rosnących wzdłuż drogi. — *Nie szczędzę ci przyjemności, ale minęło już wiele czasu, odkąd robiłem pewne rzeczy, a przekomarzanie się z tobą jest tylko jedną z nich.*

Yfandes drgnęła, a była to najbardziej podobna do oblania się rumieńcem reakcja spotykana u Towarzyszy.

Vanyel nie pozwalał nigdy cudzym rękąm oporządzać Yfandes, jak nie pozwoliłby obcemu opiekować się swą siostrą, zamkniętą w klasztorze kapłanką. Yfandes często protestowała przeciwko temu, twierdząc, że to zbyteczne. Tego popołudnia jednak nie narzekała. O wszelkim niezadowoleniu zapomniała, zwłaszcza kiedy młody Gavis z dumnie uniesionym łbem i błyskiem oczekiwania w oczach przyskoczył do płotu otwartego placu dla wozów przy zajeździe. Gdy Yfandes flirtowała nieśmiało z urodziwym Towarzyszem, Vanyel zatrzymał żartobliwe uwagi dla siebie i otworzywszy bramę prowadzącą na łąkę, życzył jej ni mniej, ni więcej, tylko „przyjemnego wieczoru”.

Yfandes, odwróciwszy się, zawiesiła na nim swe spojrzenie.

Vanyelu, nie jesteś z kamienia. Chciałabym, abyś też znalazł sobie... kompana. Byłbyś wtedy o wiele szczęśliwszy.

Vanyel, wzdrygnął się na myśl o tym.

Rozmawiałem już o tym z Savil. I z tobą także. Dopóki nie wyzbędę się tego nawyku nieustannego poszukiwania w każdym kogoś, kto zastąpiłby mi Lendela, nie mam zamiaru oszukiwać ani siebie, ani mojego potencjalnego partnera.

Nie rozumiem tego. Gdybyście byli przyjaciółmi, to nie byłoby oszukiwanie... och, zapomnij my już o tym.

Idź i baw się dobrze.

Och, to akurat chyba mi się uda — odparła, przybierając ton niewinnej pannenki, mrugnęła do niego i pomknęła przed siebie z Gavisem u swego boku.

Uprząż powierzył Vanyel stajennemu, choć szeroko otwarte oczy chłopca wyrażające wielki respekt wprawiły go w lekkie zażenowanie. Nie chciał, by zwracano się do niego z respektem, Nazbyt blisko kojarzył się ze strachem.

Niosąc na ramionach swe juki, Vanyel przekroczył próg wejścia do głównej izby i mrugając powiekami w jej ponurym mroku pachnącym trocinami, stanął,

czekając, aż oczy przyzwyczają się do słabego oświetlenia. Chudy, nerwowy oberżysta wyrósł przed nim w mgnieniu oka, dużo wcześniej, nim Vanyel zdolny był rozpoznać cokolwiek poza cieniami i zamazaną białą sylwetką w kącie, którą prawdopodobnie była herold Sofia. Wyglądało na to, że on sam oraz ten drugi herold byli jedynymi gośćmi zajazdu o tak wczesnej popołudniowej porze, ale był to przecież okres żniw. Okoliczni mieszkańcy niewątpliwie starali się jak najpełniej wykorzystać każdą chwilę dnia.

— Wielmożny heroldzie, to zaszczyt i przyjemność. Czym może ci służyć ten skromny zajazd?

— Proszę... — Vanyel zarumienił się, zawstydzony tą wylewnością. — Proszę tylko o obiad, pokój, jeśli macie jakiś wolny, możliwość skorzystania z waszej łaźni i o trochę obroku dla Towarzysza... pozwoliłem sobie wypuścić ją na łąkę razem z Towarzyszem Gavisem. — Teraz jego oczy przywykły już do mroku na tyle, że mógł przynajmniej dojrzeć, co robi. Wyszperał w swej sakiewce przy pasie kilka monet i wcisnął je do ręki oberżysty. — Proszę. Jestem na urlopie, nie na służbie. Tyle powinno wystarczyć. — W rzeczywistości było to aż za dużo i wiedział o tym, ale na cóż by innego miał wydać te pieniądze? Mężczyzna wlepił wzrok w monety i zaczął trajkotać coś o pokoju.

— Koronowane głowy tu spały, naprawdę, sam król Randal przed koronacją...

Vanyel znosił to z cierpliwością, na jaką tylko było go stać, a gdy oberżysta zakończył wreszcie swe bajanie, podziękował mu już innym tonem i wszystkie swe rzeczy, z wyjątkiem lutni, powierzył jednemu ze sług, który miał je zanieść do wynajętego pokoju.

Dopiero teraz Vanyel ujrzał wyraźnie herold Sofię siedzącą w kącie izby. Była to ładna, ciemnowłosa kobieta, dość młoda, dość szczupła i bez wątplenia nieznaną. Siedziała w pełnym ugrzecznieniu skupieniu, wpatrując się w swój kielich piwa. Gdy oberżysta pobiegł wreszcie do kuchni, obiecując, że natychmiast poda obiad, który — jeśli wierzyć jego opisowi — zadowolić by mógł zarówno największego żarłoka jak i najwybredniejszego smakosza w królestwie, Vanyel zbliżył się do jej stołu.

— Czy herold Sofia? — zapytał cicho.

Kobieta popatrzyła na niego zdumiona. Domyślił się powodu jej reakcji i uśmiechnął się. Najprawdopodobniej jej Towarzysz tak bardzo zajęty był Yfandes, że zaniedbał poinformować swą Wybraną, kim jest Vanyel. Albo Sofia nie miała dość silnego daru myślowego, co oznaczałoby, że Gavis nie był w stanie przekazać nic ponad obrazy. Teraz przyjęła zapewne, że i Vanyela to dotyczy.

— Gdy byliśmy jeszcze na drodze, twój Gavis porozumiał się za pomocą myślowego z moją Yfandes, a zanim przybyliśmy tutaj, ona powiedziała mi, jak macie oboje na imię. Czy mogę się przyłączyć?

— Oczywiście — odparła, pośpiesznie przełknąwszy ślinę.

Vanyel usiadł przy stole naprzeciwko niej i zauważył, że spostrzegłszy, w jakim stanie znajdują się jego szaty, Sofia nieznacznie zmarszczyła brwi.

— Przepraszam za mój wygląd. — Uśmiechnął się, nieco onieśmielony. — Wiem, że nie przysłuży się to mojej reputacji jako herolda, ale muszę się przyznać, że właśnie dostałem urlop i nie chciałem czekać, aż będą gotowe moje nowe uniformy. Obawiałem się, że jeśli to zrobię, wynajdą jakiś sposób, aby odwołać mój urlop!

Sofia zaśmiała się ciepło, ukazując rząd silnych, białych zębów.

— Rozumiem! — odparła. — Wygląda na to, że od trzech miesięcy nie robimy nic poza wycieraniem skóry naszych siodeł. Na tej trasie jest nas czterech, a chłopcy zaczynają liczyć czas według naszych przejazdów; jeden herold co trzy dni, do granicy i z powrotem.

— Do kapitan Lissy Ashkevron?

— Tej samej. Miejmy nadzieję, że konflikt na granicy z Lineasem nie rozgorzeje aż tak, jak stało się to na granicy karsyckiej.

Vanyel zamknął oczy, czując, jak dreszcz przebiega mu po plecach i wstrząsa całym ciałem.

— Bogowie, oszczędźcie nam tego — powiedział w końcu.

Gdy ponownie otworzył oczy, Sofia wpatrywała się weń jakoś dziwnie, lecz pojawienie się oberżysty z obiadem uwolniło go od powinności odezwania się.

Vanyel rzucił się na pasztet z wędzonej szynki z apetytem, który poczuł dopiero w chwili, gdy smakowity aromat sosu uderzył go w nozdrza. Sofia tymczasem oparła się o ścianę i, nadal sącząc swój napój, od czasu do czasu obrzucała Vanyela osobliwym, nieodgadnionym spojrzeniem.

Poprzedniego wieczoru był zbyt oszołomiony długą, wyczerpującą jazdą konną, aby docenić posiłek. Zmiotł go, nie czując nawet smaku, jakby była to porcja z żelaznego zapasu żywności albo posiłek zastępczy na polu bitwy. Ale tego ranka — i teraz — domowa potrawa wydawała się wspanialsza od czegokolwiek, co tylko znaleźć się mogło na stole Randała.

— Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że tak ci się przyglądam — powiedziała wreszcie Sofia, gdy Vanyel oczyścił talerz z ostatniej kropli sosu — ale pochłaniasz ten pasztet, jakbyś od tygodnia nie widział jedzenia, i wyglądasz na wygłodzonego, a u herolda to dość niecodzienne. Chyba że odbywałeś jakąś szczególną służbę.

Vanyel zauważył „pusty” punkt w swym umyśle, co oznaczało, że Yfandes dotrzymuje obietnicy i osłania go od swych przeżyć. Uśmiechnął się do siebie — najprawdopodobniej Gavis robił to samo, a Sofię ciekawość zaraz pożre żywcem.

— Bo w ciągu ostatniego tygodnia prawie nie widziałem jedzenia — odpowiedział cicho i zamilkł na moment, gdy służąca zabierała talerz i napełniała jego kubek jabłecznikiem. — Nie wiem, czy sama nazwałabyś moją służbę szczególną, ale była cięższa, niż się spodziewałem. Ostatni rok spędziłem na granicy karsyc-

kiej. Posiłki nie były zbyt regularne, a samo jedzenie dość paskudne. Zdarzało się, że Yfandes dzieliła się ze mną swym owsem, bo nie byłem w stanie nawet spróbować tego, co mi dawali. Na wpół zgniłe mięso i zapleśniały chleb niespecjalnie mi smakują. I tak często zdarzało się, że nie starczało dla wszystkich. Prawdę mówiąc, z czasem zapomniałem o jedzeniu. Wiesz, jak to jest, zaczyna się coś dziać i zanim się obejrzyysz, mijają dwa dni. To dlatego. . . — Wskazał na swój obwisły uniform i uśmiechnął się ironicznie. — Takie warunki były bardziej uciążliwe dla ubrań niż dla żołądków.

Jej czarne oczy rozszerzyły się i złagodniały.

— Pełniłeś służbę na granicy karsyckiej? Trudno cię winić za ucieczkę stamtąd — odparła, dusząc w sobie śmiech. — Ja chyba zrobiłabym to samo, heroldzie. . . nie powiedziałaś mi, jak się nazywasz.

— Vanyel — powiedział. — Vanyel Ashkevron. Brat Lissy. Wiem, że wcale nie jesteśmy do siebie podobni. . .

Ale reakcja Sofii nie miała nic wspólnego z tym, czego się spodziewał. Jej oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej, a ona sama wyprostowała się.

— Mag heroldów Vanyel?! — zawołała, wystarczająco głośno, aby chłopci i handlarze, którzy zaczęli napływać do karczmy, gdy Vanyel jadł obiad, ucichli i zwrócili się ku niemu z otwartymi ustami. — Ty jesteś Vanyel? — Jej głos niósł się po izbie aż nadto dobrze i z każdym słowem stawał się głośniejszy. — Vanyel Zmora Demonów? Łowca Cieni? Bohater. . .

— Proszę. . . — przerwał jej Vanyel błagalnie. — Proszę cię, tak, jestem Vanyel. Ale naprawdę to nie było tak, jak myślisz. — Szukał słów, które sprawiłyby, że uwielbienie, które widział na jej twarzy, zamieniłoby się w zwyczajną życzliwość. — To nie było tak, naprawdę. . . po prostu. . . trzeba było załatwić parę spraw, a ja byłem jedyną osobą, która mogła to zrobić, więc to zrobiłem. Nie jestem bohaterem, jestem po prostu. . . po prostu. . . zwykłym heroldem. — Zakończył niezbyt przekonująco.

Powiódł wzrokiem po całej izbie i ku swemu przerażeniu na twarzach wieśniaków zobaczył ten sam wyraz uwielbienia. I nawet coś więcej.

Strach.

Echo tego strachu odnalazł także w oczach Sofii, zanim ta zdążyła opuścić wzrok na swój kubek z piwem.

Zamknął oczy, przybierając spokojną, pozbawioną wyrazu maskę, która zakryła cierpienie, jaki zadawał mu ich strach. Pragnął. . . akceptacji, niczego więcej.

Tantrasie, Tantrasie, miałeś rację, a ja byłem w błędzie. Uważaj, o co prosisz, bo możesz to dostać. Bogowie, prosiłem o znaki potwierdzające słuszność słów Tantrasa. A teraz otrzymałem je. Czyż nie tak?

Otworzył oczy, ale ubóstwienie i podziw nie zniknęły. Wokół niego, w miejscu gdzie „zwykły lud” odsunął się nieco, jak gdyby w obawie przed zbyt bliskim

kontaktem z nim, utworzyła się wolna przestrzeń.

Odsunęła się nawet Sofia.

A w pokoju zapadła cisza niczym w kaplicy.

Zaraz zepsuje wieczór i im, i sobie. To nie w porządku, nie w porządku. Musi być jakiś sposób na uratowanie tej sytuacji, najmniej z korzyścią dla nich.

— Wiecie — odezwał się z wymuszoną swobodą — jeśli za czymkolwiek tęskniłem, to była to muzyka. . .

Sięgnął po omacku po lutnię, którą zostawił opartą o ścianę, zrzucił z niej pokrowiec i nastroił ją w szalonym pośpiechu.

— . . . i nie znoszę śpiewać sam. Założę się, że wszyscy znacie „Chytrą służącą”, co?

Nie czekając na odpowiedź, zaintonował piosenkę. Pierwszą zwrotkę zaśpiewał sam, ale podczas refrenu stopniowo zaczęły dołączać się inne głosy; pierwszy Sofii, pobrzmiewający aż zanadto szczerą determinacją, potem krzepkiego handlarza, a jeszcze później trzech tęgich chłopów. Miejscowi chłopci śpiewali dość bojaźliwie, ale piosenka była stara i skoczna, a refren chwytliwy. Zanim Vanyel zaczął trzecią piosenkę, cała izba grzmiała śpiewem, a on sam nie przyciągał już uwagi ludzi bardziej niż zwykły minstrel.

Z wyjątkiem przerw między piosenkami.

I z wyjątkiem Sofii, z oczu której biło takie uwielbienie, że Vanyel czuł, jak ściska mu się gardło. Sofia sama mu usługiwała, jak gdyby był jakimś aniołem, którego trzeba adorować, ale nie wolno dotykać.

Wyślizgnął się z izby wcześniej, gdy Sofia właśnie po coś poszła. Do tłumku dołączył jeszcze jeden muzyk, a Vanyel skorzystał z jego talentu jako parawanu, za którym wymknął się z izby podczas szczególnie hałaśliwej piosenki. Myślał, że wyszedł przez nikogo nie zauważony, ale w korytarzu zatrzymał go oberżysta.

— Wielmożny panie. . . Vanyelu. . . — Świece łożowe oświetlające korytarz dymiły i migotały, wprawiając ich cienie w ruch upodabniający je do Cieni, które kiedyś Vanyel sam ścigał. Wspomnienia ścisnęły mu żołądek. Skoncentrował uwagę na oberżyście, ale ten przeżykał tylko ślinę i nie chciał spojrzeć mu prosto w oczy. Korytarz wypełnił się zapachem gotowanej cebuli, płynącym ze wspólnej izby.

— Wielmożny panie, gdybym wiedział, kogo obsługuję, przygotowałbym specjalną potrawę i nie przyjąłbym twej zapłaty.

— Proszę — przerwał mu Vanyel, usiłując ukryć cierpienie. Oberżysta odskoczył do tyłu. — Proszę cię — powiedział, tym razem łagodnie. — Mówiłem ci, że nie jestem na służbie, tylko na urlopie. Jestem po prostu zwykłym podróżnym. Ugościsz mnie najlepszym posiłkiem, jaki miałem w ustach od miesiąca, naprawdę. Zarobiłeś na każdego miedziaka, którego ci dałem. Mówię szczerze.

— Ależ wielmożny panie Vanyelu, to nie było nic takiego, zwykły chłopski paszтет. . . zamiast jabłeczniaka na pewno wolałbyś wino i sarninę albo faszzerowa-

nego bażanta... i zapłaciłeś mi o wiele za dużo...

Vanyel poczuł, że zaczyna go boleć głowa.

— W rzeczy samej, nie, oberżysto. Prawda jest taka, że od tak dawna żywiłem się żelaznymi zapasami wojskowymi, że rozchorowałem się od czegokolwiek bardziej wykwintnego. A sarnina... obym tylko nie musiał już więcej oglądać na wpół surowego jelenia... Twoja dobra, solidna potrawa była dla mnie ucztą. Coś ci powiem... — Szybko postanowił skłamać. — Nazbyt długo przebywałem w czterech ścianach. Jutro mam ochotę popatrzeć na drzewa i niebo. Więc jeśli nakłoniłbyś swego wspaniałego kucharza, aby przygotował dla mnie paczuszkę ze śniadaniem i obiadem, byłbym ci szczególnie wdzięczny. Czy to nie ubliży twej godności, dobry panie?

Oberżysta wbił w niego tępy wzrok i nerwowo żuł końce wąsów, jak gdyby myślał, że Vanyel z jakiegoś powodu go wypróbowuje. Potem skinął potakująco.

— No... jestem po prostu trochę bardziej zmęczony niż przypuszczałem. Gdybym mógł skorzystać z łaźni i trochę się przespać...

Zyskując tym samym w oczach Vanyela, oberżysta zaopatrzył go w mydło i ręczniki, a potem zostawił samego. W wypełnionej parą spokojnej łaźni Vanyelowi znów udało się odprężyć. Radość poranka jednakże przeminęła.

Wreszcie poszukał ukojenia we śnie. Umieszczono go w najlepszym pokoju zajazdu, z ogromnym łóżkiem — wystarczająco szerokim, aby pomieścić całą rodzinę — z dwiema pierzynami, grubą narzutą i pościelą niemalże skrzypiącą od świeżego krochmalu, pachnącą kosaćcem i lawendą. Gdy wdrapywał się do wielkiego łóża, daleko, w dole, wciąż słychać było śmiech i śpiewy. Zdmuchnął świecę, samotny jak zawsze, i modlił się o prędkie nadejście snu.

Choć raz jego modlitwa została wysłuchana.

— Szkoda, ale nie mam odwagi użyć zaklęcia Bramy — rozmyślał Vanyel na głos, obierając jajko ugotowane na twardo, obadawszy je przedtem dokładnie. Yfandes nie odezwała się ani słowem na temat wyjątkowo wczesnego wyjazdu z oberży tego poranka. Nie dziwiła się też wcale, że Vanyel nie poczekał nawet na śniadanie. Dzień był dość chłodny i Vanyel znów włożył swój płaszcz. Niektóre spośród wysokich chwastów rosnących wzdłuż drogi pokrywała już nawet warstewka szronu. — Wykorzystując zaklęcia Bramy, mógłbym sobie znacznie skrócić tę podróż.

Spróbuj tylko, a wymierzę ci takiego kopniaka, że dolecisz do samej Przystani — ostrzegła go Yfandes, zwracając się doń po raz pierwszy tego poranka. — *To najgłupsze słowa, jakie wyszły z twych ust od miesięcy!*

Vanyel ugryzł jajko i z zainteresowaniem popatrzył, jak Yfandes kładzie po sobie uszy.

O niebiosy, czyżby twoje spotkanie nie udało się?

Moje „spotkanie” udało się, dziękuję — odparła Yfandes, a ton jej myśli zabrzmiał teraz łagodniej. — Po prostu mdli mnie na samą myśl o tym, co wydarzyło się ostatnim razem.

Och, Yfandes, nie było aż tak źle.

Nie tak źle? Gdy straciłeś przytomność, zanim przekroczyłeś próg, i cierpiełeś tak okrutnie, że sama miałam ochotę krzyczeć?

Zgoda, było źle — przyznał i wrzuciwszy do ust resztkę jajka, sięgnął do swego „woreczka śniadaniowego”. — Nie jestem aż tak głupi, aby wznosić Bramę bez pilnej potrzeby. — Obejrzał bułkę, ważąc ją w dłoni. Wydawała się nader ciężka. Zważywszy na to, że, jak dotąd, jedzenie było bardzo smaczne, nie chciało mu się wierzyć, że bułka mogłaby być nie dopieczona. Mimo to nie miał ochoty dławić się surowym ciastem. Podejrzliwie nadgryzł bułkę, a po chwili, gdy okazało się, że w środku jest kiełbasa, zabrał się do jedzenia z dużo większym entuzjazmem.

Byłoby bardzo wygodnie w ogóle nie zatrzymywać się w zajazdach.

Nie zdradzaj im swego prawdziwego imienia — przerwała mu Yfandes

Co takiego?

Jeżeli reakcje podobne do tych, jakie spotkały cię ostatniego wieczoru, sprawiają ci przykrość, nie musisz mówić ludziom, jak masz naprawdę na imię. Przedstawiaj się jako Tantras. On nie miałby nic przeciwko temu.

Yfandes, nie w tym rzecz... och, nieważne. — Skończył śniadanie i wytarł ręce. Nad jego głową, wysoko, przelatywało z krzykiem stado dzikich gęsi. Chłopi pracujący już w polu przy drodze, koszący zboże i wiążący je w snopki, przzerwali na moment swe zajęcia i zadarli głowy, wskazując na klucz ptaków. — Tantras miał rację, a mi chyba pozostaje przyzwyczaić się do takiego stanu rzeczy. Nie mogę się kryć za cudzym imieniem. — Z wysiłkiem przywołał na swe usta blade uśmiech. — Mogło być jeszcze gorzej. Zamiast odnosić się do mnie jak do boga, bo jestem magiem heroldów Vanyelem, zwanym Zmorą Demonów, mogliby przecież traktować mnie jak trędowatego, i to tylko dlatego, że jestem shay'a'chern. — Twarz wykrzywił mu grymas. — Bogowie, jakież to pretensjonalne.

Yfandes lekko zwolniła kroku.

To chyba nie jest takie ważne... prawda?

To ważne. Jestem błędzącym śmiertelnikiem, a nie Avatarem. Magia to siła; siła, nad którą mam władzę. Ale władza ta nie jest niczym wspanialszym aniżeli umiejętności człowieka posługującego się darem myślowy czy uzdrawiania. Tylko że oni widzą to inaczej. Dla nich to, co robię, jest czymś wykraczającym poza ich zdolności pojmowania; oni nie są do końca pewni, że nad taką mocą rzeczywiście można zapanować. — Westchnął. — Co gorsza, wydaje im się, że magia rozwiązać może każdy problem.

Ty też kiedyś tak myślałeś.

Wiem. Gdy byłem młodszy. Kiedy miałem dziewiętnaście lat, wydawało mi się, że magia podsunie mi rozwiązanie każdego problemu. — Potrząsnął głową i się-

gnął wzrokiem aż ku linii horyzontu. — *Przez chwilę, przez krótką chwilę, zda-
wało mi się, że trzymam w garści cały świat. Nawet Jaysen okazywał mi szacunek,
został moim przyjacielem. Ale magia nie zdołała zmusić mego ojca, aby powie-
dział mi, że według niego postępuję słusznie. Może i mogłaby go do tego zmusić,
ale ja chciałem, aby słowa te same popłynęły z jego ust. Magia nie sprawiła, że
bycie shay'a'chern stało się łatwiejsze. Nie mogła przywrócić do życia mojego Ty-
lendela. Ona jest tylko mocą, która odsuwa mnie od zwykłych ludzi, i co gorsza,
oddala od innych heroldów. . . Yfandes, a to mnie okrutnie przeraża.*

Twoi krewni nie będą traktować cię jak bożka, tyle mogą ci obiecać.

Chyba tak.

Do tego momentu zdążyło się już znacznie ocieplić. Vanyel zwinął swój płaszcz i jał się zastanawiać, czy powinien wyjąć czapkę. Na bogów! Zmieńże temat, nim znów wpędzisz się w dołek tymi swoim rozmyślaniami.

Sądzisz, że ojcu uda się utrzymać matkę z dala ode mnie?

Nie do końca.

Też tak myślę. — Znów poczuł ból w ramionach. Splótł ręce z tyłu, za plecami, i przeciągnął się, spoglądając na błękitne, bezchmurne niebo. — *A to oznacza, że matka będzie usiłowała mnie leczyć, zsyłając na mnie wszystkie pełnoletnie dziewczyny mieszkające w promieniu dziesiątek mil. Jeszcze trochę, a zaczną ich żałować bardziej niż samego siebie.*

I powinieneś, Vanyelu.

Vanyel popatrzył ze zdumieniem na uszy Yfandes.

Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że mógłbyś złamać znaczną ilość tkliwych młodych serduszek?

Vanyel podejrzliwie uniósł brwi.

A czy ty troszkę nie przesadzasz?

Pomyśl tylko! A ta dziewczuszka z pałacowej kuchni, którą tak oczarowałeś?

Vanyel wzdrygnął się na wspomnienie romantycznego rozmarzenia w oczach dziewczyny i zaraz irytacja wzięła nad nim górę.

Yfandes, nigdy nie zrobiłem nic poza okazywaniem im zwykłej grzeczności.

Yfandes parsknęła.

Ano właśnie. Zastanów się nad tym. Jesteś dla nich grzeczny. Szarmancki. Zdarza się, że nawet zbyt grzeczny. Pomyśl tylko, jaka przepaść dzieli twoje życie od życia tej dziewczki kuchennej. Czego, na bogów, jak myślisz, spodziewała się ta dziewczyna, gdy byłeś dla niej taki grzeczny? Co robi każdy młody człowiek na stanowisku, gdy przyuważy gdzieś służącą albo chłopską córkę?

Teraz Vanyel był już nie tylko zirytowany.

*Chyba nie przyszło ci do głowy, że ona zachowywała się tak z tej prostej przy-
czyny, iż jestem heroldem, całkowicie bezpiecznym obiektem romantycznych ma-
rzeń. Wielkie nieba, Yfandes, wątpię, żeby ona miała pojęcie, jaką zajmuję pozy-
cję!*

A te wszystkie młode kobiety, które podtyka ci pod nos twoja matka, opowiadając im, że są przyszłymi pannami młodymi?

Mogę sobie wyobrazić, że matka opowiada im dużo rzeczy — rzucił ze złością, zaczynając się rumienić. Był bardzo rad, że nie ma w pobliżu nikogo, kto mógłby podsłuchać tę rozmowę.

A więc jesteś w błędzie. Rozmawianie ze służącymi uwłacza jej godności. A co do innych dziewcząt, mówi im tylko, że, cytując: „straciłeś swą pierwszą miłość w tragicznych okolicznościach”. A jak ci się wydaje, co, na bogów, one mają ochotę zrobić w takiej sytuacji?

Na bogów, Yfandes, czy ja w jakiś sposób jestem temu winien? Miałem je przesłuchiwać, kiedy uganiały się za mną?

Ty — odrzekła Yfandes, a każde jej słowo spadało na niego jak lodowa gruda — nigdy o nic nie pytałeś. Nie kwapiłeś się pytać. Nie chciałeś pytać. Nigdy nie przemknęło ci przez myśl, że Withen wcale nie ma zamiaru rozgłaszać, iż jego pierworodny woli mężczyzn?

Yfandes — odparł Vanyel po długiej, gorzkiej chwili milczenia. — Nie rozumiem, co cię to obchodzi. To nie ma nic wspólnego z moimi obowiązkami jako herolda.

Teraz ona milczała.

Masz rację. Przepraszam. Zagalopowałam się. Chciałam... chciałam tylko, abyś zastanowił się nad tym, co się dzieje.

Czy tak się właśnie zachowywałam? — zapytał cicho.

No cóż... tak.

A więc powinienem cię przeprosić. Nie mogę sobie pozwolić na takie gwałtowne reakcje... nawet w sprawach osobistych.

I... na bogów, nie wówczas gdy mogę kogoś zranić.

Yfandes poczuła ulgę. A potem nagłą ochotę na odrobinę sarkazmu.

O, zaczęłaś już myśleć. W samą porę. Teraz będziesz się pławił w samooskarżeniach?

Jakaś nuta w tonie jej myśli i dobór słów, jakich użyła, sprawiło, że Vanyel zatrzymał się na moment.

Chwileczkę, niech no tylko przyjrzą się temu od innej strony.

Przywołał na pamięć całą listę młodych kobiet, które podsyłała mu lady Tresa. i przypomniał sobie, jak reagowała każda z nich, gdy Vanyel nie poddawał się jej urokom. A im dłużej o tym myślał...

Trochę przesadziłaś, prawda?

No cóż... rzeczywiście. Ale tak przedstawia się sytuacja. Jak masz zamiar sobie z nią poradzić?

Chyba zachowując ostrożność. Ale będę musiał uważać na to, co mówię.

Świetnie. Wciąż jeszcze potrafisz myśleć.

Dziewczyny, które nasyła na mnie matka, to te najtwardsze sztuki. Jeśli powiem im prawdę, zranię ojca, a w najlepszym razie okryję go wstydem. Nawet jeśli uda mi się nakłonić je do milczenia, i tak wszystko wyjdzie na jaw.

A więc?

Nie wiem. Ale zastanowię się nad tym.

No, teraz mówisz jak Vanyel, którego Wybrałam. — Ton jej myśli był ciepły i pełen aprobaty. — Już nie tylko „reagujesz”.

Niebiosa, w czasie ostatniego roku zupełnie ogłuchłem i oślepiłem, prawda?

No cóż... to prawda. Miałeś ku temu powody, ale...

Vanyel z wolna pokiwał głową.

Przez ostatni rok przybyło mi wiele przyzwyczajzeń.

Właśnie. Nie możesz pozwolić, aby rządziło tobą serce i przyzwyczajenia. Będąc tym, kim jesteś, i władając mocą, którą władasz, nie możesz się im poddawać. Wyobraź sobie, co by się stało, gdybyś reagował emocjonalnie na polu bitwy. Wyobraź sobie, co by było, gdyby twym postępowaniem kierowały odruchy, a nie zasady taktyki.

Wyobraził to sobie. I wzdrygnął się.

Podróżując tą drogą, zawsze zatrzymywał się w Gospodzie w Pół Drogi. Jej nazwa była świadomie utworzonym kalamburem, zajazd bowiem znajdował się w samym środku lasu, który odgradzał Forst Reach od reszty królestwa.

W pewnym sensie to tutaj rozpoczęła się droga Vanyela do życia, jakie wiódł teraz. Gospoda ta bez wątpienia odnotowała jego przejście do innego świata, gdyż młody Vanyel Ashkevron, więzień niemalże swej eskorty, nie wzbudzał kiedyś zainteresowania takiego, jakim teraz otaczano maga heroldowi Vanyela.

Zajazd był wręcz ogromny i gdy wszystko toczyło się normalnym rytmem, rzadko który podróżny miał okazję spotkać właściciela. Herold jednakże stanowił wyjątek. Gospodarz zajazdu osobiście zaspokajał każdą zachciankę Vanyela, co wcale nie znaczy, że było ich wiele. Sam zajazd zaś był wystarczająco przestronny i wygodny nawet dla tych, którzy nie zasługiwali na uwagę tak szczególną jak Vanyel.

Tutaj nie odnoszono się do niego z takim uwielbieniem jak w innych gospodach na trasie jego podróży. Vanyel był „tutejszy”, a ludzie związani z zajazdem i większość tych, którzy właśnie się tu zatrzymali, znali jego rodzinę i posiadłość. Zamiast z uniozoną czcią, odnosili się do niego raczej z dumą, że w jakimś sensie przynależy on do nich; jak gdyby blask czynów, których Vanyel dokonał, promieniował zarazem i na nich, a sława, którą zdobył, i im przynosiła sławę. Wyglądało to zupełnie tak, jak gdyby mieli oni jakiś swój udział w przeobrażeniu się Vanyela w człowieka, którym był teraz.

W jakimś sensie może istotnie mieli w tym jakiś swój udział. Gdyby wydarzenia, do których doszło tutaj, nie sprawiły, że poczuł się tak bardzo wyobcowany z reszty świata, może jego reakcja na Tylendela nie byłaby tak silna.

Wyjechali z Gospody w Pół Drogi zaraz po wschodzie słońca z nadzieją, że dotrą do Forst Reach najpóźniej wczesnym popołudniem. Ostatni odcinek drogi do domu Vanyel zawsze pokonywał w niebywale krótkim czasie... ale zawsze też opuszczał dom jeszcze szybciej niż przyjeżdżał... .

Mimo to, nim od chwili wyjazdu upłynęła jedna miarka świecy, a pod drzewami panowała jeszcze ciemność, Vanyel zatrzymał Yfandes. W powietrzu unosił się zapach wilgoci zabarwiony wonią gnijących liści z domieszką piżma. Nie śpiewały ptaki i nic nie wprawiało w szelest suchych liści na ziemi w dole ani gałęzi drzew w górze. Ten las zawsze był milczący; jednakże tego poranka jego cisza zdawała się aż nazbyt głęboka.

Coś tu Jest nie tak — powiedział Vanyel, wyprostowując się w siodle i nieco szczerzej otulił się płaszczem.

Też to wyczuwam — zgodziła się Yfandes — *ale jest to coś ledwie dostrzegalnego*.

Ten las — bez nazwy, o ile Vanyel sobie przypominał — przerażał go, doprowadzając niemal do hysterii, gdy podróżował przezeń po raz pierwszy. Teraz wiedział dlaczego. Miejsce to przesycone było magią, prastarą magią w rodzaju tej, którą posługiwali się mieszkańcy Tayledras; magią, z której tak często oczyszczali ziemię, przysposabiając ją do bardziej „zwykłego” ludzkiego osadnictwa. Była to magia, która czyniła Wzgórza Pelagris miejscem nawiedzonym przez odmieńców. Każdy, kto posiadał choćby dar magii, odczuwał jej działanie wystarczająco silnie, by natychmiast ogarnął go smutek i niepokój.

Jednakże tutejsza magia przez długi czas pozostawała uspiona.

Sprawdź to — powiedział Vanyel i zamknął oczy. Potem zagłębił się w otchłań energii i wynurzył się... .

Magia wciąż tam była. ale teraz drzemała jeszcze głębiej pod powierzchnią lasu, głębiej niż wówczas, gdy Vanyel przejeżdżał tędy poprzednio. Teraz, gdy jego dar był już w pełni wykształcony, Vanyel dostrzegał nawet pewne ślady mówiące o tym, że biegli z Tayledras już przynajmniej dwukrotnie odprowadzali stąd energię. To z kolei oznaczało, że jej natężenie powinno być „bezpieczne”. Sokoli Bracia, gdy opuszczali jakieś miejsce, nigdy nie pozostawiali po sobie nie ujarzmionych magicznych mocy.

Ale oni odeszli z tego terenu już dawno temu, bardzo dawno temu, i równie dawno przeprowadzili swe zabiegi odprowadzania energii magicznej.

W istocie magia wciąż była uspiona i tkwiąc głębiej niż korzenie... . drzew, nadal pozostawała trudno dostępna. Lecz jej sen był niespokojny. Wszelkie rodzaje

magii były w jakiś sposób sobie pokrewne i wszystkie łączyły się ze sobą, dzięki czemu możliwe było używanie zaklęcia Bramy. Mała odległość pomiędzy sąsiadującymi ze sobą ogniskami poszczególnych odmian magii oznaczała silniejszy związek między nimi, a zachwianie równowagi w jednym miejscu odbijało się podobnym zachwianiem na innym obszarze.

Vanyel wyczuwał, że doszło tutaj do takiego właśnie zaburzenia. Rezonans z innym węzłem energii gdzieś daleko... najprawdopodobniej po drugiej stronie granicy, zapewne w Bares, zważywszy na fakt, że tamtejsza rodzina panująca składa się z samych magów. Coś gdzieś z wielką mocą zakłócało stabilność pokrewnego pola energetycznego, a pole znajdujące się w tutejszym lesie odpowiadało na to zaburzenie podobnie jak reaguje struna lutni, gdy szarpniemy strunę sąsiednią.

Lecz odległość była zbyt wielka, a rezonans za trudny do wychwycenia, aby Vanyel potrafił ocenić, kto za tym stoi albo gdzie znajduje się źródło zakłóceń i jak wykorzystywana jest uzyskana w ich wyniku energia. Chociaż...

Vanyel ocknął się z transu i namyślając się, przygryzł wargi.

Yfandes, wyczułaś coś?

Nie więcej niż ty — odparła z niepokojem, ruszając z miejsca bez zachęty Vanyela. — *Poza tym, że źródło tego wszystkiego jest czymś złym.*

Nie zamierzam cię prosić, abyś próbowała dotrzeć tam, gdzie ja nie potrafię sięgnąć, ale mnie też się to nie podoba. Zwłaszcza teraz, gdy na granicy jest tak niespokojnie. Zaczynam się zastanawiać, czy aby ktoś nie usiłuje przeforsować jakichś swych planów... a jeśli tak, to co robi i do czego zmierza.

Powiedz o tym Lissie. Tylko tyle możesz teraz zrobić.

Vanyel z niepokojem rzucił okiem na prawo i lewo.

Obawiam się, że masz rację, moja kochana — przyznał, — *Obawiam się, że masz rację.*

ROZDZIAŁ CZWARTY

Pomimo to co powtarzał sobie w duchu, pomimo to, że był już człowiekiem dorosłym o doświadczeniu jakiego Withen nie byłby nawet w stanie sobie wyobrazić, w momencie gdy przekroczył bramę na granicy Forst Reach, Vanyel poczuł, że ramiona zaczynają mu drętwieć. Potem, nim dojechał do wrót w murze okalającym Wielki Zamek, musiał już wręcz walczyć ze sobą, aby usiedzieć w siodle z podniesioną głową, a nie kulić się w sobie jak markotne, przestraszone dziecko.

Zawsze to samo. Poza tymi murami mogę być magiem heroldów, który ma prawo strofować nawet samego króla, ale wewnątrz nich pozostaję Vanyelem, synem marnotrawnym z przyzwyczajeniami, o których się nie mówi, i o gustach, które najlepiej grzecznie ignorować. Na bogów, kiedy wreszcie zaczną akceptować mnie takiego, jaki jestem.

Może nigdy. A może wtedy, gdy ty sam zaakceptujesz siebie, mój Wybrany.

Ta spontaniczna odpowiedź trochę go ubodła.

Może — ciągnęła Yfandes — gdy sam się dowiesz, kim jesteś, i będziesz co do tego miał taką pewność, że przekroczenie tej bramy me będzie już w stanie zredukować cię do wyrostka.

Vanyel rzucił okiem na głowę Yfandes, a potem popatrzył przed siebie, na drogę, u której kresu znajdował się ów cel jego podróży wprawiający go teraz w tak złe samopoczucie.

Czyżbyś chciała przez to powiedzieć, że nie wiem, kim jestem?

Yfandes nie odpowiedziała, ale przyspieszyła krok do truchtu — tego bardziej swobodnego — i podążyła ku ostatniemu zakrętowi na drodze obiegającej w tym miejscu wzgórze, za którym ich oczom ukazał się sam zamek Forst Reach, wielki szary kolos na tle cudownego jesiennego nieba.

Budowla ta była niegdyś twierdzą obronną i nadal coś w jej wyglądzie przypominało ówczesny klocowaty, pełen powagi gmach. Już dawno temu zamek odnowiono i przekształcono w dużo wygodniejszy od poprzedniego budynek mieszkalny, jednak nawet z takiej odległości Vanyel dostrzegał delikatny zarys fosy kryjący się pod bujną trawą rosnącą wokół zamku. Otoczony nowszymi, mniejszymi budynkami z białoną sztukaterią zamek przypominał wielką i dość złośliwą

szarą granitową kurę siedzącą pośród stada bledszych kurczaków.

Ktoś go wypatrywał. Vanyel zobaczył małą figurkę o nieokreślonej płci, która opuściwszy swą pozycję na niewielkim wzgórku przy drodze, pobiegła ku głównemu budynkowi. Potem figurka utonęła gdzieś w okolicy jednej ze starych bocznych bram, które teraz przerobione były na drzwi, a Vanyel domyślił się, że chłopak (a może dziewczyna, choć najprawdopodobniej był to jeden z paziów) pobiegł zawiadomić o jego przybyciu pozostałych mieszkańców zamku. Heroldowie nosili szaty, dzięki którym ich sylwetki były dobrze widoczne z każdej odległości, a było ich w Valdemarze tak niewiele, że można było z góry założyć, iż heroldem zbliżającym się właśnie do Forst Reach jest nikt inny tylko Vanyel.

Jakby na potwierdzenie tego faktu ludzie zaczęli wylewać się ze wszystkich drzwi budynku i nim Vanyel i Yfandes dotarli do głównego wejścia — monstrualnych rozmiarów, imponujących wrót z czarnego dębu zajmujących miejsce niegdysiejszej bramy wjazdowej na centralny dziedziniec — oczekiwała ich już liczna grupa ludzi.

Jak to zwykle bywa przy powitaniach, otoczył Vanyela istny jazgot — Tressa chlipała, ściskając go, Withen ostrożnie poklepał go po ramieniu, a bracia poszli za jego przykładem. Jak zwykle też doszło do krótkiego śpięcia, gdy Withen rozkazał paziowi „odprowadzić konia Vanyela”, a Vanyel — już po raz nie wiadomo który — musiał wyjaśnić ojcu, że Yfandes nie jest koniem, a Towarzyszem i jego partnerką, i że on sam będzie się nią zajmował. I jak zwykle Withen zdał się zdezorientowany i pełen podejrzeń, zupełnie jak gdyby łamał sobie głowę, czy aby jego syn nie jest, nie daj boże, ciut pomyłony.

Vanyel jednakże był stanowczy — jak zwykle — i postawił na swoim. Gdyby nie nalegał (jak podczas pierwszej swej wizyty w domu), Yfandes zostałaaby ogołocona z uprzęży, solidnie wymasowana, a potem zamknięta na cztery spusty w stajni, jako „cenne zwierzę”, którym najwidoczniej była w oczach Withena. Van nie wiedział wówczas, jak potraktowano Yfandes, dopóki ona sama nie porozumiała się z nim myśłomową w czasie kolacji, prosząc, aby przyszedł i wypuścił ją, ponieważ sama nie mogła osiągnąć zamka na drzwiach swej przegrody.

Tamtego wieczoru natychmiast poszedł do stajni, zostawiając na talerzu nie dokończoną kolację, i przy użyciu magii w jednej z przestronnych przegród, gdzie Withen umieszczał zwykle klacze ze źrebakami, stworzył nowe drzwi prowadzące prosto na zewnątrz. Odtąd, kiedy tylko przyjeżdżał do domu, przegroda ta należała do Yfandes, nawet jeśli najpierw Vanyel sam musiał wyprowadzić stamtąd inną klacz i własnymi rękami wyszorować drewnianą podłogę. W dodatku bez względu na to, jakie nowe sprytne urządzenie Withen zakładał na drzwiach, by ich nie otwierano, Vanyelowi zawsze udawało się przechytryć je swą magią, tak że Yfandes mogła wchodzić i wychodzić ze stajni, kiedy tylko miała na to ochotę. Może Withen się dziwił, dlaczego przegrody Yfandes nie trzeba sprzątać; bez wątplenia zastanawiało to stajennych. Wyglądało na to, że Withen nigdy nie pojął,

iż Yfandes jest naprawdę dokładnie taka, jak opisywał ją jego syn; że to wspa-
niała, myśląca, inteligentna istota, mogąca poszczycić się manierami i smakiem
prawdziwej damy, której zrządzeniem losu przytrafiło się przyjść na świat w ciele
konia.

Yfandes nie była tym wszystkim zachwycona. Vanyel często myślał o tym,
że postąpił słusznie, nie wspominając jej o propozycji Withena. Ojciec zażądał
bowiem od Vanyela, by ten pozwolił mu pokryć Yfandes najlepszym ogierem
z jego stajni, bo w przeciwnym razie zmusi go do użycia magii przy łątaniu szpar
w ścianach stajni zamiast do wycinania w nich dodatkowych drzwi.

Tym razem przynajmniej, dzięki częstemu powracaniu do tej samej sprawy,
okazało się, iż Withen nauczył się już, że przestronną przegrodę trzeba było przed
przyjazdem syna opróżnić, wyszorować i wyłożyć słomą. Mimo to jednak po-
został mu nawyk zamykania na zasuwę i podwójny zamek drzwi prowadzących
bezpośrednio na zewnątrz.

Widząc to, Vanyel westchnął tylko, a potem przy pomocy magii sforsował
skomplikowane zamki i otworzył na oścież górną część drzwi. Łańcuch od dol-
nej ich części przełożył przez otwór, do którego Yfandes sama mogła dosięgnąć,
po czym przerzucił zawartość swych juków w poszukiwaniu dłuższego sznurka,
dzięki któremu Yfandes mogłaby sama otwierać i zamykać drzwi. Oczywiście
sznurek, który zostawił tam poprzednim razem, zniknął.

Bardzo jesteś głodna? — zapytał i zdjętą z niej uprząż przewiesił przez prze-
grodę stajni, by umyli ją stajenni, a potem zaczął czyścić Yfandes. Kurz ze słomy
kręcił go w nosie, chciało mu się psikać.

Bardzo — odparła Yfandes, sprawdzając, czy warstwa słomy jest dość gruba,
i pokiwała głową z aprobatą. — *Wytrzymaj tylko pot i rozczesz mi ogon. Mam zamiar
się wytarzać, a może nawet popływać w stawie.*

Vanyel usłyszał kroki Withena na ścieżce prowadzącej do stajni i przeszedł na
myśłomowę.

*Dobrze, kochana, tylko weź tę kąpiel tak, aby nikt cię nie widział, bo inaczej
przyślą polowe stajennych, aby cię wyciągali z wody. A teraz posłuchaj. Idę o za-
kład, że ojciec powie: „Jesteś pewny, że powinieneś zostawiać jej aż tyle obroku
po tak długiej podróży? Może dostać ochwatu.”* — Skończył czesanie, zdjął z haka
wiadro i poszedł przynieść dla niej ziarna.

— Jesteś pewny, że powinieneś zostawiać jej aż tyle obroku po tak długiej
podróży? — odezwał się z powątpiewaniem Withen, stojąc w drzwiach stajni.
Jego kanciasta sylweta zasłaniała niemal zupełnie światło wpadające z dworu. —
Może dostać ochwatu.

— Ojczy, to nie koń. Ona nie jest taka głupia, żeby opychać się bezmyślnie.
Powiedziała mi, że jest bardzo głodna. Mamy za sobą ciężką służbę i obydwójce

musimy trochę przybrać na wadze. — Vanyel powiesił wiadro z mieszanką ziarna tak, aby Yfandes mogła łatwo do niego sięgnąć. — *A teraz powie: „Ty chyba wiesz najlepiej, synu, ale...”*

— Ty chyba wiesz najlepiej, synu, ale... — Withen zbliżył się ostrożnie do przegrody, gdy Vanyel przerzucał siano.

— Ojciec, czy po długim dniu pracy podczas żniw objadałbyś się do nieprzytomności? — W porze żniw Withen stawiał sobie za punkt honoru spędzenie po jednym dniu z każdym ze swych dzierżawców i przepracowanie kilku dni w polu, u boku swych własnych najemników. Była to jedna z wielu czynności, które podejmował, aby zbliżyć się do swych poddanych.

— No cóż... — Grube brwi Withena zmarszczyły się, nadając jego twarzy wyraz niepewności — ...nie.

— Więc ona także tego nie robi. — Vanyel wypłukał wiadro na wodę dla Yfandes, napełnił je absolutnie czystą, zimną wodą i powiesił je obok wiadra z obrokiem. Withen postąpił krok naprzód, jak gdyby nie mógł ustać w miejscu.

— Synu, ona zabrudzi tę wodę.

— A czy matka wrzucałaby jedzenie do wina w swym pucharze? — wycedził Vanyel.

— No...nie.

— Więc Yfandes też tego nie robi. Ponieważ ma lepsze maniery niż matka.

Lekko musnął Yfandes swą myślą.

Wszystko w porządku, kochana?

Tak, mój drogi. — Myśl Yfandes aż wibrowała z rozbawienia. — *Czy on cię tak traktuje za każdym razem, gdy przyjeżdżamy?*

Vanyel podrapał ją między uszami, a ona z radości położyła je po sobie.

Mniej więcej tak samo. Zwykle nie idzie za mną do stajni, ale za to muszę wystłuchiwać tego samego kazania, gdy ojciec dowiaduje się od stajennych, co ja z tobą robię. Uważaj na tego, tak zwanego, ogiera z hodowli Shin'a'in. Chyba czasem puszczają go luzem, aby się wybiegał na łące. Może cię zaczepiać. Może sobie wyobrazić, że jesteś jedną z jego klaczy, i wtedy da ci popalić.

Yfandes delikatnie pokazała przednie zęby.

Chciałabym zobaczyć, jak wypróbowuje na mnie którąś ze swych sztuczek. Umiem walczyć.

Vanyel niemalże wybuchnął śmiechem.

No, kochana, tak go przestraszysz, że opuści go potencja. I jak ja to wytłumaczę Mekealowi?

Rzecz jasna, użyjesz swego sprytu. Zmykaj. Ojciec już się złości.

— W porządku, ojciec, Yfandes mówi, że bardzo jej wygodnie — powiedział na głos, powstrzymując się od śmiechu. — Chodźmy.

— Jesteś pewny, że powinniśmy ją tak zostawiać? A co będzie, jeśli ucieknie?

— Ojczy — westchnął Vanyel, w duchu prosząc bogów o cierpliwość. — Chcę, aby mogła swobodnie wchodzić i wychodzić, kiedy tylko przyjdzie jej na to ochota.

— Ale...

Vanyel był ciekaw, czy ojciec kiedykolwiek słucha tego, co mówi jego syn.

— Ona nie jest — powtórzył po raz setny — koniem.

Vanyel zszedł na kolację w samą porę, choć równie dobrze mógłby się obejść bez tej przyjemności. Mimo to, gdy tylko wziął kąpiel, rozlokował się w najlepszym pokoju gościnnym i nałożył czyste ubranie — nie uniform, wszak nie był teraz na służbie — zdrowy rozsądek wziął górę nad niechęcią. Kiedy wezwano go na kolację, podążył za paziem i zajął swe miejsce przy wysokim stole. Withen usiłował posadzić go po swej prawej ręce, pomiędzy sobą a lady Tressa, Vanyelowi jednak udało się przekonać go, by wolno mu było usiąść na miejscu w końcu stołu zwykle przeznaczonym dla gościa, a teraz zajmowanym przez Radevela, którego konieczność przeniesienia się do niższego stołu wcale nie zdawała się martwić.

Dzięki temu, że siedział przy końcu stołu, Vanyel nie musiał rozmawiać z dwiema osobami naraz. Jego sąsiadką okazała się chuda, mała rudowłosa żona Mekeala, Roszia, która zdjęła zeń ciężar prowadzenia konwersacji. Roszia szczebiotała bez przerwy niczym wróbel, jak gdyby nie potrzebowała przerw nawet na zaczerpnięcie nowego oddechu. Vanyelowi zatem pozostawało tylko kiwanie głową i wydawanie nieznacznych dźwięków oznaczających zgodę lub też, od czasu do czasu, zaprzeczenie i w zasadzie wcale nie miał nic przeciwko takiej swej roli. Ploteczki Roszii przepęłniała radość i nie było w nich ani cienia złośliwości. Jedyłą rzeczą, jaką można jej było zarzucić, było jej głębokie przekonanie, iż Vanyel zna wszystkie arystokratyczne rodziny w promieniu wielu mil. Ona znała.

Ciemny, wysoki Wielki Refektarz zdawał się teraz jeszcze ciaśniejszy niż Vanyel pamiętał. Dopiero po przeliczeniu głów biesiadników uświadomił sobie, że jest ich dwa razy więcej niż za czasów, gdy był piętnastoletnim chłopcem. Mrugał powiekami, nie dowierzając własnym oczom, lecz liczba ludzi pozostawała wciąż ta sama. Niski stół był teraz przedłużony, a na jego końcu dostawiono w poprzek jeszcze jedną ławę, tak że wraz ze stołem wysokim wszystkie stoły tworzyły teraz literę H.

Wysoki stół także nieco się wydłużył podczas nieobecności Vanyela. W chwili gdy wysłano go do jego ciotki, Savil, do Przystani, zasiadali przy stole wysokim tylko Withen, Tressa, Jervis, ojciec Leren oraz goście, którymi w owym czasie były ciotka Vanyela, Senna, i jej uzdrowicielka. Teraz, poza tamtymi czterema osobami, przy stole tym miały swe miejsca również wszystkie niezamężne i nieżonate dzieci Withena oraz wszyscy trzej żonaci synowie wraz ze swymi małżonkami.

Wielkie nieba, to nie rodzina, to plemię!

Jedyną osobą, której zdawało się zabraknąć od czasu poprzedniej wizyty Vanyela, była jego najmłodsza siostra, Charis. Poza tym wyglądało na to, że pośród rodzeństwa, które nie założyło jeszcze własnych rodzin, pozostali już tylko sami chłopcy. Po chwili namysłu Vanyel odniósł wrażenie, że przypomina sobie, iż krótko przed śmiercią Elspeth otrzymał wiadomość o ślubie Charis. Czy wysłałem jej prezent? Na pewno, inaczej zaraz bym się o tym dowiedział. Tak... teraz sobie przypominam... posłałem jej ten obrzydliwie dewocyjny gobelin przedstawiający Panią Płodności. Na szczęście Mekealem i Roszią zajęła się za mnie ciotka Savil, a Deleranowi z kolei sam posłałem te paskudne lichtarze ze srebra i kryształu...

Ale... bogowie, czy dałem jakiś prezent Kasterowi i... och... jak tam jej na imię? To było zaledwie siedem czy osiem miesięcy temu. Wpadłem wtedy w niezłe tarapaty na granicy... nie... pamiętam...

Vanyel gryzł się tym okrutnie, ale niedługo. Już po chwili bowiem, pomiędzy jedną ploteczką a drugą, Roszia napomknęła coś na temat „wspaniałych zasłon do łoża, którymi Kaster i Ria byli tak zachwyceni”. Rzecz jasna, dla niego oznaczało to, że nawet jeśli rzeczywiście sam nie zatroszczył się o ów prezent, z pewnością Savil musiała wysłać coś w jego imieniu. Dopiero ta wiadomość pozwoliła mu się nieco odprężyć. Ze szczebiotania Roszii dowiedział się jeszcze, iż, jak dotąd, ona i Mekeal doczekali się już sześciorga dzieci; Deleran i jego żona mają ich dwoje, a świeżo upieczona żona Kastera już zdradza oznaki znacznego zaokrąglenia...

Zdaje się, że rozwiązanie nastąpi lada chwila. O Panie i Pani, mój brat i jego żona nie tracili czasu.

Na myśl o tym wręcz zakreśliło mu się w głowie. Forst Reach było wprawdzie majątkiem niemałym, teraz jednak musiało już chyba pękać w szwach.

Vanyel uświadomił sobie nagle, że jego zachowaniu zarzucić by można, iż nazbyt mało zainteresowania okazuje świeżo upieczonej żonie brata. Tymczasem Roszia, kołysząc w umiejętnej imitacji gestów Tressy swymi obciążonymi pierścieniami dłońmi, rozpoczęła swą na wpół fantastyczną rozprawę o lady Rii. Co w tej opowieści było prawdą, a co produktem wyobraźni bratowej, Vanyel musiał domyślić się sam. Ria była jedną z dziewcząt, które umieściła na jego drodze matka, gdy odwiedzał dom rodzinny poprzednim razem. Teraz u boku Kastera Ria sprawiała wrażenie nader zadowolonej, a widok ten przynosił ulgę sumieniu Vanyela.

W jednej z nielicznych, aczkolwiek zdarzających się raz po raz, pauz, kiedy to Roszia milkła na moment, by zaczerpnąć oddechu, Vanyel ponownie przeniósł wzrok na stół niższy.

Nic dziwnego, że jest taka szczupła. Przecież ona wcale nie robi sobie przerw na jedzenie.

Po chwili Vanyel doszedł do wniosku, iż jedyną twarzą, którą rozpoznaje, gdy patrzy na stół niższy, jest twarz Radevela; pomimo że wyglądem i budową ciała charakterystyczną dla Ashkevronów wyróżniała się najmniej połowa otaczającej

kuzyna młodzieży. Radevel ochoczo zagryzał chlebem pieczeń tworzącą sporą górę na jego talerzu, a napotkawszy wzrok Vanyela, wzruszył ramionami, wskazując na gromadę dzieci i powoli, z rozmysłem, puścił doń oko.

Vanyel z trudem powstrzymał się od śmiechu. A więc ojciec nadal wychowuje tuziny kuzynostwa, a Radevel wciąż jeszcze tu tkwi. Biedaczysko. Którym on jest synem, piątym? Zdaje się, że nie ma dokąd pójść. Założę się, że to jemu właśnie ojciec powierzył opiekę nad młodzieżą. Trafny wybór. Radevel będzie umiał utrzymać ich w ryzach. Już lepiej, żeby zajmował się nimi on niż Jervis.

Uniósł oczy na pooraną twarz Jervisa, fehmistrza Forst Reach; jak się okazało w samą porę, by złapać jego złowrogie spojrzenie. Podtrzymał ten wzrok z kamienną twarzą, ale i z wewnętrznym przecuciem, że coś się wydarzy. On na pewno coś knuje. Czuję to w kościach. Świetnie, to oznacza, że przez cały mój pobyt tutaj będę się z nim bawił w kotka i myszkę. Odwrócił oczy, dopiero gdy fehmistrz spuścił wzrok, i zaraz spostrzegł, że teraz z kolei ojciec Leren świdruje go swym lodowatym, badawczym spojrzeniem wysyłanym spod na wpół przy-mkniętych powiek. Wspaniale, a zatem będę zmuszony zająć się nimi dwoma. Tylko tego mi trzeba. Znosi się na cudowne odwiedziny gniazda rodzinnego.

Vanyel jał dalej śledzić opowieść Roszii, podkreślając swe szczerze zainteresowanie odpowiednimi dźwiękami wydawanymi od czasu do czasu, i lekceważył kolejne spojrzenia Jervisa i Lerena.

Patrząc z kolei na Mekeala i Withena siedzących obok siebie, Vanyel aż przetarł oczy ze zdziwienia, widząc, jak bardzo w ostatnich latach brat upodobił się do ojca. Ojciec i brat mieli takie same szerokie ramiona; brązowe, identycznie przystrzyżone brody; brązowe włosy spięte z tyłu identycznymi srebrnymi pierścieniami; a z ich twarzy patrzyły takie same ciemnobrązowe oczy, rozwarte szeroko i szczerze niczym oczy psa. Odmienne ubrania były jedyną rzeczą, jaka ich różniła. Tylko to i kilka zmarszczek na twarzy Withena oraz parę pasemek siwych włosów w jego włosach i brodzie. Ponadto Mekeal nie miał muskułów ojca, lecz to akurat nie mogło dziwić, gdyż mięśnie Withena rozwinęły się w prawdziwej walce, podczas jego służby jako oficera straży, Mekeal zaś prawdziwej bitwy nigdy nawet nie oglądał; z wyjątkiem może sporadycznych utarczek, z bandytami. Poza tym jednak trzeba przyznać, iż Withen nie wyglądał na swój wiek; co więcej, ze swymi siwymi włosami i zmarszczkami wokół oczu Vanyel mógłby uchodzić nawet za starszego od swego ojca.

Za to Tressa nie starzała się ładnie. Wciąż, pomimo swego wieku, preferowała lekkie, zwiewne suknie w bladych kolorach przystających raczej młodej dziewczynie. Vanyel bez trudu rozpoznał, że barwa jej policzków i włosów nie są naturalne, i spostrzegłby to, nawet gdyby nie miał najmniejszego pojęcia o kosmetykach używanych przez damy na dworze Randala.

Matka wpija się w młodość zębami i paznokciami, a ta przemija bezlitośnie — pomyślał ze smutkiem. — Biedaczka. Dotychczas jedynie świadomość własnej urody i pewność, że wciąż ma mnie, dawały jej poczucie wartości, a teraz traci obie te rzeczy naraz. Z każdym rokiem staje się jej coraz bardziej obcy, z każdym rokiem jej uroda blaknie troszkę bardziej. Rzucił okiem na Roszię, która zdawała się ze wszystkich sił naśladować lady Tressę, i z ulgą dostrzegł w jej oczach błysk ożywczego poczucia humoru, którego echem pobrzmiwały także jej słowa. W samotności Tressa stałaby się zapewne zgorzkniałą, nieprzyjemną starą kobietą, lecz w towarzystwie Roszii zdecydowanie jej to nie grozi.

Pozostali bracia Vanyela zeszczupleli, zamieniając się w dość nieudane kopie Mekeala. Jedli i pili dużo, głośno przerzucając ponad stołem dowcipy i wywijając widelcami dla podkreślenia point. Pewnie mają kompletnego bzika na punkcie polowań i założę się, że polują co drugi dzień. A gdy nie polują, to się tłuką. Czy ojciec naprawdę nie widzi, że potrzeba im jakiegoś zajęcia?

Im więcej Vanyel czynił nowych spostrzeżeń, tym bardziej czuł się nieswój. W potomkach Withena aż nadto było zniecierpliwienia i wzburzenia, które wręcz domagały się jakiegoś upustu. Nic dziwnego, że Mekeal żyje nadzieją wybuchu wojny na granicy — pomyślał Vanyel, gdy kolacja dobiegała końca. — To miejsce jest jak wulkan na moment przed eksplozją. Tyle że gdy już dojdzie do eksplozji, a wyzwolona w jej trakcie energia nie znajdzie ujścia, ktoś bardzo na tym ucierpi. Albo stanie się coś o wiele gorszego.

Służba zaczęła sprzątać ze stołów, a dorośli powstali, by rozejść się do swych zajęć. Zgodnie z tradycją panującą w Forst Reach po kolacji Wielki Refektarz należał do młodzieży. Vanyel ociągał się z odejściem, dopóki większość biesiadników nie opuściła sali. Nie był w nastroju do sprzeczki z kimkolwiek i, tak naprawdę, nie miał ochoty nawet na grzeczną konwersację. Pragnął tylko ciszy swego pokoju, odrobiny czasu na czytanie i dużo, dużo snu.

Tymczasem nie można było powiedzieć, aby ostatnimi czasy bogowie mieli na uwadze jego potrzeby.

Zaraz za drzwiami czekał na niego Withen.

— Synu, co do konia. . .

— Ojcie, wciąż ci powtarzam, Yfandes nie jest. . .

Withen potrząsnął głową z wyrazem wyraźnego zniecierpliwienia na twarzy.

— Nie idzie o twego Towarzysza, a o konia Mekeala. Tego przeklętego wierzchowca, którego sobie kupił.

— Och. — Vanyel uśmiechnął się zakłopotany. — Przepraszam. Ostatnio mój umysł pracuje dość powolnie. To chyba zmęczenie.

Teraz dopiero po raz pierwszy Withen przyjrzał się synowi nieco uważniej i jego grube brwi uniosły się w trwodze.

— Synu, wyglądasz okropnie.

— Wiem — odparł Vanyel. — Mówiono mi.

— Było źle? — Withen zwrócił się do niego z takim samym zainteresowaniem, z jakim odnosił się do swych rówieśników a Vanyel aż sam się zdziwił, jak bardzo mu to pochlebiało.

— Przypomnij sobie wszystkie przerażające opowieści docierające tu z granicy, a potem pomnóż przez dwa. To da ci niejaki wyobrażenie, jak było.

Choć raz żołnierska przeszłość Withena okazała się błogosławieństwem. Dobrze wiedział, czym może być walka na granicy. Twarz sposepniała mu na moment.

— Na bogów, synu... to niedobra wiadomość. Przyda ci się zatem odpoczynek. No cóż, nie będę cię długo zatrzymywał, więc... słuchaj, zrobmy sobie może krótki spacer.

„Spacer”, o którym mówił Withen, oznaczać miał przechadzkę wzdłuż przypominającego raczej niski balkon ogrodzony balustradą kamiennego ganku biegnącego wzdłuż północnej ściany zamku. Powodów, dla których dziadek Joserlin go tam umieścił, nie znał nikt. Choć ganek wychodził na ogrody, nie było z tego żadnej korzyści, gdyż większą część widoku zasłaniały cyprysy wysadzone rzędem wzdłuż balustrady. Ponadto dojść tam można było jedynie, przechodząc przez pokój na bieliznę i rzadko kto korzystał z tego cichego zakątka, chyba że bardzo zależało mu na samotności.

To z kolei czyniło ów ganek doskonałym wprost miejscem do odbycia prywatnej rozmowy.

Oczekiwał tam na nich tylko pochmurny, mglisty zmrok przesycony zapachem dymu z palącego się drewna. Vanyel podszedł do balustrady i usiadł na niej, Withen zaś powrócił do swego tematu.

— Otóż co do tego konia... widziałeś go?

— Niestety, tak — odparł Vanyel. Okno jego pokoju wychodziło na łąki, gdzie konie puszczano luzem na popas, dlatego też Vanyel miał już sposobność przyrzec się owemu „rumakowi z hodowli Shin’a’in”. Widział go, akurat gdy ten, wierzgając i podskakując, starał się zrobić wrażenie na Yfandes biegnącej na sąsiedniej łące. Yfandes najwyraźniej miała za nic jego zaloty.

— Przykro mi to mówić, ale Mekeal został oszukany. Widziałem rumaki z hodowli Shin’a’in. Nie grzeszą urodą, ale nie są aż tak brzydkie jak ten zwierz. Przede wszystkim są mniejsze, nie przystosowane do noszenia człowieka w zbroi, tylko wędrownych łuczników konnych. Mają wprawdzie wyjątkowo silne zady, ale przednia część ich ciała jest równie mocna; ponadto są nieco krótsze. Ty powiedziałbyś zapewne, że są bardziej „zwarte”. Łby natomiast mają nieproporcjonalnie duże w stosunku do reszty ciała. Z wyjątkiem koloru ten podjezdek Mekeala nie ma nic wspólnego z rumakami bojowymi Shin’a’in. A poza tym jest tylko jeden sposób, aby ktoś z zewnątrz zdobył takiego konia: musiałby ukraść młode-

go, nie wytresowanego ogiera, wyciąć do nogi cały klan, od którego go zabrał, a potem wyciąć wszystkie inne klany, które zaczęłyby go ścigać. To po prostu nierealne. Może i ten ogier ma w sobie jakąś domieszkę krwi Shin'a'in, ale nawet jeśli tak jest, musi to być krew zwierzęcia wycofanego ze stada i przygotowanego do zarżnięcia.

Withen skinął potakująco.

— Przypuszczałem, że może tak być. Widywałem ich wierzchowce, takie które nam sprzedają. Piękne stworzenia. . . dlatego wiedziałem, że ten nie może być jednym z nich. To potwornie głupie zwierzę, nawet jak na konia, i aż za bardzo rzuca się to w oczy. Jest narowisty i złośliwy, także w stosunku do innych koni. Pogryzł nawet klacz, którą podstawił mu Mekeal. Nie jest jeszcze ujeżdżony i wcale nie jestem pewien, czy w ogóle można go jakoś ułożyć. Zresztą sam wiesz, co myślę o tym wszystkim.

Vanyel wykrzywił twarz w półuśmiechu. Jediną rzeczą, na jakiej Withen dobrze się znał, były jego konie, a żelazną zasadą obowiązującą w jego stajni było to, że wszystkie konie — czy to ogierzy, czy wałachy — musiały być ujeżdżone i regularnie odbywać treningi pod siodłem. Żaden nie miał prawa się lenić. Gdy nie kryły albo nie były kryte, pracowały. Dzięki temu łatwiej było zapanować nad nimi w okresie rozplodu. Większość ulubionych wierzchowców Withena była też jego najlepszymi reproduktorami.

W jednym z cyprysów zaświergotał drozd i Vanyel poderwał się na ten niespodziewany dźwięk. Gdy usiłował powstrzymać gwałtowne bicie serca, Withen ciągnął dalej:

— Żadnemu ze stajennych nie spadł jeszcze włos z głowy, ale zastanawiam się, czy nie zawdzięczają tego wyłącznie brakowi okazji. A Mekeal chciałby tym ogierem pokryć połowę klaczy łowczych!

Vanyel potrząsnął głową. Do licha! Mam nadzieję, że wkrótce mi przejdzie ta nadwrażliwość na każdy dźwięk i cień. Jeżeli nie zdołam się uspokoić, mogę komuś wyrządzić krzywdę.

— Nie wiem, co ci odpowiedzieć, ojciec. Jeśli mam być szczerzy, to dałbym tego przekłętego konia wykastrować i zaprząć do pług. Moim zdaniem tylko do tego się nadaje. Można by go też wykorzystać do uczenia co bardziej doświadczonych jeźdźców jak postępować z nieokrzesanym koniem. Ale przecież ja jestem heroldem, a nie ziemianinem, i nie mam żadnego doświadczenia w hodowli koni. Mekeal na pewno nie omieszka mi tego wytknąć, ledwie zdążę otworzyć usta.

— Ale widziałeś prawdziwego rumaka bojowego Shin'a'in — nalegał Withen.

— Tak, raz. Z prawdziwym członkiem klanu Shin'a'in na. . . grzbiecie. Otóż ten nomada powiedział mi, że Shin'a'in nie pozwalają swym koniom choćby zbliżać się do granicy Równin Dorisza. Tylko klacze, jak to określił, „idą w świat”. — Nawet w niemal całkowitej ciemności i bez odwoływania się do któregośkolwiek ze swych darów Vanyel spostrzegł, że ojciec aż się trzęsie z ciekawości. Bodaj

raz na pokolenie mógł Valdemar oglądać owiane legendą wierzchowce Shin'a'in. Samych członków klanu jednakże widziało dotąd bardzo niewielu mieszkańców królestwa, a już prawdopodobnie nikt przed Vanyelem nie spotkał nigdy nomady na jego rumaku.

— To był strażnik przyboczny, ojcze — odpowiedział Vanyel, uprzedzając pytanie Withena. — Tamten nomada był strażnikiem przybocznym jednego z ich szamanów, a spotkałem ich obu w Wąwozie k'Trevów. Bardzo wątpię, czy ów szaman w ogóle potrzebował straży; chyba że ze względu na wiek, bo miał już niemal osiemdziesiąt lat. Powiadam ci, ojcze, był to najtwardszy osiemdziesięcio-latek, jakiego widziałem. Przybył wówczas z prośbą, by ludzie z Tayledras pomogli mu pozbyć się pewnego potwora, któremu tak bardzo spodobaly się Równiny i zasmakowały tamtejsze konie, że postanowił wprowadzić się tam na stałe.

Withen zadrzał z lekka. Nie lubił rozmów o magii, a fakt, iż jego syna uczyli owi legendarni Sokoli Bracia, drażnił go niemal tak samo jak preferencje seksualne Vanyela.

Drozd zawołał raz jeszcze, ale tym razem Vanyel zdołał opanować nerwowość i nie wyskoczyć ze skóry.

— W każdym razie nie obiecuję nic, z wyjątkiem tego, że będę próbował przekonać Mekeala. Lecz chcę cię ostrzec, zamierzam podejść do tego jak do najdelikatniejszych negocjacji. Nawet jeśli uda mi się coś osiągnąć, efekt nie od razu będzie widoczny, Mekeal jest równie uparty jak jego ogier i przywiedzenie go do rozumu będzie wymagało ostrożności i mnóstwa argumentów.

Withen pokiwał głową.

— No cóż, na nic więcej nie liczyłem. Sam w ogóle nie dawałem sobie z nim rady i dlatego tylko poprosiłem cię o włączenie się w tę sprawę. Nie najlepszy ze mnie dyplomata. Vanyel wstał z balustrady i skierował się do drzwi.

— Prawda jest taka, ojcze, że ty i Mekeal jesteście do siebie bardzo podobni.

Withen zaśmiał się.

— Prawda jest taka, synu, że masz słuszość.

Vanyel spał aż do południa. Pokój gościnny znajdował się we frontowej części budynku, z dala od krzątany przy stajni i na dziedzińcach, a zasłony wokół łóżka były tak grube i nieprzepuszczalne dla światła, że lepszych Vanyel nie mógłby sobie nawet wymarzyć. Ponadto najwyraźniej ktoś polecił służbie, by trzymała się z dala od jego sypialni dopóty, dopóki on sam kogoś nie wezwie. I z tego był szczerze rad, gdyż swym nerwowym reakjom na każdy podejrzany dźwięk nie mógł już ufać ani trochę.

Spał więc w spokoju i obudził się w spokoju, a potem stanął przy oknie wychodzącym na wąską wstążkę drogi prowadzącej do zamku z uczuciem, że jeśli tylko dane mu będzie spędzić tak spokojnie jeszcze kilka następnych nocy, to rze-

czywiście będzie w stanie odzyskać siły. Przez okno wpadał do pokoju leciutki wietrzyk, a nad jego głową śpiewały — przyjemnie już tym razem — drozdy obiadające rynny.

Bez wahania byłby skłonny uwierzyć, że wciąż jeszcze trwa lato. Nie przypominał sobie łagodniejszej, cieplejszej jesieni.

Wysłał ku Yfandes cieniutką nitkę myśli.

Yfandes?

Jasnego dnia, śpiochu — odpowiedziała pozdrowieniem Sokolich Braci.

Vanyel uśmiechnął się i wciągnął głęboko haust powietrza, w którym wyczuwał się leciutki zapach opadających i palonych liści.

I wiatru w twe skrzydła, kochana. Chcesz dziś troszkę poleniuchować czy wolałabyś gdzieś pojechać?

A po cóż to pytanie? Jeśli mam być szczerą, to wolę poleniuchować. Resztę dnia spędzę chyba podobnie jak cały poranek. . . drzemiąc w słońcu i przeciągając się raz po raz. Nadal muszę oszczędzać to naciągnięte ścięgno.

Vanyel pokiwał głową, odwracając się od okna.

Nie wątpię. Cieszę się, że akurat po tym wypadku zaczęłam tracić na wadze.

Yfandes zaśmiała się i wyszła dalej na łąkę, tak aby Vanyel mógł ją dojrzeć ze swego okna.

Nie zaprzeczę, że to pomogło. No, idź już do swej matki pozgrywać trochę eleganta i miej to za sobą. Przy odrobinie szczęścia może się okazać, że nie udało jej się sprowadzić żadnej z okolicznych dzierlatek.

Vanyel skrzywił się i zadzwonił po służącego. Ten pojawił się tak szybko, że można się było domyślić, iż czekał za drzwiami. Vanyel poczuł wyrzuty sumienia, zastanawiając się, jak długo biedak musiał tam tkwić.

— Chciałbym coś do jedzenia — powiedział. — I proszę o wodę do mycia. I . . . słuchaj, raczej nie będę się budził przed południem, prędzej już w południe. W każdym razie na pewno aż do południa nie będę potrzebował nikogo ani niczego. Przekaż to innym, dobrze? Nie ma sensu, aby ktokolwiek z was wystawał tu godzinami!

Smagły służący zrazu wydał się zaskoczony, po chwili jednak wyszczerzył zęby w uśmiechu, skinął potakująco i pospieszył wypełnić polecenia Vanyela. Ten zaś, przierzuciwszy swe ubrania, postanowił w końcu włożyć swój prawie zupełnie nowe, granatowy strój. Mniej więcej w tym samym czasie przyniesiono mu wodę do kąpieli. Nie mając na sobie Bieli, Vanyel czuł się nieco dziwnie, zarazem jednak z rozkoszą powitał dotyk jedwabiu i aksamitu na skórze. Uniformy polowe, uszyte ze skóry grubego barchanu, wełny i lnu, pełniły rolę wyłącznie użytkową. Na dodatek Vanyel akurat nie miał wielu sposobności do ubierania oficjalnych, bogatszych Bieli. Nic dziwnego, że nazywają mnie strojnisiem. Jako człowiek o wyczulonych zmysłach. . . lubię miękkie ubrania. Dlaczego miałbym ich nie lubić?

Vanyel kończył właśnie sznurowanie tuniki, gdy pojawił się służący z jedzeniem. Przyjrzał się swej sylwetce w polerowanym stalowym lustrze i w końcu ściągnął tunikę paskiem. Gdy miał ją na sobie ostatnim razem, leżała wprost idealnie, lecz teraz... bez paska wyglądała wręcz śmiesznie.

Widząc to, Vanyel westchnął i zajął się swym śniadaniem. Przynajmniej zawsze daleko łatwiej jest przybrać niż stracić na wadze. Jakież to pocieszające!

Po posiłku Vanyel poczuł się gotów stawić czoło swej matce i wszystkim pannom-pułapkom, jakie na niego zastawiła.

Za każdym razem, gdy zostawał w domu na dłużej, matka prosiła go, by dla niej grał, zatem i dziś Vanyel wyjął lutnię z pokrowca, nastroił, i dopiero potem, przerzuciwszy ją sobie przez ramię, skierował swe kroki do buduaru matki. Być może uda mu się zabawić ją nieco swą muzyką.

— Witaj, matko — powiedział Vanyel, pochylając się, by ucałować wdzięcznie wyciągnięte ku niemu, uperfumowane opuszki palców Tressy. — Za każdym razem, gdy cię widzę, zdajesz się młodsza.

Pozostałe damy zachichotały, udając, że nie przerywają szycia, i zatrzepotały wachlarzami. Słyszając komplement, Tressa zaróżowiła się uroczo, a jej srebrzystoszare oczy zabłyszczały. Z chwilą tą pochlebstwo przestało być wyłącznie kłamstwem wypowiedzianym z grzeczności.

— Vanyelu. nazbyt długo pozostawałeś z dala od domu! — Pozwoliła, by jej dłoń zatrzymała się na chwilę w jego dłoni, Vanyel zaś odwzajemnił to delikatnym uściskiem. Tressa radośnie zamrugła powiekami. Flirt był jej ulubioną grą, a dworska miłość jej ulubioną rozrywką. To, że w tej chwili rola zalotnika przypadła jej synowi, nie miało żadnego znaczenia. Tressa nie zamierzała wykraczać w swej grze poza pełne wdzięku, puste gesty i igraszki słowne, a Vanyel dobrze o tym wiedział, zatem wszyscy byli zadowoleni. Tressa ożywiła się tylko wtedy, gdy w pobliżu miała kogoś chętnego do wzięcia udziału w jej grze.

Vanyel poddał się jej, rad, że matka nikogo mu nie przedstawiła, gdyż mogło to oznaczać, że nie przygotowała dlań żadnej dzierlatki. Na dodatek nie dąsała się wcale, a więc Vanyel wciąż jeszcze był w jej łasce. Wolał odgrywać dworzanina niżli znosić, jak matka zalewa go deszczem łez i wymówek za to tylko, że jej syn nie spędza więcej czasu z rodziną.

Vanyel był świadomy, że w obwieszonym zwiewną gazą buduarze wypełnionym szczebioczącymi kobietami w koronkach i pastelach robi w swym granatowym niczym nocne niebo stroju wrażenie wręcz uderzające. Liczył nawet, że dzięki takim szatom jego postać zyska na wyrazistości — i uwydatni się srebro w jego włosach — przypominając tym samym Tressie, iż jej syn nie jest już piętnastoletnim chłopcem.

— Cóż, najpierwsza damo mojego serca — rzekł, unosząc jedną brew — Obawiam się, że w tej materii niewielki mi pozostawiono wybór. Obowiązkiem herolda jest spełniać rozkazy Króla.

Tressa uśmiechnęła się, ukazując dołeczki na policzkach, a potem poklepała różową aksamitną poduszkę na stołeczku obok jej krzesła.

— Słyszeliśmy o tobie wiele opowieści, Vanyelu. Tej wiosny mieliśmy tutaj minstrela, który śpiewał o tobie pieśni! — Gdy Vanyel zajmował miejsce obok niej, matka zaszeleściła fałdami swej szafranowej sukni. Na ten niemy sygnał jej damy (te nie zajęte pracą przy trzech warsztatach tkackich zawieszonych na ścianie) oraz wychowanki zebrały swe robótki i usiadły bliżej. Zalany słońcem pokój jaśniał przytłumionymi kolorami tęczy ich sukien, a Vanyel z trudem zdołał powstrzymać uśmiech, gdy wszystkie twarze — młode i niemłode, ładne i przeciętne — zwróciły się ku niemu niczym kwiaty ku słońcu. Nawet w czasach gdy był rozpieszczanym ulubieńcem pań z tego buduaru, nie przykuwał aż tak bardzo ich uwagi.

Ale wtedy buduarowy pupilek był zaledwie przystojnym piętnastolatkiem z odrobiną talentu do muzyki i śpiewu. Teraz wszak występował już jako mag heroldów Vanyel, bohater pieśni.

I bardzo łatwo nadepnąć mu na odcisk, gdy zbliża się z zadartym dumnie nosem — zagadnęła Yfandes.

Vanyel pochylił się nad lutnią i aż do chwili, gdy udało mu się stłumić śmiech, udawał, że nastraja instrument; potem zwrócił się znów ku swej matce.

— Znam lepsze pieśni od tamtych, znacznie odpowiedniejsze dla uroczej damy niżli opowieści o wojnie i okrucieństwie.

Na kilku twarzach pojawiło się rozczarowanie, lecz oczy Tressy błyszczały.

— Czy mógłbyś zagrać jakąś pieśń miłosną, Van? — zapytała kokieteryjnie. — Czy mógłbyś zagrać dla mnie „Oczy mojej Pani”?

To chyba najbardziej idiotyczna bzdura, jaką kiedykolwiek napisano — pomyślał. — Ale ma piękną melodię. Dlaczegoż by nie? Ukłonił się lekko.

— Życzenie mojej pani jest dla mnie rozkazem — odparł i zaraz rozpoczął zawiły wstęp do pieśni. Trudno mu było nie zauważyć teraz Melenny siedzącej zaraz za grupką trzech dzierlatek z nieruchomymi jak ich dłońmi i rozmarzonymi oczami. Była teraz jeszcze ładniejsza niż w czasach swej pierwszej młodości.

Biedna Melenna. Nigdy nie daje za wygraną. Minęło już blisko czternaście lat, a ona wciąż mnie pragnie. Bogowie. Co ona zrobiła ze swoim życiem. Gdzieś na dnie umysłu Vanyel jął zastanawiać się, co też stało się z nieślubnym dzieckiem, które Melenna miała z Mekealem, gdy odtrącona przez Vanyela, poddała się rozgoryczeniu, które zawiodło ją do łóżka jego brata, Czy to był chłopiec, czy dziewczynka? Czy to jedna z dziewcząt otaczających go teraz ciasnym kręgiem? A może Melenna straciła dziecko? Takie pytania bez odpowiedzi bardzo go niepokoiły. Takie pytania zaskakują nas zwykle wtedy, kiedy spodziewamy się ich najmniej, szczególnie gdy dotyczą ludzi.

Na swoje pytanie jednakże Vanyel otrzymał odpowiedź wcześniej niż się spodziewał.

— Och, Van, to było cudowne — westchnęła Tressa i uśmiech ponownie ukazał dołeczki w jej policzkach. — Wiesz, podczas twej obecności nie byliśmy tak zupełnie pozbawieni muzyki i sztuki. Udało mi się znaleźć sobie innego małego przystojnego minstrela, prawda, Melenno?

Twarz Melenny oblała się rumieńcem zbliżonym do różowej barwy jej sukienki — przerobionej z jednej ze starych sukien Tressy; którą Vanyel doskonale pamiętał.

— Ależ daleko mu do umiejętności Vanyela jako chłopca, wielmożna pani — odparła cicho Melenna.

— Och, nie wiem — rzuciła Tressa z cieniem złości w głosie. — Medrenie, podejdź do nas i pozwól, by Vanyel sam mógł to ocenić.

Wyrośnięty chłopiec mniej więcej dwunastoletni z poobijaną lutnią w ręce uniósł się powoli ze swego miejsca za plecami Melenny i z wahaniem stanął w środku kółeczka. Jego wygląd nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, kim był jego ojciec — odziedziczył wymizerowanie Mekeala, włosy i kanciasty podbródek, był jednak mniejszy niż Mekeal w jego wieku i nie tak szeroki w ramionach. Nie sposób też było wątpić, kto jest jego matką — ogromne orzechowe oczy Melenny patrzyły teraz na Vanyela z dwóch twarzy.

Chłopiec dygnął przed Tressa.

— Daleko mi do takiej sprawności palców, wielmożny panie, wielmożna pani — powiedział ze szczerością, od której Vanyel poczuł ukłucie w sercu.

— Moje umiejętności są w dużej mierze zasługą blisko dwudziestoletniej praktyki, Medrenie — odparł Vanyel, doskonale zdając sobie sprawę, że Tressa i Melenna wpatrują się weń ze szczególną uwagą. Nie był jednak do końca pewny, co tak naprawdę dzieje się wokół niego. — Ale częściowo zawdzięczam to instrumentowi. Na tym gra się bardzo łatwo. Pożycz go sobie.

Wymienili się instrumentami. Ręce Medrena drżały, dotykając pięknie zdobionej lutni Vanyela. Chłopiec lekko musnął palcami strunę i przełknął ślinę.

— Co... — Jego głos załamał się, spróbował więc jeszcze raz: — Co chciałbyś usłyszeć, wielmożny panie?

Vanyel zastanowił się szybko. To nie mogło być coś przesadnie łatwego — gdyż obrażałoby to młodego muzyka — ani wymagającego takiej sprawności palców jak „Oczy mojej Pani”.

— Znasz „Jeźdźca Wichrów Wyzwolonego”? — zapytał w końcu.

Chłopiec skinął głową. Zaczął pieśń lekkim fałszem, a gdy przebrnął przez instrumentalny wstęp, zaczął śpiewać.

A Vanyel, czując czystą moc śpiewu Medrena, niemal upuścił jego lutnię.

Głos chłopca nie na wszystkich tonach brzmiał zupełnie czysto, ale nie miało to żadnego znaczenia — czas, okres dojrzewania i praktyka zatrą te drobne usterki. Ruchy palców Medrena były czasem trochę nieśmiałe, ale i to się nie liczyło.

Ważne było tylko to, że gdy Medren śpiewał, Vanyel autentycznie przeżywał jego pieśń.

Chłopiec obdarzony był darem bardów o niezwyklej sile, tymczasem śpiewał dla gromadki buduarowych głupiutkich, słodko pachnących dam; marnował dar, za który w wieku piętnastu lat Vanyel gotów byłby oddać nawet nogę, albo obydwie nogi, i uważałby tę cenę za niezbyt wygórowaną.

Gdy Medren zakończył swój śpiew, Vanyel przez kilka minut nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa; tylko na widok nadziei wygasającej w oczach Medrena, pochodzącej z wolna w rozczarowanie, zdobył się na wykrztuszenie czegokolwiek.

Chłopiec zdążył już oddać mu pożyczony instrument i odwracał się właśnie, by odejść na swoje miejsce, gdy Vanyel wreszcie zapanował nad sobą.

— Medrenie! Medrenie! — powiedział z naciskiem w głosie, na tyle silnym, by chłopiec znów się odwrócił. — Jesteś lepszy niż ja byłem, nawet jako piętnastolatek. A za kilka lat będziesz lepszy niż ja kiedykolwiek mógłbym marzyć; nawet gdybym nie robił w życiu nic innego, tylko grał. Masz dar bardów, chłopcze, a to coś, czego nie można zdobyć nawet największą wytrwałością w ćwiczeniach.

Powiedziałby nawet więcej — chciał powiedzieć więcej — ale Tressa przerwała mu swą prośbą o jeszcze jedną pieśń i do chwili gdy otrząsnął się ze skupienia, jakiego wymagało zagranie i zaśpiewanie pieśni, chłopiec zniknął.

Myśl o Medrenie nie opuszczała Vanyela przez całą kolację. W końcu zapytał o niego Roszę, na co ona, zachwycona, że w końcu udało jej się usłyszeć od swego sąsiada jakieś pytanie, natychmiast zalała go potokiem słów i skończyła, dopiero gdy zebrano naczynia po ostatnim daniu. Vanyel zaś im więcej się dowiadywał, tym silniejszy czuł niepokój.

Chłopiec otrzymał wykształcenie — pod wpływem nalegań Tressy — takie samo jak wszystkie ślubne dzieci. Oznaczało to, krótko mówiąc, że nie nauczono go praktycznie niczego, a wpojono zapewne przeświadczenie, że oto któregoś dnia zostanie giermkim jednego ze swych kuzynów pochodzących ze ślubnych związków. Tymczasem jego największy talent był zaniedbywany.

Problem ten nie dawał Vanyelowi spokoju przez cały czas trwania kolacji i towarzyszył mu w drodze do pokoju. Wciąż rozmyślając, Vanyel zapalił świecę i postawił ją na małym biureczku. Gdyby nie pewne zdarzenie, być może ów kłopot i w nocy spędziłby mu sen z powiek. Otóż ledwie opadł na krzesło, nadal lekko oszołomiony wrażeniem, jakie wywarł na nim chłopiec i jego dar, w pokoju rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę... — powiedział bez zastanowienia, zakładając z góry, że to służący.

Drzwi otworzyły się.

— Wielmożny panie heroldzie? — odezwał się niepewny głosik dobiegający z ciemności przysłoniętej blaskiem świecy. — Czy mógłbyś poświęcić mi chwilę?

Vanyel poderwał się i wyprostował na fotelu.

— Medren? Czy to ty?

Chłopiec przesunął się, stając w kręgu światła i zamknął za sobą drzwi. W obu dłoniach ścisnął gryf lutni.

— Ja... — Jego głos znów się załamał. — Wielmożny panie, powiedziałaś, że jestem dobry. Sam się nauczyłem, wielmożny panie. Gdy... gdy otworzyli ten mały pokój za biblioteką, odkryli miejsce, gdzie chowałeś różne rzeczy. Nikt poza mną nie chciał wziąć nut i instrumentów. Potem przyglądałem się minstrelom i sam zmiarkowałem, jak się gra. I później lady Tressa usłyszała, jak gram, i kupiła mi tę lutnię...

Chłopiec postąpił jeszcze kilka kroków naprzód i z niepewnością zatrzymał się przy stole. Vanyel zaś tak oniemiał, że nie był zdolny zmusić do pracy ani swego umysłu, ani nawet ust. Już sama to, że chłopiec posiadał aż takie umiejętności, było zdumiewające, ale fakt, iż wszystkiego nauczył się sam, graniczył wręcz z cudem.

— Medrenie — odezwał się w końcu Vanyel — gdybym powiedział, że mnie zadziwiasz, znacznie umniejszyłbym swe uczucia. Cóż ja mogę jeszcze dla ciebie zrobić? Wszystko, co leży w mojej mocy, jest też i w twojej.

Medren splonął, lecz cały czas patrzył prosto w oczy Vanyela.

— Wielmożny panie heroldzie...

— Medrenie — delikatnie przerwał mu Vanyel — nie jestem „wielmożnym panem heroldem”, nie dla ciebie. Jesteś moim bratankiem. Zwracaj się do mnie po imieniu.

Medren poczerwieniał jeszcze bardziej.

— Ja... Vanyelu, czy mógłbyś... czy... zechciałbyś mnie uczyć? Proszę. Ja... — Chrząknął i spuścił oczy, oblewając się takim rumieńcem, że przykro było nań patrzeć. — Zrobię wszystko, co zechcesz. Tylko mnie ucz.

Vanyel nie miał wątpliwości, co proponował mu chłopiec w zamian za lekcje muzyki. Bolesne — i silnie zabarwione seksualnie — zażenowanie bijące od chłopca było niemalże namacalne dla jego daru empatii. Bogowie, biedne dziecko. Medren nie mógł być nawet pokusą. Jestem wprawdzie *shayn*, ale... dzieci. Sama myśl o tym budzi odrazę.

— Medrenie — powiedział bardzo łagodnie — ostrzegli cię, abyś trzymał się ode mnie z dala, prawda? I powiedzieli ci dlaczego?

Chłopiec wzruszył ramionami.

— Powiedzieli, że jesteś *shayn*. Wydawali z siebie różne dźwięki. Ale do diabła, jesteś przecież heroldem, a heroldowie nie krzywdzą ludzi.

— Jestem *shayn*, to prawda — rzekł stanowczo Vanyel. — Ale ty... nie jesteś.

— Nie — odparł chłopiec. — Ale, do diabła, już mówiłem, że się nie bałem. To, czego mógłbyś mnie nauczyć, jest warte wszystkiego. A nie mam nic innego, czym mógłbym ci się odwdzięczyć. — Wreszcie znów popatrzył Vanyelowi w oczy. — Poza tym nie możesz mi zrobić nic gorszego niż Jervis, który spuszcza mi co dzień lanie. O tym wiedzą wszyscy i zachowują się, jakby sobie myśleli, że to w porządku.

Vanyel zerwał się z miejsca.

— Jervis? Co... co chcesz przez to powiedzieć? Usiądź, Medrenie, proszę.

— Dokładnie to, co powiedziałem — odparł chłopiec, zdecydowanym ruchem przyciągnął do siebie krzesło z wysokim oparciem i usiadł na nim. — Traktuję mnie tak samo, jak wszystkich innych. Chodzę z nimi na te same lekcje. Tylko że istnieje pewien drobny problem. Ja nie jestem synem z prawego łóża. — W jego głosie pojawiła się gorycz. — A w jakim położeniu mnie to stawia przy ośmiu legalnych spadkobiercach z dziewiątym w drodze? W żadnym. Mnie nie trzeba okazywać względów i zwracać się do mnie z uprzejmością, bo ja nie mam nic do zaoferowania. Więc kogo się wybiera, gdy nadchodzi odpowiedni moment na pokazanie przykładu w czasie ćwiczeń? Medrena. A komu spuszcza się lanie, gdy pewien ktoś potrzebuje żywego worka treningowego, bo chce coś tam udowodnić? Oczywiście, że Medrenowi. A czego ja się mogę spodziewać, gdy w końcu osiągnę pełnoletniość? Tego, że jeśli dopisze mi szczęście, zostanę giermkim jednego ze ślubnych synów; a jeśli zabraknie mi szczęścia, to pokażą mi drzwi. Co innego, gdybym mógł wyuczyć się na tyle, żeby zostać minstrelem.

Vanyel uczył taki ból, jak gdyby Medren ugodził go w samo serce. Bogowie... Uczucia mąciły mu myśli. Bogowie, on jest taki jak ja... on jest taki, jaki byłem ja... tylko jemu brakuje tej drobnej osłony, jaką daje pozycja i urodzenie, które ja miałem. I jemu brakuje Lissy, która by się nim opiekowała. Ale on ma dar, ten cenny dar. Bogowie...

— Oczywiście moja matka wynalazła inne wyjście z sytuacji — ciągnął cynicznie Medren. — Lady Tressa myśli sobie, że skoro odrzuciłeś już tyle panien, pozostaje jeszcze jedna szansa na uzdrowienie cię. Więc powiedziała mojej matce, że należysz do niej i że może robić wszystko, żeby cię zdobyć. Lady Tressa przysięgła, że jeśli matce uda się zawrócić ci w głowie na tyle, żebyś chciał się z nią ożenić, to lord Withen pozwoli na to małżeństwo. Więc moja matka obmyśliła sobie, że najpierw dobierze się do twoich bryczesów, a potem nakłoni, abyś się z nią ożenił... i zaadoptował mnie. Mówi, że to ostatnie będzie najłatwiejsze, bo widziała, jak mi się przyglądałeś, i wie, co myślisz o muzyce, bardach i tym wszystkim. Więc chciała, żebym jej pomógł.

Biedna Melenna. Ona chyba nie wie, na co się wystawia.

— A więc po co mi to wszystko opowiadasz? — Głos Vanyela zabrzmiał w jego uszach nader spokojnie, zwłaszcza gdy zważyć na ból wywołany wspomnieniami przeszłości i cierpienie, które trapiło go, gdy patrzył i słuchał tego zupełnie

niedziecinnego dziecka.

— Nie lubię pułapek — odparł wyzywająco Medren. — Nie lubię, jak ktoś je zastawia; nie lubię tego, co się za nimi kryje, i nie podoba mi się, że mam być przynętą. A poza tym ty jesteś... wyjątkowy. Nie chcę brać od ciebie nic, co miałbyś dać tylko dlatego, że zwabiono cię w pułapkę.

Vanyel wstał i wyciągnął do niego rękę. Medren popatrzył na nią przez moment i, pomimo swych odważnych słów, trochę zbladł. W końcu podniósł na Vanyela szeroko otwarte oczy.

— Chcesz... chcesz usłyszeć moją propozycję? — zapytał drżącym głosem.

Vanyel uśmiechnął się.

— Nie, mój mały bratanku — odparł. — Zabiorę cię do mojego ojca, gdzie porozmawiamy na temat twojej przyszłości.

Withen nazywał swój pokój „gabinetem”, mimo że nie było w nim nic, co choćby z wyglądu przypominało książkę. Była to mała izdebka o kamiennych ścianach, bez okien,umeblowana wygodnymi, starymi, wytartymi fotelami, których Tressa nie pozwoliłaby trzymać w jakimkolwiek innym pomieszczeniu zamku. To tutaj przyprowadzał swych starych serdecznych przyjaciół, aby wspólnie z nimi posiedzieć przy kominku, popić i raczyć się nieprawdopodobnymi opowieściami. To tutaj udawał się po kolacji, aby popatrzeć na ogień i wysączyć swój ostatni kubek piwa. I tutaj właśnie spodziewał się go zastać Vanyel. Gdy wprowadził Medrena do dusznej, małej izdebki, ze zszokowanego wyrazu twarzy Withena wyczytał, że ten spodziewa się najgorszego.

— Ojczy — powiedział, gdy Withen nie zdążył nawet otworzyć ust. — Wiesz, kim jest ten chłopiec?

Withen popatrzył na niego, jak gdyby ujrzał szaleńca. W jego oczach zamigotały płomienie świec. Odpowiedział jednak na pytanie. — To... och... Medren. Syn Melenny.

— Melenny i Mekeala, ojczy — rzekł Vanyel z naciskiem. — Płynie w nim krew Ashkevronów i dlatego mamy wobec niego zobowiązania. Tymczasem co go spotyka z naszej strony? Jaką on ma przed sobą przyszłość? — Withen chciał coś odpowiedzieć, ale Vanyel zamknął mu usta, ciągnąc dalej: — Powiadam ci, ojczy, żadną. Ilu mamy tu spadkobierców z prawego łoża? A ile dóbr? Forst Reach jest duże, ale nie aż tak! Gdzie podzieje się mały, drugorzędny bękart, gdy zabraknie miejsca dla legalnych potomków? Co wtedy ze sobą zrobi? Zmarnuje sobie resztę życia jako czyjś giermek? A co będzie, jeśli się zakocha i będzie chciał się ożenić? A co będzie, jeśli nie zechce być przez całe życie czyjś gierkiem? Dałeś mu takie samo wykształcenie jak reszcie chłopców, a co za tym idzie, obudziłeś w nim takie same pragnienia, jakie mają oni. Takie same oczekiwania, takie same potrzeby. Jakże chcesz sprawić, aby otrzymawszy wychowanie równe

spadkobiercom, był zadowolony, zajmując miejsce sługi?

— Ja... och...

— I powiem ci coś jeszcze — ciągnął Vanyel, nie dając ojcu szansy na udzielenie odpowiedzi. — Ten oto młody człowiek posiada dar bardów. To dar równie rzadki — i równie wysoko ceniony w Valdemarze — jak ten, który czyni mnie heroldem. Tymczasem my, Ashkevronowie, pozwalamy, aby ten rzadki i cenny dar gnił tutaj. Cóż zatem uczynimy?

Withen patrzył na niego jak sroka w gnat. Vanyel odczekał, aż ojciec przyswoi sobie, co właśnie usłyszał. Gdy Withen wciąż mrugał powiekami ze zdumienia, obok nich wesoło strzelał ogień na kominku.

— Obdarzony darem bardów? Rzadkim? Wiedziałem, że chłopak trochę muzykuje, ale... czy to znaczy, że może mu z tego coś przyjść?

— To znaczy o wiele więcej, ojcze. Medren będzie znakomitym bardem, jeśli tylko już teraz zacznie zdobywać odpowiednie wykształcenie. Będzie bardem, ojcze. Koronowane głowy będą obsypywać go kosztownościami, aby tylko zgodził się dla nich śpiewać. Może uzyskać zaszczytny tytuł, wyższy nawet od twojego. Ale stanie się to tylko wówczas, gdy już teraz otrzyma to, czego potrzebuje. Natychmiast.

— Co? — Withen wyraźnie zakłopotany zmarszczył brwi.

Vanyel domyślił się, że ojcu trudno dostrzec jakikolwiek związek pomiędzy „muzykowaniem” a zaszczytnym tytułem.

— Masz na myśli... wysłanie go do Przystani? Do Kolegium Bardów?

— Dokładnie to mam na myśli, ojcze — odparł Vanyel, kątem oka obserwując Medrena, który znajdował się w poważnym niebezpieczeństwie utraty oczu na skutek nadmiernego ich wybałuszania. — Moim zdaniem powinniśmy wysłać go tam, gdy tylko będziemy mogli znaleźć dla niego jakąś eskortę, zaraz po żniwach. Będę szczęśliwy, mogąc napisać dla niego list polecający do barda Chadrana. Jeśli Forst Reach nie zechce pokryć kosztów, bez wątpienia moje stypendium wystarczy na zaspokojenie potrzeb Medrena.

Ostatnie słowa były nikczemnym ciosem sprytnie obliczonym na rozbudzenie w ojcu poczucia obowiązku i wstydu.

— To nie będzie konieczne, synu — rzucił pośpiesznie Withen. — Wielkie nieba, to najmniej, co możemy zrobić! Jeśli... jeśli tego właśnie pragniesz, Medrenie.

— Czy tego pragnę? — powtórzył chłopiec ze łzami napływającymi mu do oczu. — Wielmożny panie... och, wielmożny panie... to... — Rzucił się na kolana u stóp Withena.

— Nieważne — rzucił Withen, wielce zmieszany. — Widzę, że tego pragniesz. Możesz zatem przyjąć, że to już się stało; wyślemy cię razem z podatkami za żniwa. — Chłopiec wykonał gest, jak gdyby chciał chwycić dłoń Withena i ucałować ją. Withen jednak dał mu znak, że może odejść. — Nie, biegnij już, chłopcze.

Wstawaj, wstawaj! Nie czołgaj się tak, a niech to, jesteś przecież Ashkevron! I nie dziękuj mi, jestem tylko starym głupcem, który był zbyt ślepy, aby zobaczyć, co się dzieje pod jego własnym nosem. Zostaw swoje podziękowania dla Vanyela.

Medren podniósł się z ziemi, niezgrabny w swym młodzieńczym zakłopotaniu pogłębianym jeszcze przez oszałamiające uczucie radości. Vanyel chwycił go za ramiona i skierował ku drzwiom.

— Biegnij przekazać matce tę dobrą nowinę. — Mrugnął porozumiewawczo, wywołując na twarzy Medrena błysk niepewnego uśmiechu. — Na pewno będzie to dla niej wielka niespodzianka.

To zdanie sprawiło, że uśmiech rozszerzył się i przybrał nawet pewne konspiracyjne zabarwienie, Medren skinął głową, a Vanyel, wypchnąwszy go na korytarz, zamknął za nim drzwi.

Stał teraz przodem do Withena, ale wesołość zniknęła już z jego twarzy i serca.

— Ojcie... musimy porozmawiać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

— Co takiego? — zapytał Withen marszcząc czoło w zakłopotaniu.

— Powiedziałem, że musimy porozmawiać. Teraz, — Powoli, ostrożnie, Vanyel zbliżył się do ojca, ze wszystkich sił starając się utrzymać kamienną twarz. — O tobie. O mnie. O pewnych przypuszczeniach, jakie snujesz na mój temat.

Vanyel stał na wyciągnięcie ręki od fotela Withena, tocząc ze sobą walkę o zachowanie zimnej krwi.

— Wiem, co sobie myślałeś, gdy przyprowadziłem tutaj Medrena. Wystarczyło popatrzeć na twoją twarz.

Ogień na kominku wybuchnął nagle nowym płomieniem, doskonale oświetlając oblicze Withena.

I nadal tak myślisz. . .

Vanyel, jak nigdy dotąd w całym swoim życiu, stał na skraju wybuchu i tylko siłą opanowania udawało mu się nie podnosić głosu. Potrzebował paru chwil, aby przemówić ponownie.

— Do diabła, ojcze, ja nie jestem taki! Nie robię takich rzeczy! Jestem heroldem. . . i przywoitym człowiekiem. . . nie molestuję małych chłopców! Bogowie, na samą myśl o tym chce mi się wymiotować, a ty po prostu pomyślałeś sobie, że ja. . .

Drżał cały na poły ze złości, na poły z udręki czającej się na dnie serca od blisko dziesięciu lat.

Withen cierpiał katusze, nazbyt wyraźnie zażenowany tą konfrontacją.

— Synu, ja. . .

Vanyel zamknął mu usta, potrząsając głową, a potem w błagalnym geście wyciągnął ku ojcu ramiona.

— Dlaczego, ojcze, dlaczego? Dlaczego nie potrafisz uwierzyć w to, co do ciebie mówię? Co takiego uczyniłem, aby dać ci powód do posądzenia mnie o brak honoru? Czy kiedykolwiek byłem wobec ciebie nieuczciwy?

Withen wbił wzrok w podłogę.

— Posłuchaj — rzekł Vanyel, chwytając się każdego sposobu, aby tylko ukazać swe racje. — Odwróćmy sytuację. Wiem doskonale, że sypiałeś z innymi, poza matką, kobietami, ale czy zaraz muszę wyciągać z tego wniosek, że próbo-

wałbyś. . . uwieść tę jej małą pokojówkę? Czy patrzyłem na ciebie złym okiem, gdy uganiałeś się za którąś z jej dam do towarzystwa? Dlaczego więc bez przerwy oskarżasz mnie w duchu, zakładając sobie, że bez wątpienia usiłuję zbałamucić każdego uległego młodego mężczyznę i każdego bezbronnoo chłopca w zasięgu wzroku?

Withen zakasłał i oblał się purpurą.

Pewnie chętnie wpađłby we wściekłość — pomyślał Vanyel jakimś zakamarkiem swej duszy nie uczestniczącym w cierpieniu — tylko że taki otwarty atak nie pozostawia mu czasu na nic poza zmieszaniem.

— Mógłbyś przecież zrobić użytek ze swej reputacji. Jako. . . osoba, o której piszą pieśni. — Withen poczerwieniał jeszcze bardziej. — Jakiś wielbiciel wielkiego bohatera mógłby nie znaleźć w sobie dość sił, aby mu odmówić. Mógłby nawet pomyśleć że ci się to należy, a on wypełnia swój obowiązek.

— Tak, ojczee, to prawda. Tak, mógłbym skorzystać ze swej reputacji. Nie myśl, że nie zdaję sobie z tego sprawy. Ale nie zrobię tego, nigdy nie mógłbym tego zrobić! Czy tak trudno ci to pojąć? Jestem heroldem. Mam pewne moralne zasady, które przyjąłem, obejmując to stanowisko.

Ze zmieszanej miny Withena Vanyel wywnioskował, że swymi słowami wykroczył już poza wiedzę ojca na temat tego, kim jest herold. Spróbował więc jeszcze raz.

— Mam ku temu też inne powody. Potrafię czytać w ludzkich myślach. Ojczee, czy zastanawiałeś się kiedyś, co to oznacza? Jakie to nakłada na mnie ograniczenia? Na co jestem narażony? To cięższa szkoła honoru niż nauki Jervisa. Tu nie ma fałszu i być nie może. Związek według mnie musi opierać się na absolutnej równości partnerów; dobrowolne dawanie, dobrowolne dzielenie się wszystkim albo nic. — W twarzy ojca wciąż brak było choćby iskierki zrozumienia. Użył więc bardziej dosadnego języka. — Nie chcę żadnych gwałtów, ojczee. Żadnego przymusu. Żadnych kłamstw, żadnych oszustw. Żadnej krzywdy. Nikogo, kto jeszcze nie wie, kim jest. Nikogo, kto nie pogodził się jeszcze z tym, kim jest, i nie zaakceptował tego. Żadnych niewiniątek, którzy nie dowiedzieli się jeszcze, kim są. Żadnych dzieci.

Withen odwrócił wzrok, wierząc się nieco w swym fotelu. Vanyel przybliżył się szybko, aby ukłęknać między nim a kominkiem, gdzie ojciec nie będzie mógł umknąć patrzenia nań wprost.

— Ojczee, a niech to, ojczee, zależy mi na tobie. Nie chcę, abyś przeze mnie był nieszczęśliwy, ale nie mogę nic poradzić na to, kim jestem.

— Dlaczego, Van? — Głos Withena zabrzmiał, jak gdyby ktoś ścisnął go za gardło. — Dlaczego? Co, u diabła, zrobiłem źle?

— Nic! Wszystko! Nie wiem! — wrzasnął Vanyel. Jego słowa wibrowały w powietrzu niczym tragiczna pieśń wyszarpnięta ze strun roztrzaskanej lutni. — Dlaczego jestem obdarzony tyloma darami? Dlaczego jestem kimś? Może się

z tym urodziłem. Może bogowie tchnęli to we mnie. Może stało się tak dlatego, że jedynej osobie, jaką zawsze będę kochał, przyszło urodzić się w ciele tej samej płci co moja! — Żal ścisnął mu gardło i jeszcze bardziej zniekształcił głos. — Wiem tylko, że taki jestem i nic tego nie odmieni. A jeśli nie możesz w to uwierzyć, moje poczucie honoru... och, bogowie, ojciec...

Udało mu się jakoś dźwignąć z podłogi, a gdy to zrobił, wyciągnął ręce ku ojcu, rozpaczliwie błagając o zrozumienie.

— Proszę cię, ojciec... nie pragnę wiele. Nie chcę, abyś cokolwiek robił. Chcę tylko, abyś uwierzył, że jestem porządnym człowiekiem. Uwierz heroldowi Vanyelowi, jeśli nie potrafisz uwierzyć własnemu synowi. Tylko... uwierz. Uwierz, że nikt nigdy nie dozna krzywdy w moich rękach. I spróbuj zrozumieć. Proszę.

Ale w oczach Withena wciąż nie było zrozumienia. Tylko niepewność i gorzkie uczucie zażenowania. Vanyel wyczerpał już resztki swej energii, prawdopodobnie na darmo.

— Przepraszam... synu...

— Nic nie szkodzi — odrzekł Vanyel, znękany, złamany, kierując się z wolna do drzwi. — Nic nie szkodzi. Żyłem z tym tak długo, że powinienem być już przywyknąć. Posłuchaj. Złożę ci przyrzeczenie, jeśli nie chcesz mi wierzyć bez tego. Medrenowi nie grożą moje zaloty, ojciec. Twoi wnukowie są bezpieczni. Każda istota w tej posiadłości aż do owcy jest bezpieczna, w porządku? Masz na to moje przekłete słowo herolda. Czy to ci wystarczy?

Nie poczekał na odpowiedź. Otworzył drzwi i szybko zamknął je za sobą.

Oparł się o nie, czując gorycz i udrekę ściskające mu serce, rozsadzające bólem pierś i pulsujące w głowie. Tylko jedenastoletnie doświadczenie herolda pozwoliło mu zdusić ten ból, wcisnąć go z powrotem w najdalszy kąt serca i zatrzasnąć nad nim wieko, a potem wmówić sobie, że to nie łyzy cisną się w gardło, że to przejdzie. Może zajmie się tym później, ale nie teraz. Nie teraz, gdy jest wyczerpany do cna, nie teraz, gdy jest sam.

— Serwus, Van! — Głos dobywający się z ciemnej głębi korytarza przestraszył go. Odruchowo zawirował, jego ręce sięgały już po broń.

Ale zmusił swe ciało do odprężenia i przyjrzał się, kto tam jest.

Bogowie... tylko tego mi było trzeba.

— Dobry wieczór, Mekealu — odpowiedział. Był zmęczony i nie starał się tego ukryć. — Co cię tu sprowadza?

O Świetlista Pani, to zabrzmiało dość kiepsko, nawet dla mnie.

— Och — odparł tajemniczo Mekeal, przesuwając się w światło lampki przy drzwiach do gabinetu. — Sprawy. Po prostu... sprawy. A ty dokąd zmierzasz?

— Do łóżka. — Vanyel wiedział, że jego odpowiedź zabrzmiała szorstko, nawet opryskliwie, ale miał do wyboru albo zachować się właśnie tak, albo pozwolić Mekealowi patrzeć, jak jego brat idzie na dno. — Jestem piekielnie zmęczony, Mekealu. Muszę jeszcze nadrobić wiele nieprzespanych nocy.

Mekeal skinął głową, jego twarz złagodniała nieco, przybierając troskliwy wyraz.

— Wyglądasz okropnie, Van, wybacz mi moją szczerość.

Bogowie. Nie po raz kolejny.

— Ten ostatni rok nie był najlepszy. Szczególnie na granicach.

— O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać — przerwał mu Mekeal z zapalem, przybliżając się tak bardzo, że Vanyel widział w jego oczach odbicie płomieni lampki na ścianie. — Słuchaj, możesz mi poświęcić chwilę czasu, zanim położysz się do łóżka? Powiedzmy jedną miarkę świecy.

Vanyel stłumił westchnienie rozdrażnienia. Dobrze, durniu, sam dałeś mu okazję i tylko siebie możesz za to winić.

— Chyba tak.

— To świetnie! Chodźmy. — Mekeal wziął Vanyela pod rękę i pociągnął go za sobą w głąb mrocznego korytarza. Był tak zapalony do tej rozmowy, że niemal biegł. — Widziałeś ogiera, którego kupiłem?

— Z daleka — odpowiedział Vanyel z ostrożnością.

— No to chcę, żebyś go sobie dobrze obejrzał, uspokaja się dopiero długo po zapadnięciu zmroku.

Nie wątpię.

Szybkim krokiem podążali wzdłuż głuchego korytarza, a Mekeal nie przestawał trajkotać o swym nowym nabytku. Vanyel wydał z siebie kilka odpowiednich przy takiej rozmowie odgłosów, ale dużo bardziej od czegokolwiek, co mówił Mekeal, interesowało go odzyskanie swego „zawodowego” spokoju. Mekeal tymczasem kierował się oczywiście ku korytarzowi, w którym znajdowało się wyjście prowadzące na podwórze ze stajnią, więc Vanyel uwolnił swe ramię z jego uścisku i sam nieco przyspieszył kroku. Równie dobrze mogę to załatwić teraz, dopóki jeszcze jestem w stanie utrzymać się na nogach o własnych siłach.

Mekeal rzecz jasna wszystko zaplanował, ponieważ gdy zanurzyli się w chłodną ciemność pod rozgwieżdżonym niebem, w stajni po drugiej stronie dziedzińca Vanyel ujrzał blade światelko latarni. Przemierzyli podwórko niemalże biegiem, a to, że nie biegli, nie oznaczało wcale, aby Mekeal nie poganiał brata.

Oślawiony ogier zajmował zaszczytne miejsce w pierwszej przegrodzie zaraz przy drzwiach i latarni. Vanyel wbił w niego wzrok. Jeśli w ogóle była jakaś różnica, to z bliska koń prezentował się jeszcze gorzej niż gdy patrzyło się nań z odległości.

„Brzydactwo” to nie jest dostateczne określenie dla tego stwora.

Koń popatrzył na niego spode łba, jak gdyby usłyszał jego myśli, i wyszczerzył swe wielkie żółte zębiska.

Nigdy w życiu nie widziałem nic bardziej paskudnego. Za żadne skarby nie odważyłbym się ujeżdżać tego potwora!

— I jak? — zapytał Mekeal, nadymając się z dumy. — Co o nim sądzisz?

Vanyel rozważył możliwość przekazania złej wiadomości bez wstępów, przypomniał sobie jednak, jaką naturę ma jego młodszy brat. Mekeal nie tylko nie potrafił przyjmować żadnych uwag, on nie miał nawet pojęcia o istnieniu czegoś takiego jak delikatna wskazówka Vanyel zebrał się więc w sobie i oznajmił mu prawdę:

— Mekealu, tego nie można powiedzieć grzecznie. Ten potwór nie jest rumakiem Shin'a'in bardziej niż ja sam. Oszukano cię.

Mekealowi zrzęła mina.

— Widziałem rumaka bojowego z hodowli Shin'a'in — rzekł Vanyel, wykorzystując swą przewagę. — I to pod siodłem członka klanu Shin'a'in. Ten nomada powiedział mi, że nigdy nie sprzedają zwierząt bojowych i że nie pozwoliliby na to, aby którykolwiek z nich znalazł się w obcych rękach. Ponadto nigdy, przenigdy nie wypuszczają swych ogierów poza obszar Równin Dorisza. Opiszę ci takiego konia. Klacz, którą widziałem, była o trzy dłonie niższa od tego twojego ogiera, przystosowana do noszenia na swym grzbiecie drobnego łucznika konnego, a nie mężczyzny w ciężkiej zbroi. Miała krótszy tułów, niższą klatkę piersiową, a zad uniesiony nieco wyżej w stosunku do przedniej części ciała. Jej głowa była nieproporcjonalnie duża, a ten ogier ma głowę niewielką. Poza tym, że była duża, jej czaszka miała nieprawdopodobnie szerokie czoło. Dużo w niej było miejsca na mózg. Czy mam mówić dalej? Twego ogiera upodabnia do niej jedynie maść i umięśnienie. — Odetchnął. — Przykro mi, Mekealu, ale...

— Może ma w sobie choć trochę ich krwi. A może to krzyżówka? — rozpaczliwie wypytywał Mekeal.

— Jeśli zwykły ogier przyłapał gdzieś klacz w okresie rozrodu, i jeśli ona pierwsza go nie zabiła, i jeśli właściciel klaczy postanowił — wbrew obowiązującej tradycji — pozostawić źrebię przy życiu, zamiast je zabić lub odesłać z powrotem na Równiny. Może wówczas. Nie jest to zbyt prawdopodobne, ale możliwość taka istnieje. Być może kiedyś któryś z jego przodków urodził się z domieszką krwi jakiegoś wycofanego ze stada ogiera. — Vanyel potarł nos i psiknął; koń Mekeala, kręcąc się i drepcząc w swojej przegrodzie, wzbijał wokół siebie tumany kurzu. W dodatku ten oto cenny wierzchowiec kładł po sobie uszy, piszczał i z całych sił kopał jak krowa drzwi swej przegrody. Chmura kurzu zagęszczała się, po całej stajni poniosło się stukanie kopyt i przerażone jęki, gdy reszta koni zaczęła reagować na żywo demonstrowaną przez ogiera złośliwość.

— Mekealu, po co kupiłeś to monstrum? Aż do Przystani nie ma lepszej hodowli koni do polowania niż w Forst Reach.

— Konie do polowania zdadzą się psu na budę, gdy będzie na nas szła armia — powiedział Mekeal, kierując na Vanyela swe trzeźwe spojrzenie. — I nawet jeśli ten ogier nie pochodzi z hodowli Shin'a'in, skrzyżowany z naszymi końmi da potomstwo o umięśnieniu przystosowanym do noszenia na grzbiecie ludzi w zbroi. Mam tylko nadzieję, że będziemy mieli te młode, zanim okażą się potrzebne.

Nie dowierzając słowom płynącym z ust brata, Vanyel obejrzał się i popatrzył nań przez ramię.

— A więc o to ci chodzi?

Mekeal skinął potakująco. Migoczące światło latarni nadało mu trupi wygląd... i dodało lat.

— Na zachodzie wrze. Nawet jeśli zamieszki nie rozpoczną się w Bares albo Lineasie lub w obu majątkach naraz, wybuchną na ziemiach opanowanych przez odmieńców, leżących za tymi królestwami. Napięcie w tamtym rejonie narasta już od śmierci Elspeth. Z każdym rokiem docierają tutaj, do Valdemaru, coraz bardziej niesamowite stwory. Zjrzyj kiedyś do komnaty z trofeami. Rozbolą cię oczy. Liss twierdzi, że sprowadza je tutaj coś jeszcze gorszego od nich samych albo ktoś je tu przysłał, aby wy badać nasze zdolności obronne. Uwierz, że żadna z tych możliwości nie pomaga mi zachować spokój. Konie do polowania są bardzo dobre, ale nie potrafią unieść wojowników w pełnym uzbrojeniu. A z kolei konie używane w turniejach, które miałem okazję ostatnio oglądać, nie mają dość sił, aby brać udział w wojnie. Jediną zaletą tego ogiera jest jego zdolność do rozplodu.

Bogowie. Och, bogowie. Jeśli dzieje się aż tak źle, że nawet Mekeal to dostrzega... Po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz.

— Chcesz, abym ci coś poradził? — zapytał bez ogródek.

Mekeal pokiwał głową.

— Zważywszy na to, co mi właśnie powiedziałeś, ten ogier może nawet okazać się przydatny. Pokryj nim najłagodniejsze i największe klacze. I sprawdź, jaki będzie rezultat, jeśli skrzyżujesz go z klaczą pociągową. Możesz też poprobować krzyżówek w drugim i trzecim pokoleniu. Jeśli tylko zdążysz.

Mekeal raz jeszcze skinął głową, gładząc swą krótko przyszczyżoną brodę.

— O klaczach pociągowych nie pomyślałem. To dobry pomysł. Ogier jest narowisty. Lubię zapał do walki, ale jego złośliwości mi nie trzeba. A zatem zgadzasz się ze mną?

Vanyel odwrócił się powoli. Nowe uczucie szacunku wobec brata zaczęło już opanowywać jego myśli.

— Mekealu, nawet jeśli na tej granicy utrzyma się pokój, pozostają jeszcze Karsyci, Hardorn i Iftel, bo Rethwellan, jak na razie, wydaje się nie burzyć; choć ich król jest już stary i gdy umrze, wszystko może się zmienić. Do tego mamy jeszcze obszary na północ od Valdemaru, skąd również może nadejść zagrożenie, pod warunkiem że tamtejsi barbarzyńcy znajdą przywódcę, któremu uda się ich zjednoczyć i utworzyć silną armię. Niech bogowie się nad nami zmiłują. Jeśli uda ci się wyhodować konie, o których mówisz, będziesz mógł nimi handlować. — Vanyel zamyślił się z wzrokiem utkwionym w wyszorowaną drewnianą podłogę stajni. — Jakie słyszeliście wieści? Mam na myśli tutejszą granicę.

— Mavelanowie chcą zapanować nad Lineasem. Są też wystarczająco zawzięci, aby ryzykować wojnę nawet z nami. Mieszkańcy Lineasu zaś nie przepadają ani za Bares, ani za Valdemarem; jednak wydaje im się, że Valdemar jest troszkę lepszy, więc nie sprzeciwią się, gdy jako trzecia strona będziemy próbowali wymusić pokój. Wszystko zależy od tego, co wyniknie z całego zamieszania wokół pozbawienia Tashira prawa sukcesji.

O Świetlista Pani, mądrość polityczna przemawia przez usta człowieka, którego nigdy bym o nią nie posądzał. Może jego zapatrywania są nieco krótkowzroczne — może nie widzi spraw w szerszym świetle — lecz gdy idzie o sąsiadów, mój mały braciszek wszystko już zważył i wykalkulował.

— Słyszałem, że za protestami kryje się lord Verdik — zaryzykował Vanyel. Mekeal wydawał się odnosić do tego z lekkim sceptycyzmem.

— Obserwując ich, dowiedziałem się jednej rzeczy: wszystko, co Mavelanowie robią otwarcie, poparte jest pięćdziesięcioma motywami i kryje w sobie tuzin innych posunięć. Protest może być tylko przykrywką dla zupełnie innej sprawy. Być może Verdik rzeczywiście cieszy się poparciem rodziny. Może też wykonywać tylko czyjeś rozkazy. Może działać na własną rękę i może nie mieć z tym nic wspólnego. Może naprawdę być ojcem Tashira i może naprawdę działać w interesie chłopca. Bogowie wiedzą, że on sam nie ma dzieci z prawego łoża, i to wcale nie dlatego, że nie próbował.

Vanyel pokiwał głową i skrętnie zapisał w pamięci ten smaczny kąsek.

— Coś ci powiem, Mekealu, zrobię wszystko, aby uświadomić ojcu, dlaczego chcesz mieć potomstwo z tego ogiera, i postaram się przekonać go, że skoro nie zajmujesz się rozplodem koni do polowania, powinien dać ci wolną rękę, aby zobaczyć, co uda ci się osiągnąć. Jednakże te owce...

Mekeal zakasłał i oblał się rumieńcem.

— To było piekielnie głupie posunięcie. Nie ma na nie zbytu, zwłaszcza że na południe od nas mają hodowlę owiec dających białe runo, a do tego całe połacie łąk nadających się wyłącznie na pastwiska. Ale, do diaska, staruszek gada o tym i gada, a to doprowadza mnie do takiej wściekłości, że czasem gotów byłbym mu przyłożyć. Nie mam zamiaru dać za wygraną! Przecież nie tracimy na tych owcach, po prostu nie zarabiamy tyle, ile byśmy mogli. Jeżeli ustąpię mu w sprawie owiec, będzie oczekiwał, że i w kwestii ogiera przyznam mu rację.

Vanyel jęknął.

— O Pani, pobłogosław! Obydwaj jesteście tak uparci, że anioł przywiedli byście do przekleństw! Słuchaj, zgodzisz się usunąć te przeklęte owce, jeśli uda mi się nakłonić go do ugody w sprawie ogiera? Wielkie nieba, czy choć jeden z was nie może wykazać przynajmniej odrobiny zdrowego rozsądku dla osiągnięcia spokoju i kompromisu?

Mekeal długo jeszcze obrzucał go groźnymi spojrzeniami i sarknął, ale w koń-

cu, w drodze powrotnej do zamku, niechętnie wyraził zgodę.

Dźwięk jedwabistego głosu zatrzymał Vanyela w pół drogi pomiędzy zamkiem a stacją, przyćmiewając swym brzmieniem jasny blask jesiennego słońca i okrywając kirem słodycz przedpołudniowego nieba.

— Dzień... dobry, heroldzie Vanyelu. — Nieznaczące wahanie po pierwszym słowie podkreśliło fakt, że do południa brakowało zaledwie jednej miarki świecy. Chłodny ton jego słów nie pozostawiał wątpliwości, że ojciec Leren nie aprobował sugerowanej przez siebie gnuśności Vanyela.

Vanyel zatrzymał się na zwirowej ścieżce, odwrócił się i lekko skierował głowę w stronę kapłana.

— Dzień dobry, ojczy Lerenie — odpowiedział bez drgnienia na twarzy.

Kapłan wyłonił się z głęboko osadzonych drzwi miniaturowej świątyni zamku będącej wierną granitową repliką Wielkiej Świątyni w Przystani. Do wybudowania jej Leren przekonał Withena już niedługo po objęciu swej funkcji kapłana rodziny Ashkevron, motywując to tym, że dawna kaplica, znajdująca się wewnątrz zamku, była zbyt mała, aby w dni świąteczne pomieścić całą rodzinę i krewnych. Argument taki wydawał się dość sensowny, aczkolwiek kapłan doskonale dawał sobie radę odprawiając nabożeństwa w kilku turach, podobnie jak podawano posiłki w Wielkim Refektarzu. Tylko Vanyel był oburzony nowym pomysłem. Mała świątynia z szarego kamienia wydawała mu się zawsze zbyt ograniczająca, zbyt duszna, pomimo że jej powierzchnia aż pięciokrotnie przewyższała rozmiary starej kaplicy. W przytulnej, wyłożonej drewnem kapliczce bogowie wydawali się jacyś... bliżsi. Byli bogami raczej przebaczącymi niż zakazującymi. Vanyel nie cierpiał nowej świątyni od momentu, kiedy znalazł się w niej po raz pierwszy, w wieku pięciu lat, i od tamtego czasu już nigdy więcej jej nie odwiedzał. W gruncie rzeczy nie był nawet do końca pewny, czy po wybudowaniu świątyni Leren kiedykolwiek, choć raz, przekroczył próg starej kaplicy, i dlatego właśnie tam zwykł się modlić jako chłopiec.

— Nieczęsto ostatnimi czasy dane mi było cię oglądać, mój synu. — Dobiegły go oschłe słowa. Szczupłe, smagłe oblicze ocienione szarawym kapturem było równie pozbawione wyrazu jak twarz Vanyela.

Vanyel wzruszył ramionami, przeniósł cały ciężar ciała na jedną nogę i założył rękę na piersi. Jeśli ma ochotę wdawać się w gierki słowne...

— Wcale mnie to nie dziwi, ojczy — odparł z obojętną uprzejmością. — Nie wiele czasu spędzam poza moim pokojem. Wykorzystuję ten wolny czas, aby nadrobić roczne zaległości w spaniu.

Leren pozwolił sobie unieść z ironią jedną ze swych czarnych brwi.

— Czyżby? W samotności? — Jego twarz nie wskazywała, aby była to sztyrcza uwaga.

Och, co u diabła. Nie, z owcą. . . — Vanyel jął przedrzeźniać najbardziej rozmarzonego fircyka w Przystani.

Człowiek, o którym tu mowa, nie miał skłonności do mężczyzn, w przeciwieństwie do tego, co można by o nim sądzić. Krążyły plotki, jakoby udawał zniewieściałego tylko po to, aby drażnić. . . nie Vanyela, lecz kilku spośród swych kolegów. Był też przy tym jednym z najlepiej władających mieczem mężów spoza Kręgu czy Gwardii.

Teraz, idąc za jego cennym przykładem, Vanyel postanowił zagrać trochę na nerwach Lerena.

— Niestety, zupełnie sam. — Nadaśał się. — Wszak jestem tutaj, aby odpocząć. Tymczasem przebywanie w czyimś towarzystwie nie sprzyjałoby raczej odpoczynkowi.

Kapłan cofnął się o krok. Zanim zdążył się opanować, na jego twarzy mignęło zdumienie.

— W rzeczy samej. Jednakże. . . mówiono mi, iż młody Medren spędza w twych komnatach nieumiarkowanie dużo czasu. — Tonem swego głosu insynuował, czego nie miał odwagi wypowiedzieć słowami.

Nie zniósłbym takich słów w ustach ojca, ty żmijo. I niech mnie piekło pochłonie, jeśli pozwolę tobie na wygadywanie podobnych rzeczy. Vanyel zamienił warknięcie, jakim chciał uraczyć Lerena, w jeszcze bardziej drażniący szczebiot.

— Och ten Medren. Uczę go muzyki. To słodkie dziecko, nieprawdaż? Ale jednak to dziecko. Żadne z niego towarzystwo. Wolę, aby moi druhowie byli. . . nieco starsi. — Zrobił jeden powolny krok w stronę kapłana i lekko zakołysał biodrami. — Wolałbym kogoś dorosłego, z kim można przeprowadzić dojrzałą rozmowę, kto ma dojrzałe. . . zainteresowania. — Zrobił jeszcze jeden krok i kapłan się cofnął, jego oczy zapały trwogą. — Wolałbym kogoś bardziej wyrobionego. Kogoś, kto mógłby mi zaimponować. — Przechylił głowę lekko na bok i przez chwilę przypatrywał się kapłanowi z uwagą. Trwoga w oczach Lerena przeszła w zaszokowanie i panikę — No, choćby kogoś takiego jak ty, ojczye Lerenie. . .

Kapłan wymamrotał coś na temat naczyń, które trzeba poświęcić, i po omacku odszukał za sobą klamkę otwartych drzwi świątyni. W mgnieniu oka przestąpił próg, a potem zatrzasnął za sobą, szczelnie, pomalowane na szaro podwoje.

Vanyel uśmiechnął się chytrze, spuścił głowę, aby ukryć rozbawienie na twarzy, i poszedł dalej, do stajni.

— Mekealu, czy w tym roku będzie organizowane Święto Plonów? — zapytał, z wigorem szcztokując Yfandes, która na pieszczoty szcztotki odpowiadała cichym mručeniem.

Mekeal nie podniósł głowy, zajęty bandażowaniem pęcín jednego ze swych własnych koni.

— Aha — mruknął. — Będzie pewnie dwa razy, większe niż za twoich czasów. — Sprowadzili już kupców na Świąteczny Jarmark.

— Już? — To oznaczało, że święto będzie większe niż Vanyel śmiałby przypuszczać. — Dlaczego?

— Przecież przyjedzie Liss i jej kompania, baranie. — Mekeal skończył owijać pęcinę prawej tylnej nogi i wyprostował się, wydając z siebie jeszcze jeden pomruk, tym razem zadowolenia. — Niektórym żołnierzom żołdy palą już kieszonki, bo nie mają ich na co wydać. We wsi Forst Reach są dwie damulki, co za opłatą użyczają swych wdzięków, i jeszcze trzy w Zielonym Krzaku Dzikiej Róży, ale to zbyt daleko jak na spacer, chyba że w dni wolne. Więc siedzą sobie w obozie, popijają przydziałowe piwo i zrzedzą. Znasz jakiegoś kupca, który nie potrafiłby zaradzić takiej sytuacji? No, dobra dziewczynka — powiedział do klaczy, poklepując ją po obfitym zadzie. — Zaraz skończymy, Szczotkuj. Możesz przecież jednocześnie szczotkować i rozmawiać

Vanyel powrócił więc do równomiernych pociągnięć szczotką, przedłużając je aż do pachwiny Yfandes.

— Jak ci się wydaje, znajdą się tam jacyś lutnicy? — Forst Reach pobierało opłaty od każdego kupca instalującego swój wóz na jarmarku podczas Świąt Wiosny i Plonów. Obchodzenie ich wszystkich, w celu zebrania należności, Wither uważał za zadanie szczególnie męczące, Vanyel zaś miał nadzieję, że będzie mógł powierzyć je Mekealowi.

Mekeal zagryzł wargi i zastygł z ręką na karku klaczy.

— Teraz sobie przypominam, że jeden już tam jest. Nie wyobrażaj sobie, że znajdziesz ich tu więcej. Ale dlaczego w ogóle o to pytasz?

— Przyszedł mi do głowy pewien pomysł — odpowiedział wymijająco. A potem zwrócił się do Yfandes. — *Moja kochana panno, czy skusiłabyś się na małą przejażdżkę?*

Yfandes westchnęła.

Pod warunkiem, że byłaby to naprawdę krótka przejażdżka.

To leniwe życie cię psuje.

Uhm — zgodziła się, leniwie mrugając powiekami. — Lubię być rozpieszczana. Mogłabym się do tego bardzo szybko przyzwycząić.

Vanyel zaśmiał się z cicha i odszedł, aby przynieść jej uprząż.

Zanim Vanyel znalazł kogoś, kto wiedział, w której części Świątecznego Jarmarku ustawił swój wóz lutnik, zdążył już wybrać co najmniej pół tuzina drobiazgów dla Shavri i Jisy.

Dopiero płacąc za marionetkę, zatrzymał się uderzony nagłą myślą, że obie zajmują tak ważne miejsce w jego sercu.

Co mnie naszło? — zastanawiał się. — Przez rok w ogóle o nich nie myślałem, a teraz...

No cóż, wszak przez cały ten rok w ogóle się z nimi nie widziałem. To wszystko. Jeśli tylko choć na chwilkę mogę oderwać Shavri od jej zmartwień...

Schował zabawkę do kieszeni i skierował się ku zagajnikowi na północnym krańcu jarmarku.

Czerwony, wyblakły wóz od razu rzucił mu się w oczy. Na jego stopniach siedział staruszek pochylony nad czymś, co trzymał w dłoniach.

Zupełnie jak Shavri w Domu Uzdrawiania pochylona nad zepsutą lalką przyniesioną przez któregoś z dzieci i unosząca na mnie swe oczy wilgotne od łez. Ja stoję obok niej jak idiota i dopiero po chwili idę po rozum do głowy i pytam, co się stało.

— Nie zniosę już tego dłużej, Van, nie zniosę... chcę mieć dziecko...

Vanyel prędko odpędził od siebie to wspomnienie.

— Przepraszam — powiedział, odczekawszy chwilę, aż snycerz przykucnięty na schodkach swego szkarłatnego wozu (po części warsztatu, po części wystawy i po części domu) zakończy pracę nad różą, którą rzeźbił właśnie w złotym dębie. Vanyel wahał się, nie chcąc rozpraszać uwagi rzemieślnika w samym środku wymagającej wielkiej delikatności pracy, jednakże popołudnie dobiegało już końca. Miał wszak odnaleźć znajdującego się rzekomo gdzieś w pobliżu lutnika...

Lecz widocznie uroczyście koncentracja rzemieślnika odporna była na dużo gwałtowniejsze wstrząsy niżli łagodne „przepraszam” Vanyela.

— No? — odparł mężczyzna, a jego guzowate palce ani na moment nie przerywały modelowania delikatnych, złocistych płatków.

— Szukam mistrza Dawsona.

— Właśnie na niego patrzysz, bracie. — Teraz dopiero staruszek odłożył nóż, strząsnął wióry ze swego skórzanego fartucha podniósł oczy na Vanyela. Sprawiał wrażenie człowieka przyjaznego, zaabsorbowanego myślami niewiele wybiegającymi w przyszłość. Twarz miał okrągłą, oczy mętne, zielonoszare.

— Rozumiem, że masz instrumenty muzyczne na sprzedaż.

Snycerz wyteżył uwagę, a jego oczy nabrały większej wyrazistości.

— No — odrzekł, wstając i zdejmując przez głowę swój fartuch. Kilka wiórów przyczepiło się do jego płowozółtej koszuli i bryczesów, więc wyskubał je, nie zaprzatając sobie nimi zbyt głowę. — Ale z ręką na sercu nie mogę ich sprzedać przed rozpoczęciem święta, wielmożny panie. W każdym razie nie bez pozwolenia Ashkevronów.

Vanyel uśmiechnął się, zawstydzony niczym mały chłopiec i przechylił lekko głowę.

— No cóż, ja nazywam się Ashkevron. A jeśli ci powiem, że sam załatwię to z moim ojcem, będziesz mógł mi coś sprzedać?

Staruszek przyjrzał mu się dokładnie.

— No dobrze — odparł po chwili tak długiej, że Vanyelowi zdało się, że mężczyzna poddawał go jakiejś próbie. — Chyba wtedy to będzie uczciwie. Wejdźcie, panie, do wozu, dobrze?

Pół miarki świecy później, gdy popołudniowe słońce oświetliło wnętrze wozu, połyskując na każdej lakierowanej powierzchni najróżniejszych sprzętów, Vanyel westchnął z rozczarowaniem:

— Przykro mi, mistrzu Dawsonie, żadna z tych lutni mnie nie zadowalała — Wybrał na chybił trafił jeszcze jeden instrument z wieszadła umocowanego wzdłuż wewnętrznej ścianki wozu i delikatnie szarpnął jedną ze strun. Struna zawibrowała, lecz nie dość dźwięcznie zabrzmiał jej głos. Odłożył więc lutnię na miejsce i zapiął klamrę przytrzymującą ją na stelażu. — Proszę, nie zrozum mnie źle, to są piękne instrumenty i ich wykrój jest zachwycający, ale... wszystko to... to lutnie do nauki gry. Wszystkie są do siebie podobne, żadna z nich nie ma własnego głosu. Miałem nadzieję znaleźć coś mniej zwyczajnego. — Wzruszył ramionami, ufny, że mężczyzna nie wpadnie w gniew.

Rzecz dziwna, Dawson wcale nie miał zamiaru się złościć. Zamiast tego wyglądał raczej na pogrążonego w myślach. Gdy zmarszczył brwi, całą jego twarz pokryła gęsta siateczka zmarszczek.

— Ha. No cóż, zaskakujesz mnie, młody panie... mówiłeś, że jak ci na imię? Vanyel poczerwieniał, zawstydzony swym brakiem ogłady.

— Przepraszam, nie powiedziałem ci swojego imienia. Jestem Vanyel.

— Vanyel... ten... Vanyel Ashkevron... o, na Święte Gwiazdy! Ten herold? — zawołał lutnik. Oczy mu się rozszerzyły i pociemniały. — Herold Vanyel? Łowca...

— Cieni, Zmora Demonów, Bohater Skalistego Szczytu — dokończył Vanyel znużony, opadając na podnoszone łóżko przy ścianie naprzeciwko półki na instrumenty. Reakcja mężczyzny przyprawiła go o ból pod czaszką. Zwiesił głowę i potarł dłonią czoło. — Proszę, to naprawdę... dla mnie dość męczące.

Poczuł na ramieniu twardą, szorstką dłoń poklepującą go przyjaźnie i ze zdumieniem uniósł wzrok, zaglądając w dwoje pełnych współczucia i dobroci oczu.

— Wyobrażam sobie, młodzieńcze — rzekł starzec ze zrozumieniem. — Wybacz, że zachowałem się jak jakaś głupia gęsiarka. Po prostu... nie co dzień człowiek spotyka kogoś, o kim wyśpiewują w pieśniach, a już w ogóle nie myśli o tym, że pewnego dnia bohater tak zwyczajnie zajdzie do jego wozu w czasie Święta Plonów gdzieś na pograniczu. No, skoro ty jesteś Vanyel, to ja jestem Rolf. I zanim cię stąd wypuszczę, musisz skosztować mojego piwa, zgoda?

Nagle Vanyel poczuł, że się uśmiecha.

— Z przyjemnością, Rolfie. — Ruszył więc do wyjścia w tyle wozu, ale mężczyzna zatrzymał go, machając ręką.

— Jeszcze nie, bracie. Jak właśnie miałem ci powiedzieć, mam kilka zabaweczek, których nie wystawiam. Trzymam je dla bardów. I mam też kilka takich, których nie pokazuję zwykłym bardom. . . ale że ty jesteś, kim jesteś. . . i mówią, że masz rękę do instrumentu. . . — Otworzył klapę w podłodze napakowanego po brzegi wozu i zaczął wyciągać instrumenty zapakowane w pięknie wyfasonowane, wyściełane futerały podróżne. Były tam dwie lutnie, harfa. . . i trzy instrumenty o kształcie cytry, ale. . . dużo większe.

Zgrabnymi, wprawnymi ruchami Rolf zabrał się do rozpakowywania swych skarbów, a Vanyel już wiedział, że znalazł właśnie to, czego szukał. Podobieństwo pomiędzy tymi lutniami, które teraz ukazały się ich oczom, a tamtymi, wiszącymi na ścianie, było bliskie relacji zachodzącej pomiędzy zadrukowaną kartą książki, a elegancko, kunsztownie wykaligrafowanym i ozdobionym inicjałami obwieszczeniem królewskim.

Wziął do ręki pierwszą z brzegu lutnię z ciemnego drewna, w promieniach słońca wpadających właśnie do wnętrza wozu zmieniającego barwę na głęboki mahoń. Napiął strunę i wydobył z niej dźwięk, wsłuchując się w jego brzmienie.

— To ma być lutnia dla ciebie czy dla kogoś?

— Dla kogoś — odparł, wsłuchując się w delikatnie wygasający w sercu lutni dźwięk.

— Kogoś o niskim czy wysokim głosie?

— Teraz wysokim, ale sądzę, że po mutacji może zamienić się w baryton. To mój bratanek. Ma dar i w przyszłości będzie z niego świetny bard.

— Obejrzyj więc tę. Pasuje do głosu, który nie potrzebuje dodatkowego wsparcia, jest głośniejsza jak na lutnię i ma bardzo niskie tony. Tamta jest lepsza dla młodego głosu, ma niskie i wysokie tony i łatwo się na niej gra. Do tej chłopiec musiałby dorosnąć. Ta zaś będzie rosła razem z nim.

Vanyel obrzucił staruszką zdumionym spojrzeniem.

Rolf uśmiechnął się nieznacznie.

— Dobry rzemieślnik wie, jak zadowolić świat swą robotą — powiedział. — Nie mam głosu, ale mam dobre ucho. Prawda jest zaś taka, że trudniej znaleźć dobre ucho niż dobry głos. Ale wątpię, czy żyje choć jeden bard, który by się z tym zgodził.

Vanyel pokiwał głową i wziął do ręki drugą lutnię, złotą, o barwie liści rajwału na jesieni. Naciągnął jedną ze strun i szarpnął. Po wnętrzu wozu poniósł się przenikliwie autentyczny dźwięk. Vanyel sprawdził, czy gryf wygodnie leży w dłoni. Był przyjemny, ale nie przesadnie delikatny.

— Masz rację — powiedział, podając lutnikowi wybrany instrument — Wezmę ją. Nie będę się targował. — Rzucił przez ramię tęskne spojrzenie. — A gdybym nie miał już lutni, którą kocham jak starego przyjaciela. . .

Rolf nastroszył swe krzaczaste brwi i uśmiechając się szeroko, zabrał złocistą lutnię z rąk Vanyela i zaczął starannie układać ją z powrotem w torbie.

— Masz ochotę wypróbować ich krewniaka nowej generacji? — Wskazał głową na instrumenty w kształcie cytry.

— Cóż... a co to właściwie jest?

— To coś nowego. Próbowałem skonstruować cytry z metalowymi strunami zamiast tych z jelit. Co z tego wynikło, to już ty mi powiesz. — Wybraną przez Vanyela lutnię położył ostrożnie na swym łóżku, a potem zdjął pokrowiec z pierwszej z brzegu cytry. — Zawsze pilnuję, aby były nastrojone, a ta to istna diablica przy prezentacji. Mam nadzieję dotrzeć kiedyś do Przystani i pokazać je w Kolegium Bardów.

— Wielkie nieba. — Vanyel aż otworzył usta. — Dwanaście strun?

— Chwyty stosuje się takie same jak w grze na cytrze. Ta jest podobna, a tamta ma sześć strun. Użyłem metalowych strun, takich jakie ma harfa.

Vanyel wziął cytrę ostrożnie do rąk, a potem uderzył w struny...

I rozległ się dźwięk podobny do bicia dzwonu, a lekki niczym pieśń płynącego w przestworzach anioła; zawisł w powietrzu na wieczność, wibrując w rytmie uderzeń serca Vanyela.

Vanyel zaniknął oczy, zatraciwszy się bez reszty w pięknym brzmieniu znikającego głosu. Gdy je otworzył, ujrzał przed sobą Rolfa z szatańskim uśmiechem na twarzy.

— Jesteś — rzekł srogim tonem — okrutnym człowiekiem, Rolfie Dawson.

— Och, wiem o tym — zarechotał staruszek. — Wszak nikomu to nie wadzi, że i wewnątrz wozu jest urządzone tak, jak gdyby było nastrojone. To jeden z powodów, dla których te lutnie do nauki gry brzmią tutaj tak dobrze. Ale ta cytra zabrzmiała świetnie nawet w wychodku.

— No cóż, mam nadzieję, że jesteś przygotowany na ciężką pracę — odparł Vanyel, chwytając skórzany pokrowiec i starannie pakując do niej swą nową cytrę. — Bo gdy zabiorę ją do Przystani i usłyszy ją bard Breda, to natychmiast wyśle za tobą psy gończe, aby cię odnalazły i sprowadziły do stolicy.

Rolf zarechotał jeszcze głośniej.

— A jak ci się wydaje, dlaczego ją dla ciebie wyciągnąłem i pozwoliłem wypróbować? Załatwisz za mnie połowę roboty, heroldzie Vanyelu. Mając przedstawicieli takich jak ty i ta dama nie będę musiał siedzieć beczynnymi całym tygodniami, czekając razem z innymi lutnikami na swoją kolejkę do Kolegium Bardów.

Teraz Vanyel nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Jesteś wielkim okrutnikiem. No, a teraz możesz oznajmić mi najgorszą nowinę.

— To znaczy?

Poczuł ukłucie, wspominając tęsknie swą niegdyś pełną kiesę. Ale na cóż in-

nego miałby wydawać pieniądze? — Ile ci jestem winien?

Vanyel zamknął za sobą drzwi swej sypialni i oparł się o nie plecami, wciągając pierwszy swobodny haust powietrza od momentu, kiedy tego ranka opuścił pokój.

— Bogowie! — wycharczał. — Mój azyl, nareszcie! Witaj, Medrenie. Och, przyniosłeś wino. . . dziękuję ci. Bardzo mi go potrzeba.

Chłopiec podniósł głowę znad swej nowej lutni, w której stroił właśnie nowe struny. Moment podarowania mu tego instrumentu był dla Vanyela jedną z tych niewielu chwil nie skażonej niczym radości, której tak rzadko doświadczał ostatnimi czasy; a reakcje chłopca warta była dziesięciokrotnej ceny, jaką Vanyel zapłacił za lutnię.

Medren wyszczerzył zęby.

— Matka?

— To dziś rano — odparł Vanyel, odepchnąwszy się rękami od drzwi, i skierował się prosto do stolika przy siedzisku w niszy okiennej, gdzie czekał na niego chłodny dzban wina przyniesiony przez Medrena. — Przysięgam, gonila za mną po całym zamku, z błyszczącymi oczami i kipiącą w żyłach żądzą.

Biedna Melenna. Bogowie. Ona doprowadza mnie do szaleństwa, ale nie potrafię jej skrzywdzić. Przysporzyłem innym już tyle cierpienia, że więcej znieść nie potrafię.

— I z żądzą w. . .

— Medrenie! — przerwał mu Vanyel. — Obmawiasz własną matkę!

— . . . sercu — dopowiedział chłopiec przymilnym tonem. — I co zrobiłeś?

— Wziąłem kąpiel — odparł psotnie Vanyel. — Wziąłem bardzo długą kąpiel. A gdy już wyszedłem z łaźni, okazało się, że dała za wygraną.

— Więc jeśli to nie była matka, to kto cię ścigał tym razem?

— Lord Withen. W sprawie wielkiego sporu o owce. Mekeal chce zatrzymać je na łące aż do wiosennej strzyży, a ojciec natychmiast, jeśli nie jeszcze wcześniej, przywrócić tam roczne bydło. — Vanyel jęknął i chwycił się za głowę. — Gdyby nie to, że kiedy zamykam za sobą te drzwi, zostawiają mnie w spokoju. . . o bogowie, na granicy panował mniejszy zamęt!

Na ściankach dzbana perliły się kropelki wody; gdy Vanyel wziął go do ręki, spłynęły.

— Ktokolwiek przyjmie cię na swego protegowanego, będzie błogosławił twą troskliwość, synu. — Nalał sobie kielich wina i sącząc je pomału, stanął nad Medrenem siedzącym przy oknie. Zarówno wewnątrz pokoju, jak i na zewnątrz żaden najśłabszy nawet powiew wiatru nie wprawiał w ruch nieruchomego powietrza i zdawało się, że nawet ptaki rozgrzane słońcem zapadły w leniwą drzemkę.

— Instrument wciąż ci się podoba?

Medren zdecydowanie skinął głową. Jego twarz zdradzała, że jest czymś bardzo zajęty. Nastrajał właśnie ostatnią strunę, a zmarszczone skupieniem czoło nadawało jego młodej buzi dorosły wygląd.

Gdy Vanyel wziął do rąk swoją lutnię, poczuł w sercu rozgrzewające ciepło. Tak niewiele trzeba, aby uczynić dziecko szczęśliwym... i bogowie, ten talent.

— No i co... — powiedział, kładąc dłoń na ramieniu chłopca. — Gotów do lek...

Chłopiec wywinął się spod delikatnej ręki na jego ramieniu. Nie zrobił tego pod wpływem jakichś uczuć... ale z bólu.

Vanyel cofnął rękę, jakby była kawałkiem rozpalonego do czerwoności żelaza, które nieumyślnie przyłożył do nagich pleców chłopca.

— Medrenie! Co ja zrobiłem...

— Nic nie szkodzi — odparł chłopiec i wzruszył ramionami, co przywołało na jego twarz jeszcze jeden grymas bólu. — Tylko... Jervisowi przyszło do głowy, że wszyscy powinniśmy zobaczyć, jak można kogoś zmusić do opuszczenia tarczy, a potem podejść go z wysoko uniesionym mieczem. Zgadnij, kto musiał być ofiarą. — W jego słowach tyle było gorzkości, że Vanyel poczuł ją na swym własnym podniebieniu. — Jak zwykle.

Przed oczami majaczy plama spadającego nań ostrza, spadającego nań nieustannie; ciężar tarczy na ramieniu z każdą chwilą coraz większy. Czuje wstrząs każdego kolejnego uderzenia, przed którym nie może się uchylić; najpierw wstrząs, potem ból. Oddech pali płuca, bok boli od sińców, na łydkach zaciskają się obręcze. Zatacza się do tyłu, świat wiruje, oczy zachodzą mgłą.

— Van?

Po plecach spływa zimny pot, w ustach smak krwi. Gorzki, absolutne poniżenie. Potem napływa metaliczny smak nienawiści i strachu.

— Hej, Vanyelu... nic ci nie jest?

Vanyel potrząsnął głową, jakby chciał odzyskać przejrzystość myśli, i najlepiej jak potrafił skrył swe poruszenie, ale wspomnienia opadły go z taką wyrazistością, jak gdyby na nowo przeżywał tamten moment sprzed wielu lat, kiedy to Jervis przyparł go do muru tak, że nie było już sposobu, by uciec.

— Nie, wszystko dobrze. — Poczuł ból w lewym ramieniu i zaczął masować je aż do nadgarstka, wciąż pogrążony w zadumie. Jeszcze boli, po tylu latach. Nadal nie mam czucia w palcach. Och, bogowie, nie róbcie tego Medrenowi.

— Możemy sobie podarować tę lekcję — zaczął, starannie skrywając emocje.

— Nie! — krzyknął Medren, przyciskając lutnię do piersi i zrywając się na równe nogi. — Nie, to nic wielkiego! Naprawdę! Czuję się dobrze!

— Jeśli jesteś tego pewny — rzekł Vanyel, zastanawiając się, jaki udział w zachowaniu chłopca ma jego junacka natura.

— Jestem pewny. Dali mi trochę maści końskiej. Od razu bym ją sobie wtarł, ale nie chciałem psuć powietrza w twoim pokoju. — Chłopiec uśmiechnął się bez

entuzjazmu i znów usiadł. Jego oczy znów błyszcząły niecierpliwością.

— Mam coś ciekawszego niż lekcja... jeśli tylko się nie boisz, że cię zbałamucę.

Chłopiec zrobił zadiorną minę.

— Miałeś już okazję, Vanyelu. A co takiego masz? Nie będę ukrywał, że ramię pali mnie jak ognie piekielne.

— Wypróbuj maść z wierzby i piołunu z dodatkiem odrobiny mięty dla znośnego zapachu. Zawsze tego używam. — Odłożył lutnię i schyliwszy się, zaczął szperać w szafce stojącej w nogach łóżka. — Należę do ludzi, którzy na samą myśl o sińcach dostają fioletowych plam. Zdejmij koszulę, dobrze?

Gdy się odwrócił ze stoiczkiem w ręce, zobaczył, że chłopiec rozebrał się do pasa, odsłoniwszy paskudnego sińca wielkości dłoni rozlanego na całym lewym ramieniu. To był okropny widok. W środku fiolet mieszał się z czernią, a między nimi przebijały się szardniebieskie i czerwone cętki.

Tarcza pęka niczym przetrzęta błyskawicą. Nagła ciemność, zawrót głowy. Przebudzenie, zatroskana twarz Lissy i ból w lewym ramieniu porywający znów w otchłań ciemności.

— Bogowie!

Medren wzruszył jednym ramieniem.

— Zawsze mam takie sińce. Ale to chyba wygląda groźniej niż jest w rzeczywistości. Młody Mekeal przyjął równie silny cios, a prawie nie ma śladu. — Tęsknym wzrokiem popatrzył na naczynie z balsamem. — Vanyelu, masz zamiar cały dzień tak stać i wytrzeszczać oczy czy zrobisz w końcu z tego użytek?

— Przepraszam, Medrenie. — Vanyel otrząsnął się z szoku, nabrał trochę maści na opuszki palców i najdelikatniej jak tylko potrafił zaczął ją wcierać w pokryte sińcem miejsce, od obrzeża plamy aż do jej środka. Z początku chłopiec syczał z bólu, ale potem stopniowo zaczął się odprężyć.

Vanyel był poruszony do żywego, z każdą chwilą napięcie rośnie, czuł, że mięśnie jego własnych ramion kurczą się i kłębią niczym splątane struny harfy. Bogowie, i cóż ja mam zrobić? Niech mnie piekło pochłonie, jeśli pozwolę Jervisowi zniszczyć Medrena, tak jak zniszczył mnie... Ale jak mu w tym przeszkodzić? Jeżeli wymuszę na nim konfrontację, wszystko skupi się na Medrenie. Jeśli rozprawię się z nim sam... bogowie, nie mam zaufania do mojej cierpliwości, nie, gdy idzie o tego starego drania. I nie teraz, kiedy jestem taki przewrażliwiony. Jeden fałszywy krok, albo słowo wypowiedziane nie w porę, i zabiję go, zanim zdąży się pohamować. Co robić? Co robić?"

— O Świetlista Pani — odetchnął chłopiec. — Czuję, jakbym odzyskał ramię w zamian za kawał utłuczonego mięsa.

— Medrenie, czy jest jakiś sposób, abyś unikał ćwiczeń aż do czasu, kiedy spokojnie stąd wyjedziesz? — zapytał Vanyel.

Medren namyślał się przez chwilę.

— Od czasu do czasu — rzekł z wolna. — Ale nie co dzień.
— Na pewno? — nalegał Vanyel. — Nie możesz się gdzieś schować?
— Nie, odkąd otworzyli ten pokoik na tyłach biblioteki. Dokądkolwiek pójde, w końcu i tak mnie znajdą. A ty nic nie możesz zrobić?

Vanyel potrząsnął głową z ubolewaniem.

— Chciałbym. Ale w tej chwili nic mi nie przychodzi do głowy. Zastanowię się nad tym. Jeśli istnieje dla ciebie jakiś ratunek, to ja go wynajde. Unikaj Jervisa, jak tylko możesz. Jeśli nie jesteś w stanie wymigać się jakoś od brania udziału w ćwiczeniach, spróbuj nie wchodzić mu w drogę. Gdy nie będzie cię widział, to czasem może ci się udać, że choć na jeden dzień zapomni o swej ofierze.

Medren westchnął i z powrotem narzucił na siebie koszulę.

— Zgoda. Jeśli nie mogę zrobić nic więcej, to trudno. — Przekręcił głowę i posłał Vanyelowi żalospny uśmiech. — Chociaż ty mi wierzysz. Mówisz nawet, jak gdybyś wiedział, przez co przechodzę.

Vanyel wbił oczy w ścianę, ale nie widział tam desek drewnianej boazerii, lecz chudego, niewyrośniętego chłopca, na którym jak na worku treningowym zgryźliwy były najemnik wyładowuje swą złość.

— Bo wiem, Medrenie — odpowiedział powoli ze ściśniętym sercem. — Uwierz mi, dobrze wiem.

Vanyel był bardzo szczęśliwy, widząc znów spokojną twarz ciotki Savil, i rad, że zdecydował się wyjechać jej naprzeciw, O wiele łatwiej było opowiadać o wydarzeniach w Forst Reach, nie zastanawiając się, czy ktoś nie podsłuchuje.

— ... a więc tak to wszystko wygląda — zakończył Vanyel. Yfandes z trudem dotrzymywała kroku wyższemu od niej Towarzyszowi Savil. — Poza tym, że mieszkańcy Lineasu i Bares lada dzień mogą sobie skoczyć do gardeł, jedyny problem to sprawa Medrena. Melenny udaje mi się Unikać. Za to wielki spór o owce będzie się ciągnął dopóty, dopóki wszystkie owce nie zostaną usunięte z Długiej Łąki. Zdaje się, że ojciec zaaprobował Mekeala koncepcję rozwoju hodowli, choć z drugiej strony jego pełnomocnik szuka innego ogiera na miejsce tego, którego kupił Mekeal. Ale Medren... Savil, wiem, co sobie myślisz. Myślisz, że wyolbrzymiam wszystko, widząc innego chłopca w położeniu, w jakim ja sam kiedyś się znalazłem. Tylko że nie widziałaś tego sińca monstrualnych rozmiarów, z którym do mnie przyszedł. To nie był efekt pieszczotliwego poklepywania. Ten siniak miał rozmiary mojej rozwartej dłoni, od małego palca do kciuka.

— Ha — odparła Savil, marszcząc czoło w zadumie.

— A co gorsza, Mekeal powiedział mi, że Jervis chce ze mną cytuję: „stoczyć kilka rundek”. Chce się zmierzyć. — Vanyel parsknął. — W rzeczy samej, zmierzyć się. To będzie przygnębiający dzień... .

Savil przytaknęła skinieniem głowy.

— Chyba lepiej zrobisz, unikając go. On będzie cię prowokował, Van; na wszystkie możliwe sposoby.

— A ja dopiero co spędziłem cały rok na granicy.

— Właśnie. Jeśli tylko przebierze miarkę... cóż, wiesz o tym lepiej ode mnie. *Kellan, czy ty i Yfandes nie mogłybyście z łaski swojej wstrzymać się z tymi pogaduszkami do czasu, kiedy puścimy was luzem? Usiłujemy tutaj poważnie się naradzić.*

Vanyel zaśmiał się z cicha.

Raczyście się nawzajem opowiadkami o muskularnych ogierach-kurierach!

Nie gadaj i zajmuj się jazdą.

Vanyel napotkał wzrok Savil i oboje wymienili ironiczne spojrzenia.

— Widzę — rzekła Savil na głos — że będą to bardzo... intensywne... od-wiedziny.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Awantura była już w pełnym toku, gdy Vanyel pojawił się w stajni, a to, co tam zastał, wyraźnie wskazywało, że trwała ona już od jakiegoś czasu, nieustannie podsycana wyzwiskami. Stajnia oddalona była od głównego budynku zamku o jakieś pięćdziesiąt kroków, ale dobiegające z niej głosy niosły się dookoła z wielką wyrazistością. Jakkolwiek stajenni ze wszech miar starali się udawać, że w ogóle nie słuchają, Vanyel i tak widział, jak nastawiają uszu, by nie uronić ani jednej wymiany obelg.

Wielkie nieba, Savil ma moc w płucach!

— A teraz posłuchaj, ty uparty stary ramolu. . .

— Uparty! — Wzburzenie w głosie Withena miało taką gęstość, że mogłoby pruć powietrze niczym pług. — Ty nazywasz mnie upartym! Przyganiał kocioł garnkowi, Savil. Jeśli kiedykolwiek. . .

— . . . i prowincjuszem, ograniczonym i tonącym we własnej ciemności!

Vanyel powściągnął uśmiech i dalej równomiernymi pociągnięciami szczotkował błyszczący bok Yfandes. Ona zaś wzdychała z rozkoszy i nadstawiała się do każdego następnego dotyku.

— *Dobrze ci?*

Wspaniale. Wszyscy Towarzysze powinni wybierać muzyków, Masz takie utalentowane dłonie. Przy okazji. . . — Zastrzygła uchem w stronę otwartego okna, przez które wpadały tak wyraźne odgłosy kłótni Withena i Savil.

To muzyka dla moich uszu. Gdy krzyczy na ciocię Savil, nie może krzyczeć na mnie. Wyglądasz już lepiej. Zniknęły zapadnięte miejsca na karku. I sierść wygląda zdrowiej. — Przerwał na chwilę, aby nasycić oczy połyskiem sierści Yfandes.

Wracam do sił szybciej niż ty. — Odwróciła głowę, by zawisnąć na nim swym przenikliwym błękitnym okiem. — *Czy ty aby nie za mało śpisz?*

Gdybym sypiał jeszcze dłużej, budziłbym się z bólem głowy. — I skierował swą uwagę ku otwartemu oknu, unikając dalszych pytań ze strony Yfandes.

W gruncie rzeczy wcale nie miał pojęcia, co powodowało, że nadal potrzebował tak dużo snu i dlaczego wciąż tak łatwo dopadało go zmęczenie. Nieustannie czuł się jakiś pusty w środku, jak gdyby nosił w sobie wielką próżną dziurę, której w żaden sposób nie udawało mu się zapełnić. Z drugiej strony wykurował się

już na tyle, że wszystkie problemy, duże i małe, jeły wprawiać go w stan ciągłej nerwowości, gdyż nie mógł na nie nic zaradzić.

Powoli zaczynały go trapić też nowe zmartwienia.

Shavri. Czy lubię ją... za bardzo? Bogowie. Myślę o niej i Jisie chyba co noc. Kochałem Lendela. Wiem, że go kochałem. Ale czyżbym pozwolił Shavri zapaść w me serce głębiej niż tego chciałem? Bogowie, wszak łączy ją więź życia z Randalem. A on jest chyba moim najlepszym przyjacielem na świecie, zaraz po Savil. Shavri zaś należy do moich najdroższych przyjaciół. Jak w ogóle coś takiego może mi przychodzić do głowy? Bogowie, bogowie. Czy ja rzeczywiście jestem *shayn*? A może jestem zupełnie kimś innym?

Pytanie to dręczyło go bez przerwy, bardziej niżli odważyłby się przyznać. Czy ja unikam Melenny, bo jestem *shayn*, czy dlatego że nie lubię, gdy urządza się na mnie polowanie? Rozpędził te niepokojące myśli i wypuścił cieniutką nitkę myślową ku Savil.

Czym mogę ci służyć, diabełku? — nadeszła jej rychła odpowiedź.

Zastanawiałem się tylko, czy nie potrzebujesz pomocy.

To zdanie znaczyło już rozbawienie.

Wielkie nieba, nie! Smętnie się bawię! Otwieram twemu ojcu oczy na politykę i dążenia naszego królestwa pod panowaniem Randala, Elspeth zawsze miała konserwatywne poglądy, a z wiekiem utwierdzała się w nich jeszcze bardziej. Randal to przecież zupełne jej przeciwieństwo. Withen jest tym wszystkim wstrząśnięty.

Vanyel znów musiał powstrzymać cisnący mu się na usta chytry uśmiezek.

A nad czym żyma się w tej chwili?

Nad prawem o obowiązkowej edukacji uchwalonym właśnie przez Randala i Radę.

Przypomnij mi. Mam zaległości.

Od teraz każde dziecko w Valdemarze będzie pobierało w swej świątyni naukę czytania, pisania i arytmetyki. Każde dziecko, nie tylko to wysoko urodzone czy takie, które wybierze kapłan, jako szczególnie uzdolnione, czy też obdarzone powołaniem. Lekcje będą się odbywały przed południem, przez całą zimę, od końca zniw aż do pierwszych zasiewów. A dopilnowanie, aby dzieci rzeczywiście odbywały tę naukę, należy do obowiązków właścicieli ziemskich.

Vanyel zdumiał się.

A niech to. Rozumiem, co mu się w tym najbardziej nie podoba, i wiem, skąd Randal wziął ten pomysł; dość często o tymże mną rozmawiał. Nie wierzyłem, że uda mu się doprowadzić do przegłosowania przez Radę tego projektu w nie zmienionej formie.

Oświeć mnie, zabrakło mi amunicji — poprosiła Savil.

Ojciec jest przekonany, że doinformowane społeczeństwo jest skłonne ufać swym przywódcom bardziej niż społeczeństwo niedouczone, jeśli przyjąć, że przywódcy w ogóle są godni zaufania.

Ale w Valdemarze taki problem nie istnieje — odparła Savil.

I dzięki bogom za to. Cóż, jedynym sposobem na stworzenie doinformowanego społeczeństwa jest kształcenie jego członków, aby nie musieli polegać na plotkach i mieli chęć oczekiwać na oficjalne, spisane wieści. Panika po śmierci Elspeth zaważyła na podjęciu tej decyzji.

Nie wiedziałam o tym. To dobre argumenty, ke'chara Choć jest jeszcze bardzo młody, nasz Randal potrafi czasem czymś zabłysnąć. Jak tylko twój ojciec przerwie na moment, aby wziąć oddech...

— Postuchaj, ty twardogłowy gaduło! Chcesz, aby twoi chłopci padali ofiarą każdego drania umiejętnie sypiącego jak z rękawa niby to wiarygodnymi plotkami? — Savil trzymała w garści mocny argument i znów nabrała wiatru w żagle.

Vanyel porzucił wszelkie wysiłki utrzymania powagi i całym ciężarem ciała opadł na Yfandes, zanosząc się cichym śmiechem, aż z oczu popłynęły mu łzy.

To absurdalne — pomyślał Vanyel z irytacją, zatrzymując się na moment na wąskich schodach. — Absolutnie bezsensowne. Dlaczego po to, aby dotrzeć do własnego łóżka, muszę co wieczór zachowywać się tak, jak gdybym przekradał się przez terytorium opanowane przez wroga?

Bezgłośnie niemal, przy cichym skrzypieniu stopni słabo oświetlonych schodów na tyłach zamku — jedynym dźwięku zdradzającym jego obecność — wspiął się na czwarte piętro. Znalazłszy się już na samej górze, przywarł do ściany i gruntownie zbadł przestrzeń przed sobą.

Nie ma Melenny.

Jak dotąd, wszystko idzie dobrze.

Czując w prawym oku ukłucie i napływające doń łzy, knykciem dłoni potarł powiekę. Oczy paliły go i zdawały się być już mocno opuchnięte. Powinienem być położyć się do łóżka już wiele miarek świecy temu, tylko że za każdym razem, gdy wiadomo było, że jestem już zmęczony, Melenna miała zwyczaj zasadać się na mnie za załamaniem korytarza. Mam nadzieję, że zdążyła już dać sobie z tym spokój.

Wyjrzał zza ściany, by jeszcze raz sięgnąć wzrokiem w głąb korytarza; zanim zaryzykuje ruszenie dalej. To piętro należało do służących, a zatem jeśli Melenna nie położyła się jeszcze, podsycając w sobie nadzieję o złapaniu Vanyela w pułapkę, z pewnością nie przyjdzie jej do głowy, aby szukać go tutaj.

Vanyel policzył drzwi — piąte po prawej stronie prowadziły nie do pokoju, lecz na wąziutkie spiralne schody, które sięgały tylko trzeciego piętra. Jeszcze raz delikatnie zbadł teren. Na schodach, aż do dołu, było pusto.

Schody zrobione były z litego żelaza, a ich stan pozostawiał wiele do życzenia. Vanyel uchwycił się poręczy, zacisnął zęby i pomału ruszył w dół, przesuwał się centymetr po centymetrze, tak aby tylko nie spowodować hałasu. Zdawało się, że

ta podróż przez duszącą ciemność ciągnąć się będzie całą noc.

Wtem jego stopa napotkała drewno zamiast metalu i Vanyel ześlizgnął się ze schodów, po omacku szukając drzwi. Przyłożył dłoń do drewnianej boazerii i skoncentrował się na przestrzeni po drugiej stronie. Tylko dwoje drzwi dzieliło wyjście z tej klatki schodowej od pokoju Vanyela, a jeśli Melenna miałaby mimo wszystko czatować na niego, to na pewno będzie stała na korytarzu.

Grzeczność — i ograniczenia obowiązujące heroldów — nie pozwalały Vanyelowi uciec się do odszukania jej za pomocą sondy myślowej, nawet gdyby miał w sobie dość sił, których zresztą pozbawiony był już do reszty, co ze smutkiem właśnie przyszło mu sobie uświadomić.

Zresztą i tak ludzi nie posiadających darów trudniej było wytropić, używając sondy myślowej, niżli tych, którzy je mieli.

Zaczyna mnie to naprawdę męczyć. Nie chcę odstręczać od siebie matki i nie chcę krzywdzić Melenny, ale jeśli ta zabawa w kotka i myszkę się nie skończy, mogę być zmuszony to zrobić. Mówię jej grzecznie „nie”, a ona nie wierzy. Unikam jej, a ona upiera się jeszcze bardziej. Dwa dni temu o mały włos byłbym ją zabił, gdy wyskoczyła wprost na mnie ze swego ukrycia. Oparł się czołem o drzwi i zamknął obolałe oczy. Brak mi już pomysłów na zwalczenie tej kobiety. A niech to wszystko piekło pochłonie, przecież jest już wystarczająco dorosła, aby widzieć, że to nie ma sensu. Nie chcę jej zranić. Nie chcę nawet wprawić jej w zakłopotanie.

Nic nie wskazywało na to, że Melenna może kryć się gdzieś w korytarzu. Vanyel uspokoił się nieco i postawił stopę na wypolerowanej na błysk drewnianej podłodze korytarza z pokojami gościnnymi. Jaśniejsze światło podrażniło jeszcze bardziej jego piekące oczy i wycisnęło z nich łzy.

Otworzył drzwi swego pokoju. . .

I zamarł z ręką na lodowatej kłamce.

W kinkietach wbudowanych w wezłowie łoża płonęły świece, a rozpostarta na samym środku pościania Melenna posyłała mu przymilny uśmiech. Siadając, pozwoliła kołdrze odstąpić jej ramię, jakby chciała dowieść, że jej ciała nie okrywa nawet najmniejszy skrawek ubrania.

Vanyel policzył do dziesięciu — raz, a potem jeszcze raz. Uśmiech Melenny przybladł i zgasł. Przerzuciła sobie włosy przez ramię i wysunęła wargi, układając je jak do pocałunku.

Vanyel zerwał z wieszaka przy drzwiach swój płaszcz, bez słowa odwrócił się na pięcie i wyszedł, trzaskając drzwiami, aż echo poniosło się po całym korytarzu.

Yfandes, kochanie — powiedział w myśli, tak zły, że z trudem układał słowa w logiczną całość. — *Mam nadzieję, że użyczysz mi kąta do spania.*

Słoma nie była najwygodniejszym pościaniem, ale miewał już w życiu gorsze.

Nie raz już przyszło mu spędzić noc z głową wspartą o poduszkę z szyi Yfandes. Ale dzień rozpoczynał się dla stajennych dużo wcześniej niż Vanyel zwykł był wstawać. Ani oni, ani konie, nie mieli powodu, zachowywać się cicho. Osławiony ogier Mekeala hałasował najbardziej, równomiernie kopiąc drzwi swej przegrody już od momentu, gdy tylko horyzont na wschodzie zaczął się zabarwiać.

Głupi prostak myśli, że gdy będzie tak wierzą, ktoś przyjdzie go wypuścić.
— Dobiegła Vanyela senna myśl Yfandes. — *Ja o tej porze idę sobie zwykle pod drzewko.*

Vanyel uniósł głowę i ziewnął. Pospał trochę, ale nie tyle, ile by sobie życzył.

Ty sobie idź, a ja chyba wrócę już do swego pokoju. Jeśli Melenna jeszcze się stamtąd nie wyniosła, przysięgam, że ją wyrzucę. Może dawka upokorzenia przekona ją do odczepienia się ode mnie.

To całkiem niezły plan. — Yfandes poczekała, aż Vanyel usunął z niej głowę, a potem podniosła się i trąciła kopytem drzwi prowadzące na zewnątrz. Vanyel wstał, obolały po nocy spędzonej niewygodnej pozycji, i otrzepał ze słomy ubranie. Potem, lekceważąc przerażone spojrzenia stajennych, podniósł z podłogi swój płaszcz i leż go wytrzepał. Tymczasem Yfandes pokłusowała na łąkę.

Idź sobie jeszcze trochę pospać, najdroższy. — Puściła ku niemu swą myśl.

Spróbuję — odparł Vanyel ze złością. — *Może przyniosę swoją pościel tutaj. Może kiedy rozejdzie się wieść o tym, że sypiam z końmi, Melenna sama skończy tę komedię.*

A jeśli okaże się na tyle głupia, aby zasadzać się na ciebie tutaj, przegonię ją parę razy dookoła łąki i nauczę dobrych manier — odrzekła Yfandes. Rozdrażnienie zabarwiło jej myśl głęboką czerwienią. — *To się staje dość męczące. Nic mnie nie obchodzi, czy jej się wydaje, że cię kocha, bo i tak w żaden sposób nie tłumaczy to jej głupkowatego zachowania.*

Vanyel nie odpowiedział. Zbyt bliski był stanu, w którym mógłby wyrządzić natrętnej kobiecie poważną krzywdę. Starannie ułożył sobie płaszcz na ramieniu i udając, że nie zauważa poszeptywania stajennych, wyszedł ze stajni, zatrząskując za sobą drzwi.

— Miałem kłopoty z łóżkiem ostatniej nocy — rzekł do Tama, głównego stajennego i najbardziej zaufanego ujeżdżacza koni Withena.

Tam nie był głupcem i odkąd Vanyel dorósł na tyle, aby jeździć konno, w milczeniu trzymał stronę młodego dziedzica. Był jedną z niewielu osób w Forst Reach, które nie zmieniły swego stosunku do Vanyela po tym, jak dotarła do zamku wiadomość o jego związku z Tylendelem. Ponieważ żona Tama była jedną z kucharek, Tam był dość obeznany w „domowych” plotkach. Teraz uśmiechnął się z wolna, ukazując lukę w szczęce, gdzie brakowało mu trzech zębów, które stracił kopnięty przez konia.

— Tak, wielmożny panie. Rozumiem. Są takie życzenia, których ciało chciałoby spełnienia.

Van wzdrygnął się w duchu, wiedząc, że nie przysłuży się to reputacji Melenny, gdy cała historia rozniesie się po zamku.

Stajenni powrócili do swych zajęć, a Vanyel meandrując między nimi, skierował swe kroki ku podwórzcu pomiędzy zabudowaniami gospodarczymi a zamkiem. Zmrużył oczy osłepiony słońcem i patrząc spod na wpół przymkniętych powiek, ujrzał tylko jedną osobę, niewyraźny, trudny do zidentyfikowania cień w drzwiach zbrojowni.

— Vanyelu — zawołał chrapliwy, aż zanadto znajomy głos. — Pozwól na słówko.

Jervis. Fechmistrz wysunął się z drzwi zbrojowni, aby stanąć wprost na drodze Vanyela. Ten poczuł, że żołądek zaczyna podchodzić mu do gardła. Tym razem nie sposób będzie wywinąć się od konfrontacji. Jervis stał pomiędzy nim a budynkiem zamku.

— Słucham, fechmistrzu?

— Przesyłałem ci wiadomości, a Mekeal powiedział mi, że ci je przekazywał — Jervis przysunął się bliżej. Zmarszczone brwi sprawiały, że jego pokiereszowana, porwana bruzdami twarz zdawała się jeszcze bardziej odpychająca niż zwykle.

Vanyel ukrył swe uczucia pod maską obojętności.

— O tym, że chcesz się zmierzyć, wiem. Mówił mi. Ja jednak nie mam na to chęci, dziękuję.

— Dlaczego nie?

— Szczerze mówiąc, dlatego że nie czuję się na siłach — odparł Vanyel z naturalną swobodą, mimo że kark ścierpł mu ze zdenerwowania. — Nie chcę, ponieważ doskonale wiem, że niedługo by trwało, zanim ten pojedynek nie zamieniłby się w coś zupełnie innego niż zwykłe ćwiczenie. Ponieważ wiem, że chcesz mnie sprowokować, fechmistrzu. Będę musiał zrobić ci krzywdę i, do diabła, nie chcę, żebyś ty wyrządził ją mnie.

— Co to ma znaczyć? — warknął Jervis, twarz mu pociemniała. — Myślisz, że taki staruch jak ja jest za słaby, aby z tobą walczyć?

— Po pierwsze, jestem wyczerpany. Właśnie spędziłem noc w stajni, ponieważ zastałem nieproszonego gościa w moim pokoju. Nie miałem innego wyjścia, a ten przeklęty ogier Mekeala robi tam więcej hałasu niż całe stado mułów. Po drugie... Jervisie, ostatni rok spędziłem na polu bitwy. Byłeś kiedyś najemnikiem, więc coś ci to chyba mówi, prawda?

Nie chcę zadawać bólu, gdy nie muszę. A jestem zupełnie rozdrażniony, na bogów, zastanów się, stary draniu! Przypomnij sobie, jak pewne rzeczy zaczyna się robić odruchowo, bez względu na to, jak bardzo starasz się nad sobą panować.

Jervis przymrużył oczy.

— Według mnie wyglądasz na w pełni sprawnego. Nie jesteś w stanie zrobić nic, z czym ja nie mógłbym sobie poradzić, Vanyelu. No, chyba że rzeczywiście

nie jesteś lepszy od, powiedzmy, małego Medrena, w przeciwieństwie do tego, co wyśpiewują o tobie w tych wszystkich pieśniach.

Przypomnienie o traktowaniu, jakie spotyka Medrena z rąk Jervisa, było iskrą, z której buchnął płomień. Zimna do tej pory krew zawrzała w żyłach Vanyela.

— Dobrze, twoja wola — warknął. — Ale nie odpowiadam za siebie. Skoro tak bardzo chcesz się zmierzyć, proszę bardzo, skończmy z tym wreszcie.

Majestatycznym krokiem skierował się ku zbrojowni, zwalistej drewnianej budowli pomiędzy stajnią a zamkiem. Jervis szedł za nim. Vanyel trzymał tam ekwipunek ćwiczebny przygotowany dla niego wkrótce po powrocie od k'Trevów — ekwipunek skompletowany dlań pod wpływem nalegań Withena i dotąd nie używany. Nie było drugiej takiej zbroi w Forst Reach: lekki watowany skórzany kaftan, naramienniki i nagolenniki, do tego tarcza, ciężki rapier i bardzo lekki hełm — wszystko dostosowano do delikatnej budowy Vanyela i stylu walki, w którym zwinność odgrywała główną rolę.

W zbrojowni było raczej widno. Wysokie okna zaopatrzone w grube szkło trzeciego gatunku, pełne pęcherzyków powietrza, nie pozwalały wprawdzie wyjrzeć na zewnątrz, ale wpuszczały do środka dość światła. Vanyel odszukał skrzynię ze swym imieniem. Wyciągnął z niej swą zbroję i zdjawszy tunikę z poprzedniego dnia, włożył miękką, grubą tunikę lnianą, na którą wdział kaftan i pancerz, po czym wziął do ręki hełm oraz drewniane miecze treningowe.

Zbrojownia była budynkiem nowym, wzniesionym już po wyjeździe Vanyela z domu. Większa część wnętrza przystosowana została do spełniania roli sali treningowej, a zatem nie brakowało tam miejsca na stoczenie walki. Widząc to, Vanyel bardzo się ucieszył. Stara zbrojownia była tak mała, że wszystkie ćwiczenia musiały się odbywać na zewnątrz. Jemu zaś było bardzo na rękę, by jak najmniej par oczu stało się świadkami konfrontacji. Naraz poczuł ogarniające go od wewnątrz drżenie i mdłości. Dziś oto da Jervisowi nauczkę, której ten nigdy nie zapomni, ale już sama myśl o tym przyprawiała go o skurcze żołądka. Nie napawało go dumą to, co właśnie miał zrobić.

Ale staruszek sam się o to prosił. Nie przyjąłby odmowy i nie ustąpiłby. Niech siebie wini za to, co się tu stanie!

Zatrzymał się na moment nad tą myślą, jednocześnie zakładając zbroję. Ponury gniew dawał mu poczucie, że jego czyn będzie usprawiedliwiony; a obłuda i poryw radości, że oto wreszcie będzie mógł odpłacić się Jervisowi za każdy siniak i złamanie, paliły resztki dławiących go jeszcze skrupułów.

Ale tylko do chwili gdy zrozumiał, dokąd wiedzie takie rozumowanie.

Usiłuję jedynie wynaleźć usprawiedliwienie dla mojej chęci stłuczenia go na kwaśne jabłko. Dla mojej żądzy zemsty. Och, bogowie. Uświadomiwszy sobie to, znów poczuł mdłości.

Przeszedł do środka obszaru przeznaczonego do ćwiczeń, stąpając po podłodze z surowego drewna cicho niczym kot. Jervis, przywdziawszy swą zbroję —

dużo cięższą niż ta Vanyela — powiódł wzrokiem dookoła, jak gdyby podejrzewał, że gdy się uzbrajał, Van mógł się wymknąć ukradkiem. Wydał się wręcz zaskoczony, znajdując Vanyela stojącego na pozycji tego, który wyzywa na pojedynek, czekającego cierpliwie na swego przeciwnika.

Pozwolę mu wykonać pierwszy ruch — myślał Vanyel, cały czas panując nad sobą. — Pewnie ma zamiar porządnie mnie pogonić i nie byłbym zaskoczony, gdyby chciał mnie nawet zranić. Przeklęty łobuz. Ale ja nie stracę zimnej krwi. Nie mogę pohamować moich odruchów, ale mogę zachować zimną krew. Nie pozwolę mu wyprowadzić mnie z równowagi.

Lecz Jervis zaskoczył go. Najzwyczajniej w świecie zbliżył się do linii, za którą stał Vanyel, i zdawkowym gestem oddał mu honory. Vanyel natychmiast odpowiedział tym samym, a następnie stanął, z rozleniwieniem przyjmując postawę wyczekującą.

Kurz kręcił Vanyela w nosie, a gdzieś, w jakimś zakamarku gmachu, grał świerszcz. Czas mijał, a Jervis ani nie drgnął, nadal stojąc w tej samej pozycji. No, zrób coś, przeklęty głupcze! — pomyślał Vanyel, zrezygnowany. W końcu czekanie aż nadto nadwerżyło jego nerwy. Ruszył na Jervisa, ale w ostatniej sekundzie stanął, a fechtmistrz tym samym wpadł w pułapkę swej własnej metody podsycania napięcia przez odwleknięcie ataku. Nastąpiła szybka wymiana ciosów i zręcznym ruchem nadgarstka Vanyel zablokował, a potem wytrącił Jervisowi miecz, który z łoskotem wylądował na podłodze.

Teraz się zacznij. Vanyel zebrał siły, przygotowując się do eksplozji.

Ale nic się nie działo. Z gardła Jervisa nie dobył się żaden rozwścieczony ryk, jego ręce nie rwały się do zderzenia z głową hełmu, a usta nie otwierały, by wylać na przeciwnika potok przekleństw, Jervis zwyczajnie stał sobie z tarczą kołyszącą się swobodnie na jego lewym ramieniu i świdrował Vanyela na wylot swym nienawistnym spojrzeniem. Przez tych parę chwil — gdy ogarnęło go rosnące zażenowanie, a krew jeła pulsować mu w uszach od wysiłku w zmaganiach z nerwami — Vanyel cały czas nie przestawał czuć na sobie jego oczu ciskających gromy przez ciemną szparę w przyłbicy hełmu. Wreszcie fechtmistrz poruszył się — tylko po to jednak, by podnieść z ziemi miecz, a potem powrócić do poprzedniej pozycji i czekać na kolejny atak Vanyela.

Vanyel okrążył Jervisa od prawej strony, stąpając lekko na palcach, wyczekując momentu, kiedy uda mu się przedrzeć przez mur, jakim otoczył się Jervis, albo jakoś go wyminąć. Poczul sphywający po plecach pot i tylko dzięki szalowi, którym obwiązał głowę pod hełmem, słone krople nie zalewały mu oczu. Zwiłżył wargi i poczuł sól. Skoncentrował się tak głęboko, że słyszał już tylko własny oddech i wiedział jedynie to, że przed nim stoi jego przeciwnik.

Jervis odparowywał jego pchnięcia i ciosy; czasem z powodzeniem, a czasem nie. Vanyel dosiegał go swym mieczem częściej aniżeli sam przyjmował uderzenia. Tyle że za każdym razem, gdy Vanyel swe natarcie kończył z powodzeniem,

Jervis wycofywał się na moment z pola zasięgu jego klingi. Było to zachowanie nieznośne i niewytłumaczalne. Jervis wypadał zupełnie z rytmu walki, wywijał się, rzucał groźne spojrzenia i mamrotał coś do siebie, zanim znów powracał na linię i ponawiał atak.

Ta krótka seria przedstawień w wykonaniu Jervisa zaczynała działać Vanyelowi na nerwy. Nazbyt przypominało mu to jego metodę uników, którą to posłużył się dawno temu, gdy Jervis próbował zbić go na kwaśne jabłko, ale zabrakło mu odwagi. Z drugiej strony jednak obecne postępowanie w niczym nie przypominało zwyczajnego stylu walki starego fechtmistrza.

Co on robi? Na co czeka? Jak dotąd nie obdzielał mnie wprawdzie pieśczołtliwymi poklepywaniami, ale wiem przecież, że stać go na dużo więcej.

Wreszcie, gdy był już bliski rezygnacji, Jervis wykonał ruch, na który Vanyel wyczekiwał od początku — pełną siłą i całym rozpędem zadał swój najgroźniejszy cios; cios, który zwałał Vanyela z nóg raz za razem, gdy był chłopcem; cios, którego efektem było jego złamane ramię.

Miecz majaczy przy tarczy Jervisa, która zbliża się do niego z prędkością rozpędzonego byka; przeraźliwy odgłos pękającej tarczy... i ból, gdy trzymające ją ramię opada jak odrąbana gałąź.

Lecz teraz Vanyel nie był już wyrostkiem, teraz był zaprawionym w boju weteranem.

Podeszwy jego wysokich butów szurały na wysypanej piaskiem podłodze, gdy wyskakiwał, to znów wskakiwał z powrotem na pole walki obramowane linią. Wtem spadł nań drugi cios Jervisa. Ale tym razem, wykorzystując jego rozpęd, Vanyel uskoczył fechtmistrzowi z drogi, a gdy ten mijał go bokiem, zadał mu mocne pchnięcie... czy też raczej chciał zadać. Pomimo swej zwalistej sylwetki Jervis potrafił poruszać się z prędkością węża atakującego swą ofiarę. Jakimś cudem zdążył zasłonić się tarczą, a potem przejąć atak, krawędź tarczy przytykając już niemal do twarzy Vanyela.

Vanyel śmignął mu z drogi i pozwolił, by skok poniósł go aż poza pole wyznaczone do walki. Ale teraz jego opanowanie przysło, nie pozostał już po nim nawet ślad.

— Niech cię piekło pochłonie, ty zuchwały draniu! Głędzisz o honorze, a potem grzmocisz mnie tarczą, tak? — Głos załamywał mu się z rozdrażnienia. — No, chodź! Spróbuj jeszcze raz! Uderz mnie! Nie jestem dzieckiem, fechtmistrzu Jervisie! Już nie tak łatwo powalić mnie na ziemię i zbić! Nie możesz zrobić ze mnie głupca i kozła ofiarnego tak jak z Medrena! Wiem, co zrobię, do diabła, i mój styl równa się z twoim na każdym polu walki!

Jervis lewą ręką zdjął z głowy swój pokierszowany hełm i na oczy opadły mu sklezione potem strąki siwawych włosów.

— Wystarczy — powiedział. — Zobaczyłem już, co chciałem widzieć. Zdaje się, że jest w tych pieśniach ziarno prawdy.

Vanyel zgasił swój gniew.

— Ufam, że nie będziesz już życzył sobie mierzyć się ze mną, fehmistrzu?

Jervis jeszcze raz obrzucił go przeciągłym, badawczym spojrzeniem.

— Tego nie powiedziałem. Będę chciał jeszcze z tobą potrenować, mistrzu Vanyelu.

A potem odwrócił się na pięcie i zostawił Vanyela stojącego pośrodku sali treningowej, zupełnie zdezorientowanego, kto w tej walce był zwycięzcą.

Czyżbyśmy zawarli rozejm? Czyżbyśmy? A może to nowa wojna?

„Mój Kochanku z Krainy Cieni, unieś mnie w noc” — śpiewał Vanyel głosem pełnym słodyczy, a osobliwe, melancholijne dźwięki wypływały jeden z drugiego, jak gdyby każdy z nich pozostawiał po sobie unoszącego się gdzieś w powietrzu ducha, by z niego mógł wyłonić się następny akord. Nowa cytra wygrywała tę szczególną pieśń w sposób tak niezwykły, że głęboka wymowa utworu nabierała wręcz nieziemskiej mocy. Vanyel przerwał na moment, ostatni raz przeciągnął palcami po strunach i wreszcie otworzył oczy.

Medren siedział na brzegu łóżka z ustami otwartymi, jakby nieustannie wydobywało się z nich nieme „o”.

Vanyel z trudnością otrząsnął się z przygnębiającego nastroju pieśni.

— Od jak dawna tu jesteś? — zapytał i odstawił cytrę na jej miejsce, uniósłszy się ze swego miejsca w niszy okiennej.

— Prawie od początku pieśni — odparł Medren drżącym głosem. — To najdziwniejsza pieśń o miłości, jaką kiedykolwiek słyszałem! Ale jak to możliwe, że w ogóle jej nie znam?

— Bo Tressa jej nie lubi — rzekł z ironią Vanyel, ostrożnie rozprostowując palce. — Ta pieśń przypomina jej o tym, że nie będzie żyła wiecznie. — Spostrzegł brak zrozumienia na twarzy Medrena, a więc ciągnął dalej: — W tej pieśni kochankiem jest śmierć, Medrenie.

— Śmierć? Jako... — wykrztusił chłopiec — ...kochanek?

Przerażenie malujące się na jego buzi pozwoliło Vanyelowi wyrwać się spod uroku pieśni; zaśmiał się.

— Och, nie patrz tak na mnie. Nie grozi mi samobójczy skok w otchłań przepaści. Nazbyt dużo mam jeszcze do zrobienia, aby już teraz zabiegać o względy Kochanka z Krainy Cieni.

O, z jakąż chęcią przyjąłbym jego pocałunek spokoju — pomyślał Vanyel. — Czasami czuję się taki zmęczony. Tak pomyślała zaraz uśmiechną się i rzekł:

— On za to zabiega o mnie każdego dnia mojej służby, mój drogi, ale jeszcze mu się nie udało nic wskórać. A cóż to cię do mnie sprowadza?

— Och — Medren spojrział na swe dłonie. — Jervis. Dzieciaki powiedziały mi, że urządza dzisiaj coś specjalnego. Dla mnie.

Vanyel przypomniał sobie „pojedynek” i po plecach przebiegły mu ciarki. Nagle przysłała mu do głowy pewna myśl. Wstał i powoli zbliżył się do łóżka, aby delikatnie położyć swą dłoń na ramieniu Medrena.

— Medrenie, chcesz rozprawić się z Jervisem czy wolisz zachorować?

— Co? — Chłopiec popatrzył nań z takim samym brakiem zrozumienia, jakie dojrzał w jego oczach Vanyel, mówiąc o Kochanku z Krainy Cieni.

— Mój dar uzdrawiania jest wystarczająco silny, aby zrobić z ciebie chorego. — Nie do końca to właśnie zamierzał uczynić, ale jego słowa nie miały się z prawdą. — Potem mogę się postarać, abyś długo nie wracał do zdrowia i był osłabiony przynajmniej na tyle, żeby nie wymagano od ciebie brania udziału w ćwiczeniach. — Wśród najmłodszych dzieci panowała odra, która powinna przytrzymać chłopca w łóżku przez jakiś czas.

— Czy stracę od tego głos? — Medren spojrział na niego z taką samą ufnością, z jaką zwykła patrzeć na niego Jisa. To był wstrząs. Ale Vanyel ukrył go pod szczerym, szerokim uśmiechem.

— Nie, tylko cały będziesz usiany krostkami, jak Brendan. Gdy ja zrobię swoje, wślizniesz się do pokoju dziecinnego i spędzisz miarkę świecy z Brendanem. — Doprowadzę jego organizm do skrajnego wycieńczenia i jeśli do zmroku nie chwyci go gorączka, to gotów będę schrupać własną lutnię, — Upewnij się, że nikt cię nie widzi, i zaraz potem idź prosto do swojej matki i powiedz jej, że masz ból głowy.

— Skoro nie grozi mi utrata głosu — rzekł Medren, uśmiechając się wesoło — to chyba mogę ścierpieć krostki i swędzenie.

— To nie będzie zabawne.

— Ale lepsze niż lanie.

— No dobrze. — Vanyel położył rękę na ramieniu Medrena i skoncentrował swą energię. . .

— Dziwna sprawa z tym Medrenem — skonstatował Radevel — że ni stąd, ni zowąd nagle dostał wysypki. Przysięgłbym, że już raz przez to przechodził.

Vanyel wzruszył ramionami. Przyszedł do pokoju Radevela po następnym „pojedyнку”, który tym razem stoczył z kuzynem właśnie pod okiem Jervisa. Było to starcie dużo lżejsze od po przedniego, choć zachowanie Jervisa nadal zdawało się nie współgrać z jego prawdziwą naturą. Zawarliśmy pewnego rodzaju rozejm. Nie wiem dlaczego, ale nie liczę na to, że obejmie on także Medrena. Nie śmiałbym nawet na to liczyć.

Radevel zaprosił do siebie Vanyela w gwałtownym przyływie szczerych uczuć braterskich dla niego, a ten postanowił przyjąć zaproszenie. W ciągu ostatniej godziny doszedł nawet do wniosku, że lubi tego dobrodusznego kuzyna bardziej niż przypuszczał.

— Następna dziwaczna postać, której nie mogę rozgryźć — ciągnął Radevel, siedząc z nogami opartymi na sfatygowanym, starym stoliku, z kubkiem wina w dłoni — to stary Leren. Widziałem, jak obserwował ciebie, Jervisa i mnie w czasie ćwiczeń dziś po południu i powiem ci, że gdyby spojrzenia potrafiły nosić strzały, zamieniłbyś się w poduszkę do szpilek. Do diabła, co ty mu zrobisz?

Vanyel wzruszył ramionami, pociągnął długi haust chłodnego wina i skupił się na reperacji swego naddartego skórzanego kaftana, igłą i grubą woskowaną nicią prowadząc misterny, równy ścieg. Ostatnie cztery lata życia na służbie często pozbawiały go zarówno wygód, do których przywykł w Przystani, jak i służących, którzy pilnowali, aby heroldom niczego nie brakowało. Przyzwyczaił się zatem do samodzielnego naprawiania swych ubrań, a w towarzystwie Radevela — który także miał taki zwyczaj — zaraz sobie o tym przypomniał.

— Nie wiem — odciął się. — I nigdy nie wiedziałem. Jestem nawet skłonny przyznać się przed tobą, że ojciec Leren znienawidził mnie z chwilą swego przybycia do nas. Matka zarzeka się, że to dlatego, iż zadawałem mu za dużo pytań, ale ja po prostu wychodziłem wtedy z założenia, że kapłani są po to, aby rozniecać w nas ciekawość. Właśnie to robił nasz dawny kapłan. Miałem może pięć lat, gdy umarł, ale to pamiętam dobrze.

Radevel przytaknął skinieniem głowy.

— Tak, ja też to pamiętam. Jervis zawsze mawiał, że Osen był dobrym człowiekiem. Sprawiał, że szło się do niego ze wszystkimi problemami. „Bogowie dali ci rozum, chłopcze” — mawiał. — „Jeśli chcesz im oddać za to cześć, używaj go”. Nigdy nie dawał ci odczuć, że jesteś gorszy od niego. — Radevel zadumał się, pochyliwszy głowę nad swym kubkiem; jego swojska twarz zastygła w skupieniu. — A ten Leren, hm. Nie wiem, Van. Już dawno przestałem brać udział w tutejszych świętach. Gdy czujemy potrzebę, aby posłuchać trochę jakiegoś kapłana, to idziemy sobie z Jervisem do wioski. I powiem ci coś jeszcze. Ten młody ojciec Heward z wioski też nie przepada za ojcem Lerenem. Bardzo się starał nie okazywać tego, ale był nadzwyczaj radosny, widząc nas wmaszerowujących do jego świątyni. A wiem, że, jako orędownik pokoju, nie przepada za wojownikami. Pomyśl, może sobie coś przypomnisz.

— Nie mogę — odparł Vanyel.

Poczuł właśnie wyraźną obecność Savil zbliżającej się do drzwi pokoju Radevela i tylko dzięki temu nie poderwał się nerwowo, gdy usłyszał jej głos.

— Czy to rozmowa tylko dla kogutów, czy też może się do niej przyłączyć nawet pewna stara kwoka?

Vanyelowi nie chciało się odwracać głowy. Radevel natomiast, ponad jego ramieniem, przesłał Savil promienny uśmiech i sięgnął — nie oglądając się nawet — na półkę ponad głową po następny kubek.

— Nie wiem — zastanawiał się. — Stare kwoki są mile widziane, ale stare nietoperzyce...?

— Daj mi to, ty bezwstydnym potępieńcze — burknęła zartobliwie, wyrywając czysty kubek z jego ręki, i nalała sobie wina z dzbana. Popróbowwała je i skrzywiła się.

— Bogowie! Z czego to, ze starych skarpetek?

— Zwyczajna ekonomiczna porcja, jaśnie pani herold, nieco okraszona wodą. Z czasem zaczyna się to nawet lubić.

— Uhm. Jak zgniliznę kopyt końskich.

Vanyel wsunął igłę pomiędzy nitki szwu i zrobił miejsce dla ciotki. Savil usiadła obok niego, ostrożnie unikając naruszenia równowagi niestabilnej ławki. Potem wzięła następny łyk wina.

— Masz rację. Po głębszym wsmakowaniu się można odnaleźć pewne zalety tego napoju. Chyba że pierwszy haust wypalił mi język. A co mówiliście o ojcu Lerenie?

— Radevel zauważył, że Leren obserwował nas i Jervisa podczas naszej walki dzisiejszego popołudnia — wyjaśnił Vanyel, marszcząc czoło w skupieniu nad swą pracą. Skóra tuniki była w tym miejscu bardzo drobno poszarpana i mogła rozerwać się ponownie, jeśli ścieg okaże się niewystarczająco staranny.

— Dla ścisłości dodam, że obserwował herolda Vanyela. Jak gdyby wypatrywał momentu, kiedy mnie albo Jervisowi zadrży ręka i któryś z nas wyręczy go i przetrąci Vanyelowi kark — powiedział Radevel. — Powtórzę to jeszcze raz: kapłan czy nie, ten człowiek mi się nie podoba. Niektóre z repertuaru jego spojrzeń sprawiają, że skóra mi cierpnie.

— Zauważyłam — rzekła stanowczym tonem Savil. — Mnie on się też nie podoba, ale niech mnie kule biją, jeśli wiem dlaczego.

Radevel uniósł rękę w geście wyrażającym bezradność.

— Spędziłem z nim o wiele więcej czasu niż którekolwiek z was i nie potrafię doszukać się żadnej konkretnej przyczyny tej niechęci. Tressa też go nie lubi i jedynym powodem, dla którego uczestniczy w nabożeństwach świątecznych, jest jej przeświadczenie o własnej pobożności. Woli już oglądać Lerena niż zaniedbywać obowiązki religijne. Lecz gdyby mogła wybierać, Lerena już dawno by tutaj nie było. To jedyna sprawa, w której jesteśmy zgodni z tą trzpiotką. Wybacz, Van.

— Matka w istocie jest trzpiotką. Nie mam zamiaru temu zaprzeczać. Ale... Savil, czy zauważyłaś kiedyś, że jest w niej jakaś nieuchwytna wrażliwość. Nie idzie mi o empatię czy umiejętność myśloczucia, ale o coś innego... jakiś rodzaj wrażliwości, którego nie potrafimy jeszcze nazwać. Tylko bogowie wiedzą, co to jest. Ani ja, ani ty tego nie mamy. Jest to jakaś zdolność współodczuwania, podobna do tej u Yfandes.

— Tressa? Wrażliwa jak Towarzysz? — Savil popatrzyła na niego z całkowitym niedowierzaniem. — Do licha! Nigdy mi nie przyszło do głowy, aby ją poddać badaniu.

Vanyel skinął głową.

— Taki kanał przepływu energii ma w sobie Yfandes, u niej jest szeroko otwarty. Taki sam kanał ma w sobie Tressa, tylko że moc przepływającej przezeń energii do strumienia energii u Yfandes ma się tak jak topniejący sople lodu do całego wodospadu. Nie mam pojęcia, co to może być, ale jestem skłonny stwierdzić, iż nie powinniśmy lekceważyć uczucia niepokoju tylko dlatego, że dzieli je także Tressa. Bo ona w istocie może coś odczuwać.

— Hm — zaczął Radevel po chwili ciszy i na jego twarzy pojawił się uśmiech. — Mój prosty, niekształcony rozum podpowiada mi, że można to wyjaśnić. Czy ta twoja klacz miała kiedyś młode?

— A dlaczego niby? Miała. Teraz sobie przypominam, że dwa: źrebca i źrebicę; obydwaj, zanim jeszcze mnie wybrała. To Tancerz i Megwyn. Dlaczego o to pytasz?

— Po prostu dlatego, że każda matka, jaką w życiu widziałem, kobieta czy suka, doskonale wyczuwała, gdy ktoś nie życzył dobrze któremuś z jej dzieci; nawet gdyby ten ktoś nie wiem jak bardzo się starał tego wyprzeć. To samo dotyczy też lady Tressy. — Uśmiechnął się na widok otwierających się ust Vanyela i twarzy Savil dokładnie odzwierciedlającej to samo zdumienie. — No, Savil, ty nigdy nie miałaś dzieci i trzeba by cudotwórstwa samych Twainów, aby uczynić mamusię z Vanyela. A więc nie jest to, jak wy to nazywacie, kanał przepływu energii. Czy to dość przekonujące?

— To świetne wytłumaczenie, kuzynie. — Vanyel z trudem otrząsnął się ze zdumienia. — Jak na kogoś, kto nie posiada w sobie żadnej magicznej mocy, masz niesamowite wyczucie istoty rzeczy.

Savil przytaknęła skinieniem głowy.

— Wiesz, w jakiejś mierze przyczyną tej wrogości Lerena może być fakt, że do przyjęcia święceń kapłańskich zmusiła go jego rodzina, on sam nienawidzi swego stanu. Kapłan bez powołania jest gorszy niż brak kapłana.

— Może być i tak — odparł Radevel. — Jedno jest pewne: przed przyjazdem Vanyela do domu nie było tak źle. To tak jakby coś w samym Vanyelu budziło w tym starym gawronie najgorsze strony jego natury. Chciałem ci o tym powiedzieć. — Wzruszył ramionami. — Nie lubię go, i Jervis też go nie lubi. W jego towarzystwie Jervis zawsze ma uczucie, jak gdyby wróg pełzał mu po plecach. Może lepiej miej Lerena na oku.

O, tak, kuzynie — pomyślał Vanyel. — Jeśli ty, człowiek niełatwo ulegający emocjom, dostrzegłeś zapowiedź kłopotów, to ja z pewnością nie spuszczę oka z Lerena.

Znów niespodzianka w łóżku? — czule zagadnęła Yfandes.

Vanyel parsknął, powiesił na haku lampkę, z którą przyszedł, wspiął się na przegrodę i z krokwi pod sufitem ściągnął swą pościel.

To w żaden sposób nie odpowiada mojemu pojęciu dobrej zabawy — odparł. — Nie przyjechałem do domu z zamiarem sypiania w stajni! — Tłumok z pościeli wylądował na podłodze, a Vanyel zeskoczył z najwyższej belki przegrody, aby spaść zaraz obok niego. — Sądziłem, że przechytrzę ją, jedząc obiad z dziećmi i o zmroku cichcem przekradnę się do swego pokoju, a tymczasem oto ona czeka na mnie, bezczelna, jak nie wiadomo co. Nie naga tym razem, ale też w moim tóżku. Yfandes, to już trzecia noc z rzędu! Czy ta kobieta nie ma wstydu? A przecież zakluczyłem te przeklęte drzwi!

Dlaczego po prostu nie wypchnąłeś jej na korytarz?

Vanyel zmierzył ją piorunującym spojrzeniem i wciągnął pościel do przegrody,

Nie mam ochoty — oznajmił przez zaciśnięte zęby — wdawać się w zapasy z kobietą. Do diabła, rano ziemia będzie pokryta szronem, nocami przychodzi przymrozek.

Biedna, zmalretowana dziecina. Znam kogoś, kto z chęcią by cię ogrzał.

Vanyel znów popatrzył na nią gniewnie i, z jedną nogą po drugiej stronie, zawisł u szczytu przegrody.

Yfandes, nadużywasz mojej cierpliwości.

To ja

Och, Yfandes. . . — Ton jego głosu ostygł już nieco, a on sam przerzucił nogę przez najwyższą belkę i zeskoczył na dół, by natychmiast wtulić się w szyję swego Towarzysza. — Przepraszam. Nie powinienem wylądowywać się na tobie tylko dlatego, że w tej chwili jestem gotów uśmiercić Melennę.

Yfandes pogładziła jego policzek swymi delikatniejszymi od najszlachetniejszego atlasu chrapami i skubnęła go w ucho. Vanyel poczuł na twarzy jej ciepły oddech, słodki, pachnący sianem. Gdzieś w głębi stajni, daleko poza zasięgiem światła latarni Vanyela, dało się słyszeć jakieś senne rżenie i delikatne tupnięcia kopyt.

To dość samolubne, ale cieszę się, mając cię tutaj przy sobie — stwierdziła, przyglądając mu się, gdy leżał tak wyciągnięty na swym posłaniu rozłożonym na kupie siana. — Cieszę się, że jesteś tutaj przy mnie, teraz gdy możemy spać spokojnie, gdy noc jest cicha i nic nam nie przeszkadza. Pamiętasz, jak zwykliśmy spędzać noce tam w Wąwozie, patrząc w gwiazdy?

I czekając, aż Gwiazdny Wicher wystawi głowę ze swego domku na drzewie! — Vanyel zaniósł się śmiechem, słysząc w głowie perlisty chichot Yfandes. — Masz rację. To były szczęśliwe czasy, mimo że pierwsze miesiące pobytu u k'Trevów przepędziłem, popadając w coraz to nowe stany udręki serca. Bogowie Światła, Yfandes, jakże mi do nich tęskno. Nie widziałem ich od tak dawna. Świetlista Gwiazda musi mieć już... ile... prawie dziesięć lat? Chciałbym, abyśmy mogli tam jeszcze powrócić.

Wspomnienie o nich nie przejmuję mnie jednak takim dreszczem jak myśl o Shavri i Randalu. Czy to dlatego, że nieczęsto ich widuję, czy...

Yfandes przerwała ten moment zadumy.

Musiałbyś posłużyć się zaklęciem Bramy albo spędzić wiele miesięcy w podróży — rzekła ze smutkiem. — Nie możemy poświęcić na to aż tyle czasu, ani też pozwolić ci wznosić Bramy; no, chyba że zaistniałaby jakaś alarmująca okoliczność. Wciąż jeszcze nie odzyskałeś pełni sił.

Ton jej myśli odrobinę go rozweselił.

Masz rację, kochana mamusiu — wykrztusił, chichocząc, a potem, znów w dobrym usposobieniu, słaby wdrapał się na swe niebyt wykwintne łożo. I aby udowodnić, że nie jest już tak, jak zdawała się przypuszczać Yfandes, tchnieniem własnej myśli zdmuchnął świecę.

Efekciarz — prychnęła żartobliwie Yfandes, sadowiąc się ostrożnie u jego boku, tak aby mógł wtulić się w nią niczym osobliwe nieforemne źrebię. Vanyel omotał się pościelą i zwinął w kłębek, lgnąc do ciepłego, jedwabistego boku Yfandes, a potem, wysunawszy spod kołdry jedną rękę, położył ją na nodze klaczy.

Ziewnął. Razem ze złością zdawały się opuścić go wszystkie siły.

Dobrej nocy, najdroższa — wycedził, nagle niezdolny już do utrzymania otwartych powiek.

Yfandes pogłaskała jego policzek.

Dobrej nocy, kochany.

Tłoczyli się wokół, usiłując wcisnąć się do jego umysłu. Byli ohydni, podli, ich widok przyprawił go o nudności, ale przykuwał wzrok i Vanyel nie mógł odwrócić oczu od ich wykoślawionych twarzy i okaleczonych ciał. Przed sobą pchali widmo strachu, a wokół siali grozę, wprawiając w wir ogromną trąbę powietrzną z nim pośrodku. Zamiast zębów szczyrzyli sztylety, a w miejscu pazurów wyrastały im kosy. Czuł, jak ich czerwone, oszalałe oczy rozpalone niezaspokojonym głodem, zieją ku nie mu ognistym wiatrem, pożerając jego kruchą osłonę. Byli cieniami, śmiertelnymi, morderczymi cieniami; ciągle nie udawało im się go dopaść, lecz mogli i mieli poszukać sobie innej ofiary. Ich jęki unosił wiatr, a gdy zabijanie i umieranie zaczęło się dokonywać, jął krzyczeć — lub raczej próbował — zakrył głowę i zrobił się bardzo malutki, najmniejszy, jaki tylko mógł. I przerażony tkął i zawodził.

Vanyel wyrwał się ze szponów koszmaru i prędko strząsnął go z siebie, dusząc się od uścisku pętli strachu na gardle. Wyplątał się z pościeli i dysząc, odruchowo przywarł do boku Yfandes, ciągle w niewoli wszechogarniającego lęku, z sercem walącym jak młot i szumem wzburzonej krwi w uszach.

Otaczała go cicha, spokojna, nie zmacona niczym noc.
Z pozoru. A jednak... co się kryło pod owym pozorem?

Vanyel odruchowo wyteżył zmysły, by dotknąć mocy drzemiącej pod powłoką nocy.

Nie, to nie był sen. Jego zmysły ukazały mu nowe, skłębione wiry w pobliskich ogniskach energii. Tej nocy coś zaszło. Gdzieś daleko coś użyło mocy, zrobiło to bez żadnych ograniczeń i z fatalnym skutkiem. Koszmar Vanyela był tylko echem czegoś dużo, dużo groźniejszego. Wiatry z daleka niosły widmo terroru — a ziemia drżała pod jego naporem.

Gdybym był teraz w swoim pokoju, w ogóle bym tego nie odczuł — uzmysłowił sobie, do reszty otrząsając się ze snu. — Mój pokój, podobnie zresztą jak izba Savil, otoczony jest barierą ochronną. Jednakże gdy jestem razem z Yfandes, nigdy się nie osłaniam. To oznacza, że Savil jeszcze nic nie wie. Jestem jedyną osobą, która wie, że dzieje się coś niedobrego.

Yfandes? — Dotknął ręką jej szyi. Jej mięśnie były zbite i naprężone, głowa uniesiona, a chrapy wciągały badawczo mroźne powietrze.

Pst. Postuchaj.

Nikłe i bardzo odległe... wołanie o pomoc? Czy tylko krzyk ogarniętego rozpaczą serca? Głos oddalał się, to znów przybliżał, pozostając wciąż na pograniczu zasięgu zmysłów Vanyela i doprowadzając go tym do szaleństwa.

To przez jego więź życia. To Towarzysz, młody Towarzysz. Dokonał już wyboru, a jego Wybrany znajduje się w niebezpieczeństwie. Ledwie go słyszę. — Yfandes wyciągnęła szyję, jak gdyby natężanie słuchu miało jej ułatwić odczytanie tego, co wszak tylko czuła. — *Wpadł w sidła strachu swego Towarzysza i jest już bliski hysterii*

Kto, Towarzysz czy jego Wybrany. — Vanyel wyplątał się do reszty ze swego pośnania i jednym tchnieniem woli podpalił lampkę. Lepiej się tym zajmijmy. Możemy być jedynymi osobami znajdującymi się na tyle blisko, aby usłyszeć to wołanie.

Obydwoje, a przynajmniej Towarzysz. — Yfandes skoczyła na równe nogi, oczy pociemniały jej z rozpacz. Przez otwartą górną część drzwi prowadzących na wygon wlewał się do wnętrza stajni księżycowy blask, odbijając się srebrem na jej białej sierści. — *Vanyelu, proszę cię... musimy im pomóc!*

A co niby robię! — zapytał, zarzucając jej na grzbiet derkę, po czym nałożył samo siodło. — *Za pół sekundy będziesz osiodłana. Gdzie to jest?*

W Lineasie. W Highjourne...

To siedziba tronu Lineasu. — Pośpiesznie przebiegł myślą po noszonym w pamięci obrazie mapy. — *To stosunkowo niedaleko naszej granicy. Czy zdołamy dotrzeć tam do świtu?*

Przed świtem nawet. — Cała uwaga Yfandes zwrócona była już ku zachodowi.

To dobrze, gdyż mam przeczucie, że to, co robimy, jest nielegalne. Przynajmniej według praw Lineasu. które wolałbym łamać tylko wtedy, kiedy śpią ludzie odpowiedzialni za ich przestrzeganie i nikt nie może mnie złapać. Kellan!

Tupnięcie kopytem i ciche rżenie powiedziało mu, że Towarzysz Savil usłyszał go.

Zbudź Savil i powiedz jej, co wiemy i dokąd jedziemy. I dlaczego.

Parsknięcie oznaczające zgodę.

Yfandes, poczekaj chwilę, lepiej się przebiorę. — Zaczął zrzucać ubranie, przeklinając sznurówki, uparcie nie chcące się rozplatać. W końcu je zerwał, uświadomiwszy sobie, jak dużo czasu przez nie traci.

Yfandes przekręciła głowę, świdrując go oszalałym wzrokiem.

Nie możemy sobie pozwolić na tracenie czasu!

Nie możemy sobie pozwolić na nadmierny pośpiech — odparł Vanyel z rozważą. — *Zastanów się tylko, kochana. Lepiej, żebym miał na sobie uniform. Nawet mieszkaniec Lineasu pomyśli dwa razy, nim zatrzyma herolda z Valdemaru, a mężczyzna na białym koniu niekoniecznie zmusi go do zastanowienia. Nie mam ochoty stać się tarczą strzelniczą. —* Przeszukał zawartość swych juków, wydobywając z nich dość wymięty komplet Bieli heroldów. — *Wiedziałem, że zostawiłem je tutaj. Niech bogom będą dzięki za frontowe nawyki. —* Wskoczył w bryczesy, narzucił tunikę, ściągnął się mocno paskiem i nałożył buty. — *Dobrze, że mam tylko jedną parę wysokich butów. Do licha, szkoda że nie przyszło mi do głowy, żeby zostawić tutaj miecz.*

Mekeal zostawił jakiś miecz w skrzyni na uprzęż przy stajni.

Niech cię bogowie błogosławią...

Przesadził przegrodę i ruszył po broń. Miecz nie był wprawdzie pierwszej jakości, ale nadawał się do użytku. Vanyel przypiął go sobie razem ze swym długim sztyletem, a krótkie noże wsunął w przeznaczone dla nich kieszonki w butach.

Płaszcz — rozejrzał się za nim prędko, będzie mu potrzebny.

Jest, zwinięty razem z pościelą. Wyszarpnął go z wielkiego kłębu, który jeszcze parę chwil wcześniej był jego posłaniem, wytrząpął, zarzucił sobie na ramiona, spiął klamrą pod szyją i powrócił do siodłania Yfandes. Nasunął jej na grzbiet siodło, jednym ruchem zaciągnął popręg, zapiął piersiowy i tylny pas Yfandes była gotowa do drogi.

Zarzucił jej na głowę zerwaną z haka uzdę, a gdy ona potrzęsała jeszcze głową, by wszystkie paski ułożyły się na swych miejscach, Vanyel już wskakiwał na jej grzbiet przy wtórze rozszalałych dzwoneczków przy cuglach. Potem, uchwyciwszy wodze, przełożył je przez głowę Yfandes, ona pchnęła nosem dolną część drzwi na wygon i wreszcie jednym susem, który zawstydziłby nawet dzikiego jelenia, pomknęła w ciemność.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bogowie, czuję się zupełnie jak podczas alarmu na pograniczu. Choć przeraźliwe wołanie bez reszty opanowało umysł Yfandes, Vanyelowi udawało się zachować zimną krew i nim opuścili stajnię, szybkim gestem zagasił lampkę.

Yfandes pędziła już przez czarny wygon, a głucho dudnienie jej kopyt na trawie zdawało się brzmieć nienaturalnie zdecydowanie pośród cieni tańczących w księżycowym blasku. Vanyel zapomniał, że furta w ogrodzeniu będzie zamknięta. W ostatniej chwili spojrzął przed siebie, by ujrzeć sunący wprost na nich płot, a gdy poczuł, że pod nim Yfandes składa się do skoku, odruchowo przywarł mocno do jej grzbietu. Poszybowali ponad belkami, a na ziemię spadli z siłą, która wyrzuciła Vanyela z siodła i pozwoliła wylądować, ze zgrzytem zębów, dopiero na karku Yfandes. Vanyel z trudem odzyskał równowagę i wyczuł w krokach swej klaczy pewne wahanie.

Van?

Zacisnął zęby i prześlizgnął się na właściwe miejsce.

Suń do przodu. . . nic mi nie jest.

Yfandes rozpostarła swe ciało nisko nad ziemią i pędziła przed siebie co sił w nogach. Vanyel, najmocniej jak mógł przywarł do jej wyciągniętej szyi, utrzymując się jak najniżej i punkt ciężkości swego ciała przeniósł na przednią część siodła, gdzie łatwiej jej było nim balansować. Wspomagał Yfandes swą mocą.

Nikt, tylko herold potrafił zrozumieć, jak wyczerpująca mogła być zwykła jazda konna, zwłaszcza podczas tak szaleńczej podróży. Vanyel mimo woli wciąż pozostawał w ruchu, starając się utrzymać równowagę, tak aby Yfandes łatwiej było go nieść. Praca ta wymagała bardzo precyzyjnej stymulacji mięśni wspomagającej wysiłek Yfandes.

Vanyel omotał się szczelnie płaszczem, lecz na nic się to zdało. bo wiatr przenikał materiał i mroził okrutnie całe ciało. Nim upłynęła jedna miarka świecy, jego ręce i twarz były już niczym bryły lodu. Wiatr splątał mu włosy w strąki i poraził uszy, a on nie mógł zrobić nic, mógł tylko cierpliwie znosić ból i utrzymać w pogotowiu wytężone zmysły, by nie uronić żadnej oznaki niebezpieczeństwa.

Gdy znajdziemy się na granicy, będę musiał jakoś przechytrzyć strażników. Ale tak, żeby za bardzo ich nie rozdrażnić.

Granica — przyjazna jedynie z nazwy, obojętna w istocie — strzeżona była przez wartowników i wieże strażnicze. Była już chyba północ, gdy Vanyel i Yfandes dotarli w tamte rejony, Vanyel zdumiony szeroko otworzył oczy, ujrzawszy górującą ponad linią drzew na horyzoncie pierwszą z owych wież wznoszącą się niczym czarna kolumna na tle rozświetlonych księżycem chmur. W ciemności nie był w stanie określić prędkości, z jaką galopowała Yfandes. Czuł tylko smaganie wiatru na twarzy i równomierny odpływ mocy wewnątrz; mocy, którą on z kolei czerpał z najróżniejszych strumieni i ognisk energii znajdujących się w jego zasięgu.

Wieże strażnicze... — Były to pierwsze słowa Yfandes, odkąd przeskoczyli ogrodzenie wygonu w Forst Reach. Choć w jej myśli znać było nadal zaabsorbowanie wezwaniem, jej ton zdradzał ponury niepokój. — *Strażnicy graniczni...*

Już coś wymyśliłem — odparł Vanyel i poczuł, że jego zapewnienie przyniosło jej ulgę i pozwoliło na powrót skupić uwagę na biegu i starannym stawianiu kopyt, w bezpiecznym poczuciu, że on zajmie się resztą.

Vanyel zamknął oczy, by nic nie zakłócało mu ostrości postrzegania, i mocą swych darów sięgnął ku odległym przestrzeniom, niewidocznym jeszcze dla zwykłego ludzkiego wzroku. Wyłowił z ciemności i zidentyfikował każde stworzenie, które mogło ich dostrzec — pogrążone we śnie i czuwające. Nic już nie pozostawiał przypadkowi. Robił tak, odkąd pewnego razu, gdy podkradał się do obozu wroga, wytropił go pewien kucharz, który zmierzał akurat do wygodki. Tak więc zaczerpnąwszy z ognisk mocy dodatkowej energii, wykreował pozorny obraz, który zapadł w umysł każdej z owych istot.

Droga jest pusta — wyszeptał w myśli do tamtych. — Wokół tylko cienie, nawoływania kuropatw i stukot kopyt przerażonej zwierzyny. Nic nie widzisz, słyszysz tylko głosy, które dobrze znasz. Na drodze nie ma nikogo.

Istniało mnóstwo okoliczności, które mogłyby zakłócić ów pozorny obraz przesyłany przez Vanyela. Był on nadto kruchy, aby zdołał utrzymać się w obliczu przeciwnego zakłęcia, a już na pewno rozsypałby się, gdyby Vanyelowi przyszło nagle stawić komuś czoło. Jednakże każdy, kogo już zdążyło osiągnąć zakłęcie, będzie widział tylko cienie i słyszał wyłącznie takie głosy, które nie wzbudzą jego podejrzeń.

Co ważniejsze, wszystkie te istoty odczuwać będą lekką niechęć do zagłębiania się w naturę owych dźwięków, trwać będą w błogim znużeniu nie pozwalającym im na opuszczenie bezpiecznych posterunków.

Wreszcie minęli posterunek straży, podwójną bramę zagrządzającą drogę zarówno po strone Valdemaru, jak i Lineasu, przeskakując z lekkością liści unoszonych przez wiatr. Wartownik pełniący straż po stronie Lineasu rozsiadł się pod latarnią, opierając plecy o słupek bramy, a jego twarz zamajaczyła przed oczami Vanyela niby osobliwie bladej cień unoszący się nad ciałem odzianym w ciemny uniform. Mężczyzna popatrzył na nich i ziewnął, gdy długim susem przesadza-

li bramę. I wkrótce rozplynął się w ciemności, a oni popędzili dalej. Vanyel nie obejrzał się nawet, lecz wyczekawszy momentu, gdy nikt nie mógł ich już dojrzeć, zwolnił zakłęcie. Ukrył swój przejazd, ale nie wyobrażał sobie pozostawienia granicy pod strażą wartowników otępionych czarem.

W dalszej drodze nie tracił już energii na podobne sztuczki. Nie dbał o to, czy wieśniacy z Lineasu zobaczą ich, czy też nie. Tamtejszy lud był dobrze obeznany z Biłą heroldów. Jeśli ktoś ich zobaczy, stwierdzi zapewne, zupełnie racjonalnie zresztą, że Vanyel jest poddanym tego królestwa, a straż graniczna dokładnie go zbadała.

Yfandes pruła przed siebie przez miniaturowe wsie usadowione w malutkich dolinkach rzek, minęła też jedno czy dwa spore miasta. Wszystkie te miejscowości spowijała kompletna ciemność, były jak opuszczone przez ludzi. Wreszcie, u kresu nocy, o czasie gdy śmierć i narodziny zbliżają się na dotyk, przybyli do Highjourne.

W znacznej części stolicy panowała podobna martwota i ciemność jak w mijanych po drodze wsiach, ale nie do końca — wszak żadne miasto nie przesypia całej nocy. Vanyel i Yfandes potrzebowali teraz jeszcze więcej, jeszcze silniejszej magicznej energii, by mogli osiągnąć cel swej podróży — gdziekolwiek on się znajdował — bez przeszkód. Vanyel wyteżył zmysły w poszukiwaniu ogniska mocy, która pomogłaby im przedostać się przez bramy miasta tym samym sposobem, który tak dobrze sprawdził się na granicy, i aż drgnął zaskoczony swym odkryciem.

Otóż miasto to, gdzie tak ostro potępia się magów oraz ich dary, kipiało wręcz od magicznej energii. Leżało ono na skrzyżowaniu trzech, może pięciu, a może nawet siedmiu strumieni mocy — z których żadnego nie można by nazwać znikomym — spływających do ogniska znajdującego się pod miastem niczym płynne tęczę jednostajnie mruczące swe pieśni o potędze. Ich natężenie było tak silne, że nawet świeżo upieczony biegły mógłby czerpać z nich energię; oczywiście pod warunkiem, że miał wrażliwość, która pozwalała mu postrzegać obecność strumieni. Jednakże nad samym ogniskiem energii, gdzie gromadziła się moc owych strumieni, prawdopodobnie zapanować umiałby tylko biegły o ogromnym doświadczeniu.

Yfandes, zatrzymaj się na chwilkę.

Yfandes usłuchała. Vanyel zaś natężył swój dar, kierując go ku najbliższemu strumieniowi, po czym zbierając siły na stawienie czoła wstrząsowi spotkania z wielką falą energii, uniósł w górę ręce, przygotowując się do rzucenia tym razem już na prawdę silnego zakłęcia budzącego iluzje i tłumiącego dźwięki.

Bramy miasta oświetlone były nazbyt dobrze i strzeżone nazbyt szczelnie, a w samym mieście panował za duży tłok, aby ryzykować użycie zakłęcia podobnego do tego, którym Vanyel unieszkodliwił wartowników granicznych. Zależało mu na pośpiechu, lecz nie odważyłby się działać na łapu capu. Ostrożnie — po-

wiedział do siebie. — To Savil jest specjalistką w tej dziedzinie, nie ty. Pośpiech może wszystko zepsuć.

Yfandes wierciła się niespokojnie, dzwoneczki przy uździe pobrzękiwały cicho, a kopyta stukały na wyłożonej kamieniami drodze.

Pośpiesz się — popędzała go. Jej myśli przesycone były strachem. — *Proszę cię. On umrze, wszyscy umrą... tam jest jeszcze jeden Towarzysz, ona już odchodzi od zmysłów, nawet nie może mówić...*

Yfandes, nie przeszkadzaj mi. Staram się jak mogę, ale jeśli teraz nie nabiorę odpowiedniej energii, zabraknie mi jej wtedy, gdy będzie potrzebna, — W tej sekundzie zaczęła się weń wlewać potężna, nie spętana niczym moc, wypełniając całą pustkę w jego wnętrzu. Naturalny, powolny proces powracania do sił nigdy nie zdołałby uczynić czegoś podobnego. Teraz Vanyel zamierzał poczekać, aż jego dotąd puste rezerwuary mocy wypełnią się na nowo, nim przystąpi do pracy nad tak trudnym zadaniem; a zważywszy na prędkość, z jaką przepływała energia, nie zanosilo się na długie oczekiwanie. Ponadto istniało duże prawdopodobieństwo, że moc ta będzie mu niezmiernie potrzebna. Gdyby wszystko mieli wziąć diabli i musiałby uciekać się do zaklęcia Bramy...

Bogowie, To jak... zjadanie słońca, wdychanie tęczy, picie wiatru. Energia wlewała się w niego, dzika i nieokiełznana. Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuł swą pełnię, był jak świeżo przywrócony do życia. Nigdzie w okolicach Forst Reach nie odnalazł ogniska o tak potężnej mocy.

Gdy wiadomo, jak wielka moc przepływa pod Highjourne i marnuje się nie wykorzystana, to przyczyna, dla której Mavełanom tak bardzo zależało na Lineasie, przestaje być zagadką. Vanyel był bliski współczucia dla tutejszych lordów magów, którzy musieli się wszak czuć, jak gdyby żyli obok ludzi, co wraz z miedzią wydobywają z ziemi cenne kamienie, lecz wyrzucają je z odpadkami, zarazem jednak nikomu nie pozwalają ich zbierać. Trzeba się spieszyć. Zostało nam już niewiele czasu.

Ostrożnie sięgnął do ogniska energii, która już po chwili zaczęła spływać na niego jeszcze obfitszym strumieniem.

Tyle wystarczy. A teraz uczynię ją moją mocą.

Sięgnął w głąb nie ujarzmionej jeszcze energii, którą miał już w sobie, przyswoił ją i ujął w swe ręce.

Na poły z wysiłku, na poły z niecierpliwości, cały był już zlany potem. Bogowie, to zajmuje za dużo czasu, ale przecież nie mogę sobie pozwolić na żadne niespodzianki.

Powoli, ostrożnie jął wysnuwać z tego kłębowiska mocy pojedyncze niteczki energii widoczne jedynie dla oczu jego daru patrzenia w głąb, i jął pleść z nich kokon, który pochłonie wszystkie dźwięki, a oczom, które zatrzymają się na nim, rozkaże patrzeć w przeciwnym kierunku. Warstwa po warstwie, nitka po kolejnej delikatnej nitce — tak powstawał ów kokon. Było to zaklęcie wymagające abso-

lutnej koncentracji uwagi, gdyż najdrobniejszy nawet błąd mógłby doprowadzić do defektu — do utworzenia się małego punkciku, na którym mógłby zatrzymać się czyjś wzrok, lub też przez który mógłby przesączyć się jakiś dźwięk. Yfandes nie okazywała już zniecierpliwienia, stała nieruchomo niczym figura lodowa błyszcząca w księżycowej poświacie.

Nareszcie, odetchnąwszy z ulgą, Vanyel splótł ostatnie oczko swej pajęczyny. Uzupełnił zapasy energii, a potem odciął swe połączenie z macierzystym strumieniem.

W ramionach czuł ból, jednak wiedział doskonale, że nim wszystko dobiegnie końca, przyjdzie mu jeszcze cierpieć daleko bardziej.

Ruszaj! — rzucił do Yfandes, która natychmiast skoczyła w mrok, do otwartych bram miasta wprost przed nimi. Gdy pruć powietrze niczym strzała pędząca ku jej tylko znanemu celowi, Vanyel złapał wodze i przytrzymał się łąku siodła.

Yfandes! Dokąd jedziemy?

Do pałacu!

Uliczki wiły się leniwie i zdawało się, że w ich układzie brak jakiegokolwiek ładu i porządku. Niektóre z nich rozświetlały pochodnie i latarnie, na niektóre tylko księżyc rzucał odrobinę swego blasku. Yfandes i Vanyel przemierzali je, raz pograżając się w mroku, to znów wypadając w jasność. Kopyta Yfandes z chlupotem zanurzały się w kałużach wody i innych mniej przyjemnych płynów. Vanyel słyszał pod sobą ich tętent dziwnie przytłumiony. I czuł wonie równie intrygujące, co obrzydliwe: zdradliwe odory wpadające do jego nosa i wydmuchiwane przezeń jeszcze szybciej, nim zdołał je rozpoznać. Dookoła pełno było ludzi: zamiataczy ulicznych, żebraków, ladacznic, pijaków i innych typków, których trudno było określić. Zakłęcie działało doskonale — oczy ludzi mijanych na ulicach miasta prześlizgiwały się po nich bez cienia zainteresowania.

Pierwszy Towarzysz, ten młodszy... nie mogę nawet do niego dotrzeć... też jest bliski szaleństwa, Van, on się tak bardzo boi! — Yfandes sama z trudem panowała nad emocjami i wyrażała się dość niespójnie. Strumień płynących ku Vanyelowi myśli zniekształcały targające nią uczucia i napięcie, tak że trudno już było wyłowić z niego pojedyncze słowa. — *Ten drugi... to... jej Wybrany... ona nie może znieść tego, co on robi, odgradza się od wszystkiego.*

Vanyel przytrzymał się kurczowo łąku siodła i wychylił nieco w bok dla zrównoważenia swego ciężaru na zakręcie. Yfandes wzięła zakręt z lekkim poślizgiem i zarzuciła nieco zadem. „Ten drugi” to prawdopodobnie Towarzysz z wysłannikiem Randała. Lecz jakimi czynkami mógł herold doprowadzić swego Towarzysza na skraj szaleństwa?

Vanyel niedługo musiał czekać na odpowiedź na to pytanie. Wpadli już w strefę szerszych ulic i olbrzymich rezydencji — domów arystokracji i bogaczy. Na

ulicach było widno jak w dzień — oświetlały je kaganki i latarnie z bezwonnym olejem. Pałac musi znajdować się gdzieś w pobliżu — pomyślał Vanyel i ledwie słowa te przemknęły przez jego głowę, wypadli z za zaułka na wielki plac, a za nim w szeroką aleję. U kresu tej alei defilad wznosiła się potężna budowla, na poły forteca, na poły wytwór fantazji, górująca nad miastem niczym czarny orzeł rozpościerający skrzydła nad swym gniazdem na tle zachodzącego księżyca. A pod szponami orła — jajo jasności: główny dziedziniec zalany światłem. Gdy wpadli w objęcia pozłacanych bram pałacu, Vanyel odwołał zakłęcie.

Czarna jak węgiel bryła pałacu okalała dziedziniec z trzech stron, ściana zaś, którą właśnie mieli za sobą, zamykała go od strony czwartej. Zdawało się, że rozpalono tu setki latarni.

Kątem oka Vanyel zauważył jakieś zamieszanie. Po jego prawej ręce pół tuzina uzbrojonych po zęby mężczyzn i zawodzący Towarzysz leżący na czarnym bruku. Po lewej młodszy Towarzysz: jego białą sierść zalewa jaskrawa plama krwi, przez zaciśnięte zęby z gardła dobywa się ryk wściekłości i furii; na nim chłopiec o blond włosach, kurczowo przyklejony do grzbietu zwierzęcia i...

Był to widok jakby żywcem wyjęty z najstraszniejszych koszmarów Vanyela. Herold usiłuje odciągnąć chłopca od jego Towarzysza, a sam grubym batem okłada swego rumaka, aż skóra zwierzęcia zaczyna pękać i na śnieżnobiałą sierść wylewa się krew.

Yfandes dosłownie rzuciła herolda na ziemię, w ostatniej chwili odchylając się, by odepchnąć go na bok i nie spaść nań kopytami. Vanyel wybił się z siodła, jak czynił to już nieraz podczas walk na pograniczu, wylądował na bruku, przeturlał się, by wytracić rozpęd, i z mieczem w dłoni skoczył na równe nogi.

Nie pozostawił heroldowi nawet chwili na przygotowanie się do przyjęcia ataku. Szaleństwu, które się tu rozpętało, trzeba było położyć kres, Vanyel automatycznie obrócił miecz w dłoni.

I smagnął nim, unieruchamiając nieznanego przez przyciśnięcie mu do gardła stalowego ostrza.

Herold, odrzucony w tył, wylądował na ziemi jak nieskładna kupa śmieci.

Do diabła, jeszcze się rusza.

Vanyel przyjął nieustraszoną pozę, stanąwszy pomiędzy młodym wierzchowcem a jego oprawcą. Dotknął umysłów obojga usiłując doszukać się w nich choćby przebłysku zdrowego rozsądku, lecz w sercu chłopca odnalazł tylko szalony zamęt spowodowany wstrząsem, a u ogiera strach zagłuszający wszelkie inne uczucia.

Vanyel sięgnął do swych pokładów energii i poczuł, jak ta przepływa zrywami, nieposkromiona i nieposłuszna żadnym rozkazom. Tymczasem nieznanomy herold, dźwignąwszy się z ziemi, krwawiąc z rozprutej wargi, przygotowywał się do następnego smgnięcia biczem. Wtedy, wyrzuciwszy w bok lewe ramię, Vanyel wymierzył mu własne smgnięcie — smgnięcie bicza z błyskawicy, któ-

ra wytryskując z jego palca, dosięgnęła potwornego biczyska herolda, Świetlisty zygzak zarysował się łukiem pomiędzy nimi, rozniósł się trzask i gryzący zapach spalonej skóry, a ponury herold o ziemistej twarzy z wrzaskiem bólu wypuścił bat z ręki. Za jego plecami Yfandes, skowycząc, wierzgając kopytami i szczerząc złowieszczo zęby, zatrzymywała wojów. W obliczu takiej furii nie mieli odwagi skoczyć heroldowi na pomoc.

— Co ty, u diabła, robisz? — zagrzmiał Vanyel, pozwalając, by przez tamtego przewaliła się cała fala jego wściekłości. Starszy mężczyzna mimo woli cofnął się o krok.

— Co, na bogów, się tutaj dzieje?

Vanyel wsunął miecz do pochwy. Drugi herold pozbierał się z ziemi, przyciskając do piersi okaleczoną dłoń, a drugą ocierając krew z podbródka.

— Kim jesteś, że śmiesz się wtrącać? — zaczął. Jego twarz wyglądała teraz niczym karykatura obalonego władcy.

Vanyel próbował porozumieć się z nim przy pomocy myślomowy, lecz kanały drugiego herolda były zbyt słabe, a na dodatek on sam starał się je blokować. Nie była to osobowość skłonna do kompromisu. Zdawał się stanowczy i uparty, a teraz jeszcze czuł się znieważony wtargnięciem obcego w zakres jego jurysdykcji. Zapewne w jego oczach obcy ów był nadto młody, aby mieć jakąkolwiek władzę.

Bogowie, błogostawcie. Będę musiał użyć swego autorytetu na tego głąba. Na pewno nie wybaczy mi tego do końca życia.

Nie zgasilem go jeszcze tylko dlatego, że to taki dureń!

— Jestem mag heroldów, Vanyel Ashkevron — rzucił Vanyel. — Zwany Zmora Demonów, Łowcą Cieni, Pierwszym Magiem Heroldów Valdemaru. Przewyższam cię rangą, heroldzie, a twe durne zachowanie wyrwało mnie dziś z łóżka i rzuciło na drugą stronę granicy. Nadużyłeś swej władzy, więc rozkazuję ci zostawić tego chłopca w spokoju. A poza tym kim, u diabła, jesteś ty?

Vanyelowi zdawało się, że oburzenie i tłący się wciąż gniew starszego mężczyzny zawisły nad jego głową niby wielki rozżarzony do czerwoności młot.

— Jestem herold Lores — odezwał się nagle tamten. — Posłaniec króla Randała na dwór w Lineasie.

Oglądając się przez ramię, Vanyel rzucił okiem na Yfandes odstępującą właśnie od wojów i kierującą się ku leżącemu Towarzyszowi. Ostrożnie trąciła go w kark, nadal nie spuszczając oka z żołnierzy. Po kilku nieudanych próbach klacz zdołała się podnieść, ale stała wciąż ze zwieszoną głową na rozdygotanych i wykrzywionych nogach.

Yfandes?

Już słyszy i zaczyna mówić, odrobinę. Gdy powstrzymałeś jej Wybranego, uspokoiła się trochę. . . ale źle z nią. Wciąż wszystko w niej aż kipi, a serce krwawi.

Zaopiekuj się nią.

I zwrócił swą uwagę z powrotem ku Loresowi.

— Powiedz mi, ale bardzo powoli, co chciałeś osiągnąć, smagając batem Towarzysza i usiłując go odciągnąć od jego Wybranego.

Lores warknął:

— Ten chłopak to morderca, ma krew na rękach, a to, co ty nazywasz Towarzyszem, to jego przemieniony demon! Chłopak wezwał go i próbował na nim uciec.

— Co? — Vanyel zrobił krok w tył i wszedł na ogiera stojącego za jego plecami. Ten parsknął na znak, że jest w pogotowiu, zdecydowany chronić swego Wybranego przed wszystkim: czy to człowiek, czy zwierzę, czy wytwór magii. Vanyel wyciągnął rękę, nie spuszczać oka z Loresa, i położył ją na szyi konia. Jeśli ktokolwiek na świecie znał dotyk demona, to na pewno on sam. Wszak obcował już z piekielnymi stworami na tyle blisko, by ich szpony mogły rozpruć mu pierś, a nie przeszkodziło mu to własnoręcznie odprawić całe ich stado na drugą stronę granicy karsyckiej. Wyciągnął ramiona w stronę ogiera i dotknął go ponownie. Jego umysł nie napotkał w tym dotyku żadnej demonicznej aury, tylko czyste, świetliste, niebieskobiałe pulsujące ciepło będące cechą szczególną Towarzyszy. Była to aura, którą — spośród wszystkich stworzeń, jakie napotkał dotąd Vanyel — posiadały tylko Towarzysze.

Młody rumak dygotał ze strachu i bólu, a Vanyel, ujrawszy swą zakrwawioną dłoń, poczuł narastający w jego sercu gniew. Zaciśnął pięści i zawiesił wzrok na starszym heroldzie.

— Ty... — wycodził, szukając odpowiednich słów. — Gdybym nie znał Randała i nie wiedział, że ani on, ani Shavri nie pchnęliby tutaj jako swego posłańca człowieka niezrównoważonego, powiedziałbym, żeś szalony. — Mężczyzna gapił się na niego z otwartymi ustami. Był całkowicie zaskoczony. — W tej sytuacji jednakże jestem zmuszony powiedzieć, że nigdy w życiu nie spotkałem drugiego takiego głupca! — Rozluźnił zaciśnięte dłonie i nie odwracając głowy, poklepał szyję Towarzysza, a potem postąpił naprzód w stronę Loresa przepełniony taką złością, że z trudem przychodziło mu utrzymanie spokojnego głosu.

— Co, u diabła, kazało ci myśleć, że ten młodzik to demon?

— Mogłeś dać się oszukać, ulec zaklęciu...

— Niemożliwe! W dodatku żaden demon nie byłby w stanie wprowadzić w błąd mojego Towarzysza ani twojego. Bogowie, człowieku, jeśli one nie potrafiłyby rozpoznać autentycznego Towarzysza, to kto inny miałby umieć to zrobić? Spójrz, ty durniu, spójrz! — Wyciągnął ku Loresowi rękę, odparł pokusę uduszenia go na miejscu i odwrócił go tak, żeby ten mógł przyjrzeć się swemu własnemu Towarzyszowi stojącemu na ugiętych nogach z głową opadającą prawie na bruk, rozdygotanego od nozdrzy aż po koniuszek ogona. Jego dłoń zostawiła krwawą plamę na ramieniu Loresa.

— Popatrz, co z nią zrobiłeś! Czy ty w ogóle nie wiedziałeś, co wyrabiasz? Doprowadziłeś ją niemalże do utraty zmysłów. Nie mogła być ci posłuszna, ani

też nie potrafiła cię powstrzymać! Popatrz tylko na nią!

Lores postąpił ku niej jeden krok, potem drugi, a trzeci zamienił się już w chybliwy, nie skoordynowany bieg, który zakończył się dopiero przy klaczy, gdzie herold rzucił się na kolana i jął głąskać szyję swego Towarzysza, szepcząc jej coś do ucha. Drgawki ustały i zwierzę zaczynało się uspokajać. Lores podniósł się z ziemi i przez chwilę ją podtrzymał, dopóki sama nie stanęła pewnie o własnych siłach z głową przyciśniętą do jego piersi.

Była tak zmaltretowana, że Vanyelowi zakręciły się łzy w oczach. W końcu musiał zablokować się przed jej cierpieniem, gdyż wiedział, że inaczej nie zdoła już dłużej trzymać w ryzach swego skromnego bo skromnego, lecz jednak aktywnego daru empatii.

Yfandes — wyszeptał w myśli. — *Co z tym drugim? Możesz go uspokoić?*

Tak. — Ruszyła przez wybrukowany plac. Jej kopyta dzwoniły przez chwilę na czarnych kamieniach, a potem zatrzymały się gdzieś za plecami Vanyela, gdzie najprawdopodobniej zajęła się już młodym ogierem. Vanyel postąpił jeszcze kilka kroków ku Loresowi. Żołnierze zaczęli przesuwać się w stronę bramy i pierzchać z dziedzińca. Vanyel nie miał ochoty ich zatrzymywać.

Lores uniósł na niego oczy, po twarzy ściekały mu łzy.

— Ja... nie wiedziałem. Nie mogłem... nie odbieram uczuć Jenny, prawie wcale jej nie czuję, ja... mój dar... to przenoszenie. Nie potrafię nawet porozumiewać się z nią za pomocą myślowo. Mówiłem jej, co ma robić, ale ona nie słuchała. Myślałem, że demon pewnie... — Jego wzrok padł na chłopca i twarz mu stężała. — To nieważne. Mimo wszystko ten chłopiec i tak jest mordercą.

Vanyel stracił panowanie nad sobą.

— Do diabła, człowieku, Towarzysze nie wybierają morderców!

— Czyżby? — Lores splunął. — Gala to zrobiła!

Błyski i deszcz, szaleństwo i udreka.

Wzburzenie dnia dzisiejszego zastąpił przeszły żal.

— To — odparł gniewnie — wydarzyło się już po tym, jak go wybrała. I Gala się go wyparła, odrzuciła go. Tyle powinieneś wiedzieć. To było po tym, jak go wybrała, i po tym... jak jej Wybrany... został pchnięty poza wszelkie granice wytrzymałości ludzkiej duszy. To nie ma żadnego odniesienia do tego, co zaszło tutaj. Nie posłuchałeś swego własnego Towarzysza, który usiłował powiedzieć ci prawdę.

Zrobił krok w stronę drugiego Towarzysza, oskarżające wskazując na niego swym zakrwawionym jeszcze palcem.

— Twoja złość i strach odebrały ci wrażliwość na jej zachowanie. Pozwoliłeś swym emocjom zakłócić ci zdolność postrzegania prawdy. Odciąłeś się od niej, aby nie słuchać tego, czego usłyszeć nie chciałeś.

W oczach Loresa wciąż tliło się wzburzenie, nie mógł jednakże odeprzeć zarzutów Vanyela.

— Van... chłopiec...

Wnętrze pałacu tonęło w ciemnościach, co wydawało się rzeczą dość osobliwą jak na siedzibę władcy, nawet jeśli do świtu brakowało ledwie kilku godzin. Co jeszcze dziwniejsze, całe zamieszanie na głównym dziedzińcu nie wywołało z pałacu nikogo, kto zainteresowałby się, co to za awantura. W bladym świetle wpadającym przez drzwi Vanyel nie widział kompletnie nic. Równie dobrze budynek można by uznać za opuszczony. Przede wszystkim potrzebne było światło. A zatem... Niech mnie skażą na potępienie na mocy tutejszych przesądów — pomyślał Vanyel i rozpałił nad swą głową wirującą kulę błękitną — Vanyel odwrócił się, w sam czas, by zobaczyć, że chłopak, nie mając już siły przytrzymać się grzywy swego Towarzysza, ześlizguje się po jego grzbiecie wprost na ziemię. Podbiegł do niego — płosząc przy tym młodego ogiera, który podrzuciwszy łeb, jął wywracać oczami — a potem w locie złapał chłopca i założywszy sobie jego rękę na barki, podtrzymywał go, rozglądając się za otwartymi... jakimikolwiek drzwiami...

Po lewej — odpowiedziała mu Yfandes. Jedno skrzydło drzwi prowadzących do głównej sieni było uchylone. Vanyel na wpół zaniósł, na wpół zaciągnął tam za sobą chłopca i pchnął nogą drzwi, aby prześliznąć się do środka. Lores w milczeniu podążył za nim krok w krok.

Wnętrz pałacu tonęło w ciemnościach, co wydawało się rzeczą dość osobliwą jak na siedzibę władcy, nawet jeśli do świtu brakowało ledwie kilka godzin. Co jeszcze dziwniejsze, całe zamieszanie na głównym dziedzińcu nie wywołało z pałacu nikogo, kto zainteresowałby się, co to za awantura. W bladym świetle wpadającym przez drzwi Vanyel nie widział kompletnie nic. Równie dobrze budynek można by uznać za opuszczony.

Przede wszystkim potrzebne było światło. A zatem... Niech mnie skażą na potępienie na mocy tutejszych przesądów — pomyślał Vanyel i rozpałił nad swą głową wirującą kulę błękitnego magicznego światła. Za swymi plecami usłyszał, jak widok pojawiającej się znikąd kuli jasności zaparł Loresowi dech w piersi.

Znajdowali się w pustej sieni. Tylko to zdążył wywnioskować Vanyel, obrzucając wnętrze pobieżnym spojrzeniem. Gdzie by można ułożyć tego chłopca... Szukał jakiegoś siedziska i spostrzegł coś takiego: wypolerowaną na wysoki połysk drewnianą ławę, bez poduszek, przytwierdzoną do podłogi pod ścianą, zaraz przy drzwiach. Prawdopodobnie służyła ona pośledniemu służącemu, gdy oczekiwali na coś przy głównym wejściu. W każdym razie było to coś, na czym można było usiąść. Vanyel podprowadził tam chłopca i posadził, wsunął mu głowę między kolana i przeprowadził jakiś prosty zabieg uzdrawiający, który miał wyprowadzić chłopca z szoku i przywrócić mu przytomność.

Chłopiec był na tyle świadomy, co się wokół niego dzieje, że zinterpretował

ów zabieg jako rodzaj zniewolenia czy ograniczenia. Próbował się bronić i uniósł głowę do światła.

I wtedy Vanyel po raz pierwszy zobaczył jego twarz.

To była twarz Tylendela, oszołomionego wstrząsem Tylendela o nieprzytomnych oczach, które spoglądały na niego z zakłopotaniem pod błękitną kulą magicznego światła.

Vanyel poczuł ucisk w gardle i zdało mu się, że podłoga pod jego stopami zaczyna się chwiać. Od upadku uratowała go ściana, o którą oparł się ręką. Przez moment miał wrażenie, że albo serce przestało mu bić, albo doznał jakiegoś zamknięcia umysłu.

W oczach mu pojaśniało i przyjrzał się chłopcu już dokładniej, obrócił jego twarz do światła i niemal dotknął jego myśli...

Lecz powstrzymał się i zaczął dostrzegać drobne różnice. Ten chłopiec tutaj nie miał więcej niż szesnaście lat i wyglądał na tyle, Lendel zaś zawsze robił wrażenie starszego niż był w istocie. Ten chłopiec miał zadarty nos, w każdym razie bardziej niż Lendel. Jego oczy były szerszej rozstawione i większe; podbródek zaokrąglony, a nie spiczasty jak u Lendela, włosy falujące, nie kręcone, i ciemniejsze niż złocistobrazowa czupryna Tylendela. Były to różnice bardzo subtelne, lecz wystarczające, by mógł otrząsnąć się ze zwidów; wystarczające, by przekonał się, że to nie Tylendel.

To natomiast, co dojrzał, czy też wyczuł ów chłopiec w oczach Vanyela, uspokoiło go na tyle, że przestał się bronić i podporządkował się ledwie słyszalnemu poleceniu Vanyela, by nie podnosił głowy.

Nie teraz — powtarzał sobie Vanyel. — Swoimi zwidami zajmiesz się później, nie teraz.

Po raz pierwszy, odkąd przekroczyli pozłacane drzwi, rozejrzał się dookoła w nadziei, że może wreszcie ktoś się w nich ukáže. Sięgnął wzrokiem w głąb opustoszałej sieni... i zamarł na widok cmentarzyska, jakie ukazało się jego oczom w świetle magicznej lampki.

Nawet zamek jego rodziny po splądrowaniu nie przedstawiał takiego zniszczenia.

Nic dziwnego, że nikt do nas nie wyszedł — pomyślał w otępieniu. — Żadna istota ludzka nie mogłaby przetrwać czegoś takiego.

Vanyel stał u stóp schodów i nieruchomym wzrokiem patrzył przed siebie. Korytarz, w którym się znajdowali, nie miał więcej niż siedem, osiem metrów długości, i zbudowany był z tego samego czarnego kamienia co fasada budynku, tutaj jednakże wypolerowanego do połysku. Prowadził on do krótkich kamiennych schodów, które z kolei wiodły do wyłożonego drewnianą boazerią Wielkiego Refektarza. Sala owa była miejscem podejmowania gości. Oświetlały ją kandelabry

i kinkiety zawieszane na ścianach, zdobiły gobeliny, zapełniały ustawione rzędami ciemne drewniane stoły i krzesła wypolerowane do lustrzanego połysku. Teraz wszystko było zrujnowane.

Kandelabry powyrywane z belek w stropie, gobeliny zdarte ze ścian; ściany, podłoga, sufit, wszystko było poryte i rozdłubane, jakby nosiło ślady jakiś potwornych szponów. Gobeliny były poszarpane na strzępy, meble roztrzaskane tak, że została z nich kupa drzazg, a wszystko rozrzucone po całej podłodze, jak gdyby trąba powietrzna urządziła sobie tutaj tańce.

Vanyel przypomniał sobie swój sen i poczuł, że włos jeży mu się na głowie i ciarki przebiegają po plecach.

— Co... — Głos mu się załamał, spróbował więc jeszcze raz: — Co się tu stało?

Wargi Loresa wykrzywiły się nieznacznie, lecz odpowiedział dość uprzejmie:

— Ten chłopak... to Tashir. Wiesz, kim on jest?

Vanyel skinął potakująco.

— To Tashir Remoerdis. Najstarszy syn Deverana z Lineasu.

— Wiesz, że Deveran uznał go za bękartą, i to takiego w najgorszym rodzaju, bo spłodzonego przez rodzonego brata jego matki, Yliny. Tak powiadają ludzie.

— A czy to wszystko ma z tym jakiś związek? — Vanyel popatrzył na spustoszenie.

— No pewnie, że ma związek. — Lores wykrzywił pogardliwie wargi. — Przecież to dlatego ten dzieciuch to wszystko zrobił.

— Loresie, lepiej powiedz mi wszystko, co wiesz — zażądał bez ogródek Vanyel, nieustannie usiłując powiązać wszelkie myśli związane ze zrujnowanym pałacem.

Lores parsknął i ciągnął dalej:

— Ylina nie była dziewczicą, choć szczerze mówiąc, Mavelanowie nigdy nie twierdzili, że było inaczej. Mimo to jednak czternaście lat to odrobinę za młody wiek, jak na takie... nazwijmy to... doświadczenie. Tashir urodził się osiem miesięcy po ślubie. To wystarczy, aby wzbudzić podejrzenia. Chłopak wygląda jak jego wuj, Verdik, za to ani trochę nie jest podobny do Yliny czy Deverana. To już drugi powód. Następny to fakt, że posiada dary. Przenoszenia na pewno — już odkąd miał trzynaście lat, gdy wpadał w złość, wszystko wokół zaczynało fruwać. Ale u Yliny nie ujawnił się nigdy żaden, a i wśród przodków Deverana nie było nikogo, kto posiadałby jakiegokolwiek niezwykle talenty. Tutejsi mieszkańcy uznali to za czary i jęli naciskać Deverana, aby wydziedziczył Tashira.

— Słyszałem już o tym darze — odparł Vanyel, spoglądając przez ramię na chłopca, by sprawdzić, czy ten aby nie słyszy ich rozmowy. Stali zaledwie dwadzieścia kroków od niego, a Lores nie wysiłał się zbyt, aby mówić cicho. Tashir jednakże wciąż siedział tak jak Vanyel go zostawił, z głową i rękami zwisającymi między kolanami.

— A jak chłopiec przyjął wiadomość o wydziedziczeniu go?

— Chłopiec? — Przez moment Lores zdawał się zdezorientowany. — To było najdziwniejsze. Chłopak wyglądał, jakby nagle odczuł ulgę. To Verdik Mavelan narobił hałasu. Ale dzisiejszego wieczoru... coś zaszło w trakcie kolacji i nie bardzo wiem co. — Lores splótł ręce na piersi: Jego twarz przybrała nagle wyraz refleksyjny, ale i trochę wylękniony.

— Byłeś tam? — zapytał Vanyel.

Lores skinął potakująco.

— Cały czas, jako wysłannik z Valdemaru. Dzisiejszego wieczoru... — Marszcząc czoło, popatrzył w dal. — Pamiętam, że gawędziłem właśnie z fechtmistrem Deverana i wtedy chłopiec podszedł do wysokiego stołu, aby coś powiedzieć ojcu. Potem zobaczyłem tylko, że zaczynają się awanturować, krzyczeć jeden na drugiego, i chłopak robi się biały jak ściana, a Deveran czerwony jak burak. Wtedy Deveran uderzył chłopca i rzucił go na podłogę.

Vanyel zagryzł wargi.

— Czy to się już zdarzało?

Lores wzruszył ramionami.

— No, nigdy na oczach innych. Deveran powiedział, żeby wszyscy wyszli, ale takim głosem, że jego prośba zabrzmiała jak rozkaz. Wyszliśmy. Nie patrz tak na mnie. Co innego mogliśmy zrobić?

— Nie wiem — odparł trzeźwo Vanyel. — Nie było mnie tam. Jednak nie wydaje mi się, abym pozostawił w ten sposób tak napiętą sytuację.

— Cóż, ja to zrobiłem. To nie Valdemar i nie moja sprawa. Wyszedłem na zewnątrz do stajni, do Jenny, i jakiś czas byłem z nią na dworze. — Potrząsnął głową. — Cała awantura przeniosła się do gabinetu Deverana na tyłach pałacu i przez okno dobiegały mnie ich krzyki. Potem uspokoili się na chwilę... i wtedy rozpętało się piekło. — Wskazał gestem całą ruinę w Wielkim Refektarzu i twarz mu stężała. — Możesz sobie wyobrazić te wrzaski, one same wystarczyłyby na całą wojnę. Nikt nie chciał się wtrącać, zresztą zorientowaliśmy się, że wszystkie drzwi nagle były jak zespojone, tak jakby w ogóle się ich nie otwierało.

Mówił swobodnym tonem, ale drżał cały i pocił się, a jego skóra zrobiła się śmiertelnie blada.

— To nie trwało długo. Potem znów zapadła cisza, nagle jakby wszystko się urwało. Ja, służący z zabudowań gospodarskich i wojowie Deyerana z pałacu, straż miejska i kilku członków rady miejskiej, którzy mieli w sobie odrobinę odwagi, wszyscy razem wyważyliśmy drzwi.

— I co zastalście?

— Właśnie to, co widzisz. Chłopak upadł pod ławę, a gdy poszliśmy szukać ciała... bogowie. Wszyscy w tych murach... byli martwi. Rodzeństwo chłopaka, służba, wszyscy. Rozszarpani na kawałki, zupełnie... jak to tutaj. Wszyscy

w szczątkach nie większych od dłoni. A on cały dygotał, zęby mu szczękały, źrenice miał rozszerzone. „Nic”, powtarzał.

— Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że to wszystko zrobił Tashir? — rzekł Vanyel z niedowierzaniem. — To niemożliwe... to szaleństwo! — Magiczne światelko błysnęło lekko, a cienie dookoła skurczyły się i znów urosły drżące, gdy skupienie Vanyela pierzchno, a on sam obrócił się, by popatrzeć na chłopca.

Lores odwrócił się od rumowiska, przyciskając ramiona do piersi, i powoli przestawał się trząść. Jego wzrok padł znów na Tashira i sam widok chłopca zdał się rozniecić na nowo jego gniew.

— Co w tym szalonego? — zapytał. — Dar przenoszenia może siać spustoszenie, a nawet zabijać. Wiem to lepiej niż ty. To przecież mój dar.

— To także jeden z moich darów, ty przeklęty głupcze! — warknął Vanyel. — I pewnego razu niemal straciłem nad nim panowanie, bo mój dar wybuchł niespodziewanie i cierpiąłem męki, które nawet silnego mężczyznę mogłyby doprowadzić do szaleństwa. Ale tutaj nie stało się nic podobnego! Ten chłopak nigdy nie przejawiał aż takiej mocy! I w dodatku wcale nie był kształcony, tak? To niemożliwe!

— Skąd mamy wiedzieć, że nikt go nie uczył? — W oczach Loresa iskrzyły się błękitne refleksy z magicznego światelka nad głową Vanyela. — Tylko on został przy życiu! To on musiał to zrobić!

Vanyel miał na to tuzin gotowych ripost na końcu języka, lecz żadna z nich nie wydała mu się dość mądra.

Ty idioto, ciekawe, jak to możliwe, że z ciebie taki ekspert w kwestii darów i magii? A czy szukałeś kogoś, kto mógł się ukryć do czasu, aż ty znajdziesz Tashira i w swojej głupocie rozprawisz się z nim? Albo czy zidentyfikowałeś, lub przynajmniej policzyłeś wszystkie ciała, tak żeby ich liczba zgadzała się z liczbą osób, o których wiadomo było, że przebywają w pałacu?

Zacisnął zęby, aby tylko żadne z tych pytań nie wyrwało się z jego ust. Było rzeczą oczywistą, że Lores pokpił sprawę, a ruganie go i tak nie mogłoby odwrócić skutków jego nieudolności.

— Sami nie mogliśmy w to uwierzyć, na początku — niechętnie przyznał Lores. — Myśleliśmy, że musiał to być... och, jakiś stwór z dzikich ostępów Pelagris, albo nawet coś, co zmagistrowali sami Mavelanowie. Naprawdę nie mieliśmy pojęcia, co to mogło być, a kiedy usiłowaliśmy pytać o cokolwiek Tashira, ten nie chciał odpowiadać. Z początku był... jakby zamroczony. A potem zwyczajnie odmawiał mówienia czegokolwiek, z wyjątkiem tego, że nic nie pamięta. — Lores potrząsnął głową. — Nie pamięta? Jakże on może nie pamiętać czegoś, co uczyniło coś takiego? Chyba że kłamał albo zrobił to wszystko w napadzie złości, a potem wymazał z pamięci. — Lores jeszcze bardziej przycisnął do piersi swe splecione ramiona, jak gdyby usiłował w ten sposób zapewnić sobie bezpieczeństwo. — Co mogliśmy zrobić? Straż była struchlała ze strachu, nikt nie chciał

brać czegoś takiego na swoje barki. W końcu wrzuciliśmy chłopaka do wartowni, tam przy głównej bramie, bo mieszczenie nie chcieli go w swym więzieniu i nikt nie chciał schodzić do cel w podziemiach pałacu. Pchnęliśmy posłańca, który ma sprowadzić Verdika, bo to przecież on siał największy ferment w sprawie chłopca. Verdik jest co prawda Mavelanem, ale i tak nie ma szans, żeby przemówić chłopakowi do rozumu. Będzie musiał się nim zająć, a jest magiem. Uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli magiem zajmie się inny mag. Szczególnie mordercą.

— Morderstwa mu nie udowodniono.

Lores przeszył Vanyela piorunującym spojrzeniem. Ten z uporem powtórzył swe słowa:

— Morderstwa mu nie udowodniono. Nic nie udowodniono. I co więcej, chciałbym wiedzieć, jak, u diabła, herold mógł napaść na Towarzysza.

Lores zaczął się przechadzać, cztery kroki od Vanyela, cztery z powrotem.

— Wepchnęliśmy go tam, pozbieraliśmy ciała. . . to, co z nich zostało. Wszystko się uspokoiło. I wtem, zaledwie jedną miarkę świecy temu, pojawił się ten demon.

— Towarzysz.

Lores odwrócił się, aby znów ugodzić go swym ostrym spojrzeniem, lecz wyraz oczu Vanyela przeląkł go.

— Pojawił się Towarzysz i zaczął forsować drzwi. Straż zawiadomiła mnie o tym, a ja posłałem po posiłki. Myślałem, że to demon. Pomoc dotarła tu mniej więcej wtedy, gdy de. . . Towarzysz stratował drzwi i zaczął uciekać razem z chłopcem. W wartowni był ten bat, więc wziąłem go. . . myślałem sobie: demon, nie demon, ma ciało konia. — Wzruszył ramionami. — Dalszy ciąg znasz.

— Nie przesłuchałeś go nawet pod zaklęciem Prawdy? — warknął Vanyel, tracąc cierpliwość do bezmyślności i zatwardziałej głupoty tego człowieka.

Lores zdał się zbity z tropu.

— Pod zaklęciem Prawdy? Dlaczego? Co to ma ze mną wspólnego?

— O Bogini Wcielona! Każdy herold zna zaklęcie Prawdy pierwszego stopnia! Czy twój mentor nigdy. . . — Vanyel przerwał na widok ogłupiałej twarzy Loresa. — Twój mentor nigdy ci nie mówił?

Lores potrząsnął głową.

— Bogowie! — Vanyel podszedł do chłopca, który nadal siedział bezwładnie z głową obwisłą między kolanami. — Tashirze? — powiedział łagodnie, klękając obok niego. Gdy młodzieniec uniósł głowę, Vanyel zebrał się w sobie, jednakże widok oczu chłopca, jego twarz. . . i ten błędny, zagubiony i błagalny wzrok chwyciły go za serce. — Tashirze, pamiętasz coś z wydarzeń ostatniej nocy? Cokolwiek?

Oczy Tashira wciąż jeszcze przesłaniała mgła, chłopiec tępo potrząsnął głową. Vanyel szarpnął nim delikatnie.

— Zastanów się. Kolacja. Pamiętasz, jak ojciec wezwał cię do siebie podczas kolacji?

— Ja... — Chłopiec miał głos niski, niemal identyczny z barytonem Vanyela.

— Chyba tak. Tak. Chciał... abym dokądś pojechał.

— Dokąd, Tashirze? — dopytywał się Vanyel.

— Ja... nie pamiętam.

— Pamiętasz, żeście się kłócili?

Niezdecydowane skinienie głową. Pod oczami Tashira zaczęły się cienie, które nie miały nic wspólnego ze sposobem, w jaki światło padało na jego twarz.

— Nie chciałem jechać. Chciał mnie gdzieś posłać. Nie pamiętam dokąd. Pamiętam tylko, że nie chciałem jechać. Powiedziałem mu, że nie pojedę. Uderzył mnie.

— Często podnosił na ciebie rękę?

Spojrzenie chłopca wyklarowało się na moment, gorzał w nim strach.

— Dość często — powściągliwie wyznał chłopiec. — Gdy tylko za bardzo go kłułem w oczy swoją obecnością w zasięgu jego wzroku. Starłem się nie wchodzić mu w drogę. Czasem coś go rozgniewało i na mnie wyładowywał całą swą złość. Ale nigdy nie robił tego na oczach innych ludzi, aż do dziś. — A więc uderzył cię. A potem kazał wszystkim odejść. Co było później?

— Obszedł... stół dookoła. Złapał mnie, zanim zdołałem się wywinąć, wykręcił mi rękę na plecach i zmusił do pójścia z nim do jego gabinetu. A potem...

Oczy znów przysłoniła mu mgła.

— A potem?

— Nie pamiętam! — jęknął Tashir z cicha. — Proszę cię, nie pamiętam!

Vanyel przywołał zakłęcie o nazwie *vrondi*: obojętny na myśli, podstawowy nośnik niezdolny do istnienia wszędzie tam, gdzie napotyka na emanacje emocjonalne związane z fałszem. *Vrondi* w rękach Vanyela, który potrafi zaopatrzyć je w energię przekraczającą jego własną moc, zdoła przeniknąć do umysłu chłopca i odebrać mu zdolność do kłamstwa na cały czas, jaki w nim pozostanie. Vanyel obserwował, jak *vrondi* w postaci jaśniejszej błękitnej mgiełki niczym aureola wokół głowy i ramion Tashira usadawia się na swym miejscu. Sam chłopiec nic nie zauważył, Vanyel i Loresa jednakże oczywiście mogli to oglądać. Vanyel kątem oka spojrzał na Loresa i dostrzegł, że starszy mężczyzna zaciska usta, a na jego twarzy zaczyna odbijać się skupienie.

— Jesteś pewny, Tashirze? — nalegał. — Zastanów się. Ojciec zabrał cię do swego gabinetu. Co się tam działo?

— Nie pamiętam! — jęknął Tashir, — Nie pamiętam!

Vanyel westchnął i krótkim rozkazem odwołał *vrondi*. Mgiełka rozpięchła się i wygasła, ale powoli, nie błyskawicznie, jak stałoby się, gdyby zakłęcie napotkało kłamstwo. Pozostała Vanyelowi jeszcze tylko jedna możliwość. Na próbę sięgnął do umysłu chłopca.

Tashir powinien był to wyczuć. Zamiast tego nagle się szarpnął, jego oczy błysnęły dzikim szaleństwem, a wokół niego zatrzasnęła się osłona, i to z taką gwałtownością, że Vanyel z ledwością zdążył wycofać swój dotyk.

— Uważaj! — wrzasnął Lores, rzucając się na podłogę, gdy jakaś skorupa rozbitej wazy uniosła się ze sterty roztrzaskanych sprzętów, śmignęła przez salę i rozbiła się o drzwi. Za nią poleciały następne. Unosiły się z rumowiska i rozpryskiwały na drzwiach, tworząc deszcz latających łupin, które zbombardowały ich niczym grad kul.

Vanyel nawet nie drgnął. Zacisnął szczęki i swą własną mocą zablokował dar Tashira, okalając go dodatkową zewnętrzną osłoną.

Naraz wszystko zamarło.

— Tashirze — zwrócił się do chłopca, tym razem kierując ku niemu ręce, a nie nakazy swego woli. — Tashirze, pragnę ci pomóc. Wierzę ci. Nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić ani więzić za coś czego nie zrobiłeś.

W oczach chłopca powoli zawitał spokój, zaczynały patrzeć coraz bardziej przytomnie. Przez dłuższą chwilę Tashir wpatrywał się w Vanyela, a potem ukrył twarz w dłoniach i zaniósł się szlochem, dygocząc na granicy hysterii.

— Nie... pamiętam... — wykrztusił. — Och, proszę, nie pamiętam, naprawdę nie pamiętam.

Nim Vanyel zdążył uczynić cokolwiek dla uspokojenia i pocieszenia chłopca, z oddali dobiegł go, przytłumiony przez drzwi, hałas, który zjeżył mu włos na głowie.

Były to złowieszcze, rozwścieczone wrzaski tłumu...

Lores poderwał się, na jego twarzy odmalował się wyraz ponurej satysfakcji.

— To wojowie — stwierdził z zadowoloną miną. — Musieli rozpuścić wieść. Tam jest ludność Highjourne, wielmożny panie magu heroldzie. Nad nimi nie masz żadnej władzy i mało prawdopodobne, aby zechcieli cię słuchać. Jaki teraz masz plan? Będą chcieli dostać chłopaka. Uważam, że powinieneś pozwolić im go zabrać.

Tashir wydał z siebie coś na kształt zdławionego sapania i zajrzał prosto w oczy Vanyela; całe jego ciało błagało o ratunek. Z oczami zapuchniętymi, twarzą całą we łzach i kosmykiem włosów wpadającym do jednego oka przedstawiał widok pełen tragizmu i beznadziei.

Chłopcu w takim stanie Vanyel nie mógł się oprzeć bardziej niż Yfandes.

— Ale wciąż przewyższam cię rangą, Loresie — rzekł chłodno. — Nadal podlegasz moim rozkazom. Wyjdź tam i zrób wszystko, aby utrzymać ich z dala od pałacu.

— Utrzymać ich z dala od pałacu? Jesteś bardziej szalony od niego!

— Ruszaj się! — rzucił Vanyel, wstając, gdy w szparze otwartych drzwi zajaśniały błyski latarni.

Lores nie protestował więcej. Parsknął i przemierzył sień, kierując się do wyjścia, wyprężony nie wypowiedzianą złością.

Vanyel podążył za nim aż do drzwi i zaledwie Lores przestąpił próg, zatrzasnął je niemalże na jego piętach. Dobiegł go przytłumiony okrzyk, a potem coraz głośniejsze, zbliżające się szemranie tłumu. Vanyel zasunął rygiel w drzwiach — był metalowy, ale niewystarczająco mocny, aby wytrzymać zmasowany atak.

— To... nie zatrzyma ich na długo — lękliwie powiedział Tashir, wierzchem dłoni odgarniając włosy wpadające mu do oka.

— Nie będzie takiej potrzeby — odparł Vanyel jakby nieobecny myślami, wytężając zmysły w nadziei, że obecność tego, co dzięki nim wyczuwa, nie jest tylko zrzędzeniem zbiegu okoliczności.

Istniało wszakże owo ognisko mocy, najsilniejsze, jakie kiedykolwiek napotkał poza ziemiami Tayledras. Wziąwszy pod uwagę, że Highjourne usytuowane było na głównym splocie strumieni energii, zważywszy na to, że samo ognisko powinno znajdować się gdzieś tutaj...

Gdyby miał zbudować pałac, gdzie by go umieścić?

To nie był zbieg okoliczności. Pałac został usytuowany dokładnie na ognisku, ognisku o mocy, od której aż huczało Vanyelowi w głowie.

Teraz ten nadęty głupek zobaczy, dlaczego przewyższam go rangą — mruknął do siebie i wytężył swój dar...

Natężenie energii w poszczególnych strumieniach miało moc wprost szaleńczą, lecz przy potędze ogniska było niczym. Vanyel zwykł porównywać przepływ energii u jego matki i Yfandes do strużki z topniejącego soplek lodu i wodospadu. Tutejsze ognisko zaś przy tamtych strumieniach było niczym szalejąca burza ognia porównana z ogniskiem na biwaku. Vanyel znał sekrety tej burzy i wiedział, jak nad nią panować, a więc teraz jej furia powolna była jego woli.

Nastawił swój umysł na cykl zakłęb, wyszeptał kilka słów, zebrał całą siłę woli i złączył dłonie, tworząc z nich jakby naczynie, podświadomie upodabniając się do kształtu, jaki pragnął otrzymać.

Potem rozwarł dłonie, wykrzykując jedno jedyne słowo-rozkaz.

Nagły błysk światła sprawił, że jego zamknięte powieki na moment stanęły w ogniu. Tashir krzyknął z trwogi.

Niczym nagła głuchota spadła na nich absolutna, głęboka cisza.

Vanyel otworzył oczy. Stała, żółta poświata była już ledwie dostrzegalna dla jego zmysłu głębokiego spojrzenia.

Otoczył pałac magiczną barierą, która utrzyma z dala wszystko, czego obecności wewnątrz Vanyel sobie nie życzył, włączywszy zjawiska tak nieuchwytnie jak myśl czy magia. Przekroczyć tę barierę mógł tylko on sam oraz to, co wziął z sobą. Nikt i nic więcej.

Z trudem przebiły się przez nią jego myśli.

Yfandes? Jak się czujecie, ty i ten nieznamy?

Nie zwracają na nas uwagi — odparła. — Przeraziłeś tego młodego i rozżościeś Loresa. Tłum jeszcze się nie zdecydował, co robić dalej.

Nawet jeśli coś postanowią, nic nie wskórają. Daj mi moment, abym ja mógł się zdecydować.

Vanyel przerwał połączenie między sobą a ogniskiem. Potrafił nad nim panować, lecz płacił za to swą cenę. Właśnie przybyło mu jeszcze jedno pasmo srebrnych włosów. I nie tylko.

Otworzył oczy i ujrzał Tashira skulonego pod ścianą, tak rozdygotanego że aż dzwoniły mu zęby. Podeszedł sztywno do ławki i dotknął ramienia chłopca. Ten nie zareagował. Vanyel obrócił twarz chłopca do światła i zobaczył jego oczy zaszkłone rezygnacją.

— A niech to! — Vanyel opadł ciężko na ławę obok Tashira. — Co, u diabła?

Zastanowił się przez moment, szybko podjął decyzję i jeszcze raz sięgnął do ogniska.

Szok spowodowany ponownym z nim zetknięciem nie był już tak dotkliwy. Gdy znów oddech powrócił mu w piersi, użył energii ogniska dla wzmocnienia swego daru myślowy, by sięgnąć nim dużo, dużo dalej niż pozwalały na to jego własne siły, i zwrócił się ku osobie tak drogiej i bliskiej, że sama jej obecność niemalże przyciągała jego myśl.

Zetknięcie.

I zdumienie.

Kto to?

Savil?

Rozpoznanie i ulga.

Bogowie! Ke' chara, co się dzieje? Gdzie jesteś?

Opowiedział jej o wszystkim, co wydarzyło się od momentu, gdy zbudził go koszmarny sen. Ujął wszystko najbardziej zwięźle jak potrafił, i choć przed przesłaniem jej obrazu Tashira uprzedził ją o jego podobieństwie do Tylendela, widok chłopca był dla niej wstrząsem równie wielkim jak wcześniej dla niego. To on był kochankiem Tylendela, lecz Savil była dla niego mentorką, przyjaciółką, powiernicą i niemalże matką, tak jak teraz dla Vanyela.

A więc! — odpowiedziała, zdoławszy wreszcie ochłonać. — Co zamierzasz?

Objąć go swą opieką i zabrać go stąd.

Jak, przy tym tłumie... och, bogowie. — Świadomość sytuacji napawała ją lękiem. — Będiesz korzystał z zaklęcia Bramy — rzekła bez wahania.

A mam jakiś wybór? — zapytał. — Nawet jeśli nie byłoby tam tego mottochu... usiłowałem sobie przypomnieć wszystko, co obejmuje moja szczupła wiedza na temat procedury dochodzeniowej. Trzeba zachować dowody. Jeśli przetamię zaklęcie otaczające wszystko barierą, każdy będzie mógł wdrzeć się do środka, a brak mi sił na rzucenie drugiego zaklęcia, szczególnie o takiej mocy, aby chroniło pałac od zewnątrz. Będąc wewnątrz, mogę czerpać z ogniska, lecz zakłócenia, jakie

wywołałbym w samej osłonie, skutecznie odgrodziłyby mnie od jego mocy. Wiesz o tym. Osłony są przenikalne dla swych twórców, lecz mimo to opierają się penetracji. Musimy się dowiedzieć, co tutaj zaszło, a nie uda nam się to, jeśli każdy będzie mógł tu wejść i wprowadzać zamieszanie.

Ton jej myśli przepelnionej troską brzmiał stanowczo i zarazem posepnie.

To nazbyt oczywiste, abym czuła się usatysfakcjonowana, mój drogi. Lecz teraz to ty przewyższasz mnie rangą i istnieją wystarczające powody, abym podporządkowała się twemu zwierzchnictwu. Dokąd przybędziesz?

Zastanowił się nad tym bardzo dokładnie.

Będę u drzwi do starej kaplicy. Znajdują się one na poświęconej ziemi i są jednym z niewielu przejść w Forst Reach wystarczająco dużych, aby posłużyć za punkt docelowy w przejściu przez Bramę, a nie będących w stałym użyciu. Ponadto znam je najlepiej jak tylko znać mogą jakiegokolwiek miejsce. Gotuj się na moje przybycie, bo jeśli przedostanę się na drugą stronę, nie będę już zdolny do niczego.

Mówisz tak, jakbym sama o tym nie wiedziała. Bądź ostrożny... proszę cię.

Spróbuję.

Przeciął swe połączenie z ogniskiem, co jednocześnie pozbawiło go kontaktu z Savil, i skierował swą uwagę na kogoś znajdującego się o wiele bliżej.

Kochana...

Mój Wybrany...

Zabieram stąd Tashira, używając zaklęcia Bramy. Ty i ten młody ogier przebiegniecie przez nią sami. Jeśli tamten przeklęty dureń nazywający siebie heroldem nie potrafi sam rozszyfrować moich aluzji, to nie moja wina. I tak mam już za dużo na głowie.

Yfandes drżała z niepokoju.

Ostrzegę Jennę. Jeśli uda jej się nakłonić go, aby ją dosiadł, będzie mogła ponieść go z sobą, czy będzie tego chciał, czy nie. Nie będę ci odradzać tego sposobu ucieczki, tylko... uważaj na siebie!

Vanyel musnął ją pieszczotliwie dotykami myśli.

Będę.

Otworzył oczy i rozważywszy wszelkie możliwości, jako najlepsze oparcie dla zaklęcia wybrał wreszcie otwarte sklepienie przejście na schody. Umieszczenie wyjścia bramy w drzwiach zewnętrznych, gdzie znajdowała się osłona, wiązałoby się ze sporym ryzykiem. Gdyby Vanyel był w pełni sił, byłoby to wykonalne, może. Ale nie teraz.

Lecz najpierw...

Wysunął nieco osłonę, chichocząc okrutnie, gdy nadymająca się bariera zmioła Loresa ze schodów wprost na dziedziniec. Proszę. To powinno ich uciszyć na jakiś czas.

Stanął na środku sieni, uniósł ramiona i zaczął.

Ze wszystkich cząstek samego siebie, ze wszystkich zapasów energii uprzął szkielet portalu. Do tego celu nie mógł zasięgnąć energii z ogniska. Jedyne możliwości użycia zewnętrznych źródeł energii magicznej przy zaklęciu Bramy zachodziła wówczas, gdy — o ile było mu wiadomo — dwóch magów łączyła więź życia; wtedy na pewnym bardzo głębokim poziomie dwoje złączonych więziami stawało się jednym. Następnie, jak zawsze, ledwie zdążył wzniesić portal wokół krawędzi przejścia, już zaczął przejmować wibracje energii samej Bramy. Jego nadwrażliwe kanały przepływu energii zajął palący ból. Kiedy Brama była gotowa, Vanyel cierpiał już katusze.

Lecz było to coś, z czym nauczył się już godzić i czemu umiał zaradzić.

Siec. . .

Skoncentrował się, z siebie jakby wysuptykując nitki biegnące w dal w poszukiwaniu oparcia tam, gdzie będzie mógł wzniesić wyjście z Bramy. W pewnym momencie osiągnął punkt, kiedy nie musiał już wyrzucać w dal owych nitek; same z niego wychodziły, zabierając ze sobą wszystko, co było nim samym. Wtem, wreszcie, jedna z nich odnalazła drzwi kaplicy. . . potem dotarła tam druga. . . trzecia. . .

Wybuchł jakiś błysk, choć nie tak jasny jak ten, który towarzyszył wznoszeniu osłony, i kolana ugięły się pod nim.

Och, do diabła — pomyślał w oszołomieniu. — Nie byłem przygotowany na to aż tak dobrze, jak myślałem.

Długo, długo, zanim zebrał siły, by dźwignąć głowę, stał w rozkroku na brudnej, zaślanej skorupami podłodze, dysząc z bólu. Lecz gdy wreszcie uniósł oczy, ujrzał nie spustoszony Wielki Refektarz w Highjournie, ale przyjazny, znajomy korytarz wiodący do starej kaplicy w Forst Reach, i po trzykroć błogosławioną Savil w tunice na lewą stronę, oczekującą już na jego przybycie.

I poczuł ból. . .

Chyba. . . coś nie tak. Nigdy. . . przedtem nie byłem aż tak wyczerpany. . . — Przemknęło mu przez głowę gdzieś pod czerwoną kipiela ognia. — Och, bogowie. . . gdybym wiedział, że to się tak skończy, nigdy nie starczyłoby mi odwagi. . .

Mimo to jakoś pozbiierał się z ziemi. Zataczając się jak śmiertelnie ugodzony nożem pijak, usiłował dotrzeć do Tashira. W głowie wirowało mu tak, że ledwie widział, i jedynie pełna koncentracja na każdym kolejnym kroku umożliwiła mu przemierzenie całej sieni ku chłopcu.

— Ta-shir — wycharczał, zanosząc modły o choćby nikły przebłysk ludzkiej reakcji w jego oczach. I tym razem jego prośby zostały wysłuchane. Chłopiec popatrzył na niego z jakimś mętnym cieniem świadomości, choć nadal dygotał na całym ciele. — Idź. . . wstań. . . — Jego słabiutkie szarpnięcia za ramię chłopca spotkały się z reakcją i Tashir podniósł się. — Idź. . . tam. . . — Vanyel pchnął Tashira w stronę Bramy, każdy krok oplacając zmaganiem z nową falą bólu.

Tashir zatrzymał się na samej krawędzi.

Vanyel wydarł z siebie wrzask rozpacz i męki, a potem rzucił się do przodu, popychając chłopca przez próg, i nazbyt słaby, aby utrzymać równowagę, runął na podłogę zaraz za nim.

I z męczarni wpadł w otchłań śmiertelnej tortury. Siły go opuściły, opanowanie pierzchnęło, wzrok, słuch, wszystkie zmysły wygasły. Pozostał tylko ból...

A po nim nie było już nic.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wyglądasz paskudnie. — Zabrzmiał szorstki głos nad jego głową.

Cóż za niesamowity zbieg okoliczności, Savil — pomyślał Vanyel, nie otwierając oczu. — Czuję się też paskudnie.

— Zdaje się — ciągnęła z powagą ciotka — że będę spędzać u twego łóża nieprzyzwoicie dużo czasu. Tylko nie udawaj, że śpisz.

— Nawet by mi to nie przyszło do głowy — wyszeptał Vanyel, uchylwszy jedną powiekę. Savil rozpięła się swobodnie w fotelu, który przysunęła sobie do jego łóżka; a jej nogi spoczywały wprost na pościeli. — Matka będzie wściekła — zauważył Vanyel, z trudem otwierając drugą powiekę. — Znasz jej zdanie na temat kładzenia butów na łóżko?

— Ale w tej chwili jej tu nie ma. Jak się czujesz?

Vanyel zbadał krótko swe samopoczucie.

— Wyjawszy bóle w stawach, niemal tak samo, jak w chwili powrotu do Przystani. To znaczy, jak zresztą byłeś łaskawa już zauważyć, paskudnie. Co się działo? Jak długo byłem nieprzytomny tym razem?

— Otóż twoje samopoczucie świetnie pasuje do sytuacji zewnętrznej, jeszcze nie jesteśmy w stanie wojny z Lineasem, a nieprzytomny byłeś trzy dni. — Na stęknięcie Vanyela drgnął jej kącik ust, mimo to ciągnęła dalej: — Podczas kiedy ty błąkałeś się w zaświatach w poszukiwaniu własnego rozumu, pozwoliłam sobie przebadać cię gruntownie i nawiązałam kontakt z kilkoma pośrednikami handlowymi z Highjourne. Pożyteczne ptaszki z tych gołębi. Szczególnie wtedy, gdy można powiedzieć ich malutkim rozumkom, dokąd dokładnie mają lecieć. Chcesz usłyszeć wszystko w kolejności zdarzeń czy według poszczególnych zagadnień?

Gdy Savil mówiła, Vanyel usiłował dźwignąć się do pozycji siedzącej. Kiedy wreszcie mu się to udało, ciotka naląła kielich jabłecznika ze stojącego obok niej dzbana i podała mu go.

— W kolejności zdarzeń — odparł Vanyel, wzięwszy mały łyk dla zwilżenia ust. — Najlepiej zacznij od tego, jak ojciec znosi nowego gościa w domu.

— Otóż twój ojciec, dzięki bogom, nic o gościu nie wie. — Teraz drgnął drugi kącik jej ust, sprowadzając na nie prawdziwy uśmiech. — Twoja stara ciotka nie jest głupia, *ke'chara*. Na ten sam dzień, kiedy wróciwszy tutaj przez Bramę,

natychmiast padłeś nieprzytomny, twój ojciec miał zaplanowany swój późniejszy objazd dzierżawców. Korzystając z tego, najzwyczajniej w świecie ulokowałam Tashira w pokoju gościnnym sąsiadującym z twoim i aż do odjazdu Withena nie zwracałam sobie głowy informowaniem o tym kogokolwiek. — Nim zaczęła mówić dalej, zawahała się przez moment. — Muszę ci powiedzieć, że przebywając w pobliżu tego chłopca, człowiek zupełnie traci rezon. Tashir zachowuje się jak duch: bierze nogi za pas, gdy tylko znajdę się w zasięgu jego wzroku. Już nieraz przyprawiał mnie o dreszcz. Jest zupełnie jak nasz zmarły... No cóż. Słabo się maskuje, nawet ja potrafię to dostrzec, a przecież nie jestem uzdrowicielką umysłów.

Vanyel pokiwał głową w zadumie.

— Nurtuje mnie wiele pytań, a na prawie żadne z nich nie znam odpowiedzi. Zatem Tashir jest tutaj, a ojciec nic o tym nie wie. To niemałe błogosławieństwo. Mów dalej.

— Yfandes i ten drugi Towarzysz wrócili tego samego dnia około południa. Jeszcze przed nocą zaś dotarł do mnie jeden czy dwa gołębie z wiadomościami. Lores wraca do Przystani z zamiarem złożenia przed Randalem protestu przeciwko twemu postępowaniu, wiezie też posłanie garstki ocalałych członków Rady Deverana domagających się przekazania Tashira w ich ręce. Ostatecznie również i Verdik wtrącił swoje trzy grosze w całą sprawę, zjawiając się nazajutrz po masakrze. Zdaje się, że stoi po stronie Lineasu, ale chce, by oddano Tashira w ręce Mavelanów, aby stanął przed ich sądem i został skazany. — Savil przerwała, by zaczerpnąć tchu. — To były złe wieści. Dobra wieść natomiast wiąże się z tym, że ponieważ ten bałwan, Lores — o tak, mój drogi, znam go, to istny bałwan, zawsze nim był — nie jest magiem heroldów, nie może przenieść się do Przystani przy pomocy zaklęcia Bramy. Doczłapanie się tam zajmie mu dość dużo czasu, szczególnie że jego Towarzysz przyłączył się do naszego małego spisku.

— Jak to?

— Jenna przez całą drogę do domu będzie inwalidką. Jeżeli więc podróż zajmie Loresowi tyle, co jazda na kulawym koniu, to będzie mógł uważać się za szczęściarza.

Vanyel zachłysnął się jabłecznikiem. Savil poklepała go po plecach, w jej oczach błysnęło rozbawienie.

— Wiem to od Yfandes, przez Kellan. Jenna nie jest zachwycona swym Wybranym i ma zamiar dać mu nauczkę. A zatem Lores dotrze na miejsce z opóźnieniem. O ile mi wiadomo, nikt nie wie, gdzie jesteście ty i Tashir. Lores uznał, że pojechaliście do Przystani. To następna dobra wiadomość. Na razie masz więc zapewniony spokój. Może zdążysz dowiedzieć się, co naprawdę wydarzyło się w Highjournie.

— Choćby nawet wykryto, gdzie jesteśmy — zauważył Vanyel — nie mogę zostać odwołany przez nikogo poza Randalem. A Randi będzie mnie krył, znam

go. On dobrze wie, że gdyby nie działa się coś wyjątkowo dziwnego, przeszedłbym przez Bramę wprost do Przystani. A co z naszym gościem?

— No cóż, mówiłam ci już, że snuje się jak duch. Krążył wokół ciebie, kiedy tylko nie było tu nikogo innego. Zdaje się, że on doskonale wyczuwa, gdy ktoś się zbliża, bo zawsze czmycha do swego pokoju na moment przed zjawieniem się tutaj innej osoby. Na szczęście ciebie przebrałam, zanim spróbowałam wyczytać cokolwiek z jego umysłu. Nie ma wątpliwości, że coś lub też ktoś bardzo go na podobne zabiegi uwrażliwił. Doszłam więc do wniosku, że lepiej go nie drażnić i nie narażać tutejszych okien i wazonów na roztrzaskanie.

— Ano właśnie. — Vanyel wyprostował się nieco, z każdą chwilą czują się coraz lepiej. — Żałuję, że nie odważyłem się wnikać do jego umysłu na tyle głęboko, abym mógł się przekonać, jakie kryją się w nim dary. Niewątpliwie Tashir potrafi przenosić przedmioty, a prawdopodobnie również porozumiewać się za pomocą myślomowy. To by tłumaczyło jego umiejętność wyczuwania zbliżających się osób. Czy ktoś pilnuje, żeby miał co jeść?

— Och, Tashir sam przychodzi na posiłki, tyle że nie w porach, kiedy je rodzina. Przekrada się do kuchni po pierwszym wezwaniu dla służących i wojów, bierze coś niekłopotliwego w transporcie i zmyka z powrotem do siebie. Naczynia zwraca, ale chyba dopiero po zamknięciu kuchni na noc. W każdym razie nikt dotąd nie składał mi skarg na temat zaginionych talerzy. Twoja matka aż się trzęsie z ciekawości, tak bardzo chciałyby wiedzieć, kto to taki, a tymczasem on unika jej tak samo jak mnie.

— Dlaczego on jest taki... sam nie wiem, jak to nazwać, płochliwy? — Vanyel jął obgryzać paznokiec. — Nigdy nie słyszałem, że Deveran jest takim złym człowiekiem.

— Plotki i prawda często niewiele mają ze sobą wspólnego *ke'chara* — upomniała go Savil. — A Deveran był człowiekiem osaczonym wręcz przez problemy: obarczony żoną, która go nic nie obchodziła; zagrożony przez wroga, który zmusił jego małe królestwo do szukania oparcia w Valdemarze i uzależnienia się od niego. Na dodatek jego pierworodny okazał się kłopotliwym bękartem, a on sam nie siedział na tronie dość pewnie, by pozwolić sobie na opieranie się żądaniom swego ludu o wydziedziczenie chłopca. — Savil wymownie wzduszyła ramionami. — To wszystko nie mogło się złożyć na szczęście w Lineasie. Wszak powszechnie wiadomo, że ludzie znajdujący się pod presją wyładowują swą złość na tych, którzy nie mogą się bronić.

— Ach, Tashir — westchnął Vanyel. — I znów mamy kandydata na herolda w poważnych tarapatkach. To niedobrze, Savil. Co powiemy ojcu, gdy wróci?

— Dobrze pytanie. Twój ojciec dowie się tylko tyle, że odratowałeś z opresji świeżo Wybranego i... wyrządziłeś mu lekką krzywdę. Im mniej będzie wiedział, tym lepiej. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek widział Verdika albo Tashira. Jeśli nie widział, najlepiej będzie nie...

— Boję się, boję się. Odejdź! Odejdź! NIE DOTYKAJ MNIE! Boję się!
— Co, u diabła! — wrzasnęła Savil.
— To Tashir — wycedził Vanyel, wyskakując z łóżka i chwiejnym krokiem przemierzając pokój.

— Van!

Puścił mimo uszu protesty Savil i rozwarł na oścież drzwi pokoju.

— Jest w buduarze. Tressa musiała go przyuważyć i nieźle wystraszyć.

Potykać się, Vanyel puścił się biegiem wzdłuż korytarza. Jego bose stopy plaskały o drewnianą podłogę. Chwiały się lekko na boki, ale nie zwalniał. Kiedy Savil zdołała go dopędzić i narzucić mu szlafrok na ramiona, on miał już za sobą połowę drogi.

— Tressa nie byłaby zachwycona, gdyby do jej buduaru wdarł się nagi młodzieniec — wychrypiała Savil, gdy Vanyel mocował się przez chwilę z okryciem, zanim znów ją wyprzedził.

Szczęśliwym trafem buduar Tressy znajdował się niedaleko pokoi gościnnych. Na dłuższy bieg Vanyelowi nie starczyłoby sił; gdy wreszcie dopadł celu, był już zupełnie bez tchu, a od wewnątrz rozdzierał go straszliwy ból.

Kobiece piski dosięgły go już w połowie drogi. A ten ból... był bólem Tashira, cierpieniem mającym swe źródło wyłącznie w emocjach chłopca. Vanyel wiedział, że cokolwiek się właśnie działo, nie była to powtórka rzezi w Highjournie.

Pchnął drzwi i jego oczom ukazał się istny zamęt. Najcięższe meble tańczyły po całym pokoju, lżejsze przedmioty, takie jak tamborki do haftowania i taborety, krążyły pod sufitem niczym oszalałe nietoperze, od czasu do czasu zatrzymując swój bieg po to tylko, by runąć na ścianę, a potem na nowo zacząć następne okrażenie. W miejscach gdzie nieco delikatniejsze ozdobne przedmioty usiłowały wykonać podobny manewr, oczywiście z fatalnym skutkiem, na podłodze usypywały się stosiki skorup. Tashir kulił się w najbliższym drzwiom kącie pokoju, głowę zakrył rękami. Kobiety przywarły do ściany w drugim końcu izby, krzycząc wniebogłosy.

Vanyel i Savil zadziałali ręka w rękę. Vanyel unieruchomił Tashira, przyciskając go swym ciałem. W tej sekundzie wszystkie sprzęty zamarły w swym tańcu i latające przedmioty zaczęły łagodnie opuszczać się na podłogę. Równocześnie Savil zajęła się kobietami i za jednym zamachem zablokowała im wszystkim gardła, odbierając im głos, by nie mogły krzyczeć.

Nie można było jednak liczyć na trwałość takiego rozwiązania. Vanyel czuł, że z chwilą gdy on lub Savil stracą panowanie nad sytuacją, chłopiec na powrót wpadnie w panikę.

Wtem na schodach rozległ się tupot, który zapowiadał zgoła nieprawdopodobne ziszczenie modlitw Vanyela o pomoc. Otóż w sam środek zamieszania wpadli nagle Withen i Jervis z mieczami w dłoniach; usłyszawszy piski i krzyki, spodzie-

wali się zapewne plądrowania i grabieży. Teraz stanęli jak wryci w samym progu. Długo jeszcze Vanyel nie zapomniał ich twarzy w tym momencie.

Tashir uniósł oczy na intruzów. Vanyel przygotował się do wzmocnienia swego uścisku, na wypadek gdyby następna fala trwogi miała owładnąć chłopcem. Ale zamiast tego, w momencie gdy oczy Tashira zatrzymały się na Jervisie, Vanyel poczuł nagle budzące się w sercu chłopca pierwsze iskierki czegoś na kształt ufności i nadziei.

Jervis? O Pani, miej litość... ale przecież nie będę zaglądał w zęby darowanemu koniowi!

Kobiety najwyraźniej powitały przybycie Withena i Jervisa jako wybawienie, natychmiast się uspokoiły, a Savil pozwoliła im kolejno się rozejść.

— Przepraszam za to wszystko, Withenie. Mamy tutaj przyszłego herolda, którego nęka pewien problem — zagadnęła Savil, bardzo wolno i ostrożnie. — Van wybawił go z tarapatów. Moje panie, chłopiec jest niesłychanie wybuchowy... posiada dar przenoszenia i chciał tylko, abyście zostawiły go w spokoju. Kiedy zaczęłyście krzyczeć, wpadł w panikę. Wszystko jest w porządku, Withenie, nikomu nic się nie stało i wygląda na to, że jedyne straty to kilka rozbitych figurek.

Tressa, biała jak płótno, cała roztrzęsiona, przywołała na swe usta drżący uśmiech.

— To... te okropne cherubiny, które... Torinna uparła się... dać mi w prezencie — wyjąkała. — Nie będę... za nimi tęsknić.

Vanyel tymczasem złapał Jervisa pod rękę i odciągnął go od Withena.

— Mamy tu bardzo wystraszonego chłopca — wyszeptał. — Później opowiem ci wszystko, co tylko będę mógł. Ale na razie zdaje mi się, że według niego wyglądasz na kogoś, na kim można polegać. Jak sądzisz, dasz sobie z nim radę, będziesz umiał go uspokoić?

Jervis nie tracił czasu na pytania czy dyskusje. Obrzucił krótkim spojrzeniem napiętą, białą twarz Tashira, wsunął miecz do pochwy i skinął głową.

Teraz Vanyel, z Jervisem u boku, przysunął się do Tashira najciszej i najostrożniej jak tylko potrafił. Chłopiec popatrzył na nich wzrokiem, w którym nadzieja mieszała się z trwogą.

— Zdejmę z ciebie osłony, Tashirze — rzekł Vanyel, jak gdyby nigdy nic, z całych sił utrzymując spokój. Jakkolwiek empatia nie należała do jego najlepiej rozwiniętych darów, posiadał jednakże jakąś jej namiastkę i teraz wycęzał ją do granic możliwości. — Chcę, abyś razem z Jervisem wrócił do swego pokoju. Jervisie, to Tashir. Chłopcze, to Jervis, nasz fehmistrz.

W odpowiedzi na prezentację Jervisa oczy Tashira znów błysnęły nadzieją i ufnością — silniejszą już niż przedtem.

— Chcę, żebyś się uspokoił. Wiem, że potrafisz. Skoro tylko się to uda, wszystkie te dziwne rzeczy ustaną. Masz w sobie coś, co nazywamy darem, a jest

to nie mniej naturalne niżli umiejętność pięknego malowania czy wprawnego władania bronią. Na dowód tego powiem ci, że za chwilę poczujesz się wyczerpany, zupełnie jak gdybyś właśnie stoczył bitwę. W rzeczywistości naprawdę miało tu miejsce coś w rodzaju bitwy, tyle że rozegrała się ona w twym własnym umyśle. Pomożemy ci nauczyć się panować nad twym darem, tak aby już nigdy nie wydarzyło się nic podobnego. Nikt się na ciebie nie złości. . . słyzałeś, co mówiła Lady Tressa. . . i nikt cię za to nie ukarze. Takie rzeczy się zdarzają, i tutaj, w Valdemarze, doskonale to rozumiemy. Potrzebujemy ludzi takich jak ty, Tashirze; uczymy ich korzystać ze swych zdolności. To drobne zamieszanie nie wynikało z twojej winy i nikomu nie pozwolę czynić cię za nie odpowiedzialnym.

— Vanyel jest w porządku — odezwał się Jervis grubym głosem, klepiąc Vanyela po ramieniu, aż ten zachwiał się z lekka. — Jeśli twierdzi, że nic ci nie będzie, to znaczy, że taka jest prawda. On nie kłamie i dotrzymuje słowa.

Nie chcąc ryzykować zapuszczania myślodotyku w umyśle Tashira, Vanyel nie miał sposobu na zorientowanie się, co też chłopcu zaprzęta głowę. Był zatem zmuszony polegać jedynie na tym, co potrafił wychwycić jego zmysł empatii. I oto na podstawie odbieranych w takiż sposób bodźców Vanyel wyczuwał w sercu chłopca ogromne wątpliwości. . . ale i zaufanie do Jervisa, rosnące z każdą chwilą. Najwyraźniej Tashir, nieufny wobec innych, był skłonny polegać właśnie na fehmistrzu.

Na mgnienie rozbłysła w nim też malutka iskierka jakiegoś innego uczucia; ta zniknęła jednakże, nim jeszcze Vanyel zdążył odczytać jej sens. Było to dlań szczególnie zniechęcające, lecz nie chciał przecież po raz kolejny odstręczać Tashira od siebie. Pozwolił więc, aby jego władza nad chłopcem wygasła powoli, stopniowo, aż zniknie zupełnie. Tashir całkowicie wycieńczony osunął się na ścianę i zamknął oczy.

— Chodźmy, chłopcze. — Jervis postąpił krok naprzód i chwycił go pod ramię. Tashir przeniósł ciężar swego ciała ze ściany na Jervisa, na co Vanyel odczekał z ulgą. — Chodźmy z powrotem do twego pokoju, zgoda? Jeżeli to prawda, co powiada młody Van, czujesz się pewnie, jakbyś przebrnął właśnie przez kilka ostrych pojedynków, i to w obciążonej zbroi.

Tashir skinął potakująco, a Jervis, chwając się nieco pod jego ciężarem, wyprowadził go z komnaty.

Skoro tylko Tashir zniknął, napięcie w buduarze także jakoś się rozładowało, co każdy powitał na swój własny, odmienny sposób: Tressa i jej damy świergotały w kącie niczym stadko wzburzonych wróbli; Vanyel znalazł jakieś krzesło i opadł na nie, uprzedzając moment, kiedy nogi same odmówią mu posłuszeństwa; Withen zaś nagle przypomniał sobie o trzymanym w dłoni mieczu i szybko wsunął go do pochwy.

— To świetnie, że Tashir jest już pod opieką. Czy teraz któraś z was może mi wyjaśnić, co się tu stało? — zapytał Vanyel znużony.

Kobiety odwróciły się gwałtownie i wszystkie naraz wbiły weń swe wystraszone oczy. Nawet matka, wszystkie, wyjątkiem Melenny.

Ich lęk był dla Vanyela ciosem prosto w serce, poczuł nagły przypływ mdłości. Ta trwoga... Bogowie. Nigdy przedtem nie widziały, jak posługuję się magią. Opowieści pozostawały dla nich tylko... opowieściami. A teraz w jedną noc przenieśliem się do Highjournie i z powrotem, przywiodłem ze sobą małego czarownika... i jednym spojrzeniem zgasilem jego moc. Teraz stałem się Vanyelem Zmorą Demonów. Przestałem być zwykłym znajomym. Jestem teraz kimś, kogo nie spotykają na swej drodze kobiety takie jak one. Jestem istotą o mocy dla nich niepojętej, istotą siejącą strach.

Miał do wyboru zająć się tym od razu albo pozwolić, by sytuacja zaogniła się jeszcze bardziej. Zdecydował na korzyść heroldów. Zdecydował się zrezygnować ze swego ja, przestać być zwyczajnym Vanyelem i skryć się pod czymś na kształt skorupki, aby pozwolić magowi heroldów Vanyelowi wysunąć się na plan pierwszy.

— Moje panie, proszę — przemówił mag heroldów, łagodnie, z ujmującym uśmiechem; wlewając w wypowiedzane słowa cały swój czar. — To ważne dla was wszystkich, skoro mam zrozumieć, co wyprowadziło chłopca z równowagi. Idzie wszak o ustrzeżenie go od dalszych wypadków tego rodzaju.

Jedna czy dwie damy zachichotały nerwowo, pozostałe patrzyły nań szeroko rozwartymi, wylęknionymi oczami. W końcu jednak, po chwili, widząc, że uśmiech wciąż nie znika z jego ust, znać było, że i one uspokoiły się nieco.

Wtem serce podskoczyło Vanyelowi do gardła: na czoło grupki wysunęła się Melenna. Nie spodziewał się po niej szczególnego opanowania.

Ona jednakże zachowywała zaskakujący spokój.

— Lady Tressa znalazła tego młodego mężczyznę z Medrenem — powiedziała cicho, oczy miała spuszczone. — Bardzo była ciekawa, kto to... no cóż, tak naprawdę wszystkie byłyśmy ciekawe, a więc poleciła mu pójść razem z nią do buduaru i tutaj zaprezentować się jak należy. On nie chciał... no, tak przynajmniej mówił Medren, lecz Lady Tressa rozkazała mu, a więc jej posłuchał. Był bardzo grzeczny, ale nawet ja widziałam, że jest bardzo nieszczęśliwy, i im dłużej Tressa pytała o jego rodzinę — gdyż od razu nam powiedział, kim jest — tym robił się smutniejszy. Skoro tylko Tressa to zauważyła, bo to było wtedy, gdy to zauważyła... zupełnie tak, jak zauważa, gdy ty, wielmożny panie, jesteś nieszczęśliwy. Wtedy zaczyna niby to flirtować, a jednocześnie robi się bardzo opiekuńcza, jak matka. Wstała i ruszyła w jego stronę, żeby go uspokoić... on poderwał się, a razem z nim jedna z sof pomiędzy nim a Tressa. Po prostu podskoczyła jak wytresowany pies albo coś takiego. Lady Tressa niemal dostała ataku serca, krzyknęła, była tak zaskoczona... wtedy Tashir zrobił się zupełnie biały i wszystko w pokoju zaczęło fruwać.

Zamilkła na chwilę, a potem uniosła na Vanyela swe oczy: płochliwe, pozba-

wione zwykłej kokieterii.

— Jesteśmy okrutnie przerażone, wielmożny panie Vanyelu. To znaczy wiem, że ty i wielmożna pani Savil jesteście magami, i wam to wszystko może wydawać się zupełnie nieszkodliwe, ale... my nie widziałyśmy nigdy takich sztuk magicznych. Meble... zwyczajnie czegoś takiego nie powinny robić. Przez cały tydzień będę się czuła nieswojo, siedząc na krześle, i będę ciągle myślała, czy ono czasem nie wpadnie zaraz na pomysł, żeby sobie polatać.

Vanyel niemalże poczuł do niej sympatię — po raz pierwszy od wielu lat.

— Trudno by mi było cię za to winić. Wciąż zapominam, że większość z was nigdy nie widziała, jak... to robię.

Na dłoni wyciągniętej w stronę ręki Melenny rozpalił maleńkie magiczne światełko. Na tyle tylko pozwalały mu w tej chwili jego siły, na damach jednakże zjawisko to zrobiło wrażenie wprost nieproporcjonalne do swych rozmiarów. Rozpływały się w „ochach” i „achach”, ale żadna z nich nie zbliżyła się do niego.

— Wielmożny panie Vanyelu — odezwała się Melenna, przyciągając na powrót jego uwagę. — Jest coś, co naprawdę powinienesz wiedzieć. Nikt nikogo nie uderzył. Nikt nawet nie miał takiego zamiaru. Wtedy, gdy te okropne cherubiny rozprysnęły się na ścianie, też nikomu nic się nie stało. I trzeba ci wiedzieć, że przez to wszystko było jeszcze bardziej przerażające.

Vanyel skinął głową. Cały incydent utwierdził go tylko w przekonaniu, że chłopiec nie mógł być winny tamtej rzezi w Lineasie. Jeśli nie pamiętał, co się wydarzyło, niewykluczone, że to zgroza i strach zatarły tamte wspomnienia.

Lecz wkrótce zaczął dostrzegać również inne możliwości.

Ale to mogło zadziałać też w odwrotnym kierunku. Tashir rzeczywiście mógł to wszystko zrobić, co zresztą byłoby zgodne z relacją Loresa. I ponieważ z natury jest dobrym chłopcem, przejęty grozą swego czynu podświadomie nakazał swemu umysłowi zepchnąć wspomnienia tamtej nocy tak głęboko, że teraz w jego świadomości nie pozostał już po nich nawet ślad.

Zadrżał, nie wytrącając się z zadumy, i wyszedł z buduaru, ignorując odprawdzające go spojrzenia Tressy, jej dam i Melenny.

Ubrał się i posilił, wszystko w zamroczeniu pod wpływem zmęczenia i głębokich przemyśleń. Minęło już wiele godzin i dopiero wtedy nagle uzmysłowił sobie fakt tak przecież dlań oczywisty. Oto wydał bezbronnego, wrażliwego chłopca na pastwę kogoś, kto przecież kiedyś podniósł rękę na niego samego.

Tego by nie zrobił. Odważyłby się? Och, bogowie. Natychmiast, w stanie rosnącego zaalarmowania, ruszył na poszukiwanie Jervisa. Odnalazł go w zbrojowni, ćwiczącego z workiem treningowym. Gotów był własnoręcznie skrócić mu kark, gdyby tylko okazało się, że ten próbował znęcać się nad chłopcem.

Zaskoczę go. Nie ma pojęcia, jaki jestem wycieńczony. Jeśli od razu przystą-

pię do natarcia, nie będzie nawet miał czasu na zastanowienie.

Stając w rozkroku na wysypanej piaskiem drewnianej podłodze, przyjął agresywną postawę z ramionami splecionymi na piersiach.

— Jervisie! — zawołał, przekrzykując hałas miecza ćwiczebnego uderzającego o worek treningowy. Fechmistrz odwrócił się momentalnie i zdjął z głowy hełm. Musiał ćwiczyć już od dłuższego czasu. Kropelki potu perliły się na jego czole i kapały z koniuszków włosów.

— O co chodzi?

Vanyel nie drgnął.

— Mam do ciebie słówko. Nie wiem, co oznacza gra, którą ze mną prowadzisz, a w tej chwili nie mogę sobie pozwolić na ryzyko. Ostrzegam cię, jeśli tylko skrzywdzisz Medrena albo Tashira, będziesz miał do czynienia ze mną. Nie z heroldem Vanyelem, ale zwyczajnym Vanyelem Ashkevron. Teraz już wiesz, że mogę cię pokonać: o każdej porze i na każdym miejscu, przy użyciu magii lub bez niej. Nie zawaham się przed użyciem żadnej z dostępnych mi broni.

Jervis oblał się purpurą, odebrało mu mowę.

— Skrzywdzić ich? Ja? Za kogo ty mnie masz?

— Za człowieka, który złamał mi rękę, za Jervisa. Za człowieka, który w tym oto miejscu od tygodnia usiłuje mnie zastraszyć. Za człowieka, który nie potrafił nagiąć się do stylu walki chłopa... więc postanowił go złamać.

Jervis, czerwieniąc się ze złości, rzucił hełm. Ten pozostawił po sobie wgłębienie w podłodze i poturlał się dalej.

— A niech to, ty głupku! Czy nie rozumiesz, że o to właśnie mi chodziło? Usiłowałem się nauczyć twojego stylu... także ze względu na Medrena! Niech to piekło pochłonie! Nawet największy dureń by zauważył, że ten nieborak, Medren, pasuje do mojego stylu nie bardziej niż zbroja na konia!

Vanyel czuł się, jak gdyby ktoś wrzucił go do kadzi z lodowatą wodą. Zamrugał powiekami, rozluźnił nieco swą napiętą pozę i jeszcze raz zamrugał. Chyba muszę się przyzwyczaić, że coraz częściej będzie mi dane odnosić wrażenie, jak gdybym został wbity na pal — pomyślał, usiłując przywrócić swą dolną szczękę do naturalnego położenia. Nogi tak mu się trzęsły, że stracił już pewność, czy zdoła się dłużej na nich utrzymać.

Jervis oszczędził mu kłopotu. Wrzucił swój ekwipunek do skrzyni, sztywnym krokiem zbliżył się do Vanyela i wziął go pod ramię.

— Posłuchaj — zagadnął grubym głosem. — Jestem zmordowany, a w naszych stosunkach wiele spraw wymaga wyjaśnienia. Chodźmy się czegoś napić i załatwmy to wreszcie.

— Nie powinienem pić nie rozcieńczonego wina w stanie takiego przemęczenia — myślał Vanyel, z niejakim niepokojem spoglądając na prosty gliniany kubek,

który Jervis właśnie napełniał.

Ale wyglądało na to, że fehmistrz pomyślał o tym zawczasu.

— Proszę — powiedział i wyciągnawszy bochenek chleba, krążek sera oraz nóż z tej samej szafki, gdzie stało wino i kubki, pchnął wszystko po stole w stronę Vanyela. — Najpierw coś zjedz, bo inaczej będziesz bardzo żałował, że w ogóle piłeś. Żłobanie tego świństwa, jeśli się do niego nie przywykło, nie jest zbyt mądre, ale między nami coś zgrzyta, chłopcze, a ja bez pomocy wina nie wyduszę z siebie ani słowa na ten temat; nawet jeśli tobie tego nie potrzeba.

Nadal znajdowali się w zbrojowni, siedzieli teraz na jej tyłach, w małym pokoiku pełniącym po części rolę biura, po części małego warsztaciku naprawczego, a po części izby chorych. Vanyel siedział na łóżku, plecami opierając się o ścianę. Jervis zajmował jedyne w tym pomieszczeniu krzesło. Pomiedzy sobą, nieco z boku, mieli stół, z którego Jervis — prostym sposobem, zgarniając wszystko nogą wprost do pudła pod stołem — uprzętała przednio fragmenty uprzęży końskiej, jakiś naramiennik i najróżniejsze narzędzia.

Fehmistrz poszedł za własną radą. Ukroił sobie kawał chleba i sera i przed pierwszym, długim łykiem wina wepchnął je do ust. Vanyel uczynił to samo, lecz nieco wolniej. Przez dłuższą chwilę Jervis siedział zgarbiony, z łokciami wspartymi na kolanach, przypatrując się zawartości kubka w swych zgrabiących dłoniach.

— Zacznieś ty — spytał Vanyel zakłopotany sytuacją — czy ja mam mówić pierwszy?

— Ja. Twój ojciec... — zaczął Jervis i zakasłał. — Wiesz, że dużo mi zawdzięczam za przyjęcie mnie tutaj na stałe. Ach, wprawdzie przedtem to on miał u mnie dług, nic wielkiego, po prostu kiedyś miałem oko na to, co się dzieje za jego plecami. Ale nie przyszło mi nawet do głowy, że za to weźmie mnie tutaj na fehmistrza. Myślę sobie, że to chyba znów uczyniło mnie jego dłużnikiem. Przez jakiś czas wszystko szło jak należy, chociaż niełatwo było robić wojowników z chłopaków, którzy nadawali się jedynie do pługów, albo uczyć fechtunku którychś tam w kolejności synów, którzy nie umieliby znaleźć końca włóczni nawet z mapą. Twój dziadek uważał, że najlepiej wynajmować wojów, jeśli się ich potrzebuje. Ale twój ojciec... on sobie wymyślił, że najlepiej jest wyszkolić własne siły, i dlatego mnie tu trzymał. Bogowie. Te wiejskie chłopaki, te dzieci — kompletna beznadzieja. O, nie, nie było lekko. Ale uczyłem ich, uczyłem... aż tu pojawia się ty, pierworodny, a Withen domaga się spłaty długu.

Fehmistrz westchnął i wierzchem dłoni przetarł czoło. Potem obrzucił Vanyela badawczym spojrzeniem, wziął następny łyk wina i dopiero wówczas podjął swą opowieść na nowo.

— Teraz cię to chyba nie zdziwi, jak ci powiem, że twój ojciec domyślił się, że jesteś... jak to teraz mówią... *shayn!*... Tak, czuł to od momentu, kiedy opuściłeś pokój dziecinny. Czasem bardziej przypominałeś dziewczynkę niż chłopca... to go dotykało do żywego. Ciągle byłeś z Liss, unikałeś innych wychowanków...

a potem znowu zacząłeś z tą muzyką i wtedy, o bogowie, nie miał już żadnych wątpliwości. Wykalkulował sobie, że cię wyleczy, jeśli tylko nigdy się nie dowiesz, że w ogóle taka rzecz istnieje, i upatrzył sobie kogoś, kto miał cię sprowadzić na dobrą drogę. Tym kimś miałem być ja.

Uderzył się sękatym kciukiem w pierś i parsknął.

— Ja! Rogi Kernosa! „Zrób z tego chłopaka mężczyznę!”, powiedział i dzień w dzień dopytywał się, jak się poprawiasz. Już przedtem byłem pod presją, ale, do diabła, ta sytuacja nawet z anioła wycisnęłaby siódme poty. Byłem temu człowiekowi coś winien, więc co miałem zrobić? Powiedzieć mu, że nigdy nie widziałem, żeby garbowanie skóry odmieniło dziecko, jeśli natura urobiła je tak, a nie inaczej? Powiedzieć mu, że nie jeden i nie dwóch spośród wojów, których najmował jego ojciec, żyło ze sobą; że wyglądali jak ja, a walczyli jak demony z piekła rodem?

— Mogłeś spróbować. . .

Jervis warknął cicho.

— I stracić posiadę? Myślisz, że wszędzie tylko czekają, żeby zatrudnić starych najemników? Byłem zupełnie zdesperowany, chłopcze! Co, u diabła, miałem robić?

Vanyel zacisnął zęby, tłamsząc w sobie oburzenie.

— Nie wiedziałem — rzekł w końcu. — Nawet mi to nie przemknęło przez myśl.

Na twarzy Jervisa pojawił się grymas.

— Bo nie miałeś nic wiedzieć, chłopcze. No cóż, mój styl walki pasował do ciebie, biedaku, nie lepiej jak wymiona do byczka. Tak jak teraz do Medrena.

— Skoro o tym wiedziałeś. . . — Vanyel powstrzymał się od wyrażenia protestu.

— Tak, wiedziałem. Ale po prostu nie potrafiłem się do tego przyznać. W dodatku byłeś tak uparty, że nawet nie chciałeś się przyłożyć do ćwiczeń. Nie wiedziałem, co, u diabła, mam robić! Miałem wrażenie, że lada chwila eksploduję, tak mi działałeś na nerwy, a twój stary naskakiwał na mnie, kiedy tylko znalazłem się w zasięgu jego wzroku. . . i jak gdyby tego było mało, zacząłem śnić o tobie koszmary.

— Koszmary? — zdziwił się Vanyel. Wiedział, że w jego głosie słychać niedowierzanie, ale w istocie nie wierzył.

— O, tak, koszmary — bronił się Jervis. — Do licha, jak się mieszka na pograniczu, prędzej czy później trudno uniknąć walki. A ty miałeś wszelkie szansę na to, żeby cię wypchnęli na pole bitwy, mimo że o tym, jak utrzymać się przy życiu, wiedziałeś nie więcej niż bezbronny motyl. Zastanów się tylko, byłeś bystry. . . pierwszy syn, rzecz jasna, spodziewałem się, że pewnego pięknego dnia znajdziesz się na pierwszej linii i ledwie to się stanie, padniesz trupem. Do diabła, ja nie mam w zwyczaju wypuszczać dzieciaka z rąk po to tylko, żeby je ktoś

ukatrupił!

Twarz mu się wykrzywiła i ramiona zadrżały przez moment, jednym haustem wychylił kubek wina. Vanyel nie przypuszczał, że pod tą kamienną maską oblicza Jervisa odnajdzie kiedyś tyle bólu co teraz. Pewnie gdzieś, kiedyś Jervis w istocie posłał na pole walki nie przygotowanego „dzieciaka”... który zginął... a rana w jego sercu wciąż jeszcze się nie zagoiła. Gniew Vanyela jał powoli wygasnąć.

— Byłeś na najlepszej drodze do takiej śmierci, chłopcze, a ja po prostu nie wiedziałem, jak temu zapobiec. O, jakże ty mnie wściekłeś; na dodatek twój ojciec trochę za bardzo popuścił mi cugli. Powiedział, że daje mi wolną rękę. I wtedy ja... zupełnie straciłem głowę. Poszedłem za ciosem i całą złość wyładowałem na twojej skórze.

Potrząsnął głową ze wzrokiem wbitym w podłogę. Gdy chwycił opróżniony kubek, ręce zadrżały mu lekko.

— Straciłem panowanie nad sobą, chłopcze. Nie jestem z siebie dumny. Powinienem wiedzieć, że źle robię, ale każdy twój jęk rozsierdził mnie jeszcze bardziej. Byłem w błędzie, wielkim błędzie, próbując narzucić ci cokolwiek siłą. Wiedziałem o tym i to też mnie wściekało. A potem zadałeś mi ten ostatni cios — to był już koniec. Zastanawiałeś się kiedyś, co wtedy zrobiłeś?

— Nigdy nie przestałem się nad tym zastanawiać — odparł Vanyel, wychyliwszy połowę zawartości swego kubka. Wino nie mogło zatrzeć wspomnień palących teraz jego podniebienie bardziej niżli ten tani czerwony trunek.

Zatopił srogie spojrzenie w oczach Jervisa.

— Nienawidziłem cię — przyznał gniewnie. — Gdybym tamtego dnia miał w rękach prawdziwy miecz, chyba poderżnąłbym ci gardło. — Cała gorycz, jaką czuł wówczas i potem, zebrała mu się w przełyku niczym żółć. Walczył z zaciskającą mu się na gardle obręczą, chcąc wypowiedzieć to jedno pytanie, które nigdy nie doczekało się odpowiedzi, choć dręczyło go z górą dekadę.

— Dlaczego, Jervisie, dlaczego? — wykrztusił przez zaciśnięte zęby. — Skoro wiedziałeś, co robię, dlaczego skłamałeś, mówiąc mojemu ojcu, że oszukiwałem?

Zapadła cisza. Jervis patrzył na niego wzrokiem, w którym złość mieszała się ze wstydem. I wstyd właśnie wziął teraz górę.

— Bo nie potrafiłem się przyznać do pomyłki — odparł Jervis przygaszony, oblewając się purpurowym rumieńcem. — Bo nie potrafiłem przyznać się do tego ani przed sobą, ani przed nikim innym. Nie mogłem dać wiary, że dziecko umiało znaleźć rozwiązanie, którego ja szukałem bezskutecznie. Więc powiedziałem Withenowi, że oszukiwałeś. Sam nieomal w to uwierzyłem. Nie mogłem pojąć, jak inaczej byłbyś w stanie mnie w ogóle dotknąć. Ale miałem sporo czasu na przemyślenie tego wszystkiego. Minęły lata, odkąd wyjechałeś, i okazało się, że jesteś heroldem i wiadomo było, że ktoś taki nie mógł oszukiwać. Później dotarło do mnie, że przecież na kłamstwie też nigdy cię nie przyłapałem. Wtedy pojąłem, że jedyne kłamstwa, jakie tu padły, wyszły z moich ust. I dopiero kiedy zacząłem

sobie uświadamiać prawdę, zobaczyłem, jak niewiele brakowało, żebym tamtego dnia przetrącił ci nie tylko ramię.

Zwiesił głowę, nie chciał patrzeć na Vanyela. Vanyel zaś uczył, jak złość i gorzycz spływają po nim niby woda z topniejącej bryły lodu.

— Chłopcze, myliłem się i bardzo mi z tego powodu przykro — powiedział cicho Jervis. — Jakiś czas temu oznajmiłem Withenowi prawdę. To było wtedy, kiedy wystali cię na granicę karsycką. Powiedziałem mu wszystko to, co teraz mówię tobie. On nie wiedział, na co cię posyłają, ale ja wiedziałem. Do diabła, gdyby coś się stało, a ja bym mu tego nie wyznał. . .

Wzdrygnął się.

— Opowiedziałem mu jeszcze więcej, najlepiej jak potrafiłem. Powiedziałem mu, że ma chłopaka na schwał i że było tu wielu wojaków, którzy ze sobą żyli, a kiedy byliśmy na polu bitwy, cieszyłem się, że mam ich za sobą; tacy, którym powierzyłbym ostatni grosz, a nawet i mojego własnego pierworodnego. I powiedziałem mu, że było tu też równie wielu chłopaków, co gustowali w dziewczkach ulicznych, a których chętnie własnoręcznie powiesiłbym na suchej gałęzi. Powiedziałem mu, że jeśli dalej będzie pozwalał, żeby ta sprawa stała między wami, to będzie większym głupcem ode mnie. Zrobiłem dla ciebie, co tylko mogłem, chłopcze. I mam zamiar się tego trzymać. Pomyślałem sobie, że jak mu dość nagadam, to może w końcu zacznie mi wierzyć. I jeszcze, Van. . . piekielnie mi przykro, że uświadomienie sobie własnego błędu zajęło mi tak dużo czasu.

Zapadła martwa cisza. Vanyel czekał, aż jego myśli i uczucia same ułożą się w jakąś sensowną całość. Jervis milczał niczym kamienny posąg, którego oczy na wieczność zostały utkwione w podłódze. Nawet świerszcz grający gdzieś w sali przerwał swą muzykę i uszu Vanyela dobiegł stukot kopyt oraz przytłumione i słabe, surowe okrzyki komend. To Tam uczył przed stajnią biegania na łązy jednego z młodych ogierów.

Wreszcie z całej burzy targających Vanyelem emocji wykrystalizowało się zupełnie nowe uczucie.

Wyjął kubek z bezwładnych palców Jervisa i napełnił go. Zamiast jednak podać mu go z powrotem, wyciągnął do fehmistrza swą dłoń.

Ten uniósł nań swój zdumiony wzrok — a był to bodaj pierwszy wypadek, kiedy Vanyel w ogóle widział go zaskoczonego — i twarz rozjaśnił mu uśmiech, zrazu nieśmiały, szybko jednak napełniający się szczerym uczuciem.

Ujął dłoń Vanyela w obie ręce i przełknął ślinę.

— Dziękuję ci, chłopcze — wyrzekł chrapliwym głosem. — Nie byłem pewny, czy ty. . . jesteś lepszym człowiekiem niż. . . och, do diabła. . .

Vanyel wrzucił ramionami i wręczył Jervisowi jego napełniony na nowo kubek.

— Zawrzyjmy rozejm. Byłem dzieciuchem, a gdybyś nie zrobił tego, co zrobiłeś, nie zostałbym heroldem. — I nigdy nie spotkałbym Lendela.

— Posłuchaj — odezwał się Jervis, odchrząknawszy. — Co do Medrena... ten chłopak nie ma tu żadnej przyszłości, ślepiec by to zauważył. Pomiedzy tymi wszystkimi ślubnymi synami... nie sędzę, żeby mógł się tutaj czuć lepiej niż czyjś wyrobnik. Pomyślałem sobie, że jedyna szansa dla niego to zostać najemnym żołnierzem, takim jakim byłem ja. Wielki Kernos wie, że chłopak jest wystarczająco bystry, aby w mig zostać oficerem. Więc do tego usiłowałem go przygotować.

— Ale była też muzyka.

— Tak, jego drugą szansą mogła być muzyka. Słyszałem, jak gra. Wszystko pięknie, tylko co ja, u diabła, wiem o muzyce? Nic. Ale wkalkulowałem sobie, patrząc, czego cię nauczyli w Przystani, że przy jego refleksie, sprycie i sprawności mogę z niego zrobić dobrego wojownika. Staralem się... do diabła, gdybym się nie starał... Ale nie widziałem żadnych efektów i... a niech to, Van, nienawidzę robić z niego worka treningowego, ale wychodziło na to, że tylko taką drogą mogę do czegoś dojść. Tyle że — Jervis uniósł w górę swój guzowaty palec wskazujący — ze względu na to, że chłopak jest dobry w tym brzdąkaniu, za bardzo się pieściłem z jego rękami. Za bardzo.

Vanyel poczuł ból w ręce, postawił więc kubek, aby rozetrzeć ją trochę.

— Nigdy nie odzyskałem pełni władzy w tej ręce — powiedział, wciąż rozgorączkowany, wciąż jeszcze czując tłące się gdzieś w sercu cierpienie, które tak pielegnował w sobie przez te wszystkie lata.

— Gdyby wszystko nie potoczyło się tak, jak się potoczyło... nawet zachowując ostrożność, mogłeś go skrzywdzić i zrujnować jego szansę na oddanie się muzyce.

Jervis wyraźnie miał już na końcu języka jakąś ciętą replikę, lecz w obliczu złości Vanyela pohamował się od wypowiedzenia jej i odwrócił wzrok.

— Co się stało, to się nie odstanie, chłopcze — powiedział po chwili niezręcznego milczenia. — Nikt nie może tego odwrócić. Ale ja mogę przynajmniej powstrzymać się od powtórzenia tego samego błędu. I próbowałem to robić, Przy sięgam, że próbowałem.

Vanyel powściągnął złość.

Jervis wziął łyk wina.

— A tak między nami, powiedz prawdę, byłeś wtedy dobrym muzykiem? Czy ja...

— Nie — szczerze wyznał Vanyel. — Brakowało mi daru. I choć trochę to trwało, w końcu znalazłem sposób na wyrównanie skutków braku czucia w palcach. Tak naprawdę niczego mnie nie pozbawiłeś.

Ramiona Jervisa obwisły rozluźnione.

— A co z bękartem? To znaczy z Medrenem.

— Sponsoruję jego naukę w Kolegium Bardów. Jest lepszy niż ja byłem jako piętnastolatek, i ma dar bardów. — Vanyel skinął potakująco na widok Jervisa

biorącego głęboki haust powietrza. — W rzeczy samej, będzie z niego prawdziwy bard.

Nagle, niespodziewanie, ożyło w nim wspomnienie widoku Medrena i jego posiniaczonego ciała. Niektóre z tych siniaków istotnie robiły groźne wrażenie, ale jednak nie towarzyszyło im ani żadne złamanie, ani nawet zwichnięcie stawu. Nie wyglądały gorzej niżli te, które dawno temu widywał u swych braci i kuzynów. Gdy Jervis nadal patrzył nań spod oka, jął nieco dokładniej analizować to wspomnienie. W końcu jego twarz rozpromienił uśmiech.

— Dopiero teraz to do mnie dotarło: Medren ma dar. Zręcznie mną manipulował ten mały diabełek, robiąc użytek ze swych zdolności. Wcale nieźle mu się to udawało, nawet bez nauki. Biorąc to pod uwagę, muszę powiedzieć, że bardem będzie wybitnym, ale chyba powinienem uciąć sobie z nim pogawędkę na temat etyki!

Jervis zaśmiał się.

— Nie sędzę, żeby było to potrzebne. Na pewno sam wie, że nie powinien był tak postępować. On też należy do tych, co są z gruntu dobrzy. I powiem ci jeszcze jedno. Nawet nie znając żadnego konkretnego stylu, Medren umie sobie radzić z mieczem!

Vanyel ukroił dla nich obu po pajdzie chleba i kawałku sera, a potem sięgnął po butelkę, aby napełnić kubki. Oparł się o ścianę z uczuciem, jak gdyby od dawna jątrząca się rana w jego sercu zaczynała się właśnie goić. Nie lubił Jervisa. W każdym razie jeszcze go nie lubił. Zaczynał jednakże rozumieć, dlaczego Jervis uczynił to, co uczynił, i zaczynał odczuwać szacunek dla odwagi, która pozwoliła fechtistrzowi zdobyć się na wyznanie, nieco spóźnione, że jednak się mylił.

— Wiesz — rzekł Vanyel powoli — Medren będzie się uczył fechtunku równocześnie z muzyką. Od czasu do czasu, w nieprzyjaznej okolicy nawet bardom zdarza się stawać do walki. Pełnią służbę dla Valdemaru tak samo jak heroldowie, dlatego sprawność we władaniu mieczem żadnemu z nich nie może zaszkodzić. Do licha, powinieneś był widzieć barda Chadrana w kwiecie wieku. Mógłby się zmierzyć z nami dwoma naraz!

Jervis popatrzył na niego z zainteresowaniem.

— Chadran.. czy to nie ten, który miał rzekomo zostać złapany przez bandytów, zdobyć ich zaufanie, a potem uciec z niewoli z garstką innych więźniów?

— Ten sam, z tą różnicą, że wypełniał podówczas misję z polecenia Elspeth.

Gdy Vanyel skończył relacjonować tę historię, a butelka była już opróżniona do połowy, Jervisowi udało się wreszcie wydobyć zeń opowieść o Łowcy Cieni. Rzadko kto znał prawdę o tamtych wydarzeniach. Trzeba było połowy butelki wina, aby Vanyel był zdolny stawić czoło bolesnym wspomnieniom.

Zanim jednak i ta opowieść dobiegła końca, a w butelce nie została ani kropla, Vanyel doszedł do wniosku, że znalazł właśnie sprzymierzeńca, na którym może polegać. A gdy podnosił się do wyjścia po ostatnich słowach Jervisa, miał już tego

zupełną pewność.

— Nigdy dotąd nie rozumiałem heroldów — przyznał fechtmistrz. — Nigdy nie mogłem pojąć, o co w tym wszystkim chodzi. Nie miałem zielonego pojęcia, co wy tak naprawdę robicie; aż do czasu kiedy zaczęły się rozchodzić różne opowieści o tobie. Przedtem nie przywiązywałem nawet wagi do tego, kto to taki bohater, i dopiero potem zauważyłem, że większość bohaterów, o których w Valdemarze śpiewa się pieśni, to nikt inny tylko właśnie heroldowie. I zauważyłem jeszcze coś. W opowiadanych przez te pieśni historiach większość z nich wpada w takie tarapaty, że ledwo uchodzą z życiem. Tobie chyba nie raz i nie dwa kostucha zaglądała do oczu, co?

Vanyel pokiwał głową w zadumie, rozciągając obolałe mięśnie.

— Najczęściej skutkiem głupoty. Jervis parsknął.

— A niech to. Chyba nie większej niż samo szukanie guza. Dobrze, więc powiedz mi... najemnik taki jak ja idzie na wojnę dla pieniędzy, wie, za ile się sprzedał, i wie, że się z tego wyrwie, pod warunkiem że uda mu się przeżyć. I tylko tyle z siebie daje, za ile mu zapłacono, ani krzty więcej. Ale wy, heroldowie? Co z tego macie? To znaczy, spójrz tylko na siebie. Prawie wyprułeś z siebie flaki, zrobiłeś coś, czego nie zrobiłby żaden najemnik. I w takim stanie przyjechałeś tutaj. Po co ci to?

Vanyel potrząsnął głową.

— Trudno to rozgryźć. To przede wszystkim rodzaj uczucia. Coś jak powołanie do stanu duchownego. — Wejrzał w siebie, poszukując odpowiedzi, nad którą nie zastanawiał się, odkąd uświadomił sobie, co takiego sprawiało, że Tylendel czuł tak głęboką potrzebę bycia heroldem. — Robię to, ponieważ muszę. Ponieważ jestem potrzebny. Nie ma nikogo... to nie przechwałki, Jervisie, możesz zapytać Savil... nie ma nikogo w całym królestwie, kto potrafiłby to, co potrafię ja. Nie mogę tego rzucić, nie mogę po prostu umyć rąk i powiedzieć sobie, że ktoś inny weźmie na siebie moje obowiązki, bo kogoś takiego zwyczajnie nie ma. Zbyt wielu ludzi potrzebuje mojej pomocy. Ponieważ władam aż tak wielką mocą, mam obowiązek robić z niej użytek. Jestem samotnym strażnikiem przy wielkiej bramie... nie ważyłbym się tego rzucić, bo za mną nie idzie nikt, kto mógłby dokończyć, co ja zacząłem.

Twarz Jervisa zastygła w zupełnym bezruchu. Vanyel pomyślał, że chciałby wiedzieć, co też temu staremu wydze chodzi po głowie.

— Nikt? — zdziwił się Jervis.

Vanyel odgarnął włosy spadające mu oczy.

— Nikt — powtórzył jak echo, patrząc w dal. — Nie mam wyboru. Albo będę nadal robił to samo, albo moja bezczynność skaze innych na śmierć. Czasem nawet wielu, także tych, których kocham.

Oczy Jervisa nabrały głębi, odbiła się w nich zaduma. Vanyel czuł je na ple-

cach, gdy wychodził, kierując się w stronę łaźni.

Z drzemki, którą choć po części miał nadrobić nie przespane z powodu Melenny noce, wyrwało Vanyela delikatne pukanie do drzwi. Kolejne próby przespania się spełzały na razie na niczym. Wciąż był zbyt spięty, wciąż jego umysł pracował zbyt intensywnie. Ziewnął, a potem uśmiechnął się szelmowsko, rozpoznając zaśląkaną wiązkę myśli Medrena. A więc wyleczyliśmy się już z ospy, hm? A teraz czeka nas chwilka szczeroci z wujkiem Vanyelem. Albo raczej, choć tego jeszcze nie wie, heroldem Vanyelem.

— Wejdz — powiedział, siadając na łóżku; przeciągnął się, a potem zsunął nogi na podłogę.

— Vanyelu? — Medren przeczłapał przez pokój i opadł na siedzisko w niszy okiennej. — Mogę się tu schować? Właśnie się dowiedziałem od małego Mekeala, że Jervis zamierza dziś po południu przeprowadzić jakąś „specjalną prezentację”. Sam wiesz, co to znaczy. — Chłopiec wzdrygnął się. — Jeśli potrzeba worka treningowego, to nie ma jak stary, dobry Medren.

— Wprost przeciwnie, tym razem nie możesz się tu ukryć — uśmiechnął się chytrze Vanyel — To znaczy, że Jeśli potrzeba worka treningowego, to nie majak stary, dobry Radevel”. Demonstrowałem Radevelowi mój styl walki i teraz on ma zamiar pokazać Jervisowi, czego się nauczył. Potem ty i Radevel stoczycie ze sobą pojedynek pod moim okiem, tak aby Jervis mógł się dobrze wszystkiemu przyjrzeć. Powiada, że chce poznać mój styl, bo „prędzej czy później dostanie mu się następne takie chucherko” jak ja albo ty. W tym tygodniu będziesz też miał okazję zmierzyć się z kimś jeszcze. Otóż gdy tylko odzyskam siły, poćwiczmy sobie razem, ty i ja. Zobaczysz, przegonię cię porządnie po całej sali treningowej. Tymczasem jednakże sprawdzimy, co jest wart nasz Tashir.

Usta chłopca otworzyły się w zdumieniu, a Vanyel bezlitośnie ciągnął dalej:

— To dla twojego dobra. W skład zajęć w Kolegium Bardów, poza nauką muzyki, wchodzi również lekcje fechtunku i dlatego chciałem, abyś zdążył się do nich przygotować najlepiej jak to tylko możliwe. Powszechnie wiadomo, że służba rzuca czasem barda w niebezpieczne okolice, a Krąg Bardów nie może sobie pozwolić na zapewnianie każdemu ze swych członków eskorty, która chroniłaby go przed popadnięciem w tarapaty.

Usta chłopca zaczęły się poruszać, ale przez chwilę nie wydobywał się z nich żaden głos.

— Ach... — powiedział w końcu cicho. — Ja... ach...

— Medrenie, muszę ci zadać bardzo poważne pytanie. — Vanyel pozwolił, by uśmiech w jego oczach i twarzy wygasł, a potem stanął nad chłopcem. — Gdy zabiegałeś o moje współczucie, co jeszcze robiłeś? Tylko mi nie mów, że nic. Obaj doskonale wiemy, że to nieprawda.

— Ja... — wykrztusił chłopiec i opuścił oczy. — Staralem się wzbudzić twoją litość. To dlatego tak... grałem, kiedy z tobą rozmawiałem, i śpiewałem, choć nie śpiewałem. Pod pretekstem uczenia się muzyki, robiłem coś innego. Ja... czułem się jak wtedy, gdy poddaje się urokowi jakiejś piosenki. Jakbym coś wielkiego mówił, tylko że własnym sercem.

— Zastanawiałeś się kiedyś nad tym, czy to dobry pomysł? — rzekł Vanyel matowym głosem.

— Nie. Raczej nie. — Nastąpiła długa chwila milczenia, Medren zwiesił głowę. — To nie jest dobry pomysł, prawda? — zapytał wreszcie, bardzo cichym i bardzo pokornym głosem. — Robiłem coś, czego robić nie powinienem. Chyba... zachowywałem się jak mały okrutnik, który znęca się nad rówieśnikami tylko dlatego, że jest od nich większy, prawda?

Vanyel przytaknął skinieniem głowy. Jego ramiona rozluźniły się z napływem uczucia ulgi. Dobrze. Teraz już wie. Sam to dostrzegł. Będą z niego ludzie. Mówił jednak nadal szorstkim głosem:

— Tak, to zły pomysł. I jeśli zrobisz coś takiego w Bardicum, twoi nauczyciele poproszą heroldów, aby zablokowali twój dar, i od razu cię wydalą. Bo ta umiejętność budzenia w ludziach uczuć przez muzykę, to właśnie twój dar. I możesz go używać tylko w trzech wypadkach: gdy grasz, gdy wspierasz kogoś, kto potrzebuje twej pomocy, oraz wypełniając rozkazy króla.

— Tak, panie — wyszeptał Medren. Gdy usłyszał, co mówił Vanyel o tym, że mogą go pozbawić daru i wyrzucić z Kolegium, wtulił głowę w ramiona. — Tak, panie. Będę o tym pamiętał.

— Lepiej, aby tak było. Daję ci jeszcze jedną szansę. A teraz chodźmy, chłopcze — rzekł Vanyel w przypływie nowej radości, a potem pogonił Medrena, by wstał, i kładąc mu rękę na karku, skierował go w stronę drzwi. — Czas, abys pokazał tym wieśniakom, twoim kuzynom, jak włada mieczem prawdziwy wojownik.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po ćwiczeniach wrócili do jego pokoju. Van myślał o tym, aby dać Medrenowi jeszcze jedną lekcję muzyki; jednak, mimo że wcale nie włączał się do walki, ledwie wydał chłopcu instrukcje dotyczące jego ruchów, zdał sobie sprawę, że jest zupełnie wycieńczony — a było to na długo przed zakończeniem ćwiczeń.

Ale Medren nie był głuptasem, sam dobrze widział, że Vanyel opada z sił. Zaproponował więc, aby odłożyć lekcję na kiedy indziej, a nawet zaofiarował się polecić służbie, aby kolację przyniesiono mu do pokoju.

Vanyel przyjął obydwie propozycje. Pochłonał posiłek, skoro tylko służący mu go przyniósł, a potem z jękiem rzucił się na łóżko twarzą w dół. Jakimś cudem, pomimo całego zamieszania w buduarze Tressy, podczas jego nieobecności ktoś pościelił mu łóżko. Małoletni heroldowie demolują całe komnaty, dorośli heroldowie wznoszą magiczne bramy, a potem rzucają się przez nie na wpeł żywi, nad granicą wisi groźba wojny, a tymczasem łóżka jakoś zawsze są podścielane. Co za świat.

Zaczął zastanawiać się nad tym, jak spędziłby ten dzień, gdyby Tashir nie wpadł w szal, i uzmysłowił sobie nagle, że nie rozmawiał jeszcze z Yfandes. Prawdopodobnie wiedziała już co się dzieje; z pewnością wiedziała. Od momentu kiedy Vanyel po raz pierwszy pogodził się z myślą o tym, że ma zostać heroldem, Yfandes wyrobiła w sobie nawyk — podsycany zresztą przez jego zachęty — podsłuchiwania możliwie wszystkiego, co dociera do zmysłów jej Wybranego. Była niczym niemy obserwator pozostający zawsze gdzieś w zakamarku jego głowy. Vanyel nie miał absolutnie nic przeciwko temu, by służyć jej swymi oczami i uszami — oszczędzało mu to wielu wyjaśnień. Gdy zaś w jakiejś sytuacji nie życzył sobie jej „obecności” w swych myślach, zwykł jej to mówić wprost. Tym bardziej wielką nieuprzejmością z jego strony było nieodezwwanie się do niej ani słówkiem, choćby nawet miało to być tylko powitanie.

Yfandes! — zawołał niepewnie. — Przepraszam... byłem pochłonięty tym wszystkim, a potem padłem na nos... a jeszcze potem musiałem złożyć wizytę... a na końcu sam miałem gościa.

Yfandes zaśmiała się.

Widziałam. Twe winy są ci odpuszczone.

Masz coś dla mnie? Przepraszam, że musiałaś biec całą tę drogę do domu, zamiast popędzić na skróty.

Nie gniewam się. O dziwo — odparła ożywiona — mam coś dla ciebie. Najjaśniejsi bogowie, pozwól, że zwrócę uwagę, iż niełatwo było uzyskać taką informację. Wcale nie jest mi przykro z powodu chwilowej rozłąki z tobą. Bardzo się cieszę, że nim zakończyłeś wznoszenie Bramy, byłeś już bardzo daleko. I tak wystarczająco mocno odczulałam twoje cierpienie. — Miłość w płynącej od niej myśli złagodziła słowa. — Ten młody ogier, nazywam go „Duch”, bo straszy tutaj jak najprawdziwsza zjawia, nigdy nie zbliża się na tyle, aby można go było dotknąć, i bez przerwy sieje grozę wśród chłopów. Jest już dość blisko powiązany z umysłem swego Wybranego. Porozumiewam się z nim, lecz tylko na odległość. Większa część jego uwagi skupiona jest zawsze na Tashirze. Udaje mi się jednakże łączyć się z jego umysłem przy pomocy myślodotyku, czego nie możesz zrobić ty z jego Wybranym. U Ducha dotknięcie umysłu nie budzi lęku. Dzięki temu, z powodu bardzo silnej więzi pomiędzy nim a chłopcem, mogę czasem odbierać różne bodźce, zupełnie tak jak gdybym porozumiewała się z Tashirem. — W tonie jej myśli pojawił się cień zakłopotania — Chłopiec jest niezupełnie zrównoważony, a jego umysł wrażliwy i niestabilny. Dręczą go potworne myśli, które boi się wyjawiać i które stara się nawet odseparować od swych zwykłych myśli. Mimo to jednak Duch może mu pomóc odzyskać równowagę, pod warunkiem że w ogóle jest to możliwe. Ten ogier ma w sobie coś z uzdrowiciela umysłów.

Vanyel poderwał się i usiadł wyprężony jak struna.

Uzdrowiciela umysłów? Towarzysz? Ależ...

To się zdarza, od czasu do czasu — przerwała mu Yfandes, a z tonu jej myśli wyczytał, że mówi o tym bardzo niechętnie. — To się zdarza, gdy zachodzi taka potrzeba... Postępuj, byłam akurat w kontakcie z tym ogierem, kiedy chłopak urządzał to widowisko w buduarze Tressy. Widziałam to, co tobie tylko mignęło przed oczami. Proszę bardzo.

I przesłała mu emocje wraz z obrazem. Było to uczucie dogłębnej ufności i wyobrażenie starszego mężczyzny, bardzo podobnego do Jervisa, również odzianego w zbroję treningową.

Podobieństwo do Jervisa może być kluczem do wszystkiego — zamyślił się Vanyel, kładąc się z powrotem na łóżku i podkładając ręce pod głowę. — Czy ten mężczyzna mógł być fechmistrzem Deverana?

Tego powiedzieć nie potrafię; to wszystkie informacje, jakie udało mi się zdobyć — odparła. — Sądzę, że Tashir znajduje się wciąż pod zbyt silnym wpływem szoku, aby zadawać mu jakiegokolwiek pytania. On... - Wysmyknęła się na moment z połączenia z Vanyelem, ale po chwili znów była z powrotem: — ... czuje się już lepiej, pewniej i jest przy nim Jervis. Jedzą kolację w Wielkim Refektarzu; ze służbą jednak, nie rodziną. Ale nie przeszkadzałabym mu.

Vanyel wzdrygnął się na samą myśl o tym.

Nawet gdybym chciał, nie mam sił do zajmowania się nim teraz, moja kochana — wyznał, czując ból w każdym stawie. — Nie jestem pewien, czy zdołałbym zapanować nad nim po raz wtóry. Ledwo zipię. To już powoli zamienia się w nawyk, którego wolałbym uniknąć.

Zatem odpoczywaj. To wszystko nie rozstrzygnie się w jednym dniu.

Twarz Vanyela wykrzywił niemy grymas.

Wiem. Mówiłem już Savil, że mam więcej pytań niż odpowiedzi. Na przykład: dlaczego Highjourne i sam pałac wybudowano właśnie w tym, a nie innym, miejscu? Nie wierzę, że zadecydował o tym przypadek. Dlaczego ludzie w Lineasie tak bardzo są przeciwni magii, a mimo to nie mają żadnych praw zakazujących posługiwania się nią? Dokąd Deveran chciał posłać Tashira i dlaczego polecenie to zdjęło Tashira aż taką zgrozę, że na oczach wszystkich przeciwstawił się ojcu? I dlaczego ten chłopiec czuje aż taki lęk przed kobietami, że gromadka z buduaru zdołała przywieść go do granic hysterii? — Vanyel wzruszył ramionami w myślach. — Wiem, że niektóre z tych pytań brzmią trywialnie, a jednak wszystko to jakoś się ze sobą wiąże; tylko jak. . .

Odpoczywaj — powtórzyła Yfandes. A po chwili dorzuciła figlarnie: — Przynajmniej jednej rzeczy nie musisz się już obawiać.

To znaczy?

Gości w twym łóżku. Podejrzewam, że tak przestraszyłeś Melennę, iż zaczęła już wyobrażać sobie różne rzeczy, które mógłbyś jej zrobić.

Na przykład?

Wyrzucić ją nagą przez okno.

Vanyel zaśmiał się głośno i postanowił zostać w swej sypialni. W tej chwili wszystkim, czego sobie życzył, była odrobina spokoju i samotności. . .

Trzy dni bez przytomności pomogły mi chyba nadrobić nieprzespane noce — pomyślał po wielogodzinnym zmaganiu się ze snem, który uparcie nie chciał przyjść. Był już chyba środek nocy. W końcu poddał się i przeniósł na siedzisko w niszy okiennej. Zwyczajnym sposobem — odpalając knot od węgla na kominku — zapalił świecę i znalazł sobie jakąś książkę. Było to dzieło historyczne, które w normalnych okolicznościach wydałoby mu się zapewne niezwykle fascynujące. Teraz jednak szybko złapał się na tym, że każdą stronę czyta po kilka razy i nadal nie pojmuje ich sensu.

Porzucił więc lekturę na korzyść swej nowej cytry. Pozwalał swym palcom błądzić swobodnie po strunach, podczas gdy on starał się odprężyć, co udało mu się nawet szybciej niż oczekiwał. Wieczór ten bardzo przypominał ową noc sprzed trzech dni: był chłodny, trochę nawet mroźny, zmacony leciutkim wietrzykiem. Księżyc wchodził właśnie w ostatnią kwadrę, było więc nieco ciemniej, choć po świetlistej tarczy przesuwały się takie same chmury jak wówczas.

Bogowie, jakież to odmianie może ulec życie w ciągu jednej nocy. Ciężkie było popołudnie tego dnia. Ciężkie dla serca Vanyela. Rozmowa z Jervisem — zażegnanie zapiekłej nienawiści. A wcześniej — Tashir. Widok Tashira w świetle dziennym, tak bardzo przypominającego Tylendela — trochę tylko młodszego, trochę delikatniejszego — obudził w Vanyelu cały żal po stracie ukochanego. Próbował podejść do tego chłopca zwyczajnie, jako do Tashira, lecz nie było to łatwe; szczególnie w chwilach gdy Tashir obracał ku niemu swe wymowne spojrzenie... Wtedy Vanyel pragnął już tylko porwać go w ramiona i... och, nieważne.

Czy dzieje się tak tylko dlatego, że on wygląda jak Tylendel? Czy to coś we mnie? — Usiłując pozbierać myśli, zanucił refren „Kochanka z Krainy Cieni”. — Nie wiem już, kim jestem. Shavri i Randi są dla mnie więcej niżli tylko przyjaciółmi; Shavri bardziej nawet niż Randi. O wiele bardziej. Nie pojmuję, co to znaczy. Po prostu nie pojmuję. A na dodatek pojawia się jeszcze Tashir... do licha. Ale gdzie tkwi przyczyna: czy to przez jego urok, czy może przez to, że przypomina mi Lendela? Próbował przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek choćby w najmniejszym stopniu pociągała go jakaś inna kobieta poza Shavri, ale nikt taki nie przychodził mu na myśl. Ciekawe, w jakim stopniu spowodowane jest to faktem, że cały czas oboje starali się być w pobliżu mnie? Bogowie, nienawidzę być ściganym. Szczególnie nie lubię, gdy ktoś ugania się za mną na oczach innych. Już sama myśl o tym, że mógłbym pójść do łóżka z kimś, na kim mi nie zależy... Uczuł uścisk w żołądku. Bogowie, bogowie, gdzie kończy się przyjaźń, a zaczyna miłość? W jakim stopniu to, że stałem się *shayn* było zdeterminowane przez moją naturę a w jakim stopniu zdecydowało o tym pojawienie się Lendela?

Posępne rozmyślania przerwało pukanie do drzwi. Vanyel poderwał się. Wszak z Medrenem już wszystko wyjaśnił. Wizyta Melenny nie była nadto prawdopodobna, przynajmniej według Yfandes. Nie spodziewał się nikogo, nawet Savil.

Z przyciśniętą do piersi lutnią odwrócił się od okna i starannie odłożył instrument na stojak. Bezszelestnie przeszedł przez pokój i właśnie gdy gość zdecydował się zapukać po raz drugi, już bardziej niepewnie, Vanyel otworzył drzwi.

Stał przed nim Tashir: blade jak płótno, z oczami potępieńca. Vanyel zamarł oniemiały, a chłopiec tymczasem wśliznął się do pokoju i zamknął za sobą drzwi; potem oparł się o nie i zwrócił ku Vanyelowi swą przerażoną, wylęknioną twarz, której wyraz nie sposób było zinterpretować.

Blade światło świecy sprawiało, że Tashir jeszcze bardziej przypominał Tylendela. Vanyel poczuł, że serce wciska mu się do gardła, a pierś rozsadza ból.

— Słyszałem, jak grałeś — rzekł chłopiec chrapliwym głosem. — Nie niepokoiłbym cię, gdybym nie miał pewności, że nie spisz. Czy mogę... przeszkodzić ci na chwilę?

— Proszę bardzo, usiądź — wykrztusił Vanyel, z trudem łapiąc oddech, — Oczywiście, że możesz; jesteś tutaj mile widziany i nie nazywaj tego „przeszka-

dzaniem”. Co mogę dla ciebie zrobić?

Chłopiec podszedł do stołu niepewnym krokiem i zatrzymał się, kładąc ręce na oparciu jednego z krzeseł. Potem obejrzał się przez ramię na Vanyela. Jego twarz — dzięki bogom! — znajdowała się w cieniu. Vanyelowi udało się wreszcie wciągnąć dwa głębokie hausty powietrza, jeden po drugim.

— Jervis powiada, że jesteś... *shayn* — wyszeptał Tashir. — Czy to prawda?

Vanyel stanął przy drugim krześle i wskazał mu gestem, by zajął miejsce. Tashir usiadł, a właściwie przysiadł, na brzeжку krzesła. Vanyelowi mignął przed oczami pewien obraz: oto młody ogier na skraju zalanej słońcem łąki w pełni sezonu łowieckiego, będącego zresztą zarazem okresem rozplodu. Kłębiły się w tym chłopcu pragnienie, potrzeba, poszukiwanie, niewiedza o tym, czego mu brak, lęk i całe mnóstwo innych, trudniejszych do zdefiniowania emocji.

— To nie tajemnica — odparł Vanyel z ostrożnością, nie potrafiąc przewidzieć, na co się zanoszą. — Tak, jestem.

— A czy zechciałbyś zostać moim kochankiem? — wyjąkał Tashir rozpaczliwym tonem.

Vanyel poczuł, że natychmiast musi usiąść. I zrobił to w ostatniej chwili, zanim nogi same odmówiły mu posłuszeństwa. Zaniemówiwszy, wbił wzrok w Tashira.

Czy masz pojęcie, co ty mi robisz, chłopcze? Nie, nie możesz tego robić. Biedny chłopiec. Biedne, zagubione dziecko...

Opanował emocje i postanowił trzymać je w ryzach. Chłopiec nie miał w sobie nic, co mogłoby czynić zeń *shay'a'chern*, absolutnie nic. Takie pytanie było ostatnią rzeczą, jakiej Vanyel kiedykolwiek by się od niego spodziewał. I początkowo od razu chciał odpowiedzieć: nie.

Chociaż... chociaż... jest tak podobny do Tylendela. A moje doświadczenie zapewniłoby mu przyjemność — rozbłysła spontaniczna myśl. — Mógłbym go przekonać, że jest *shay'a'chern*. Jakże byłoby to proste. Wszak jestem taki samotny. Och, bogowie. Och, bogowie. Cóż to za pokusa...

Lecz zamiast odpowiedzieć, wstał z wolna, podszedł do chłopca i wyciągnął rękę, delikatnie ujął w palce jego podbródek. Z pozoru gest ten miał zmusić Tashira do zajrzenia mu prosto w oczy, tak naprawdę jednak Vanyel chciał się dowiedzieć czegoś o tym, co się dzieje w umyśle chłopca, a skoro nie mógł użyć myśloczucia, no cóż, kontakt fizyczny znacznie wyostrzał jego dar empatii. Gdy ciemne oczy chłopca napotkały jego srebrnoszare źrenice, pod opuszką swego palca środkowego Vanyel poczuł szaleńcze tętno Tashira. Uczucie, które wyczytał przy tym z jego oczu, było raczej strachem, czy też smutkiem, niż pożądaniem. Pożądania nie było w nich wcale. Uświadomiwszy sobie to, Vanyel poczuł zarazem ulgę, jak i rozczarowanie.

— Dlaczego? — zapytał Vanyel znacznie spokojniej niż czuł się w rzeczywistości, ze wszech miar starając się zachować pozory obojętności. — Dlaczego

chcesz mnie na swego kochanka?

Tashir oblał się rumieńcem, a lęk w jego sercu pogłębił się jeszcze bardziej. Obok niego pojawiło się tam też coś nowego: zawstydzenie.

— Dzisiejszego... wieczoru... — zająknął się. — Lady Tressa... ja... ona... Vanyelu, ona... — Jego głos zamienił się w pełen upokorzenia szept. — Ona mnie przeraża, kobiety mnie przerażają... ja...

— Och — Vanyel dołożył wszelkich starań, aby to jedno, krótkie słówko zabrzmiało w jego ustach nie pogardą, a zrozumieniem i współczuciem. — Teraz chyba już wiem, w czym problem, i dlaczego tu przyszedłeś. Moja matka przstraszyła cię i kobiety w ogóle wzbudzają w tobie lęk, więc myślisz sobie, że w takim razie musisz być *shay'a'chern*, czyż nie tak?

Tashir skinął lekko i pobladł na nowo.

Vanyel nakazał swemu sercu spokój. Ale ono nie było posłuszne. Ból wciąż nie ustępował. Vanyel zlekceważył go więc, wdzięczny za to, że zdobyta wiedza pozwala mu panować choćby nad głosem i twarzą, skoro już nie pomaga pohamować emocji.

— No cóż, lepiej przeanalizujmy wszystko, nim zaczniemy wysnuwać jakiegokolwiek wnioski, zgoda? Znasz moją ciotkę, herold Savil? Przedstawiono ci ją już?

— Tę sta... tę panią, która była z tobą? — Teraz Vanyel wyczuł tylko szacunek przemieszany z dobrotliwym lekceważeniem młodości wobec wieku podeślęgo.

— Czy ona cię przeraża? — Na jego twarzy pojawił się wymuszony półuśmiech. — Powinna, jest okropnym tyranem!

Tashir potrząsnął głową.

— A Kylla? To ta dziecina, która co chwilę wymyka się z pokoju dziecinnego, najczęściej zupełnie nago. Zdaje mi się, że zrobiła to przynajmniej raz, gdy spałem. Czy ona cię niepokoi?

Tashir był zdezorientowany.

— Jest dość milutka. Dlaczegoż to miałbym się jej bać?

Vanyel przebiegł więc po całej skali wiekowej wszystkich kobiet w Forst Reach, które Tashir mógł już spotkać. I zauważył, że tylko kobiety pomiędzy dwudziestym rokiem życia a wiekiem Tressy wzbudzały w chłopcu negatywną reakcję. A gdy wymienił swą czternastoletnią bratanicę, Tashir zdradził wyraźne zainteresowanie i autentyczne zauroczenie.

Od czasu do czasu Vanyel wtrącał jakieś pytania dotyczące uczuć Tashira w stosunku do mężczyzn, nie siebie samego, lecz Jervisa, Medrena, czy też niektórych spośród służących, których chłopiec miał okazję spotkać. I oto w żadnym wypadku, nawet wówczas gdy wyraźnie zaczął się odprężyć, Tashir nie zdradził jakiegokolwiek oznaki zainteresowania mężczyznami w ogóle, czy też Vanyelem w szczególności — wyjąwszy może jego rolę jako opiekuna. Z pewnością nie by-

ło to uczucie, jakie żywić można do potencjalnego kochanka. Ponadto za każdym razem, gdy temat ten powracał, w sercu Tashira pojawiał się strach.

Wreszcie Vanyel westchnął i cofnął rękę. Bolała, bolała go tak bardzo, jak dokucza mu zwykle lewa ręka podczas deszczu. Potarł ją, żałując, że w taki sam sposób nie może uśmierzyć cierpienia w sercu.

— Tashirze, pozwól, że ci powiem, iż bardzo mi twa propozycja pochlebia, ale... nie. Nie będę cię do niczego zobowiązywał. Przyszedłeś do mnie z mylnym przekonaniem. Nie znalazłeś się tutaj dlatego, ponieważ wiesz, iż jesteś *shay'a'chern*. Nie znalazłeś się tutaj nawet dlatego, że wydaję ci się atrakcyjny. Jesteś tutaj, gdyż kobiety w pewnym wieku budzą w tobie przestroch. Ale to nie wystarczy do zbudowania związku takiego, o jakiego nawiązanie mnie prosisz. Nie wiesz, czego chcesz. Wiesz tylko, czego nie chcesz.

— Ależ... — chłopiec miał rozszerzone źrenice — ... ale ty... kiedy byłeś młodszy niż ja teraz... Jervis mówił...

Vanyel musiał odwrócić oczy, nie mógł już znieść tego spojrzenia.

— Kiedy byłem młodszy niż ty teraz, wiedziałem już, kim jestem, czego chcę i z kim chcę to dzielić. Ty zaś szukasz... kogoś, kto by cię lubił, kto byłby przy tobie. Rzuciłeś się na coś, co wydało ci się dobrym rozwiązaniem, i krzepisz się nadzieją, że to ja podejmę za ciebie decyzję. A wiesz, że potrafiłbym to uczynić. Z pewnością nawet bez użycia magii udałoby mi się przekonać cię, że jesteś *shay'a'chern*, choćby na krótko. Mógłbym... robić i mówić ci różne rzeczy, od których naprawdę byłbyś mną zafascynowany. — Zamilkł i zaglądając ponownie w zagubione oczy Tashira, wzięł głęboki oddech. — Ale to nie rozwiązałoby twoich problemów, a jedynie pozwoliłoby odłożyć na jakiś czas poszukiwania prawdziwych rozwiązań. Szczerze nie wierzę, iżby mogło ci to pomóc choćby w najmniejszym stopniu. Każda odpowiedź, jaką znajdziesz, Tashirze, ma być odpowiedzią, którą sam sobie wybierzesz. Proszę... — Wyciągnął do chłopca rękę. Tashir popatrzył na nią w zdumieniu, a potem niepewnie wsunął swą dłoń w dłoń Vanyela.

Był jeszcze bardziej zdumiony, gdy Vanyel pomógł mu wstać, położył mu rękę na piecach, pomiędzy łopatkami, i delikatnie skierował ku drzwiom wyjściowym.

— Idź do łóżka, Tashirze — rzekł Vanyel najłagodniej jak tylko potrafił. — Utnij sobie pogawędkę z Jervisem. Pojedź na przejażdżkę konną z Neyrą. Spróbuj zaprzyjaźnić się z kimś w zamku. Później jeszcze o tym porozmawiamy.

I zamknął za nim drzwi, łagodnie, lecz ze stanowczością.

Ogarnęło go drżenie; przywarł do framugi, aby utrzymać się na nogach. Zanim wreszcie przestał dygotać, stał tak przez długą chwilę, oparty głową o drzwi. Gdy poczuł, że jest już w stanie iść pewnym krokiem, odwrócił się i podszedł do swego fotela, a potem zapadł się weń ociężale.

Cierpiał. Och, bogowie, jakże cierpiał. Czuł wewnątrz siebie taką pustkę... i samotność dwa razy głębszą niżli przedtem. Zawiesił wzrok na płomieniu świecy

i wpatrywał się w nią, aż ta skróciła się najmniej o centymetr. Usiłował zrzucić ciężki kamień udreki przygniatający mu piersi — bezskutecznie.

Postąpiłeś bardzo słusznie, mój Wybrany. — Pogodny głos w jego głowie po-brzmiewał jednocześnie współczuciem i aprobata.

Wiem — odparł, tłamsząc ból. — *Cóż innego miałem zrobić? Powiedz mi tylko... moja kochana... dlaczego nie potrafię się tym cieszyć? Dlaczego słuszna decyzja musi zadawać takie cierpienie?*

Yfandes nie miała dla niego żadnej odpowiedzi. Zresztą Vanyel nie spodziewał się nawet, aby było inaczej.

Gdybym tylko nie przywiązywał takiej wagi do etyki swego postępowania... Jaką rolę odgrywa tu jego podobieństwo do Lendela? Bogowie. Już nie tylko moje serce cierpi katusze. Jakiż ja jestem samotny.

Wreszcie spłynął na niego sen.

Potrzebował tygodnia, aby znów poczuć się normalnie. Rzecz jasna, wyzwanie Jervisa na pojedynek owego dnia, gdy dopiero co wstał z łóżka, było zwykłą błagą. Nie miałby sił bronić się dłużej niż kilkanaście sekund. Teraz zastanawiał się, czy Jervis to odgadł.

Ćwiczenia z bronią były bardzo interesujące. On sam i Jervis krążyli wokół siebie ostrożni zarówno w słowach, jak i zadawanych ciosach. Pozostało pomiędzy nimi jeszcze tyle niezaleczonych ran, że Vanyel musiał natężyć swój zmysł dyplomatyczny do granic możliwości, by nie dopuścić do rozjątrzenia się ich na nowo. W dużej mierze działało się tak też dlatego, że Jervis zdawał się niekiedy żałować swego wyznania.

Mimo wszystko jednak obaj zachowywali wobec siebie uprzejmość i pracowali razem, co było znacznie przyjemniejsze niż ciągła walka.

— Ten chłopak ma mnóstwo problemów, Van — stwierdził Jervis, oparłszy się na swym mieczu, przyglądając się, jak ćwiczą Tashir i Medren. Tashir zachowywał przesadną wręcz ostrożność wobec młodszego chłopca i Vanyel po raz pierwszy widział na jego twarzy niczym nie zmacony spokój. Po raz pierwszy nie było w nim strachu. Po raz pierwszy był zwyczajnym młodym mężczyzną, nieco bardziej rozważnym od niższego, młodszego chłopca i większości młodych ludzi w jego wieku, ale jednak zwyczajnym młodym mężczyzną.

— *Wiem* — odparł Vanyel, przenosząc swój ciężar ciała z prawej na lewą nogę. — *I wiem, że nie masz na myśli jego stylu walki.* — Zagryzł lekko wargę i postanowił zadać to jedno jedyne pytanie, które zadecyduje, czy będzie w stanie wprowadzić w życie plan obmyślany w ciągu ostatnich kilku bezsennych nocy. — *Powiedz mi, czy myślisz, że dałbyś radę zajmować się nim samodzielnie przez jakiś czas? Będiesz miał pod ręką Savil, na wypadek, gdyby znów wydarzyło się coś magicznego; choć nie wydaje mi się, aby było to możliwe. Sądzę poza tym,*

że Tashir nie otworzy się przed Savil tak jak przed tobą.

Jervis zatopił w nim swe długie spojrzenie z ukosa.

— A ty w tym czasie gdzie będziesz?

Vanyel popatrzył przed siebie i przemówił cichym głosem tak aby tylko Jervis go usłyszał. Im mniej ludzi będzie o tym wiedziało, tym lepiej.

— Po drugiej stronie granicy. To tam znajdują się odpowiedzi na wszystkie nurtujące nas pytania, włącznie z tym najważniejszym. Skoro to nie Tashir rozszarpał w strzępy całą gromadę ludzi w pałacu, to kto to zrobił? I dlaczego?

Z dala od niego może uda mi się odzyskać przejrzystość myśli.

Gdy Jervis rozważał jego słowa, klekot i stukot drewnianych mieczy treningowych niosły się echem po całej sali. — Jak długo myślisz tam zostać? Mam nadzieję, że nie jedziesz tam pod własnym imieniem, co?

— Nie. — Vanyel uśmiechnął się blado. Herold nie wzbudzałby teraz zbyt-nej sympatii wśród mieszkańców Highjourne. — Mam pewne przebranie, które w przeszłości już mi dobrze służyło. Herold Vanyel będzie nadal wypoczywał na łonie swej rodziny. Mężczyzna, który przekroczy granicę jest dość miernym minstrelem o imieniu Valdir. Nikt nie zwróci uwagi na minstrela zadającego pytania, a jego pytania mają nie przyciągać zainteresowania. Skoro jedyna osoba, która wyraźnie widziała moją twarz, znajduje się w tej chwili w drodze do Przystani, i to z kulą u nogi, nic nie powinno mi zagrażać. Spodziewam się, że zajmie mi to najwyżej dwa tygodnie.

— Unieś tarczę, Medrenie! Ha. To brzmi sensownie. Bogowie wiedzą, że w tej chwili nie można wydobyć nic z chłopca. Co na to Savil?

Vanyel wzdrygnął się, widząc, jak Medrenowi udało się zadać Tashirowi szczególnie skuteczne pchnięcie.

— Nigdy nie mogła ścierpieć zadań szpiegowskich, więc nie ma zamiaru wyrażać swej opinii. Ojciec ma nic nie wiedzieć. Savil powie mu, że pojechałem złożyć wizytę Liss. Yfandes jest za, bo większość czasu spędzać będzie przy mnie, a gdy akurat zdarzy się inaczej, to i tak będziemy mogli się kontaktować.

Ramiona Jervisa rozluźniły się nieco.

— Trochę mnie to zmartwiło. Ale skoro zabierasz ze sobą Białą Damę, nie mam nic przeciwko temu. Jeśli jej miałoby się nie udać wydostać cię z tarapatów, to znaczyłoby, że nikt inny tego nie potrafi. Nabrałem dużo szacunku dla tej ślicznotki.

Podziękuj mu za to, mój Wybrany.

Vanyel uśmiechnął się. Jervisowi, w przeciwieństwie do Withena, zapamiętanie, że Yfandes to nie koń, nie sprawiało żadnych trudności. Zawsze odnosił się do niej z szacunkiem, a odkąd on i Vanyel zawarli rozejm, traktował ją tak samo, jak traktowałby ją każdy herold. Dla Jervisa Yfandes była osobą, w odrobinę dziwnym ciele, ale jednak osobą. Właściwie stosunki z nią układały mu się nawet lepiej niż z samym Vanyelem.

— Prosi, aby ci podziękować. Myślę, że ona cię lubi.

— Jest przemiłą damulką i ja też ją bardzo lubię. — Jervis uśmiechnął się szczerze. — Parę razy zdarzyło mi się żałować, że nie mogę z nią porozmawiać. Chciałem jakoś dać jej znać, że to dla mnie radość mieć ją teraz po swojej stronie. Tashir! Przecież ten chłopak się nie rozsypie! Przyłóż się do tego obrotu! Do diabła, ma się nauczyć, jak ci uskakiwać z drogi! — Jervis przeszedł sztywnym krokiem ku środkowi sali, a Vanyel skorzystał z tej sposobności, aby wrócić do pokoju i spakować rzeczy.

Istniała jeszcze jedna osoba, która musiała wiedzieć, gdzie jest Vanyel. Był nią Medren. Po części zdecydowała o tym konieczność pożyczania od chłopca jego starej lutni. Podły minstrel Valdir nigdy nie mógłby sobie pozwolić na lutnię herolda Vanyela, czy też jego dwunastostrunową cytrę. A podszywając się pod wymyśloną postać, Vanyel zdawał sobie sprawę z tego, że jego osoba nie może budzić najmniejszych podejrzeń. Miał prawdzie jakiś stary, zdezelowany instrument kupiony gdzieś w lombardzie, którego używał już jako Valdir. Zostawił go jednak w Przystani, nie spodziewając się, że będzie go potrzebował.

Istniał jednakże jeszcze jeden powód, dla którego Medren musiał wiedzieć o jego wyprawie. Przy nim Tashir był bardziej swobodny i szczerzy w sposób, w jaki nigdy nie czuł się przy Jervisie, czy też Vanyelu. Vanyel doszedł też do wniosku, iż jego bratanek jest pod wieloma względami znacznie dojrzalszy niż wskazywałby na to jego wiek. Miał pełne zaufanie do rozsądku chłopca.

Ponadto Medren posiadał dar bardów. Szczegół ten mógł stać się bardzo użyteczny w kontaktach z niezrównoważonym chłopcem, ku któremu nikt nie ważył się zwrócić swego zmysłu myśloczucia.

Okazało się, że dziwnym zbiegiem okoliczności umieszczono Medrena w dawnym pokoju Vanyela, na górze pod okapem, na przeciwko biblioteki. Vanyel patrzył przez okno i zastanawiał się, czy nadal potrafiłby wspiąć się po fasadzie budynku, by dostać się do okienka prowadzącego do biblioteki.

— Jak myślisz, ile czasu tam spędzisz? — zapytał Medren, siedząc na łóżku i starannie strojąc swój stary instrument.

— Nie za długo, około dwóch tygodni. Jeżeli niczego się nie dowiem w takim czasie, będzie to oznaczało, że sprawa jest zbyt trudna, aby mógł ją zgłębić wędrowny minstrel. — Odwrócił się od okna.

— Nie masz zamiaru pójść do pałacu, prawda?

— Nie. A dlaczego pytasz?

Medren potrząsnął głową.

— Nie wiem. Mam tylko co do tego złe przeczucia. I wydaje mi się, że nie powinienesz jechać tam sam. Gdy tylko pomyślę, że mógłby ci ktoś towarzyszyć, złe przeczucie natychmiast rozplywa się. Czy to nie głupie?

— Nie, to brzmi bardzo rozsądnie. — Vanyel usiadł na łóżku obok niego. Medren wziął do ręki połatany, wytarty płócienny pokrowiec od lutni i wsunął do niego instrument. — Chciałbym, abyś miał na oku Tashira, jako bard.

Chłopiec rozważał te słowa przez chwilę, pogwizdując z cicha przez zęby.

— Masz na myśli pilnowanie, aby był spokojny? Jest przecież wrażliwy jak jeleń, który właśnie usłyszał ujadanie psów. Już próbowałem to robić. Ja... — Zarumienił się. — Zapamiętałem, co mi powiedziałeś o nadużywaniu mojego daru. Wydawało mi się, że właśnie coś takiego miałeś na myśli, mówiąc o prawidłowym korzystaniu z niego. Tashir lubi muzykę, więc... staram się, aby brzmiała kojąco.

Vanyel zmierzył mu włosy, wyrażając aprobatę, a Medren w zamian posłał mu szelmowski uśmiezek.

— Dobry chłopak, właśnie to miałem na myśli. Gdy nie wzmacniasz siły przekazu twego wykonania, właściwe użycie daru oznacza przyniesienie korzyści twym słuchaczom, lub też wypełnianie rozkazów króla. Nasz biedny Tashir z pewnością skorzysta na słuchaniu łagodnych dźwięków. Uspokajaj go, hm? Jest jeszcze jedna rzecz, odrobinę delikatniejsza. On może opowiadać ci różne rzeczy o sobie. Z wielkim wahaniem zwracam się do ciebie z prośbą o zdradzanie powierzanych ci wyznań, ale przecież nic o nim nie wiemy.

Medren przemyślał to.

— Zdaje się, że im okropniejszą rzecz mi powie i im bardziej będzie mu zależało na zachowaniu tajemnicy, tym bardziej ty będziesz chciał się o niej dowiedzieć. — Przygryzł wargi. — To ciężka sprawa. Aż za bardzo mi się to kojarzy ze zdradzaniem cudzych sekretów, które powinienem zatrzymać dla siebie. I na dodatek, jeśli cały czas będę robił wszystko, aby zdobyć jego zaufanie, to będzie jeszcze bardziej nieuczciwe.

— Wiem. Ale przypominam ci, że oskarża się go o zamordowanie pięćdziesięciorga, albo nawet sześćdziesięciorga ludzi. To, co ci powie, może posłużyć za wskazówkę do wyjaśnienia, czy rzeczywiście to zrobił. — Podnosząc dłoń, Vanyel powstrzymał protesty Medrena. — Wiem, co chcesz powiedzieć, lecz nawet jeśli to on ich zabił, nie wierzę, że zrobił to celowo. Ale jeżeli... przypuśćmy... dowiedziałbyś się, dokąd chciał go wtedy posłać ojciec i dlaczego tak go to przerażało, mielibyśmy już jakieś okoliczności łagodzące. Wątpię, aby lud Lineasu przyjął je bez zastrzeżeń, jednakże zaakceptujemy je my i wtedy Tashir będzie mógł odnaleźć dom tutaj, wśród heroldów Valdemaru, nawet jeśli nigdy nie miałby powrócić do Lineasu. A to jeszcze nie jest nieszczęście.

Medren skinął głową z taką werwą, że loki znad czoła opadły mu na oczy.

— To całkiem sensowne. Zgoda, jeśli mi coś powie, przekażę to tobie.

Potem wepchnął garść zapasowych zwojów strun do kieszeni na spodniej stronie pokrowca i wręczył instrument Vanyelowi. Vanyel wstał i przełożył przez ramię pasek torby.

— Czy wyglądam teraz na marnego minstrela? — zapytał ze śmiechem.

Medren parsknął.

— W ogóle nie ma mowy, żebyś wyglądał marnie, Van. Znać po tobie wprawdzie niedożywienie, ale to akurat jest bardzo dobre. Gdybyś nie golił się przez kilka dni, byłoby jeszcze lepiej. Choć z drugiej strony... — Przypatrywał się Vanyelowi z lekko przekrzywioną głową. — Gdybyś się nie golił, wyglądałbyś jak bandyta, a ludzie nie opowiadają nic bandytom. Najlepiej pozostań przy wyglądzie czystym, niedożywionym i opłakanym. Wtedy kobiety będą cię karmić i karmiąc, opowiadać różne rzeczy. Hej, o lutnię się nie martw... jeśli będziesz musiał ją gdzieś zostawić, to ją zostaw. A jeśli nie będziesz miał serca jej zostawiać, zastąpisz ją inną.

Vanyel przyłożył prawą dłoń do serca i ukłonił się lekko.

— Poddaję się twym sądom. Będę schludny i wygłodniały, a jeśli trzeba będzie, porzucę instrument. I zastąpię go innym. Zawsze dobrze jest mieć taką starą lutnię, o którą nie trzeba się martwić. Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie się chciało zabrać ją na piknik czy gdzieś. Dzięki, Medrenie. Za wszystko. — Wyjrzał przez okno. — Chciałbym dostać się do Highjourne jeszcze przed nocą, więc lepiej, żebym się już zbierał. Pamiętaj, pojechałem na wycieczkę, aby spotkać się z Liss. Zawiadomiłem ją o tym przez jednego z ptaków Savil, więc w razie czego Liss będzie mnie kryła.

Medren skinął głową.

— To dobrze. A ja nie będę spuszczał z oka Tashira.

— O nic więcej nie mógłbym prosić.

Zachodzące słońce było tego dnia ledwie grą przytłumionych barw, przysłoniętych całunem szarych chmur. Vanyel ześlizgnął się z grzbietu Yfandes i odczepił pasek przytrzymujący złożony pled spełniający rolę prowizorycznej derki pod siodło. Jazda na oklep przez większą część dnia nie byłaby przyjemnością ani dla niego, ani dla niej, lecz nie miał gdzie ukryć jej prawdziwej upręży i siodła. Ale to nie stanowiło problemu. Rozwiązali tę drobną trudność już za pierwszym razem, kiedy Vanyel przeistoczył się w minstrela Valdira. Teraz Yfandes wcale nie miała założonej uździenicy, a grzbiet jej okrywał tylko pled, którego Vanyel używał jako okrycia, śpiąc po stajniach czy u drzwi zajazdów. Nie miał nic do ukrycia, a tym samym do wyjaśnienia. Yfandes podczas wyprawy będzie się żywiła tym, co uda jej się podkraść z gospodarstw chłopskich, nie pogardzi też trawą na łąkach. A jeśli zanadto zgłodnieje, Vanyel kupi albo podbierze gdzieś odrobinę ziarna i w nocy przetrzuci jej przez mur.

Bądź ostrożny — powiedziała Yfandes, gładząc go nosem po policzku. — *Kocham cię. Zostanę przy tobie, jak długo tylko będę mogła, ale to okrutnie dobrze strzeżony kraj. Mogę być zmuszona bardzo się od ciebie oddalić, żeby uchronić się przed złapaniem.*

Jeśli będę musiał cię przywołać, do swej dyspozycji będę miał całą energię tamtejszych strumieni — przypomniawszy jej. — Wprawdzie to nie to samo co energia samego ogniska, ale nie zdziwię się, jeśli okaże się, że będziemy mogli jej użyć, by wzmocnić nasze siły podczas drogi powrotnej do Forst Reach. Mam zamiar skorzystać z okazji i w czasie pobytu w Highjourne nadrobić starty energii magicznej.

Jeśli Verdik wciąż tu jest, może to być niebezpieczne.

Tylko wówczas, gdy to wyczuje. — Ujął w dłonie jej głowę i zatonął w jej przepastnych błękitnych oczach. — Będę ostrożny, przyrzekam. To nie Karsyt, ale mam zamiar postępować tak, jak gdyby to był Karsyt. Terytorium wroga i pełna dyscyplina.

W takim razie jestem usatysfakcjonowana. — Podrzuciła głowę, odgarniając kosmyk z grzywy, który przysłonił jej oczy. — Zawołaj, jeśli będziesz mnie potrzebował.

Zawołał. — Z uczuciem zadziwienia patrzył za nią wtapiającą się w podszybie lasu. Jak coś tak wielkiego i tak białego mogło po prostu... rozplątać się... nigdy nie przestało go zdumiewać.

Zrolował popręg, złożył pled i wepchnął za rzemyki swego tłumoka. W końcu z westchnieniem współczucia dla swych biednych stóp podciągnął na ramieniu pasek od pokrowca lutni i skierował się ku bramom miasta Highjourne.

Droga była piaszczysta i nim zdołał dotrzeć do wrót, wyglądał, jak gdyby miał za sobą cały dzień wędrówki na piechotę. Włączył się do powolnego, wlokącego się o ciężale sznurka podróżnych i pracowników najemnych powracających z gospodarstw, składów i co bardziej obskurnych manufaktur znajdujących się poza murami miasta. W ogonku przeważali jednak robotnicy rolni. Większość właścicieli gospodarstw leżących w pobliżu Highjourne mieszkała w mieście, podobnie zresztą jak i ich robotnicy najemni. Było to pozostałością podyktowaną ostrożnością zwyczaju z czasów najazdów Mavelanów, które wdzierały się wówczas na ziemie Lineasu, sięgając aż po siedzibę tronu. Oczy strażnika przy bramie zaiskrzyły się na widok minstrela. Żołnierz spostrzegł lutnię, obdarty i wygłodzony wygląd oraz brak broni i w mgnieniu oka go przepuścił. Minstrel Valdir niewart był uwagi, co w rzeczy samej wielce go uradowało.

No cóż, pierwszą rzeczą, za jaką rozgląda się wygłodniały minstrel, jest praca, a Valdir nie stanowił w tej mierze żadnego wyjątku. Znalazł sobie zaciszny kąt z dala od zgiełku i jął badać swe otoczenie.

Wszystkie atrakcyjne narożniki ulic były zajęte przez kilku żebraków, żonglera oraz kobietę z tańczącym psem. Valdir potrząsnął głową, jakby do siebie. Nie było tu dla niego miejsca, przynajmniej w takiej bliskości bram miasta. Zanosilo się na to że potrzebny mu będzie jakiś lokalny przewodnik.

Pokręcił się w okolicach bram, czekając cierpliwie na zmianę warty. Zdjął czapkę, nastroił lutnię i pograł troszkę, nie oczekując jednakże wielkich datków

w swym ustronnym kąciku. Jednakże mimo to, ku swemu zdumieniu, przyciągnął nawet uwagę kilku włóczykijów. A potem, ku jeszcze większemu jego zdumieniu, owi włóczykije okazali się być w posiadaniu pieniędzy. Do czasu przybycia zmiany straży, która przyniosła latarnie do zawieszania po obu stronach bramy, Vanyelowi udało się zebrać dość miedziaków, aby kupić za nie jakąś mizerną strawę na kolację.

Tylko że jemu ślinka ciekła na coś lepszego niżli rzepa i spleśniała skórka chleba. Robiło się chłodno, nos miał zimny, a jego połatany płaszcz nie chronił od przejmującego wiatru. Postanowił pójść za jednym ze strażników, mężczyzną, który zdał mu się dobrze odżywiony i cieszący się pełną kiesą. Przerzucił sobie lutnię przez ramię i poszedł za nim, zachowując bezpieczną odległość.

Istniała rzecz jasna taka możliwość, że mężczyzna ów był żonaty... jednakże jego młody wiek oraz fakt, że nie posiadał on żadnego stopnia, czynił to raczej mało prawdopodobnym. Jest nawet takie stare powiedzenie, które mówi, że podczas gdy wyżsi rangą oficerowie są zmuszeni się żenić, żołnierz poniżej stopnia sierżanta wybierając więzy matrymonialne może jedynie napytać sobie biedy. „Szeregowcy nie mogą się żenić, sierżanci mogą się żenić, kapitanowie muszą się żenić”. Valdir zdążył już zauważyć, iż bez względu na miejsce i strukturę sił zbrojnych, owo dawne przysłowie wciąż nie traciło na aktualności.

Zatem mężczyzna bez stopnia skłonny był raczej poszukać sobie przytulnej gospody lub szynku, w którym często przesiadywał. Przedsiębiorstwa zaś w rodzaju tych, które ktoś taki często odwiedza, służą potrzebom wielu podobnym jemu. W miejscach tych nie brak też najróżniejszych rozrywek... i często prowadzą je kobiety. Valdir nie raz już dzięki swym wdziękom zapewniał sobie kąt w podobnych lokalach.

Mężczyzna, za którym podążał, skręcił na rogu, a gdy Valdir również to uczynił, przekonał się, że oto trafił na właściwą uliczkę. Co trzeci budynek wyglądał na coś w rodzaju piwiarni. Ulica była dobrze oświetlona, a kobiety o wątpliwej nocie i nieodgadnionym wieku założyły tutaj swe sklepiki — bo tak trzeba je nazwać — pod każdą z rozlewających jasny blask pochodni i latarni. Valdir uśmiechnął się szeroko i ruszył dalej w poszukiwaniu sposobu na znalezienie towarzystwa tym kilku miedziakom w jego sakiewce.

Pierwsza oberża, do której zajrzał, nie była tym, czego szukał. Aż zanedo rzucało się w oczy, że w przybytku owym zaspokaja się zwykle apetyty nie mające nic wspólnego z głodem czy też pragnieniem. Druga gospoda za to była wprost idealna... ale miała swego własnego muzyka, starego mężczyznę, który z za swej cytry obrzucił Valdira tak piorunującym spojrzeniem, że ten nie miał wątpliwości, iż staruszek nie zamierza rozstawać się ze swą ciepłą posadką. Trzecia knajpa miała swe tancerki i wyraźnie nie potrzebowała jego muzyki, zwłaszcza gdy zważyć na zapamiętanie, z jakim owe damy ronily na podłogę swe szale będące podstawowym elementem ich ubioru. Czwarta i piąta karczma prowadzone były przez

mężczyzn. Mimo to Valdir zapytał ich o miejsce dla siebie. Okazało się jednak, że właściciel czwartej gospody sam był minstrelem, a piąty oberzysta wolał, aby jego goście z co większą gotówką wydawali ją przy grze w kości i karty w sali na tyłach lokalu niż słuchali muzyki. Szósty wyszynk był... godny pożalowania. Odepchnięty panującym tam odorem, Valdir wypadł zeń prędzej niż wszedł. Ale siódma karczma... oferowała pewne możliwości.

Zwała się ona Gospodą Pod Zielonym Ludkiem, była nędzna, ale stosunkowo czysta. Pospolity gulasz w kociołku nad paleniskiem pachniał zjadliwie, zupełnie jak gdyby miał więcej niż przelotny kontakt z mięsem, choć zapewne lepiej było nie pytać jakiego rodzaju. Gospoda była pełna, ale nie zatłoczona, i dobrze oświetlona świecami łojowymi oraz lampkami olejowymi, co odstręczało kieszonkowców i najróżniejszych rzezimieszków. Obsługujące gości dziewczki — których inne wdzięki najwyraźniej także wystawione były na sprzedaż — także sprawiały wrażenie dość czystych. Nie były to wprawdzie bajeczne piękności, a kwiat młodości większości z nich dawno już zwiadł, ale jednak były czyste.

We wnętrzu znajdował się spory tłumek, choć w zasadzie było jeszcze wiele wolnych miejsc. I tutaj właśnie Valdir spostrzegł swego przewodnika. To był dobry znak.

Wsunął więc do wnętrza gospody nieco więcej niż nos i zdołał przyciągnąć uwagę jednej z usługujących dziewczek.

— Czy mógłbym zamienić słówko z właścicielem? — zapytał niepewnie.

— W kuchni — rzuciła dziewczyna o zaciętej twarzy i jeszcze raz zmierzyła go spojrzeniem. Valdirowi udało się zrobić na niej wrażenie wygłodniałego i bezbronnego, więc złagodniała odrobinę. — Wejdz tylnymi drzwiami — rozporządziła. — Najlepiej od razu cię uprzedzę, że Bel nie lubi takich jak ty. Ostatni nasz muzykant uciekł z jej najlepszą dziewczyną.

— Dziękuję, droga pani — z pokorą rzekł Valdir.

Dziewczyna parsknęła i wróciła do obsługiwanego stołów.

Valdir musiał przejść, w głąb całego kwartału domów, nim odnalazł dojście do uliczki na tyłach gospody. Spostrzegł kilku opryszków popatrujących nań badawczo, lecz jego opłakany stan najwyraźniej przekonał ich, że nie byłoby nawet z czego go okraść...

Dopomógł im w tym też podstępny, cichy głosik rozbrzmiewający w ich głowach: Nie warto sobie nim zawracać głowy. On nie ma nic, co opłacałoby się kraść.

W uliczce panował fetor, i to nie tylko z powodu zalegających tam śmieci; Valdir był szczerze rad, że od rana nie miał niczego w ustach. Zaryzykował rozpalenie magicznego światełka, aby uniknąć wdepnięcia w coś nieprzyjemnego... a gdy stało się rzeczą oczywistą, że w niektórych miejscach jest to wprost niemożliwe, zaryzykował skorzystanie z odrobiny większej pomocy magii, tworząc na ziemi czyste plamy, po których mógł bezpiecznie stapać.

A to zabawne — pomyślał, przestępując ostrożnie kałużę końskiego moczu. — Tylko fakt, że nigdy nie potrafiłem stawiać czoła sytuacjom takim jak ta, zdecydował o tym, że nigdy nie uciekłem z domu, by zostać minstrelem. A teraz oto jestem tutaj, odgrywając na jawie jeden z własnych koszmarów. Zabawne.

W końcu odnalazł tylne wejście do Gospody Pod Zielonym Ludkiem i pchnął drzwi. Kuchnia również wyglądała na stosunkowo czystą, ale nie udało mu się obejrzeć jej dokładniej, gdyż niemal natychmiast cały widok przysłoniła mu jakaś olbrzymka.

Gdyby okazało się, że nie ma mniej niż metr i osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, Valdir nie byłby zaskoczony. Rękawy swej przepoconej lnianej koszuli podwinięte miała niemalże do ramion, ukazując nagie ramiona oplecione masywnymi mięśniami, których nawet Jervis mógłby jej pozazdrościć. Nosiła raczej bryczesy niż spódnice, co mogło być podyktowane względami praktycznymi, gdyż kawał materiału potrzebny na uszycie spódnicy dla niej mógłby znacznie nadzarpnąć jej skromny zapewne budżet. Siwiejące brązowe włosy kobiety przycięte były krócej niż włosy Valdira. Nikt pewnie nie zwróciłby uwagi na jej twarz — dopóki nie stanąłby nagle w obliczu blizny biegnącej od lewej skroni aż po prawą stronę żuchwy.

— A ty czego tu chcesz? — zapytała. Jej głos zabraniał jak złowieszczy pomruk.

— Nic... takiego — wyjąkał Valdir. — Schronienia, wielmożna pani, schronienia dla biednego muzykanta...

— Schronienia. Strawy i napitku, i miejsca do spania w zamian za kilka marnych miedziaków, które uda ci się uzbierać — huknęła kobieta z obrzydzeniem. — Tak, i okazji, żeby czmychnąć z którąś z moich dziewczuch, jak tylko się odwrócę. Nic z tego, mój chłopcze. Lepiej poszukaj sobie innego miejsca do grania tej twojej kociej muzyki. Nie ma tu gospody, która potrzebowałaby wierszoklety.

Valdir rozwarł swe smutne oczy i gdy kobieta już się odwracała, pociągnął ją za rękaw.

— Wielmożna pani, proszę... — błagał bezwstydnie. — Jestem tu nowy z kilkoma miedziakami, za które mogę kupić jedynie trochę skórki od chleba. Błagam, wielmożna pani, będę się odnosił do innych twoich dam jak do sióstr.

Odwróciła się.

— Och, czyżby? Idź mydlić oczy komu innemu! Jesteś tu nowy, to...

— Pani — zakwilił, uchylając się przed wymierzonym w niego ciosem. — Pani, przysięgam... pani... ja... — Pozwolił, by jego głos przycichł do zawstydzonego szeptu. — ...pani, twoje służące są przy mnie bezpieczne! Nawet więcej... ja... jestem *shayn*. Niewiele jest miejsc otwartych dla takich jak ja...

Olbrzymka wlepiła w niego wzrok, rozwarła usta, a potem wyszczerzyła zęby.

— Może to i prawda! Możesz być taki, z tą ładną buzią i w ogóle! To mi się podoba! — Jej ręka jak kawał bekonu zagarnęła go do kuchni. — W porządku,

dam ci szansę! Dwa posiłki i spanie na podłodze za połowę tego, co uzbierasz.

Wiedział, że musi się targować, choćby dla zachowania pozorów — ale nie-
zbyt uparcie, bo inaczej może wzbudzić wątpliwości co do swego przebrania.

— Trzy posiłki — rzucił rozpaczliwie — i ćwiartka.

Sporunowała go spojrzeniem.

— Tylko spróbuj — ostrzegła go — Tylko spróbuj mi grać na nerwach, pięk-
nisiu. Trzy i pół.

— Trzy i pół — zgodził się bojaźliwie.

— Umowa stoi. I nie próbuj mnie nabierać, bo moje dziewczyny będą cię re-
gularnie sprawdzać. A teraz słuchaj. Mam tu żołnierzy, przede wszystkim. Chcę
żywych piosenek, takich, żeby chciało im się od moich dziewczuch czegoś więcej
niż tylko piwa. Żadnych przydługich ballad ani miłosnych pieśni, i żadnych smut-
ków. Chyba że sami będą chcieli. A jak będzie smutne, to masz zrobić tak, żeby
płakali, słyszysz? Żeby płakali, tak że moje dziewczuchy i moje piwo będzie mogło
im ulżyć. Zrozumiano?

— Tak, pani — wyszeptał.

— I tylko mi nie szukaj między nimi towarzysza do zabawy. Jak tego chcą,
idą do Pazia. Mamy tu na Zgiełku nasze umowy. Nie sprzedaję chłopców i nie
wpuszczam tu tych z ulicy, a Paż nie sprzedaje dziewczyn.

— Dobrze, wielmożna pani.

— Masz zaczynać swoje brzdąkanie o zachodzie słońca, jak otwieram, a koń-
czyć, jak zamykam. Reszta czasu należy do ciebie. Jesz w kuchni, a śpisz w głów-
nej izbie po zamknięciu.

— Dobrze, wielmożna pani.

— To połóż swój tłumok tam, w kącie, żebyś wiedziała, że nie masz zamiaru
uciec.

Pod presją jej krytycznego wzroku zrzucił swój płaszcz i tłumok i wcisnął
je w kąt koło komina. Potem wziął ze sobą tylko lutnię i kapelusz i poszedł do
głównej izby, wciąż czując na plecach jej palące spojrzenie.

Gdy zamykali o świcie, Bel była w nieco lepszym nastroju. Z pewnością udo-
bruchał ją stosik miedziaków, które udało mu się zarobić. To, że ich suma nie-
mal dwukrotnie przekraczała wartość oferowanej mu przez nią posiłków, praw-
dopodobnie również przyczyniło się do poprawy jej usposobienia. A fakt, że trzy
najładniejsze spośród jej „dziewuch”, złożywszy mu pewne propozycje, zostały
odrzucone, chyba w ogóle jej nie zabolął.

Była tak zadowolona, że zarządziła zniesienie ze strychu cienkiego siennika,
żeby Valdir nie musiał spać wprost na podłodze. Miał dzielić główną izbę z pew-
nym staruszkiem służącym jako pomywacz oraz dwiema milczącymi pomocami
kuchennymi o nie zidentyfikowanej płci i wieku. Wydane przez oberżystkę po-

lecenie, aby wszyscy się rozebrali i umyli pod pompą w kuchni, przyniosło mu niemałą ulgę. Nie oczekiwał żadnych wygód, ale cały czas żywił nadzieję na uniknięcie wszy i pluskiew. Gdy mycie dobiegło końca, miał już całkowitą pewność, że pomoce kuchenne były dziewczętami, jednakże ich wiek nadal pozostawał dla niego zagadką.

Wychodząc, Bel zabrała ze sobą światło, pozostawiając ich w ciemności. Valdir skulił się na swym nierównym sienniku, owinał się swym płaszczem i pledem, który wciąż miał w sobie lekki zapach Yfandes, i westchnął.

Kochana? — Na jej poszukiwanie wysłał w szarawe światło wczesnego brzaśku cieniutką nitkę swej myśli.

Jestem. Urządziłeś się jakoś?

Nawet dość dobrze. Valdir przeszedł już gorsze rzeczy. Nie zatruję się przynajmniej jedzeniem. A ty?

Mam schronienie.

To dobrze. — Ziewnął. — *Ten interes działa tylko po zmroku, więc jeśli powłóczę się trochę po mieście późnym przedpołudniem i po południu, powinienem się dowiedzieć paru rzeczy.*

Żałuję, że nie mogę ci pomóc — odparła tęsknie.

Ja też. Dobranoc, moja najdroższa. Nie mogę już powstrzymać senności.

Śpij dobrze.

Lecz nim zasnął, zrobił jeszcze jedną rzecz. Delikatnie i bardzo dobrze się maskując, sięgnął do najbliższego strumienia magicznej mocy. Potrzebował jej bardzo, a cieniutka stróżka, którą sobie przywłaszczył, z pewnością nie zostanie zauważona; chyba że ktoś zacząłby sprawdzać każdy ze strumieni centymetr po centymetrze. Nie od razu wypełni ona opustoszałe rezerwuary jego własnej energii, na przestrzeni jednakże kilku dni będzie to możliwe. Żałował, że czerpać ze strumienia może tylko podczas snu, bądź też bardzo głębokiego skupienia. Jeszcze bardziej szkoda mu było, że sytuacja nie pozwalała mu podłączyć się do strumienia wprost, jak zrobił to tamtej nocy, gdy przybył na ratunek Tashirowi. Gdyby mógł to zrobić, w kilka chwil odzyskałby pełną moc.

Jednak teraz posunięcie takie zdradziłoby lordowi Verdikowi Mavelanowi, iż gdzieś w pobliżu znajduje się inny mag.

Jeśli już będzie miało do tego dojść, to wołałbym go zaskoczyć.

Wcześniej zamierzał przemyśleć jeszcze kilka innych spraw, ale odkąd poprzednim razem wstał z łóżka, minęła już cała doba, a piesza wędrówka zmęczyła go bardziej niż przypuszczał. Zaczął analizować swe reakcje na wdzięki „dziewuch” Bel. Czyżby je zachęcał, nie zdając sobie nawet z tego sprawy? Czyżby flirtował z nimi, w głębi duszy wiedząc, że i tak odtrąci ich zaloty, i czerpał satysfakcję ze świadomości władzy nad nimi, jaką dawała mu jego powierzchowność? I wszystko coraz bardziej się komplikowało.

Lecz zanim zdążył uczynić cokolwiek poza zamartwianiem się drobiazgami,
dopadło go wyczerpanie.

Zasnął.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Chłopcze?

Szorstki szept w ciemności natychmiast wyrwał go z niespokojnego snu i rozbudził do pełnej świadomości. W ustach czuł suchość, serce waliło mu jak młotem.

— Chłopcze, nie śpisz?

— Nie — odparł Valdir. W każdym razie już nie śpię.

Poczuł na twarzy gorący, przesycony zapachem cebuli oddech.

— Słuchaj, chłopcze, trzeba cię ostrzec. To, że knajpa nie prosperuje, ma swoją przyczynę. Bel przepija całe dochody.

Valdir uciszył swe rozdygotane serce i skinął głową do siebie. To wiele tłumaczyło.

— Zastanawiałem się nad tym — odszepnął.

— Teraz siedzi nad baryłką w swoim pokoju. Jak przedzie ranek, będzie miała humor jak niedźwiedź na wiosnę. Dziewczyn nie uderzy, bo na nich zarabia. . . ale ja, Tay i Ri to czysta sprawa. A teraz jeszcze ty. Rozumiesz?

— Chyba tak.

— Uwierz mi. I nie myśl sobie, że dostaniesz miejsce gdzie indziej. Każda karczma w Zgiełku ma swojego śpiewaka albo tancerkę. Tylko Bel radziła sobie bez nich. Bo jej nic nie obchodzi tacy jak ty, muzykanci, a żadna tancerka nie zostanie tam, gdzie pieniądze są takie marne. Jak długo chcesz tu być?

Ogarnęła Valdira wielka wdzięczność za to, że sam nie grzązł w takim życiu.

— Nie myślałem zostać tu długo. Tak naprawdę chciałem poszukać sobie miejsca w jakimś wielkim domu albo w samym pałacu — zaczął niepewnie. — Zwykle. . . byłem w jakimś dużym domu. Większość z nich trzyma chociaż jednego minstrela i tak sobie myślę, że w pałacu musi być. . .

Staruszek zakrztusił się od śmiechu, a potem dostał ataku potwornego kaszlu. Valdir jednak nie wypadł z roli i zachowywał się tak, jak można by się spodziewać.

— Nie jestem taki zły! — wybełkotał z oburzeniem. — Po prostu. . . ostatnio nie mam fartu.

Staruszek znów zaniósł się śmiechem.

— Trzeba by ci więcej niż fartu. Po pierwsze, w mieście nie ma żadnych wielkich domów. Wszystkie są za murami. A po drugie, cała rodzina Remoerdis nie żyje. W pałacu nie ma nikogo, tylko duchy.

Valdir głośno wciągnął powietrze i pozwolił staruszkowi opowiedzieć całą historię według własnego życzenia. Okazała się ona zdumiewająco zgodna z relacją Loresa, z wyjątkiem tego, że herold, który uprowadził Tashira, miał według staruszka ponad dwa metry wzrostu, zaszlachtował cały tuzin strażników i odjechał na białym demonie z wielkimi kłami.

— ... a po trzecie... — ciągnął chropawy głos — do służby przy albo w pałacu nie wzięliby nikogo, kto nie jest z nimi spokrewniony. Nawet służba w zabudowaniach gospodarczych była ich krwi. Więc nawet gdyby żyli, a ty byś do nich poszedł, nie przyjęliby cię.

— Dlaczego? — zapytał Valdir, zdezorientowany. — Co ma piernik do wiatra? Co ma pokrewieństwo do służby albo talentu?

Staruszek znów zakasłał.

— Niech mnie diabli, jeśli sam wiem. Zawsze tak było. W każdym razie mówię ci, że jak chcesz zachować w całości tę twoją buziuchnę, to chowaj swoje miedziaki i zabieraj się stąd jak najprędzej, najlepiej jeszcze przed pierwszym śniegiem. Inaczej stara Bel zacznie sobie z tobą pozwalać. Ostrzegłem cię, a teraz idę spać. — I Valdir nie usłyszał od niego już ani słowa.

Już nazajutrz Valdir miał okazję się przekonać o słuszności tego ostrzeżenia, gdy Bel stoczyła się ze schodów z zaczerwienionymi oczami, rozdrażniona i zalatująca browarem. Zaraz napadła na swe dwie pomoce kuchenne, wynajdując najróżniejsze preteksty do ukarania którejs z nich. Znajdowała ich przy tym całe mnóstwo, więc nim zostawiła dziewczyny w spokoju, każda z nich zdążyła zrobić podbite oko.

Valdirowi udawało się nie wchodzić jej w drogę na tyle długo, że zdołał bezpiecznie złożyć swe posłanie i tłumok, a lutnię ułożyć koło drzwi. Ale wtem doznał okrutnie nieprzyjemnego szoku. Bel zabirała się i do... niego. Najpierw flirtując nieco, a później, gdy to nie przynosiło efektów, wygrażając.

Wzbudzała w nim obrzydzenie i przerażenie. Wiedział, że nie odważyłby się w żaden sposób wziąć na niej odwetu. Tymczasem musiał stać spokojnie i przyjmować jej poszturchiwania, choć skóra mu cierpła, a żołądek wywracał się na lewą stronę w wysiłkach nieokazywania niczego poza szczerym i wciąż rosącym strachem przed jej osobą. W końcu Bel przekonała się, że tym sposobem nie uda jej się nakłonić Valdira do dostarczenia jej przyjemności, wybrała więc inną drogę.

W rezultacie wziął nogi za pas, nie ucierpiawszy wiele poza czerniejącym siniakiem na policzku, gdzie uderzyła go, rzucając na ścianę. Nie zjadł nawet obiecanego śniadania tudzież obiadu, nie chcąc znosić więcej ani jej końskich zalotów, ani brutalności, w oczekiwaniu na posiłek. Wyfrunął na dwór, ledwie

otworzyła drzwi, postanawiając nie powracać przed zapadnięciem zmroku, czyli z chwilą kiedy miał zacząć swój występ, w swym błyskawicznym przelocie przez kuchnię zatrzymał się tylko, aby porwać lutnię. Wszak nie zostawiłby bez opieki podstawowej podpory swej egzystencji, a poza tym, tak jak poprzedniego wieczoru, mogła nadarzyć się okazja zarobienia paru miedziaków na ulicy. Może uda się zbierać na jakąś strawę.

Herold Vanyel nie tolerowałby takiego traktowania, ale herold Vanyel pozostał przecież daleko, daleko stąd. Tutaj był tylko biedny, bojaźliwy Valdir, za którym ciągnął się pech — wychudzony, wylękniony i zupełnie zrozpaczony nieborak.

Bogowie, pomóżcie jej sługom. Gdybym nie był tym, pod kogo się podszycam, chyba poszukałbym jakiegoś ostrego noża. Ale nie wiem już, czy najpierw zrobiłbym z niego użytek na niej, czy na sobie. . .

— Tak przypuszczałem, że tu skończysz — odezwał się zaciągający, dobrze wykształcony głos, gdy Valdir wyprysnął na ulicę. Odwrócił się, mrużąc oczy osłepione jasnym słońcem. Po drugiej stronie, oparty o ścianę jakiegoś domu, stał posiwiaty minstrel, który poprzedniego wieczoru grał na cytrze w jednej z tawern. Odziany był w wyblakłe barwy maskujące się na tle muru; zajmował teraz stanowisko naprzeciwko Zielonego Ludka; zdawał się znudzony i rozleniwiony. Podczas gdy Valdir przyglądał mu się podejrzliwym okiem, mężczyzna odepchnął się od ściany i przeszedł z wolna na drugą stronę wybrukowanej uliczki. W świetle dnia widać było niezbitcie, że jest znacznie starszy od Valdira: włosy miał przerezione, prawie zupełnie posiwiałe, a jego kanciastą twarz zaczęły już pokrywać zmarszczki i bruzdy. Pomimo to, gdy tak zbliżał się do Valdira, coraz wyraźniej rzucało się w oczy, że swe ciało utrzymywał w dość dobrej formie: pod luźną koszulą domowego wyrobu, skórzaną tuniką i bryczesami, brzuch ledwie mu się zarysowywał, a reszta sylwetki sprawiała wrażenie oplecionej wręcz stalowymi mięśniami, wystarczająco mocna, aby przetrwać każdą burdę pijacką.

Dla kogoś takiego jak Valdir nieznajomy ów oznaczał jednakże niebezpieczeństwo innego rodzaju. Otóż człowiek ten mógł szukać sposobu na wyeliminowanie konkurenta, dokuczenie mu. . . albo jeszcze coś gorszego.

Wykrakałem sobie chyba pecha. Czyżbym miał teraz wpaść z deszczu pod rynnę?

Valdir cofnął się o krok, pozwalając, aby uczucie niepewności odbiło się na jego twarzy.

Środkiem jezdni udreńczony koń ciągnął wóz z pomyjami. Nieznajomy, odczekawszy, aż ten przejedzie, zdecydowanie postąpił w kierunku Valdira.

— Och, odpreż się, chłoptasiu. Nie zamierzam cię obić — rzekł minstrel, a bładny cień obrzydzenia wykrzywił mu wargi. Valdir zrobił jeszcze kilka kroków w tył, aż w końcu minstrel dopadł go w kącie, gdzie płot dochodził do ściany gospody, Valdir zamarł z rękami przyciśniętymi do chropowatych desek za swymi plecami, a minstrel wyciągnął rękę do jego twarzy i chwycił za brodę swą ko-

stropatą ręką. Skierował policzek Valdira do światła i zlustrował czerwieniejący pomału siniak.

— Niezłą śliwkę ci zafundowała, co? — Dotknął brzegu sińca, tak aby nie sprawić bólu swemu jeńcowi. — Ha. Mogło być gorzej.

Minstrel puścił go i odstąpił na kilka kroków. Valdir skulił się, nie ruszając się z miejsca, i obserwował go z przestrachem. Nieznajomy z namysłem podrapał się po brodzie.

— Słyszałem cię ostatniej nocy, kiedy miałem przerwę. Jesteś niezły.

— Dziękuję — odparł bojaźliwie Valdir.

— Jeśli zostaniesz u Bel dłużej, to się dorobisz jeszcze połamanych rąk — ciągnął minstrel. — Właśnie to spotkało tego, co był tu, zanim przyszedł ten, który uciekł z tą jej paniusią.

Valdir nie odpowiedział.

— No co? Nie masz zamiaru nic powiedzieć?

— Po co mi to wszystko mówisz? — zapytał Valdir z podejrzliwością. Wyprostował się nieco i wytarł spocone dłonie w swą połatana, wyblakłą tunikę, świadomie udając nieświadome gesty świadczące o zdenerwowaniu.

— Bo ten, co był przed tym, który uciekł, to był dobry chłopak — rzucił starszy mężczyzna coraz bardziej zniecierpliwiony. — Był przystojny, jak ty, i był homoseksualistą, a idę o zakład, że ty też jesteś, i nie chcę, żeby spotkało to jeszcze kogoś. Zrozumiano? — Odwrócił się na pięcie i jał się oddalać.

Nie odtrącaj potencjalnego sprzymierzeńca!

— Poczekaj! — zawołał za nim Valdir. — Proszę... nie chciałem...

Leciutki wietrzyk poderwał z ulicy suche liście. Minstrel zatrzymał się i odwrócił z wolna. Valdir podszedł do niego, wyciągając ku niemu dłoń.

— Jestem Valdir — powiedział wstydliwie. — Byłem... na północy. W Bares. — Głośnym, świszczącym wdechem mężczyzna okazał zaskoczenie. — Popęlniłem drobny błąd i musiałem ratować się ucieczką. — Spuścił oczy na swe stopy, a potem uniósł je z powrotem. — Nie było łatwo ani być tam, ani przedostać się przez granicę tutaj. Tam oduczyłem się szukania sobie przyjaciół, a wyrobiłem w sobie nawyk uważania na wrogów.

— Jestem Renfry — rzekł drugi minstrel, podając mu dłoń i rozpromieniając się uśmiechem, który ukazał rząd równych, białych zębów. — Niewielu jest muzyków w Zgiełku. Zdaje się, że powinienem cię traktować jak rywala... ale... do diabła, człowiek szybko się nudzi, wysłuchując i śpiewając w kółko te same rzeczy. Przez dłuższy czas Bel miała tu Jonny'ego, zanim go kompletnie zrujnowała, a on uczył innych.

— Co się z nim później stało?

— Zrzuciliśmy się i zaraz na drugi dzień posłaliśmy go do uzdrowiciela, a potem za granicę. Ten pyszałkowaty uzdrowiciel z pałacu nie chciał „tracić czasu na szumowinę z szynku”. Później już o nim nie słyszałem. — Wzruszył ramionami.

Jeśli ten biedaczyna nie był już w stanie grać, to nie wydaje mi się, żeby chciał się tym chwalić.

Valdir wzdrygnął się, szczerze.

— Stara Bel nie pozwala sługom próbować towarów. Upiła i myślała, że Jonny upatrzył sobie jedną z jej dziewczek. — Renfry parsknął pogardliwie. — Piekielnie mało prawdopodobne.

— Ale raz jej się nie udało — zauważył Valdir. — No... wtedy z tym, który zbałamucił jej dziewczynę, jak mówiłeś.

Renfry roześmiał się i ruszył w dół brudnej, niemal pustej ulicy z Valdirem podążającym tuż za nim. Przed nimi w bladym jesiennym słońcu rozciągały się ich cienie.

— Nie udało jej się, bo sama z nim spała. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że chłopak ma dość sił, aby działać na dwa fronty! Prawdę powiedziawszy, to mam nadzieję, że chociaż w tym był dobry, bo głos miał jak kruk w porze godów, a znał nie więcej niż ze cztery akordy.

Valdir przypomniał sobie, jakich sposobów chytyła się Bel, aby się dostać do niego, i poczuł iskierkę sympatii do nieznanego minstrela.

— Czekaleś tu na mnie? — spytał, gdy zbliżali się do zamkniętych drzwi Prosiaczka i Kijasza, gospody, w której Renfry grał poprzedniego wieczoru.

Renfry skinął głową, otwierając drzwi do „swej” karczmy.

— Dlaczego?

— Żeby cię ostrzec, jak już mówiłem. Żebyś wiedział, że lepiej będzie, jeśli sobie stąd pójdziesz.

Valdir potrząsnął głową i włosy przysłoniły mu jedno oko.

— Nie mogę. Nie... mam wyboru — wyznał ze smutkiem. — Nie mam dokąd pójść.

Renfry stanął jak wryty jedną nogą przed, jedną za progiem.

— Aż tak krucho z twoją sakiewką? — zapytał. — Chłopcze, nie jesteś taki zły. Przecież jesteś nawet dobrym muzykiem. No, chyba że naprawdę przytrafiło ci się coś więcej aniżeli mały błąd.

Valdir żałośnie skinął głową.

— Zrobiłem sobie wroga. Śpiewałem złą pieśń o niewłaściwej porze. Kiedyś byłem w wielkopańskim domu. A teraz mam tylko łachy na karku, lutnię i to wszystko.

— Schowaj swoje miedziaki i przenieś się na drugą stronę granicy, do Valdemaru — poradził Renfry. — Coś ci powiem. Postawie ci piwo i ciutkę lepsze śniadanie od tego, które dostałbyś u Bel, a potem skieruję cię do przyzwoitego zakątka. Nie jest to najlepsze miejsce, ale odkąd pałac został zrujnowany, dużo tu wszędzie strażników, którzy nie mają do roboty nic poza pilnowaniem, czy aby nasz wielmożny gość nie nadział się gdzieś na jakiś zabłąkany nóż, przechadzając się w okolicy Domu Starszyny Miejskiej. Tam powinno ci się udać coś zarobić,

hm? — Uśmiechnął się szeroko. — Poza tym mam jeszcze pewien ukryty powód, aby ci pomóc. Jesteś prawie taki dobry jak ja i znasz kilka kawałków nowych dla tutejszych ludzi. Mam zamiar przekupić cię jedzeniem, abyś mnie ich nauczył, a potem wyprawić cię z miasta, ażebyś nie był dla mnie konkurencją.

Valdir z wahaniem odwzajemnił jego uśmiech, o tyle o ile pozwalał mu na to siniak na policzku.

— Teraz rozumiem!

Do zmroku Bel wytrzeźwiała, a gdy Valdir wśliznął się przez otwarte na oścież drzwi, przywołała go do swego miejsca na piecu, nie strasząc już niczym więcej aniżeli gniewnym spojrzeniem. Usiadł na ceglany murku okalającym palenisko, zwracając posiniaczony policzek do ognia, i zaczął nastrajać lutnię. W gospodzie siedział tylko jeden czy dwóch klientów, nikt więcej. Valdir wielce był z tego rad; dzięki temu miał okazję przemyśleć wszystko to, czego się już dowiedział.

A miał za sobą ogromnie owocny dzień. Służący w Domu Starszyny Miasta byli wygłodniali rozrywek i niezmiernie gadatliwi. Gdy tylko Valdir pociągnął ich za języki, dość chętnie udzielali mu informacji, często uprzednio prosząc o coś w zamian.

Otóż Ylina była „praktycznie dzieckiem”, gdy wydano ją za męża. To właśnie czyniło narodziny Tashira w osiem i pół miesiąca po ślubie rzeczą jeszcze bardziej zaskakującą. Kilka dziewcząt z rodu Mavelanów zostało zaoferowanych jako potencjalne małżonki, lecz spośród nich wszystkich tylko Ylina nie posiadała magicznej mocy, a zatem tylko ona mogła być zaakceptowana przez Deverana Remoerdisa, bądź też jego lud. Panował powszechny pogląd, że była ona dość „dziwaczna, nawet jak na Mavelanów”. I co dziwne, również powszechnie zgadzano się, że aż do nocy masakry Tashir był zupełnie przyzwoitym, acz nieco osobliwym, młodym człowiekiem. „Jest trochę podobny do ciebie, chłopie” — stwierdził jeden ze strażników. — „Podskakiwał na każde mignięcie cienia. Wiecznie podminowany”. Gdyby nie jego magiczna moc, prawdopodobnie nic nie stałoby na przeszkodzie, aby w przyszłości zasiadł na tronie Lineasu. Lecz gdy tylko siły magii dały o sobie znać, możliwość taka została zupełnie wykluczona. Żaden mieszkaniec tego kraju nie mógłby stać spokojnie i patrzeć, jak mag obejmuje panowanie nad siedzibą potężnych mocy.

— Widzieliśmy już kiedyś, co z tego wynika — powiedział wiekowy odzwierny lekko rozzłoszczony, wskazując podbródkiem w kierunku północy. — Dasz magowi władzę, a potem okazuje się, że ten używa magii do tego tylko, ażeby wydostać z ciebie wszystko, czego tylko sobie zażyczy. O, nie. Nie chcemy tu żadnych magów.

Tak więc, gdy tylko wiadomo już było, że kilku młodszych braci Tashira — spośród których wszyscy zdradzali wyraźne podobieństwo do Deverana — doży-

je wieku męskiego, Rada zażądała, aby Deveran wydziedziczył chłopca. Według pokojowej Starosty, nie musieli nawet wywierać na niego nacisku. Poddał się natychmiast, tak szybko, że gdy jego heroldowie obwieszczali tę nowinę, atrament na proklamacji nie zdążył jeszcze wyschnąć.

A co dziwne, Tashir zdawał się nie być ani trochę rozżalony z powodu takiej decyzji.

— Nie skakał co prawda z radości, ale nie było też widać, żeby specjalnie go to obchodziło — zauważył sprzedawca owoców.

Lord Verdik — który, jak Valdir się domyślił, był owym wielmożnym gościem, choć nie nazywano go inaczej jak „ten lord od Mavelanów” — przybył tutaj, zaskakując nieco mieszkańców Highjourne. Spodziewali się oni, iż będzie próbował stanąć w obronie Tashira, on tymczasem spokojnie i ze współczuciem wysłuchał relacji świadków, po czym wyraził swą opinię, stwierdzając ze zgrozą, że z chłopca zrobił się istny zabijaka. Do minimum ograniczał wszelkie przejawy swych umiejętności magicznych i zaoferował Radzie swą współpracę w roli doradcy, aż do momentu gdy ktoś wynajdzie sposób na sprowadzenie Tashira z powrotem, aby można go było ukarać, oraz do czasu ustalenia, kto ma być następnym władcą Lineasu.

A co do uderzającego podobieństwa pomiędzy lordem Verdikiem i Tashirem...

— Przyznał, że chłopak rzeczywiście może być jego synem, ale sam nic o tym nie wie — szepnęła, chichocząc, inna pokojowa, wcale nawet ładniutka, która, jak Valdir podejrzewał, mogła czerpać swe ploteczki z najpewniejszego źródła, jakim są rozmowy kochanków w łóżu. — Mówił, że ta dziewczyna nie potrafiła utrzymać opuszczonej spódnicy i że wkupiła się upominkami do niejednego łóżka, obdarowując dziewczęta, które były tam stałymi bywalczykami, po to tylko, by zająć ich miejsce. Mówił, że nie raz znalazł ją w swoim łóżku, ale że aż do rana nie miał pojęcia, że to jego przyrodnia siostra, a nie dziewczyna, co zawsze do niego przychodziła. Powiada, że to dlatego chcieli, żeby chłopak był następcą tronu. Chcieli być w porządku, tak na wszelki wypadek. — Zachichotała znowu. — Już dosyć słyszałam od mojej kuzynki o jej wysokości i jej fruującej spódnicy, i ja w to wszystko wierzę.

A kuzynka, jak się zdawało, była jedną z osobistych pokojowych Yliny. Co ważniejsze, Valdir dowiedział się, że samej Yliny nie było w pałacu tej nocy, gdy wszyscy zginęli. W końcu służąca przyrzekła mu, że za dzień lub dwa przedstawi go swej kuzynce.

— Masz zamiar tak siedzieć całą noc i mnie okpiwać, czy zabierzesz się w końcu do tego grania? — warknęła Bel, przerywając jego rozmyślenia. Przy-

bierając więc wylekniiony wraz twarzy, Valdir zaczął grać.

Dziewczyna pomknęła do swych obowiązków, pozostawiając Valdira z ostatnią ocalałą osobą z obsługi pałacu, swą kuzynką. Kobieta przypatrywała mu się badawczo przez chwilę, a potem, nieco niechętnie, zaprosiła go do swego małego saloniku. Kuzynka okazała się kobietą już niemłodą, co dla Valdira było niespodzianką. Osobliwe spojrzenie zaś, jakim obdarzyła go, gdy zajmował wskazane przez nią miejsce, zaskoczyło go jeszcze bardziej.

— Dlaczego o to pytasz, chłopcze? — zdziwiła się, zasiadając w swym fotelu. — Jeśli to tylko niezdrowa ciekawość. . .

Potań siniaka, którym Bel obdarowała go tego ranka — był taki sam jak ten pierwszy — i usiłował rozszyfrować tajemniczą kobietę. Była nieco młodsza od Savil i niska, jednakże dumnie wyprostowana. Miała w sobie coś dystygowanego, co wynikało z zajmowanej przez nią wysokiej pozycji; nie zachowywała się jak służąca. Ubrana była skromnie, w ciemną wełnianą suknie, pod którą nosiła białą lnianą tunikę. Sukienka jednakże uszyta była z przedniej jakości wełny owczej, bardzo ściśle tkanej i drogiej, a tunika z płótna równie znakomitego jak te, które widywał u swej matki. Jej oczy przyglądały mu się spod na wpół przymkniętych powiek.

Już pokojówka z Domu Starszyny Miejskiej powiedziała Valdirowi, iż tamtego fatalnego wieczoru jej kuzynka znajdowała się poza pałacem, ponieważ była tutaj, w domu swej matki staruszki, która zasłała i nie mogła zostać na noc bez opieki. W kobiecie tej było coś, co kazało Valdirowi ufać w jej uczciwość, na tyle nawet, że postanowił wyjawic jej część prawdy.

— Chcę się dowiedzieć, co zaszło w rzeczywistości — powiedział najszczerzej jak tylko potrafił. — Historyjki, które dotąd słyszałem, nie składają się w żadną sensowną całość. Jeżeli jest coś, co musi być powiedziane głośno, to może ja będę tą osobą, która to zrobi. Bywa, że minstrelowi udaje się przekazać nieprzyjemną prawdę z lepszym skutkiem niż komu innemu. Jestem tutaj obcy, nie mam jakichkolwiek własnych interesów, których chciałbym bronić. Może się zdarzyć, że mnie uwierzą chętniej niż mieszkańcowi Lineasu.

Kobieta odwróciła od niego wzrok, na jej twarzy odmalowało się zakłopotanie.

— Nie wiem — rzekła w końcu. — To. . . — Spuściła oczy na swe ręce, a cała jej uwaga zdała się nagle koncentrować na pierścieniu, który miała na palcu.

Był to niezwykle w swej prostocie pierścień: polerowany, prosty, srebrny, z matowym białym kamieniem pośrodku, Valdir nie znał tego kamienia, który w jego oczach wyglądał na pospolity, wygładzony przez wodę kryształ górski.

Wtem jej skupienie zaczęło rosnać i nie miało już nic wspólnego ze zwykłą koncentracją uwagi. . .

Kamień zabłysnął na moment jakimś wewnętrznym, białym płomieniem i zda-

ło się, że kobieta nie umie już oderwać od niego oczu.

Jej twarz ściągnęła nagle chłodna beznamiętność, jaką Valdir widywał jedynie u ludzi będących w mocy zaklęcia.

Poczuł dreszcz przebiegający mu po plecach. Gdzieś w pobliżu przemieszczała się jakaś moc, której rozpoznać nie potrafił. Z żalem myślał o tym, aby rzucić osłony i zbadać jej naturę, a jednocześnie wiedział, że nie odważy się do tego posunąć. Miał wrażenie, że ktoś użył zaklęcia Prawdy, tyle że dawno, dawno temu. . .

— Lady Ylina. . . — odezwała się kobieta dziwnie roztargnionym głosem. — Za tym wszystkim. . . wszystko sprowadza się do Lady Yliny.

— Matki Tashira? — zapytał Valdir, przygryzając wargi w obawie, że jego słowa zakłócić mogą działanie zaklęcia, w mocy którego znajdowała się kobieta. Na jej twarzy jednak nadal odbijało się najgłębsze skupienie.

— Gdy przybyła tutaj, była jeszcze niemalże dzieckiem — oznajmiła kobieta ze wzrokiem wciąż zatopionym w kamieniu swego pierścienia — ale ja nigdy w życiu nie widziałam bardziej przestraszonej dziewczynki. Była zawsze tą, na którą nie zwracało się uwagi, aż do momentu gdy Deveran odmówił pojęcia za żonę dziewczyny, która posiadałaby jakąkolwiek magiczną moc. Wówczas okazało się, że może wybrać właśnie ją. Uwierz mi, jej rodzina trzymała ją krótko. Ylina bała się ich bardzo. Jakimż szczęściem była dla niej pierwsza ciąża. . . Deveran bardzo się nią zajmował. Lecz gdy Tashir urodził się wcześniej. . . nikt nie był w stanie go przekonać, że to zbieg okoliczności sprawił, iż jego syn podobny jest swego wujka. Więc później przychodził do Yliny tylko po to, by spłodzić następne dzieci, a gdy zachodziła w ciążę, ignorował ją aż do chwili porodu.

— Ależ. . .

Lecz ona zdawała się go nie słyszeć.

— Chłopca także lekceważył. Ylina zaś ledwie co wyrosła z zabawy lalkami i nie miała pojęcia, co zrobić z dzieckiem. I wtedy zaczęły napływać listy. . . listy z Bares z królewską pieczęcią Mavelanów. Nigdy nam ich nie pokazywała, ale przerażały ją. I cały ten strach odbijał się na chłopcu. Pozostałe dzieci, te które podobne były do Deverana, miały nianie i staranną opiekę, ale nie Tashir. Jemu tego brakowało. Biedne dziecko. Czasem pieściła i rozpuszczała chłopca niczym małego pieska. Tak było wtedy, gdy listy wydawały się pomyślnie. Innym znów razem rzucała się na niego z batem i okładała tak długo, aż biedak robił się cały fioletowy. Tak było, gdy listy budziły w niej trwogę. Gdy chłopiec zaczął przejawiać czarodziejską moc, to jeszcze pogorszyło jego sytuację. Pewnego dnia obserwowałam, jak ona mu się przygląda. . . nigdy w życiu nie widziałam na ludzkiej twarzy takiej zawiści.

— Dlaczego miałaby czuć zawiść? — zastanawiał się Valdir na głos.

Kobieta otrząsnęła się i zmierzyła go surowym spojrzeniem.

— Powiedziałam więcej niż zamierzałam — rzekła niemalże z wyrzutem.

Valdir dołożył wszelkich starań, by zrobić wrażenie niewinnego i godnego zaufania.

Kobieta wstała jednak i wolnym krokiem przemierzyła salonik w kierunku drzwi, po czym otworzyła je.

— Przyjdź za dwa dni — powiedziała tonem, który nie zniósłby sprzeciwu. — Może wtedy zdecyduję się powiedzieć ci więcej.

Bliski rozpaczy, Valdir wyszedł, ze wszech miar starając się ukryć swe uczucia.

Kobieta zamknęła za nim drzwi, a on powędrował z powrotem do Zgiełku, w poszukiwaniu dobrego miejsca, gdzie będzie mógł na kilka godzin wystawić swój kapelusz.

Musiał wszakże coś jeść.

Na ile można ufać jej słowom! — zapytała Yfandes.

No cóż, raczej nie będę mógł poddać jej działaniu zaklęcia Prawdy — odparł, patrząc w ciemność i wsłuchując się w chrapanie starego Petara, od którego mógłby zdrzeć nawet komin na dachu. — *Aczkolwiek... bogowie, pomóżcie mi, mam wrażenie, jak gdyby ktoś robił to za mnie. Musisz chyba przyznać, że jej relacja o naprzemiennym rozpieszczaniu i biciu bez wątpienia tłumaczy reakcje Tashira względem kobiet. Zwłaszcza „matek”.*

Choć nadal nie wyjaśnia, co zaszło owej tragicznej nocy.

Jedna z dziewcząt mruzczała coś przez sen. Vanyel zadrżał i naciągnął wyżej swój pled. Chłód klepiska przenikał przez cienki siennik.

Jest jeszcze coś. Wiem, że jest. Sądzę, że ona, czy też to coś, co kazało jej mówić, wypróbuj mnie, tylko nie wiem dlaczego. Bogowie, te wszystkie pytania, które chciałbym zadać... dlaczego tylko osobom spokrewnionym z rodziną Remoerdis wolno pracować w pałacu? I dlaczego mam wrażenie, że ta starsza pani ma w sobie... dar? Bądź też jest owładnięta przez zaklęcie. A może i to, i to, nie wiem. Dopóki Verdik przebywa w mieście, nie odważę się tego badać.

Uhm — zgodziła się Yfandes. — *Bardzo mądrze. A co on knuje!*

Roztacza wokół swe uroki — odparł Valdir. — *Ma po swojej stronie coraz więcej ludzi stąd. I zgadza się z nimi w każdej kwestii. Trudno uwierzyć, że to ten sam człowiek, którego moja siostra nazwała żmiją.*

A to ciekawe. Mieszkańcy Lineasu jest przecież okrutnie uparty naród.

Chyba nawet anioł nie zdołałby nakłonić ich do odmiany ich nastawienia wobec Mavelanów — stwierdził Vanyel. — *Jednakże Verdik właśnie to zdaje się czynić.*

Petar parsknął, zakasłał i przewrócił się na drugi bok. Na moment zapanowała cisza, potem staruszek parsknął jeszcze raz i chrapanie ustało.

Wykorzystaj okazję i pośpij, póki możesz — surowym tonem poradziła mu Yfandes.

Sen jednak nie chciał nadejść.

Ten wieczór był szczególnie niepomysłny. Nie tylko Bel wznowiła swe umi-
zgi, lecz również Valdir odtrącił zaloty pewnego gościa.

Nawet gdyby nie odczytał piorunującego spojrzenia Bel jako znaku, że ta istot-
nie nie życzy sobie, aby zadawał się z jej klientami, tego mężczyzny Valdir uni-
kałby i tak. Był *shayn*, owszem. . . lecz w taki sposób, że Valdirowi cierpła skóra,
zupełnie tak samo jak Bel. Fizjonomii tego człowieka nie można by nazwać odpy-
chającą, było w nim jednakże coś nienormalnego, coś niezdrowego. Był niczym
piękna aksamitna rękawiczka naciągnięta na szponiastą łapę. Spoglądał na Val-
dira z taką żądzą, że temu na samo wspomnienie o tym przechodziły ciarki po
plecach. Przywodził on Vanyelowi — nie Valdirowi — na pamięć pewnego maga,
który zwał się Kriebain.

Nie wiem już, co myśleć. Skoro nie jestem *shayn*, to dlaczego nie mogę zro-
bić tego, czego chce ode mnie Bel, i mieć to z głowy? A jeżeli jestem *shayn*, to
dlaczego ten samiec budzi we mnie taką odrazę? Przewrócił się na bok i zwinął
w kłębek, broniąc się przed zimnem, głodem i nędzą niepewności swego położe-
nia.

A dziś. . . o bogowie. Na dodatek jeszcze ta niezdrowa gra, którą prowadziłem
dziś z tamtymi służkami. Wodziłem je za nos. . . wiedząc, że wiodę je w ślepy
zaulek. O, tak, udało mi się zdobyć informacje. . . ale muszę przyznać, że w istocie
łudzenie ich i górowanie nad nimi sprawiało mi przyjemność. Na bogów, jakież to
było obrzydliwe. I na dodatek posunąłbym się pewnie do jeszcze odważniejszych
flircików, gdyby Yfandes nie zagroziła mi solidnym kopniakiem. Zamieniam się
w kogoś, kto bardzo mi się me podoba.

Skulił się jeszcze bardziej. Nie wiem już nawet, co tak naprawdę czuję.

Rozdrażniony zaciął usta. Posłuchaj, Van, chyba uczono cię logicznego rozu-
mowania. Mógłbyś więc spróbować posegregować jakoś te wszystkie nie dające
ci spokoju sprawy. Może i nie wiesz, co czujesz, ale z pewnością zdajesz sobie
sprawę z tego, czego nie czujesz. Dostyc już się nad tym nabiedziłeś ostatnimi
czasami! Zastanów się najpierw, co mają ze sobą wspólnego wszystkie rzeczy, które
cię nie obchodzą.

Czas najwyższy — Dobiegła go ironiczna uwaga Yfandes.

Przestraszył się. . . a potem rozgniewał. Niemal już posłał w jej stronę jakąś
złośliwą replikę, ale ona zdążyła się już osłonić, on zaś nie był aż tak zły, by
przedzierać się przez jej osłony tylko po to, aby ją złajać. Po pierwsze, nie miał
pewności, czy starczyłoby mu sił. . . a po drugie, taki krok mógłby zdradzić go
przed Verdikiem.

Ale zrobiłby to z wielką chęcią...

Kilka następnych dni należało do najgorszych w życiu Valdira. Każdej nocy, dopóki nie wyszedł ostatni klient, grając, zdierał sobie palce do kości. W dzień zaś krył się przed Bel, niestety nie zawsze z powodzeniem. Potulnie, z zaciśniętymi zębami przyjmował jej razy, unikał jej wzmagających się starań usidlenia go i próbował, jak tylko mógł, ograniczyć poniesione z jej ręki obrażenia. Nocami marzył, dniami głodował. To, co w wyobrażeniu Bel nazywało się posiłkiem, ledwie zaspokoilooby głód myszy. Do tego wszystkiego posępne myśli dotyczące jego własnej osoby nader często spędzały mu sen z powiek.

Co drugi dzień wiernie powracał do malutkiego domu Rety, za każdym razem jednak odprawiano go z kwitkiem.

Wreszcie, po upływie blisko dwóch tygodni — po nie kończącej się serii bezskutecznych prób spotkania się z nią — Reta zgodziła się mówić z nim jeszcze raz.

— Nie byłam pewna, czy wrócisz. — Reta otworzyła mu drzwi, a on wsunął się do malutkiego, nieznośnie wręcz czyściutkiego, ku. Ostrożnie zamknęła drzwi i usiadła na swym miejscu przy kominku. Valdir zajął jedyny wolny mebel służący do siedzenia, taboret. Kobieta przyglądała mu się z namysłem, tymczasem on usiłował powściągnąć swą niecierpliwość i krzepił się nadzieją, że może tym razem zostanie mu wyjawione nieco więcej.

— Nie, nie byłam pewna, czy powrócisz — powtórzyła.

— Dlaczegoż miałbym nie powrócić? — zapytał równie cicho, lekceważąc uczucie pustki w żołądku. Przebywał w mieście już tak długo, że marne wyżywienie i niedobór snu zaczynały dawać mu się we znaki. Podczas gdy wyrównał braki energii magicznej, jego siły fizyczne zaczynały się już wyczerpywać. Budził się pięć lub nawet sześć razy w ciągu nocy, kulił się z zimna i pomimo dodatkowych posiłków, na które wydawał swe żalosne zarobki, zaczął miewać ataki zawrotów głowy. Większość pieniędzy szła na ziarno dla Yfandes. Reta jednakże dzierżyła klucz do wszystkiego, był tego pewien. Gdyby tylko zdołał ją nakłonić do podzielenia się swymi wiadomościami; nakłonić ją albo tę siłę, która zapanowała nad nią, gdy po raz pierwszy stanął przed jej drzwiami.

— To nie opowieść o barwnych przygodach — zauważyła szorstko. — I nie jest to też sypialniana farsa. Nie jest bardzo interesująca ani nie przyda się jako kanwa do jednej z twych pieśni; jest smutna.

— Smutna? — Valdir uniósł brwi w zdumieniu. — Dlaczego smutna?

Reta obejrzała swe ręce spoczywające na kolanach, jak gdyby było w nich coś zajmującego.

— To biedne dziecko. Ylina nigdy tak naprawdę nie miała okazji dorosnąć. Och, tak, jej ciało było dojrzałe, jednakże... oni wciąż podsycali w niej dziec-

ko, przestraszone dziecko, którym można manipulować. Według mnie to bardzo smutne.

„Oni” odnosiło się do Mavelanów.

— Dlaczego nic nie powiedziałaś? — zapytał, próbując pojąć, co sprawiło, że przyglądała się temu z boku i nic nie zrobiła.

Reta wzruszyła ramionami.

— A kto by mnie wysłuchał? Byłam osobistą służką jej wysokości, tak jak przedtem matki Deverana. Deveran uznałby mnie za niepoczytalną albo opętaną. Przede wszystkim znany był z tego, że niewiele zważał na kobiety. — Potrząsnęła głową i zapatrzyła się w pierścień na swym palcu. Osobliwy, matowy biały kamień zdał się zajaśnieć na moment, a wtedy głos Rety i jej twarz nabrały jakby nieobecnego wyrazu. Jak wówczas gdy po raz pierwszy przemówiła do niego otwarcie.

Znów się to dzieje! Valdir wstrzymał oddech, zapomniał o swym wycieńczeniu, osobistych troskach i wbrew wszelkiej nadziei poddał się nadziei. . .

— Nie, Deveran nie ufał ani rozsądkowi, ani uczciwości kobiet. W końcu to jego własna matka zdradziła go, umierając, gdy najbardziej jej potrzebował. Tak przynajmniej utrzymywał jego ojciec. A Ylina. . . już nie dziewica, prawdopodobnie szalona i bez wątpienia nie lepsza od pierwszej lepszej ulicznicy. . . nie przyczyniała się do polepszenia tej sytuacji.

Valdir nie mógł tego przemilczeć; sprzeciwił się więc niewybaczalnej, rozmyślnej ślepotcie.

— Ale sposób, w jaki traktowała Tashira. . .

— Był prawdopodobnie odbiciem tego, jak traktowano ją samą. — Starsza kobieta znów potrząsnęła głową, wciąż nie odrywając wzroku od kamienia w pierścieniu. — Kiedy jest się w moim wieku, to zazwyczaj już dużo się w życiu widziało. Dorośli, których bito jako dzieci, biją potem swoje własne dzieci. I. . . robią jeszcze inne rzeczy. Zastanawiam się czasem, co miał na myśli święty Leren, mówiąc, że „grzechy ojców spadną na ich synów”. — W jej oczach odbiła się jeszcze głębsza zaduma. . . a może już trans. Reta zdawała się w ogóle nie zwracać na niego uwagi.

Działo się coś poruszającego. Valdir znów wyczuł jakąś siłę przemieszczającą się pod powłoką mocy, którą identyfikował z łatwością. Bogowie! Żebyś się nie ważył jej badać. Rozpacz doprowadzała go do szaleństwa. Wyczuwał to coś o wielkiej głębi i potężnej mocy. To wibrowało, dlatego wyczuwał raczej jego obecność aniżeli identyfikował ją, zupełnie tak, jak czasem zdawało mu się wyczuwać wibracje dźwięku zbyt słabego, aby mógł być słyszalnym.

Tym razem jednak było to silniejsze, dużo silniejsze, i sprawiło wrażenie, jakby działało na jego korzyść, gdyż stara służka mówiła teraz o rzeczach, o których wcześniej ledwie wspomniała.

— A co jeszcze robiła? — szeptał dopytywał się Valdir, zaciskając dłonie

aż do bólu. O to chodziło. Tego właśnie szukał. Tajemnicy, której nikt nie znał. Klucza do wszystkiego.

Jej słowa brzmiały, jak gdyby mówiła do siebie.

— Gdy Tashir dorósł... i wyprzystojniał... Ylina zaczęła patrzeć na niego innymi oczami. Bogowie wiedzieli, że Deveran nie przychodził do jej łóżka od czterech lat i nie dopuszczał do niej żadnych służących mężczyzn, tylko kobiety. A ona nigdy, poza łóżkiem, nie zaznała żadnej radości. Zastanawiam się, czy nie wydawało jej się czasem, że jest to jedyna rzecz, którą umie robić dobrze. — Wzrok starszej pani wciąż zatopiony był w kamieniu, wcale już nie patrzyła na niego, a jej głos był tak cichy, że Valdir musiał nastawiać uszu, aby go usłyszeć. Uniosła się troszkę, a on poczuł ostrą woń lawendy unoszącą się z jej sukni.

— Tashir zaczął coraz bardziej upodabniać się do swego wuja i nadal bardzo się jej bał; tej, która nigdy nikogo nie przestraszyła i nie potrafiła nawet zaskarbić sobie szacunku swych służących. Musiało być trudno oprzeć się pokusie takiej kombinacji: strach i przystojne młode ciało i twarz. Zaczęła więc uwodzić swego własnego syna.

Valdir zamarł. Nie... to... bogowie...

Reta ciągnęła dalej, wciąż tym samym, sennym głosem, jakby mówiła tylko do siebie:

— To przerażało go jeszcze bardziej. Sądzę, że pewnego razu zrozumiał, co się dzieje. Biedne dziecko. Początkowo nie mogłam w to uwierzyć. Myślałam po prostu, że rozpieszczając go, Ylina okazuje mu zbyt wiele ciepła. Korzystała z każdego pretekstu, aby go dotknąć. Z każdego możliwego pretekstu.

Valdir zwilżył wargi, ale nie mógł wydobyć z siebie żadnego głosu.

Reta westchnęła.

— A Deveran albo o tym nie wiedział, albo go to nic nie obchodziło. Skłaniał się raczej ku tej drugiej możliwości. Miał już, czego chciał: trzech synów bezsprzecznie jego krwi zbliżających się do wieku męskiego. Co działo się z Tashirem, nie miało znaczenia. Jedyną osobą, którą obchodziło, co się z nim dzieje, był stary fehmistrz odsunięty przez Deverana, Karis. To on zabrał się do kształcenia chłopca, widząc, że nie zanosi się, aby zrobił to ktoś inny. Nie było to wiele, ale jednak coś. Dał chłopcu schronienie... i osobę do opieki, która była zrównoważona, przytomna i lubiła go.

— Dobry człowiek?

To jeszcze jeden sposób, jak nakłonić Tashira do otwarcia się...

— Bardzo dobry człowiek. Szkoda, że był w pałacu ze wszystkimi innymi.

Valdir miał ochotę zakląć i tylko wysiłkiem woli powstrzymał się od tego.

— W końcu wszystko zaszło tak daleko, że Tashir nie mógł utrzymać jej z dala od siebie... i wmieszała się w to jeszcze ta jego magiczna siła. Miał rodzaj ataku; zdemolował połowę buduaru. Wtedy właśnie Deveran podjął decyzję.

— Jaką decyzję? — spytał Valdir.

W tym momencie otaczająca ich moc gwałtownie wygasła. Po chwili pojawiła się znów. A potem zniknęła. Oczy Rety nabrały wreszcie zwykłego wyglądu.

— Co takiego? — zapytała nagle, unosząc nań oczy.

Bogowie, działanie zaklęcia zostało przełamane. Och, Świetlista Pani, pomóż mi przekonać ją. Czy Reta dokończy zdanie? Czy mógł sam ją do tego nakłonić?

— Miałaś mi powiedzieć, co zdecydował Deveran w sprawie Tashira — odpowiedział jej. — Tamtej nocy.

— Ach. — Otrząsnęła się obojętnie. — To. Sądziłam, że wszyscy o tym wiedzą.

— Ja nie wiem — zauważył Valdir. — I nikt nie chce o tym rozmawiać.

— To dość proste. Ponieważ Verdik robił tyle zamieszania wokół chłopca, Deveran postanowił pozwolić mu zająć się jego problemem. Deveran zamierzał wysłać Tashira do swych krewnych w Bares, i to na stałe. To właśnie powiedział Ylinie po uprzątnięciu pobojowiska w jej buduarze. I to właśnie chciał oświadczyć chłopcu przy kolacji. — Westchnęła. — I mogę się tylko domyślać, iż zważywszy na fakt, że ta jaskinia szaleńców przejmowała Tashira zgrozą dużo większą niż jego matka, to Deveran wypełnił swój plan i to właśnie sprowadziło... nieszczęście.

Valdir nie zdawał sobie nawet sprawy, ile czasu spędził w tamtym maleńkim saloniku. Gdy opuścił mieszkanie Rety, był przerażony. Do zachodu słońca pozostała zaledwie jedna miarka świecy.

Ogarnęła go panika. Potrafił myśleć tylko o jednym.

O domu.

Musiał dotrzeć do domu, nim okaże się, że jest już za późno. Z tego miejsca nie ważyłby się szukać kontaktu z Savil drogą myśloczucia. Byłoby to równie głupie jak wparadowanie do miasta główną bramą w pełnej Bieli na Yfandes. Popędził przez miasto, lawirując pomiędzy zgiełkiem ludzi i zwierząt w nadziei dotarcia do wschodniej bramy, nim zostanie ona zamknięta na noc. Jeśli ją zamkną, nie wydostanie się z miasta aż do rana. Rzucenia jakiegokolwiek zaklęcia obawiał się tak samo jak skorzystania z myśloczucia, Verdik wyczułby zaklęcie z większą nawet łatwością niż użycie daru. Lecz z każdą chwilą jego pobytu w Highjourne zwiększała się groźba, że tragedia, która pozbawiła życia całą rodzinę Tashira, może osiągnąć także jego bliskich.

Słońce nieubłaganie skłaniało się ku horyzontowi. Valdir czuł ból w boku, dyszał, z trudem łapiąc oddech, a wciąż nie przebył jeszcze połowy drogi dzielącej go od celu. Potknął się o jakiś stragan, podniósł się, biegł dalej. Z rozpaczą uświadomił sobie, że nie da rady osiągnąć bramy na czas.

A każda godzina mogła mieć znaczenie, mogła okazać się fatalną w skutkach. Tyle już wiedział.

Było aż nadto prawdopodobne, że Tashir w istocie uczynił to, o co go oskarżano, że wymagania ojca pchnęły go do kresu wytrzymałości i chwilowo stracił panowanie nad swymi darami i zmysłami. Nader prawdopodobną wydawała się możliwość, że Tashir dopuścił, aby pozbawiona ograniczeń moc obróciła się przeciwko niemu, doprowadzając go do spustoszenia całego domu oraz wszystkiego i wszystkich, którzy się w nim znajdowali.

Valdir zatrzymał się niezdolny do dalszego biegu, przywarł do ściany budynku na skrzyżowaniu ulic i patrzył za słońcem, które przemieniwszy się w krwawą kulę, tonęło właśnie za horyzontem, gasząc ostatni promyk nadziei.

Valdir wśliznął się do Prosiaczka i Kijaszką, skradając się pod ścianą i wtapiając się w cienie. Zbliżył się do Renfry'ego na tyle, że mógł go dotknąć, i zastygł w bezruchu, w jego cieniu.

Modlił się, aby Renfry jak najprędzej skończył swój zestaw piosenek i zrobił sobie przerwę. W gospodzie panował ukrop, a Valdir już po swym biegu zlany był potem. W boku nieustannie czuł rwanie i tak bardzo chciało mu się kaszleć, że od powstrzymywania się od tego teraz i klatkę piersiową rozsadał mu ból. Pot spływał mu po plecach, czole i kapał do oczu. Pod wpływem zapachu chleba i gulaszu mieszającego się z wonią porozlewane go piwa kiszki zaczęły mu grać marsza, a oczy powilgotniały. Lampy rzucały migotliwe blaski. Przywarł mocniej do ściany za swymi plecami, a cała izba jęła wirować mu przed oczami.

Za długo... Och, bogowie, dopomóżcie mi...

Wreszcie Renfry skończył i krótkim gestem odrzucił prośby o dalsze pieśni.

— Nie teraz, chłopcy — rzekł jowialnie. — Najpierw muszę sobie troszkę przepłukać gardło.

Odwrócił się i spostrzegł stojącego za nim Valdira. Zaczął coś mówić... ale spojrzawszy nań jeszcze raz, uważnie, i jego oczy zapały trwogą.

Porwał swą cytrę, a drugą wolną ręką chwycił Valdira za ramię, po czym bez słowa pchnął nie stawiającego żadnego oporu kolegę ku drzwiom prowadzącym do kuchni.

W kuchni było dość jasno, choć przy dwóch paleniskach i ceglanym piecu piekarniczym panował tam upał dwakroć większy niż w głównej izbie. Dominującą rolę w tym pomieszczeniu odgrywał ogromny stół ustawiony pośrodku. Niemożliwie gruby mężczyzna w oproszonym mąką, poplamionym fartuchu wyciągał właśnie z pieca na długiej drewnianej łopacie świeże bochny chleba i dla ostudzenia układał je na stole. Przy każdym palenisku uwijało się po dwóch chłopców: jeden obracał rożen, drugi pilnował kotła. Piąty siedział na stołku przy drzwiach, obierając buraki.

Renfry zepchnął chłopca z jego miejsca i posadził na nie Valdira.

— Co się stało? — zapytał. — Tylko mi nie mów, że nic. Wyglądasz jak ktoś,

komu właśnie odczytano jego wyrok śmierci.

Valdir skinał tylko głową. Wymyślił już historyjkę dla Renfry'ego, taką która znakomicie komponowała się z tym, co już mu opowiadał.

— Muszę. . . — wykrztusił w męczarniach i przełknął ślinę. — Muszę się stąd zabierać. Teraz. Dzisiejszej nocy.

Renfry spojrział na niego przymrużonymi oczami.

— Czy aby nie chodzi tu o tę piosenkę?

Valdir popatrzył na niego błagalnie.

— Jeżeli Verdik się dowie, że tu jestem — wyszeptał, nie mijając się wszak z prawdą — pewnie mnie zabije. Nie mówięś mi, że Verdik tu jest.

— Verdik! — wybuchnął Renfry. — Wielkie nieba, chłopcze, niezbyt ostrożnie dobierasz sobie wrogów! Och, do diabła.

Założył ręce na piersi i wbił wzrok w sufit, brwi tak zmarszczył, że prawie się stykały.

— Zastanówmy się. Przede wszystkim musimy wydostać twoje rzeczy od Bel. O. . . mam!

Wysmyknął się do głównej izby szynku i po kilku chwilach był już z powrotem.

— Przekupiłem właśnie tego sprytnego brzdąca kucharza, żeby świsnął twoje rzeczy. Jeśli jemu się to nie uda, to będzie znaczyło, że nie udałoby się to nikomu. A teraz mi powiedz, ile masz gotówki.

Valdir wywrócił na drugą stronę swą sakiewkę. Niewiele w niej było. Renfry policzył wszystko starannie.

— Tel! — krzyknął w głąb kuchennej krzątaniny. — Ile wczorajszego chleba i innych rzeczy mogę dostać za dwadzieścia miedziaków? Bądź szczodry, ten chłopak musi na tym przeżyć.

Potężny kucharz przytoczył się na ich stronę wielkiego stołu, obrzucił spojrzeniem Valdira, a potem mizerną kupkę monet.

— Ha. Jabłka są teraz tanie, mam trochę poobijanych. Dobre na drogę, ale nie do przechowywania. Chleb, uh. . . mam odrobinę takiego, który chciałem zużyć na farsz. Dam ci wszystko. Jest jeszcze ser, cały zapleśniały. Ale pleśń ci nie zaszkodzi, tylko wygląda paskudnie i ma piekielnie ostry smak. Ludzie w tych stronach nie lubią ostrego sera. Taki chudzielec jak ty przebieduje na tym ze dwa tygodnie.

Renfry popatrzył na Valdira z satysfakcją.

— To ci z łatwością wystarczy aż do granicy, a tam, po drugiej stronie organizują teraz Święto Plonów. Chłopak z twoim głosem, któremu nie uda się uezierać trochę miedziaków podczas Święta Plonów, nie zasługuje, żeby nazywać siebie minstrelem.

— Hej, Renfry! — Jakiś bezczelny urwis wcisnął się pod ramię Renfry'ego.

W jednej ręce trzymał tłumok i pled Valdira, w drugiej jego lutnię. — Tego szukałeś?

Valdir porwał lutnię z ręki dziecka i przycisnął ją do piersi. Do oczu napłynęły mu łzy.

— Och, bogowie, Renfry, ja. . .

Nigdy nie ważyłbym się pomyśleć, że tak mi pomoże. Nawet w najśmielszych marzeniach.

— Tylko na mnie nie wrzeszcz! — zamruczał Renfry, zasłaniając sobie uszy. — Wyprawiam z miasta konkurencję, tak jak ci mówiłem. Tel, masz. . . zapakuj jego jedzenie. — Pozbierał ze stołu wszystkie pieniądze oprócz dwóch srebrnych monet i sychnął je w garść kucharza. Miedziaki zniknęły w przepastnej kieszeni zaplamionego fartucha, a dłoń, która rozmiarem i siłą mogłaby rywalizować z ręką Bel, pochwyciła tłumok.

— A teraz posłuchaj mnie uważnie, bo powiem ci to tylko raz. Pójdiesz do zachodniej bramy. Wiem, że to nie ten kierunek; okrążysz miasto, jak będziesz już za murami. Zapytasz o Asra. Rozumiesz?

— O Asra — powtórzył Vanyel, kiwając głową. — Zachodnia brama.

— Powiesz mu, że przysłał cię Renfry, i dasz mu jednego srebrnika. To zwykła taryfa łapówkowa przy wypuszczaniu ludzi z miasta po zapadnięciu zmroku i nie pozwól mu żądać więcej. A potem, gdy dotrzesz do granicy, dasz tego drugiego naszym strażnikom i przejdiesz na drugą stronę. W Valdemarze nie zawracają sobie głowy sprawdzaniem, kto przekracza ich granicę. Wystarczy, że nie wyglądasz na wojownika albo kupca. Wojownika wzięliby na spytki, a kupcowi kazali zapłacić podatek. Rozumiesz?

— Jeden srebrnik dla Asry przy zachodniej bramie, a drugi dla strażników granicznych.

— Dobry chłopak. — Renfry aprobująco pokiwał głową. — A teraz schowaj pled pod płaszczem i przytrzymaj paskiem. Przyda ci się, na dworze jest zimno. Jak już obejdiesz mury, pójdiesz drogą na wschód aż do czasu, kiedy zobaczysz drugie gospodarstwo po prawej stronie drogi. Tam się zatrzymasz. Przy drodze, po prawej stronie, stoi stodoła, a jej właścicielowi nie przeszkadza, gdy ktoś się tam prześpi, pod warunkiem że nie próbuje rozpalać sobie ogniska. Dalej będziesz musiał radzić sobie sam.

Valdir naciągał właśnie swój poszarpany płaszcz na pled owinięty wokół ciała, gdy powrócił kucharz z jego tłumokiem pękającym w szwach. Wcisnął dwie małe monety do swej pustej już sakiewki, przerzucił tłumok przez jedno ramię, lutnię przez drugie, i odwrócił się ku Renfry'emu, szukając w myślach jakiegoś sposobu, aby mu podziękować.

Renfry tylko zajrzał mu w oczy i zaraz złagodniał.

— A niech to. Szkoda, że nie możesz tu trochę zostać — rzekł grubym głosem i przygarnął Valdira do siebie, obejmując go niezgrabnie. — A teraz zabieraj się

stąd, zanim Bel przyjdzie cię szukać.

Pół bochenka chleba, ser i kilka jabłek było dla Vanyela ucztą, jakiej nie miał od dwóch tygodni. Całą resztę prowiantu dostała Yfandes.

To zabawne, jak łatwo zdajesz się znajdować przyjaciół w najbardziej nieoczekiwanych miejscach — zamyśliła się. — Czasem się zastanawiam. . .

Przyjaciół? Co ty mówisz? — zapytał, przymocowując pled na jego miejscu i wdrapując się na jej grzbiet. — *Bogowie.* — Został tak przez chwilę, nawiedzony kolejnym przypiływem dezorientacji.

Nieważne. Dobrze się czujesz?

Nic mi nie będzie. Jestem tylko niedożywiony i wycieńczony. — Podniecenie ścisnęło mu żołądek. Nie zrobiłby sobie postoju na posiłek, gdyby nie czuł, że po spacerze wokół murów miasta, w drodze na miejsce spotkania z Yfandes, nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Cienie pod drzewami zdawały mu się złowieszcze. Wiatr pośród niemalże nagich konarów zawodził niczym konający w męczarniach. Musiał wracać. . .

. . . ale ten starzec był wśród tych, którzy zginęli. Myśl o tym nie dawała mu spokoju. Tashir musiał bardzo kochać tego człowieka, zważywszy na sposób, w jaki zareagował na Jervisa. To nie było udawane. Nie wierzę, aby zabił jedyną osobę, której ufał, nawet w napadzie nie kontrolowanej wściekłości i strachu.

Nieważne. Istota rzeczy polegała na tym, aby zdobyte wiadomości ponieść teraz z powrotem, zanim okaże się, że jest już za późno. Zanim to samo wydarzy się w Forst Reach. W gruncie rzeczy mogło jeszcze zostać dowiedzione, że to nie Tashir wymordował rodzinę Remoerdis, Vanyel jednakże nie chciał ryzykować.

— No, Yfandes — powiedział na głos. — Zabierajmy się stąd.

A ona dała susa wprost na zalaną księżycem drogę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gdyby tylko Vanyel miał odwagę posłużyć się zaklęciem Bramy w takiej bliskości Verdika, z pewnością by to zrobił. Ale nie śmiał; nie śmiał budzić jego czujności, zdradzając, że w mieście przebywa mag aż tak potężny, by wznieść Bramę. Jeśli w istocie Mavelanowie kryli się za całą tragedią, Vanyel byłby głupcem, prowokując Verdika do wszczęcia dochodzenia. W konsekwencji on i Yfandes zapukali do bram Forst Reach dopiero po wschodzie słońca. . .

I przekonali się, że panuje tam spokój taki sam jak wówczas, gdy odjeżdżali.

A nie mówiłam — odezwała się Yfandes drażniąco rozsądnym tonem, zwalnając do leniwego stępa. — *Mówiłam ci, że gdyby coś się stało, czulibyśmy to, tak jak za pierwszym razem. No powiedz, nie mówiłam?*

Wizje rzezi i szczątków ludzkich umknęły już sprzed jego oczu, zabierając ze sobą strach, który dotąd dodawał mu sił i pomagał wytrwać. Gdy dotarli do stajni, Vanyel ześlizgnął się ociężale z grzbietu Yfandes, przyrzekając sobie, że nie odezwie się do niej ani słowem.

Bo gdyby uległ pokusie dogryzienia jej, nie skończyłoby się na zwykłej kłótni. Nie cierpiał, gdy powtarzała: „A nie mówiłam?”

Nie chciał wdawać się z nią w sprzeczkę, nie chciał nawet zamienić z nią ani słowa; nie zasługiwała na to.

Nie bardzo.

Cierpiał; cały był obolały i na wpół skostniały z zimna. Nogi drżały mu lekko, gdy szedł obok niej do stajni, a jego buty i jej podkowy stukały głucho na drewnianej podłodze. Z ledwością zdołał otworzyć jej przegrodę, a potem, czyszcząc jej sierść, cały czas opierał się o coś. Dziękował bogom, że siano i woda już na nią czekały.

Odpocznij trochę — powiedział. Zmęczenie zamroczyło mu umysł i zamieniało słowa w bełkot. — *Ja zamierzam zrobić to samo.*

Nie pamiętał nawet, jak dotarł do swego pokoju. Przypominał sobie tylko, że zostawił lutnię Medrena przy jego drzwiach, zrzucił z siebie brudne łachy wprost na podłogę, dowłókł się do łóżka i padł na nie. Dosłownie padł. W tym miejscu nogi odmówiły już wszelkiej współpracy. Świadomości starczyło mu jeszcze na tyle, by zdjąć połataną bryczesy i buty, naciągnąć na siebie kołdrę i omotać nią

swe przemarznięte, skostniałe ciało. Potem ledwie przestał dygotać, już spał i nic nie obchodził go świat dookoła. Tashir mógłby powtórzyć masakrę z Highjourne, a on przespałby wszystko.

Zbudził się późnym popołudniem, wciąż zmęczony, lecz nie bardziej niż na początku swej wizyty w domu. Brudne rzeczy zniknęły. Najwyraźniej któryś ze służących przyszedł i posprzątał po nim, a to że Vanyel nie zbudził się, ani nawet nie słyszał intruza, mogło być jedynie miarą jego wyczerpania. Nie był z siebie zadowolony. Taka nieostrożność w innych okolicznościach mogła go zabić.

Z drugiej jednak strony świadczy to o tym, że nie jestem już tak przewrażliwiony jak przedtem, a to wszakże dobry znak. Pierwszy punkt w rozkładzie dnia to posiłek i kąpiel. Krótka wizyta w kuchni po drodze do łaźni pozwoliła załatwić obie sprawy za jednym zamachem.

Lecz następną pozycją w tym rozkładzie — taką, która sprawiła, że pochłaniając łąpczywie pierwszy przyzwoity posiłek od dwóch tygodni, nie odczuł nawet smaku potykanych potraw — była długa rozmowa z Jervisem i Savil.

— Chłopak tak kurczowo trzyma się Jervisa, jakby go kto do niego uwiązał — stwierdziła Savil. Gdy Vanyel podązał za nią do sali treningowej, przedwieczorne słońce kapało świat w swym soczystym blasku. — Było zupełnie spokojnie, *ke'chara*. Chłopak nawet nie pisnął i ani jeden talerz nie poderwał się w powietrze. — Spojrzała na niego dziwnie, z cieniem niepokoju w oczach. — Widzę, że przyleciałeś tu jak na skrzydłach i to w takim stanie... chciałabym, żebyś mi łaskawie powiedział, co się stało.

Vanyel potrząsnął głową i włosy znów wpadły mu do oczu. Nie miał nawet czasu ich ostrzyć i były teraz o wiele dłuższe niż zwykły nosić. Odgarnął je ręką i zdusił w sobie rozdrażnienie, o jakie go przyprawiały.

— Opowiem, jak tylko będę miał was razem, ciebie i Jervisa. Nie mam ochoty dwa razy powtarzać tego samego i chciałbym wysłuchać waszych opinii równocześnie. Niektóre ze zdobytych przeze mnie wiadomości mogą napawać przerażeniem, a żadna z nich nie jest przyjemna. W dodatku nie mam pojęcia, jakie z nich wysnuć wnioski.

Savil zamyśliła się nad jego słowami.

— Sądziłam, że wybrałeś się tam w poszukiwaniu odpowiedzi na interesujące nas pytania.

— I odnalazłem je — odparł Vanyel głęboko strapiony. — Lecz odpowiedzi, które odnalazłem, zrodziły kolejne pytania.

Jervis był sam w warsztaciku przy sali treningowej. Może to pierwszy szczęśliwy zbieg okoliczności, jaki przytrafił mi się od dłuższego czasu — pomyślał

Vanyel z niechęcią. Brwi Jervisa aż podskoczyły na widok wyrazu twarzy Vanyela, on sam jednak nie ruszył się z krzesła, odłożył tylko naramiennik, który właśnie naprawiał, i odczekał, aż Savil i Vanyel usadowią się wygodnie.

— Wróciłeś, hm? — odezwał się fehmistrz z cicha. — Sądząc po twoim wyglądzie, domyślam się, że chyba mi się nie spodoba, co masz do powiedzenia.

Vanyel starannie zamknął drzwi za Savil. Wolałby stać, ale wciąż był nazbyt zmęczony. Poszedł więc na kompromis, przysiadając na stołku, a potem jął błędzić spojrzeniem, przenosząc je od Jervisa na swą ciotkę i z powrotem. Zachodził w głowę i nie znajdował pomysłu, od której strony ugryźć całą sprawę.

— Dowiedziałeś się, kto tak nastraszył chłopaka? — zagadnął Jervis.

Równie dobrze można zacząć i od tego. Vanyel wziął głęboki oddech.

— Tak — powiedział i przystąpił do swej opowieści.

Jervis i Savil wysłuchali go w całkowitym milczeniu, wstrzymując niemal oddech. Twarz Savil nie wyrażała nic; Jervis, zacięty, wyglądał, jak gdyby gotów był wyzwać kogoś na pojedynek. Na początek choćby Vanyela.

— To wszystko — zakończył Vanyel. Jego ramiona uwolnione od napięcia obwisły z wolna ze zmęczenia. — Tyle się dowiedziałem. Musicie przyznać, że wyjaśnienia doskonale odpowiadają objawom.

— Do diabła, Van — wycedził Jervis przez zaciśnięte zęby, wyraźnie z trudem powstrzymując się od wybuchu. — Piekielnie mnie kusi, żeby rzucić ci prosto w twarz, żeś kłamcą!

— A dlaczegoż to? — spytał Vanyel bez ogródek, nadto zmęczony, by silić się na dyplomację. Jervis poczerwieniał i ryknął:

— Bo to nie ma nic wspólnego z tym, co mówił mi Tashir! Sposób, w jaki to opowiadał...

— Chwileczkę! To ma znaczyć, że Tashir rozmawiał z tobą o swojej rodzinie?

— Ufa mi! Czy nie może już ufać nikomu poza tobą?

Vanyel wytłumaczył sobie zachowanie Jervisa tym, że sam zareagowałby podobnie, gdyby to pod jego opieką znajdował się chłopiec. I zaraz powściągnął nerwy.

— W takim razie zacznij od początku i powiedz mi, co usłyszałeś?

Jeśli uznać informacje zdobyte przez Vanyela za prawdziwe, to z opowieści Jervisa wyłoniła się z kolei istna fantazja. W swych długich rozmowach z Jervisem — a wyglądało na to, że było ich kilka — Tashir odmalował nieskazitelny, idylliczny wręcz obraz swej rodziny, której członkowie zmuszeni przez okoliczności i wrogów okazywali na zewnątrz oblicze zupełnie odmienne aniżeli w stosunkach między sobą. Matka na przykład — Tashir przedstawił ją jako nieustannie cierpiącą zabawkę w rękach jej krewnych. Według niego, poznawszy się na dobroci Deverana, stanęła dziarsko u boku swego pana i małżonka, odgrywając zarazem rolę odrażonej, nie chcianej żony po to tylko, aby nie dać Mavelanom powodu do

snucia domniemań, jakoby mogli wykorzystać ją w swej grze przeciwko Lineasowi i jego władcy.

I według bajeczki Tashira Deveran nie miał w sobie nic ze zgorzkniałego, bezsilnego tancerza balansującego na linie pomiędzy pogrozkami płynącymi z Barres a polityką Lineasu. Był natomiast surowym, lecz dobrym patriarchą Lineasu. Deveran, jak powiedział Jervisowi Tashir, wydziedziczył swego syna jedynie ze względu na naciski ze strony ludu. Nie, Tashir nigdy nie miał wątpliwości, kto jest jego ojcem. Nie, nie doszło do żadnej awantury, nie wydarzyło się nic, z wyjątkiem drobnego nieporozumienia, które wyjaśnili zresztą jeszcze tego samego wieczoru.

Zwykle urojenia, od początku do końca urojenia.

— To w żaden sposób nie przystaje nawet do tego, co Tashir powiedział mnie!
— obruszył się Vanyel, zdegustowany grą, którą chłopiec zdawał się prowadzić.
— Mówił mi, że ojciec go nienawidził, że jedyną niezwykłą okolicznością w tamtym incydencie, kiedy ojciec go uderzył i przewrócił na podłogę, było to, że wcześniej Deveran nigdy nie podnosił na niego ręki na oczach innych ludzi!

— Do diabła! — rzucił Jervis, czerwieniejąc ze złości. — Chłopak był na skraju szaleństwa i z przerażenia stracił rozum.

— To jedynie następny argument przemawiający za tym, że powiedział mi prawdę. Wtedy nie miał dość czasu, aby wymyślić jakąkolwiek historię!

Jervis zaczął protestować, ale Vanyel natężył głos, uciszając go.

— Ponadto relacja o awanturze nie pochodziła wyłącznie z ust Tashira, lecz także od herolda Loresa!

— To dureń — wtrąciła niechętnie Savil — ale uczciwy dureń.

Jervis skoczył na równe nogi.

— A jaką rolę odgrywa tu fakt, że masz po prostu chrapkę na tego chłopca?
— warknął, zaciskając dłonie w pięści i biorąc się pod boki.

Vanyel poczuł przyływ gorączki, potem zimna.

— Jeśli takie jest twoje podejście, nie widzę sensu ciągnąć tej dyskusji. Myśl sobie, co chcesz... rób, co chcesz, ale spróbuj wejść mi w drogę, a zakuję cię w kajdany i zaciągnę wprost do Lissy.

Jervis zmartwił.

— W pierwszej kolejności, fehmistrzu, jestem heroldem służącym swemu królowi i tej ziemi. Skoro tylko dojdę do wniosku, że chłopiec ten stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa którego bądź z nich, oddam go pod opiekę Randała. Nie swoją, fehmistrzu. Przedtem jednak muszę poznać i poznam odpowiedzi na dręczące nas pytania i nie pozwolę nikomu choćby próbować przeszkodzić mi w tym.

Vanyel uniósł się sztywno ze swego stołka, odwrócił się dumnym krokiem skierował się do drzwi. Nie uszedł jeszcze kilku metrów, kiedy zatrzymał go wyrywany ze ściśniętego gardła Jervisa na wpół zduszony okrzyk:

— Czekaj!
— Dlaczego? — zapytał, nie odwracając się.
— Bo... musimy... rozwiązać tę sprawę. — Jervis odchrząknął. — Wszyscy razem.

Vanyel odwrócił się — wciąż jeszcze rozgniewany, zwalczając jednak swą złość.

— Zgoda. Ale jeśli mamy z tym wszystkim dojść do ładu, musisz ważyć moje słowo na równi przynajmniej ze słowem chłopca.

Jervisowi wyraźnie się to nie podobało, ale jego protest nie był nazbyt ostry.

— Jak, u diabła, mamy powiązać ze sobą dwie wersje wydarzeń, które aż tak się od siebie różnią?

— Popatrz na tę, która pasuje do zaobserwowanych symptomów. — Głos Vanyela brzmiał srogo, jego twarz była ściągnięta. — Nie pozwala się dotknąć kobietom pomiędzy osiemnastym a czterdziestym rokiem życia. Przypuśćmy, że historia którą ci opowiedział, jest zgodna z prawdą. Ylina na przemian bije go i kocha, a potem usiłuje go uwieść...

Wytarł czoło i zobaczył na swej ręce krople potu.

— Bogowie. Pomyśl tylko, jak Tressa traktuje każdego atrakcyjnego mężczyznę, włącznie ze mną. Flirtuje z każdym. Dla niej to tylko gra, lecz wyobraź sobie, jakie wrażenie musiał odnieść Tashir. Weź pod uwagę, jak on na to zareagował. Przyjmując, że to moja wersja jest prawdziwa, można by nawet przewidzieć, iż uczyni dokładnie to, co uczynił. Podda się panice i pozwoli, aby jego dar zadziałał i odstraszył natarczywą kobietę. Zupełnie tak samo, jak mówiono mi, zachował się w stosunku do swej matki. Pomyśl tylko, jak Tashir kryje się przed Withenem! I pomyśl, jak kurczowo trzyma się ciebie, Jervisie! To wszystko ma sens.

Jervis wyjąkał:

— No tak, ale...

— I wszystko wskazuje na to, że Tashir mordował nieświadomie — ciągnął Vanyel z rozpaczą w sercu.

— O, nie, w to nie uwierzę! — wrzasnął Jervis, zrywając się na równe nogi. — Ten chłopiec nie jest zbrodniarzem! Do diabła, wczoraj podczas ćwiczeń niemal sam się wykastrował, kiedy usiłował cofnąć swój miecz, widząc, że Medren stracił hełm!

— A któż inny miałby to zrobić? — odpalił Vanyel, zagłuszając sprzeciwy Jervisa wyższym tonem głosu. — Posiadał w sobie potrzebną moc, był na miejscu i miał motyw! Nie ma nikogo, nikogo innego poza Tashirem, kto miałby jakikolwiek motyw!

— Nie! — upierał się Jervis, oczy poczerniały mu ze wściekłości. — Nie, z tym się nie zgodzę! Przypomnij sobie, jak bardzo starał się nikomu nie wyrządzić krzywdy w buduarze Tressy.

— Ale był oszalały ze strachu, z dzikiej złości. Czy możesz to jakoś wytłumaczyć?

— Nawet jeśli był oszalały ze strachu, jakże mógł zabić Karisa? Kochał tego staruszka. Musiał go kochać, skoro zaufał mnie tak bardzo tylko dlatego, że jestem do niego podobny!

Vanyel ociężałe osunął się z powrotem na stołek.

— Nie wiem — przyznał cichym głosem. — To zaledwie jedna zagadka spośród tych, które zaprzatają mi ostatnio myśli. We wszystkich znanych mi przypadkach, kiedy to dary obracały się przeciwko ludziom, rozbestwiona moc nie wyrządza krzywdy nikomu poza tymi, którzy akurat weszli jej w drogę. W tym przypadku jednakże zginęli wszyscy i to właśnie nie ma żadnego sensu. Mogłoby mieć sens jedynie wówczas, gdyby Tashir zupełnie stracił głowę w panice i zabił w przekonaniu, że uśmierca świadków własnej zbrodni; z moich wiadomości wynika jednak, że on nawet nie miał czasu na wykoncypowanie czegoś takiego. Muszę powiedzieć, że o ile znam jego naturę, nie jest to możliwe. Nie wyobrażam go sobie zabijającego z zimną krwią, nawet dla ocalenia własnej skóry. — Vanyel potarł pięściami pulsujące skronie. Napady gniewu zawsze przyprawiały go o ból głowy. — Pierwsza część historii pasuje, ale druga już nie. W żaden sposób nie mogę ich ze sobą pogodzić.

— Pozostają jeszcze inne zagadki — odezwała się Savil ze swego miejsca na pryczy. Vanyel spojrział na nią zaskoczony. Zapomniał już, że w ogóle tam jest. — Pozostaje całe mnóstwo innych zagadek. Niektóre z nich mogą się jakoś wpisać w ten ogólny obraz, a inne nie. Tak czy inaczej fakt pozostaje faktem, że jest ich zbyt wiele. Zachowanie Verdika z pewnością można nazwać osobliwym. W najmniejszym stopniu nie pokrywa się ono z tym, co słyszałam o nim do tej pory. Albo ten człowiek się poprawił, albo coś knuje. Jakby tego było mało, wciąż jeszcze mamy tajemnicę rodu Remoerdisów, rodziny królewskiej Lineasu. Z jakiego to powodu Deveran nalegał, aby wyłącznie ludzie spokrewnieni z jego rodziną służyli w pałacu? Dlaczego pałac został wybudowany na skupisku sił magicznych? Dlaczego mieszkańcy Lineasu są takimi zatwardziałymi przeciwnikami magii?

Vanyel potrząsnął głową.

— Wydaje ci się, że to kwestie najistotniejsze?

— A tobie nie? — Wstała i wygładziła przód swej tuniki. — Doskonale wiesz, że są najistotniejsze, bo inaczej w ogóle byś ich nie poruszał. Ja skłaniam się raczej ku wersji Jervisa: Tashir nie jest mordercą. Zgadzam się jednakże, że twoja opowieść o tym, jak traktowano chłopca, wyjaśnia jego zachowanie daleko lepiej niż historyjka, którą Tashir wcisnął Jervisowi. Ale jest jeszcze coś, czego nam tu brakuje. Coś bardzo ważnego. Jestem przekonana, że wszyscy powinniśmy się nad tym zastanowić.

— A co z bajeczką, którą Tashir karmił Jervisa? — zapytał Vanyel.

— Wydaje mi się, że ktokolwiek z nas natknie się na niego, pierwszy powinien

go o to zapytać... albo nie, pozwólcie, że wprowadzę tu małą poprawkę. Ktokolwiek z nas dwojga, Van. Jervisie, wybacz, ale gdy w grę wchodzi magia, jesteś bezbronny. Ja zaś, Vanyelu, jestem pewna, że będę umiała zapanować nawet nad najtrudniejszą sytuacją, jaką Tashir może wywołać.

— Tashir nikogo nie skrzywdzi, a już na pewno nie mnie — upierał się zawzięcie Jervis. — Wiem o tym, do diabła, wiem!

— Wybacz, ale wolałabym nie ryzykować — rzekła oschle Savil. — Nie cierpię zbierania szczątków po moich znajomych. Rozłożyliśmy ten problem na czynniki pierwsze, a teraz pozwólmy, by sytuacja dojrzewała sama, i zajmijmy się kolacją.

— Na bogów. — Vanyel ześlizgnął się z taboretu, wyciągnął przed siebie ręce i ze zdumieniem patrzył, jak się trzęsą. — Dopiero co jadłem, a po takiej hecy żołądek powinien mi pochodzić do gardła. Tymczasem gotów byłbym zjeść konia z kopytami.

— Tylko się nie objadaj — ostrzegła go Savil, gdy opuścili już Jervisa w samotności przemyśliwującego to, co przed chwilą usłyszał. — Dzisiejszej nocy odbywa się festyn z okazji Święta Plonów.

— Co takiego? — Popatrzył na nią, w jego głowie zapanował zamęt — Święto Plonów... to niemożliwe... och, bogowie...

Policzył w myślach dni, a gdy doszedł do dnia dzisiejszego, poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

— Och, bogowie. To Noc Sovan. Mija kolejny rok.

Noc śmierci Tylendela.

Następny ciężar. Jak gdyby mało było wyczerpania, dezorientacji, kłótni z Jervisem...

To było ponad jego siły. Resztki opanowania uleciały zeń w mgnieniu oka, sprowadzając gwałtowny atak zawrotów głowy — jak gdyby zawisł nagle nad przepaścią.

Wewnętrzny chaos najwyraźniej musiał znaleźć swe odbicie na jego twarzy. Savil przysunęła się doń, z troską ściągając brwi.

— Van... *ke'chara*... nie myśl o tym. Nie pomożesz sobie rozpamiętywaniem tego. — Objęła go ramieniem. — Idź do stodoły razem ze wszystkimi. A ja...

Vanyel nie poczuł prawie jej dotyku. Widział tylko...

... powykęcany kształt bez życia...

Przysłonił twarz maską żelaznego opanowania.

— Tego nie potrafię zrobić — odparł chłodno. — Nie potrafię zapomnieć, szczególnie dzisiejszej nocy. Nigdy nie zapomnę...

— A zatem, na bogów, dla własnego dobra znajdź sobie jakąś rozrywkę... muzykę, taniec...

— Nie, Savil. — Odsunął się od niej i zmusił się do pójścia w kierunku zamku. — Radź sobie ze swym żalem po swojemu, a mnie pozwól to zrobić po mojemu.

— Ależ...

Uparcie potrząsnął głową, nie chcąc mówić już nic więcej; nie miał nawet pewności, czy w ogóle by zdołał. Zapomnieć Lendela? Jakże mógłbym zapomnieć... jakże mógłbym kiedykolwiek zapomnieć?

Och, Lendelu...

Tylko w jednym miejscu miał szansę skryć się przed odgłosami uroczystości — na kamiennym ganku w północnej części zamku. Wszelkie inne sprawy zaprzatające mu dotąd myśli przestały istnieć z chwilą, gdy tylko uświadomił sobie, co to za noc. Teraz pragnął jedynie samotności.

Zwiodła go nadzwyczajnie ciepła jesień; zwykle w porze Nocy Sovan pojawiały się już lodowate deszcze i ostre wiatry. Podobne do burzy tamtej nocy...

Zwykle w tę noc Vanyel wynajdywał sobie jakieś pożyteczne zajęcia; na przykład pełnił wartość honorową, zastępował kogoś jako kurier, albo nawet zajmował miejsce któregoś ze Strażników doglądających Wielkiej Sieci. Chwytał się czegośkolwiek, byle tylko było to zajęcie nie pociągające za sobą konieczności kontaktowania się z ludźmi, a jedynie służenie im.

Zupełnie zapomniał, że tego roku będzie spędzał Noc Sovan w domu rodzinnym — przypuszczalnie w całkowitej beczynności i swobodzie, których jedynym owocem będzie przypomnienie o jego beznadziejnej samotności.

Przez kilka pierwszych lat nie było aż tak ciężko. W gruncie rzeczy w dwóch pierwszych latach bywało, że nachodziła go wręcz pewność bliskości tej hołubionej osoby, która wciąż na niego czeka. Z biegiem lat jednak coraz bardziej oczywistym stawał się fakt, iż zawsze był i będzie sam. Szczególnie Noce Sovan przynosiły z sobą widmo przemożnego przygnębienia, które spadało nań, gdy tylko nie wykazał dość ostrożności, by się go ustrzec. Ta Noc Sovan zaś zapowiadała się na wyjątkowo ciężką próbę. Nazbyt był wyczerpany, nazbyt wstrząśnięty, aby znieść jakąkolwiek walkę przeciwko samemu sobie.

Przypatrywał się słońcu tonącemu w chwale w głębinach horyzontu, a potem patrzył na rozbłyskujące po kolei gwiazdy, roztaczające swój bujny kwiat na tle aksamitu nieba. Gdy białe iskierki zaczęły zlewać się przed jego oczami, zamknął powieki, i wbrew wszystkiemu toczył swą bitwę przeciwko litości wobec siebie i bólowi rozdzierającemu serce. Dość już wypłakałem łez, one nie przyniosą ukojenia, pogorszą tylko wszystko. Chciałbym być Valdirem. Chciałbym być znów w Przystani. Przelotnie pomyślał o Yfandes, ale odrzucił pomysł odwiedzenia jej. Choć tak bardzo ją kochał, ona nie mogła mu pomóc. Jej bliskość byłaby tylko przypomnieniem tego, jak wiele stracił, aby zyskać ją.

Potrzebuję jakiegoś zajęcia. Savil miała rację. Czegoś, co będzie wymagało skupienia.

Znał tylko jedno zajęcie, które mogło wypełnić wszystkie jego myśli i zogni-

skować całą uwagę. To magia. Przywołam do życia parę iluzji, solidnych i zwartych. Przyda mi się takie ćwiczenie. Potrzebuję ćwiczeń.

Przysiadł na skraju jednej z kamiennych ławek — szorstki granit był jeszcze nagrany od popołudniowego słońca — i skupił wzrok w jednym punkcie przed sobą. Ludzie — z nimi jest najtrudniej. Gwiezdny Wicher. Jego obraz w mej pamięci zdaje się wciąż dość żywy.

Zamknął oczy i skoncentrował się.

Niewiele wysiłku kosztowało go stworzenie iluzji — uczyniła to zaledwie jedna mała wiązka mocy, której nie musiał nawet zaczerpnąć ze swych rezerw. Wystarczyła otaczająca go energia. Wzniósł iluzoryczny obraz wibrującej kolumny światła wznoszącej się w powietrzu tuż przed nim, a potem począł formować bezkształtną energię w wyobrażenie postaci, budując ją starannie od stóp w górę. Zielone wysokie buty ze skóry, jedwabiste zielone bryczesy i tunika bez rękawów, wszystko wymodelowane na roslym, szczupłym, muskularnym ciele. W nim siła — dyskretna, nie domagająca się uznania. Sięgający pasa srebrny włos, cztery warkocze z przodu, reszta opadająca na plecy kaskadą lodowych nitek. Złota skóra. A potem twarz: spiczasta broda, wystające kości policzkowe, srebrzystobłękitne oczy ukrywające w swej głębi niezaprzeczną mądrość i humor, i jeszcze uśmiech błakający się w kącikach wąskich ust.

Otworzył oczy... przed nim stał przyjaciel z Tayledras, biegły uzdrowiciel Gwiezdny Wicher k'Treva.

Widział go przez moment; był idealny w każdym detalu.

A potem włosy skróciły się i pociemniały w blond kędziory, twarz nabrała bardziej krągłego kształtu, a ciemniejące do miękkiego brązu oczy jęło napełniać ciepło.

Serce Vanyela przeszył skurcz, odepchnął ten obraz i prędko zajął się następnym: Savil. Ten nie udawał się od samego początku i ze zbolałym westchnieniem Vanyel wymazał go, przechodząc do kolejnego. Tym razem nie był to już człowiek, lecz jeden z małych jaszczurów pełniących służbę u k'Trevów — *hertasi*.

Ale *hertasi* zaczął rosnąć i na jego głowie pojawiły się blond włosy.

— Och, bogowie... — Vanyel rozproszył i ten trzeci obraz, zakrył twarz dłońmi, drżąc na całym ciele i zwalczając żal.

To... to najgorsza Noc Sovan, jaką przeżyłem — pomyślał. Smutek rozsadał mu pierś, nawet oddychanie stało się bolesne. Najgorsza, odkąd umarłeś. Och, Lendelu, *ashke*, nie mogę już tego znieść, a nie mam żadnego wyboru! Jestem taki zmęczony, tak bardzo zmęczony... nie potrafię odzyskać równowagi. I na dodatek wiem, że nadal tak będzie, rok po roku, w samotności...

Nie wiem już, jak sobie z tym radzić. Nie pojmuję, jak ktoś może czuć takie osamotnienie, a mimo to utrzymywać się przy zdrowych zmysłach... Nie wiem już nawet, na ile ufam samemu sobie. Myślałem, że byłeś jedyną osobą, którą zdolny będę kiedykolwiek kochać, ale cała ta sprawa z Shavri postawiła wszystko

na głowie. I na dodatek jeszcze Tashir... tak niewiele brakowało, abym uległ pokusie...

Jedyna rzecz, której jestem pewien, to poczucie, że potrzebuję cię tak, jak zawsze potrzebowałem. Oddałbym wszystko, aby znów mieć cię przy sobie.

Zagryzł wargi i poczuł słodkosłony smak krwi; odjął dłonie od twarzy i zmusił powieki do otwarcia. Nocne cienie bezlistnych drzew sunęły niczym hebanowe kolumny na tle czerni. Ostatnie przymrozki zabiły owady, a większość ptaków odfrunęła już na południe. Dookoła nie było żadnych oznak życia, jedynie nagie cienie, czarne jak jego dusza, puste jak jego serce.

Tuż przed nim wzbiła się w powietrze jakaś świetlista wstęga i wtedy uległ do reszty swej udęce, swej przewrotnej potrzebie zatopienia się w cierpieniu.

Do diabła z tym wszystkim... czy to możliwe, abym cierpiał jeszcze bardziej niż teraz? Wszystko, czego się chwytam, przeobraża się w Lendela. Nie Shavri... to właśnie mówi o tym, kogo Kocham bardziej.

Po raz kolejny zamknął oczy i zaczął tworzyć nową postać, budując ją z żarliwą starannością, z precyzją dopracowując każdy szczegół, tak że tylko jego miłość potrafiła odróżnić ten iluzoryczny obraz od oryginału. Oddał sposób, w jaki jeden lok rozjaśnionych słońcem złotobrazowych włosów Lendela zwykł opadać na czoło — ledwie muskając brew. Wydobył głębiej przejrzystych brązowych oczu, czasem czarnych, czasem złotych; tak przepaścistych, że można się było w nich zatracić. Zarysował regularny podbródek... wystające kości policzkowe, pełne usta, tak skore do śmiechu, i silną kolumnę szyi. I ramiona gotowe na przyjęcie brzemienia wszystkich trosk świata. Ciało wojownika i tancerza zarazem, delikatne dłonie uzdrowiciela...

Teraz, gdy porzucił zmagania z samym sobą, nie zabrało to wiele czasu.

Och, Tylendelu...

Vanyel uniósł oczy, by obejrzeć swe dzieło i załkał mimowolnie, wyciągnawszy dłoń próbującą pochwycić powietrze.

Wyobrażenie było wstrząsająco idealne. Oto Tylendel z radosnego czasu ich jedynego wspólnego lata stał przed nim tak żywy, że Vanyelowi zdało się, iż postać oddycha, że za moment przemówi.

I to mógłbym zrobić; mógłbym sprawić, by oddychał i rozmawiał ze mną. Ale nie, tego bym nie zniósł. I tak jest już dość złudny. Och, bogowie, dlaczego? Lendelu...

Za jego plecami ktoś westchnął ciężko i Vanyel poderwał się, tracąc kontrolę nad iluzją. Obraz rozprysł się nagle, eksplodując setkami tysięcy migoczących drobinek, które spadły deszczem i zniknęły, nie dotknawszy nawet bladego kamienia posadzki ganku. Vanyel odwrócił się prędko i obok czarnej dziury drzwi ujrzał ciemny, niewyraźny kształt.

— Kto tam jest? — rzucił, pośpiesznie przecierając oczy wierzchem dłoni. — Czego chcesz?

— To... ja, Tashir. — Chłopiec zbliżył się ku niemu niepewnym krokiem. — Medren mi powiedział, że wróciłeś. Zastanawiałem się, gdzie jesteś. Dokąd pojechałeś?

Przygnębienie raptem przemieniło się w złość, że ktoś śmie mu przerywać, a żądza zadawania cierpienia wytrysnęła w nim jak gejzer. Pragnął, aby ktoś, ktokolwiek, poczuł w sercu ból taki sam, jaki czuł on w tej sekundzie. Wiedział, że to podłe. Wiedział, że Tashir byłby łatwym celem i że może go skrzywdzić. Trawiony okrutną żądzą, nienawidził jej już teraz. Wzbudzała w nim odrazę, a jednocześnie pragnienie spełnienia. W końcu ugasił ją, lecz złość pozostała, płomienna i mroczna. Ten młody człowiek, dla którego ryzykował swe życie, rozsadzał teraz od podstaw sens wszystkiego, co Vanyel uprzednio zbudował. I nie szło tu nawet o kłamstwa Tashira, ale o to, że wszystko, co chłopiec naopowiadał Jervisowi, zniszczyło niemal zupełnie owe kruche zaczątki przyjaźni, której stworzenie kosztowało ich obu tak wiele bólu i głębokiego wglądu we własne dusze. Nieszczerość Tashira najpierw rzuciła ich sobie do gardeł niczym wrogów, a potem pozostawiła jako pełnych zażenowania, niechętnych sobie sprzymierzeńców.

— Szukałem prawdy — rzekł cicho. — A tymczasem ty zdajesz się poświęcać ukrywaniu jej. — Poczul wzbierający w nim gniew i przelotnie straciwszy opanowanie, ryknął: — Dlaczego okłamałeś Jervisa?

— Nie okłamałem! — Głos Tashira załamał się, gdy Vanyel wstał i ruszył w jego stronę, rozpaliwszy na dłoni magiczne światło. Błękitny blask odbijał się na twarzy Tashira, wyłaniając z ciemności zdumienie i rosnący strach chłopca. Jego oczy rozwarły się, twarz skamieniała. Zaczął cofać się przed heroldem: jeden wymuszony krok po drugim kroku. Nie zatrzymał się, dopóki jego uda nie napotkały kamiennej balustrady, a Vanyel nie przyparł go do kąta ganku, odcinając wszelką drogę ucieczki.

— Okłamałeś — wyszeptał Vanyel. — Wszystkie te bajeczki o idealnej, kochającej rodzinie są niczym więcej jak właśnie bajeczkami. To kłamstwa. Byłem w Highjourne, Tashirze. Tam spędziłem ostatnie dwa tygodnie, rozmawiając sobie z różnymi osobami. Jedną z nich była służąca twojej matki, Reta.

Choć powietrze wokół nie drgnęło nawet, gałęzie krzaków za plecami Tashira jęły się miotać niczym targane wichrem. Vanyelowi niepotrzebny był ten widok, by spostrzec, że chłopiec w panice uwolnił swój dar. Przez moment czekał na dalszy rozwój sytuacji, chcąc przekonać się, jak daleko posunie się gwałtowność Tashira. Suche liście wzbity się w oszalałym tańcu, zagarniając ich do swego wiru, bezskutecznie chłoscząc Vanyela. Jednak przy przeciwniku walczącym orężem takim jak liście, atak nie mógł nawet rozproszyć jego uwagi. Vanyel z pasją skierował swą moc na Tashira, zatraskując wokół niego osłonę z siłą, jakiej pozazdrościłby mu nawet biegły, i wszystkie liście osiadły z powrotem na ziemi i posadzce ganku.

Tashir przywarł do kamiennej balustrady, odwracając oczy, gdy magiczne

światło na dłoni Vanyela wybuchnęło nowym blaskiem. Jakby na przekór, ten pokaz pożytecznego działania magii poddającej się ludzkiej woli wzniecił w nim jeszcze większą złość. Stłumił jednak wściekłość i zebrał się w sobie, przymuszając się do spojrzenia przynajmniej na chłopca.

— A zatem, Tashirze? — wyszeptał Vanyel beznamiętnie. — Jesteśmy gotowi do wysłuchania prawdy?

— O... czym? — wychrypiał Tashir.

Vanyel uformował światło w kulę i nieznacznym ruchem nadgarstka posłał je nad swą głowę. Splótł ramiona na piersi i zaciął usta, ze wszech miar starając się choć odrobinę jeszcze ostudzić swój gniew.

Rzucę na niego zaklęcie Prawdy. Wtedy przynajmniej będę wiedział, czy kłamie.

— Sądzę — rzekł w końcu — że możemy zacząć od twego ojca.

Przyzwał *vrondi*, a gdy otoczyło ono Tashira swą błękitną poświatą, jego blada twarz zajaśniała, ostrym konturem wyróżniając się spośród ciemnych cieni w tle. Słowo po słowie Vanyel wycisnął z niego historię identyczną niemalże z opowieścią Rety. Jeszcze trzy razy, gdy tylko Vanyel podejmował temat jego matki, Tashir mimowolnie próbował przywołać swój dar; nie udało mu się jednak przełamać osłony, którą Vanyel wciąż na nim utrzymywał. Vanyel, zachowując ledwie tłący się posępny spokój, spostrzegł, że choć w istocie fizycznie Tashir jest sparaliżowany, to jednak zachowuje świadomość, jeśli nawet nie świadomą kontrolę nad tym, co robi.

Wreszcie Vanyel postanowił wywrzeć nacisk — umyślnie sprowokować u chłopca taki sam stan, w jakim musiał znajdować się owej fatalnej nocy.

— Tamtej nocy, gdy cię odnalazłem — zaczął — ojciec powiedział ci coś, a ty mu odmówiłeś, i wtedy cię uderzył. Przypominasz sobie, o co chodziło?

Tashir potrząsnął głową, był na granicy hysterii. Błękitna poświatą zaklęcia Prawdy nie przestawała się jarzyć.

— Powiedział ci, że zamierza cię wysłać na stałe do waszych krewnych w Bares, że umywa sobie ręce od twoich spraw.

Trudno było się o tym przekonać w blasku światła magicznego i poświaty zaklęcia Prawdy, lecz Tashir zdawał się blednąć. Vanyel z żalem potrząsnął głową i umyślnie stanął tyłem do chłopca.

— Nie wiem, co z tobą zrobić — powiedział matowym głosem. — Ściągnąłeś na mnie same kłopoty i lada moment doprowadzisz do poważnego incydentu dyplomatycznego pomiędzy Valdemarem a Lineasem. Mógłbyś nawet spowodować wojnę. Przykro mi, Tashirze, ale twój wuj, Verdik, wniósł petycję, aby skierowano cię pod jego opiekę. Król Randal zaś prawdopodobnie to uczyni. Zważywszy na te okoliczności, moim zdaniem najmądrzej będzie, jeśli przyznam się, gdzie jesteś i jaką ja w tej historii odgrywam rolę, a rano przekażę cię Verdikowi.

Czekał na atak. Oczekiwał, że osłona załamie się pod naporem daru Tashira z taką samą gwałtownością, jaka ujawniła się podczas rzezi w Highjourne.

Zamiast tego jednak usłyszał jakiś osobliwy pisk, po którym napięcie za osłoną rozładowało się.

Vanyel zdumiony zakręcił się w miejscu i w ostatniej chwili złapał chłopca, który walił się na ziemię jak kłoda.

Blisko jedną miarkę świecy zajęło Vanyelowi ocucenie Tashira. Potem jeszcze więcej trwało przekonanie go, że choć była to może najrozsądniejsza droga, to tak naprawdę nie tę Vanyel zamierzał obrać. Chłopiec był śmiertelnie przerażony perspektywą znalezienia się w rękach Mavelanów, lecz nawet pod presją potwornej zgrozy jego dar nie zmanifestował się z gwałtownością większą niż chwilę wcześniej.

Ostatecznie Tashir dał wiarę słowom Vanyela, gdy ten obiecał, że nadal będzie udzielał mu schronienia, jednocześnie nie przestając dociekać, co wydarzyło się naprawdę.

Potem, gdy chłopiec uspokoił się nieco, Vanyel jął przepytować go od nowa.

Chłodno dozując wykalkulowane dawki nacisku, Vanyel co chwila na nowo przywodził go do szczytu wytrzymałości nerwowej, nie ustając w tych próbach aż do chwili, gdy zdobył pewność, że nic nie jest w stanie wywołać u Tashira morderczego szału.

W końcu chłopiec był już nadto wyczerpany, aby naciskać go dalej. Vanyel zaś czuł się niewiele lepiej, przynajmniej emocjonalnie.

— Dlaczego, Tashirze? — zapytał, poszukując jakiegokolwiek wskazówki do rozwiązania zagadki tamtej nocy. — Dlaczego wymyśliłeś tę bajeczkę dla Jervisa?

— Bo... bo chciałem, żeby mnie lubił! — wyrzucił z siebie rozpaczliwie. — Jak on miałby mnie lubić, skoro mój własny ojciec mnie nienawidził? Jak mógłby mnie lubić, gdyby wiedział, co moja rodzona matka chciała...

Vanyel przerwał mu, skrywając ogarniające go zrezygnowanie.

— Tashirze, Karis próbował cię chronić. Dlaczego uznałeś, że Jervis miałby być inny?

— Ale Karis był tam, widział, co się działo. Gdybym opowiedział to komu innemu, pomyślałby, że kłamię. Tak powiedziała moja matka.

Tashirze znów pobladł, lecz tym razem Vanyel dożył to na karb konieczności męznego stawienia czoła myśli o tak nienaturalnym związku.

— Karis — wyszeptał — był tam.

— Tashirze, z tego, co mi mówiono, wynika, że ona była jedyną osobą, która kłamała. Skąd ci przyszło do głowy, że powiedziała ci prawdę o...

— V-Vanyelu — wszedł mu w słowo chłopiec. — Karis... wcale mi nie powiedzieli, kto poza... czy Karis... jednym z... czy on był...

I Vanyel zobaczył, że Tashir dopiero teraz sobie to uzmysłowił; ujrzał w jego oczach błaganie, by powiedziano mu, że Karis żyje, błaganie, którego nie mógł spełnić. Odwrócił wzrok — to wystarczyło za odpowiedź. Chłopiec zgiął się wpół, przytrzymując się kamiennej balustrady i całym jego ciałem wstrząsał chrapliwy, rozdzierający szloch. Rozproszywszy osłonę i zdjawszy z Tashira zakłęcie Prawdy, Vanyel przypomniał sobie, że dotąd jednym z najdobitniejszych argumentów przemawiających za winą chłopca — w pojęciu Loresa przynajmniej — była nieczuła reakcja Tashira na wiadomość o tym, co się wydarzyło.

Lores powinien zobaczyć go w tej chwili — pomyślał Vanyel, obejmując ramieniem Tashira i pozwalając mu wypłakać się. Jego złość przeminęła już prawie zupełnie. Swe pragnienie zadania chłopcu bólu wspominał teraz z przyprawiającym o mdłości kluciem w żołądku. Tashir odwrócił się twarzą ku niemu i zaniósł się szlochem, a Vanyel robił wszystko, aby tylko nie utracić panowania nad sobą; tym razem jednakże z zupełnie nowych powodów.

W końcu chłopiec wysunął się z jego objęć i Vanyel nie zatrzymywał go. Przeszedł z powrotem do ławki w głębi ganku, na której wcześniej siedział, i opadł na nią, ujmując głowę w dłonie, nie myśląc o niczym; tylko cierpiąc.

Bo Tashir tak bardzo przypominał Tylendela.

Trzymanie go w ramionach, gdy płakał, było jak powtórne przeżywanie przeszłości. Martwej przeszłości. . .

Za swymi plecami postyszał pełne wahania kroki i nieśmiałe pociąganie nosem.

Z całego serca życzył sobie, aby chłopiec odszedł. . . rozejrzał się za Jervisem, wrócił do swego pokoju albo poszukał pociechy w zabawach na festynie; by zrobił cokolwiek i nie zostawał tutaj, kłując Vanyela w oczy swą aż nadto znajomą twarzą i nieświadomie wbijając sztylet w jego serce.

— Vanyelu. — Usłyszał pełny niezdecydowania szept. — Vanyelu, kim był ten mężczyzna? Ten, który zniknął, gdy cię przestraszyłem? Z początku wydawało mi się, że to ja, ale on był inny.

— To był tylko obraz, iluzja — odparł Vanyel, rozcierając skronie i kierując wzrok w czarną plamę swych stóp na tle szarego kamienia. — Ćwiczyłem.

Chłopiec stał tuż nad nim.

— Ale kto to jest? — nalegał. — To nie byłem ja i nie był to wuj Verdik. Dlaczego przywoływałeś jego wyobrażenie?

— To Tylendel — rzucił Vanyel. — Miał na imię Tylendel. Już nie żyje. Był. . . moim. . . kochankiem.

I połową mojej duszy, i całym sercem.

Tashir odskoczył w tył na odległość większą niż wyciągnięcie ręki. Tak wyraźnie miotał nim wstret i strach, że Vanyel odczuł to jak silny cios.

Jego zimna krew zawrzała.

— Do diabła — warknął, odwracając się do chłopca. — Czy mógłbyś nie zachowywać się, jak gdybym zaraz miał się na ciebie rzucić i cię zgwałcić? Nie mam zwyczaju bicia pałką po głowie młodych przystojnych mężczyzn i zawlekania ich do łóżka; bez względu na to, do kogo są podobni!

Tashir wysunął rękę, jakby chciał utrzymać go na odległość.

Vanyel nie był już w stania panować ani nad swymi nerwami, ani słowami.

— Nie tak dawno temu sam do mnie przyszedłeś — warknął — i byłbym ci wdzięczny, gdybyś łaskawie sobie przypomniał, że nie wykorzystałem wówczas tej sytuacji! Zmieniłeś już swój pogląd na temat tego, czy jesteś *shayn*, czy nie. Doskonale, nie mam z tego powodu nic przeciwko tobie, ani też twej decyzji. Bo to twoja, i tylko twoja decyzja. Nie mam żadnych intencji nakłaniać cię do zmiany zdania. Bądź jednak tak miły i nie zapominaj, że jestem istotą ludzką i utraciłem kogoś. . .

Rozpaczliwie wydierał słowa ze ściśniętego żalostí gardła.

— . . . utraciłem osobę, którą kochałem bardziej niż kogokolwiek. Łączyła nas więź życia i resztę swych dni spędzę bez niego. Nie jesteś jedynym samotnym człowiekiem na świecie! Nie tylko ty cierpisz!

Odwrócił się gwałtownie, wstał, sztywnym krokiem podszedł do balustrady i nie widzący wzrok wbił w kratkowany deseń z nagich konarów drzew. Z całych sił starał się uniknąć całkowitego załamania. Za sobą usłyszał szuranie nóg Tashira — dźwięk zdradzający niepewność.

Odejdź, chłopcze. Zostaw mnie w spokoju. Pozwól mi opłakiwać mojego zmarłego, mojego ukochanego. Idź uganiać się za moją bratanicą. Tylko mnie zostaw.

Ale szuranie przybliżało się, cichło, potem znów przybliżało, aż wreszcie Tashir stał już u jego boku. Vanyel nie przestawał patrzeć przed siebie, na konary i gwiazdy, które wyglądały te raz, jak gdyby ktoś schwytał je w sieć gałęzi.

— Czy on był heroldem? — Głos chłopca zabrzmiał bojaźliwie.

— Nie. Uczniem.

Przestań. Odejdź.

— Jak dawno temu to było?

— Dziś mija dwanaście lat.

Już dwanaście lat jestem sam. Dwanaście długich, długich lat w świadomości, że nigdy już nie będę pełną istotą ludzką.

— Co się stało? — dopytywał się chłopiec; z jego pytań znać było, że wypowiada je osoba naprawdę bardzo jeszcze młoda.

— Zabił się.

Proszę bardzo. Zadowolony? Pójdiesz sobie teraz?

— Ale. . . — W tym głosie nie było potępienia, jedynie dezorientacja. — . . .dlaczego? Jak mógł. . . gdy miał Towarzysza?

A więc tyle już wiesz, prawda? Że jak umieramy, to i one umierają? Tylko że nie wiesz wszystkiego, chłopczyku.

— Wyparła się go. Dlatego to zrobił. Nie potrafił znieść. . .

Nie mógł dokończyć.

Zapadła cisza — cisza maćona raz po raz szelestem liści. Vanyel zwiesił głowę, mocując się ze swą boleścią, w nadziei, że chłopiec zrozumie to i wreszcie sobie pójdzie.

Tashir jednakże przysunął się nieco bliżej.

— Nie rozumiem — wyznał z pokorą. — Nie potrafię sobie wprost wyobrazić, co mogło się stać. Proszę cię. . .

Vanyel wziął głęboki, przejmujący dreszczem, oddech. Tashir oczywiście nie miał najmniejszego zamiaru odchodzić, dopóki nie zaspokoi swej ciekawości.

Więc powiedz mu i skończ z tym raz na zawsze.

Zadarł głowę, spoglądając na jakże dalekie i nieczułe gwiazdy.

— Lendel był podopiecznym Savil, gdy ojciec posłał mnie do niej, ponieważ w jego mniemaniu nie byłem prawdziwym mężczyzną — zaczął, starając się mówić takim tonem, jakby jego opowieść dotyczyć miała kogoś innego. — Nie wiedziałem wówczas, że ojciec obawiał się, iż jestem homoseksualistą. On tymczasem wszelkimi sposobami dążył do uchronienia mnie od tego. Trzymał mnie pod kloszem, naprawdę. Nie miałem pojęcia, że. . . cóż, przypuszczam. . . w każdym razie wiedziałem, że jestem inny, lecz nie miałem pojęcia dlaczego. — Wciągając oddech w piersi, uczył ból. — W domu nie byłem lubiany. Wychowankowie, moi bracia, wszyscy uważali mnie za maminsynka. I ciągle jakoś od nich odstawałem. Po jakimś czasie przestałem starać się zaskarbić sobie ich sympatię, ale. . . no cóż.

Wspomnienia wyłaniające się z pamięci były tak żywe, jakby dotyczyły zdarzeń poprzedniego dnia.

— Withen więc wyprawił mnie do Przystani, gdzie czułem się jeszcze bardziej wyobcowany. — Próbował się zaśmiać, ale z jego gardła wydobyło się tylko jakieś chrapliwe charczenie. — Ulokowano mnie razem z Savil i jej protegowanymi. Savil miała za zadanie „zrobić ze mnie mężczyznę”, ukształtować mnie w kogoś takiego jak Mekeal, jak przypuszczam. Jednakże ojciec nie wiedział, iż ulubieniec jego siostry, Lendel, był *shayn*, i to zupełnie oficjalnie. Reprezentował to, od czego ojciec tak bardzo chciał mnie trzymać z dala. Byłem samotny i rozpaczliwie nieszczęśliwy, a Lendel był dla mnie miły, nawet wtedy gdy ja odnosiłem się do niego okropnie. Później dowiedziałem się o nim różnych rzeczy z paru źródeł i raptem mnóstwo spraw dotyczących mnie, które wcześniej wydawały się niewytłumaczalne, nagle znalazły swe uzasadnienie.

Obserwowałem cię i pragnąłem od ciebie czegoś więcej aniżeli przyjaźni. . . obserwowałem całymi dniami, tygodniami. I jednocześnie. . . tak bardzo się bałem. Ale nie tak, jak boi się ten mały głupty tutaj. Obawiałem się, że skoro raz

zrobię wyłom w moim pancerzyku, to ty zranisz mnie tak, jak ranili mnie wszyscy inni. Ale ty tego nie zrobiłeś, Lendelu. Przynajmniej nie tak, jak się tego obawiałem. Wszak to nie ty mnie skrzywdziłeś, to utrata ciebie zadała mi ból. . .

— Wydarzyły się różne rzeczy, Lendel i ja zostaliśmy kochankami i połączyły nas więzi życia. Teraz już o tym wiem, lecz wówczas nie wiedziałem. Wtedy wiedziałem tylko tyle, że zrobiłbym dla niego wszystko, że popełniłbym każdą zbrodnię, aby tylko go nie utracić.

— Nie byłeś heroldem?

— Nie, nie byłem nawet uczniem. — Oczy zaszyły mu mgłą i zaczęły palić. Vanyel zamrugął powiekami i po chwili jego policzki były mokre od łez, które spływały na rękę opartą na kamiennej balustradzie. — Tylendel miał brata bliźniaka, który został podstępnie zamordowany w wyniku waśni rodowej. W morderstwie posłużono się magią. Nikt nie zdawał się przejawiać chęci do uczynienia czegokolwiek w tej sprawie. Umysły Lendela i Stavena łączyła specjalna więź i wskutek tego śmierć Stavena przywiodła Lendela na skraj szaleństwa. Postanowił wziąć sprawy w swoje ręce, a ja pomogłem mu wykraść zakazane księgi z magicznymi zaklęciami. Nie mieściło mi się to w głowie. . . byłem oburzony, że nikt nie zajął się morderstwem Stavena. Nie miałem pojęcia, co powinienem robić i nie dostrzegałem nic niewłaściwego w wymierzeniu zemsty. . . szczególnie widząc, jak bardzo cierpi Lendel. Wymknęliśmy się w Noc Sovan. . .

Było ciemno i zimno, a wicher dął z taką siłą, że gotów byłby zderzyć z człowieka ubranie. Lecz owa ciemność i chłód nie dorównywały ciemności i chładowi w sercu Lendela, którego rany jedynie zemsta była w stanie zaleczyć. Pragnąłem tylko, aby był zadowolony, abym wówczas ja mógł odzyskać Tylendela, którego znałem wcześniej. Moje myśli nigdy nie wykraczały poza to jedno życzenie.

— . . . przy pomocy zaklęcia Bramy przenieśliśmy się do miejsca, gdzie świętowała owa druga rodzina. Ponieważ łączyła nas więź życia, a ja sam miałem w sobie potencjał magiczny, Lendel mógł użyć mojej energii do wzniesienia Bramy, a swojej do wymierzenia zemsty. I tak uczynił. Przywołał sfore *wyrsa* i rozpuścił je luzem.

Vanyel poczuł, jak chłopiec stojący obok niego wzdrygnął się. Lecz nazbyt zagrożony w swych wspomnieniach, nie zwrócił na to uwagi. Wciąż jeszcze wszystko wyraźnie stało mu przed oczami. Tamten widok wypalił piętno w jego pamięci.

Lendel. Jego twarz wykrzywiona żalem i wściekłością, oczy już nie tak łagodne, czai się w nich błysk obłąkania. Struchlali ludzie nie widzący żadnej drogi ucieczki. . . i z piekła rodem ciało uformowane w cztery bestie *wyrsa* — diabelska fuzja węża z łasicą o kłach jak sztylety i płonących oczach o barwie siarki; i nie zaspokojony nigdy głód, który nawet teraz chłostał umysł Vanyela niczym pejcz. I wtedy za jego plecami rozlega się tętent kopyt i koński wrzask będący zarazem wyzwaniem, jak i jękiem po stracie. . .

— Gdy *wyrsa* zdołały uśmiercić dopiero jedną ofiarę, przez Bramę wpadła

Gala. Wyzwała całą sforę. . . wyparła się Lendela. Cudowne błękitne oczy umarły i straciły blask, głos myśli wybrzmiewał beznamiętnie pomiędzy nim a Lendelem. *Nie znam cię. Nie jesteś moim Wybranym.* A potem trzask, jakby coś się załamało i absolutna pustka zajęła miejsce miłości. . .

— Gala zaatakowała sforę. Bestie powaliły ją na ziemię i zagryzły.

Oczy Tylendela pałające całym tym piekłem. Serce Tylendela miotane burzą utraty i agonii. Dusza Tylendela zdruzgotana. Umysł Tylendela pozbawiony przytomności. . .

— Przez Bramę przybyła Savil oraz dwóch innych heroldów i oni zniszczyli *wyrsa*. . . za późno, och, bogowie. . . serce Lendela, umysł, dusza były w strzępach. Gdy dotarliśmy do Przystani, uciekł. Przez przypadek przepuścili przede mną całą energię Bramy i moja utrata przytomności zajęła ich na tyle, że Tyndel zdołał im umknąć. Nie mógł tego znieść: udreki po stracie Gali, a potem jej śmierci na jego oczach. . . więc rzucił się. . . z dzwonnicy. . .

Żałuję, że nie pozwolili mi umrzeć z tobą. Żałuję, że mnie odratowali, gdy chciałem ze sobą skończyć. Och, Lendelu, Lendelu, to nie miało się tak skończyć. . .

Nie potrafił spojrzeć na Tashira. Po prostu nie potrafił. Z oczu popłynęły mu łzy, rozpryskując się na jego rękach. Ścisnął balustradę aż do bólu w palcach. Nie czuł w sercu nic poza pulsującą pustką, którą pozostawiły tam wydarzenia sprzed dwunastu lat.

Dwanaście lat, Lendelu. Dwanaście lat, a boli wciąż bardziej. Dwanaście lat, a jedyną rzeczą, której wyczekuję z utęsknieniem, jest moment, gdy wszystko się skończy. . .

Tashir milczał. Vanyel nie słyszał nawet jego oddechu i tylko wrażenie czyjejś obecności u jego boku mówiło mu, że chłopiec wciąż tam jest.

— Przykro mi — powiedział nieporadnie Tashir. — Nie brzmi to mądrze, ale nie przychodzą mi do głowy żadne inne słowa. Żałuję, że tak się stało. Żałuję, że nie potrafię ci go przywrócić, heroldzie Vanyelu. Karis mi mówił, że ludzie potrafią żywić do siebie takie uczucia, że naprawdę umieją obdarzać się miłością, a nie tylko udawać, że to robią; ale ja nigdy. . . nigdy nie znałem nikogo takiego. Przykro mi, że cię zasmuciłem. Przepraszam za to, że tak zareagowałem. Gdybym nie wiedział tego, co właśnie mi opowiedziałeś, nawet bym sobie nie uświadomił własnej głupoty.

— Nic nie szkodzi — po krótkiej chwili matowym głosem odparł Vanyel, gdy przewyciężył wreszcie uścisk w gardle. — Nie mogłeś przecież o tym wiedzieć. Więz życia nie pojawia się często. A kiedy już złączy dwoje ludzi, powstaje wówczas związek podobny do tego pomiędzy Towarzyszem a jego Wybranym; gdy umiera jeden z partnerów, drugi zwykle podąża w jego ślady. Jedynie to, że tej samej nocy połączyła mnie więz z Yfandes, utrzymało mnie przy życiu. Nieczęsto nawiedza mnie taki żal, tylko. . . w Noce Sovan. W dodatku jestem dziś piekielnie

zmęczony, a ty... na bogów, Tashirze, mógłbyś być nim. Rani mnie to za każdym razem, gdy na ciebie patrzę, bo najczęściej wcale nie widzę ciebie, a jego.

Chłopiec znów milczał, lecz w jego milczeniu było coś, co zdradzało, że zamierza przemówić. I przemówił.

— Powiem pewnie coś, czego mówić nie powinienem, ale ty wspomniałeś o tym pierwszy, Vanyelu. Minęło już dwanaście lat. Czy nie uważasz, że to okrutny szmat czasu, za długi, aby tak kurczowo trzymać się tego wspomnienia, które zaczyna cię już dusić?

Odsunął się troszkę, gdy Vanyel wstrząśnięty i zdumiony zarazem zwrócił wreszcie spojrzenie na jego ciemną sylwetkę.

— Ludzie cię potrzebują, a ty nie możesz im pomagać, gdy jesteś w takim stanie. Jervis mi mówił, że sam powiadasz, iż to bardzo ważne. Także ty nie jesteś jedyną cierpiącą istotą na świecie. Nie jesteś jedynym człowiekiem, który utracił swą miłość.

Cofnął się nieco, a potem poderwał z miejsca i pobiegł do drzwi, pozostawiając Vanyela stojącego sztywno przy balustradzie i usiłującego pozbierać myśli.

Czyżbym był kiedyś samolubny? — zastanawiał się. — Czy to samolubne tak się umartwiać z tęsknoty za kimś?

Nie wiem.

Ale on ma rację. Nie tylko ja straciłem kogoś, kogo kochałem. On stracił Kari-sa, a Karis był jedynym człowiekiem, który go kochał. Ja mam Savil, mam Yfandes. Mam...

Przyjaciół.

Na bogów.

Aż zamrugał powiekami ze zdumienia, gdy odpowiedzi same zaczęły układać się w jego głowie w uporządkowaną całość. Sam to powiedziałem. To nie w Shavri przemieniały się te wszystkie postaci — przeobrażały się w Lendela. Istotnie kocham Shavri, ale nie w taki sposób. Wynika to jedynie z tego, że od dawna na nikim nie zależało mi tak bardzo, abym nie potrafił nawet rozwikłać zagadki własnych uczuć. Chcę ją chronić, dbać o nią, ale tylko dlatego, że jest przyjaciółką, która potrzebuje mnie tak, jak nigdy nikt — z wyjątkiem Tylendela — mnie nie potrzebował. I dlatego, że i jej na mnie zależy. Jedynie Lendel ofiarowywał mi swą miłość, nie prosząc o nic w zamian...

... wielkie nieba. O to właśnie chodzi. O to chodzi. W tym tkwi cały szkopuł. Wszyscy czegoś ode mnie chcą, bądź też zdają się chcieć. Przede wszystkim matka, potem Melenna, Randi — wszyscy oni pragną, abym był dla nich kimś. Tylko Lendel chciał, abym był sobą. Tylko Lendel dawał, nie pytając, co dostanie w zamian. A teraz Shavri. I Jisa, która kocha, nie zadając żadnych pytań.

Ale to przecież nic złego. Nie mogę obwiniać tych, którzy czegoś ode mnie oczekują. Może w tym tkwi różnica pomiędzy przyjaciółmi a kochankami. To interesujące. A jednak jak to się dzieje, że idę do łóżka z przyjacielem...

Och. Nie potrafiłbym się kochać z kimś, kto nie jest moim przyjacielem. Jakże mogłem zapomnieć o tym, co wiedziałem już w wieku piętnastu lat? Wiedziałem to już wówczas, gdy Krebain próbował mnie uwieść. Seks i miłość to dwie różne rzeczy. Lecz miłość i przyjaźń są sobie tak bliskie, że nie może istnieć miłość bez przyjaźni. Umiałbym dalej kochać Lendela, nawet nie uprawiając z nim seksu. To właśnie mnie zmyliło. Staliśmy się przyjaciółmi i kochankami równie błyskawicznie. Lendel miał w sobie coś, co zawsze by mi się podobało, nawet gdybym nigdy go nie pokochał.

Od tego, że Vanyel odnalazł odpowiedzi na dręczące go pytania, gwiazdy nie świeciły ani odrobinę jaśniej, ale jemu zdawało się, że jest inaczej. Biedny Tashir — nie ma zupełnie nikogo. Ja przeżyłem autentyczną miłość. Niewielu ludzi może to o sobie powiedzieć.

Zadumał się nad tym na moment. Okrutnie dużo myślałem o okolicznościach, w jakich przyszło mi go utracić. Może raczej powinienem wspominać, jak cudownie było mieć go przy sobie.

Po raz kolejny, z równą starannością, z taką samą miłością, przygotował się do stworzenia iluzji, która wcześniej rozpierchła się na westchnienie Tashira.

Lecz tym razem robił to z myślą o ich wspólnym szczęściu.

I znów Tylendel stanął tuż przed nim, zastygły w radosnej chwili, Vanyel doskonale pamiętał tę chwilę.

Obdarowałeś mnie prezentem, którego nigdy nie spodziewałem się dostać. Zwróciłeś mi mą muzykę, kochany. Powiedziłeś mi, że dla ciebie większą wartość ma muzyka grana dla niej samej aniżeli dźwięki wygładzone przez najpotężniejszy z możliwych darów barda. Uświadomił sobie nagle, że jego usta uśmiechają się. Był to uśmiech przez łzy, ale jednak uśmiech. A potem zaśpiewałem ci pieśń miłosną. Pierwszą, jaką kiedykolwiek ci zaśpiewałem. I po raz pierwszy śpiewałem taką pieśń, wkładając w nią całe me serce.

Tylendel zupełnie poddał się urokowi muzyki, którą Vanyel dla niego tworzył. Była to chwila wolna od wszelkich trosk, bo Lendel odpędził wówczas zmore, która dręczyła Vanyela.

Kochany mój, wiedziałeś, jak bardzo tego potrzebowałem, i dałeś mi to ze szczerego serca.

Takie wspomnienia mogą być cudowne, nawet jeśli kryją w sobie jakiś żal.

Nie zapomnę cię, *ashke*, ale mogę sam decydować, jak cię wspominać. I przyrzekam myśleć o tobie z miłością, nie ze łzami.

Pozwolił obrazowi rozplątać się.

A zatem nadszedł już czas, abym zaczął zajmować się tymi, którzy mnie potrzebują, hm? Dokładnie tak jak mi powiedziłeś. A najbardziej potrzebującym z nich jest Tashir.

Ziewnął nieoczekiwanie i zaśmiał się sam z siebie. Tylko że nikomu na nic się nie zdam, jeśli będę zasypiał na stojąco. Najlepiej więc będzie, gdy skieruję się

do swego nieskazitelnie pustego łóżka. Ranek już niedaleko.

Jeszcze raz popatrzył w niebo... a może jeszcze dalej. Nawet on sam nie był pewny, co chciał tam dojrzeć.

Dobranoc, *ashke*. Gdziekolwiek jesteś. Wiatru w twe skrzydła...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wiadomości — przesyłane przez heroldów przy pomocy ich darów, bądź też przenoszone przez ptaki kierowane ich wskazówkami — wędrowały w Valdemarze szybko, kiedy tylko król i Krąg sobie tego życzyli. Lecz gdy oni nie wydali specjalnych poleceń. . .

Postanowiono nie przyspieszać tempa rozsyłania edyktów oraz wszelkich wiadomości dotyczących sprawy Tashira i tajemniczej rzezi dokonanej na rodzinie królewskiej Lineasu. Dzięki temu nowiny na ten temat rozchodziły się równie powolnie, jak działo się to poza terenem królestwa. To zaś dało Vanyelowi i chłopcu czas na wytchnienie.

Było to jednak niezmiernie krótkie wytchnienie — czego zresztą Vanyel spodziewał się od początku. Nie czuł się bowiem specjalnie zaskoczony, gdy nazajutrz po Nocy Sovan do zamku przybył posłaniec od kapitan Lissy. Miał nawet przeczucie co do zawartości zapieczętowanych cylindrów na listy, które przywiózł kurier.

Ani trochę nie zdziwił go też fakt, że zaraz po odjeździe posłańca został wezwany do gabinetu ojca.

Drzwi były otwarte na oścież. Vanyel zapukał w futrynę, a gdy ojciec podniósł nań oczy, wszedł do środka. Na twarzy Withena odbijało się zażenowanie człowieka zakłopotanego sprawami, nad którymi ma niedostateczną władzę, lub też nie ma jej wcale. Wskazał Vanyelowi miejsce na krześle, ten jednak potrząsnął tylko głową, dając ojcu do zrozumienia, iż woli stać. Skoro Withen miał zamiar udzielić mu reprymendy, Vanyel chciał mieć prawo do zachowania choćby częściowo „oficjalnej” pozy.

— To. . . — Withen rozparł się w swym fotelu i uchwyciwszy w palce róg jednego z arkuszy leżących na biurku, uniósł go nieco. — Poprosiłem posłańca, aby mi to przeczytał. Nie byłem jeszcze zdecydowany, czy Radevel powinien dowiedzieć się o tym, nim zdążę porozmawiać z tobą. Otóż jest to nader uprzejmie sformułowana „prośba” Lissy o wydanie zezwolenia na przeniesienie jej kompanii gwardii na teren posiadłości Ashkevronów. Lissa załącza także wyjaśnienie powodów, dla których wydano jej rozkaz zmiany miejsca stacjonowania.

Vanyel skinął głową. Pamiętając o tym, co mógł oglądać w drodze do domu,

a mianowicie o umocnieniach wzniesionych w przeciągu zaledwie dwóch tygodni po stronie granicy należącej do Lineasu, miał świadomość, że to tylko kwestia czasu, kiedy Lissa otrzyma rozkaz przesunięcia się z obszaru pogranicza z Bares nad granicę z Lineas Tymczasem jedyna w tym rejonie droga przystosowana do przyjęcia ruchów wojsk przebiegała nie gdzie indziej, tylko właśnie przez ziemie Ashkevronów.

Withen zakastał z niepokojem.

— Van, synu. . . ten chłopiec, którego nam tu przywiozłeś. . . to Tashir, prawda? Tashir Remoerdis. Ten z Lineasu.

— Ten sam — odparł trzeźwo Vanyel. — Ale sam fakt, że został wybrany już po śmierci rodziny Remoerdis, jest wystarczającym powodem, by uznać go za niewinnego. — Wypreżył się. — Ojczy, wiesz, że nie sprowadziłbym tutaj nikogo niebezpiecznego. On potrzebował azylu, a nasz dom był jedynym miejscem, jakie przychodziło mi na myśl, co do którego można było mieć pewność, że tam nikt nie będzie go szukał.

Withen przerwał mu machnięciem ręki.

— Nie to mnie niepokoiło. Ten chłopak nie skrzywdziłby nawet muchy, sam mógłbym to przysiąc. Rzecz w tym. . . powiedz, co ja mam zrobić, jeśli Liss albo kto inny będzie cię szukał?

— Możesz nas wydać — westchnął Vanyel. Poczul, jak wszystkie mięśnie napinają mu się w oczekiwaniu na reakcję ojca. — W gruncie rzeczy powinienes to zrobić.

— Jak diabli, wydam! — zagrzmiął Withen. — Sprowadziłeś go tutaj, by udzielić mu bezpiecznego azylu, więc go dostanie!

Vanyel odprężył się i uśmiechnął szeroko; ojciec był zdumiony.

— Ojczy mój — powiedział ciepło. — Właśnie zdjąłeś mi z serca ostatnią troskę. Nie chciałem ci siłą narzucać obecności tutaj tego chodzącego incydentu dyplomatycznego, lecz skoro nie masz nic przeciwko dalszemu udzielaniu mu schronienia. . .

Withen parsknął.

— Jeżeli zajdzie taka potrzeba, dobędę miecza i sam stanę w jego obronie.

— Cała moja nadzieja w tym, że nie będziesz musiał tego robić. Liczę też na to, że uda mi się dociec, kto naprawdę to zrobił, i całkowicie oczyścić Tashira z zarzutów. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chętnie skorzystam z krzesła, które mi zaproponowałeś. — Withen skinął głową, a Vanyel z wdzięcznością usiadł. — Randal prowadzi bardzo podstępna grę. Żołnierze Liss to głównie ludzie z Forst Reach i sąsiadujących z nami posiadłości. On doskonale zdaje sobie sprawę, że bez względu na „oficjalne” rozkazy ci ludzie będą mnie osłaniać; chyba że ty, albo Liss, wydadcie im inne polecenia. Randal ufa moim sądom i daje mi czas na uporządkowanie tej sprawy.

Withen skinął głową, jedną brew unosząc w podziwie dla przebiegłości Randalą.

— Nie martw się, ojcze. W razie czego dostanę wiadomość i będę miał dość czasu, aby ewakuować was wszystkich z Forst Reach i poszukać kryjówki w lesie, na długo przed pojawieniem się tutaj kogokolwiek naprawdę groźnego.

— O to właśnie się martwiłem, tylko... — Withen szarpał niespokojnie swą krótką brodę — ... czy istnieje prawdopodobieństwo, aby Lineas wszczął z tego powodu wojnę na terenach przygranicznych?

Vanyel zważył w myślach wszystkie czynniki, jakie mogły mieć na to wpływ, włącznie z pozorną niechęcią Verdika do siłowego rozwiązania sprawy. Nim gotów był sformułować jakąkolwiek hipotezę na ten temat, rozmyślał nad nią dość długo, niemal wcale nie zwracając uwagi na coraz bardziej posępny wyraz twarzy ojca. Potem wstał, w nadziei, że tak będzie sprawiał wrażenie bardziej pewnego siebie niż się czuł w istocie.

— Nie sądzę, ale ślubuję ci, ojcze — rzekł stanowczym głosem, przytrzymując wzrokiem oczy Withena — że nim do tego dojdzie, sam oddam nas obu, siebie i Tashira, w ich ręce.

I zanoszę modły do niebios, abym nigdy nie musiał wypełnić tego ślubu.

Nowiny zawarte w liście od Lissy wywołały wśród domowników przeróżne reakcje. Ogólnie rzecz biorąc jednakże, wszyscy młodszy bracia Vanyela zdawali się witać możliwość doświadczenia „dreszczyku emocji” z radosną wręcz żądzą krwi. Jeden Mekeal sprawiał wrażenie niezdecydowanego, co sądzić o całej sprawie, i przyłączywszy się najpierw do przechwałek młodzieży oraz entuzjastycznych ćwiczeń z fechtunku, potem jakby zmienił zdanie i jął przechadzać się dookoła zamku z wielką zmarszczką rozcinającą mu czoło, mrucząc coś pod nosem o „celowaniu” i „możliwości obrony”.

Gdy cały zamek dowiedział się już, kim jest Tashir, Withen oznajmił zupełnie otwarcie, iż podziela przekonanie Jervisa o niewinności chłopca. Tashir zrazu przyjął ten przejaw wiary w niego z nieufnością, lecz kiedy Withen osobiście zapewnił go o chęci dalszego udzielania mu schronienia, wdzięczność chłopca była tak wielka i pożałowania godna, że zdołałaby rozmiękczyć serca dużo twardsze od serca Withena.

Wydarzenie to stało się też przyczyną sprzeczki Withena z ojcem Lerenem dotyczącej Tashira i kwestii ostatecznej oceny jego osoby: winny czy niewinny. Był to jak dotąd pierwszy znany Vanyelowi przypadek, kiedy to Withen nie zgadzał się z Lerenem w jakiegokolwiek sprawie.

Towarzysz Tashira przystał wreszcie na wspólne, choć wciąż jeszcze pełne napięcie, przemieszkwanie z Yfandes. Vanyel przyjął to z niemałą ulgą, gdyż Duch siał postrach wśród większości robotników w posiadłości. Ukazywał im się, a było

to zwykle nocą, jako przelotny błysk jakiegoś białego kształtu, zamajaczył gdzieś w dali, by niemal natychmiast rozpląnąć się w ciemnościach. Tymczasem plotki o „białym koniu-demonie” roznosiły się bardzo prędko.

Vanyel dokładał wszelkich starań, by swym przymilnym stosunkiem do obojga, Tashira i jego Towarzysza, wprowadzić ich w nieco spokojniejszy nastrój, który umożliwiłby im z kolei pogłębienie łączącej ich więzi oraz nawiązanie kontaktu przez myślomowę. Żadne z nich jednakże nie miało chęci być uspokajanym. Duch zdradzał nawet pewną skłonność do wpadania w panikę, szczególnie wtedy gdy dolna część drzwi wyjściowych w przegrodzie Yfandes była choćby na moment zamknięta, a on akurat znajdował się w środku. Kiedy Vanyel był już bliski rezygnacji ze swych i tak bezskutecznych wysiłków zjednania sobie ich przychylności, w stajni odnalazł go Jervis. Wypluwający z wolna na jego usta uśmiech przeobraził pooraną twarz fehmistrza w maskę szatańskiego rozbawienia.

Stosunki między nimi znów się poprawiały, z wolna. Vanyel podejrzewał w tym rękę Tashira, choć nie miał pojęcia, czy chłopiec miałby działać świadomie, czy też nie. A jednak pomimo iż za swymi słowami nie posyłali sobie już nawzajem sztyletów, Vanyel nie spodziewał się kiedykolwiek zobaczyć na twarzy fehmistrza taki uśmiech.

— Van — szepnął Jervis, gdy Tashir porozumiewał się właśnie z Duchem swym własnym sposobem, używając do tego szczotki i mruczając słowa, których Vanyel nie był w stanie dosłyszeć. — Skoro już skończyłeś, musisz się o czymś dowiedzieć.

Vanyel wzruszył ramionami i jednym susem przesadził przegrodę.

— Tashirze — rzucił przez ramię. — Co byście powiedzieli na rozładowanie napięcia podczas długiej solidnej przejażdżki? Jesteś zbyt rozdrażniony na pogrążanie się w transie myślomowy i wcale cię za to nie winię.

Tashir zdał się odczuć ulgę, Duch zaś na znak zgody spuścił głowę. Młody Towarzysz stanął wyprostowany, tak by jego Wybrany mógł wspiąć się na jego grzbiet, po czym pchnął nosem drzwi stajni i pokłusował na wybieg.

— No dobrze — powiedział Vanyel, odwracając się na powrót twarzą do Jervisa. — O co chodzi?

— Po prostu chodź ze mną — radośnie odparł Jervis i poprowadził Vanyela ku małej świątyni, gdzie zatrzymał się pod jednym z jej okien.

— ... w najlepszym razie jest tylko opętany, ale w najgorszym to morderca, który ma jeszcze na rękach krew swych ofiar! — wyrzaskiwał ojciec Leren. Jego głos był przytłumiony przez kamienną ścianę dzielącą ich od wnętrza świątyni.

— Taki z niego morderca jak i ze mnie! — odwrzasnął Withen. — Śmiertelnie się myliłeś co do Vanyela i, na bogów, jesteś w jeszcze większym błędzie, oceniając tego chłopca! Van poprosił mnie o azyl dla niego i ja mu ten azyl przyrzekłem, a nigdy nie cofam raz danego słowa!

— Wystawiasz swą duszę na wielkie niebezpieczeństwo, lordzie Withenie —

grzmiał kapłan. — Bogowie. . .

— Bogowie, a niech to! — ryknął Withen, porwany głębokim oburzeniem. — W tym chłopcu nie ma nawet cienia zła! Któż to cię upoważnił do wypowiedzania się w imieniu bogów? Mnie uczono, że jeśli bogowie sobie życzą, aby coś doszło do skutku, nie zwracają sobie głowy wynajdywaniem pośredników takich jak ty, ale sami zabierają się do dzieła. . . albo wyznaczają swego wysłannika i otwarcie objawiają nam swą potęgę! Ale jakoś nigdy nie widziałem, staruszku, aureoli nad twoją głową!

Leren bełkotał coś nieskładnie, bardzo wyraźnie zaskoczony wzburzeniem swego niedysiejszego poplecznika.

— I powiem ci jeszcze coś. To ja decyduję, kto ma być kapłanem Forst Reach. Ja cię tu sprowadziłem i ja mogę cię stąd odprawić! Jeżeli chcesz nadal być kapłanem mojej rodziny, nie waż się pisnąć ani słówka na temat Tashira. . . i skoro już o tym mowa, na temat Vanyela także! Gdy przysłużysz się Valdemarowi tak jak on, to będziesz mógł przezywać go sobie wykolejeńcem i homoseksualistą, ile dusza zapagnie. Ale do tego czasu trzymaj swój jadowity język za zębami! To herold Vanyel, najważniejszy mag heroldów Valdemaru i powiernik samego króla; a co więcej, to mój syn i radzę ci dobrze to sobie zapamiętać!

Leren usiłował powiedzieć coś jeszcze, ale ryk Withena zagłuszył go.

Vanyel dał znak, że powinni się już ulotnić. Jervis skinął głową, dłonią zatykając sobie usta i przygryzając ją z wysiłku, aby tylko powstrzymać się od parsknięcia śmiechem. Vanyel był nadto zdumiony, aby się śmiać. Za to brwi uniośł tak wysoko, że zdawało się, iż już nigdy nie powrócą do swego naturalnego położenia i na stałe zadomowią się z dala od oczu, pod linią włosów.

Bez wątpienia była to ostatnia kłótnia, jaką spodziewałby się kiedykolwiek przypadkiem podsłuchać.

Rozpad przyjaźni doprowadził do tego, że Leren zaczął jadać posiłki wraz ze służbą. Była to okoliczność, o której Vanyel szczerze starał się nie myśleć z rozkoszą, aczkolwiek nie potrafił się nią nie radować. Dzięki pamiętnej kłótni wzrosły także wpływy Jervisa, skutkiem czego Vanyel zaczął nawet odnosić wrażenie, że dostrzega pewne ocieplenie uczuć Withena względem niego, chociaż w ogólnym zamieszaniu wzniesionym przez wszystkich i wszystko niczego nie można było być pewnym.

Tak przedstawiał się stan rzeczy, gdy bramę Forst Reach przekroczyła kapitan Lissa Ashkevron na czele swej kompanii.

— Lordzie Withenie — zagadnęła uroczystym tonem kobieta o ostrej twarzy odziana w paradny błękit, skłoniwszy się lekko z grzbietu swego konia, zwracając się do Withena z pozdrowieniem ludzi równych sobie. Czekał na odpowiedź, lewym ramieniem pod precyzyjnie ustawionym kątem przytrzymywała hełm, a pra-

wą ręką, ułożoną pod równie dokładnie wypracowanym nachyleniem, przytrzymywała wodze swego konia. Farbowane na niebiesko kogucie pióra wieńczące jej lekki paradny hełm łopotały w łagodnym wietrzyku na jej ramieniu. Jej kasztanowe włosy splecione były w warkocz i ułożone w koczek na czubku głowy z taką samą wojskową skrupulatnością, jaka charakteryzowała resztę jej rynsztunku.

Vanyel po raz pierwszy widział swą siostrę „na służbie” bądź też w jakiegokolwiek oficjalnej roli. Bez wątpienia była teraz istotą znacznie różniącą się od tamtej beztroskiej, bałaganiarskiej łobuzicy, którą pamiętał z lat dzieciennych, albo nawet od rozbrykanej figlarki, w którą Lissa potrafiła się zamieniać w chwilach wolnych od obowiązków.

— Kapitanie Ashkevron. — Withen odpowiedział na jej pozdrowienie wyraźnie rozdarty pomiędzy niepokojem a dumą.

— Proszę o zezwolenie na rozbitcie obozu wojskowego, panie.

— Wydaję takie zezwolenie. — Duma jednak zwyciężyła i Withen wprost promieniał na twarzy. — Południowe Pastwisko zostało opróżnione; teraz całe należy do was, kapitanie.

— Dziękuję, panie — odparła Lissa oficjalnym tonem. — Sierzancie Grays, naprzód marsz!

Gwardzista o smagłej, krągłej twarzy, która wydała się Vanyelowi znajoma, wystąpił z pierwszego szeregu i przemaszerował żwawo w stronę Lissy, zatrzymał się u jej prawego strzemienia i czekał.

— Południowe Pastwisko. Zaprowadź tam żołnierzy i rozbijcie obozowisko. Wkrótce do was dołączę.

Sierzant zsalutował, odwrócił się po wojskowemu na palcach jednej i pięcie drugiej stopy, i wtedy dopiero Vanyel zrozumiał, dlaczego mężczyzna ów wydał mu się znajomy. Graysowie byli jednym z sąsiadujących z Ashkevronami rodów ziemiańskich, a ten oto krzepki młodzieniec musiał być jednym z synów tamtejszego lorda. Teraz donośnym głosem wydał kilka komend, a tymczasem Lissa na swym koniu usunęła się z drogi. Potem odwrócił się znów i oddalił wraz z pozostałymi żołnierzami kroczącymi tak dziarsko, jak gdyby wcale nie mieli za sobą całego dnia marszu. Lissa pozostała na koniu, cały czas jeszcze patrząc za swymi żołnierzami, dopóki ostatni z nich nie zniknął jej z oczu, po czym uśmiechnęła się szeroko i rzuciła Vanyelowi swój hełm. Wyskakując z siodła, wypuściła z ręki wodze swego konia, każąc mu zostać na miejscu. Gdy tylko jej stopy dotknęły ziemi, zaraz podbiegła do Withena.

Zarzuciwszy ramiona na szyję ojca, serdecznie go ucałowała. Vanyel tymczasem złapał szybujący w jego stronę hełm i zaraz usunął go na bok, widząc, że nadchodzi jego kolej na gorący uścisk, który odwzajemnił, obejmując siostrę tylko jedną ręką.

— No, ojcze — zagadnęła, równie szczerze obcałowując Vanyela. — Co myślisz o moich młodzikach?

— Świetni! — Withen wręcz promieniał dumą. — Świetni! Na bogów, ledwie poznałem moją małą córeczkę na tym rumaku bojowym, w tym uniformie i całym rynsztunku!

— Ja też nigdy nie widziałem cię na służbie, Liss — przypomniał Vanyel. — Uważam, że prezentujesz się wprost wspaniale.

Przytuliła go jeszcze raz, a potem stanęła przy nim ręką obejmując go w pasie.

— Przykro mi tylko, że masz okazję do tego akurat teraz, w warunkach pogotowia — rzekła ze smutkiem. — Przykro mi, ojcze. Ostatnią rzeczą, jakiej kiedykolwiek bym pragnęła. . .

— O nas się nie martw — przerwał jej Withen. — Masz tu kogoś, kogo chciałabyś zakwaterować w zamku?

— Tak, mojego uzdrowiciela. Chcę, aby urządzono dla niego izbę chorych. Ja będę mieszkać w obozowisku razem z moimi żołnierzami.

Withen zdał się nieco rozczarowany, Vanyel jednakże uśmiechnął się z aprobatą.

— I bardzo dobrze! — pochwalił siostrę. — Wydawało mi się, że nie powinienem się wtrącać, ale w czasie pobytu na granicy karsyckiej przekonałem się, że najlepsi oficerowie mieszkają razem ze swymi żołnierzami.

— Tak mi właśnie mówiono — odparła Lissa. — Nie martw się, ojcze, będziesz widywał mnie częściej niż przypuszczasz. — Przycisnęła Vanyela mocniej. — Chodźmy, braciszku, pomożesz mi ulokować tego konia w stajni, hm?

Vanyel zdjął rękę z ramienia siostry i oddał jej hełm. Lissa chwyciła cugle i obok niego ruszyła do stajni.

— Lord Marszałek nie jest zachwycony obrotem spraw — powiedziała cichym głosem, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu ojca. — Verdik odgrywa rolę świętego patrona mieszkańców Lineasu, popierając ich protesty kierowane do Randała i podejmując wiele innych podobnych kroków. Chciałabym wiedzieć, co on naprawdę knuje, bo wszystko to w najmniejszym nawet stopniu nie pokrywa się z doniesieniami wywiadowczymi, jakie dotąd uzyskałam na jego temat. Co do ciebie zaś, mój niesforny braciszku, otrzymałam oficjalne rozkazy, abym, odnalazłszy Tashira, wzięła go do siebie; lecz mam też i to. . .

Sięgnęła do swej sakwy u paska, wyciągnęła z niej zmięty list zaopatrzony w prywatną pieczęć Randała i podała go bratu. Vanyel zauważył, że notka zaadresowana była wyłącznie do niej, i rozwinął kartkę.

Kapitanie Ashkevron.

Pokaż ten list swemu bratu — wiadomo Ci chyba, którego brata mam na myśli. To rozkaz. Odwołuje on wszelkie inne rozkazy, jakie możesz odebrać, i pozostaje w mocy aż do momentu, kiedy otrzymasz inne polecenia, czy to z mych ust, czy też w liście pod moją pieczęcią. Nie spotkałaś ani Vanyela, ani chłopca imieniem Tashir Remoerdis.

I nie spotkasz ich dopóty, dopóki ja nie zawiadomię cię, że ma być inaczej.

Randal

Vanyel oddał jej list, w miejsce komentarza unosząc nieznacznie jedną brew.

— On cię kryje, Van — rzekła Liss z niepokojem w głosie — ale ty nie możesz tego dłużej ciągnąć. Wiesz już, co robić dalej?

— Jeszcze nie — wyznał. — Ale wkrótce coś wymyślę.

Jego obszerny przecież pokój zdawał się wręcz zatłoczony, kiedy Savil i Jervis rozparli się wygodnie na swych miejscach: jedno na siedzisku przy oknie, a drugie na krześle.

— Macie jakieś pomysły? — zapytał Vanyel, spoglądając raz na Savil, to znów na Jervisa i z powrotem. — Ja mam jeden, ale najpierw chciałbym zapoznać się z waszymi.

Savil usiadła w poprzek niszy okiennej, opierając plecy o jedną ścianę, a stopy o drugą, rękoma zaś obejmując podciągnięte kolana.

— Powiedziałaś, że wybrałaś się na drugą stronę granicy w poszukiwaniu odpowiedzi na pewne pytania — zaczęła, jakby rozmyślając na głos.

— I odnalazłem je... przynajmniej niektóre — odparł Vanyel, spod na wpół przymkniętych powiek śledząc desenie jakie malowała na jej białych szatach gra cieni i blasku płynącego od ognia.

— Lecz napotkałeś także nowe pytania. Zastanawiam się, czy aby nie byłeś tam za krótko. Myślę sobie nawet, że może wszyscy powinniśmy tam pojechać. Dla dwojga biegłych magów takich jak my przyobleczenie naszej czwórki w jakieś złudne magiczne przebrania byłoby dziecinną igraszką.

— Chodzi ci o to, żeby zrobić chłopca niewidzialnym dla zwykłego wzroku? — Jervis siedział okrakiem na jednym z krzeseł, z brodą opartą na rękach. Gdy Savil mówiła, cały czas sennie mrużył oczy. Ale teraz poderwał głowę i wyglądał na rozbudzonego. — To mi się podoba! Ostatnim miejscem, gdzie będą go szukać, jest jego rodzinne miasto!

Vanyel skinął głową.

— Mniej więcej tak sobie myślałem. Moglibyśmy sprawę jeszcze bardziej zagmatwać i przekroczyć granicę jako, powiedzmy, czterej heroldowie podążający do Verdika z misją pokojową, a potem, znalazłszy się w pobliżu samego Highjorne, przywdziać nasze magiczne przebrania i udać się do miasta w parach; Jervis ze mną, a Tashir, z Savil. Na pewno nikt nie będzie się spodziewał jednego: Tashira w towarzystwie kobiety. Połączmy się, dajmy na to, w jakimś zajeździe w zamożniejszej części miasta. Tym razem, zamiast minstrela, mogę być bardem, a wy moją świtą. Mając oczy i uszy otwarte, przekonamy się, czego jeszcze można się dowiedzieć na temat naszej sprawy.

— Van, moim zdaniem ty i ja powinniśmy nawet przedostać się do pałacu — dodała Savil ze wzrokiem utkwionym w suficie. — Uważam, że musimy sprawdzić, co dokładnie tam zaszło, i jak wyglądał sam atak. Jeżeli okaże się, że spowodowały go jakieś siły magii, wykluczy to winę Tashira.

— Hm. — Zewnętrzne ścianki kielicha Vanyela pokryła delikatna mgiełka skroplonej wilgoci. Przebiegł po naczyniu palcem, zbierając nań drobniutkie kropelki, a potem zaczął nim rysować jakieś wzory na stoliku przed sobą. — A czy nie wydaje ci się, że zabierając do pałacu również Tashira, moglibyśmy niejako obudzić jego wspomnienia?

— To możliwe — odparła Savil, opuszczając z wolna swój wzrok, by napotkać wreszcie jego oczy. — Warto by spróbować.

— A więc tak właśnie zrobmy.

— Nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że kiedykolwiek zobaczę tego konia tak wystraszonego! — zaśmiał się Jervis.

We wstającym za ich plecami słońcu wydłużone cienie ścieliły się daleko przed nimi na ciemnej brukowej drodze. Trzy spośród nich miały członki równie długie i pełne wdzięku jak sylwetki Towarzyszy, które je rzucały. Czwarty zaś wierzgał raz po raz na boki, kiedy kościsty, szkaradny koń, którego dosiadał Jervis, najdobitniej jak tylko potrafił, demonstrował swe niezadowolenie.

Savil wybuchnęła śmiechem.

— Na moje oko on wcale nie jest przestraszony!

— Jeśliby porównać te skoki do jego zachowania sprzed tamtej nocy, kiedy obie, ty i Liss, urządziłyście mu musztrę na wybiegu, to dziś jest wręcz aniołem! — zachichotał Jervis, a gdy koń bryknął znów odrobinę za mocno, wyciągnął rękę i wymierzył mu porządnego kuksańca w głowę. Siwek pisnął i położył po sobie uszy. Ganiące rzenie Kellan i widok jej groźnych zębów uspokoiły go nieco.

— Wolę nie myśleć, co mi zrobi Mekeal, gdy odkryje nasz podstęp — mruzczał Vanyel. Ciągłe jeszcze dokuczało mu poczucie winy za to, że „pożyczyli” wierzchowca bez zezwolenia brata.

— A którego mielibyśmy wziąć? — zapytała Savil jakże słodko brzmiącym teraz w jego uszach tonem pełnym rozsądku. Yfandes parsknęła. — Ten przeklęty ogier Mekeala ma spośród wszystkich koni w posiadłości sierść najbardziej zbliżoną do białej, nie wspominając już o tym, że tylko on jest na tyle wytrzymały, aby dotrzymać kroku Towarzyszom. — Śmiała się. — Jeśli już o tym mowa, to ten koń świetnie pasuje do Jervisa w roli herolda, oczywiście pod warunkiem, że widzi się prawdziwego Jervisa, a nie ten wykwintny kostium, w który go wystroiliś.

W rzeczy samej wygląd Jervisa wzbudzał wiele wątpliwości. Tashirowi doskonale pasował biały uniform Vanyela z czasów, kiedy ten był siedemnastolet-

nim chłopcem. Vanyel i Savil natomiast ubrali rzecz jasna własne uniformy. Co do Jervisa zaś, jego kostium można by określić jako aż nadto prowizoryczną i naprędce skleconą namiastkę stroju herolda. Otóż Jervis założył jedną ze swych koszul, a potem wcisnął się w białe bryczesy Vanyela. Lecz to nie wszystko. Savil musiała bowiem poświęcić swój skórzany bezrękawnik, rozpruwając go w szwach po obu stronach i przebijając w nim dziury na rzemyk, tak aby potem można było zasnurować go wprost na Jervisie. Do tego białego stroju Jervis musiał, niestety, ubrać swe własne, brązowe buty. Jedynym pocieszeniem była nadzieja, że nikt tego nie zauważy.

— Dopóty, dopóki nie napotkamy kogoś, kto zdoła się pomiarkować, że to tylko przebranie, będziemy bezpieczni.

— Jesteś pewny, że żaden ze szpiegów Verdika krążących w rejonie granicy nie wywęszy tego? — zapytała Savil.

— No cóż, wokół herolda zawsze powinno się wyczuwać jakieś magiczne promieniowanie. Pełna magiczna iluzja dawałaby promieniowanie nazbyt silne, ale pewne wzmocnienie naturalnych sił nie powinno wzbudzać żadnych wątpliwości.

— Ale czy Verdik nie wyczuje naszych magicznych przebrań, gdy będziemy już w mieście? — niespodziewanie odezwał się Jervis. W tym samym momencie jego wierzchowiec, korzystając z chwili nieuwagi jeźdźca, znów wierzgnął, próbując zrzucić go z grzbietu.

I zaraz mu się dostało. Yfandes uszczypnęła go w pachwinę, Kellan kopnęła, a Jervis grzmotnął solidnie między oczy — wszyscy jednocześnie. Vanyel z trudem powstrzymał wybuch śmiechu.

Ogier wydał z siebie piskliwy wrzask, otrząsnął się z oburzeniem, ale potem był już spokojniejszy.

— Pewnie by to zrobił, gdyby wszechobecna w Highjourne magia nie zamaskowała moich stosunkowo słabych przecież zaklęć. Magiczne złudzenia okrywać będą wyłącznie nasze Towarzysze, czyniąc je czymś zupełnie innym niż są w istocie: cichutkim szeptem niesionym przez wiatr.

Ogier Jervisa usiłował pozbyć się wędzidła.

— Podeszykowaliście go z wierzchu — rzekł Jervis z tęsknotą w głosie. — Gdybyście tylko mogli coś zrobić z zawartością tego okropnego łąba. . .

Spowalniani bezustannie ślimaczym tempem ogiera, aż trzy dni podróżowali do Highjourne. Przed przekroczeniem bram Kellan i Duch zamienili się w osły prowadzone przez starą chłopkę i jej syna. Vanyel natomiast przedzierzgnął się w barda dosiadającego złotokasztanowego rumaka, a Jervis w jego woja i posługacza. Jeśli już miałoby wzbudzić czyjekolwiek zainteresowanie, Vanyel wołał, aby to jego postać skupiała największą uwagę

I rzeczywiście, przekraczając bramę, wywołał wystarczające zainteresowanie, aby odwrócić uwagę wartowników od podążającej za nim staruszki i jej latorośli. Obydwoje, Vanyel i Yfandes, puszyli się i prężyli, chodzili bokiem i tańczyli

— słowem zdecydowanie i bezkompromisowo robili z siebie istne widowisko. Jervis chrząkał i przyjmował zboląły wyraz twarzy uciemionego, wzbudzając tym samym współczucie strażników. Jego ogier usiłował wprawdzie odgryźć czyjeś ramię, ale zarobił sobie tym jedynie na porządny cios w zęby.

Karczmy Zgiełku nie interesowały już Vanyela, nie tym razem. Rozlokował się teraz w najlepszym zajeździe Highjournie, naprzeciwko rezydencji Mistrza Gildii Tkaczy. Wybór ten nie był jednakże dziełem zwykłego przypadku, w ten sposób bowiem pałac, jego osłony oraz cała magiczna moc ogniska znalazły się pomiędzy Vanyelem a domem, w którym zatrzymał się lord Verdik. Dzięki temu można było liczyć na to, że wszelkie zakłócenia w polu energii magicznych wywołane przez ich wyobrażenia zginą zupełnie w ogromnym zamęcie prądów energii wokół osłon i kryjącego się pod nimi ogniska mocy.

— Ktoś próbował przełamać osłony — zauważył Vanyel, nieruchomym wzrokiem patrząc w dal za oknem.

— Potrafisz to wykryć z tego miejsca? — zdziwił się Jervis, unosząc zdumiony wzrok znad ostrzonego właśnie sztyletu.

— Uhm. — Vanyel zapuścił się jeszcze głębiej w pokłady magicznych mocy, a jego oczy powoli zaszły mgłą. — Mogę nawet określić, jakiego zaklęcia ten ktoś użył. I potrafię też stwierdzić, że był to on, a nie ona. Nie znam tego człowieka, lecz idę o zakład, że jest nim Verdik.

— A czy umiałbyś... no, sam nie wiem... przyjrzeć się Verdikowi, żeby się upewnić?

Vanyel odwrócił się niespokojnie od okna i potrząsnął głową.

— Nie. Sądując samego Verdika dla uzyskania jego znaku rozpoznawczego, zdradziłbym mu, że tu jestem. Skoro tylko Verdik zacząłby szukać drugiego maga, nawet to usytuowanie pałacu pomiędzy nami nie na długo byłoby dla mnie parawanem, za którym mógłbym się kryć. Ale wcale mi się to nie podoba. Chciałbym mieć pewność. I chciałbym wiedzieć, dlaczego ktoś w ogóle zamierzał przełamać te osłony. Nie mógł zrobić tego z czystej ciekawości, zwłaszcza posługując się zaklęciami o takiej sile. Och, tak, umiem zgadnąć, że to Verdik i że próbuje dotrzeć do samego ogniska, aby zniszczyć jakieś dowody. A jednak wolałbym wiedzieć na pewno, czy moje domysły są słuszne, czy też może wcale nie.

— A ja wolałbym, aby Savil i chłopiec już tu byli — mruknął Jervis. — Nie podoba mi się, że jesteśmy tak rozdzieleni.

— Zgadzam się z tobą — odparł Vanyel i w tej samej chwili pukanie do drzwi przerwało ich rozmowę.

Vanyel odwrócił się, ale to Jervis otworzył drzwi i z uczuciem ulgi na twarzy wpuścił do pokoju Savil i Tashira.

— Wielkie nieba, gdzieście się podziewali? — zapytał. — Mieliście tu być na

długo przed zachodem słońca!

— Małe opóźnienie — odparła beztrąsko Savil — A to, co zdobyłam, było warte tego opóźnienia! Co powiecie na motyw zbrodni w postaci dążenia Mavelanów do zupełnego wyniszczenia dynastii Remoerdisów?

— Co?! — jednocześnie wykrzyknęli Jervis i Vanyel.

— Udawaliśmy wieśniaków, którzy zwiedzają miasto — odezwał się Tashir strudzonym głosem. — Jedną z atrakcji turystycznych jest tutaj Wielki Pałac Sprawiedliwości. Trzymają tam w szklanych gablotach dokumenty dużej wagi i każdy, kto umie czytać, może im się przyjrzeć. Przypomniałem sobie, że jednym z nich jest traktat zawarty pomiędzy Bares i Lineasem, więc powiedziałem o tym Savil. Dlatego właśnie tam poszliśmy.

— Tashir musiał się nieźle uwijać, odgrywając tam zupełnego gamonia, żeby tylko dać mi trochę czasu na przeczytanie pisma. Ale potem przyszła przerwa obiadowa i wykurzyli nas stamtąd. — Savil opadła na krzesło przy stole, wzięła do ręki nóż, który ostrzył Jervis i obadała go krytycznym okiem. — Wszystko sprowadza się do tego: jeśli linia jednego z rodów królewskich wygaśnie (a dołączono tam także klauzule mówiące o powodach owego wygaśnięcia linii w postaci na przykład nieszczęśliwego wypadku, zarazy, czy też aktów boskich — słowem nie w wyniku udowodnionego zamachu ze strony innego rodu), ocalała dynastia obejmuje obydwie trony. Wszystko to spisane jest czarno na białym i opatrzone podpisem oraz pieczęcią Elspeth. Pamiętajcie? Valdemar nadzorował podpisanie traktatu i to Valdemar odpowiada za wyegzekwowanie prawa zawartego w owych klauzulach.

— Jeśli kiedykolwiek o tym wiedziałem, to zapomniałem o tym na śmierć — wyznał Tashir, przerywając ciszę.

— Innymi słowy, jeśli Tashir zostanie uznany winnym morderstwa, tron Lineasu zostanie przekazany Mavelanom, a Valdemar będzie miał za zadanie wydać co do tego odpowiednie rozporządzenia? — zapytał Vanyel z niedowierzaniem.

— W skrócie można tak powiedzieć — odparła Savil.

— Wielkie nieba...

— To nie przysporzy Valdemarowi popularności w tym kraju — zauważył Jervis. — Chociaż i tak już nas tu za bardzo nie lubią po tym, jak Vanyel uciekł razem z chłopcem. Jeśli ten traktat to niewystarczający powód dla Mavelanów, żeby wytrzebić rodzinę panującą z Lineasu, a potem całą winę zrzucić na Tashira — który nawet wydziedziczony, pozostaje przecież obywatelem tego kraju — to już nie wiem, jaki może być inny motyw takiej zbrodni.

— Ani ja — pośpiesznie zgodziła się Savil — To bardzo zgrabniutki spisek. No cóż, Van, szukałeś motywu.

— I bez wątpienia już go znalazłem. — Vanyel odwrócił się z powrotem do okna i znów zapatrzył się w dal. — A tym samym poznaliśmy oczywisty powód, dla którego Verdik tak zawzięcie walczy o swą popularność wśród mieszkańców

Lineasu.

Po niebie błąkały się jeszcze ostatnie echa słonecznego blasku, nadając sklepieniu perłowobłękitną barwę — na jego tle wznosiła się złowieszczą czarna bryła pałacu królewskiego.

— W rzeczy samej. Zanim ktoś zajrzy do tego traktatu, Verdik stanie się już jedynym członkiem rodu Mavelanów, którego lud Lineasu skłonny będzie zaakceptować. A mogą go przyjąć ze szczerych chęci, jeśli tylko Verdik do końca wypełni swój plan.

— Savil — zaczął z wolna Vanyel. — Wydaje mi się, że w pierwszym punkcie naszego rozkładu zajęć figurować będzie...

— Pałac — dokończyła Savil.

— Te pieczęcie są wyraźnie naruszone — zauważył Vanyel. — Gdyby atak poparto choćby odrobinę większą mocą, osłony mogłyby opaść.

Yfandes przeszła obok niego i wsunawszy nos w stronę drzwi, zamknęła oczy.

Krwawa magia — zawyrokowała. — *Nikła, ale jednak tam jest. Większość śladów wskazuje na zwykłe czary, lecz ktokolwiek rzucił te zaklęcia, ma w zwyczaju posługiwać się krwawą magią, a ona pozostawia skazy na wszystkich innych jego czynnościach.*

— To oznacza, że nie mamy do czynienia z heroldem, co zresztą wywnioskowaliśmy już wcześniej. I prawdopodobnie nie stąd pochodzi ten mag. Zajmowanie się czarami w tych stronach szybko mogłoby przysporzyć człowiekowi wrogów, a zabawy z krwawą magią niezawodnie zaprowadziłyby go na szubienicę. — Vanyel zwilżył wargi i przebiegi wzrokiem po pograżonym w ciemnościach dziedźniću. Zawierzywszy złym przecuciom Savil, zabrali z zajazdu wszystkie swoje rzeczy i przynieśli je ze sobą. Teraz Vanyel był szczerze rad, że tak postąpili.

— Naradźmy się... — zawołał cicho.

Czworo ludzi i troje Towarzyszy zbiło się w jedną zwartą grupkę. Ogier Mekeala uwiązany był najdalej, jak tylko pozwalały na to okoliczności.

— Kimkolwiek była osoba usiłująca przedrzeć się przez osłony, posłużyła się sposobem skażonym przez krwawą magię — oświadczył. — Yfandes to wyczuła. Ja natomiast mam pewien problem z naszym bezpieczeństwem. Jervisie, Tashirze, posłuchajcie. Każde nasze przejście przez osłony będzie wpływało na ich osłabienie, dlatego sędzę, iż lepiej będzie, jeśli zmienimy nasze plany. Wydaje mi się, że te osłony nie zniosą już dalszych uszczupień energii, wzmocnić je zaś będę mógł, tylko będąc we wnętrzu pałacu.

— A i to może nie przynieść żadnego rezultatu — zaznaczyła Savil. — Byłoby to zaledwie łatanie dziur. Słabsze punkty i tak nadal by zostały.

— Ano właśnie. — Vanyel pokiwał głową. — Nie będzie to rzecz przyjemna, ale chciałbym, abyśmy przekroczyli próg tylko raz i utrzymali spadek napięcia w osłonie na jak najniższym poziomie.

Przez kilka sekund jedyną odpowiedzią na jego propozycję była głęboka cisza, w której nawet szelest suchych liści tańczących po kocich łbach wystawiał jego nerwy na straszliwą próbę.

— Masz na myśli zatrzymanie się w rezydencji do czasu, aż dowiemy się, co się tam stało naprawdę? — zapytała Savil. Vanyel przytaknął skinieniem głowy. Savil ściągnęła usta i, aczkolwiek niechętnie, jednak wyraziła poparcie. — Jestem skłonna się na to zgodzić. Krwawa magia przełamie osłony z furją, jakiej nie znają inne sposoby, a wolałabym, aby pałac nie był wówczas bezbronny na wtargnięcie złej mocy. Ale co zrobimy z Towarzyszami?

— Odejdą — odparł smętnie Vanyel. Yfandes posłała mu nie wyrażone słowami, lecz i bez tego bardzo silne wyrazy protestu. — Przykro mi, ale nie sądzę, żeby znalazło się dla nich bezpieczne miejsce na terenie miasta. Zachodnia brama pozostaje otwarta nawet w nocy, ale jest strzeżona. Jeśli nałożę na nie zaklęcia czyniące je niewidzialnymi i niesłyszalnymi, przedostaną się przez nią bez trudu. Gdyby nawet Verdik coś wyczuł, i tak nie będzie to miało większego znaczenia. Zamieszanie, jakie wywołam, otwierając osłony, powinno wystarczająco go zająć.

Jervis odchrząknął.

— Jeszcze jedna korzyść: gdybyśmy wpadli w tarapaty, Towarzysze będą mogli swobodnie sprowadzić pomoc. Vanyel zagryzł wargi, rozmyślając intensywnie.

— Słuszna uwaga. *Yfandes, mnie też wcale się to nie podoba, ale...*

Nie widzę innego rozwiązania — dokończyła, przebierając kopytami na bruku; kipiła wręcz niechęcią do podporządkowania się temu planowi.

Będziesz musiała zaopiekować się tym przeklętym ogierem.

A czy mogę mu wymierzyć kopniaka, jeśli nie będzie się zachowywał jak należy? — zapytała Yfandes, z nadzieją unosząc głowę i strzygąc uszami.

Vanyel uśmiechnął się do siebie. Poza Jervisem to Yfandes najbardziej ucierpiała wskutek wybryków wierzchowca Jervisa: Ten okrutny zwierz usiłował nakłonić ją do nawiązania bliższej zażyłości.

O ile tylko będzie wymagała tego sytuacja. Możesz go przepędzić aż pod granicę karsycką, jeżeli tego sobie życzysz. Proszę bardzo.

W takim razie cały plan nie przedstawia się aż tak źle. Co wy na to, Kellan, Leshia... — Odczekała chwilę, aż ludzie odczepią juki od siodeł, a potem chwiejnym krokiem zbliżyła się do miejsca, gdzie uwiązany był ogier, i uwolniła go swymi mocnymi białymi zębami. Z wysoko uniesionymi głowami i pełnymi napięcia oczami wbitymi nieruchomo w Vanyela czekały teraz, aż ten nałoży na nich zaklęcie.

Ponieważ cała ich czwórka już wcześniej wiedziała, że wszystkie cztery wierzchowce stoją przed nimi, zaklęcie nie podziałało jakoś szczególnie na ich zmysły. Tylko Vanyel dostrzegł, że zwierzęta otuliła nagle migotliwa poświata, co oznaczało, że czar zadziałał. Yfandes przesłała mu wyrazy swej miłości i troski,

po czym, nadal z cuglami ogiera w zębach, odwróciła się w kierunku otwartej bramy prowadzącej na dziedziniec. W końcu, przy wtórze pisków i uszczyptnięć, troje Towarzyszków powlokło za sobą niesfornego ogiera przez bramę, ku pogrążającym się już w ciemnościach ulicom.

Vanyel skupił swój wewnętrzny wzrok na miejscu, w którym z tkanki osłon zamierzał wzniesić portal, a następnie jął poruszać rękami, czyniąc nimi jakieś skomplikowane gesty. Przez zamknięte powieki ujrzał, jak ściany energii tworzącej osłony rozsuwają się i powstaje w nich przejście o szerokości w sam raz wystarczającej dla jednego człowieka.

— Już są otwarte. — Vanyel otworzył oczy i obserwował Jervisa po omacku szukającego niewidzialnego, choć wyraźnie wyczuwalnego, przesmyku w ścianie osłon. Nie spuszczał oka z fehmistrza, aż do momentu gdy ten stanął w końcu po drugiej stronie, naprzeciwko niego. Przyglądając się całej tej scenie, Vanyel nie wiedział już, co było zabawniejsze: wyraz twarzy Jervisa z trudem przeciskającego się przez osłony, czy też jego mina, gdy odnalazł wreszcie „dziurę” w ścianie.

— Nie mogę tego za bardzo przedłużyć — ostrzegł, po czym cała trójka porwała z ziemi swe juki i sfatygowaną lutnię Medrena i pędem wspięła się po kamiennych schodach, zatrzymując się dopiero przy podwójnych drzwiach. Tam poczekali, aż Vanyel prześlizgnie się przez granicę działania osłon i zamknie za sobą przejście.

Uczyniwszy to, Vanyel powoli wspiął się po schodach i obadał tym razem już czysto fizyczną przeszkodę.

— Tashirze — zagadnął.

Chłopiec spojrzał na niego wystraszony.

— Mój młody przyjacielu, w takich oto sytuacjach możesz się przekonać o przydatności twego daru. Przenoszenie nie jest moją mocną stroną, a przypominasz sobie chyba, iż zaledwie raz dotąd widziałem te drzwi. — Vanyel założył ręce na piersi i popatrzył na chłopca, unosząc jedną brew. — Dokładnie pamiętam, że zaryglowałem je za Loresem. Przypominasz sobie zapewne, jak wygląda zasuwa na ich wewnętrznej stronie, twym darem zaś jest ni mniej, ni więcej tylko przenoszenie. Przyjrzyjmy się, jak zwalniasz tę zasuwę.

— Ależ... — próbował protestować Tashir. Savil zdawała się również być skłonna do sprzeciwu, lecz Vanyel uciszył ją jednym spojrzeniem.

— Zrób to, Tashirze. Jesteś w tym lepszy niż ja.

Chłopiec wziął głęboki oddech, zamknął oczy, stanął w rozkroku — być może nieświadomie naśladowując pozycję, jaką w takich wypadkach zwykł przybierać Vanyel — i zmarszczył brwi.

Vanyel wprowadzie już wcześniej, przy każdej sposobności, przekazywał mu najróżniejsze podstawowe instrukcje dotyczące posługiwania się jego darami; nie była to jednakże prawdziwa nauka. Mimo to podejrzewał, iż z dala od dezaprobaty swej rodziny, w środowisku gdzie zachęcano go wręcz do posługiwania się

„magią”, chłopiec sam podjął już jakieś ćwiczenia, które mogłyby mu pomóc zapanować w jakiś sposób nad jego złośliwym darem.

I tak po chwili wszyscy wyraźnie usłyszeli zgrzyt zasuwę przesuwającej się w obejmach po drugiej stronie okutych żelazem drzwi. Gdy Jervis poklepał Tashira po plecach, napędzając mu zresztą niezłego stracha, drzwi uchyliły się z trzaskiem.

Vanyel uczynił to samo co Jervis, może odrobinę delikatniej. Tashir posłał im obu szeroki uśmiech i jego zęby błysnęły w pierwszej smudze księżycowego blasku, jaka dotknęła ziemi tej nocy.

— Świetna robota, młody człowieku — pogratulował mu Vanyel. — A teraz schowajmy się, zanim zjawi się tu jakiś ciekawski.

Savil już otwierała drzwi; pozostali dopiero za nią wsunęli się w absolutną ciemność sieni. Poczekala, aż Vanyel na nowo zamknie i zarygluje wejście, a potem rozpała magiczne światło, które natychmiast powędrowało w górę, by tańczyć i błyskać tuż nad jej głową.

— Na bogów! — syknęła, wstrząśnięta rozmiarami zniszczeń w następnym pomieszczeniu.

Jervis przesunął się obok niej i stanął u szczytu schodów, potrząsając głową.

— Widziałem wojny i łupieżców, którzy nie byli aż tak skrupulatni. Do diabła, jaki to twór mógł zrobić coś takiego?

Vanyel rzucił okiem na Tashira. Z twarzy chłopca znikło już poczucie triumfu i odpłynęła krew. Oczy miał podkrążone i wylęknione. Aby dodać mu otuchy, Vanyel delikatnie położył dłoń na jego ramieniu i poczuł, że chłopiec drży.

Savil przyłączyła się do Jervisa, nie zauważając wcale rozpaczony Tashira, i jęła przechadzać się wolnym krokiem.

— Mogę ci powiedzieć, kto tego nie zrobił — oznajmiła niespodziewanie. — Nie zrobił tego Tashir.

Chłopiec aż drgnął ze zdumienia.

— Jesteś pewna? — zapytał Vanyel z cicha, wyczuwając, jak napięcie w jego sercu stopniowo zaczyna opadać. Tak naprawdę nigdy nie wierzył, że sprawcą tego wszystkiego był Tashir, a mimo to...

— Absolutnie pewna. Wystarczy sięgnąć pod powłokę promieniowania energii ogniska, aby przekonać się, że cały pałac zaśmiecony jest czarami. — Zamknęła oczy i wyciągnęła przed siebie rękę, jak gdyby chciała czegoś dotknąć. — Do ogniska, którego główny pień zakorzeniony jest gdzieś przed nami, przypisane jest jakieś bardzo stare zaklęcie. Ale na nie nałożone jest drugie zaklęcie osnuwające same tylko mury budynku, i to ono właśnie stało się przyczyną tego spustoszenia. Vanyelu, pozwól, że ja się nim zajmę; to zaklęcie-pułapka i wołałabym, abyś go niebudził.

— Zgadzam się z tobą. Ty radzisz sobie z już działającymi zaklęciami dużo lepiej ode mnie. Tashirze, Jervisie, zrozumieliście wszystko?

Jervis skinął potakująco.

Tashir zdał się przerażony i pełen nadziei zarazem.

— Savil powiedziała, że pałac znajduje się w mocy jakiegoś magicznego zaklęcia, które... zrobiło to wszystko? A dlaczego to wyklucza moją winę?

— Ponieważ ty nie masz nawet potencjału magicznego. Twoim darem nie jest umiejętność posługiwania się magią w naszym znaczeniu tego słowa. Prawdziwa magia pozostawia za sobą pewne ślady swego działania, zupełnie jak ćma, której skrzydła oprósza ci dłonie swym pyłem, gdy ją schwytasz. Ty nie mógłbyś zrobić niczego, co pozostawiłoby za sobą jakiegokolwiek znaki; ty nie masz takich umiejętności. W twoim przypadku próba manipulowania energią magiczną mogłaby jedynie doprowadzić do takiego samego skutku jak noszenie wody w cebrze bez dna.

— W Valdemarze takie dowody wystarczą, żeby uznać cię za niewinnego — dodał Jervis. — Szkopuł w tym, że bez dwóch zdań można być pewnym ich bezużyteczności w Lineasie.

Tashirowi zrzęda mina.

— To, niestety, prawda — zaszepił się.

— Wobec tego nasze zadanie polega na zgromadzeniu dowodów, które zadowolą ludzi z Lineasu. — Vanyel mimowolnie przejął dowodzenie. — Najpierw uporządkujmy jakąś niedużą komnatę i ulokujmy się tam. Potem troszkę się zdrzemniemy. Przy świetle dziennym łatwiej nam będzie pracować.

Savil ocknęła się ze swego transu i przyłączyła się do rozmowy.

— Popieram. Nie mam ochoty zabierać się do tak delikatnego zadania po nieprzespanej nocy. Tashirze, to bądź co bądź twój dom. Gdzie znajdziemy najdogodniejsze miejsce na naszą siedzibę, takie, aby nikt nas tam nie widział i nie niepokoił? — Zadrżała przeszyta nagłym zimnym dreszczem. — I gdzie możemy rozpałcić ogień? Nie chciałabym zamarznąć na śmierć we śnie, a nocami zdarzają się już prawdziwe przymrozki.

Tashir rozejrzał się dookoła. Mimo iż wyzbył się już po części swego niepokoju, Vanyel bez trudu rozpoznawał, że wciąż dręczy go strach i przygnębienie. Nic dziwnego. Tutaj zginęli wszyscy ludzie, których znał.

— To chyba kuchnia — stwierdził Tashir. — Na pewno nikt tam nie wchodził od czasu... — Wzdrygnął się, bynajmniej nie z zimna.

— Musimy rozważyć jeszcze jedną sprawę — odezwał się Vanyel z powagą. — Każde z nas może się natknąć na jakieś odrażające szczątki, a Tashir najmniej z nas wszystkich przywykł do oglądania takich widoków. Tashirze, nie oddalaj się sam. Bądź zawsze przy kimś z nas; jeśli wolisz, to przy Jervisie. Jeżeli w dowolnym momencie poczujesz, że nie możesz już znieść tego, z czym będziemy mieć tu do czynienia, idź prosto do kuchni i staraj się uspokoić. Przede wszystkim bardzo pragnę, abyś spróbował sobie przypomnieć, co zaszło tamtej nocy. Nie życzę sobie powtórki tego, co zrobiłeś w buduarze mojej matki, ale wcale nie

z obawy, że możesz komuś wyrządzić krzywdę, bo przecież nie zrobiłbyś tego. — Zdobył się na blady zachęcający uśmiech. — Chodzi o to, że narobiłbyś za dużo hałasu, chłopcze, a tutaj nie powinno być absolutnie nikogo. Jestem pewny, że Verdik wywęszył już, co się święci. Ale istnieje szansa, że jeszcze przez jakiś czas nie odważy się robić użytku ze swych wiadomości. Dlatego bardzo nam zależy, aby nie dostarczać mu powodów do podjęcia działania. Nie chcemy przecież nakłaniać wujka Verdika do zsyłania na nas duchów, prawda?

Tashir pobladł i Vanyel z miejsca pożałował, że wspomniał o duchach i Verdiku. Chłopiec niemo potrząsnął głową.

— Świetnie. A zatem przystąpmy do etapu pierwszego. — Zarzucił na ramię swą torbę, a pozostali zrobili to samo. — Tashirze, wszystko w twoich rękach. Wskaż nam tę kuchnię.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tej nocy żadne z nich nie spało dobrze. Pierwsze promyki wschodzącego słońca odnalazły troje z nich leżących na swych matach w napięciu, z otwartymi już dawno oczami. Sparaliżowane przez chłód i mgliste obawy, każde z nich czekało chwili, kiedy kto inny wyda jakiś odgłos, dając tym samym znak do wstawania. Vanyel ostatni wyrwał się ze szponów swych niespokojnych snów, ale to akurat, ze względu na jego wyczerpanie, nikogo nie zdziwiło. Po sekundzie czy dwóch, nie do końca jeszcze rozbudzony, zorientował się, że jego towarzysze już nie śpią, i odruchowo rozpałił magiczną lampkę. Pierwszemu błyskowi światła odpowiedziały trzy jednoczesne zdumione westchnienia i w tej samej chwili trzy pary oczu błyszczące błękitnymi ognikami zwróciły się ku niemu.

— Skoro już nie śpicie — zapytał oszołomiony jeszcze snem i zmieszany — to dlaczego po prostu nie wstaliście?

Później przyznał się Jervisowi, iż — po chwili namysłu — sam się wówczas zdziwił, że nikt go nie udusił za to pytanie.

W kuchni znalazło się jeszcze wiele zdatnych do spożycia produktów: suszonych, solonych, bądź też zakonserwowanych w inny sposób. Ponadto kuchnia miała swą własną pompę i studnię, co w zupełności rozwiązywało problem wody. Usiłując odpędzić dręczącą go nieustannie myśl o tym, że okradają zmarłych, Vanyel pomógł Jervisowi w przyrządzeniu znośnego nawet posiłku składającego się z bekonu, herbaty oraz herbatników.

Do jedzenia zasiedli na złożonych w kostkę pledach przy palenisku. W pozabawionej okien kuchni panował mrok, a w jej wnętrzu jakby ciągle pobrzmiwało echo minionych zdarzeń.

Nawet Jervis nie oparł się wpływowi tej ponurej atmosfery i raz po raz rzucał przez ramię ukradkowe spojrzenia na cienie skradające się za jego plecami.

— Myślę, że będziemy musieli podzielić się obowiązkami — zaczął Vanyel z cicha, gdy sączyli już herbatę: każde z naczyń, jakie akurat przypadkiem wpadło mu w rękę. — Czy ktoś się nie zgadza, abym objął dowództwo? — Odczekał chwilę, ale nikt się nie odezwał. — Świetnie. Savil, chciałbym, abyś wysadowała zakłęcie-pułapkę i, jeśli możesz, rozpoznała, jakie było, lub jest, jego działanie. I przede wszystkim, jak je tutaj ustanowiono. Jervisie, Tashirze, chciałbym, aby-

ście zlustrowali cały pałac, izba po izbie. Ty, Jervisie, sporą część życia spędziłeś w domach arystokracji i orientujesz się, co należy do wyposażenia takiego domu, a co nie. Pragnąłbym, abys rozejrzał się za przedmiotami, które zdają się tu nie pasować. Ty zaś, Tashirze, postaraj się przywołać wspomnienia tamtej nocy. Zajmując się tym wszystkim, byłoby miło, gdybyście pamiętali, że potrzebujemy tu więcej świec i czegoś, co mogłoby spełniać rolę pościeli.

— A ty...? — Jervis uniósł swe grube, posiwiałe brwi. Jego głos nie zabrzmiał oskarżycielsko, był zwyczajnie zaciekawiony. Pomiędzy nim a Vanyelem ponownie nawiązała się delikatna nić przyjaźni. Teraz ich stosunki zaczęły wreszcie umacniać się w więź daleko trwalszą i bliższą — rodziło się między nimi coś na kształt autentycznego, popartego szczerym zaufaniem partnerstwa.

Było to partnerstwo zbudowane na szacunku i trosce o dobro chłopca, toteż przyznanie się Tashira do nieszczerości w opowiadanych Jervisowi zmyślonych historyjkach żadnego z nich nie zabolowało.

— Ja będę robił dokładnie to samo, ale idąc z dołu do góry. Wy dwaj zaczniecie natomiast od góry. — Twarz Vanyela wykrzywił grymas. — Nie wydaje mi się, aby piwnice obfitowały w przyjemne widoki i, ujmując rzecz nieco brutalnie, muszę powiedzieć, że jako jedyny z nas wszystkich niedawno jeszcze przebywałem na froncie. Nie życzyłbym sobie, aby Tashir był zmuszony oglądać to, co mogę tam zastać. Wiem już, że twój ojciec nie przetrzymywał tu żadnych więźniów, Tashirze, ale wątpię, aby ludzie przeszukujący pałac poświęcili dość czasu, aby rozglądać się za ofiarami w podziemiach.

Tashir zbladł i wziął długi, głośny łyk herbaty.

— I jest jeszcze jedna rzecz, którą będę się zajmował. Mam przecucie, że ognisko energii położone pod pałacem odgrywa w całej tej sprawie ogromną rolę. Pragnę więc dowiedzieć się, jaki istnieje między tym wszystkim związek. Bo jakiś istnieje na pewno. Nie chce mi się wierzyć, że biegli z Tayledras po prostu pozostawili nie strzeżone ognisko o takiej mocy, nie odprowadziwszy uprzednio jego energii. Takie zaniedbanie kłóci się ze wszystkim, co o nich wiem. Nawet gdyby mieli być usunięci stąd siłą, powróciliby, żeby tylko zwolnić magiczne zabezpieczenia i odprowadzić energię ogniska. Jeśli nie zrobiłby tego ten sam klan, to dopilnowaliby sprawy ich potomkowie, bądź też członkowie innego klanu. Moim zdaniem to stare zaklęcie, o którym wspomniała Savil, ma z tym coś wspólnego.

Zapoznawszy się ze swymi zadaniami, rozdzielili się. Istniał jeszcze jeden powód, dla którego Vanyel wybrał dla siebie piwnice. Wszak tylko on i Savil umieli stworzyć swe własne światło i nie potrzebowali innych jego źródeł, takich jak świece czy lampki. W dodatku na razie nie mieli ani jednego, ani drugiego, a w piwnicach oczywiście nie było okien.

Nim minęło południe, zajęcie Vanyela dostarczyło mu już całego mnóstwa powodów do wdzięczności naturze za to, że obdarowała go wyjątkowo wytrzymałym żołądkiem. Nie mylił się, przypuszczając, że ludzie przeszukujący pałac

nie fatygowali się do piwnic. Lores zaś ani trochę nie przesadził w swym opisie okropieństw masakry. Nawet po tak długim czasie poszarpane szczątki robiły wrażenie wręcz odrażające. Na szczęście w ostatnim roku Vanyel widywał już równie potworne rzeczy, a może nawet jeszcze potworniejsze, i przywykł już do tego. Po pewnym czasie zaczął dostrzegać w tym wszystkim jakiś system: tam, gdzie nie było ludzi, lub też było ich niewielu, zniszczenia pośród najróżniejszych sprzętów były wręcz nieznaczące; tam, gdzie ludzi było więcej, zniszczenia też osiągały poważniejsze rozmiary.

Znalazł świece i piwnicę na wina. Świece położył na podeście schodów prowadzących do kuchni, a piwnicę opieczętował. Połowa znajdujących się tam beczek była roztrzaskana, wszystkie butelki porozbijane. A co do zbiorników, które pozostały nienaruszone... cóż, Vanyel miał pewne wątpliwości, czy ktokolwiek zechciałby kosztować wina z beczek zaplamionych i obryzanych...

Lepiej było nie rozmyślać nad tym zbyt długo.

Mogli wszak pić to, co znaleźli w kuchni, albo wodę.

Ze stanu piwnicy można było się domyślić, że w chwili katastrofy siedziało tam czterech służących grających w kości. Przynajmniej Vanyel przypuszczał, że było ich czterech. Obok stosiku monet i kości do gry leżały cztery przewrócone kubki, jednakże nie udało mu się odnaleźć więcej niż sześć rąk. W końcu porzucił poszukiwania pozostałych.

Spośród wszystkich rozrzuconych tam szczątków owe ręce były jedynymi częściami ciała, niezbitciami należącymi do ludzi.

A jednak było w tym coś niezwykłego. Na czterech spośród sześciu dłoni Vanyel zauważył pierścienie, dokładnie takie same jak ten na palcu Rety: zmatowiałe srebro z osobliwymi martwymi białymi kamieniami. Pierścień Rety wyraźnie spełniał rolę nie tylko ozdoby, ale teraz, gdy Vanyel ostrożnie musnął swym zmysłem myśloczucia jeden ze znalezionych pierścieni, ten w żaden sposób nie zareagował; nie było w nim nic szczególnego.

Lecz Vanyel widział przecież pierścień identyczny z tymi tutaj, który działał na jego korzyść. Wszystkie one mogły być wprawdzie jedynie znakiem rozpoznawczym mieszkańców zamku, ale z jakiego powodu w Highjourne, mieście ze zgrozą myślącym o magii, członkowie gospodarstwa samego władcy mieliby nosić przy sobie jakiegokolwiek przedmioty dotknięte mocą zaklęcia?

Vanyel zdumiał się. Przecież wszystko na pewno jakoś się ze sobą wiąże. Musi odnaleźć klucz do tej zagadki.

Ale z tego, co na razie wiedział, nie wyłaniały się żadne odpowiedzi; jeszcze nie.

Przebywając w podziemiach, stracił poczucie czasu, a w tego rodzaju okolicznościach jego żołądek nie był raczej skłonny mu o tym przypomnieć. Znów poczuł się jak na pograniczu: z każdym mięśniem napiętym do granic możliwości czekał, aż lada moment coś rzuci się na niego od tyłu. A tutaj nie było Yfan-

des, która pilnowałaby, co się dzieje za jego plecami. Nigdy przedtem nie był tak bardzo świadomy swej samotności. Równie dobrze mogłoby się okazać, że jest jedyną żywą istotą w całym pałacu. Na dodatek jego wybujała wyobraźnia z wielką łatwością zapełniała cienie przyczajone poza zasięgiem jego magicznego światła godnymi pożałowania albo żądnymi zemsty duchami.

Gdy zakończył wreszcie inspekcję piwnic i ich miejscami dość przerażającej zawartości, z wielką ulgą wspiał się po kuchennych schodach, by stanąć, z przy-mrużonymi oczami, w cudownie jasnym świetle.

Jasność ta była dla niego pierwszą miłą niespodzianką, jakiej doświadczył od dłuższego czasu. Ktoś zadał sobie trud i pozbiierał z podłogi pęki świec, i ten sam ktoś porzucił świece po całej kuchni, a potem wszystkie je zapalił. Światło przeobraziło to pomieszczenie z ponurej jamy w istną wysepkę swojskiego ciepła, pogodną i radosną nawet oazę normalności. Takie użycie świec zasługiwało z pewnością na miano rozrzutności, ale mieli przecież setki świec. Vanyel przekroczył próg kuchni z uczuciem, jak gdyby wynurzał się z przedśionka piekła.

Tashir i Jervis siedzieli przy palenisku, przeglądając jakieś tobołki.

— Gdzie Savil? — zapytał Vanyel. Zmrużył oczy osłepione jasnością. — Która to godzina?

Tashir podskoczył wystraszony, a gdy wbił oczy w Vanyela, po jego twarzy przemknął wyraz paniki, jak gdyby nie od razu go rozpoznał. Tymczasem Jervis nieprzerwanie kontynuował sortowanie.

— Próbuje się rozeznąć, w którym miejscu zastawiono pułapkę — odparł fechmistrz. — I nadchodzi wieczór. Pomóż nam tutaj, dobrze? Wydobyliśmy z szaf i skrzyń nieco dość znośnych okryć. Jeśli zrobisz z tym porządek i ułożysz coś w rodzaju posłań, to ja zajmę się kolacją.

Jervis dotrzymał słowa. Zanim pojawiła się Savil, ciągle nieco oszołomiona, zdążył sklecić zupełnie przyzwoity posiłek.

Kołdry, narzuty i prześcieradła, z których Tashir i Vanyel ułożyli wcale wygodne posłania, wydzielaly silną woń olejku sandałowego i lawendy, co świadczyło o tym, że nie były akurat w bieżącym użytku. Sądząc z milczenia Tashira i jego bladych ust, Vanyel odgadł, że i on, wraz z Jervisem, natrafił prawdopodobnie na jakieś ślady zbrodni, choć może niekoniecznie szczątki ludzkie. Ci, którzy przeszukiwali pałac, zaopiekowali się pewnie ciałami ofiar. I bardzo dobrze. Gdyby Tashir ujrzał to, z czym zetknął się Vanyel w piwnicy, jego nerwy mogłyby tego nie wytrzymać. Vanyel był pełen uznania dla wrażliwości Jervisa; w stanie takiego napięcia jedno zakrwawione prześcieradło zaplątane w pościel posłania Tashira mogłoby przyprowadzić chłopca o atak hysterii. Dlatego bezpieczniej było przeszukać bieliźniarki i zabrać ze sobą pościel odłożoną na zimę.

Z drugiej strony było bardzo prawdopodobne, że układ zniszczeń z piwnicy powtarzał się też na wyższych kondygnacjach. W pokojach zamieszkałych w momencie masakry mogło nie pozostać już nic nadającego się do użytku.

Savil podeszła do paleniska i wciąż jakby nieobecna myślami usiadła na posłaniu, przy którym leżała jej torba.

— Udało się? — zapytał Vanyel. W końcu Savil otrząsnęła się ze swego tajemniczego stanu i popatrzyła na niego, a nie przez niego, jak do tej pory.

— I tak, i nie. Chyba udało mi się zawęzić obszar, gdzie znajduje się gniazdo zaklęcia, do pierwszego piętra, i chyba już wiem, jak je tam nałożono. Ktoś sprowadził tu człowieka, który spełnił niejako rolę katalizatora i pomógł dopełnić operacji rozciągnięcia działania zaklęcia na długi czas. Gdyby cały pałac nie był otoczony osłonami, to przeprowadzenie takiego zabiegu na bazie pierwotnego zaklęcia byłoby wręcz dziecinną igraszką. — Savil przyjęła od Jervisa talerz, nie patrząc nań nawet. — To coś paskudnego, *ke'chara*. Na samą myśl cierpnie mi skóra. Trudno mi przymusić się do wysondowania tego okropieństwa, kiedy już wiem, że tam jest. To jak pajęczyna utkana wokół jakiegoś jądra niewyobrażalnego zła... a ja stoję na skraju tego jądra, usiłując zajrzeć do jego wnętrza, ale tak, aby nie zbudzić tego, co w nim drzemie. A jest w tym czymś coś bardzo, bardzo osobliwego. Zatrąca krwawą magią, jak sam możesz się domyślić, ale sama krew gra tam daleko subtelniejszą rolę.

— Jedz — poradził jej Vanyel, zgadując, że od rana ani razu nie przerwała pracy, by przekąsić coś czy się napić. — Jervisie, a ty i Tashir znaleźliście coś?

Fechmistrz przeżuł i połknął kęs, który właśnie włożył sobie do ust, i dopiero wtedy odpowiedział:

— Możliwe. Jeśli skończyłeś już na dole, chciałbym usłyszeć, co o tym sądzisz. To pewien pokój na parterze, kwadrat w samym środku pałacu. Jest niewiele większy od szafy i ma tylko jedną rzecz: słup od podłogi do sufitu z takiego samego kamienia jak zewnętrzne ściany budynku. Może to być jakiś rodzaj filaru, na którym opiera się cała konstrukcja pałacu; jest tak gruby, że nie potrafię go objąć. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Mówiłeś, żebyśmy szukali jakichś dziwnych rzeczy, a to jest bardzo dziwne.

— Tashir?

Chłopiec zamarł i popatrzył na niego wzrokiem zająca zapędzonego w ślepy zaułek.

Vanyel poczuł dla niego współczucie przemieszane z zażenowaniem. Jego zmysł empatii powiedział mu, że nerwy Tashira naprężone są do granic wytrzymałości. Vanyel nie miał cienia wątpliwości, że chłopiec szczerze próbuje rozbudzić w sobie wspomnienia. Ale wiedział też, że Tashir przechodzi istne piekło. Jednakże na to nie można było nic poradzić. Jeżeli tajemnica miała zostać wyjaśniona, a Tashir oczyszczony z zarzutów, prawdopodobnie wszyscy czworo będą musieli się w to zaangażować.

— Tashirze, co ty wiesz o pomieszczeniu, na które natrafił Jervis? — zapytał Vanyel.

Tashir przełknął kęs, który miał w ustach, i zwilżył wargi.

— Nic — odparł ledwie słyszalnym głosem. — Nigdy nie chcieli mnie tam dopuścić. Każdego zbierali do tego pokoju przynajmniej raz, ale nie moją matkę i mnie.

— Tashirze, to już coś — delikatnie zwrócił mu uwagę Vanyel. — Powiedziałaś „każdego”; czy mam to rozumieć dosłownie? Służących także?

Chłopiec pokiwał głową z taką werwą, że nieomal zsunął mu się talerz z kolan. Na szczęście Jervis w porę go złapał. Tashir ledwie to zauważył, tak bardzo skupiony był na Vanyelu.

— Służących także, Vanyelu. Wszystkich.

— To już więcej niż dziwne, to ma posmak tajemnicy. — Zamyślił się na moment, zawiesiwszy wzrok na strzelających płomieniach w palenisku. Czuł wielką pokusę, aby już, natychmiast, wyruszyć na poszukiwanie tego miejsca.

Lecz zaraz sobie pomyślał o pustych komnatach pełnych roztrzaskanych sprzętów i o długich, nawiedzanych przez duchy korytarzach, które musiałby przejść, aby się tam dostać. Zawahał się i poczuł dreszcz. Jakkolwiek wytrzymały, zaprawiony w doświadczeniach wojennych był jego żołądek, wszystko miało swoje granice.

O, chyba jednak nie. Nie jestem na to gotów. A poza tym wolałbym nie ryzykować rozpalania światła, które mógłby spozrzeć ktoś z zewnątrz. Przecież ten słup nie ucieknie stamtąd do rana.

— Chcesz... tam pójść jeszcze tego wieczoru? — wycedził Tashir, na pewno nie czerpiąc przyjemności z myśli o tym.

— Nie, Tashirze, nie dziś — uspokoił go Vanyel i uśmiechnął się, widząc, jak uczucie ulgi przywraca policzkom chłopca ich naturalny kolor. — Wszystkim nam już wystarczy wrażeń jak na jeden dzień. Ten filar jest tam cały czas, i rano też będzie.

Dopiero Jervis przerwał ciszę, która teraz zapadła.

— Van, coś przyciągnęło moją uwagę. W pokojach, w których nie było akurat żadnych ludzi, prawie nic nie jest zniszczone. Czasem tylko naderwana zasłona, połamane krzesło albo coś w tym rodzaju. Ale pokoje, w których byli ludzie, to jedno wielkie pobojobowisko. Im więcej ludzi, tym większe zniszczenia.

— To samo w podziemiach — powiedział Vanyel, gdy Jervis z zapałem pochłaniał swą kolację. — Savil, czy mówi ci to coś? Savil zmarszczyła czoło, pograżając się w skupieniu.

— Tak, ale nie potrafię powiedzieć co. Do licha! Vanyel poszedł tropem jej myśli.

— Tashirze, gdzie byłeś, gdy w końcu dostali się do środka i odkryli te wszystkie okropności?

— W Wielkim Refektarzu — wyjąkał. — Dopiero co się ocknąłem i okazało się, że jestem w Wielkim Refektarzu.

— A największe pobojuwisko było właśnie tam? — Vanyel zwrócił się do Jervisa, aby uzyskać potwierdzenie.

— Tak mi się wydaje, sądząc po tym, co do tej pory widziałem.

Gdy Vanyel starał się wywołać z zakamarków pamięci swe własne wspomnienia, przed oczami mignął mu obrazek z tamtego snu, który nawiedził go którejś nocy. Śniło mu się wtedy, że tkwi wewnątrz jakiejś trąby powietrznej rozpęta-nej przez diabelskie istoty. Wtem uprzytomnił sobie, że ów sen znajduje przecież swe odbicie w jego ostatnich doświadczeniach. Myśl ta tak go uderzyła, że aż się uniósł na swym miejscu i wyprężył w napięciu. Ogień buchał w palenisku, a razem z nim rozpałały się jego wspomnienia.

Było to na początku kampanii karsyckiej. Odgrywał właśnie rolę przynęty, siedząc sobie samotnie w starej twierdzy po drugiej stronie granicy.

Twierdza ta miała rzekomo być zamieszкана przez niegroźnego staruszka i garstkę jego czeladzi. Oczywiście najbliższy oddział straży stacjonował w odległości kilku dni szybkiego marszu, choć to akurat nie powinno w ogóle grać żadnej roli. Wszak nikt nie miał wiedzieć, że twierdza strzeżona jest tak nikły-mi siłami. Nikt też nie miał się dowiedzieć, iż leży ona na nader znaczącej ze strategicznego punktu widzenia trasie.

Ktoś to jednakże odkrył i przekazywał informacje Karsytom. Słabo strzeżone twierdze o dużej wadze strategicznej leżące w granicach Valdemaru były wręcz zrujnowane, ich mieszkańcy wymordowani, a po nich pozostawały luki w linii obronnej, o których stratedzy dowiadywali się, gdy było już za późno. Zdarzały się też jeszcze gorsze wypadki: gdy stratedzy odwiedzali twierdze w ich mniemaniu zajmowane przez ich własne wojska, a zastawali tam żołnierzy wroga.

Vanyel umiał odczytywać ślady pozostawione przez działanie magii i wiedział, że tylko magia mogła przeciwstawić się podobnym atakom. Doprowadzając więc Yfandes do zupełnego wyczerpania, pognął do tej właśnie twierdzy, która według wszelkiego prawdopodobieństwa mogła stać się następnym celem napaści wroga. Wyprawił z zamku staruszka oraz jego świtę i czekał.

Atak rzeczywiście nastąpił — spadła na niego cała sfera *gretshke*, na wespół demonicznych stworzeń (składających się głównie z głowy, kłów i wielkiego apetytu), które, jeśliby zająć się każdym z osobna, nie przedstawiały większego zagrożenia. Zwykły wojownik mógłby unieszkodliwić jedno, a może nawet dwa, istoty te bowiem wcale nie były odporne na zimne żelazo mieczy. Ale cała sfera — to już zupełnie inna rzecz. Sfera składała się z setek, jeśli nie tysięcy, takich stworzeń. Można było uśmiercać dziesięć naraz, a one wciąż miały przytłaczającą przewagę nad swą ofiarą, której zdawało się, że runęła nań cała lawina wygłodzonych szczurów.

Mag, który je tam przysłał, nie miał nad nimi władzy — on spuścił je tylko

z uwięzi. Zazwyczaj gdy kończy się pokarm albo gdy stwory się nasycą, powracają zaraz do swego gniazda; wystarczy tylko im na to pozwolić. Dlatego mag wykorzystujący je do swych celów zwykle wabi całą sforę do portalu Bramy prowadzącej do miejsca, które ma być celem ich ataku, a potem zatrzaskuje osłonę wokół owego miejsca, tak aby stwory nie mogły się stamtąd wydostać. Następnie odczekuje odpowiednio długo — zwykle nie więcej niżli jedną miarkę świecy, gdyż sfora uwija się w niezwykłym pędzie — a potem na powrót otwiera portal Bramy, aby ściągnąć przezeń do siebie sforę. Wreszcie zdejmie osłonę i wojska okupujące mogą się wprowadzać do nowo zdobytej siedziby.

Cała taka operacja wymaga umiejętności na poziomie biegłego, co nasuwało przypuszczenie, iż przeprowadzał ją zwykle jeden z trzech biegłych wynajętych przez Karsytów na samym początku konfliktu. Jeden z nich najpierw zastraszył, a potem rozpoczął doszczętne wypalanie całego miasta. Miasto zostało uratowane, lecz podczas walki z magiem, w desperackiej próbie opanowania płomieni, Mardik i Donni ściągnęli ogień na siebie.

Ich próba powiodła się. Był to odważny, bezinteresowny — i w ostatecznym rozrachunku fatalny — wyczyn. Najlepsze, co jeszcze można o nim powiedzieć, jest to, że ich cierpienie nie trwało długo.

Vanyel z całą determinacją postanowił wówczas, że zanim wycofa się z linii frontu, zabije maga, który był za to odpowiedzialny. Gdyby mógł wybierać, zważywszy na inne ich krwawe postęпки, wolałby zabić wszystkich trzech magów, ale najbardziej pragnął dostać tego jednego.

Jedyny problem polegał na tym, że sami magowie odmawiali bezpośrednio konfrontacji, uderzając zawsze tam, gdzie jego akurat nie było.

Do czasu, gdy zastawiona została ta pułapka w twierdzy, Vanyel był już tym wszystkim zmęczony. Po śmierci Mardika i Donni zaczął polować na magów z taką zawziętością i uciekając się do takich podstępów, że z chwilą wytopienia drugiego biegłego czarownika miał zastąpić jako Łowca Cieni.

Lecz to miało nastąpić dopiero w przyszłości. W tamtym momencie, na pierwszym etapie swej samozwańczo wytyczonej ścieżki zemsty, czekał w zatopionej w ciemnościach twierdzy, podsycając nieustannie dyskretną iluzję, która miała przekonać nieznanego wroga, iż w murach twierdzy przebywa jedynie staruszek z garstką swej czeladzi, a wszyscy pogrążeni są w głębokim śnie.

Wtem poczuł, że osłony rozsuwają się i rozwiera się portal.

Sfora wpadła do sieni zamku, gdzie Vanyel jej oczekiwał, ukryty za kominem pośrodku pomieszczenia. Zatrzasnął swą własną osłonę, porzucając magiczną iluzję, i jął przyglądać się, jak stwory szaleją wokół niego, nieliczne sprzęty rozszarpując z wściekłości, że nie mogą osiągnąć mięsa, do którego dostęp tak zwodniczo został odcięty.

Potem z bezlitosnym uśmiechem wznosił drugą barierę, która odgrodziła sforę od portalu. Gdy mag ponownie rozwarł jego podwoje, badając rezultaty swych

starań, Vanyel pochwycił jego sondującą nić myśli, zanim ten zdążył ją wycofać, a następnie po niej przesłał mu pewną niespodziankę.

To właśnie ów obraz przedstawiający stwory rozszarpujące poduszki, rozbijające meble i zdzierające ze ścian gobeliny interesował teraz Vanyela najbardziej. Natychmiast przekazał go Savil, która zareagowała nań gwałtownym okrzykiem. Jervis ze zdumieniem uniośł brwi.

— Wydaje nam się, że znaleźliśmy wytłumaczenie tych wszystkich zniszczeń — jął wyjaśniać Vanyel, wciąż jakby nieobecny myślami, gdyż on i Savil równocześnie naradzali się drogą myślową. — Wszystko to jest bardzo skomplikowane i nadal mamy mnóstwo wątpliwości. Rozplatanie tej gmatwaniny może nam zająć sporo czasu, ale takie wytłumaczenie świetnie się pokrywa z dowodami, jakie do tej pory zgromadziliśmy.

Jervis tylko potrząsnął głową.

— Jeśli znów chodzi o magię, to ja mam już dość, Van — powiedział, ziewając. — Zostawiam to tobie. Pokażę ci ten pokój, a ty już sam się nim zajmiesz, dobrze?

— Zgoda — odparł Vanyel i zaraz skupił uwagę na poszukiwaniu poszlak, które pozwoliłyby mu wywnioskować, jakiego rodzaju były stworzenia, które obróciły Wielki Refektarz pałacu w cmentarzysko. To mogłoby dostarczyć mu informacji na temat siły wroga, a co ważniejsze, pomóc w jego zidentyfikowaniu.

W rezultacie jednak i on, i Savil ułożyli się do snu, nie odnalazszy żadnych odpowiedzi na swe pytania. Czy ich przeciwnik był potężny? Bardzo. Był nim co najmniej biegły.

Nie udało im się wyjaśnić żadnej z zagadek i wątpliwości, ponieważ ślady, które dałyby im jakieś rozeznanie na temat stworzeń przywołanych przez zakłęcie-pułapkę, zostały starannie zatarte. Pozostało jedynie skrzętnie zakamuflowane zakłęcie (którego obecność tylko biegły był w stanie wytropić) i nic nie mówiące drobne skazy po działaniu magii, które od razu przykuły ich uwagę.

Gdy wreszcie postanowili się poddać, Jervis i Tashir od dawna już spali.

— Idziemy spać? — spytał Vanyel z nadzieją, że usłyszy odpowiedź twierdzącą.

— Możemy. Tej nocy do niczego już nie dojdziemy. — Savil przeciągnęła się i zaczęła mościć się w swym pościeliu wyczerpana do cna.

Dopiero w tym momencie Vanyel uświadomił sobie, w jakim napięciu była Savil przez cały czas, angażując się w całą tę zagmatwaną sprawę magii i równocześnie wypełniając swe obowiązki jako Wschodni Strażnik Sieci. Vanyel postanowił ulżyć jej choć trochę, gdy tylko będzie mógł. Taka sytuacja nie była wobec niej ani sprawiedliwa, ani nie przysparzała jej zdrowia.

Ciekawe, czy istnieje jakiś sposób, aby przyłączyć do Sieci wszystkich herol-

dów, przynajmniej w roli źródła energii. To w połowie przynajmniej odciążyłoby Strażników.

— Mam zgasić świece? — zapytał, powiódłszy wzrokiem po płomykach wciąż ozdabiających kąty kuchni.

Namyślając się, Savil otworzyła jedno oko.

— Nie. Zostaw je, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Nie musimy ich oszczędzać, a jakoś nie mam ochoty zasypiać w ciemnościach.

Vanyel zamyślił się na chwilę, w końcu skinął głową.

— Wiesz co, moja nauczycielko? — powiedział cicho. — Ja też.

Savil zaśmiała się resztką sił i znów zamknęła oczy.

— To absurdalne, prawda? Jesteśmy sobie tutaj razem, dwoje najwyższych rangą heroldów Valdemaru, i boimy się ciemności.

Vanyel otulił się pościelą.

— Jeżeli tylko przyrzekniesz, że nikomu o tym nie powiesz, to ja też nie powiem.

Lecz w odpowiedzi usłyszał tylko ciche chrapnięcie. Wkrótce i on zapadł w sen w kojącym otoczeniu płonących wokół świec.

Malutki pokój aż pulsował od napięcia energii.

Było to okrągłe pomieszczenie o kamiennych ścianach z bladego piaskowca oraz drewnianym suficie i podłodze z jasnej sosny. Kamienny filar umieszczony był w samym jego środku i z łatwością można było się domyślić, że ciągnie się on jeszcze dużo powyżej sufitu, a wyrastał gdzieś głęboko poniżej płaszczyzny podłogi. Pokój ten, w którym ledwie starczało miejsca, aby obejść dookoła ów słup, bardzo wyraźnie chroniony był stałymi osłonami podobnymi do tych, które okalały salę ćwiczeń w pałacu w Przystani. Nic dziwnego więc, że ani Vanyel, ani Savil nie wytropili wcześniej tego małego dziełka sztuki magicznej. Vanyel z ostrożnością położył dłoń na ciemnej powierzchni filaru z czarno-szarego polerowanego kamienia, a Tashir i Jervis przyglądali mu się z zaciekawieniem. Kamień okazał się ciepły i sprawiał zadziwiające wrażenie żywego organizmu.

I zdawał się bardzo znajomy.

Był to kamień-serce z Tayledras. W Wąwozie k'Trevów kamień taki znaczył miejsce, gdzie fizyczna, materialna dolina pokrywała się i przenikała z ogniskiem mocy i skrzyżowaniem strumieni energii przepływających pod jej podłożem. Kamień taki, jako fizyczny przejaw energii zasilającej magów z Tayledras, był szczególnie podatny na złe wpływy z zewnątrz. Z racji tego biegli z Tayledras strzegli go bardzo zazdrośnie, a gdy zmuszeni byli opuścić jakieś miejsce i pozostawić taki kamień, zawsze najpierw całkowicie go dezaktywizowali.

Ten, na który patrzył teraz Vanyel, teoretycznie nie miał prawa znajdować się tam, gdzie był w istocie; chyba że w roli czegoś na kształt martwego reliktu

po poprzednich mieszkańcach tego miejsca. Nie powinien żyć, a co więcej, nie powinien reagować na dotyk fizyczny ani też zmysłowy.

— To... — wyjąkał Vanyel i gwałtownym szarpnięciem oderwał rękę od filaru. — Jervisie, miałeś rację. To coś, czego za nic nie spodziewałbym się tutaj zastać. Będę musiał wy badać go przy użyciu myślóczucia.

— Czy możemy ci jakoś pomóc? — zapytał cicho fechmistrz.

— Prawdę mówiąc, wolałbym, abyś zabrał Tashira do Wielkiego Refektarza i spróbował pomóc mu w przywoływaniu wspomnień — rzekł Vanyel, usiłując nie poddawać się fascynacji kamieniem. — Tutaj nie możesz mi się przydać w żaden sposób, a poza tym wasza obecność troszkę by mnie rozpraszała. Gdybyś tylko mógł zajrzeć tu od czasu do czasu...

— A czy mam zwrócić uwagę na coś szczególnego?

— No cóż — odparł Vanyel z ironią. — Jeśli zrobię się niebieski, raczej będzie to oznaka, że dzieje się coś niedobrego. Poza tym kieruj się własnym uznaniem.

Śmiech Jervisa zabrzmiał nieco topornie, niczym zgrzyt kół toczących się po zwirowej drodze, dowodził jednak, że spośród całej ich czwórki jedynie fechmistrz oparł się wpływowi makabrycznej atmosfery otoczenia, w którym się znaleźli.

— Zgoda, wezmę chłopaka ze sobą i zobaczę, czy uda nam się zrobić jakieś postępy.

— Dzięki. — I dziękuję ci, Jervisie, za to, że możemy już sobie ufać. — Nie wiem, czy zdołałbym cokolwiek zdziałać, gdyby było inaczej. Nie czekając na ich odejście, Vanyel stanął znów twarzą do kamiennego filaru, a potem przyłożył doń obydwie dłonie i czoło...

I kamień przyjął go w siebie.

Na długą chwilę całą świadomość Vanyela pochłonął bez reszty niewiarygodny, kotłujący się wir energii ogniska mocy. Zdawało mu się, że oto nagle zanurzył się w samo serce słońca, a mimo to dziwnym jakimś sposobem uniknął jakiegokolwiek szwanku. Było to wrażenie zupełnie odmienne od tego, jakiego doznawał, czerpiąc energię z ogniska; wówczas bowiem zawsze pozostawał na zewnątrz, oddzielony od mocy, którą starał się ujarzmić, a bezpośrednio do czynienia miał z pojedynczym, nikłym strumieniem mocy. Teraz był częścią tej mocy, bez intencji — ani nawet możliwości — przejęcia nad nią władzy. Nie władzy nad nią pragnął, chodziło mu tylko o obserwację i uzyskanie odpowiedzi na nurtujące go pytania.

Lecz, aby uzyskać jakąkolwiek odpowiedź, w pierwszej kolejności musi zostać zadane pytanie. Vanyel sformułował je w myśli, starannie uwzględniając wszelkie niuanse.

Słowami bardzo łatwo byłoby to wypowiedzieć: „Kto to tutaj zostawił?” Wyrażenie tego myśłą okazało się jednakże nieskończenie bardziej skomplikowane; szczególnie że „kto” miało być pytaniem o grupę ludzi.

Kamień-serce nie posiadał inteligencji, jednakże miał swą pamięć. I każde pytanie, któremu odpowiadała informacja w niej zapisana, mogło wywołać z kamienia swą odpowiedź.

Naraz przed oczami Vanyela wyrosła niezwykle klarowna wizja biegłych z Tayledras. Było ich kilku, każdy promieniował potężną energią, a jednego z nich otaczała szczególnie niebiesko-zielona aura właściwa wyłącznie nadzwyczaj rzadko spotykanym biegłym uzdrowicielom. Obraz tego właśnie biegłego wyróżniał się swą klarownością i zabawił w umyśle Vanyela nieco dłużej niż pozostałe postacie, za czym kryła się zapewne wskazówka, iż to on, a nie kto inny, ponosił odpowiedzialność za zostawienie kamienia oraz ogniska energii w stanie aktywności.

Gdyby w tym momencie Vanyel mógł podskoczyć ze zdumienia, na pewno właśnie to by zrobił. Aczkolwiek biegli uzdrowiciele z Tayledras mogli i niekiedy działali jako zwykli uzdrowiciele, to jednak przede wszystkim zajmowali się leczeniem nie ludzi, lecz środowisk. Przywracali naturze zamierzoną przez nią równowagę. Naprawiali szkody wyrządzone w niej ręką ludzką bądź też z użyciem magii. To, że biegły uzdrowiciel uznał za konieczne pozostawienie na miejscu tak niebezpiecznego źródła mocy na ziemiach, które wkrótce miały być zasiedlone przez zwyczajnych ludzi, wskazywało na jakąś ogromnie istotną przyczynę przewyższającą swą wagą wszelkie inne okoliczności.

— Dlaczego? — zapytał Vanyel z naciskiem.

I poczuł, że coś wciąga go jeszcze głębiej, poniżej podłoża skalnego, do samego jądra ziemi. Wtem uświadomił sobie, iż także sam kamień zakorzeniony jest w tej głębinie.

Ciśnienie było ogromne i rosło w miarę, jak Vanyel przenikał coraz niżej; napierało na niego ze wszystkich stron, już prawie nie mógł oddychać. Siła, która porwała go ze sobą, by odpowiedzieć na jego pytanie, ściągała go głębiej i głębiej, aż do miejsca, gdzie temperatura otaczających go skał zaczynała gwałtownie rosnać.

I wtedy ujrzał to. Biegnące z północy na południe, niewidoczne z góry, a mimo to naznaczone niebezpieczeństwem, które zmroziło krew w jego żyłach, Vanyel ujrzał pęknięcie w najgłębszym pokładzie skał. Był to uskok, miejsce, gdzie warstwy skalne przesunęły się, tworząc szczelinę biegnącą wzdłuż koryta rzeki na powierzchni ziemi.

Ale w tym nie było jeszcze nic nienaturalnego; natomiast czymś, czego na pewno nie stworzyła natura, był otwór przebity w miejscu uskoku, a sięgający aż do roztopionego wnętrza planety; zapewne pozostałość po Wojnach Magów. W tym właśnie wyłomie osadzony był kamień-serce.

I całe Highjourne wzniesione zostało wprost na nim. Co więcej, szczelina powodowała, że terytorium Lineasu rozszerzało się na ziemie dotąd nie zamieszkałe. Gdyby nastąpiło dalsze przemieszczenie...

Było już tylko kwestią czasu, kiedy pokłady skał osuną się, doprowadzając do potwornej katastrofy, która z ogniem i trzęsieniami ziemi przyniesie zagładę całemu miastu... i wielkiej połaci kraju. Dlaczego jeszcze do tego nie doszło, Vanyel nie potrafił sobie wytłumaczyć. Aż w końcu pojął, dokąd odpływa energia całego ogniska.

Otóż zasilała ona ogromnie zawikłane i skomplikowane zakłęcie, jakiego Vanyel nigdy nie byłby w stanie rzucić. Takie zakłęcie mogło pochodzić wyłącznie od biegłego uzdrowiciela z Tayledras — musiało być dziełem całego życia tego maga i biegłego w jednej osobie. To ono zamykało ranę w skale i zapobiegało dalszemu przesuwaniu się jej pokładów. Co więcej, z czasem zupełnie zaleczy i ranę, i cały uskok, wzmacniając jednocześnie wszelkie inne zagrożone miejsca, aż cały ten obszar na powrót odzyska równowagę. Taki proces jednakże wymaga długiego czasu, stu, a może i jeszcze więcej lat; w dodatku każdy wypadek wysysania energii z ogniska pozbawi zakłęcie niezbędnej mocy. Gdy już dojdzie do czegoś podobnego — w zależności od ilości wykradzionej energii — nastąpi nieznaczny wstrząs albo potworna tragedia, której właśnie biegły usiłował zapobiec, nakładając na uskok swe zakłęcie.

Nagle siła, która wessała za sobą Vanyela, uwolniła go. Teraz mógł znów wypłynąć na „powierzchnię”, w stanie zresztą dość silnego oszołomienia.

Nadal jednak bez odpowiedzi pozostawało jedno pytanie: Jaki związek zachodzi pomiędzy rodziną Tashira a tym oto osobliwym zjawiskiem w samym środku ich pałacu?

Odpowiedź nadeszła natychmiast i była tak wyraźna, jakby ujęto ją w słowa.

Członkowie rodziny Tashira byli strażnikami zakłęcia. W tej samej niemal chwili Vanyel poczuł uderzenie potężnej fali innych jeszcze wiadomości. Odrzucony w tył, zatrzymał się dopiero na ścianie. Uświadomił sobie to, dopiero gdy otworzył oczy. Z głową kipiącą wręcz od ogromu nowych informacji, stał nieruchomo, wpijając się wzrokiem w ciemną bryłę wulkanicznego bazaltu.

Wreszcie na rozchwianych nogach wyszedł z pokoju, ostrożnie zamknął za sobą drzwi i skierował swe nieporadne kroki do kuchni, dużym łukiem omijając Wielki Refektarz. Bardzo, bardzo chciał się położyć. Nie po raz pierwszy zadawał pytanie kamieniowi-sercu, lecz dziś po raz pierwszy kamień ów zalał go taką powodzią faktów i wspomnień. Kamienie-serca, z którymi dotąd obcował, były raczej niemrawe, stare i tak powolne, że mogły upłynąć godziny, nim odpowiedź znalazła się w zasięgu osoby zadającej pytanie. W przeciwieństwie do tamtych, tutejszy kamień wręcz zarzucał człowieka odpowiedziami, nim ten zdążył dokończyć swe pytanie.

Dotarłszy do kuchni, Vanyel spędził troszkę czasu na ustawianiu i zapalaniu nowych świec, a potem ciągle jeszcze rozchwianym krokiem podszedł do swego „łóżka” i z padł na nie, zagrzebując się twarzą w pościeli.

Musiał chyba zasnąć, gdyż ocknąwszy się, usłyszał hałasy ogólnej krzątani-

ny w kuchni i na dodatek poczuł roznoszący się już wokół zapach smażonego bekonu, co uświadomiło mu, że jego własny żołądek zdążył już przykleić się do kręgosłupa.

Zesztywniały i obolały przewrócił się na plecy. Obok niego natychmiast pojawiła się Savil. Przyklękawszy przy jego pośnaniu, zajrzała mu głęboko w oczy.

— Spaleś jak kamień — powiedziała. — Nie mogliśmy cię dobudzić. Mam nadzieję, że udało ci się dowiedzieć czegoś, co było warte aż takiego zachodu.

Vanyel wziął głęboki oddech i poczuł, że jego klatka piersiowa i wszystkie mięśnie są zupełnie obolałe. Chyba przez całe godziny musiał trzymać je w napięciu. Skinął głową.

— Mam odpowiedzi — powiedział, a raczej wycharczał. — Mam odpowiedzi, mam odpowiedzi. Savil, ten filar to kamień-serce. Na dodatek żywy!

Z chwilą gdy padły słowa „kamień-serce”, usta Savil otworzyły się. Teraz zamknęła je ze szczękiem.

— Najpierw coś zjedz. Potem nam wszystko opowiesz.

Vanyel usiadł powoli, bardziej niż kiedykolwiek wdzięczny miękkim narzutom na pośnaniu za ochronę jego obolałego ciała przed bezpośrednim kontaktem z kamienną podłogą kuchni. Na palenisku strzelał już ogień i cała trójka jego przyjaciół zdawała się wcale nie odczuwać chłodu; ale jemu było zimno, tak bardzo zimno.

Do jednej ręki Jervis wsunął mu talerz, a do drugiej Tashir wcisnął kubek z herbatą. Potem oboje, Savil i Jervis, zaczęli udawać bardzo zajętych resztkami kolacji na swych talerzach. Tylko Tashir nie silił się na zachowanie żadnych pozorów i krążył wokół Vanyela, z niecierpliwością obserwując każdy kęs, który ten brał do ust.

Było to nieco krępujące, ale tak naprawdę Vanyel nie potrafił winić chłopca za jego niecierpliwość.

Gdy wreszcie odłożył pusty talerz, nawet Savil i Jervis przestali udawać i tak samo jęli nad nim krążyć.

— Postaram się ująć to jak najkrócej — powiedział w końcu. Czuł się odrobinę niezręcznie, będąc w centrum ich uwagi. — Pałac ten stoi na miejscu, gdzie spotyka się, tworząc swoisty węzeł, kilka strumieni energii magicznej; nazywamy takie miejsce ogniskiem. Ogniska takie — w szczególności te o najpotężniejszej mocy — często nie są tworem natury. Mogą one być zawiązywane przez szczególną grupę biegłych zwanych ludźmi z Tayledras, czyli Sokolimi Braćmi. — Wyczytawszy z twarzy Tashira i Jervisa, że nie kojarzą, o kim mowa, dodał: — Żyją oni w Pelagris i większość ludzi nigdy o nich nie słyszała, a jeszcze mniej miała okazję ich zobaczyć. Savil i ja należymy do garstki tych, którym się to udało.

Savil przytaknęła skinieniem głowy.

— Oni zachowują pełną konspirację, a mają ku temu ważne powody. Potrafią — a przychodzi im to równie łatwo jak oddychanie — robić rzeczy, które rzadko

który mag w ogóle potrafiłby sobie wyobrazić. Umieją manipulować wszelkimi otaczającymi nas polami energetycznymi.

Vanyel przerwał jej dyskretnie.

— Tak naprawdę zajmują się głównie dwiema sprawami: z ziem, na które sprowadzają się normalni ludzie, odprowadzają siły magiczne będące pozostałością po dawnych wojnach, a później wykorzystują te siły przy leczeniu tych obszarów i tworzeniu dogodnych siedlisk dla stworzeń wypieranych stamtąd przez osadników. Gdy sami osiedlają się w jakimś konkretnym miejscu, tworzą tam zwykle ognisko mocy na własny użytek. Lecz kiedy opuszczają to miejsce, zawsze bezwarunkowo — tak przynajmniej dotąd myślałem — dezaktywują ognisko, pozbawiając je energii, a strumienie mocy w nim się skupiające kierują gdzie indziej.

— Właśnie tak mówił mi zawsze Gwiazdny Wicher — zgodziła się Savil, zmieniając pozycję; teraz opierała brodę na kolanach.

— Ale w tym przypadku tego nie zrobili — odparł Vanyel. — Ognisko pozostaje wciąż w pełni aktywne, a kamień-serce będący fizycznym przedłużeniem węzła energii jest nadal żywy. Ten słupek, Tashirze, to właśnie kamień-serce ogniska mocy. I tu nasuwa się pewne pytanie.

Zwilżył wargi i zamknął na chwilkę oczy dla uzyskania lepszej koncentracji.

— Otóż w początkach osadnictwa na tych terenach jeden z biegłych z Tayle-dras pozostał tu dłużej aniżeli jego bracia i wyznaczył twego bardzo starożytnego przodka na strażnika kamienia-serca. Nałożył nań obowiązek opieki nad nim i pilnowania, aby żaden mieszkaniec Lineasu nie igrał z magią. Obowiązek ten przechodził na każdego człowieka, w którego żyłach płynęła krew rodu Remoerdis, ponieważ ta właśnie krew sama w sobie posiada potencjał magiczny. Twój nader mądry przodek zaś nie dostrzegał żadnych powodów ku ograniczaniu kręgu ludzi objętych owym ważnym obowiązkiem do grona kilku wyróżnionych osób. Uznał on, że im więcej ognisko mocy będzie miało strażników, tym pewniejsze będzie jego bezpieczeństwo. Uważam, że miał słuszość w tym względzie. Na przestrzeni wielu, wielu pokoleń wszystko przebiegało dobrze i nawet najdrobniejsza wskazówka o skupionej tutaj magicznej mocy nie wydoszła się poza Lineas. To wyjaśnia znaczenie pierścieni noszonych tutaj przez wszystkich, z wyjątkiem ciebie i twojej matki. Pierścień taki łączy jego posiadacza z kamieniem-sercem i z obowiązkiem strzeżenia ogniska, natomiast zakłęcie wiążące człowieka z jego pierścieniem i funkcja strażnika pozwala człowiekowi takiemu oddziaływać na kamień w celu zapewniania mu bezpieczeństwa i pomaga kamieniowi strzec się samemu. Z takim przypadkiem sam się nawet spotkałem. Służąca twojej matki, Reta, została nakłoniona przez kamień do opowiedzenia mi o sprawach, z którymi musiałem się zapoznać. Było to dość niesamowite, bo Reta zachowywała się, jak gdyby działała pod wpływem zaklęcia Prawdy drugiego stopnia. Powróćmy jednak do tematu. Ty nie dostałeś takiego pierścienia i tym samym nie byłeś związany

z kamieniem, gdyż twój ojciec nie wierzył, że w twoich żyłach płynie jego krew. Aby położyć kres wszelkim wątpliwościom, powiem tylko, że kamień mówi coś zupełnie innego. Rozpoznał w tobie członka rodziny, ledwie tylko przekroczyłeś próg tamtego pokoju. Jesteś autentycznym synem Deverana Remoerdisa z Lineas. Gdyby twój ojciec pokonał swe wahanie i podejrzliwość i wpuścił cię do tego pokoju, także by się o tym przekonał.

Tashir zwiesił głowę i Vanyel zauważył, że jego ramiona drżą. Położył dłoń na dłoni chłopca, a Jervis na moment otoczył go ramieniem.

— A teraz pomówmy o tym, dlaczego ognisko mocy pozostawiono w stanie pełnej aktywności. Pod Lineasem, a dokładniej pod samym Highjourne, zachodzi pewne zachwianie równowagi. Można powiedzieć wręcz, że to węzeł mocy utrzymuje miasto w nienaruszonym stanie. Gdyby naruszono go w jakiś sposób, a szczególnie wtedy, gdy osłabiono by jego energię, do czego doprowadzić mógłby nieuważny i nieostrożny mag, potężne trzęsienie ziemi zrujnowałoby całe Highjourne, prawdopodobnie cały Lineas, znaczną część Bares, a nawet pewien obszar Valdemaru. Oto powód, dla którego mieszkańcom Lineas wpaja się, że mają stronić od magów i zniechęcać ich do przybywania w te strony. To dlatego twoi krewni od wieków trwali we wzajemnym zaufaniu, i sądzę też, że dlatego właśnie Mavelanowie chcą przejąć władzę w Lineas. Niestety, widzą oni, jak przypuszczam, tylko bardzo potężne ognisko mocy i nie zadali sobie trudu wybadania, z jakich powodów znajduje się ono akurat w tym, a nie innym miejscu.

— Wątpię, aby w ogóle ich to obchodziło — rzuciła ostro Savil.

— Chciałbym wiedzieć, że jest inaczej. — Vanyel odstawił swój kubek i wsparł czoło na kolanach. — Na bogów. Ale przynajmniej mamy już połowę rozwiązań do naszej łamigłówki.

Poczuł na ramieniu czyjąś dłoń — dłoń Savil.

— Jesteś zmęczony, *ke'chara*? — zapytała ciotka.

— Właściwie nie zmęczony — odparł, unosząc głowę i uśmiechając się do niej. — Tylko troszkę. . . jakby rozstrojony. Wiesz, jak to jest, kiedy pytasz o coś kamień-serce, Stajesz się jego częścią. Trudno człowiekowi być kamieniem. Kamienie mają takie osobliwe poczucie czasu i hierarchię wartości. — Otrząsnął się z tego dziwnego poczucia dezorientacji i poklepał jej dłoń. — Ale teraz to nieważne. Udało mi się wyjaśnić tajemnicę kamienia, więc mogę ci pomóc przy tym zaklęciu-pułapce. Jeśli tylko zdołasz mnie bezpiecznie w nie wprowadzić, chyba będę umiał rozeznac się w jego składnikach na tyle, aby stwierdzić, co je wyzwala i na co ono działa.

— My też coś znaleźliśmy — z nieśmiałością wtrącił Jervis. Tashir uniósł głowę, pociągnął nosem, a potem otarłszy wierzchem dłoni łzy z policzków, skinął głową. — Chcesz im o tym opowiedzieć, czy ja mam to zrobić?

— Ja mogę — powiedział chłopiec, choć jego głos zadrżał nieco. — Przypomniałem sobie, dlaczego te stwory nie mogły się do mnie dobrać tak jak do

innych. Odpychałem je... głową. Dobrze to pamiętam. Pamiętam, że próbowały się na mnie rzucić, ale ja odpychałem... o tak...

Z wysiłkiem wykrzywił twarz, a Vanyel poczuł nagle, że odepchnięty od chłopca sunie po podłodze i pada jak długi. Gdy wyciągnął przed siebie ramię, jego dłoń napotkała coś na kształt gładkiej płaszczyzny, jakby powietrze nagle zbiło się, tworząc ścianę.

Tashir, z trudem łapiąc oddech, rozluźnił się, ucinając swą demonstrację.

— Boli mnie, gdy to robię — powiedział — ale kiedy się bałem, ból był mniejszy.

Vanyel skinął głową i mówił dalej:

— A powodem, dla którego innym udało się przez chwilę powstrzymać atak — tym samym zresztą, który sprawił, że pokoje z ludźmi w środku były tak zrujnowane — były pierścienie. Kamień powiedział mi, że podczas ceremonii zawiązywania więzi w pierścieniu wpuszcza się zaklęcie otaczające noszącego pewną ochroną, które w zamierzeniu ma działać przeciwko temu, kto chciałby przeniknąć do umysłu strażnika, ale nie przeciwko temu, kto chciałby go zabić.

— Jeszcze jeden dzień i będziemy znali wszystkie odpowiedzi — skonkludowała Savil.

— Miejmy nadzieję, że nie będą to odpowiedzi, których wolelibyśmy nie usłyszeć — pośpiesznie dorzucił Jervis.

Nazajutrz rano, uczulony już przez kamień-serce na to, co w sensie magicznym powinno, a co nie powinno być odnoszone do samego pałacu, Vanyel objął dowodzenie przy przeszukiwaniu komnat. Gdy uda im się odnaleźć czynnik podsycający działanie zaklęcia-pułapki, zwiększy się ich szansa na zniszczenie korzeni samego zaklęcia.

Na parterze, w prywatnych komnatach, ani nawet u Yliny, nie znaleźli nic szczególnego. Ale gdy zaczęli przeszukiwać pokoje gościnne...

W jednym z najwykwintniejszych apartamentów powietrze zdało się aż zagęszczone od zła, którego obecność wyczuwało się tam niemal namacalnie. Vanyel zdziwił się wręcz, że Savil sama tego wcześniej nie zauważyła. Był to zespół pięciu komnat zarezerwowanych dla najdostojniejszych gości i z pewnością ten właśnie apartament zajmowali reprezentanci Mavelanów w czasie zawierania traktatu i ślubu będącego jego konsekwencją. Wyziwy „zła” najsilniej odczuwało się w salonie — komnacie o obitych lnem ścianach obwieszonych wszelkiego rodzaju bronią białą oraz głowami zwierząt, wypełnionej mnóstwem niepraktycznych i niewygodnych drewnianych krzeseł, którym towarzyszyło jedno wielkie biurko. Vanyel przemierzył pokój. Odczuwał z każdą chwilą nasilające się mdłości, podsypane jeszcze widokiem zdobionego sztyletu wiszącego na najbardziej okazałym miejscu nad kominkiem.

Nie dotknął go — to byłoby ponad jego siły — zresztą nie musiał nawet tego robić. Nóż ten wisiał tam od bardzo dawna, może nawet osiemnaście albo dwadzieścia lat. Zakłęcie miało niezwykle dużo czasu, by nasączyć swym złem ściany pałacu niczym powolnie działająca trucizna tocząca ciało nic nie podejrzewającej ofiary.

— Czy to właśnie ten sztylet? — zapytała Savil z niedowierzaniem. — Chyba już z tuzin razy przechodziłam przez ten pokój.

Vanyel wzruszył ramionami, po czym wybrał sobie jedno z krzeseł, które ocenił jako nadające się do siedzenia. Prawdopodobnie gdy Savil już zacznie, będą musieli pozostać w tej komnacie na jakiś czas.

— Badałaś ten sztylet, czy może tylko sprawdzałaś, czy ktoś tu czegoś nie ukrył? — zapytał Vanyel.

— Sprawdzałam, czy ktoś czegoś nie ukrył — przyznała się Savil, przechadzając się w zadumie. Usiłowała, bez skutku, dosięgnąć sztyletu swym zmysłem myśloczucia. Oczy zaszyły jej mgłą. — To ten sztylet — zawyrokowała po chwili.

— W porządku. Połączę się z tobą, a ty wprowadź mnie w jądro zakłęcia — rzekł Vanyel, zbierając się w sobie. — Ale ty zaraz stamtąd uciekaj, bez tego straciłaś już bardzo dużo energii.

— Ale nie tyle co ty, *ke'chara* — odparła. Potem z zaciętymi ustami usiadła na podłodze u jego stóp, kładąc dłonie na jego nadgarstkach.

— Tyle że ja nie jestem Strażnikiem Sieci — dorzucił Vanyel z bezlitosną konsekwencją w rozumowaniu. — Do dzieła, miejmy to już za sobą.

Zamknął oczy i zatopił się w transie; skoncentrował swą energię i wniknął w Savil, głęboko, dużo głębiej, niż robił to porozumiewając się z nią myśłomową.

Zespoił się z nią niczym dłoń splatająca się z drugą dłonią, a później ruszył za nią na oślep przez oszałamiający, pełen męki labirynt z ognia, ciemności i zadziwiających przejść, w których najdrobniejsze potknięcie mogłoby przynieść skutek, o jakim lepiej nawet nie myśleć. Savil doskonale wiedziała, co robi. Lecz jeśli ona nie zdoła przebić się przez ten gąszcz, nie uda się to nikomu poza biegłymi z klanu k'Treva.

— Przygotuj się, kochanie. Zaraz cię tam wrzucę.

Vanyel skurczył się w najmniejszy, jaki tylko mógł, kłębuszek... i poczuł, że właśnie został pchnięty...

Ostatkiem sił udało mu się powrócić do przytomności. Otworzył palące oczy, poczuł swój skurczony żołądek, pękającą z bólu głowę i potrzebę zanurzenia się w kąpiel tak silną, że zdało mu się, iż jeszcze nigdy w życiu niczego nie pragnął równie mocno. Czuł się brudny zarówno na ciele, jak i wewnątrz.

Savil wciąż klęczała u jego stóp i ściskając obydwie jego dłonie, z przejęciem wpatrywała się w jego oczy.

— Wróciłeś — rzekła.

— Wróciłem — odparł z goryczą. — Nie spodoba ci się to, co mam ci do powiedzenia.

— Mnie się to już nie podoba. — Uwolniła ze swych rąk jego dłonie i Vanyel potarł oczy.

— Pamiętasz, co mówiłaś o udziale krwawej magii w tym wszystkim? Miałaś rację. A gdy powiązać to z tym, czego dowiedziałem się o ochronie kamienia-serca, wszystko układa się w aż nadto logiczną całość. Kiedy zaklęcie zostaje skierowane przeciwko jakiejś osobie, nie działa ono tylko przeciwko niej, ale niszczy wszystkich ludzi połączonych z nią więziami krwi, którzy mają w sobie potencjał magiczny i również są magami. Niszczy wszystkich, nawet nie narodzone jeszcze dzieci w łonach matek.

Twarz Savil poszarzała.

— Więc ktokolwiek to zrobił. . .

— Tego też się dowiedziałem. Ostatnią osobą, która aktywowała zaklęcie, był nasz miły wujek Verdik Mavelan. A ostatnią osobą, przeciwko której skierowano zaklęcie, był Tashir. Tyle na temat protestów Verdika, jakoby sam chciał pomóc chłopcu.

— A więc Tashir? — Głos Savil podniósł się najmniej o oktawę. — W takim razie. . . to oznacza, że Verdik wiedział, iż Tashir nie jest jego synem!

Na twarzy Vanyela pojawił się grymas, a on sam wyprostował się na krześle.

— W rzeczy samej. Wiedział o tym przez cały czas i nie zrobił nic w celu oczyszczenia z zarzutów swej siostry ani chłopca. Mam jeszcze parę podejrzeń na temat powodu pojawienia się pewnych niespójności w całej tej sprawie. Największą z zagadek jest wszak przyczyna, dla której Reta przeżyła. Moim zdaniem stało się tak, ponieważ Verdik otoczył pałac osłoną, aby uniknąć rozlewu krwi na ulicach, a także zapobiec temu, by ofiarami Tashira padli ludzie, o których istnieniu ten w ogóle nie miał pojęcia. Jeżeli Verdik tego nie uczynił, prawdopodobnie ludzie zaczęliby raczej szukać sprawcy rzezi gdzie indziej, a nie oskarżaliby Tashira. Obecność takiej osłony tłumaczyłaby zarazem fakt, że Mavelanowie nie zostali zaatakowani, mimo że byli spokrewnieni z Tashirem przez Ylinę.

— I wyjaśniałaby śmierć Yliny wraz ze wszystkimi. Ylina musiała mieć w sobie potencjał magiczny — myślała Savil na głos.

— Szkopuł w tym, że to zaklęcie potrafi się samodzielnie nastawiać. Dopóki nie zniszczymy jego twórcy, dopóty każdy, kto tylko zna zasady jego działania, może skierować zaklęcie przeciwko komuś innemu.

Wtem Vanyel wyprężył się: osłony okalające pałac ugięły się i osłabły. Ktoś napierał na nie z wielką furją.

— Czy ty. . . — krzyknęła Savil, blednąc — . . . na bogów, jasne, że to czułeś; przecież to twoje własne osłony. Ktoś próbuje się tu wdrzeć!

— I się tu wedrze — posępnie sprostował Vanyel, podrywając się z krzesła. — To Verdik. Wie, że tu jesteśmy. I pewnie się już domyślił, że znamy prawdę, albo wkrótce się domyśli. Nie może pozwolić nam uciec.

Vanyel poczuł w głowie przeraźliwy zgrzyt osłon wstrząsanych kolejnym natarciem. Vanyel rzucił się pędem przez sień pałacu, a ciotka pobiegła za nim.

Yfandes! — zawołał, oplatając Verdika swym myślodotykiem, w nadziei, że mag, zajęty swym atakiem, nic nie zauważy.

Tutaj...

Wdzięczny bogom, że myśl jest szybsza od słów, zrelacjonował Yfandes, czego się dowiedział.

*Czas zabrać się do dzieła, kochana. Niech Kellan zostanie z naszym niesfor-
nym ogierem, a ty i Duch pędźcie co sił w stronę granicy. Verdik się na nas szykuje.
Jeśli stracimy tę...*

Dopilnuję, aby król się dowiedział — odparła Yfandes ponuro. — *Pomszczę
cię. A potem przyjdę do ciebie.*

I odcięła swą myśli, nim Vanyel zdążył zaprotestować; nie było czasu na jakiegokolwiek dyskusje.

— Mamy — rzucił przez ramię do Savil — jedną, góra dwie miarki świecy na zdecydowanie, co robić dalej.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ślizgając się na skorupach porozbijanych naczyń, wpadli pędem do Wielkiego Refektarza i zatrzymali się obok wstrząśniętych ich widokiem Jervisa i Tashira. Savil chwyciła się pod bok, dysząc z cicha.

— Co... — zaczął Jervis.

— Na zewnątrz jest Verdik — przerwał mu Vanyel. — Usiłuje przedrzeć się przez osłony. Spodziewam się, że wie już o naszej obecności tutaj. Wydaje mi się też, że zdążył się domyślić, iż znamy prawdę o tym, co miało tu miejsce. To on uaktywnił zakłęcie-pułapkę. Za cel obrał sobie przy tym Tashira, a to piekielne zakłęcie jest skierowane przeciwko wszystkim osobom spokrewnionym z nim i obdarzonym potencjałem magicznym.

Dotąd Tashir siedział na oczyszczonym ze skorup skrawku podłogi. Teraz wstał z wolna; twarz mu pobraźla i stężała.

— Przypominam sobie — powiedział zdławionym głosem. — Teraz sobie przypominam. — Odwrócił się od nich i drżącą ręką wskazał na drzwi, za którymi znajdowały się schody prowadzące na drugie piętro. — Zbiegałem po tych schodach. Chciałem uciec. Powiedziałem ojcu... powiedziałem mu, że wolę kopać rowy niż jechać do Bares. Wyśmiał mnie, mówiąc, że wątpi, aby starczyło mi do tego charakteru, i wtedy go uderzyłem. Nie chciałem tego robić, ale to się stało. Bałem się, że ojciec zrobi coś strasznego, i uciekłem. Wybiegłem tędy, a potem tamtymi drzwiami i... i... nie mogłem się stąd wydostać! Czułem się, jakbym wpadł na ścianę! Nie myśląc wiele, odwróciłem się i zacząłem biec w stronę drzwi wychodzących na stajnię, a kiedy już ich dopadłem... — Wskazał na swe stopy. — Ja... to... się stało. To było jak, sam nie wiem, jak trąba powietrzna, tyle że z mnóstwem oczu i kłów. Zaraz potem opanowała całą salę i rozszarpywała wszystko i wszystkich dosłownie w strzępy...

Jego głos wibrował już na granicy hysterii, Jervis potrząsnął go za ramiona.

— Tashirze, uspokój się, mamy kłopoty, tylko mi się teraz nie załamuj.

Chłopiec dygotał niczym zając w potrzasku, ale mimo to skinął głową, a w jego oczach wciąż odnaleźć można było resztki zdrowego rozsądku.

— Powtarzam: na zewnątrz jest Verdik. — Vanyel wzdrygnął się, czując, jak jego osłony uginają się coraz bardziej. — Wkrótce tu będzie. Odesłałem stąd Du-

cha i Yfandes; Kellan pilnuje ogiera, a pozostałe Towarzysze są już w drodze do domu. Tak czy inaczej, prawda wyjdzie na jaw, ale dla nas pozostała tylko jedna droga ucieczki. Savil, zatrzymam Verdika, a tymczasem ty wzniesź Bramę i zabierz stąd Tashira i Jervisa.

Savil skinęła głową, jej twarz była szara i zachmurzona.

— Dokąd?

— Do Przystani, na przykład. Gdy Randal usłyszy o tym wszystkim, nikt nie wyrwie chłopca z jego rąk. — Zaledwie część jego uwagi skupiała się na rozmowie, druga część bowiem pochłonięta była wzmacnianiem coraz to bardziej słabnących osłon.

— Ależ... — zaprotestowała Savil.

— Do diabła, Savil, zrób, co ci mówię. Ja nie mogę. Przebycie takiej odległości przez Bramę pewnie by mnie zabiło!

— Vanyelu, a co się stanie, jeśli Verdik skieruje zaklęcie przeciwko tobie?

Vanyel poczuł, że krew odpływa mu z twarzy, a jego własna zdolność do rzućania zaklęć słabnie...

— O bogowie... niech no pomyślę... ty powinnaś być bezpieczna, jeśli uda mi się utrzymać go z dala na tyle długo, abyś zdążyła zaalarmować kogoś, kto będzie mógł cię osłonić. Medren ma dar bardów bez potencjału magicznego, a więc nie powinno mu nic grozić. Moje rodzeństwo: brak potencjału. Ale ojciec!

— Jest bezpieczny! — uspokoiła go Savil. — Jak myślisz, skąd mam połowę tych siwych włosów? Cały tydzień spędziłam w ognisku, budując dla niego osłony, kiedy po raz pierwszy spotkałam Gwiazdnego Wichra. Gdy uświadomiłam sobie, jak silnym jestem biegłym, zdałam sobie sprawę z tego, jak niewielu wrogów, nie mogąc zaatakować mnie wprost, może zechcieć próbować dotrzeć do mnie przez mojego brata. Wtedy, przy pierwszej okazji, gdy miałam czas i energię, upewniłam się, że jest to niemożliwe. Czy jest jeszcze ktoś?

— Nie — odparł Vanyel Ale głos w jego głowie wykrzykiwał prawdę już w chwili, gdy usta wypowiadały kłamstwo. — Savil! Jeszcze Jisa... och, na bogów, dzieci...

— Co?

Vanyel ścisnął ramię Savil tak mocno, że jego palce wbite w jej ciało musiały pozostawić sińce.

— Mam troje dzieci. Świetlista Gwiazda i jego bliźniak są u k'Trevów, chronione przez osłony ich własne oraz Gwiazdnego Wichra i Tańczącego Księżyca, a zatem nic im nie grozi, ale Jisa...

— Jisa? Jak to? Dlaczego?

Jego myśli nie dawały się uporządkować, ale dołożył wszelkich starań, by przekazać Savil ich sens.

— Savil, o nic nie pytaj. Jisa jest z mojej krwi; Randal i Shavri sobie tego życzyli; więc nie musisz wiedzieć. Jisa nie jest chroniona w żaden sposób. —

Najchętniej wtoczyłby swój strach o nich w jej serce, żeby uświadomić jej, jaka to udreka. — A poprzez Jisę także Shavri narażona jest na niebezpieczeństwo. Nie wiem tylko, czy Shavri również ma potencjał, czy nie. Musisz tam wracać... bogowie... nie chciałem, aby ktokolwiek się o tym dowiedział, ale nie ma innego wyjścia. Jest Jays. Zaufaj mu, powiedz mu prawdę, on zrozumie. Bogowie, gdyby tylko Randal miał dar magii... uciekaj, Savil! — Uderzenia o jego osłony wzmagają się. — Ruszaj! Nie powstrzymam go już dłużej!

Puścił jej ramię, a Savil odwróciła się bez słowa, stając twarzą do jednych z otwartych na oścież drzwi. Wzniosła w górę ręce i Vanyel poczuł lekki zamęt w głowie towarzyszący mu zawsze wtedy, gdy ktoś w pobliżu przywoływał energię Bramy. Pozostawił teraz grupkę trojga przyjaciół i przemierzył biegiem zrujnowaną salę, by zatrzymać się przy schodach, na wprost drzwi wyjściowych. Oby tylko udało mu się zatrzymać Verdika dopóty, dopóki tamci nie zdążą uciec.

Zmagał się z nim w milczeniu, walcząc, jak nie walczył jeszcze nigdy dotąd: nie o siebie tylko, lecz także o swych przyjaciół... i dla swego kraju, bo bez Shavri Randal nie mógłby żyć. W końcu — dokładnie w momencie gdy Vanyel poczuł przypływ oszołomienia zwiastującego otwarcie Bramy — ostatnie ze wzmocnień wspomagających jego osłony pękło i rozsypało się w proch. Potem, kiedy drzwi zewnętrzne rozerwały się z hukiem podobnym do eksplozji, wyłamując się z zawiasów, a wszystkie okna w tej samej ścianie roztrzaskały się pod wpływem wstrząsu, na niego runęła gwałtowna fala rozdzierającego bólu... oznaczającego, że Brama przeniosła kogoś...

Ten ból niemal ściał go z nóg; ledwie zdążył otoczyć się osobistą osłoną, gdy Verdik jął ciskać nań błyskawice.

— Zatrzymaj go, chłopcze! — Usłyszał nagły głos za swymi plecami. — On już wie, że my wiemy... nie pozwoli nam ujść z życiem!

— Jervis! — Vanyel zaczerpnął energii z ogniska i strzelił ogniem wprost w twarz Verdika. Nie odważył się odwrócić głowy, ale posłał fechtmistrzowi całą wiązkę przekleństw w czterech różnych językach. — Niech cię piekło pochłonie! — krzyczał, odpierając pchnięcie obezwładniającego sztyletu Verdika i odpowiadając na nie rozpętaniami burzy lodowej. — Schowaj się! Co ty robisz, u diabła?

— Wypełniam polecenie Savil. — Odezwał się niewzruszony głos za plecami Vanyela, gdy ten usiłował sforsować osłony Verdika ciosami z czystej, żywej mocy wprost z ogniska. Verdik odpierał jego atak, aczkolwiek nie bez wysiłku. Vanyel nie mógł już tracić czasu na zajmowanie się fechtmistrem. Rozprawienie się z Verdikiem miało pochłonąć go całkowicie.

Byli przeciwnikami równymi sobie; a jeśli nawet nie równymi, to niewiele ich od siebie różniło. Vanyel mógł korzystać z energii ogniska, ale Verdik także czerpał moc z jakiegoś zewnętrznego źródła.

Wtem sień pałacu zadrżała, a szkło z roztrzaskanych okien poderwało się

z ziemi i runęło jak burza wprost na maga. Temu wystarczyło jednak wykonać za ledwie jeden gest, by odepchnąć od siebie śmiertcionośny deszcz latających szkieł. Naraz posadzka pod ich stopami rozpekła się, a na ich głowy posypały się odłamki kamieni i płaty gipsu ze stropu.

Wtedy Verdik uśmiechnął się... i obudził zakłęcie-pułapkę.

Vanyel prędko rozciągnął swą osłonę na Jervisa. W tej sekundzie otoczyło ich kręgiem kłębowisko odrażających istot — tych, które opisał Tashir, o ciałach zdających się składać jedynie z samych kłów i szponów. Stwory opadły ich gęstniejącą coraz bardziej chmurą z wrzaskiem wściekłości, że nie mogą sięgnąć swych ofiar. Nie były to *gretshke* spotykane już wcześniej przez Vanyela — te tutaj miały dużo większe apetyty i ziały większym złem. Sfora, z którą zetknął się Vanyel wcześniej, atakowała dla zdobycia pokarmu — potwory przywołane przez Verdika rzucały się na swe ofiary tylko po to, by rozszarpać je na strzępy, okaleczyć i zniszczyć, dla samej przyjemności siania zniszczenia i udreki.

Z rozdzierającym, wściekłym wrzaskiem rój potworów spiralnym ruchem uniósł się do góry, bez przeszkód przeniknął sufit i zniknął bez śladu.

Verdik uśmiechnął się ponownie.

— A zatem, heroldzie Vanyelu... bo domyślam się, że nim właśnie jesteś... nie zamierzasz spieszyć na ratunek swej rodzinie, swym bliskim?

Vanyel posłał mu szydery śmiech.

Verdik był zszokowany. Nie takiej spodziewał się odpowiedzi. Ale tym, co wstrząsnęło nim jeszcze bardziej, było sprzężenie zwrotne, które odczuł po chwili. Potwory wciąż bezskutecznie próbowały znaleźć sobie ofiary, wszystkie ich wysiłki kończyły się fiaskiem.

A zakłęcie, które napotyka na przeszkody, zwraca się zawsze przeciwko temu, kto je przywołał — była to jedna z pierwszych zasad rządzących magią, z którymi zapoznał Vanyela Gwiezdny Wicher, Na dodatek zakłęcie tak silne, odparte przez drugiego maga, powinno wywołać sprzężenie zwrotne, które powaliłoby Verdika na kolana.

Ale nie powaliło.

Zdawało się, że lord magów Mavelanów przyjął falę uderzeniową zaklęcia i odprowadził dokądś jej energię.

I Vanyel pojął wreszcie, skąd Verdik czerpie swą nadzwyczajną moc. Otóż cała rodzina Mavelanów połączyła swe siły, by wspomóc swego jedyne go, wybranego przedstawiciela.

A Vanyel mógł miotać na niego swe pioruny aż do nocy i nie działałby nic.

Jeszcze raz wystrzelił w Verdika pocisk z błyskawicy i rozpaczliwie szukał innych sposobów zwyciężenia w tej walce. Nawet jeśli wygra z Verdikiem, nie załatwi to sprawy całej rodziny, chyba że przez niego, jako lorda magów, Vanyel mógłby dotrzeć i do nich.

A wtedy dobrze by wiedział, jak im się dobrać do skóry.

Wystarczyło użyć żywej energii ogniska.

Tylko mag wykształcony przez ludzi z Tayledras albo biegły, który — podobnie jak Vanyel i Savil — ciężkimi wysiłkami okupił zdobycie kontroli nad magią, mógł podołać takiemu zadaniu. Vanyel przypomniał sobie teraz, że gdy pokonał już maga-odmieńca Krebaina, sam nieomal ściągnął na siebie śmierć, przepuszczając przez swój organizm taki ogrom mocy. Tylko jedno go wówczas ocaliło: przybycie Tańczącego Księżyca, biegłego uzdrowiciela k'Trevów, zaledwie w sekundę po tym, jak przewaliła się przezeń fala energii magicznej. Jeżeli teraz przepuści taką samą energię przez Verdika, wprost na jego krewnych, nim ci zorientują się, co robi, to nie będzie już dla nich ratunku. Nie przygotowani na przyjęcie tak potężnej mocy, zostaną wprost zmiażdżeni.

Lecz by uczynić coś takiego, Vanyel będzie musiał zaczerpnąć z ogniska sporej ilości energii, co bardzo osłabi zaklęcie. W ten sposób może dojść do trzęsienia ziemi. Potem pozostanie mu już tylko dosięgnąć Verdika swym myślodotykiem.

Dotąd starannie unikał spoglądania na lorda magów. Teraz jednak przebiegł wzrokiem dzielącą ich przestrzeń i oto ujrzał. . .

Tylendela. Tylendela takiego, jaki byłby teraz, gdyby tylko dożył wieku męskiego.

Vanyel zmartwił.

Ten moment przerwy w odparowywaniu ataków w magicznym pojedynku wybił Verdika z koncentracji. Mag uniósł wzrok na Vanyela i jął mu się przyglądać, jak gdyby zastanawiał się, co też knuje jego przeciwnik.

I to spojrzenie zwolniło skurcz w sercu Vanyela: nikt bowiem nie mógł się różnić od ukochanego Tylendela bardziej aniżeli istota patrząca nań teraz zza maski twarzy zmarłego przyjaciela. W istocie tej była przebiegłość, obłuda. . . i potworne okrucieństwo. To okrucieństwo, które nie zawahałoby się skazać niewinnego chłopca na życie pełne lekceważenia i napaści ze strony innych. Ta bezdusność, która pozwoliła Verdikowi poświęcić chłopca w ofierze swym celom i bez cienia poczucia winy czy wyrzutów sumienia wykorzystać go jako narzędzie dające władzę.

Vanyel poczuł, jak wzbiera się w nim pokrzepiająca fala gniewu, i podjął walkę na nowo, angażując w nią wszelkie dostępne siły, przedzierając się przez błyskawice, ogień, ściany energetyczne, wszystko, czymkolwiek Verdik próbował zagrozić mu drogę. Widział dezorientację w oczach maga, gdy wygrywał walkę o każdy kolejny krok dzielący go od niego, płacąc za każdy przebyty cal bólem zadawanym przez oręż Verdika penetrujący jego osłony i dosięgający go raz po raz, posuwając się do przodu pomimo cierpienia. Zapomniał już o Jervisie, zapomniał o Tashirze, zapomniał o wszystkim z wyjątkiem pojedynku, który musiał wygrać i stanąć przy lordzie magów na wyciągnięcie ręki.

Kolorowe zasłony z energii magicznej tańczyły przed nim, zagradzając mu drogę. Parzyły go, gdy je rozsuwał.

Do przejścia pozostały tylko dwa kroki.

Jeden krok.

Wyciągnął rękę i chwycił Verdika za ramiona. W tym momencie mag zdał się pojąć, do czego zmierza jego przeciwnik. Uczucie paniki wykrzywiło mu twarz.

Ale było już za późno.

Vanyel całkowicie otworzył się na przepływ energii i pozwolił jej użyć go jako swe medium, jak wtedy gdy wtopił się w kamień-serce. Magiczna moc przełaziła się przez jego ciało, nie napotykając na żadne przeszkody, wprost do ogniska zjednoczonych sił rodziny Mavelanów.

Kręgosłup Verdika wygiął się w łuk, usta rozwarły, ale nie wyszedł z nich żaden głos. Przez moment jego postać jarzyła się niczym wschodzące słońce...

... a umysłem Vanyela wstrząsnął agonálny krzyk wielu głosów, który, zdało się, nigdy nie wybrzmi...

Lecz w końcu zamilkł, tak jak zniknął Verdik. Nie zostało po nim nic, tylko kupka białego popiołu u stóp Vanyela i dwie garści prochu, które wysypały się z jego garści.

Vanyel wbił tępy wzrok w hałdkę popiołu i gdy zdało mu się, że wszystko dookoła zaczyna wirować, pomyślał, że to tylko jego własne zmęczenie sprawiło, iż zatoczył się i stracił równowagę.

Lecz kiedy Jervis dobił do niego i złapał za ramiona, aby nim potrząsnąć, Vanyel wreszcie zrozumiał. To ognisko. Wyssał z niego tyle energii, że balans wokół uskoku w głębi ziemi został zachwiany.

Pałac zadrżał raz jeszcze, a Jervis nie przestawał nim potrząsać.

— Choć, ty przekłety głupcze! — krzyczał fehmistrz wprost w jego twarz. — Te piekielne osłony, które wzniosł Verdik, aby uniemożliwić nam ucieczkę, wciąż tam są! Wyprowadź nas stąd przez Bramę, zanim cały budynek zwali nam się na głowę!

Vanyel wyrwał się z uścisku Jervisa i stanął twarzą do strzaskanych zewnętrznych drzwi. Gdy uniosł ramiona w górę i zaczął wypowiadać zakłęcie Bramy, sień pałacu unosiła się i opadała niczym łódź na rozszalałym morzu podczas sztormu.

Ból był nieprawdopodobny.

Po tym, jak pozwolił energii ogniska przepłynąć przez siebie, całe jego ciało było jak otwarta rana. Jedyne świadomość, że jeśli zginie, Jervis zginie wraz z nim, popychała go do dalszego działania. Przez otwór drzwi widział dziedziniec — albo raczej to, co pozostawił zeń wstrząs. Pałac zaczął pękać i nic, co żywe nie miało szans przetrwać bliskiej zagłady.

Wreszcie otworzyła się przed nimi Brama. Dziedziniec mignął wraz z szarpnięciem, które Vanyel odczuł, jakby ktoś wyrwał mu wnętrzości, a na jego miejscu pojawił się fragment korytarza zaraz przed drzwiami do kaplicy Ashkevronów.

Vanyel poczuł, że ugięły się pod nim kolana, i padł na ziemię. Pozostało mu jeszcze tylko tyle energii, aby skrzywić się lekko, kiedy połowa ściany pomiędzy nim a Bramą rozsypała się w gruzy.

Teraz czuł już tylko ból i nie miał nawet sił, by zapłakać.

Jervis znów nim potrząsnął. Vanyel próbował odepchnąć jego rękę, ale był teraz jak dziecko, które chce odtrącić dłoń dorosłego.

— Idź — wykrztusił, nadto wyczerpany, aby jęczeć. — Nie mogę... jej utrzymać.

Straciłem już całą energię. Znów się przeliczyłem...

Pole energetyczne Bramy pulsowało w rytm uderzeń jego serca. Za moment Brama może się zawalić.

— Idź... teraz — próbował pogonić fechmistrza. Był taki zmęczony, oddałby wszystko za chwilę odpoczynku od bólu.

Kochanku z Krainy Cieni...

Śmierć już dawno przestała się go obawiać. Od tak dawna Kochanek z Krainy Cieni zabiegał o jego względy, że Vanyel przyjąłby jego uścisk z ochotą, gdyby tylko oznaczał on nadejście spokoju. Nie zostało mu już nic, nawet chęć do działania.

Ale Jervis miał tę chęć za dwóch.

— Nie pójde bez ciebie! — ryknął, gdy ściany pałacu wydały z siebie jęk tysięcy głosów. — Pamiętasz, co mówiłeś o poddawaniu się? Do diabła, Van, nie rób tego teraz! Nikt nie dokończy zaczętego przez ciebie dzieła, jeśli teraz się poddasz!

Ten głos przedarł się do zamroczonego bólem i wycieńczeniem umysłu Vanyela tak, jak nic innego nie zdołałoby się przedrzeć. Przy pomocy Jervisa wspiął się na nogi. Gdy pałac zadrzał po raz kolejny, Jervis ruszył w kierunku otwartej Bramy, na wpół ciągnąc go za sobą przez rumowisko. W końcu zarzucił sobie jego rękę na ramię i przeniósł na drugą stronę magicznego przejścia.

Vanyel myślał dotąd, że nie istnieje ból straszniejszy od tego, który towarzyszy przekraczaniu Bramy.

W sekundę później przekonał się, że był w błędzie.

Gdy buty Jervisa stuknęły o kamienną posadzkę korytarza, obok zabłysł jakiś metalowy przedmiot. To doświadczenie Vanyela, które nie pozwalało przyznać się do bezsilności, sprawiało, że szarpnął się w ramionach Jervisa.

Ale to nie wystarczyło. Nagle runęło nań coś czarnego i Vanyel poczuł uderzenie czegoś ostrego wbijającego mu się w brzuch i wysuwającego się z równą szybkością...

— Leren! — ryknął Jervis. — Co u...

Zawładnął nim ból, który zaćmił wszystko i rzucił bezwładnie na podłogę u stóp Jervisa, gdy tylko ten zwolnił swój uścisk.

Gdzieś w jakimś innym świecie, poza cierpieniem — rozległy się odgłosy bójk. Ale Vanyel czuł tylko ten ból; udrękę, której podporządkowana była teraz cała jego osoba. Gdy tak leżał na boku z rękami przyciśniętymi do brzucha, coś gorącego i wilgotnego sączyło się między jego palcami.

Uzdrowić... muszę się uzdrowić... Miał w sobie akurat tyle daru uzdrawiania, aby mógł to zrobić. Sięgnął doń, niepewnie... zabrakło sił...

Mój Wybrany! — W jego głowie odezwał się głos myśli Yfandes, słaby i odległy, a po nim przyszedł krótki, nierówny przypływ jej energii dla niego; niespodziewany przypływ energii, która mogła go ocalić.

Lecz równocześnie coś jeszcze przemknęło mu przez głowę: wrażenie zeknięcia z czarnymi szponami zła.

To wrażenie dotyczyło Larena. Mroczna siła, która nim kierowała, zwrócona była teraz przeciw fehmistrzowi.

Vanyel miał wybór: ocalić siebie albo Jervisa.

Ale to nie był żaden wybór.

Nie!

Vanyel zakumulował w sobie całą energię użyczoną mu przez Yfandes i pchnął ją na nie osłoniętą, nie podejrzewającą nic, plamę czerni niczym strzałę światła.

Wbiła się.

Lecz nie zabiła. Czarna plama uciekła, zraniona, ale nie pokonana, a Vanyel ją odpływać w swą własną ciemność.

Na bogów... Leren... sterowany...

I głos Jervisa.

— Drań wyrwał się. Rąbnąłem go krzesłem — dobiegły go słowa z innego świata. — Przez jakiś czas nie będzie mógł uciekać. Chłopcze... chłopcze, zastraszył cię?

Było mu coraz trudniej oddychać, rozpaczliwa pogoń za tchem wzmagająca jeszcze ból i zdawała się i tak nie dostarczać nic do płuc.

Ktoś przewrócił go na plecy i krzyknął.

— Do czorta! — zaklął Jervis. — Parszywy drań!

Vanyel otworzył oczy, ale nie widział nic poza malutkim punkcikiem światła w morzu ciemności. Ciemność przyzywała go...

Jervis uderzył go lekko w policzek i ciemność ustąpiła na moment.

— Nie odchodź ode mnie, chłopcze — błagał, podtrzymując Vanyela na swych kolanach. — Zostań przy mnie!

Vanyel starał się, jak mógł, spełnić to życzenie, gdy Jervis ponad jego głowę krzyczał, wzywając jakiegoś uzdrowiciela; ale był już zimny, i stygł coraz bardziej, i zdawało się, że jedyną rzeczą, jaka mu pozostała, jest potworny ból.

Próbował jeszcze raz otworzyć oczy i usłyszał oszalały tupot stóp biegnących w jego kierunku. Wtem u jego lewego boku znalazł się dziwny herold w Bieli, a po

prawej stronie zawirowwała jakaś zielona szata i już klęczał przy nim uzdrowiciel.

— Na bogów! — Usłyszał wrzask paniki. Jakieś ręce odsuwały jego ręce i ogarnęła go fala gwałtownego osłabienia, gdy coś, jakieś ciepło, wytrysnęło z niego i wylało się wprost na ręce, które zajęły miejsce jego rąk. — Ja... och, bogowie, tracimy go!

— Przecież widzę, do diabła!

— Ja...

Wszystko — głosy, obraz, nawet ból — zaczęło wygasać. Wszystko z wyjątkiem nieznanego klęczącego u jego lewego boku. Choć jego twarz pozostała dziwnie ocieniona, wokół niego jaśniało jakieś łagodne, srebrzyste światło, coś jak blask gwiazdy, natężający się z każdą chwilą.

— Podaj mi rękę, heroldzie Vanyelu. Vanyel zamrugał powiekami; walczył o zatrzymanie zanikającego obrazu i zmagał się z opuszczającą go przytomnością.

— Podaj rękę. — Nieznajomy herold wyciągał do Vanyela swą prawą dłoń, a w głosie jego myśli brzmiało błaganie: *Nie podasz mi jej!*

Nacisk, z jakim wypowiedziana była ta prośba, zmusił Vanyela do uległości; to było ważne. Ważne, aby zwalczył cierpienie i poddał się woli nieznanego. Napędzany jakimś głębokim przekonaniem, którego nie mógł pojąć, odnalazł w sobie jeszcze iskierkę siły, wystarczającą akurat na to, by poruszyć palcami lewej dłoni i położyć je, lepkie i ciepłe od jego własnej krwi, na wyciągniętej ku niemu ręce nieznanego. Dłoń nieznanego zamknęła się na jego dłoni, a na jego ustach pojawił się triumfalny uśmiech.

Vanyel stał. Ból przeminął.

I zniknęła rana. Nieznajomy herold wciąż wyciągał ku niemu dłoń, lecz dookoła nich było... nie było nic. Otaczała ich jedynie jakaś spokojna, cicha, szara pustka.

Twarc nieznanego pozostawała wciąż w cieniu — z wyjątkiem oczu, pałających mocą szafiru i światła; światła nieznanego w świetle Vanyela.

Nieznanego w świetle śmiertelników, do którego dotąd należał Vanyel.

Albowiem nie był to już ten zwykły świat — a to nie był zwyczajny herold.

Vanyel wypuścił z ręki dłoń nieznanego i powoli opadł na jedno kolano, niezdolny do oderwania wzroku od rozżarzonych oczu. Nieznajomy uśmiechnął się i jego uśmiech okazał się dorównywać wspaniałością i swą przemożną siłą spojrzeniu jego szafirowych oczu. Vanyelowi udało się spuścić wzrok, nim zatracił się w nich bez reszty. Skłonił głowę, opierając ją na kolanie w głębokim hołdzie wielkiej Mocy, która zdecydowała się przybrać postać istoty ludzkiej i strój herolda.

— Panie — wyszeptał, niezdolny zebrać myśli, by wypowiedzieć cokolwiek więcej.

— Vanyelu, nie — Odpowiedział mu głos brzmiący bursztynem, jedwabiem i stalą.

Vanyel poczuł dłonie, delikatne dłonie, spoczywające na jego ramionach i ciągnące w górę, by kazać mu znów stanąć prosto. W końcu odważył się ponownie spojrzeć w twarz Mocy i zapłatać się w sidłach jej oczu niczym ćma zwabiona przez szafirowy płomień.

— Nie, Vanyelu — rzekł On, potrząsając głową w zaprzeczeniu przypuszczeń Vanyela. — Nie jestem „Panem”, tylko Posłańcem, sługą. Nie możesz przede mną klękać.

Im dłużej Vanyel patrzył w te oczy, z tym większą łatwością mu to przychodziło.

— Ja... nie żyję — powiedział stanowczo, odczuwając w tych słowach jedynie głęboką ulgę, że oto nareszcie wszystko dobiegło końca, że może już odpocząć.

Lecz nieznamy znów potrząsnął głową.

— Nie. Jeszcze nie, Vanyelu, — Zawahał się przez moment i jego oczy przysłonił cień żalu. — Vanyelu, ze względu na to, kim jesteś, kim się stałeś, i z powodu tego, że stoisz teraz na rozstaju wielu dróg prowadzących w różnych kierunkach, pozostawiono ci wolny wybór.

— Wybór? — zdziwił się szczerze zakłopotany. — Jaki wybór?

— Życie — odparła Moc. Oczy miał zamglone, jak gdyby pełne były łez. — Życie albo... — Przyłożył rękę Vanyela do swego serca. — ... albo ja.

I wtem Vanyel pojął, co stało przed nim w tej beczasowej pustce, co spoglądało nań tymi smutnymi oczami, tak pięknymi, idealnymi, pełnymi spokoju.

To Kochanek z Krainy Cieni. To Śmierć.

— Pytaj, o co tylko chcesz — rzekł Kochanek. Jego oczy pałały żarem, głos brzmiał łagodnym współczuciem. — Musisz dokonać wyboru z pełną świadomością tego, co będzie on dla ciebie oznaczał.

— Co mnie czeka — zapytał Vanyel, zadziwiony wręcz swym opanowaniem; cierpiał z tęsknoty za spokojem, przyrzeczeniem którego były te piękne oczy — jeżeli wybiorę życie?

— Ból — odparł Kochanek, skłoniwszy głowę, tak że Vanyel nie mógł już patrzeć w jego oczy. — Utrata. Zobaczysz, jak będą umierać twoi przyjaciele, jeden po drugim, aż w końcu zostaniesz sam. Będziesz się coraz bardziej oddalał od innych, dzień po dniu, aż w końcu nie zostanie już nic poza samotnością i twymi obowiązkami. Otrzymasz wiele ran, ale nie umrzesz od nich, choć może nawet byś tego bardzo chciał. A na koniec... przyjdzie jeszcze większy ból.

— A ta... druga możliwość.

— Dla ciebie... spokój. Koniec cierpienia, samotności i żalu.

Vanyel poczuł na barkach całe brzemienie swej egzystencji, obciążenie przerastające jego siły. Lecz nie umknął jego uwagi subtelny dobór słów używanych przez Śmierć, zadał więc kolejne pytanie, choć w głębi serca wiedział, że odpowiedź na nie spodoba mu się.

— A co z tymi, których tu wówczas zostawię?

Kochanek znów uniósł na niego swe spojrzenie i zatrzymał jego wzrok swymi cudownymi, przepaścistymi oczami... Czy to złudzenie, czy naprawdę smutny uśmiech przebiegł po jego idealnych ustach?

— Przyjdą do mnie — rzekł cicho. — Wcześniej i liczniej nawet, aniżeli wtedy gdy wybierzesz życie. Valdemar, który znałeś ty, przestanie istnieć; jego lud walczyć będzie o wolność na okrojonym skrawku ziemi, pozbawiony sprzymierzeńców, otoczony przez wrogów. Nie jesteś jedyną nadzieją Valdemaru, Vanyelu, ale nadzieją największą.

Przeszyty dreszczem rozpaczy, Vanyel zamknął oczy, walcząc o zachowanie zimnej krwi. Był tak zmęczony... tak bardzo zmęczony. Zmęczony cierpieniem, samotnością, życiem, które z każdym dniem stawało się trudniejsze do zniesienia. Lecz to, co powiedział Jervisowi, było prawdą. Nie mógł już porzucić swych obowiązków, tak jak nie mógłby wyprzeć się Yfandes. Szczególnie teraz, gdy wiedział — usłyszawszy o tym z ust Mocy, która nie zwiódłaby go nigdy — że nie ma nikogo, kto potrafiłby to, co potrafi on.

Ale był tak zmęczony.

— Jaka jest obietnica magii, Vanyelu? — Zapytał wibrujący głos. — Kiedyś zdawało ci się, że znasz odpowiedź. Czy była to ta sama odpowiedź, której udzieliłbyś teraz?

Vanyel wynurzył się z otchłani swego głębokiego zmęczenia i zdał sobie sprawę, że... nie, obietnicą potęgi magii — dla herolda — nie jest wcale to, co zdawało się nią, gdy miał siedemnaście lat. I na tym polegała różnica pomiędzy nim a istotami w rodzaju Verdika i Krebaina.

— To nie obietnica złożona mnie — odpowiedział, z wolna otwierając oczy i napotykając nieruchomy wzrok Śmierci. — To obietnica złożona tym, którzy polegają na mnie i na mojej sile, obietnica, której jeszcze nie wypełniłem, nie do końca. — Ponownie zamknął oczy i zwiesił głowę, gdy poczuł łyzy wymykające się spod powiek. Chciał, by Kochanek nie dojrzał ani ich, ani jego słabości. — Muszę wrócić. Bez względu... na moje... zmęczenie..

Wtem usłyszał jakiś cichy dźwięk i poczuł delikatny dotyk na podbródku. Otworzył oczy, a Kochanek uniósł jego twarz, tak aby ich spojrzenia znów się spotkały. W jego oczach były łyzy, na ustach błąkał się łagodny, smutny uśmiech.

— Nigdy nie żałowałem... i nie radowałem się... utratą — rzekł i musnął ustami usta Vanyela. Gdy ich łyzy zmieszały się na jego wargach, Vanyel zamknął oczy i poczuł ich smak w pocałunku: swe własne słone i gorzkie... i słodkie łyzy Śmierci...

Zamknęły się wokół niego silne ramiona, podtrzymujące go i przyciskające do piersi z tkliwością kochanka, którym mógłby wszak być.

Vanyel poddał się górującej nad nim sile i wtulił się w ramiona Śmierci, wstrząsany cichym szlochem. Łagodne dłonie pieściły jego włosy, łagodne słowa spływały do jego uszu,

— Jeszcze nie, mój kochany — szepnął Kochanek. Vanyel czuł jego oddech muskający jego ucho i delikatnie trącający włosy. — Tutaj nie ma czasu, gdy tylko takie jest moje życzenie. Nie musisz podejmować swego brzemienia dopóty, dopóki nie będziesz gotów znów stawić czoło swemu życiu.

Vanyel wypłakał więc swe wyczerpanie i pragnienie odwleczenia wszystkiego. Płakał, a potem oparł głowę na ramieniu Śmierci.

— Vanyelu, czy tylko obowiązek skłania cię do powrotu?

— Nie. — Odnalazł w sobie jeszcze jedną iskierkę energii i powoli odzyskiwał siły w ramionach Mocy. — Nie... idzie o coś więcej. Tańczący Księżyc powiedział to dawno temu. Ogień na moim palenisku zgasł, lecz to nie powód, ażebym nie mógł ogrzać się przy paleniskach moich przyjaciół, gdy oni proponują mi swe ciepło. — Przymrużył oczy i uświadomił sobie, że się uśmiecha. — Nie mam wielu przyjaciół — dodał po części do siebie — ale wszyscy z nich to dobrzy przyjaciele.

— Czy zasługują na to, by dla nich wracać?

— Tak — odrzekł krótko.

Kochanek zaśmiał się z cicha.

— Aż tyle czasu zajęło ci zrozumienie tego, co miał na myśli Tańczący Księżyc?

— Czasami bywam niepojętny. — Wytarł oczy wierzchem dłoni. — Z jakiegoś powodu nigdy nie miałem kłopotów ze zrozumieniem istoty śmierci, lecz aby pojąć życie... musiałem dożyć tej chwili.

Moc przytrzymała go jeszcze przez moment, a potem wypuściła ze swych ramion. Po raz ostatni napotkał pełne współczucia spojrzenie świetlistych oczu, by ujrzeć w nich osobliwy melanz dumy, żalu i radości.

— Vanyelu — wyszeptał Kochanek. — Jeszcze jedno... jest tu ktoś, kto chciałby się z tobą pożegnać.

Vanyel odczuł czyjąś obecność za swymi plecami, dużo mniej intensywną aniżeli obecność Kochanka, i odwrócił się.

— Witaj, Vanyelu — powiedział Jaysen, wyciągając dłoń. — Albo... raczej powinienem powiedzieć: żegnaj.

— Jays? — Vanyel, oniemiały, pochwycił jego dłoń. — Och, Jays, nie... nie chciałem...

— Nie, nie chciałeś. Nie obwiniaj się za to. — Jaysen uśmiechnął się żałośnie. — Byłem tak rozkojarzony i poruszony wiadomością, że to ty jesteś ojcem naszej małej ulubienicy, że pozwoliłem tym stworzeniom Verdika dopaść mnie.

Łzy paliły Vanyelowi oczy.

— Ale...

— Przestań. Wiedziałem, że tak to przyjmiesz. Dlatego poprosiłem... Ją... Panią Śmierć... aby pozwoliła mi się z tobą spotkać. To nie twoja wina. A teraz posłuchaj, bo żaden z nas nie ma zbyt wiele czasu.

— A Sieć... Jesteś Strażnikiem Północy...

— W rzeczy samej. Będziesz musiał zająć moje miejsce. Co więcej, pamiętasz jeszcze, co sobie kiedyś myślałeś? O tym, aby źródłem mocy dla niej uczynić połączone siły wszystkich heroldów? Zrób to, Vanyelu. Dowiedz się, jak to zrobić.

— Jaysen nagłaco uściskał jego dłoń. — To ważne. Znajdź sposób na przekształcenie zaklęcia Sieci, tak aby Strażnicy stali się zbędni, a do jego podtrzymania wystarczyli sami heroldowie. Tylko ty potrafisz to zrobić. Powierzam ci to zadanie, Van.

Vanyel skinieniem głowy wyraził zgodę i zajął w oczy Jaysena.

— Przyrzekam.

— Ja... — Oczy Jaysena złagodniały na moment. — Jest jeszcze coś, co Ona pozwoliła mi tobie przekazać. Być może przyniesie ci to ulgę. Powiedziała, że nie będziesz sam:

Puścił dłoń Vanyela, zrobił krok do tyłu i już zaczął znikać.

— Obiecała, Van. I ja ci obiecuję.

A potem spadał, spadał...

Gdy Vanyel otworzył oczy, przez krótką chwilę zdawało mu się, że pochylony kształt w Bieli na fotelu przy jego łóżku to Posłaniec...

Ale gdy, próbując się poruszyć, syknął z bólu, budząc tamtego, zobaczył, że jest to zwykły śmiertelnik, przyjaciel w dodatku.

— Tantras? — wyszeptał. — Tantras? Co ty...

Wyczerpanie pokryło twarz Tantrasa zmarszczkami, jego oczy były czerwone od płaczu.

— Van, muszę ci powiedzieć...

— Straciliśmy Jaysena — wyszeptał Vanyel, przypominając sobie i odczuwając na nowo tamtą pustkę.

Och, bogowie... Nie wiedział nawet, że płacze, dopóki łkanie nie szarpnęło jego ciałem, w bólu odbierając mu dech z piersi.

Tantras zwyczajnie podał mu kawałek płótna i ostrożnie przysiadłszy na skraju łóżka, przytrzymał go w swych ramionach tak długo, dopóki Vanyel nie miał już siły płakać.

— Pomyśleliśmy, że powinieneś usłyszeć to od przyjaciela — rzekł Tantras, pomagając mu się położyć. — Powinieneś być się domyślić, że już wiesz.

— Jak? — szepnął Vanyel. — Nie powiedział mi jak.

— Nie udało mu się odpędzić od siebie sfory, więc on i jego Towarzysz... zresztą sam wiesz lepiej, co się wtedy dzieje.

— Ostatnie natarcie — odparł Vanyel w odrętwieniu. — Zabierają ze sobą swą ostatnią ofiarę. Och, bogowie... gdybym tylko mógł tam być.

— A co takiego byś zrobił? — upomniał go Tantras. — Nikt nie może być w dwóch miejscach naraz, Van. Nawet ty. O Świetlistą Pani, o mały włos utracilibyśmy i ciebie, a to już coś, o czym wolę nawet nie myśleć. Uzdrowiciel Lissy powiada, że do teraz nie wie, jak mu się udało cię odratować. Gotów przysiąc, że w ostatniej chwili pomogła mu w tym boska ręka.

Vanyel patrzył na niego nieruchomym wzrokiem, nie umiając wyobrazić sobie świata bez Jaysena.

Delikatne pukanie do drzwi przełamało milczenie, jakie zapanowało między nimi, i do pokoju pośpiesznie wsunęła się służąca ze ściągniętą twarzą... skrywającą strach.

— Wielmożny panie magu heroldów? — wyjąkała, trzymając dzban w dłoniach.

Już nie „Vanyel”, już nawet nie „wielmożny pan Vanyel” — pomyślał ze ściśniętym gardłem. — Teraz przerażam już nawet tych, pośród których dorastałem. Teraz przerażam już nawet ludzi z mojego najbliższego otoczenia.

— Tak, Sondri? — odpowiedział najłagodniej jak tylko potrafił.

— Przyniosłam wam coś do picia.

— Dziękuję ci.

Sondri zostawiła dzban i szklanę przy łóżku, po czym wymknęła się w pośpiechu.

To strach. Vanyel poczuł wewnątrz jeszcze jeden skurcz. Istniał tylko jeden sposób na pozbycie się związanego z nim cierpienia.

Dar empatii Tantrasa był wystarczająco silny, by pozwolić mu wyczuć, że Vanyel powoli zamyka się w sobie.

— Van... — Dotknął ramienia Vanyela. — Van, co ty robisz?

Vanyel popatrzył nań ponurym wzrokiem.

— Widziałeś ją — wyszeptał. — Jest dokładnie tak, jak mówiłeś. Wzbudzam w ludziach strach. Teraz jeszcze bardziej niż przedtem. Zniosłem z powierzchni ziemi całą rodzinę Mavelanów, a przynajmniej tę jej część, która uczestniczyła w tym zjednoczeniu sił. A moja służba opowiada sobie, jak to uzdrowiono mnie z boską pomocą. Przedtem się mnie bali, teraz zdejmuję ich grozę. Tantrasie, to boli. Świadomość tego strachu w ich sercach boli.

— I dlatego kryjesz się znów w swym pancerzyku? — Tantras potrząsnął głową. — Van, to nie jest właściwe rozwiązanie.

— A jakie jest właściwe rozwiązanie?

Tantras tylko potrząsnął głową.

— Moja skorupka przynajmniej zapewnia mi spokój. Ale przed przyjaciółmi nie będę się w niej skrywał. Obiecuję. — Próbował przywołać na swe usta uśmiech, choćby najbledszy.

— Ale nowych przyjaciół także nie będziesz szukał. Ani miłości. Van, popełniasz wielki błąd.

— Ale to ja go popełniam.

— Nie mogę tu zostać — rzekł Tantras po długiej chwili milczenia. — Muszę wracać z wiadomościami. Czekałem tylko, żeby ci powiedzieć.

Vanyel skinął głową. Czuł żal, zbyt ogromny, by ulżyć w nim mogły łyzy ciśnące się teraz do gardła.

— Prawda, obowiązki; wszyscy je mamy. Tylko one pomagały mi dotąd wytrwać, Tantrasie; one i fakt, że wreszcie zrozumiałem, co robię na tej ziemi. To było też powodem, dla którego zginął Jays: obowiązek i chęć zapewnienia bezpieczeństwa tym, których kochamy. — Oczy piekły go i jęły zachodzić mgłą, a on wciąż patrzył nimi w jeden punkt na przeciwległej ścianie. — Dziękuję ci, że czekałeś, aby mi to powiedzieć.

Tantras uniósł się z łóżka i uściśnął jego dłoń.

— Odpoczywaj. Gdy będzie wiadomo coś więcej, damy ci znać.

— Dziękuję ci — wyszeptał Vanyel, zamykając oczy. Usłyszał jeszcze ciche kroki przemierzające pokój, a potem dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. Później, przez długi, długi czas, nie docierało do niego nic więcej.

Uzdrowiciel uczynił wszystko, co było w jego mocy, a jednak rana zadana przez nóż ojca Lerena jeszcze nie w pełni się zagoiła i wciąż była bardzo bolesna. Vanyel, niestety, zmuszony był przekonać się, że wyjście z łóżka po to, by usiąść w fotelu stojącym tuż obok, było ciężką próbą wyciskającą pot i wywołującą jeszcze większe cierpienie. Uzdrowiciel bardzo surowym tonem ostrzegł go przed konsekwencjami nowego rozdarcia na wpół odnowionych tkanek, a Vanyel wziął sobie jego słowa do serca, zwłaszcza uświadomiwszy sobie, jaki ból towarzyszy każdemu jego ruchowi. Nie miał ochoty swą nieostrożnością przyczynić się do jeszcze większego oszpeceńcia swego ciała. Zanosił się na to, że i tak do końca życia pozostanie mu na brzuchu blizna w kształcie litery *L*. Co więcej, leczenie obrażeń ciała nie należało do jego ulubionych sposobów zapewniania sobie odpoczynku.

Ubieranie się było próbą nie lżejszą od wstawania z łóżka, uzdrowiciel jednakże pozwolił Vanyelowi przyjmować gości, a ten nie miał ochoty przyjmować ich w łóżku, otulony w pościel niczym inwalida.

Z syknięciem osunął się właśnie na fotel, gdy ktoś zapukał do drzwi jego pokoju.

— Proszę — zawołał, wierzchem dłoni ocierając pot z czoła. Był to ktoś, kogo

by się wcale nie spodziewał. W drzwiach stała Melenna.

Wyciszona, skupiona Melenna.

— Przyszłam zobaczyć, czy rzeczywiście czujecie się już lepiej — powiedziała z nieśmiałością — i chciałam poprosić herolda Vanyela o przysługę, i radę.

Znów „herold Vanyel”, a nie po prostu „Van”. I w niej czai się ten sam strach.

— Proszę, Melenno, usiądź. Nie pojmuję, dlaczego miałabyś mnie prosić o radę, ale...

Melenna wciąż stała.

— Vanyelu — powiedziała cicho. — Co do ciebie... i mnie. Nie ma żadnej nadziei, prawda?

Vanyel spojrział na nią i pragnienie bijące z jej oczu otworzyło dla niej jego serce, pozwalając rozpaczy i złości ostatnich tygodni ulecieć w niepamięć. Bogowie wiedzieli, i on wiedział dokładnie, jak to jest, gdy pragnie się czegoś, czego nigdy nie będzie się miało... albo nigdy nie będzie się mogło odzyskać.

— Przykro mi, Melenno, ale nie chcę cię okłamywać. To od samego początku była sprawa beznadziejna. Kobieta nigdy nie będzie mogła być dla mnie więcej aniżeli przyjaciółką. Cenię cię jako przyjaciółkę i matkę mojego małego przyjaciela, Medrena, ale nie mogę ofiarować ci nic ponadto.

Melenna spuściła głowę i spiesznie otarła łzy. Nie było w niej ani krzty kokieterii.

— Ja... wiesz, co czuję. Czy nie mógłbyś chociaż udawać? Tak bardzo uszczęśliwiłoby to lady Tressę i lorda Withena. A ja nie miałabym nic przeciwko temu, naprawdę.

Vanyel odwrócił wzrok od jej smutnych oczu. Oferta była szalenie kusząca. Lecz ostatecznie sprowadzała się do kłamstwa.

— Wiem, że bardzo by ich to uszczęśliwiło, ale jestem przecież heroldem, Melenno. Nie mogę kłamać... więc jakże miałbym z tym żyć? A co do ciebie, w końcu i ty zapragnęłabyś czegoś więcej. Byłoby ci z tym bardzo źle. Było już wielu mężczyzn, *shay'a'chern*, którzy opowiadali mi o swoich próbach podjęcia czegoś takiego, co ty mi właśnie proponujesz. Z takich związków wynikało jedynie tyle, że zamiast dwojga ludzi umiarkowanie zadowolonych, żyło obok siebie dwoje ludzi nieustannie niezadowolonych. Żona była zazdrosna o jego kochanków, jego kochankowie byli zazdrośni o jego żonę; a wszystko to prowadziło donikąd. — Potrząsnął głową. — Nie, moja droga, nic z tego nie wyjdzie. Przykro mi.

Melenna otarła kolejną łzę.

— Mnie też przykro — powiedziała. — Ale szczerze mówiąc, najbardziej żał mi samej siebie, a potem dopiero Tressy — Westchnęła. — A czy mogę poprosić cię o przysługę? Możesz odmówić. Idzie o Medrena.

— Gdy idzie o Medrena, to moja odpowiedź zabrzmi prawdopodobnie: tak — powiedział. — Twój syn jest radością dla każdego muzyka i wie, jak czarować

ludzi.

— A czy zechciałbyś... być mu kimś w rodzaju opiekuna, dopóki się jakoś nie urządzi? Nigdy nawet nie wyjeżdżał z domu. Wiem, że nie grzeszy nieśmiałością, i w tym cały problem. Sprawia wrażenie dużo starszego niż jest w rzeczywistości, i to chyba moja wina. Mógłby wpaść w towarzystwo spryciarzy większych od niego.

Vanyel patrzył na nią zdumiony.

— I zaufałaabyś mi...?

Na jego zdumiony wzrok Melenna odpowiedziała niewzruszonym spojrzeniem.

— Czasami nie jestem może zbyt bystra — odparła — ale słucham, dużo słucham. Jesteś człowiekiem honoru i w tych wszystkich historiach o tobie i... innych zawsze byli sami mężczyźni. Żadnych chłopców. A poza tym Medren powiedział mi, co zaproponował ci w zamian za lekcje, i jak odrzuciłeś jego ofertę. Rzeczywiście, ufam ci. Zawsze będę ci ufać. Kocham cię, Vanyelu... już długi, długi czas.

Głęboko wzruszony, Vanyel ujął jej dłoń i złożył na niej delikatny pocałunek.

— A zatem będę się czuł zaszczycony, pomagając Medrenowi w urządzeniu się na nowym miejscu — powiedział. — I mogę się jedynie modlić, abym zawsze zasługiwał na twe zaufanie.

Nim zdążył powiedzieć cokolwiek więcej, Melenna już wstała i szła do drzwi... które w tej samej sekundzie otworzyły się z hukiem i do pokoju wpadł cały tłumek ludzi.

— Posłuchaj, ty ptasi mózdzku... — krzychała Savil, przyprawiając Vanyela o ból głowy.

— Sama słuchaj — odwrzaskiwał Withen, wygrażając jej palcem. — Ci przekłeci ludzie z Lineasu zadowolą się tylko chłopcem!

— Ale on jest heroldem — lamentował Lores, zagłuszając wszelkie inne głosy.

Vanyel poczuł, że głowa zaczyna mu już pękać z bólu. Zacisnął dłonie na brzegu blatu stolika. Ratunek nadszedł z całkiem niespodziewanego źródła.

— Zamknij się! — ryknął Jervis głosem, który słychać było zapewne aż na placu przed zamkiem.

I nagle tak gwałtownie zapadła cisza, że Vanyelowi aż zadzwoniło w uszach.

— Czy ktoś z łaski swojej mógłby mi wytłumaczyć, co tu się dzieje? — wyszeptał.

— Pozwólcie, że upewnię się, czy wszystko dobrze zrozumiałem — rzekł w końcu, gdy każdy wyrzucił z siebie, co miał do powiedzenia; każdy z wyjątkiem Melenny, która znalazłszy się w pułapce odcięta od drzwi pchającymi się do

środku ludźmi, nie miała odwagi precyzyjnie się między nimi i uciec. — Zgodnie z traktatem Tashir dzierży teraz obydwie korony. Skoro został oczyszczony z zarzutów, lud Lineasu gotów jest go zaakceptować, a mieszkańcy Bares są skłonni przyjąć kogokolwiek, pod warunkiem że nie jest to członek rodu Mavelanów. I oto stoimy przed następującymi problemami. Po pierwsze, Tashir jest heroldem, a to pociąga za sobą konieczność podjęcia przez niego nauki i w normalnych warunkach oznacza zrzeczenie się tytułów i wszelkich roszczeń do ziemi. Po drugie, Tashir nie chce być królem; a po trzecie, jest jeszcze bardzo młody, co mogłoby skusić innych do ataków na niego i w rezultacie doprowadziłoby Valdemar do zbrojnej obrony jego królestwa.

— Otóż to — przyznał Withen, gdy inni na potwierdzenie jego słów skinęli głowami.

— Ale dlaczego akurat ja? — Vanyel zażądał wyjaśnień. — Dlaczego akurat ja mam być sędzią w tej sprawie?

Savil jęła wymachiwać jakimś pergaminem.

— Ponieważ według tego świstka papieru, który trzymam w dłoni, a opatrzonego oficjalną pieczęcią Randala, świetnie znasz całą sprawę, więc wyznaczono cię jako człowieka upoważnionego do podjęcia ostatecznej decyzji.

— Oj, niech cię tylko dostanę, Savil.

— Spróbuj.

Vanyel pomasażował skronie i zażył sobie wina.

— Dobrze, zastanówmy się nad tym powoli. Przede wszystkim trzeba zaznaczyć, że już nieraz odstępowaliśmy od zasad obowiązujących heroldów, kiedy tylko okazywało się, że są jedynymi spadkobiercami. Nie dzieje się tak często, sądzę jednak, że ta sprawa domaga się podobnego rozwiązania. Loresie, twoim darem jest przenoszenie, czyż nie tak?

Lores, zaskoczony, przytaknął skinieniem głowy.

— Doskonale. Wyznaczam cię zatem na mentora Tashira. Zostaniesz przy nim i będziesz go szkolił do czasu, kiedy uznasz, że gotów jest już przywdziać Biel. Tym sposobem możesz wypełniać dwa obowiązki naraz: jako mentor i poseł. A czy ty, Tashirze, będziesz skłonny zasiąść na tronie, gdybyśmy obydwaj państwa uczynili wasalami Valdemaru? Oznaczałoby to, że dzierżysz władzę na ziemiach Randala będących częścią Valdemaru.

Tashir ze skupioną twarzą rozważał przez chwilę jego słowa.

— A czy... to konieczne... czy ja muszę być królem? Nie chcę być królem. To głupie być królem czegoś, co przemierzyć można konno w czasie kilku dni.

— Jeżeli potrafisz przekonać swych ludzi, aby zgodzili się na taki stan rzeczy, nie wyobrażam sobie, jakie miałyby to mieć znaczenie.

— A więc będę baronem — odparł Tashir i wyprężył się. — Margrabią Marchii Lineasu i Bares. Jeżeli nie będę miał żadnych spadkobierców w prostej linii, wszystko przejdzie pod bezpośrednią władzę Valdemaru.

Vanyel odetchnął z ulgą. Gdyby Tashir nie zgodził się objąć władzy... Valdemarowi nie potrzeba w tej chwili wojny domowej na terenach przygranicznych.

— Kiedy władcą jest ktoś tak młody jak ty, zwykle wokół niego gromadzi się Rada składająca się z ludzi starszych, gotowych zawsze służyć pomocą...

— Ale Rady już nie ma — przerwał mu Tashir. — Ojciec miał Radę, ale wszyscy jej członkowie zginęli.

— To prawda. Czy masz coś przeciwko temu, abym to ja wyznaczył członków nowej Rady?

Tashir potrząsnął głową, a Vanyel ciągnął dalej, jakby w obawie, że ktoś może zechcieć mu przerwać.

— Pierwszy Radny i Szambelan: herold Lores. Drugi Radny i Kasztelan: Kaster Ashkevron. Wszak to on jest prawą ręką Mekeala i jego rachmistrzem. Czy ktoś ma jakieś obiekcje, co do dotychczasowych ustaleń?

Withen zamknął usta otwarte już do powiedzenia czegoś i potrząsnął głową.

— Doskonale. Na Trzeciego Radnego niech przyślą ci kogoś z waszej lokalnej świątyni. Wybierz uczonego. Czwarty Radny: obecny Starosta Highjourne. Czwarty Radny... ha. Potrzeba ci Marszałka, dobrego doradcy wojskowego. Sądzę, że dobry będzie Jervis.

— Co? — odezwał się Jervis. — Czym mam być?

— Będzie świetny na tym stanowisku — kontynuował Vanyel, nie pozwalając Jervisowi na protesty — Radevel zaś z pewnością podoła obowiązkom fechmistrza tutaj. A ponieważ jesteś kawalerem, przyda ci się też ochmistrz, bo inaczej nie będzie miał kto dopilnować przygotowania posiłków i prania twych koszul. — Na moment twarz Vanyela straciła wszelki wyraz... wreszcie jego oczy spoczęły na Melennie.

— Lenno?

Ta aż podskoczyła.

— Jak sądzisz, dasz sobie radę z doглядaniem, czy Tashirowi nie brakuje pieczenia, ziół i czystej pościeli?

— Ja? — pisnęła. — Ja? Ja mam być ochmistrzynią?

— Oczywiście istnieje pewna przeszkoda — Vanyel zaczął odnajdywać w tym coraz większą przyjemność. — Trzeba ci będzie nadać tytuł szlachecki, jednakże Randi udzielił mi przecież zupełnego pełnomocnictwa. — Z radością w sercu spostrzegł, że Tashir wygląda na coraz bardziej zadowolonego. Wszakże już raz Melenna stanęła w jego obronie, a ponadto była matką jego dobrego przyjaciela, Medrena, a to bardzo przemawiało na jej korzyść — przynajmniej w jego oczach.

— Ależ... ależ... nie mam przecież zielonego pojęcia o...

— G-głupstwa — huknął Withen, w ostatniej chwili zmieniając słowo, którego chciał użyć. — Od lat pełniłaś tutaj obowiązki ochmistrzyni. Rzecz jasna, Tressa dostanie spazmów.

Przerwała mu Savil.

— A niech Tressa dostaje swoje spazmy. Skoro ona nie chce zajmować się Forst Reach, niechaj pozwoli żonie Mekeala to robić. Znam młodą Roszię. Jest bystra, i wiem, że otrzymała staranne wykształcenie w tym kierunku. To twój wielki kłopot, Withenie: nadmiar wyszkolonych rąk i brak zajęć dla nich.

Melenna zwróciła swe zatroskane oczy na Vanyela.

— Myślicie, panie, że... podołam...

— Myślę, że świetnie sobie dasz radę. Czy rozwiązaliśmy już wszystkie problemy?

Bo w przeciwnym razie wyczerpią się moje wspaniałe pomysły, energia i siły do zmagania się z bólem.

— Sądzę, że tak — odparła Savil. — Przypuszczam, że możemy zacząć od poinformowania o wszystkim Kastera i pokazania Tashirowi, na czym będą polegały jego obowiązki.

— Będziecie mnie potrzebowali? — spytał nagle Jervis.

— Chyba nie... przynajmniej na razie.

— Więc zamienię jeszcze słówko z Vanyelem. Przyślecie po mnie, kiedy będę wam potrzebny?

Savil uniosła brwi, dziwiąc się nieco jego gorliwości, ale skinęła głową na znak zgody.

Tłumek zniknął za drzwiami i Vanyel rozluźnił się, gdy Jervis postawił przed nim dzban.

— Wielkie nieba. To ci dopiero sposób na spędzenie mojego pierwszego dnia po wstaniu z łóżka. — Tęsknie łypnął okiem na stojący na stoliku dzban. — To chyba nie jest wino, co? — Uzdrowiciel, przyzwyczajony do żołnierzy, którzy zwykle chętnie urządzali sobie improwizowane przyjęcia w izbie chorych, zabronił podawania mu wina. Jabłecznik zdążył się Vanyelowi już znudzić.

W dodatku leki, które zalecił mu uzdrowiciel, były zbyt silne. Vanyel brał je więc tylko wtedy, gdy kładł się spać. Co za tym szło, alkohol z jego właściwościami uśmierzenia bólu byłby wcale mile widziany.

— Niestety... jabłecznik — rzekł Jervis, uśmiechając się chytrze — a do tego wzmocnienie. — Sięgnął za pazuchę swego kaftana i po sekundzie już trzymał w dłoni małą flaszeczkę jabłkowej brandy. — Nie mogłem przemycić wina, ale udało mi się przynieść to. Pomyślałem sobie, że może ci się przydać. Pewien ptaszek zaśpiewał mi do ucha, że pewnie wcale nie bierzesz tych pigułek.

Nalał do obydwu kubków solidne porcje brandy, a potem dopiero dopełnił je jabłecznikiem. Vanyel z wdzięcznością przyjął swój kubek.

— O jakim ptaszku mówisz?

— O takim, któremu na imię Lissa. Spełniam tutaj rolę jej oczu i uszu.

— Może nawet ma rację — przyznał się Vanyel. — Ona wie, że ostatnimi czasy bardzo nie lubię, kiedy mi się mąci w głowie.

Jervis skrzywił się.

— Nikt, kto kiedykolwiek był na froncie, nie lubi, kiedy mu się mąci w głowie. Szkoda tylko, że uzdrowiciele jakoś nie mogą się tego domyślić.

— Miałeś jakieś wiadomości z Highjournie? Wiesz coś o pałacu i kamieniu-sercu?

— Zapadły się pod ziemię i tak zostaną. Będzie bezpieczniej. Van, naprawdę sądzisz, że powinienem objąć to stanowisko?

— Dlaczego pytasz? Masz jakieś wątpliwości? Jervis zagryzł wargi.

— Sam nie wiem — powiedział po chwili. — Tashir ma do mnie zaufanie. Robię się już za stary na to, żeby uczyć rozumu więcej niż jednego młodzika naraz. A co ty o tym myślisz? Jestem za głupi, żeby uwierzyć w to wszystko?

— Moim zdaniem będzie z ciebie dobry Marszałek — odparł Vanyel ze szczerością. — Udowodniłeś już, że nie jesteś wcale za stary na zmiany.

Jervis parsknął.

— I ty to mówisz? Po tym jak nieomal zrujnowałem ci życie?

— Ale potem mi je uratowałeś — zauważył Vanyel. — Gdyby cię tam nie było, to albo pozwoliłbym pogrzebać się żywcem w zrujnowanym pałacu, albo pożegnałbym się z tym światem dzięki nożowi Lerena. Wyzionąłbym ducha, zanim ktokolwiek by mnie znalazł. Chyba jesteśmy kwita.

— Uff.

Przez jakiś czas popijali swój jabłecznik w milczeniu. Ból w ranie Vanyela zdawał się nieco złagodnieć.

— A skoro już o Lerenie mowa... masz jakieś wiadomości?

Vanyel przecząco potrząsnął głową.

— Miałem nadzieję, że dotrzesz do niego. Ale skoro jesteś pośrednikiem Lissy, to mam dla ciebie pewną wiadomość. Otóż Leren znajdował się w mocy czarów.

Jervis zaklął pod nosem.

— A więc zrobił to specjalnie. Gdyby nikt mu nie przeszkodził...

— Ano właśnie... to ja rozproszyłem jego uwagę, żebyś mógł go dostać. Było w nim... wyczuwałem coś w nim, ale straciłem trop.

Jervis potrząsnął głową.

— Do diabła. Udało nam się ustalić, że przysłali go nam Mavelanowie. Teraz kapłani Astera rozsyłają „przeszukiwaczy” po wszystkich świątyniach wzdłuż granicy, żeby sprawdzić, ilu jeszcze takich jak on tam siedzi. Wygląda na to, że Mavelanowie przekupili całą szkołę klasztorną. Nie powiem, żeby Arcykapłan był tym zachwycony. Ale pewnie w Lerenie siedział jeszcze gorszy diabeł niż myśleliśmy, prawda?

Vanyel skinął potakująco.

— Dziś rano powiedziałem o tym Savil, a ona przekazała to do Przystani, lecz Lissa równie dobrze może usłyszeć o tym od ciebie. Może i Leren był na usługach

Mavelanów, ale na pewno też wypełniał polecenia kogoś innego. Nie wiem, kto albo co to było. To jakaś nie znana mi moc.

— I od niego się tego nie dowiesz. Liss nie udało się tego z niego wydobyć, a nim zdążyła oddać go w ręce heroldów, ktoś go zabił.

Vanyel zaklął siarczyście w języku Tayledras.

— Savil nic mi o tym nie mówiła. Jervis skrzywił się.

— Bo nic nie wiedziała. Sierżant Lissy znalazł go martwego z rozprutym brzuchem w jego celi dziś rano. Nie było tam w pobliżu nikogo, od chwili kiedy przyniesiono mu kolację. Ale zaraz zjawili się Savil, Lores i Tashir i sprawa zesłała na dalszy plan, kiedy wszyscy zaczęli się zastanawiać, co zrobić z Tashirem.

— Magia.

— Na to wygląda.

Vanyel zastanawiał się nad tym przez chwilę.

— A czy ustaliliście, dlaczego usiłował mnie zabić?

— O, tak. To było dosyć proste. Leren dobrze wiedział, co się tu dzieje. Ten drań od Mavelanów informował go na bieżąco. Tyle zdążyła się dowiedzieć Lissa, zanim ktoś wypruł Lerenowi wnętrzości. Verdik odkrył, że zbliżasz się do poznania prawdy o chłopcu, Kiedy przedarł się przez osłony, nie miał pojęcia, że rozwikłaliśmy już wszystko. Myślał sobie, że jego zaklęcia nie można rozpracować. Chciał tylko wysłać cię przez Bramę do domu, a razem z tobą chłopca. Potem Leren miał zakłuć was obu sztyletem. Wiedzieli, że za docelowy punkt Bramy użyjecie tego samego miejsca, co poprzednim razem, więc skoro tylko Verdik go zawiadomił, Leren już na was czatował. Tylko że nie mieli pojęcia ani o tym, że jesteśmy z wami jeszcze my, Savil i ja, ani że rozdzieliliście się z Savil, a zamiast Tashira zostałem z tobą ja.

— Bardzo się cieszę, że to ty tam byłeś — rzekł Vanyel z cicha. — Gdybyś mi wtedy nie przypomniał moich własnych słów, rzucając mi je prosto w twarz, to... co tu dużo mówić, nie byłoby mnie dziś tutaj.

— I chcesz mi za to dziękować? — zapytał Jervis niespodziewanie. — Ile jeszcze zdołasz unieść na swych barkach, zanim się złamiesz?

— Tyle — stanowczo odrzekł Vanyel — ile będę musiał.

Jervis zadumał się na moment.

— Van... czy teraz jesteśmy przyjaciółmi?

Vanyel zamknął oczy.

— Jesteśmy przyjaciółmi. I sędzę, że już wiem, jakie jest twoje następne pytanie. Chciałbyś wiedzieć, dlaczego odsyłam cię stąd razem z Tashirem.

— Mniej więcej.

— Otóż próbuję rozproszyć potencjalne cele napaści moich nieprzyjaciół. W ciągu ostatnich paru dni miałem dużo czasu na przemyślenie pewnych spraw. I coś sobie uświadomiłem. Kiedy wrogowie nie będą mogli zaatakować mnie bezpośrednio, będą mogli dotrzeć do mnie przez moich przyjaciół. Niektórzy z nich

są dobrze zabezpieczeni. Ale zwykli ludzie, tacy jak ty albo Medren. . . — Potrząsnął głową. — Dlatego wyprawiam was wszystkich daleko stąd, daleko ode mnie. Im będziecie ode mnie dalej, tym pewniejsze będzie wasze bezpieczeństwo. Moim nieprzyjaciołom będzie się wtedy wydawało, że jesteście zbyt daleko, żeby do was dotrzeć, albo że wcale mi na was nie zależy. W każdym razie nie będzie wam nic groziło.

— A ty zostaniesz sam.

— Lepsze to aniżeli dowiedzieć się, że któregoś z was zabił magiczny piorun, i to tylko dlatego, że ktoś chciał mnie nastraszyć — odparł i jednym haustem wychylił zawartość swego kubka.

Zapadła cisza. W końcu Jervis sięgnął po dzban i ponownie napełnił jego kubek. Vanyel poczuł, że zaczyna mu odrobinę szumieć w głowie.

— Pozwól, że zapytam o coś z zupełnie innej beczki. Co u Medrena? Przebaczy mi kiedykolwiek, że do reszty zrujnowałem jego starą lutnię?

— Lutnię? — Jervis zarechotał. — Wybaczyłby ci, gdybyś zrujnował całe Forst Reach, pod warunkiem, że wyszedłbyś z tego cało. A to ci dopiero. Pamiętasz, jak powiedziałeś, że Medrenowi nie grozi atak sfory, bo nie ma daru magii? Byłeś bliski prawdy. Bo jak tylko sfera zaczęła sobie szukać ofiary, pękły wszystkie struny w jego lutni. Nie wydaje ci się, że to dziwne?

Vanyel potrząsnął głową. Były blisko. Aż za blisko. Miałem rację.

— W każdym razie Medren jest teraz bezpieczny w Bardicum. Przyszła wiadomość od pewnego barda o imieniu Breda, że jeśli jest w tym domu jeszcze więcej takich jak on, to możemy się spodziewać najazdu”.

— A zatem dobrze sobie radzi?

— Lepiej niż dobrze. Sądzę, że to dlatego Melenna przyjęła tę posadę ochmi-strzyni. Chyba zaczyna myśleć o tym, że czas już przestać być czyjąś damą do towarzystwa albo czyjąś mamuszką. Zdaje się, że chce spróbować stać się kimś dla siebie.

— To dobrze — rzekł Vanyel, zupełnie szczerze.

— Wiesz — Jervis uniósł jedną brew — twój ojciec nadal sobie myśli, że zrobiłeś to wszystko tylko dlatego, że masz chrapkę na Tashira. I na Medrena też.

Vanyel parsknął.

— W gruncie rzeczy — ciągnął Jervis — gdyby tak posłuchać, co opowiada, kiedy jest podchmielony, to można by pomyśleć, że przez twoje łóżko przewinęła się już połowa chłopców w całym Valdemarze.

Vanyel odstawił swój kubek.

— Jeśli o to chodzi — odparował zgryźliwie — możesz mu ode mnie przekazać, że nie miałem nikogo od tak dawna, że już nawet ty i te przekłete owce na Długiej Łące zaczynacie wyglądać atrakcyjnie!

Jervis zawiesił na nim przeciągłe, zamyślane spojrzenie i Vanyel zaczął się zastanawiać, czy aby nie powiedział za dużo zbyt bezceremonialnie. Układał wła-

śnie w myślach przeprosiny, gdy na twarz Jervisa powoli wypłynął promienny uśmiech.

— Już lepiej pozostań przy tych owcach — stwierdził fehmistrz bez zażenowania. — One przynajmniej nie chrapią.